Uniwersytet Gdański Biblioteka
Rs II 93

SpD 46/8/87

M o j e w s p o m n i e n i a

z czasów największego nasilenia germanizacyjnego na P o m o r z u.

Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka
Rs II
93

Słowo wstępne : dla czego piszę ?

Coś mnie silnie skłania, by teraz, kiedy kres mego życia dobiega końca, opisać to, co w życiu doznałem, przeżyłem, poznałem i doświadczyłem. Nie chcę tego nazwać pamiętnikami. Pamiętniki piszą ludzie, którzy wielkich czynów dokonali, wpływ wywierali na bieg wydarzeń /życiowych/ dziejowych, ale ja, małe kółko w mechanizmie dziejowym naszego narodu, znachodzący się tylko na skromnych odcinkach życia publicznego, mogę wykazać się tylko drobnymi wynikami mej pracy i działalności. Dla tego też określam moje opisy tylko jako "wspomnienia". A tych wspomnień z mego dość długiego okresu życia jest sporo, tymbardziej, że w nim dokonywały się wprost wiekopomne przeobrażenia dziejowe i dla naszego narodu.Tuszę przeto, że streszczenie tych wspomnień o sprawach i dziejach i działaniach, jakie się dokonywały - przede wszystkim na naszym pomorskim odcinku - nie będą zupełnie bez wartości dla tych, którzy raz kiedyś będą się zajmować opisem tychże dziejów. Wszak nie byłem w nich tylko biernym obserwatorem, ale brałem, co w mych siłach, czynny w nich udział. Większą część mego życia, to lat 41, spędziłem w pruskiej niewoli, 19 lat w zmartwych wstałej już i wolnej Polsce, 5 1/2 roku w okupacji hitlerowskiej, w śmiertelnej wprost trwodze o życie, a resztę życia po wojnie spędzam w Polsce Ludowej, w warunkach, jakie zaistniały po II.wojnie światowej. Taka zmienność dziejowa, nagromadziła, rzecz zrozumiała, całą moc wspomnień, które , moim zdaniem, aż się proszą, by je przelać na papier i utrwalić pamięci potomnych.

Rozpocznę mój opis od wspomnień z lat dziecięcych, chłopięcych aż do roku 1920 t.j.z ery zaborczej. Będzie to zarazem pewne naświetlenie tych ciężkich,niestrudzonych walk, jakie społeczeństwo polskie Pomorza stoczyć musiało z zachłannym zaborcą w obronie swych najdroższych ideałów.

W domu rodzinnym.

Urodziłem się w Radomnie, w powiecie Nowemiasto Lubawskie dnia 25. marca 1879 r. Rodzice posiadali gospodarstwo rolne, obszaru 56 morgów, które później powiększyło się do 76 morgów przez nabycie dalszego obszaru. Warunki życiowe moich rodziców były jednak bardzo trudne. Ojciec mój stale chorował na chroniczny katar płucny. Zaziębił się bowiem przy zastawianiu żaków na węgorze w t.zw. strudze, przepływającej przez nasze łąki z jeziora do Drwęcy, spędzając noce na czuwaniu. Leczył się więc stale u lekarzy, co pociągało za sobą i znaczne wydatki, jako też utrudniało pracę w gospodarstwie. Nie to samo jednak było powodem ciężkich warunków życiowych. Wielkim obciążeniem było nadmierne dożywocie dla babki i jej córki i to przeważnie w gotówce, o którą wówczas tak trudno było, ponieważ otwarcie granic do Rosji i stąd przypływ taniego zboża i żywca stamtąd powodował niskie ceny produktów rolnych. Pozatym babka była bardzo dokuczliwa. Swymi niesamowitymi wymaganiami zatruwała nieustannie życie moim rodzicom. Ojciec mój, pomny na czwarte przykazanie, znosił wszystkie te kaprysy ze stoicką cierpliwością, w czym podtrzymywała go moja matka, anioł dobroci i łagodności. Mimo to babka żywiła szczególną nienawiść do matki. Nie mogła jej wybaczyć tego, że weszła w jej gospodarstwo, choć matka nie przyszła z próżnymi rękami, a z poważnym jak na ówczas posagiem. Szła babka tak daleko w swej nienawiści, że wyrażała głośno i często życzenie, żeby ona choćby tylko o rok jeden przeżyła mego ojca, żeby jej mogła dyktować swoją wolę. Było to życzenie bezbożne i za to spotkała ją też zasłużona kara Boża. Ojciec mój umarł w 66 roku życia. I teraz nastąpiła tak upragniona przez babkę chwila do wywarcia na matce swej nienawiści. Stało się jednak inaczej. Zaraz krótko po śmierci ojca babka wstając z łóżka tak nieszczęśliwie upadła, że złamała sobie nogę. Z powodu tego zmuszona była przez cały czas aż do

2 ✓

Viole; str 34.

śmierci przeleżeć w łóżku. A trwało to akurat jeden rok. Swego grzesznego życzenia już spełnić nie była w stanie. W chorobie i dla mnie była łaskawsza, bo aż dotąd nie mogła się z tym pogodzić, że byłem w gimnazjum. Umarła w 93 roku życia, a moja prababka doczekała się aż 104 lata życia. I kto wie, jak długo byłaby jeszcze żyła, gdyby bandyta jakiś nie był jej w celach rabunkowych zamordował. Ten wypadek z babką stał się tak głośny, że miejscowy proboszcz, Ks. Batke, znany kaznodzieja, wypadek ten, oczywiście bez wymienienia nazwisk i miejscowości, ujawnił w swym kazaniu na wielkim odpuście w Lipach pod Lubawą. Natomiast dziadek mój był człowiekiem zgodnym i życzliwym. Niestety, trzymała go się inna słabość, a mianowicie alkoholizm. Często gęsto wracając w stanie pijanym z karczmy w drodze, a droga była bardzo błotnista, przewracał się w błoto. I wtedy na głos przywoływał mnie, chłopca trzyletniego do siebie "Józefku, synku mój, chodź, podnieś dziadka". A ja dziadka bardzo kochałem, bo i on był dla mnie dobry. To też jakże nie spieszyć kochanemu dziadzi z pomocą, tylko że skutek był ten, że nie ja dziadka byłem w stanie podnieść, a on mnie każdorazowo przewracał w błoto, a ja potym zwalany cały błotem wracałem do domu, za co każdorazowo obrywałem od matki. Wtedy żadną miarą pojąć nie mogłem, że za moją miłość do dziadka ponosić musiałem kary. Inny jeszcze szczegół podaję z dziecięcego mego wieku, którego ja jeszcze nie pamiętałem, ale o którym mi wspominali rodzice, a którego jednak nie ja zawiniłem, a raczej mój ojciec. Byłem przez kilka lat jedynakiem, aż przyszła na świat siostrzyczka, Leosia, która dziecięciem jeszcze będąc umarła. Jako jedynakowi dobrze mi było. Wszystkie czułości rodzicielskie, jak również wszystkie namacalne dowody w postaci ich miłości jak słodycze mnie niepodzielnie dostawały się w udziale. A po przyjściu Leosi na świat dowiedziałem się z ust ojca, że teraz z wszystkim będę się musiał dzielić z Leosią. Rozumu to ja jeszcze nie miałem, ale zazdrość już tkwiła w mym

sercu. Postanowiłem się pozbyć mojej rywalki. Kiedy rodziców przypadkiem nie było w pokoju, dopadłem kołyski i zacząłem ją dusić. Na krzyk jej jednak dopadli rodzice i mnie od kołyski odpędzili. Inaczej bowiem stałbym się był nieświadomym zbrodniarzem, zabójcą. Dowodzi to, że już w dziecku uśpione są złe instynkty. Nie trza ich budzić. Przypominam też sobie przebywania w chłopięcych latach malarię. Przepływająca i przez nasze łąki rzeczka - struga- nie uregulowana, tworzyła trzęsawiska, stanowiące prawdziwą lęgarnię komarów, roznoszących malarię. I ja na nią zapadłem i to już w czwartym roku życia. Ludzie nie znali jeszcze określenia "malaria', nazywali ją "ograszką". Trzymała się ona mnie całe trzy lata. Przypominam sobie jeszcze dobrze, jak mnie nieraz prawie bezwładnego przynoszono z pola do domu i kładziono do łóżka i wlewano jakieś lekarstwo, od którego drętwiały mi zęby. Choroba ta sprawiła, że jeszcze przez szereg lat byłem słabowitym i chorowitym, a na całe życie zatrzymałem po niej znacznie powiększoną śledzionę. Choroba ojca, ciężkie położenie materialne rodziców, dokuczliwość babki cieniem kładły się na moje chłopięce lata. Moim marzeniem było jezioro i las, a jakże mało mogłem się w nich wyżywać. Rzadko kiedy miałem możność bawienia się i dokazywania w gronie rówieśników. Jako najstarszy syn już od najmłodszych lat popędzany byłem do różnorodnych zajęć w gospodarstwie. Od najmłodszych lat przykładać się było trzeba do pracy i pomagania rodzicom. Jakże zazdrościłem dzieciom robotników, że mieli pełną swobodę w wyżywaniu się w zabawach i wesołych i beztroskich pląsach i zabawach. Z lat dziecięcych naprawdę nie wyniosłem wesołych wspomnień, mało słońca, a cienia dużo.

Ogólny stan gospodarczy za mych lat chłopięcych.

Położenie materialne moich rodziców było ciężkie, ale również ogólny stan rolnictwa w owych czasach był niepomyślny. Ceny na płody rolnicze były niskie na skutek tego, że granice od Rosji były otwarte. Przypominam sobie dobrze, jak mój ojciec z zbożem jeździł raz to do Nowego Miasta, raz do Iławy, to do Lubawy, nie mogąc go sprzedać dla wielkiej podaży i zbyt niskich cen. Dochodziło jeszcze do tego i to, że prawie wyłącznymi odbiorcami na ów czas Żydzi byli, którzy haniebnie wyzyskiwali rolników. Jak i wogóle handel cały był w te czasy w rękach żydowskich. Nie lepiej było z żywcem. Nie rzadkie były n.p. wypadki, że rolnicy - używam wyrażenie rolników, a nie chłopów, ponieważ określenie "chłop" było na naszym terenie wówczas zupełnie nieznane - nie mogąc sprzedać na rynku prosiąt, obwożąc je po kilka razy bezskutecznie na targi, topili je w powrotnej drodze w rzece. Nie mniej trudne było i położenie robotników, którzy dla braku przemysłu, skazani byli jedynie na pracę w roli. Dzielili się oni na takich, którzy mieszkali, jak nazwano, na frejce, którzy dorywczo najmowali się do pracy, zależnie od popytu na ich ręce. Tych położenie najtrudniejsze było. Nieco lepiej mieli się tacy, którzy mieszkali "pod panem" ale za to też pracować musieli od wczesnego rana aż do późniego wieczora. Choć wyraźnego głodu nie było, to jednak stopa życiowa u nich jak również i u rolników była bardzo niska. Ale i nieliczni rzemieślnicy nie łatwy mieli byt, zmuszeni byli za marną zapłatę posługiwać się, jak krawcy i szewcy, ręczną robotą. Maszyn jeszcze wówczas nie znanp. I moja matka cały wolny czas spędzała przy krosnach, wyrabiając płótno i inne samodziały na odzież. Len moczono, czesano i przygotowywano do oprzędzenia. Olej wytłaczano sposobem domowym, na co zwykle poświęcać należało całą noc, co nam dzieciom sprawiało szczególną radość.

Jedynym środkiem lokomocyjnym był wóz. Nie znano wówczas jeszcze ani rowerów, nie mówiąc już o motocyklach, samochodach. To też warunki życiowe ludności naszej były bardzo jeszcze prymitywne. Jeżeli pamięcią sięgnę do owych czasów i porównam je co warunków dzisiejszych, to stwierdzić muszę, że ludzkość na przestrzeni tych kilka dziesięciu lat w technice, mechanice i w wynalazkości swej poczyniła oszałamiające postępy. Ale już i wówczas marzenia ludzkie i fantazja ludzka wybiegały daleko w przyszłość. Powtarzano sobie w oparciu o Sybilskie przepowiednie, że przyjdzie czas, kiedy wozy będą "latać" bez koni, a ludzie pływać po powietrzu jak ptaki. Ziściły się te i inne jeszcze przewidywania. Ileż to dziś udogodnień i wygód, udoskonaleń dla życia ludzkiego, ale czy dziś ludzie są lepszymi i szczęśliwszymi niż wówczas, nie chciałbym na to dać twierdzącej odpowiedzi. Ta myśl jednak nasuwa mi się przy tym opisie, jak nie nasycony jest duch ludzki i niepohamowany w swych wzlotach i pragnieniach. Dziś, kiedy opanował lądy, morze, powietrze, sięga po księżyc, planety i gwiazdy. - I na czym on się wreszcie zatrzyma ?

Położenie polityczne.

Nie każdy zapewne wykazać się może tym, że aż trzykroć był chrzczony. A to właśnie wydarzyło się mnie. Stało się to dla tego, że na świat przyszedłem w czasie t.zw. Kulturkampfu. W parafii radomskiej nie było księdza. Po raz pierwszy ochrzcił mnie lekarz - niejaki Dr.Sumiński - w obawie, że niebawem zamknę oczy na światło dzienne, które po raz pierwszy cocopiero ujrzałem. Jednak nie nastąpiło to. Wbrew przewidywań lekarza utrzymałem się przy życiu. Lekarz nadał mi imię Adam. Po kilku dniach zaniesiono mnie do kościoła, gdzie po raz drugi w braku księdza chrztu dokonał organista, nadając mi imię Marian, jako że urodziłem się w święto Zwiastowania Matki B. A kiedy już skrzepłem, zawieziono mnie do sąsiedniej parafii. I tam otrzęsłem chrzcielnych dokonał na mnie ówczesny proboszcz, Schlegel, którego później nieraz spotkałem już jako ksiądz. Tu mi nadano imię Józef Marian i takie też zapisane zostało w księdze chrztu. Nie tak więc gładko i spokojnie zapoczątkował się bieg mego życia i takim też pozostał nadal. Kulturkampf niebawem się skończył, ale tylko z kościołem katolickim, walka o wynarodowienie ludności polskiej w b.zaborze pruskim trwała dalej. Zgodnie z przysłowiem, że na złodzieju czapka gore, Prusacy w nieustannej obawie żyli, że te przy rozbiorach Polski zagrabione bezprawnie ziemie polskie kiedyś zwrócić będą musieli prawemu właścicielowi t.j.Polsce. Widmo możliwości wskrzeszenia rozdartej na kawały Ojczyzny wciąż ich prześladowało. Chcieli się więc przeciw tej ewentualności na wszelki sposób zabezpieczyć, a przede wszystkim przez wykarcie ludności polskiej nowy ojczystej oraz pozbawienie jej wszelkiej świadomości przynależności do macierzy z równoczesnym podkopywaniem jej bytu materialnego celem zmuszenia jej do rozproszenia się po całej Rzeszy i rozpłynięcia się w morzu germańskim. Nad wykorzenieniem języka ojczystego u ludności polskiej pracowała szkoła, wojsko i cały aparat admini-

stracyjny. Z tym samym natężeniem zabiegano, by nie dopuścić do jakiejkolwiek duchowej łączności z resztą narodu. I faktycznie osiągnięto w okresie przeszło stuletniej niewoli, nie dopuszczając ludności polskiej do jakiejkolwiek możliwości zapoznawania się z dziejami narodowymi, że świadomość narodowa u nas na Pomorzu w szerokich warstwach społeczeństwa polskiego zanikła, a przede wszystkim po wioskach. Najlepszym dowodem chociby moja osoba. Żyłem przecież w dość ludnej wiosce, w obszernej parafii, gdzie proboszczem był ksiądz, gorliwy patriota, pilnujący gorliwie, by każde dziecko uczęszczające na naukę przygotowawczą umiało po polsku czytać, krzewiąc rozmaite pisma religijne w języku polskim, mimo, że w 12 roku życia wyszedłem z środowiska wiejskiego i byłem w mieście powiatowym przez 5 lat, uczęszczając tam do gimnazjum przyczym przez 2 lata mieszkałem w domu szlacheckim, polskim, gdzie pielęgnowano tradycje polskie, mimo wszystko nie miałem pojęcia, co to Polska, co Polak, aż dopiero w Chełmnie, gdzie przystąpiłem do rekolekcji, wtedy dopiero otworzyły mi się oczy, przejrzałem. A skąd czerpać mógł uświadomienie narodowe, znajomość dziejów ojczystych szary człowiek, kiedy jeszcze wówczas nie były znane po wioskach gazety polskie ani żadne inne książki prócz religijnych. Byłem w roku 11. i 12. ministrantem, obchodziliśmy podczas kolędy każdy dom, ale nie przypominam sobie, byśmy gdziekolwiek zastawali gazetę polską. Nie wiedziałem w ogóle, jak taka rzecz wygląda, a również i podczas całego mego pobytu w Nowym Mieście nie spotkałem się z gazetą polską. Pewne, że duch polski i uświadomienie narodowe na Pomorzu żyły i płonęły już wówczas, ale tylko w pewnych środowiskach, szerokie warstwy ludności polskiej jednak na naszych terenach były wówczas pozbawione i jego blasku i jego ciepła. Jeżeli jednak polskość na Pomorzu w czasach takiego bezwładu narodowego nie zanikła, zawdzięcza to w pierwszej linii przynależności ludności polskiej do kościoła kat.w cieniu

kościoła kat. utrzymywał się język polski i chociaż nie wyraźnie duch narodowy, to jednak odrębność narodowa. Co katolik to i Polak, a co luter to Niemiec, to utożsamianie wyznania z narodowością, wychodziło na korzyść sprawie polskiej, tworząc stanowczy rozdział między jedną i drugą narodowością. Gdyby nie to, gdyby nie ta odrębność wyznaniowa, jakże łatwo Polacy, zwłaszcza na Pomorzu, mogli byli podzielić w czasie tej stagnacji uświadomienia narodowego los Mazurów. Miało to jednak i tę niedobrą stronę,że lud prosty za Polaków uważał i katolików mówiących po niemiecku. Nie wystarczyło jednak zaborcy odebranie ludności polskiej jej mowy i zdeprawowania jego ducha, chciał ponadto jeszcze przez wykup ziemi usunąć jej grunt z pod nóg i w ten sposób zmusić ją do opuszczenia jej. W tym celu utworzył t.zw.komisję kolonizacyjną. Do czego ona zamierzała, jaki cel ona sobie wytknęła, mogła się tutejsza ludność i ja z nią, jeszcze nim poszedłem do gimnazjum, przekonać niebawem. W obrębie parafii było 7 większych majątków ziemskich, z tych tylko jeden znajdował się w rękach polskich, a mianowicie rodziny Chrzanowskich,cryńliny. był to majątek znaczny. Ile wynosił jego obszar, nie pamiętam, ale napewno duże ponad 500 hektarów. Chrzanowscy to bardzo uczciwi, zacni i bogobojni ludzie, żyli skromnie, a robotnicy i służba sobie u nich chwaliła. Pani Chrzanowska i w co dzień przyjeżdżała na mszę św.i dużo usług czyniła dla kościoła. Byli to gorący patrioci. Z opowiadań ojca pamiętam, że podczas powstania styczniowego wydatnie angażowali się materialnie na rzecz powstania oraz użyczali u siebie azylu powstańcom, którzy przedarłszy się przez kordon szukali w rodzinach polskich opieki i pomocy, by się przedostać do Francji. W ten sposób się poważnie zadłużyli. Nastały czasy dla rolnictwa ciężkie,Chrzanowscy popadli w trudności płatnicze i podano ich majątek na publiczny przetarg, na którym nabyła go Komisja Kolonizacyjna,następnie go rozparcelowała i utworzywszy tam obszerną osadę, osiedliła na niej samych niemców protestantów.Zbudowano kościół luterski, sprowadzono pastora, jak również szkołę i nauczycieli luterskich. W ten sposób parafia radomska

skurczyła się o likaset dusz, a ludność tamtejsza miała dotkliwy dowód, ku czemu szły zamierzenia i dążenia rządu ruskiego. Państwo Chrzanowscy wyszli z tej sprawy literalnie z torbami. Nawet mebli nie pozwolono im wywieźć. Pani Chrzanowska nie mogła przeżyć tego strasznego ciosu. Następnej po licytacji niedzieli, pożegnawszy się czule z domownikami, udała się do kościoła. Przed sumą wstąpiła do plebanii, tam zasłabła, została zaopatrzona i w krótce potym umarła. Powiadają ogólnie, że się otruła. Tajemnicę o tym zabrał ze sobą miejscowy proboszcz, ks. Batko. Tragiczny los p. Chrzanowskich budził powszechne współczucie oraz oburzenie przeciw tym, którzy byli jego sprawcami. Jeżeli, jak wynika z mego opisu, duch polski w czasie tych lat chłopięcych w szerokich masach ludności znacznie się w pewnego rodzaju [marazmie] i uśpieniu, to już po upływie lat kilku nastąpił zupełny pod tym względem przewrót. Widząc się zagrożonym w swych podstawach życiowych i duchowych lud polski na naszych terenach otrząsnął się ze swego bezwładu i stanął do obrony tego, co mu było najdroższym, wiary ojców, mowy ojców i ziemi ojczystej.

S z k o ł a .

Kiedy miałem lat 7, ojciec zaprowadził mnie do szkoły. Nauczycielem w tym oddziale był niejaki Błędzki, dość sympatyczny i miły młody człowiek, posługujący się jeszcze wówczas w rozmowie z ludźmi językiem polskim, czego później już nie było, ponieważ władze im tego zakazywały. Tu też jeszcze uczono religii w języku ojczystym, ale tylko na najniższym oddziale. Raz, drugi i trzeci zaprowadził mnie do szkoły ojciec. Ale kiedy się zreflektowałem, że tak ma być stale, siedzieć cicho w ławce i uważać, zbuntowałem się i oświadczyłem stanowczo, że do szkoły więcej nie pójdę. Trzeba było mnie płaczącego przez długi czas zaprowadzać do szkoły. Powoli się jednak oswoiłem i następnie już sam do niej uczęszczałem, choć nie mogę powiedzieć, że z chęcią i radością. Szkoła bowiem wówczas niczego zachęcającego i umysł chłopca zaciekawiającego i podniecającego nie dawała. Wprawdzie jeszcze religię i to tylko historię biblijną, uczono w języku ojczystym, ale za to wszystko inne w języku niemieckim, obcym, niezrozumiałem. Wszystko tedy trzeba było wkuwać na pamięć. W ten sposób szkoła ucznia raczej ogłupiała niż oświecała. Nie mogł bowiem nawiązać wpajania uczniom wiedzy do pojęć i wrażeń i wyrazów, im już znanych, bo wyniosłych z domu rodziców, trzeba było dopiero marnować tyle czasu, energii i poświęcać tyle trudu, zamęczając przy tym umysł uczniów, by im wpoić w pamięć coś im obcego, aby dopiero na tej podbudowie móc rozwijać wiedzę. Po dwuch latach przeszedłem do innej szkoły, gdzie jej kierownikiem był niejaki Derkowski, weteran z wojny prusko-francuskiej, człowiek wielce porywczy i gwałtowny. Czuł on również po polsku, ale się w tym wielce krył. Tu już wszystko, nawet nauka religii, było w języku niemieckim. Nie bardzo mu się chciało nauczać, tym bardziej, że nauczanie, wpajanie wiedzy, w języku uczniom niezrozumiałym, to syzyfowa praca. A do tej nie miał on wielkiej ochoty. Nie chciało mu się też uczniom tłumaczyć, wyjaśniać. Wyznaczał im tylko z podręczników ustępy, które się mieli wyuczyć na pamięć,

a również i w rachunkach bez wyjaśnień zadawał tylko zadania do rozwiązania. I rzeczą ucznia było łamać sobie głowę nad ich rozwiązaniem. Nie chciało mu się też zadawać sobie trudu, by uczniów przeegzaminować, czy umieją czy nie. Wyręczał się w tym zdolniejszymi uczniami, którzy go w tym zastępowali. Ci przesłuchawszy tedy swych wyznaczonych współuczniów, podawali mu tych, którzy nie umieli albo nie rozwiązali zadania. Wtedy kij się miał w robocie. Żaden dzień, bo żadna lekcja bez kija się nie odbyła. A walił zwykle z całych sił, a chłopisko to było silne. Nie raz po takiej egzekucji, gdy strasznie pokieroszowany uczeń wrócił do domu, rodzice udawali się z nim do lekarza, aby mieć podstawę do wytoczenia procesu srogiemu pedagogowi. Ale zwykle nic z tego nie wychodziło, bo miał on szerokie plecy u inspektora szkolnego. A czy inspektor szkolny, który od czasu do czasu przychodził na wizytację szkoły, nie orientował się w miernocie pedagogicznej owego kierownika szkoły ? Nie, nie. Umiał on bowiem nadrabiać różnymi chwytami. Przede wszystkiem umiał on czarować inspektora recytatami przez uczniów wkutych wierszów patriotycznych, ustępów prozy i śpiewami patriotycznymi pieśni. Wtedy olśniony inspektor aż po brzuchu się głaskał od błogości, że aż taki patrictyczny duch panuje w szkole. Razu pewnego jednak ta tak dobrze wyreżysowana sztuka zawiodła, nie klapowało jakoś. Inspektor szkolny nie mógł ukryć swego gniewu. I wtedy kierownik szkoły mu coś szepnął do ucha. I od razu inspektor, Lange nazwiskiem, stał się czerwony jak burak i całą swoją złość wyładował na Bogu ducha winnym proboszczu za to, że wypożycza polskie książki rodzicom, a ci dają je do czytania dzieciom, na skutek czego te zaniedbują czytania niemieckich książek z biblioteki szkolnej i nakazał nauczycielowi, by zmusił każdego ucznio do przeczytania tyle a tyle książek i streszczenia na piśmie ich treści. Oczywiście i na to znalazła się rada. Jeden i drugi rodzic znał jako tako język niemiecki, pomógł więc do krótkiego opisu treści tej książki, a inni potym poodpisywali.

Czy umierający dają o sobie znać tym, których kochają?

Liczyłem wówczas lat 9, może 10, ale pamiętam wydarzenie to żywo, w najdrobniejszych szczegółach. Była w domu rodzicielskim służąca. Nazwiska jej już nie pamiętam, ale na imię jej było Basia. Była poczciwą, obowiązkową, sumienną dziewczyną. Bardzośmy ją wszyscy lubili i poważali. Pochodziła aż z Liczbarka miasta, oddalonego conajmniej 70 klm. od naszej wioski. Jak ona się przy ówczesnej marnej komunikacji kolejowej aż tudotąd znalazła, trudno mi zrozumieć. Pewnego dnia, a raczej rano, miała niesamowity wygląd. Strasznie była blada, silnie podsinione oczy, od razu podpadła matce. Zatroskana pyta ją - byłem tego świadkiem: "Basiu, na Boga, jak Ty wyglądasz ? Co Tobie jest ? Czyś Ty aby nie chora ?" Chwilę Basia się namyślała, potym jednak wyznała, co ją w nocy spotkało. Spała ona w osobnej izdebce. "Ach Pani, powiada, co ja dziś w nocy przeżyłam. Otóż zapaliłam świece, uklękłam i poczęłam odmawiać pacierz. Okno było zamknięte i okiennice również, jako i drzwi. Najmniejszego wiatru ani przewiewu nie było, a jednak świeca mi zgasła, jakoby ktoś na nią dmuchnął. Zapaliłam drugi raz i znów to samo, po raz trzeci i znów to samo. Przerażona rzuciłam się w ubraniu do łóżka i zaczęłam się otulać pierzyną i przy tym wyraźnie namacałam już zimną, ale potem oblizgłą głowę. Wystąpił na mnie od strachu również zimny pot. Przykryłam się i na głowę pierzyną i wreszcie zasnęłam." Matka ją pocieszała, tłumacząc jej, że to pewnie jakieś przywidzenie, że sen to mara, aż trzeciego dnia poszliśmy z Basią do lasu na grzyby. Wracając już późno po południu do domu, mijaliśmy dom, w którym mieszkał listonosz - pamiętam jeszcze dobrze jego nazwisko - nazywał się Zamorski. Gdy nas przez okno zauważył, wyszedł nam naprzeciw trzymając w ręku coś białego. "Basiu, odzywa się, mam dla Ciebie pocztówkę. Właściwie powinienem był Ci zanieść do domu, ale zawieruszyła mi się w fałdach mojej torby i dopiero przyszedłszy do domu spostrzegłem ją. Ale smutna ona Ci przynosi wiadomość. Twoja matka umarła". Kiedyśmy stwierdzili dzień i godzinę

śmierci, właśnie to zjawisko wypadło dokładnie w tym samym czasie. Nie można tu znaleźć innego jego wytłumaczenia jak to, że intenzywne myśli i tęsknota umierającej matki za swą córką trafiły do niej, choć za życia nigdy ona w tych stronach nie była. Ja podobnych wydarzeń w mym życiu nie doznałem, ale nasłuchałem się o nich tak często z ust innych i to ludzi wiarygodnych. Zwykle przechodzi się nad takimi zjawiskami do porządku dziennego albo przyjmuje się je zwykle z pewnym niedowierzaniem lub puszcza opowiadania takie w niepamięć, mimo je opisywać i utrwalać w pamięci. Ludzkość dziedzinie materii wyrwała oszałamiające tajemnice, mimi to, że po rozbiciu atomu materię można zamienić na energię, co już oznacza w pewnej mierze jej uduchowienie, czyż nie godziłoby się skupić i uwagę na takie zjawiska, które ścigać się zdają w dziedzinę metafizyczną ?

Zwrot w moim życiu chłopięcym.

Moim ukrytym marzeniem chłopięcym było pójść do gimnazjum i zostać księdzem. Nie zrodziło się ono bynajmniej z pobudek głębszych i podnioślejszych, a zupełnie prozaicznych i przypadkowych. Mój kuzyn, Franek Dembek, z rodziny Dembków bowiem pochodziła moja matka, był w gimnazjum w Lubawie. Kujostwo mieszkali w [illegible]ach za Biskupcem Pomorskim. Wobec braku odpowiedniej komunikacji kolejowej, mój wuj przywoził go każdorazowo do nas, skąd następnie ojciec, również wozem, odwoził go do Lubawy. Zwykle ojciec zabierał mnie również ze sobą. Tu miałem możność obserwować, w jak dla mnie zgoła nieznanych warunkach żyją gimnazjaści. Widziałem, że mają piękne, kolorowe kulki szklanne, piłki gumowe, inne przedmioty zabawkowe, nawet pistolety. Tego wszystkiego ja w domu nie znałem. To mnie zupełnie oczarowało. Na domiar do stołu podawano nam takie smakołyki, jak osłodzony gęsty ryż obsypany cynamonem, rozmaite ciastka, specjały, jakich moje podniebienie aż dotąd nie zasmakowało. Mój kuzyn kiepskie czynił w nauce postępy. Wuj gorzko się na niego skarżył, że się nie chce uczyć. To mnie znów w głowie pomieścić się nie chciało, że ktoś, mając tak rozkoszne warunki, może się nie chcieć uczyć. Myślałem sobie: "Jaki też ten Franek głupi, że się nie chce uczyć, gdybym to ja był na jego miejscu, już ja bym się uczył choćby dniem i nocą". Nieśmiało się też wynurzałem z tych moich marzeń ojcu, ale ten mnie za każdym razem ofuknął: "Wybij Ty sobie takie głupstwa z głowy, jego ojciec może sobie na to pozwolić, ale nie ja biedak." W tym też czasie, kiedy byłem ministrantem, wydarzyły się w naszej parafii prymicje. Obserwować więc mogłem całą odnośną liturgię i ceremonie. Zaimponowała mi przedewszystkim ta cześć, z jaką przy tych obrządkach otaczano neoprezbytera. Odruchowo zrodziła się u mnie myśl, żeby też zostać księdzem. Ale nie tylko u mnie. Mój o trzy lata młodszy brat, już też był ministrantem, tylko że stosownie do swego

wieku głupszym był jeszcze odemnie. Ja już zdawałem sobie sprawę, że zostać księdzem, to nie tak łatwo i tak prędko. Jemu natomiast zdawało się, że może nim od razu zostać, byle miał tylko na głowie takie gniazdko, jak ten neoprezbyter. To też wróciwszy z kościoła do domu poszukał nożyczek i zaczął sobie gniazdka robić na głowie do tego stopnia, że, kiedy matka to zobaczyła, z przerażenia załamała ręce i wybuchła: "Ty smarkaczu, jak ty z taką pokiereszowaną głową pójdziesz teraz przed ołtarz ? Poczekaj no ! Tyś sobie wykrajał tonsurę, a ja ci teraz dam święcenie." I porządnie go przetrzepała. No, mój brat księdzem nie został ani mój kuzyn, którego mój wuj dla złych postępów po trzech latach odebrał z gimnazjum, natomiast moje chłopięce marzenia, choć zrodzone z pobudek przyziemnych, się ziściły.

Poszedłem i do gimnazjum i zostałem księdzem.

Do gimnazjum.

W 12 roku życia zacząłem uczęszczać na naukę przygotowawczą do Sakramentów św. Widocznie moimi odpowiedziami podpadłem ks.Batkemu, bo oto pewnego dnia zawezwał mego ojca do siebie i oświadczył mu: " Ten chłopak ma talent, szkoda, żeby go zmarnował.On powinien pójść do gimnazjum, a nie zostać gburem." Na to ojciec: "Jak ja go mogę posłać do szkół ? Skąd ja na to wezmę pieniędzy, na jego utrzymanie ? A przytym ja chorlak,tylko czekam na niego, żeby opuścił szkołę, żebym miał z niego pomoc." Ale ks. Batke zaczął mu perswadować, że on mnie pośle do gimnazjum biskupiego. Tam nie kosztuje tak dużo, a on będzie dopomagał. "Niech no Pan go do mnie przyśle, ja go jeszcze lepiej wypróbuję". No i posłałem. Dał mi łacińsko-niemiecką gramatykę i ćwiczenia łacińsko-niemieckie i kazał mi się na pierwszą lekcję nauczyć przez wszystkie przypadki liczby pojedyńczej i mnogiej "mensa der Tisch".Byłem jakby w ekstazie. Takie ładne książki i jeszcze od księdza i po łacinie ! Chowałem je jakby najcenniejszy skarb.Na noc kładłem pod poduszkę pod głowę, żeby mi to lepiej szło do głowy. Wykułem na pamięć mensa i laudo,laudas i sporo wokabuł i teraz kazał mi obracać nimi i operować w tłumaczeniu. I tu go spotkał zawód. Tu mój rzekomy talent nie dopisywał. Nie mogłem sobie z tym dawać rady przy tłumaczeniu zwłaszcza niemieckich zdań na łacinę. Ale bo też,czy ja wiedziałem co to jest zdanie,podmiot, orzeczenie, przedmiot, rzeczownik, czasownik,przymiotnik i t.p. ! Kiedy to wszystko było dla mnie tabularasa ! Ks.Batke jednak tego wyrozumienia nie miał,brał to za brak zdolności, co było jedynie winą szkoły. Zabrakło ks.Batkemu cierpliwości. Zwątpił więc w moje zdolności, kazał znów ojca przywołać do siebie i oświadczył mu:"On do Pelplina nie pójdzie, jego tam nie przyjmą".Zmartwił się tą wiadomością wielce mój poczciwy ojciec i wstyd go ogarnął tym bardziej, że już się rozgłosiło po ludziach że idę "na księdza". Obudził się w nim wrodzony jego upór i ambicja. To też wróciwszy do domu oświadczył mej

matce: "A właśnie on pójdzie, choćby nie wiem co." A ponieważ mój ojciec nie miał zaufania do swych znajomości języka niemieckiego na tyle, by się mógł za jego pomocą porozumieć z dyrektorem gimnazjum co do mojego przyjęcia, poprosił wymienionego poprzednio kierownika szkoły, by go w tym wyręczył. Pojechałem więc z nim do Nowego Miasta. Dyrektor jednak wybadawszy mnie oświadczył kierownikowi szkoły, że mnie przyjąć nie może, jako że brak mi wszelkich podstaw do szkoły tj. do pierwszej klasy gimnazjalnej. Mógłby mnie najwyżej przyjąć do klasy przygotowawczej, do septymy, ale na to jestem już za "stary". Wtedy nauczyciel wziął się na prośbę, wprost na błaganie, żeby mnie choć tylko przyjął na próbę. A może ja jednak te braki wyrównam. I w ten sposób przyjął mnie Dyrektor warunkowo do 1. klasy gimnazjalnej - pa stw. progimnazjum w Nowym Mieście. A jak się do tego ośmieścił ks. Batke ? Obraził się o to śmiertelnie, że mój ojciec zadecydował o moim losie bez porozumienia się z nim i wbrew jego radzie. Był to kapłan zacny, pobożny, wielki asceta, filantrop, gorący patriota, dobry kaznodzieja, ale przytym i nie mały dziwak, bardzo kapryśny, łatwo obrażliwy i autokrata. Za to, że się go nie radzono, wykreślił mnie całkowicie ze swych względów. Był on znany ze swej dobroczynności dla młodzieży kształcącej się. Kilku, czy nawet kilkunastu uczniom w gimnazjach stale użyczał stypendiów i to ze względów patriotycznych. Mimo bardzo ciężkiego położenia materialnego moich rodziców mnie się od niego nie dostał ani grosz. Ignorował mnie zupełnie. Kiedy z pierwszą otrzymaną cenzurą w sekscie udałem się do niego, by mu ją pokazać, choć były oceny prawie wszystkie "sehr gut", nie wziął jej w swe ręce wcale, tylko kazał mi z nią pójść do Berkowskiego. Dopiero w wyższych klasach się nieco zainteresował moją osobą, ale i wtenczas, choć moja matka była wdową, jego ręka dla mnie była zamknięta. Nie miałem jednak do niego później żadnego żalu, wiedząc, ile dobrego czynił on dla innych, jak również dla sprawy polskiej. Później, kiedy już byłem w seminarium duchownym, stosunek ks. Batkego do mnie stawał się coraz życzliwszy, choć i tu żadnej materialnej pomocy od niego nie miałem.

W gimnazjum.
Jak powstało państwowe progimnazjum w Nowym Mieście ?

Kiedy rozpoczął się nowy rok szkolny, zawiózł mnie ojciec wozem do Nowego Miasta, do gimnazjum. Było to po Wielkiejnocy r.1891. Progimnazjum w Nowym Mieście wzięło swój początek od prywatnego gimnazjum w Kurzętniku, oddalonego o 4 klm. od Nowego Miasta. Założył je ówczesny proboszcz w Kurzętniku, ks.Hundt. Oddało ono pewne usługi sprawie polskiej, gdyż wyszedł z niego pewien zastęp inteligencji polskiej, w tym kilku księży. Jaki tam duch panował, dowodem tego, że aż 6 jego uczniów wzięło udział w powstaniu 1863. Uczniem jego też był sławny poeta kaszubski Hieronim Derdowski. Kurzętnik, mała mieścina, przeżywał wtedy swój złoty wiek. Na górze Kurzętnickiej jeszcze dziś sterczą mury zamkowe. Zamek ten należał swego czasu do kapituły chełmińskiej. Przez Kurzętnik też przechodził Król Jagiełło ze swym wojskiem na wyprawę przeciw Krzyżakom w r.1410. Jednak w dalszym rozwoju tego zakładu naukowego ks.Hundt zabrnął w długi, z których nie mógł się wywiązać. Wytoczono mu proces. O ile mi się zdaje, miał on się odbyć w Bydgoszczy. Ks.Hundt bawił wówczas w Koronowie pod Bydgoszczą.Przed terminem sądowym ten zasłużony kapłan popełnił samobójstwo zażywszy trucizny.Odnalazłem to będąc wikarym w Koronowie w księdze umarłych. Po jego śmierci rząd pruski przejął spuściznę po denacie, przenosząc zakład do Nowego Miasta. Kurzętnik na skutek tego podupadł szybko, schodząc do rangi wioski, podczas gdy Nowe Miasto na tym zyskało. Państwowemu progimnazjum zastrzeżono charakter katolicki. Miało to przynajmniej to znaczenie, że każdorazowym dyrektorem był katolik.

Po przyjeździe do miasta zwrócił się ojciec do dyrektora, żeby mu wskazał jakąś stancję dla mnie. Tenże polecił mu jakąś niemkę-luterkę, tłumacząc mu,że chodzi o to, bym się tam łatwiej poduczył języka niemieckiego. Pewno, że co do tego miał słuszność i ojciec

może by też i poszedł za tą radą, ale cóż, kiedy żądała ona 7 talarów za każdy miesiąc i za wakacje również.A tu ojciec, który jako zaopatrzenie dla babki prócz naturalii płacić musiał miesięcznie 10 talarów - skąd miał wydobyć jeszcze tyle pieniędzy dla mnie. To też szukał jak najtańszej stancji i znalazł ją u niejakich Pankiewiczów, którzy posiadali gospodarstwo rolne, które im dostarczało żywności. To też zgodzili się na 6 talarów i bez opłat za wakacje. Na tej stancji nie byłem ja sam. Było prócz tego jeszcze 2 kolegów: niejaki Kalisz- już w kwincie, a drugi Kroplewski już w kwarcie. Ja tedy byłem najmłodszym sztubakiem, a kiedy po trzech latach doszedł jeszcze jeden, mój kuzyn, Tychnowski, było nas 4. I dziwna rzecz, wszyscy zostaliśmy księżmi. Wszyscyśmy dożyli też sędziwego wieku, prócz ks.Kroplewskiego, który zagazowany w obozie w Dachau poniósł śmierć męczeńską. Pankiewicze mieli jeszcze u siebie najmłodszego syna, który już atoli uczęszczał do 7-mej klasy gimnazjalnej, do wyższej sekundy.I ten też został księdzem, tylko że był duszpasterzem w diecezji poznańskiej.

Mimo, że z takim zapałem jechałem do gimnazjum, kiedy ojciec jednak końmi zawrócił w kierunku domu, taki mnie żal schwycił, że pobiegłem za wozem, by wracać znów do domu. Wtedy ojciec podciął konie, a ja z bekiem wróciłem na stancję. Rychło się jednak uspokoiłem,kiedy mnie moi koledzy zainteresowali swym opowiadaniem o życiu w szkole i po za szkołą, o rozmaitych rozrywkach i zabawach i przyjemnościach życia gimnazjalnego.

Życie w szkole i poza szkołą.

W tych czasach jeszcze nie było takiej animozji przeciw Polakom jak później, jednak ogólną tendencją było germanizowanie uczniów Polaków. Zakaz mówienia po polsku w klasie, na dziedzińcu oraz nieustanne wbijanie do głowy, żeby i poza szkołą posługiwać się językiem niemieckim, wciskanie niemieckiej lektury miało służyć celom germanizacyjnym. Nie mówiono oczywiście o tym uczniom, ale uzasadniano to względami na dobro uczniów. "Po co wy macie mówić po polsku ?, tak zwykle tłumaczono, wszak to wy już umiecie. Zresztą wam tu w szkole nic to nie pomoże. Wasze powodzenie w szkole i postępy zależą tylko od dobrej znajomości języka niemieckiego". Takie podszepty robiły swoje. Wywoływały bowiem powolne lekceważenie sobie mowy ojczystej, tymbardziej, że nie mieliśmy żadnego uświadomienia narodowego, choć mimo to niezdolne były wyrugowywać mowy ojczystej, do której przywykliśmy od lat dziecięcych i której używało całe otoczenie poza szkolne. To też mimo zakazu język polski i w klasie podczas przerw i na dziedzińcu szkolnym rozbrzmiewał nieustannie. Dyrektorem zakładu był niejaki Preuss, później przeniesiony do gimnazjum w Chełmnie. Był to człowiek nie zły, nie uprzedzony do Polaków. To też rozmawianie uczniów tak w przerwach w klasie czy na dziedzińcu szkolnym profesorowie zwykle puszczali mimo uszu. Najwyżej od czasu do czasu krzyknęli: "Ihr sollt nur deutsch sprechen". Gospodarzem klasy był niejaki Vollbrecht. Miał tylko jedno ucho, drugie stracił we wojnie prusko- francuskiej, które mu widocznie pałaszem odciął jakiś Francus. Był to Niemiec i Luter. Miał lekcje języka niemieckiego i łaciny. Jak w ogóle, tak u niego szczególnie bicie było na porządku dziennym. Nauczycielem religii był w moim pierwszym roku szkolnym ks. Schapke, który już następnego roku został proboszczem w Nowym Mieście. Był to kapłan zacny. Choć z pochodzenia niemcem, był dla polskich parafian wielce sprawiedliwym. Głośna była jego odpowiedź, jaką dał delegacji niemieckich katolickich urzędników, którzy się jeszcze

o więcej kazań w niemieckim języku zwrócili:"Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną, niż ja pozwolę na takie wasze żądanie niczym nie usprawiedliwione". Była jeszcze wówczas fakultatywna nauka języka polskiego, ale uprawiana była w taki sposób, że żadnej korzyści uczniom nie dawała. Nauczycielem był niejaki Heidrich,Ślązak, władający słabo językiem polskim. Posługiwał się podręcznikiem autora Peplinskiego, zawierającym ćwiczenia z niemieckiego na język polski i odwrotnie, tak jak dla początkujących uczenia się języka polskiego. Przytym wymowę miał chydną. Dyktował n.p. tak:" Ja pyję słodkie pywo". Takie traktowanie języka ojczystego mogło chyba służyć tylko do jego poniżenia i zlekceważenia.

Większość uczniów stanowili Polacy - mniejwięcej 2/3 - reszta to Niemcy i Żydzi. Żydów było sporo, ponieważ prawie wszystkie sklepy i restauracje znajdowały się w rękach żydowskich, jednak pomiędzy uczniami jakichś antagonizmów narodowościowych nie było. Natomiast z profesorami nic nas poza lekcjami nie łączyło. Byli nam zupełnie obcymi już choćby dla tego, że mówili odmiennym od naszego językiem. Dla tego też i nauka religii była nam obojętna. Traktowaliśmy ją tak samo jak każdą inną lekcję. Wykładana nam w innym języku niż w tym, którymśmy z domu rodzicielskiego wynieśli nie trafiała nam do serca.

Bodźcem dla mnie, że się rwałem do gimnazjum, były te "cuda", jakie oglądałem u mego kuzyna w Lubawie. By je również mieć, gotów byłem pilnie i gorliwie się uczyć. Teraz już to, o czym tak pożądliwie marzyłem, osiągnąłem. Moi koledzy przecież również byli w posiadaniu i pięknych kolorowych kulek i piłek i o szczyt szczęścia ! , nawet autentycznego pistoletu, no i wiele jeszcze innych przedmiotów rozrywkowych. W domu rodzicielskim zabawiania się razem z innymi dziećmi, wesołego, beztroskiego hasania nie znałem zgoła. Tu możliwości ku temu miałem sporo i bynajmniej sobie nie żałowałem wyżywania się w tych wszystkich przyjemnościach, figlach i psotach, jakie dostarczało ówczesne życie uczniowskie w szkole średniej. Świadom jednak byłem,że nie po to mnie rodzice posłali, bym się tam bawił, ale bym się uczył, jako i to, że zo-

stałem przyjęty tylko na próbę i że jeżeli tych braków nie wyrównam, zmuszony będę powrócić ze wstydem do domu. To przede wszystkim było powodem, że z całym zapałem przysiadłem do nauki. Tu po raz pierwszy spotkałem się z planową, systematyczną metodą nauczania. A to, że musiałem się uczyć od podstaw, było dla mnie korzystne. Skutki okazały się też niebawem. Pierwsze świadectwa otrzymaliśmy na duże wakacje, które się rozpoczynały w lipcu. Świadectwa były numerowane t.zw. "Rangordnung" według jakości ocen poszczególnych przedmiotów. Jakież było zdziwienie moje, kiedy mnie wręczył ów Vollberk jako najlepsze- nr.I.świadectwo z pochwałą za moją pilność i z uwagą, żebym uzupełnił jeszcze braki z języka niemieckiego. Był to sukces z mej strony nie mały, zważywszy, że większa część uczniów przyszła z szkoły miejskiej, gdzie poziom nauki był znacznie wyższy, a z wiosek przeważnie wpierw klasę przygotowawczą przeszli, a kilku z uczniów, synowie obszarników, mieli nawet guwernerów albo guwernantki. Cała rzecz w tym, że tamci dufni w to, co już umieli, lekceważyli sobie swoje dalsze wysiłki, a ja świadom, że nic nie umiem, całych sił dokładałem, by te braki czymprędzej usunąć. Można sobie wystawić, z jaką dumą i radością wracałem na pierwsze wakacje, zdając sobie sprawę, że świadectwo moje będzie zarazem pewną nagrodą dla rodziców za tak nadmierne poświęcenie. Poszedłem też z tym świadectwem do mego proboszcza, ale nie wziął go ani do ręki, tylko zimno mnie odprawił słowy: "Idź do Twego opiekuna, Derkowskiego!". Ten znów, kiedy je przeczytał, ogromnie się ucieszył i potem na wszystkie strony rozgłaszał, że to jego zasługą, iż mogłem otrzymać takie świadectwo. Taki "Rangordnung" istniał w gimnazjach pruskich aż do ósmej klasy gimnazjalnej. Nie zawsze udawało mi się, utrzymać się na pierwszym miejscu, ale stale balansowałem na trzech najwyższych szczeblach.

W drugiej klasie o w kwincie.
Pierwsza komunia św.

W drugiej klasie wiodło mi się w nauce znów dobrze. Nie utrzymałem się wprawdzie na pierwszym miejscu. Musiałem się zadowolić drugim, ale to już nie było z mojej winy. Rywalem moim bowiem był niejaki Kutschwalski, Niemiec- protestant, a tacy zawsze byli faworyzowani. W drugiej klasie, w czternastym roku życia, przyjęty zostałem do I.komunii św. Nie powiem atoli, żeby to był najpiękniejszym dniem w życiu moim. Powodem tego było, że całe przygotowanie do tej pięknej uroczystości i sama uroczystość odbywały się w języku niemieckim. Aczkolwiek naukę języka polskiego w szkole lekceważyliśmy sobie, to jednak nauka religii w języku obcym raziła nas i była nam czymś obcym. Wszak w domu rodzicielskim wszyscyśmy w dziedzinie religijnej posługiwali się jedynie ojczystym językiem. W nim modliliśmy się, w nim śpiewaliśmy pieśni kościelne, polskie też mieliśmy książki do nabożeństwa, w języku ojczystym też były kazania i nauka w kościele. Jakże trudno się nam było pogodzić z tym, że teraz, kiedy ledwośmy jako tako opanowali język niemiecki, iż trudno nam było zrozumieć, co od nas w religii wymagano, że teraz w tym obcym języku mamy być przygotowani i przyjęci do tej ważnej chwili. To też cała uroczystość tchnęła jakimś chłodem i obcością. A tym bardziej jeszcze przygnębiające wrażenie wywarła ona na moich rodzicach. Wszak matka moja zgoła nic, a ojciec mój też ledwo co jakie słowo rozumiał po niemiecku. A przecież nie tylko dla dzieci, ale również i dla rodziców dzień I.komunii św.należeć powinien do najpiękniejszych i najwznioślejszych chwil w ich życiu. Cóż potym znaczyło, że po uroczystości, ówczesny już nowy katecheta ks.Dr.Teitz, nas uraczył kawą i plackiem i nas poczęstował również kilku zdawkowymi słowy i wręczył nam obrazki pamiątkowe,nam polskim neokomunikantom w obcym języku. Miła nam nie była ani ta kawa ani ten słodki placek, najmniej ten obrazek pamiątkowy,którego, o ile sobie przypominam,rodzice ani w ramki oprawić nie dali, że to w języku niemieckim.

15

Nie dobrze jest zmuszać młodzieży do długich nabożeństw.

Życie jest nauczycielem naszym, albo przynajmniej nim być powinno. Z rozmaitych doświadczeń w nim powinniśmy czerpać wskazówki i naukę dla siebie. Tę prawdę znali już starzy też Rzymianie. A i mnie zaobserbowywane i popełniane i przez wiele innych błędy służyły później ku temu, by ich unikać. Państewicze byli ludźmi religijnymi, pobożnymi. To też i sami gorliwie do kościoła uczęszczali, a i nas do tego popędzali. Mnie do kościoła zapędzać nie było potrzeba, sam chętnie do niego uczęszczałem, przecież już i w domu jeszcze i następnie w gimnázjum przez kilka lat służyłem do Mszy św. Ale tak mnie jak moich kolegów oburzało, że nas wprost wyganiano do kościoła. O ile chodziło o krótkie nabożeństwo, to jeszcze jakoś godziliśmy się z tym, ale w Wielkim Poście w niedziele po południu odbywały się nabożeństwa pásyjne, na które składały się całe Gorzkie Żale, długie kazanie, całowanie Krzyża św. i.t.d., co razem trwało przeszło 2 godziny. Kazania pasyjne wygłaszał O.Bienkowski, prowincjał z klasztoru Łąkowskiego,który po jego kasacji przez rząd pruski osiadł w Nowym Mieście. Jego nauki pasyjne były piękne, ale długie - zwykle całą godzinę trwające. W ten sposób całe nabożeństwo przeszło 2 godziny trwało. W kościele o tej porze roku było jeszcze zimno, a powietrze na dworzu też nie było zachęcające. A nasi gospodarze z nami nie robili wiele ceregeli. Poprostu wypędzali nas na ulicę, zamykali drzwi na klucz z stanowczym rozkazem: "A teraz idźta do kościoła". I myśmy też pewien czas chodzili, choć strasznie nam się dłużyło, bo i cóż mieliśmy począć, gdzie się przez ten czas podziać ? Ale oburzaliśmy się na to srodze, aż nareszcie dojrzało u nas postanowienie odwetu.A mianowicie zostawiliśmy górne okienko od naszej stancji niezamknięte, tylko przymknięte, a kiedy "starzy" poszli do kościoła, Kalisz, który najwięcej miał pomysłowości do rozmaitych figielków, wspiął się na moich plecach, otworzył i dolne okno, a wszedłszy do pokoju, pozatarasowawszy wszystkie drzwi na rygle od wewnątrz, wyszedł tak jak wszedł, przym

mknąwszy znów okno u góry. "Starzy", gdy wrócili z kościoła, napróżno dobijali się do swego mieszkania. Musieli dopiero zawezwać ślusarza, który drzwi wywarzyć musiał, aby mogli dostać się do swego mieszkania. Dopiero późno na kolację wróciliśmy do domu z bijącym sercem, co z tego wyniknie. Ale nic z tego nie wynikło. Napewno domyślali się, kto im tego figla spłatał. Ponieważ jednak nie mieli na to żadnego dowodu, woleli milczeć, a myśmy też milczeli, ale skutek był ten, że już więcej na nabożeństwa takie nas nie wypędzali i drzwi przed nami nie zamykali. To zajście było dla mnie wskazówką, by nie zmuszać młodzieży do udziału w długich nabożeństwach, bo to odnosi skutek wręcz przeciwny od zamierzonego celu, zniechęca młodzież bowiem wogóle do kościoła i do praktyk religijnych. Ucieszyłem się też niezmiernie, kiedy się przekonałem, że Ojciec św. Pius XII ostatnio się odezwał z podobnym apelem do wychowawców i zakładów wychowawczych młodzieży

W roli korepetytora.

Z trzeciej klasy - kwarta - nic specjalnego nie utrwaliło się w mojej pamięci. Życie płynęło mi spokojnie, w klasie wiodło mi się dobrze. Świadectwa otrzymywaliśmy 4 razy do roku, a mianowicie na duże wakacje, na wakacje jesienne, na Boże Narodzenie i Wielkanoc, kiedy kończył się rok szkolny i następowały promocje do wyższej klasy. Balansowałem znów między pierwszym, drugim i trzecim miejscem. Natomiast czwarta klasa - niższa tercja - zaznaczyła się w moim życiu szkolnym kilku wydarzeniami zmiennymi, które wspomnieć pragnę. Z nowym rokiem szkolnym przybył nam na stancję jeszcze jeden towarzysz- mój kuzyn, Leoś Tychnowski, zamieszkały w Rywałdzie w powiecie nowomiejskim. Był to chłopak, który już znacznie przekroczył wiek wyznaczony do przyjęcia do pierwszej klasy gimnazjalnej, a przygotowanie jego szkolne jeszcze gorsze było od mojego. Ledwo że umiał wypisać "Vater i Mutter". To też dyrektor żadną miarą przyjąć go nie chciał. Miał on jednak miękkie serce, które zwykle ulegało usilnym prośbom. Spytał ojca Leosia, dokąd go zamierza umieścić na stancji, a kiedy się dowiedział, że u Kanlewiczów, gdzie jest już jego kuzyn, kazał mnie natychmiast wołać do siebie i oświadczył mi: "On jest bardzo słaby, to też przyjmuję go tylko warunkowo. O ile w pół roku nie dociągnie w nauce, to musi odejść. Ale Ty będziesz mu pomagał, będziesz mu dawał lekcje. Ojcu jego z góry wyznaczę, ile ci będzie za to płacił. Zwykle na udzielanie lekcji współuczniom pozwalam dopiero w szóstej klasie, ale u Ciebie robię wyjątek. Staraj się silnie, żebyś się z tego zadania dobrze wywiązał". Można sobie wystawić, jak dumny byłem z tego polecenia i zaufania, jakie dyrektor we mnie pokładał. To też postanowiłem sobie dołożyć wszelkich moich sił i starania, by z tego tak nieoczekiwanego zadania wywiązać się jak najlepiej. Ale cóż by były znaczyły moje wysiłki, gdyby one nie były padły na podatnię grunt. Tychnowski nie był zbytnio utalentowany, ale za to nadzwyczaj pilny. Ledwo słońce wzeszło, już siadał w łóżku i wykuwał lekcje szkolne, kiwając się przy tym nieustannie. Było ono,

to jest to kiwanie, tak emocjonalnie wykonywane, że utrwaliło się u niego na całe życie. Został również księdzem - w hierarchii kościelnej prześcignął swego ówczesnego przygodnego nauczyciela, został bowiem honorowym kanonikiem, ale czy siedział czy stał w późniejszym życiu stale się lekko kiwał. Dowodziło to tylko, z jaką energią i wytężeniem wbijał sobie wówczas w głowę naukę. Ale też osiągnięcia były nadzwyczajne. W świadectwie na pierwsze wakacje znalazł się na przedostatnim miejscu. W następnym już podskoczył bliżej ku środkowi, a przy końcu roku szkolnego już znalazł się coś na czwartym miejscu u góry dając dowód, czego może dokonać silna, żelazna wola.

do końca. Ale, co się odwlekło, to nie uciekło. Stosowna okazja ku temu znalazła się dopiero w następnym roku szkolnym. A jak to nastąpiło i jakie następstwa pociągnęło to dla mnie opiszę później.

Odwrotna strona

Policzek to kiepski środek wychowawczy.

W czwartej klasie niższej tercji rozpoczęła się nauka języka greckiego. Mnie nauka obcych języków większych trudności nie sprawiała. Trudniej przychodziła mi matematyka. Ale do nauki języka greckiego mieliśmy w tej klasie kiepskiego nauczyciela. Nazywał się Klug - mądry ? ale mądrym to on nie był, a raczej przeciwnie. Dowodem tego, że już porządnie podtatusiały, nie miał jeszcze stabilizacji, a był jeszcze zawsze kandydatem. Wyjaśniał nam na lekcji nieregularne czasowniki greckie. Zwykle orientowałem się dobrze, ale w tym dniu byłem na skutek bólu głowy nie dysponowany i kiedy mnie zawezwał do tablicy, abym wykazał, czy już pojąłem, co wyjaśniał, dawałem nieco konfuzyjne odpowiedzi. Poirytowany tym ten nieopanowany profesor dopadł do mnie i wymierzył mi siarczysty policzek. Odczułem nie tylko fizyczny silny ból, ale jeszcze bardziej moralny, że doznałem niesłusznie takiego despektu. To też w przystępie wielkiego rozgoryczenia rzuciłem kredę o ziemię i natychmiast opuściłem klasę, aby się poskarżyć u dyrektora. Ale dyrektora nie zastałem w gabinecie, był na lekcjach. Poszedłem więc na dziedziniec, usiadłem na ławeczce, oczekując na dzwonek. Kiedy uderzył, spiesznie pobiegłem do dyrektora, do jego gabinetu, zastałem atoli już tam Kluga - wyprzedził mnie. Dopiero kiedy wyszedł, na mnie przyszła kolej. Dyrektor jednak, już przez Kluga odpowiednio urobiony, miast mnie wysłuchać, od razu mnie zaczął obsypywać zarzutami, że prof.Klug był dla mnie tak życzliwie usposobiony, że mi zawsze w greckim dawał jedynki /semr gut/ a ja mu za to odpłaciłem niewdzięcznością, bo opuściłem samowolnie klasę, że policzek był słuszny, bo nie uważałam w klasie i radził mi profesora przeprosić. Wyszedłem z gabinetu jak zmyty, ale we mnie kipiało oburzeniem i uczuciem zemsty. "Ja go mam przeprosić za tak wielką mi wyrządzoną zniewagę i krzywdę? Nigdy w życiu ! Dyrektor mi nie wymierzył sprawiedliwości, to ją sam sobie wymierzę ", tak sobie postanowiłem. Wciąż kombinowałem, jakby tego odwetu dokonać. Spostrzegłem jednak ku temu jakoś nie mogłem znaleźć. I tak dobiegł rok szkolny

"Vaterlandslose Gesellen".-"Bezojczyźniane pachołki".

W niedalekiej odległości od gimnazjum po drugiej stronie drogi, była dość wysoka i stroma góra. Za mych pierwszych lat gimnazjalnych była ona zupełnie goła - niezaśmięta. Stanowiła ona stałe pole zapasów bojowych między młodzieżą miejską, a gimnazjastami. Jak Bóg dał niedzielę, zaraz po południu zaczęła się zbierać na wierzchołku tej góry młodzież miejska, przeważnie ta, która już szkołę opuściła - nagromadziwszy sobie pewien zapas kamieni. A my znów gimnazjaści, uzbrojeni w procę, drewniane pałasze, pałki, łuki jak również z kamieniami w kieszeniach ustawiliśmy się u podnóża tej góry w celu jej zdobycia. Każdorazowo rozwinęła się zaciekła walka. Z okrzykiem bojowym "hurra" wspinaliśmy się mimo sypiącego się na nas gradu kamieni brawurowo po stokach góry ku jej szczytowi. Że tam niejeden oberwał guzy na głowie i ciele, oraz krwawiącą twarz, to się przecież nie liczyło zgoła. Grunt, że nie było wypadku, żebyśmy kiedykolwiek ponieśli klęskę i góry nie zdobyli. Zawdzięczaliśmy to "wyższej naszej technice i strategii wojskowej". Przytaczam to dla tego, aby i na tym epizodzie wykazać, jaki duch czasu tego istniał wówczas nie tylko u młodzieży. Wszak była to dość niebezpieczna gra. Często gęsto ktoś z uczniów tak oberwał, że przez kilka dni nie mógł przyjść do szkoły. Góra ta leżała naprzeciw gmachu szkolnego, skąd mogli profesorowie te bitwy młodociane obserwować, a nie tylko oni, wszak surmy wojenne rozlegały się po całym mieście, ale ani profesorowie ani żandarmeria pruska nie wkraczała w to. Patrzeli na to przez palce. A w duchu pewno radość, zadowolenie i dumę odczuwali z powodu takiego animuszu bojowego, jaki się ujawniał wśród młodzieży. Obiecywali sobie pewnie po cichu, że z takiej młodzieży wyrosną dzielni żołnierze. Bo przecież wiadomo, Prusacy na podbojach urośli w wielkość i potęgę, to też zależało im na tym, by ten duch wojenny już i w młodzieży istniał, rósł i się rozwijał. My jednak, młodzież polska, nie rozumieliśmy tego i uznawaliśmy to jako wielką wyrozumiałość z ich strony dla naszych wojowniczych

zapędów. Taki stan rzeczy trwał podczas mego pobytu w gimnazjum przez trzy lata, dopóki ojcowie miasta nie postanowili tę górę zamienić na park miejski. Uporządkowano ją, porobiono trasy i ganki, zasadzono drzewa i krzewy i postawiono duży, brązowy pomnik Kajzera Wilhelma I. Nastąpiło tedy uroczyste poświęcenie parku. My, uczniowie gimnazjum, naturalnie gremialnie w szeregach zaprowadzeni zostaliśmy na ten uroczysty akt. Ja szedłem w parze z moim kuzynem, Zurawskim, który mieszkał w o 3 klm. oddalonej wiosce Pacółtowo. Jego ojciec miał u siebie jakąś polską biblioteczkę. Coprawda i on nie wiele więcej wiedział o Polsce i Polakach,co i ja, ale nieco więcej odemnie i wiadomości jednak posiadał. Mowę wygłosił znany polakożerca, inspektor szkolny, Lange, o którym już poprzednio wspomniałem. W swoim przemówieniu co chwila powtarzały się z zajadłością wygłaszane zwroty o "Vaterlandslose Gesellen". Ten nienawistny ton podpadł mi, ale nie mogłem sobie wytłumaczyć, kogo on w tych wyrażeniach ma na myśli. Trącam więc mego kuzyna i pytam:" słuchaj no Kazia, na kogo to on tak wściekle ujada". A on mi na to:"To ty nie wiesz ? To przecież na nas Polaków". Oburzyło mnie to co żywa. To my "bezojczyznani pachołki", a on, żyjący wśród nas i utuczony jak kacap na naszej ziemi, ma swoją ojczyznę, a my nie ? Napróżno jednak łamałem sobie głowę, dla czego tak ma być? Taką jedynie znalazłem odpowiedź, że on to luter, mówi po niemiecku, siedzy na tłustym urzędzie, więc ma swą ojczyznę, a my, mówiący innym językiem i będący katolikami, my uważani jesteśmy jako "Vaterlandslose Gesellen". Takie jedynie znaleźć mogłem wytłumaczenie. Oczywiście nie przyczyniało się ono do żywienia przyjaznych uczuć dla tych ludzi, którzy tak nam ubliżali.

Do czego przydać się może "assa foetida" ?

Za moich czasów zostać aptekarzem nie było tak trudno. Po ukończeniu szóstej klasy gimnazjalnej t.zw. niższej sekundy i otrzymaniu świadectwa, uprawniającego do jednorocznej służby wojskowej, dany kandydat mógł od razu wstąpić jako praktykant do apteki. Po odbyciu praktyki szedł do akademii farmaceutycznej, skąd po 2 czy 3 latach studiów wyszedł już jako gotowy aptekarz. Wówczas praktykantem był niejaki Łochon, mój dobry znajomy. Właścicielem apteki był jakiś Niemiec, nazwiskiem Boetcher, stary kawaler. Od czasu do czasu tenże wyjeżdżał, wówczas Łochon dawał mi znać, żeby go odwiedzić, gdyż strasznie się nudził, jako że wówczas ludzie jeszcze nie często korzystali z usług aptek. Podczas tych moich odwiedzin zwykle przeglądaliśmy poszczególne środki lecznicze. M.i. pokazał mi słój, zawierający assa foetida, po polsku "łajno czarcze". Już wiedziałem o tym, że w średniowieczu było ono często używane do rozmaitych celów nietylko leczniczych, ale i zabobonnych. Śmierdziało porządnie." To nic, powiada mój przyjaciel, ale gdy się to rozpuści na cieple, to tego swądu już prawie że znieść nie można". "Daj mi z tego coś na próbę, przekonam się, mówię do niego". No i spróbowałem. Było to zimową porą. Rano przed pierwszą lekcją rzuciłem porcyjkę, tej zawartości "czarczej" za murek pieca. Efekt był cudowny. Taki powstał smród w klasie, że nie podobna było wytrzymać. Trzeba ją było cały dzień i całą moc wietrzyć, aby można w niej następnego dnia kontynuować naukę. A w tym dniu cała klasa miała wolne. Chłopacy byli w siódmym niebie. Nie mogli się zgoła domyślić, komu to zawdzięczają, bo ja się przed nikim z tym nie zdradziłem. Mnie atoli tak błogo w tym dniu nie było. Miałem bowiem wyrzuty sumienia, że tym moim nierozważnym wybrykiem udaremniłem na cały dzień naukę. To też już więcej tego eksperymentu nie powtórzyłem.

Śmierć ojca.

Dnia 13.listopada 1875 wracając z kościoła, gdzie służyłem do Mszy św., zastałem wóz zaprzężony, który się okazał naszym. Przyjechał nim nasz sąsiad. Od razu przeczułem coś złego, wszak wiedziałem już, że ojciec był chory. A jednak, kiedy mi obwieścił, że ojciec w nocy skonał i że mam zaraz wracać do domu, straszny ból mnie przeszył. Zwolniwszy się ze szkoły siadłem na wóz i pojechałem do domu. Tu płacz i lament. Co teraz stanie się z matką, co się stanie z gospodarstwem, co się stanie ze mną? Czy matka sama da sobie radę ze wszystkim, z całą tą biedą ? Wszak położenie nasze było wprost rozpaczliwe. Ten okropny deputat dla babki, gospodarstwo na skutek choroby ojca zaniedbane, na domiar jeszcze zadłużone. Ja najstarszy, 15 letni chłopak w gimnazjum, Brat po mnie lat dopiero 10. Trzy siostry od 1 - 7 roku życia ! Jak matka sobie da radę bezemnie ? Trzeba się będzie chyba pożegnać z szkołą i marzeniami o przyszłości! Takie rozpaczliwe myśli szarpały mną do głębi. Ale jeszcze wówczas nie odczuwałem w całej pełni tego bólu duszy, jaki sprawia tęsknota za ukochanym rodzicem. Starania o pogrzeb, przyjazd i pobyt krewnych i stypa pogrzebowa jakoś rozpraszały ponure, smętne myśli. Po pogrzebie wszyscy krewni jednogłośnie nalegali na matkę, że koniecznie powinna mnie odebrać z gimnazjum. "Przecież ty bez niego nie dasz sobie rady, skąd weźmiesz pieniędzy na jego utrzymanie ? " I faktycznie rozumowo biorąc wszystko przemawiało za tym, żebym po śmierci ojca jako najstarszy z rodziny przy tym w tak opłakanym naszym stanie gospodarczym wrócił do domu. Innego zdania była jednak matka. Kiedy po wszystkiemu zapytałem matki:"No, a Mamo, co teraz będzie ze mną, mam zostać w domu? ", matka ze łzami w oczach mi oświadczyła: "Choć sobie ręce i nogi upracuję, ale ty musisz wrócić znów do szkoły. Zobaczysz ! Pan Bóg mi dopomoże". I dopomógł. Po powrocie do szkoły zwłaszcza w miarę jak się zbliżały tak radosne święta "Bożego Narodzenia", coraz większa tęsknota i żałośność ogarniała mnie za

ojcem. Zalewałem się często łzami i myślałem:"Mój Boże! Gdybym ja mógł ojca żywego wydobyć z grobu, to własnymi pazurami bym go z niego wygrzebał". A przytym i wyrzuty sumienia cisnęły się do głowy, że, kiedy żył, nieraz nie byłem dla niego dobrym, nieraz się na niego oburzałem, gdy mnie karcił, źle mu życzyłem, byłem mu nieposłuszny, nie dosyć go kochałem. I wtedy przychodziły mi na pamięć słowa poety niemieckiego, któreśmy musieli się uczyć w szkole: "O lieb, solang du lieben kannst !
Es kommt die Zeit, wo du an Gräbern
stehst und klagst".

"Kochaj, dopóki ci danym jest kochać !
Przyjdzie czas, gdy staniesz nad grobem
i będziesz płakać."

Co przyspieszyło śmierć mego ojca ?

Ojciec umarł mając skończonych lat 66. Ojciec niedomagał już od szeregu lat na chroniczny katar płuc, pochodzący od zaziębienia. Stale się leczył, nawet gdy ów sławny Koch w Berlinie wykrył nowy środek leczniczy na choroby płucne, ojciec pojechał do Pelplina do Kliniki, gdzie znany wówczas doktor Wysocki aplikował chorym ten nowo odkryty środek. Jednak ojciec nie umarł na płuca, a zapalenie mózgu, a miało to następującą przyczynę. W Radomnie jest jezioro, o czym już poprzednio wspomniałem, które klinem wrzyna się w wieś. Do jeziora z naszej zagrody prowadziła w pobliskości droga. Była ona naszemu gospodarstwu koniecznie potrzebna do pędzenia bydła do poju i do przywozu wody z jeziora w razie potrzeby. Ale przechodziła ona obok oberży niejakiego Bastiana, Niemca lutra- poprzednio był żyd na niej. Droga ta uniemożliwiała Bastianowi postawienie zabudowań gospodarczych po tej stronie, gdzie była karczma, a dopiero po jej drugiej stronie, gdzie miał kawał pola. Chodziło mu więc o to, żeby po zlikwidowaniu tej drogi mieć bezpośrednie połączenie z zabudowaniami gospodarczymi. Inspektorem dróg był wówczas niejaki Kralewski, Polak, katolik z Nowego Miasta. Rodzina Kralewskich posiadała tam nieruchomość, zagrodę i obszerny ogród. Utrzymywali też chłopców na stancji. Nieraz w ich domu bywałem u moich kolegów. Rozmawiano tylko po polsku. Najstarszy ich syn Hubert, również uczęszczał do gimnazjum, ale, podczas gdy ja byłem w I klasie, on już był uczniem szóstej klasy i później został również księdzem. Ale Kralewski był urzędnikiem i jako taki już lgnął do niemców i starał się im wysługiwać. Kiedy w Radomnie budowano nową szosę, mieszkał on i stołował się u Bastianów. Widocznie pod ich podszeptem, a może i pod wpływem jakiejś łapówki zarządził Kralewski likwidację tej drogi, o której tu mowa. Kiedy zaczęto ją zasypywać, ojciec wniósł protest, a kiedy z tym został oddalony, wniósł do sądu skargę. Już i wówczas było trudno jakąś sprawę wygrać przeciw niemcowi, to też

proces wlókł się w nieskończoność, narażając ojca na niemałe koszty. A tu i tak o pieniądz była straszna bieda. Wreszcie sprawa poszła do wyższej instancji. Ojciec okropnie się tym przejmował i nieustannie biadał i wyrzekał, co to będzie, kiedy i w tej instancji proces przegra. Sąd zarządził ostatecznie lokalną wizję. Pewnego dnia ojciec wyszedł na pole, a kiedy długo nie wracał, ktoś wyszedł za nim i zastał go nieprzytomnego, leżącego na ziemi. Po przywiezieniu go do domu przywołany z Nowego Miasta lekarz stwierdził zapalenie opony mozgowej. Kiedy wreszcie zjechał sąd na lokalną wizję, ojciec leżał bezprzytomny w łóżku. Wobec oczywistej słuszności sprawy ojca - była to przecież droga publiczna - sąd musiał wydać wyrok na korzyść ojca. Ojciec atoli już z tego cieszyć się nie ~~xxx~~ był wstanie, bo choć jeszcze przez pewien czas się męczył na łóżu boleści, dnia 13. listopada dokonał żywota. Była to poniekąd walka Polaka z Niemcami. Proces coprawda wygrał, ale przypłacił to przedwczesną śmiercią. Mnie ta ojcowska tragedia głęboko wryła się w duszę i usposobiła mnie wrogo do Niemców, choć nie zdawałem sobie jeszcze wówczas sprawy, kim jest Polak, a kim Niemiec. I dziwna rzecz. Jak ojcu, tak i mnie sądzone było, już jako młodemu księdzu prowadzić później przewlekłe, kosztowne procesy, narzucone mi przez Niemców. A jak postąpił syn owego Kralewskiego ? Przysłowie mówi "Nie daleko pada jabłko od jabłoni" a ~~inne~~ "Jaki ojciec, taki i syn". Ks. Hubert Kralewski jako ksiądz wyparł się swej polskiej mowy i narodowości. Został Niemcem. Był Religionslehrerem w gimnazjum w Świeciu, a później proboszczem w jakiejś już zniemczonej parafii w Kosznajdrach. Parafia polska już mu nie odpowiadała. W roku 1918 nadomiar przeniósł się do Berlina. Stał się w ten sposób świadkiem drugorzędnej klęski Rzeszy Niemieckiej. [illegible] Kartki z [illegible] się skarżą na społeczeństwo polskie i prasę polską w odniesieniu się do niego [illegible] Dosłownie: [illegible] nawet ojczyzny [illegible] o tym, w jaki sposób [illegible] który wiernie stoi przy państwie [illegible] [illegible]

Kilka wspomnień z życia ojca.

W rodzinie dziadków było 2 synów i trzy córki. Ojciec był najstarszym z rodzeństwa. Ojciec ożenił się dopiero w pięćdziesiątym roku życia, a to z tego powodu, iż chciał zaczekać, aż całe rodzeństwo zostanie zaopatrzone. Ojciec za to otrzymał ojcowiznę, ale nie całą, a tylko połowę. Tę drugą połowę ziemi sprzedali dziadkowie na wyposażenie dzieci. Posiadali oni 2 włóki, a ojcu dostała się tylko jedna, coś około 14 hektarów. Ojciec, jak to już tkwi we krwi Polaków, żądny jak najwięcej ziemi, tej utraty przez całe życie swe nie mógł przeboleć i co sił starał się ją powetować. To też udało mu się choć za dopożyczone pieniądze nabyć jeszcze 3 ha z zabudowaniami - a matka później jeszcze uzupełniła je przez nabycie dalszego 1 1/2 hektara również z zabudowaniami. W ten sposób ubytek ten choć tylko częściowo został wyrównany. Tę jedną włokę, która ojcu przypadła, obciążono nadmiernym deputatem. Aż trudno zrozumieć, że ojciec się na to zgodził. Babka była strasznie dokuczliwa. Często wpadała z wielkim krzykiem i wyzwiskami, a ani razu nie słyszałem, by ojciec odpowiedział matce swej jakimś przykrym słowem. Przypominam sobie dobrze, jak już wówczas podziwiałem ojca anielską cierpliwość, będąc przecież jeszcze chłopcem. W pamięci żywo mi jeszcze też tkwią opowiadania ojca z roku 1863, kiedy to liczni powstańcy, przedarłszy się przez kordon, obsadzony przez wojska pruskie i dotarłszy i do naszej wioski i u dziadków szukali schroniska. Pruska policja często jawiała się, przeszukując i dom mieszkalny i wszystkie zabudowania za powstańcami, a w razie ich ujęcia bezlitośnie odstawiali ich w ręce kozaków, którzy ich przeważnie wieszali zaraz na miejscu. Dowodziło to już wówczas niesłychanego okrucieństwa ze strony rządu pruskiego. Ojciec miał o tyle ułatwioną sytuację, że żył w dobrej komitywie z ówczesnym sołtysem, niejakim Schroeterem, który choć Niemiec, miał jednak ludzkie serce. Tenże każdorazowo, kiedy się dowiedział, że mają zjawić się żandarmi, dawał ojcu o tym znać,

a ojciec znów innym o tym podawał, tak że w naszej wiosce ani jednego nie ujęto z powstańców. Wśród nich przeważali księża i zakonnicy. Ojciec też opisywał, w jaki sposób pomysłowy ubezpieczano nieszczęśliwców. Przypomniały mi się te opowiadania ojca, kiedy sam ukrywać się musiałem podczas okupacji przed siepaczami hitlerowskimi. Ciekawiło mnie też niemało opowiadanie ojca, jak się wykpił od pruskiej służby wojskowej, choć znalazł się już w mundurze pruskim. Oczywiście musiał dziadek najpierw przekupić lekarza wojskowego. Zdołał tego jednak dokonać jedynie za pomocą pewnej znacznej kwoty marek w złocie, którą wsunął chciwemu Prusakowi w łapy. Oświadczył mu wtedy tenże, że można by go jedynie uwolnić, ponieważ fizycznie jest ~~xix~~ zupełnie zdrów, gdyby się okazało, że jest umysłowo nienormalny . Powiadomiony o tym przez dziadka ojciec w mig pojął, jak to zrobić. Tak zdołał doskonale udawać wariata, że go jako niebezpiecznego furiata pod ekskortą wojskową odesłano do domu. W taki sposób uniknął ojciec nienawistnego munduru pruskiego. I to było jego szczęściem. Inaczej pewnie byłby musiał uczestniczyć jako żołnierz pruski we wojnie prusko - duńskiej, prusko- austriackiej, a może nawet i w prusko- francuskiej, gdyż przypominam sobie, że sporo było jeszcze takich, którzy wziąć udział musieli w dwuch, a nawet w trzech tak prędko postępujących po sobie wojnach - dla wielkości potęgi Prus, a więc naszego zaborcy i wroga. Przypominam też sobie jeszcze to okrutne zarządzenie Bismarka, wydalające 40 000 Polaków, zamieszkałych już od dziada na naszej ziemi, których sprawa obywatelstwa nie została jeszcze uregulowana. I w naszych domach komorniczych, bo aż trzy takie znajdowały się na naszym gruncie, dwie rodziny zostały tym drakońskim dekretem dotknięte, a w całej wiosce aż kilkanaście rodzin, jaki był płacz i lament, kiedy ci nieszczęśliwi za bezcen musieli wszystko, co posiadali wysprzedać i do tego jeszcze pospiesznie i z tłumokami na plecach, a niewiasty

nieraz z niemowlętami na plecach prowadząc przytym takie dzieci, które już chodzić mogły za ręce, pieszo, jako tułacze maszerować musieli do b.Kongresówki na niepewny zgoła los. Przypominam sobie, jak mój ojciec złorzeczył i przeklinał Bismarka, sprawcę tego okrutnego zarządzenia. Mówiono, że aż ziemia drżała pod stopami tych 40 000 rodaków, skazanych na tułaczy los. Nie można im było dostarczyć ani furmanek, bo prowadząca ich eskorta pruskich żandarmów na to nie pozwalała.

Moja matka.

Moja matka, gdy została wdową, liczyła dopiero lat 37. Po śmierci ojca znalazła się w położeniu opłakanym. Ogólnie przypuszczano, że albo będzie musiała powtórnie wyjść zamąż albo gospodarstwo sprzedać, a co najmniej mnie natychmiast odebrać z gimnazjum. Dla zamążwójścia warunki były jak najpomyślniejsze. O granicę mieszkał sąsiad, będący również wdowcem. Gospodarstwo jego było mniej więcej tej samej wielkości, jak i nasze i w dobrym stanie. Zedlewski, bo takie było jego nazwisko, miał też syna w gimnazjum, który później został lekarzem. Sama się tedy narzucała myśl, żeby ci dwaj się pobrali i gospodarstwa się złączyły. Usłużni pośrednicy przez szereg lat zabiegali i narzucali się swataniem. Matka jednak wszelkie tego rodzaju zabiegi odrzucała oświadczając, że chce żyć tylko dla swych dzieci. Również stanowczo odrzucała propozycję sprzedaży gospodarstwa, a zatrzymanie dla siebie tylko tej nabytej przez ojca 3 hektarową zagrody. Ani też słyszeć nie chciała, by mnie odebrać z gimnazjum. Naprawdę podziwu godna była odwaga matki, z jaką postanowiła tym jej naprawdę siły przechodzącym trudnościom stawić czoło. A jednak matka dopięła swego, oczywiście nadludzkim swym wysiłkiem i poświęceniem. Ku powszechnemu zdziwieniu matka poczęła sobie dawać radę. Najpierw zgłosił się do pomocy jakiś dalszy krewny, głuchoniemy, który jednak niemałe oddawał matce usługi w gospodarstwie. Rok po śmierci ojca umarła babka, odpadł w ten sposób ten tak uciążliwy deputat. Powoli też zaczęła się poprawiać sytuacja w rolnictwie dzięki uchwaleniu ceł na produkty rolne, sprowadzane z Rosji, na skutek czego ceny za nie poszły w górę. W Niemczech coraz bardziej rozwijał się na zachodzie ciężki przemysł, ściągając tam dotąd rzesze robotnicze, a wśród nich i dużo ludzi Polaków, z naszych stron. Ogołocenie całych połaci wschodnich Niemiec z rąk roboczych, spowodowało ich zapotrzebowanie w rolnictwie na tych terenach. W ten sposób wywiązała się u nas sezonowa emigracja do takich obszarów jak: Brandenburgia, Pomerania, Meklenburgia,

Saksonia, a nawet Brunswik. Ten silny popyt na siły robotnicze przyczynił się do coraz lepszej poprawy ich bytu materialnego. Przypominam sobie jeszcze dobrze, jak zawzięcie bronili się wówczas socjaliści przeciw uchwaleniu tych ceł ochronnych, twierdząc, że to przyczyni jeszcze bardziej do pogorszenia doli wśród warstwy robotniczej. Rzeczywistość jednak zadała kłam tym przypuszczeniom wykazując, że może być chleb i nie tani, byle go było za co kupić. Ta ogólna poprawa gospodarcza w Niemczech przyczyniała się i do polepszania sytuacji rolnictwa w naszych stronach. Do naszego gospodarstwa należały 4 ha łąk nad strugą. Były to mokradła, zakwaszone, zarosłe skrzypem, szkodliwym przede wszystkim dla krów. Zawiązała się spółka melioracyjna, która za pomocą regulacji tej rzeki zamieniła je na pierwszorzędne łąki, dające obfitą i treściwą karmę dla żywego inwentarza, przez co przede wszystkim rozwinęła się hodowla krów. Powstała w odległości 5 klm. mleczarnia, później nawet w wiosce samej. Odstawiane mleko dawało miesięcznie stałą gotówkę. Odciągane mleko służyło do hodowli nierogacizny. Zwiększone i dobrze odżywiane pogłowie zwierzęce dawało dobry nawóz. Gleba była dobrą, to też i zbiory się coraz bardziej powiększały. Z dawniejszej biedy zaczął się tworzyć w domu nawet pewien dobrobyt. Matka już nie obawiała się o moje utrzymanie w gimnazjum. Nawet matka nie pragnęła pomocy dla mnie skądinąd. Chciała mieć całą zasługę mego wykształcenia dla siebie. I brata posłała na dwie zimy do szkoły rolniczej w Malborku. I o siostry dbała, by się nauczyły gospodarstwa domowego. Najstarszą siostrę wyposażyła i wydała za mąż. Dała sobie nawet radę, kiedy brata zaciągnięto do wojska. Pobudowała nową oborę. Ale ile to pracy i trudu i znoju kosztowało to matkę ! Zwyczajnie już o godz.3 rano wstawała, a późno wieczorem udawała się na spoczynek. A przytym matka codzień musiała być na Mszy św. Kiedy się czasem zdarzyło, że nie mogła być na Mszy św.,nic jej się nie darzyło. Służbie i pracownikom okazywała matka macierzyńskie serce. Prawie każda służąca, wstąpiwszy w służbę, opuściła ją dopiero wychodząc za mąż. Prawie każdy ro-

botnik w gospodarstwie to matki pupil. Dwuch ostatnich - już starców ! matka po zlikwidowaniu gospodarstwa wzięła ze sobą do miasta, utrzymując ich aż do ich śmierci. Było wówczas gdzieindziej brak robotników w rolnictwie. Matka nigdy na brak rąk do pracy skarżyć się nie potrzebowała. Ponieważ matka była bardzo uczynna, pomagając innym, więc chętnie odwdzięczano się matce. Razu pewnego, wchodząc do pokoju, widzę matkę klęczącą przed krzesłem, na którym siedzi staruszka, wiejska uboga, trzymając nogi we wannie, które matka myje. Byłem wówczas uczniem ostatniej klasy gimnazjalnej, bawiąc na wakacjach. Nie miałem jeszcze wówczas tego ducha, co później. To też oburzyło mnie to "poniżenie" się matki. Kiedy przeto owa kobiecina wyszła, zwróciłem się do matki z wyrzutami: "To akuratnie matka tej babie nogi myć musiała, nie mogła tego uczynić służąca " ? A matka do mnie łagodnie:"Mój synu! Służąca by się może brzydziła, a ja nie, a ta staruszka ma takie bolesne odciski, że ledwo chodzić może". Ten obraz później często przypominałem sobie ze wzruszeniem.

W roku 1913, ponieważ w rodzeństwie chętnych do przejęcia ojcowizny nie było, za moją radą, by matka mogła wreszcie odetchnąć po tak nadludzkich teraniach się, rozparcelowała gospodarstwo, a mogła to tym łatwiej uczynić, ponieważ gospodarstwo składało się aż z pięć zagród. Z uzyskanej sumy mogła matka wyposażyć rodzeństwo i sobie zapewnić wystarczające utrzymanie. Dewaluacja jednak, która nastąpiła po I wojnie światowej, pozbawiła matkę wszelkich środków do życia, tak same sióstr posagu, który dały na pożyczkę państwową. I może dobrze się tak stało, bo dało to mnie sposobność wynagrodzenia jej choć tylko w skromnej mierze tego bezmiaru jej poświęcenia. Skoro tylko znalazłem pomieszczenie, a było to już w Toruniu, kiedy jeszcze byłem wikarym, wziąłem matkę i siostry do siebie, a później w Łęgbądzie i Nowym Mieście. I choć na

chudych byłem posadach, chleba jednak starczyło dla wszystkich. A co do matki, to wszyscy razem staraliśmy się by osładzać i uprzyjemniać jej resztę życia. Łacno można sobie tedy wystawić, jak bolesnie i okropnie odczuliśmy później jej tragiczny, a tak zagadkowy koniec.

Moi przodkowie.

Nasamprzód zaznaczyć mi wypada, że pisownia mego nazwiska Dembieński jest nie właściwa, powinna być Dembiński. Tak też opiewa moja metryka wystawiona w Urzędzie Stanu Cywilnego. Tę zmienioną pisownię zawiniłem ja. Otóż, kiedy byłem w gimnazjum, nauczyciele Niemcy wołali mnie"Dembynski" , kiedy w domu ludzie podług lubawskiego narzecza stale nazywali nas "Dembieński". Irytowała mnie przeto ta wymowa "Dembynski". I oponowałem stale uporczywie: "Ich heisse nicht Dembynski, ich heisse Dembieński." I bawiło mnie wielce, jak ten profesor Niemiec musiał łamać sobie język,by polskie to brzmienie wymówić. Tak uporczywie broniłem tego brzmienia, że je uznano wreszcie i pisano mnie Dembieński, podczas gdy cała rodzina pozostała przy Dembińskim. - To tylko mimochodem. Mało mnie obchodziło pochodzenie mych przodków. Od babki słyszałem, że pradziad Adam Dembiński /żona jego Katarzyna Borowska/, był szlachcicem i że zarzucił szlachectwo tłumacząc, że ubogi szlachcic niech się szlachcicem nie pisze, bo się naraża tylko na pośmiewisko. Mój stary nauczyciel w Radomnie rozgłaszał, że mój pradziad był ówczarzem. Nie mogłem tego jakoś pogodzić:"szlachcic i owczarz". W roku 1929 wypłynęła sprawa wielkiego spadku dla rodziny Dembińskich. Nie dałem się wciągnąć do utworzonego komitetu dla rewindykacji spadku, ale zaglądnąłem do ksiąg metrykalnych w Radomnie. W nich dopiero pradziad zjawia się około 1800 roku. W roku 1806 posiada już dwie włoki jako colonus. W roku 1917 1817 umiera pradziad - na "kaszel", jak zapisano w księdze umarłych. Przy tym podano spis majątku i pogrzeb. Podano ile posiadał roli, ile inwentarza,a gotówki 1500 talarów. Co jednak najbardziej osobliwe, że został pochowany w podziemiach, Kościoła co tylko dostępne było szlachcie. Mowę pogrzebową wygłosił jakiś O.reformata Dembiński z klasztoru w Łąkach. Nie podano jednak, ile dzieci osierocił. Ja tylko znałem mego

dziadka Marcina. Tyle się jeszcze dowiedziałem, że pradziad poprzednio dzierżawił z majątku Gryźliny pastwiska Kopaliny i uprawiał hodowlę owiec, bardzo lukratywnego swego czasu przedsięwzięcia. Wiedział więc o tym widocznie ów nauczyciel i stąd wywodził owczarskie pochodzenie naszego przodka

Odwet za wymierzony policzek -"gruby wybryk."

Ten niesłusznie mi w klasie 4 wymierzony policzek przez wymienionego poprzednio prof.Kluga nie dawał mi spokoju. Domagał się odwetu.Upragniona ku temu sposobność znalazła się jednak dopiero w następnej klasie i to krótko przed dużymi wakacjami. Kilka tygodni przed nimi wyjechał bowiem nasz gospodarz klasy, Dr.Lange, filolog, do Paryża na jakiś kurs języka francuskiego i razu pewnego w popołudniowych lekcjach miał go zastąpić ów Klug - przyczym 4 i 5 klasa miały być skombinowane. W ostatniej przedpołudniowej lekcji strzeliła mi pożądana myśl do głowy. Wówczas były w użyciu zapałki z czerwonymi,siarkowymi główkami, wywołujące przy ich nadeptaniu pewne trzaski no i swąd siarki. Z tego postanowiłem skorzystać. Miałem właśnie 2 pudełka takich zapałek przy sobie. Jedno dałem sąsiadowi z poleceniem: "Obierz Ty z twojego pudełka główki, a ja obiorę drugie". Po lekcji zatrzymaliśmy się, aż wszyscy wyszli i obsypaliśmy tym "materiałem wybuchowym" katedrę, krzesła, cały spód katedry i wejście do niej, no i krzesło. Po południu przed lekcjami ten i ów z uczniów, usiłując wejść na katedrę, przerażony odskakiwał, kiedy się robiły trzaski. Od razu uczniowie zorientowali się, o co chodzi. Nareszcie przyszedł ten, przeciw któremu ten "zamach" był wymierzony. Przy wchodzeniu na katedrę zaczęły się "eksplozje" tra,tra,tra.Przerażony profesor podskoczył na katedrę- trá,tra,tra. Usiadł na krzesło, a tu dopiero cała salwa wybuchów ! Skoczył znów z katedry, a tu nowe trzaski. Chwilę biegał po klasie jak opętany, aż nagle z niej wybiegł do dyrektora. Niebawem weszli obydwaj. Klasa pełna dymu i swądu siarki. Dyrektor miał minę piorunującego Jowisza. Natychmiast rozpoczęło się śledztwo. Przede wszystkim przeszukiwano wszystkim kieszenie za zapałkami. U kogo je znaleźli, od razu wymierzono mu karę w postaci siarczystego policzka, nawet choć miał tylko zapałkizfosforowymi główkami. Ja i mój wspólnik oczywiście nie mieliśmy żadnych, to też wyszliśmy

z tej opresji egzekucyjnej bez szwanku. Po lekcjach wszystkie klasy musiały się zebrać w auli, gdzie dyrektor wygłosił piorunujące przemówienie i zarządził, że cała piąta klasa odtąd co dzień odsiadywać będzie dwie godzinny areszt szkolny tak długo, aż sprawca zostanie wykryty. Upłynęły w ten sposób 2 tygodnie, aż wrócił z Paryża nasz gospodarz klasy. Na lekcji z nami tak jakoś umiał przekonywająco zaapelować do honoru i odpowiedzialności każdego za swe czyny, iż tak mnie to poniosło, że zupełnie bez zastanowienia się zerwałem się z siedzenia i oświadczyłem:"Ja to zrobiłem". Prof.Lange wprost nie mógł ukryć swego wielkiego zdumienia. Pyta:"I ty to naprawdę uczyniłeś". Powiedziałem:"Tak"."A dlaczego to uczyniłeś" pyta profesor. "Bo chciałem się zemścić na profesorze Klugem za to, że mnie niewinnie w twarz uderzył." W następstwie tego odbyła się zaraz po lekcjach konferencja, na której ukarano mnie trzygodzinnym aresztem i obniżono mi oceny z zachowania na niedostateczny i wpisanie mi do świadectwa, dla czego to nastąpiło. Kara za ten mój "gruby wybryk", jak go określono, była względnie łagodna. Widocznie uwzględniono moje przyznanie się do winy, dotychczasowe nienaganne zachowanie się i pewno i to,że należałem do prymusów. Inaczej bowiem byłbym mógł łatwo wylecić z gimnazjum, a co by to był za cios dla mojej matki! Muszę jednak przyznać, że ten prof. Lange, który tak zapewniał o swym uznaniu dla tego, który będzie miał tę cywilną odwagę przyznać się do winy, potym bynajmniej nie tak nobliwie się ze mną obchodził. Szykanował mnie- nawet raz uderzył mnie również w twarz za taką błahostkę, że zapomniałem ze sobą zabrać pieniądze na uiszczenie czesnego, ale tym razem już się drugi raz przeciw temu policzkowi nie zbuntowałem po tym smutnym doświadczeniu z tamtym, obniżał mi oceny i klasyfikację. Po raz pierwszy zjechałem w rangerdnungu na 4 miejsce. Na szczęście tak on

jak i dyrektor i z nim jako trzeci ówczesny nauczyciel religii, Dr. Teitz, zostali w następnym roku szkolnym przeniesieni do Chełmna, sprawa więc poszła w zapomnienie. Nie na tym się jednak skończyło moje stoczenie z prostej drogi. Sprawdziło się na mnie, co wyraził niemiecki poeta, zdaje się Schiller, słowy, że "to jest przekleństwo złego czynu, że nieustannie musi płodzić nowe zło" oczywiście tylko w pewnym stopniu. Wstydziłem się bowiem i żal mi było zasmucić matkę takim świadectwem, więc okłamałem ją, że tym razem żadnych świadectw nie otrzymaliśmy. Kłamstwo jednak ma krótkie nogi i wyszło na jaw przez mego poprzedniego nauczyciela wiejskiego, który wykrył, że świadectwa jednak były wydawane. Wtedy tłumaczyłem matce, że je zgubiłem, a ponieważ przy powrocie z wakacji do szkoły, potrzebny był na świadectwie podpis ojca lub matki, że świadectwo czytali, sfałszowałem ten podpis. I pomyśleć cały splot zła spowodował ten niefortunny policzek. Było to jednak dla mnie nauką na całe życie, by ograniczyć karę cielesną u młodzieży do ostatecznych granic, jedynie chyba w ostatniej konieczności, kiedy już wszystkie inne środki zawodzą, bo nawet już i dziecko ma swoją wrodzoną ambicję i poczucie swej godności, a bicie odczuwa jako jej poniżenie i sponiewieranie. - Naprawdę policzek, to kiepski środek wychowawczy.

W domu p. Marwiczów. - Znów korepetytorem.

Duże wakacje w piątej klasie gimnazjalnej - wyższa tercja - nie samymi tylko następstwami, wynikłymi z mego wybryku, zamącone zostały. Doszło jeszcze coś innego, co mi do reszty nastrój wakacyjny w tym roku popsuło. W Nowym Mieście mieszkała rodzina Marwiczów. Stryj p.Marwicza -(któremu na imię było Polikarp)- to znany z czasów Kulturkampfu biskup naszej diecezji Nepumocen v.d.Marwitz. Jeden jego bratanek był jeszcze za mych czasów pobytu w Seminarium Duchownym w Pelplinie kanonikiem. Drugi bratanek to właśnie ten zamieszkały w Nowym Mieście Polikarp, tylko że ten się już nie pisał Marwitz, tylko z polska Marwicz. Trzeci najmłodszy bratanek biskupa i brat Polikarpa, posiadał za mych czasów mniejszy majątek ziemski w Stolinku. Był on ożeniony z Niemką katol. Małżeństwo to było bezdzietne i ten brat był na najlepszej drodze zniemczenia się. Natomiast wymieniony wyżej Polikarp był zasłużonym katolikiem i gorliwym Polakiem. Podczas Kulturkampfu skazany został na dwa lata więzienia za to, że gdy do jego parafii przybył ksiądz t.zw.majowy i zaczął odprawiać w kościele nabożeństwa, a na znak przez niego dany wszyscy wierni opuścili kościół, sam tylko ksiądz został w kościele. Marwiczowie bowiem posiadali w tej parafii majątek ziemski. Jak się nazywała ta parafia i jaką nazwę miał ten majątek ziemski, już dziś nie pamiętam. Wyszło mi to zupełnie z głowy, zdaje się jednak, że parafią tą była Chmielno, a folwarkiem Lipowiec. Później sprzedał ten majątek i sprowadził się do Nowego Miasta, gdzie nabył wilkę i pewien obszar roli i żył jako rencista. Marwicz był już wtenczas prezesem Towarzystwa Ludowego, jedynego wówczas towarzystwa polskiego, skupiającego na płaszczyźnie oświatowo - narodowej Polaków, choć liczba jego członków wówczas była dość skromna. Procz tego był on dyrektorem niedawno założonego Banku Ludowego, który to bank wówczas w jego znajdował się mieszkaniu. Nazwisko Marwitzów wzgl. Marwiczów znane było w Prusiech. Istniał tam

pułk Marwitzów, który widocznie za jakieś wybitne zasługi jego ówczesnego dowódcy otrzymał i jego nazwisko i przywilej, że każdy męski potomek tego rodu, obsługujący wojskową służbę jednoroczną, miał utrzymanie wolne i umundurowanie. Tylko część tej rodziny pozostała polską i katolicką. Reszta się zniemczyła i zlutrzyła. Marwicze miele z pierwszego małżeństwa 2 córki, Halinę, która była nauczycielką w zakładzie Matki B. Anielskiej, którą zarządzały Urszulanki w Kościerzynie, a tworzącym szkołę średnią dla dziewcząt- druga Maria, za mych czasów wyszła zá mąż za jakiegoś urzędnika pocztowego, a z drugiego małżeństwa było jeszcze czworo nieletnich dzieci, a mianowicie 1 syn,Władek, uczęszczający do gimnazjum, trzy córki: Jadzia, Louzia, Iza, dla których mieli nauczycielkę domową. Zreniczką w oku dla rodziców był właśnie ten Władek. Dziewczęta podobno dobrze się uczyły. Inaczej było z Władkiem, któremu nauka jak po grudzie szła do głowy. Był on w moim wieku, ale, kiedy ja przeszedłem do 5 klasy, on z wielką biedą i warunkowo otrzymał promocję do klasy czwartej. W wakacjach miał jeszcze wyrównać te braki i dyrektor Preuss radził, żeby miał stale korepetytora u siebie. Widocznie mój jeszcze w świeżej pamięci będący wybryk nie zaszkodził mi tak bardzo w opinii dyrektora, a może też jeszcze pamiętał, jak to dobrze poszło z mym kuzynem, Tychnowskim, bo właśnie mnie p.Marwiczowi polecił jako korepetytora dla jego syna. W tym to celu przybył p.Marwicz do naszego domu z tą propozycją, bym od zaraz sprowadził się do nich i rozpoczął korepetycję z ich synem. W zamian za korepetycję obiecał opłatę za stancję obniżyć do połowy. Bardzo a bardzo niechętnie się na to zgodziłem, zdając sobie sprawę z ciężkiej harówki, jaka mnie czekała wobec tępoty umysłowej mego pupila i odpowiedzialności, jaką na siebie biorę. Zwykle tak bowiem bywa, że jeżeli sprawa się nie uda, to winę za to przypisywać się będzie korepetytorom. Ale cóż, kiedy, by ulżyć w ciężarach mojej matce, musiałem się na to zgodzić. Najboleśniej

jednak odczułem, że miałem tak upragnione wakacje letnie poświęcić dla Władka. A więc opuściłem stancję u p.Panewiczów i przeprowadziłem się do domu p.Marwiczów. Tam było nas czterech w jednym pokoju, tu natomiast dzieliłem pokój jedynie z Władkiem. Czułem się początkowo jako chłopak ze wsi nie bardzo swobodnym w domu arystokratycznym, gdzie przestrzegano pewnej etykiety, która była mi obcą. Powoli się jednak do tego przyzwyczaiłem. Pracy miałem sporo, bo przecież i mnie nauka też sama nie wchodziła do głowy, ale więcej harówki kosztowało mnie wbijanie do tępej głowy Władka nauki. A jednak ambicja parła mnie do wysiłków w tym kierunku, ażeby przecież z powierzonego mi zadania wywiązać się skutecznie. Zdołałem też dzięki temu przeprowadzić mego pupila gładko do piątej klasy. Radość z tego powodu w rodzinie Marwiczów była wielka. Władek stał się prawie że bohaterem, a i mnie się coś wdzięczności za to dostało.

Ostatnia 6 klasa progimnazjum.
Zmiany w kierownictwie szkolnym.

Z nowym rokiem szkolnym zaszła zmiana i w kierownictwie szkolnym i w składzie profesorskim. Odszedł jako dyrektor Dr.Meuss do Chełmna, nauczyciel religii Dr.Teitz i Dr.Lange. - Jako dyrektor przybył aż z Essen - niejaki Dr.Wilberts, a na miejsce Lange'go Koenigsbeck, którego ojciec w Królewcu był znanym starokatolikiem i jako nauczyciel religii niejaki Pawlicki, uważający się mimo polskiego nazwiska Niemcem. Dr.Wilberts, pochodzący z Zachodu Niemiec, wolny był od jakiegokolwiek uprzedzenia do Polaków. Zdaje się, że nawet czuł pewną do nich sympatię. Niemcy katolicy na zachodzie okazywali Polakom spore przychylności. Ich organ "Koelnische Volkszeitung" dość stanowczo występował w obronie ludności polskiej, potępiając prześladowanie jej ze strony rządu pruskiego. Natomiast organ kat.Centrum w Berlinie "Germania" też niby brał w obronę ludność polską, ale bardziej już obojętnie, jakoby od niechcenia. Z tymi zachodnio-niemieckimi sentymentami przybył do nas Dr.Wilberts. Zaraz w swej mowie inauguracyjnej dał temu wyraz, zaznaczając, że "nie pragnie zrywać tych delikatnych więzów, które łączą tutejszą ludność z ich przeszłością i że pragnie traktować wszystkich obywateli równą miarą". Nie mógł oczywiście zbyt wyraźnie swej dobrej woli określić, ale wszyscy my zrozumieli, że ma na myśli nas Polaków. Za jego też urzędowania mogliśmy swobodnie rozmawiać po polsku czy to podczas przerw w klasie- nawet w jego obecności, czy to na dziedzińcu szkolnym. Co do mnie, to za jego urzędowania znów wypłynąłem na wierzch. Stałem się znów prymusem, a nawet faworytem dyrektora. Radość i chęć do pracy po pewnym zniechęceniu, wywołanym na skutek upośledzającego traktowania mnie przez Dr.Lange'go, naszego gospodarza w poprzedniej klasie, znów wróciły.

Wciąż bielmo na oczach.

Byłem przez ostatnie dwa lata w domu wybitnie polskim, a przecież i w poprzednich latach żyłem również w środowisku polskim, oczywiście czułem się Polakiem, ale uświadomienia narodowego nie miałem żadnego, bo i skądże ? Wszak trzeba było już z grubsza znać historię Polski, a któż mi ją miał uprzestępnić ? Gazet polskich jeszcze wówczas po wioskach nie było, ale nie widziałem też żadnej polskiej gazety i w domu Marwiczów ani nawet polskich książek. Owszem przypominam sobie, razu pewnego przyniósł do naszego pokoju jakąś polską książkę Władek. Była to "Ogniem i Mieczem". Zacząłem ją czytać. Mało co z niej zrozumiałem. Z tym skąpym zasobem wyrażeń, które wyniosłem z domu, z kościoła, nie mogłem sobie dać rady z rozumieniem polskiego języka literackiego. Książkę tedy odłożyłem na bok. Wprawdzie fakultatywna nauka języka polskiego w gimnazjum była jeszcze i w piątej klasie, nie było jej w drugiej i trzeciej klasie, czwartej, taksamo w szóstej. Udzielał jej Dr.Lange. Był to Polak, ale tak się krył z swoją polskością, że myśmy ani o jego polskiej narodowości nic nie wiedzieli. W tym jednym roku fakultaty-w-nej nauki języka ojczystego t.j. w piątej klasie można by się było czegoś nauczyć, gdyby ten prof. mógł był nią choć jako tako zainteresować. Ale on ją wykładał tak sucho i obojętnie, że korzyści z niej równały się zeru. Myśmy w każdym razie wyrobili sobie takie zdanie, że język polski owszem nadaje się dla ludu prostego i w kościele, a do tych celów wystarczy zupełnie ta znajomość, którąśmy wynieśli z domu. Dla nauki, dla ludzi wykształconych i inteligencji natomiast stosowny jest tylko język niemiecki. To też na studium języka niemieckiego rzuciłem się z całym zapałem. W miarę jego coraz lepszego opanowywania rosło u mnie i zamiłowanie do niego. Lubowałem się w niemieckiej literaturze. Upajałem się niemiecką poezją. Czyniłem sobie wypisy, uczyłem całych ustępów i zwrotów na pamięć. Łatwo mi się pisało niemieckie wypracowania. Wstyd mi, to przyznać, ale w ten

sposób byłem na najlepszej drodze zgermanizowania się. Pewnego jednak razu moje pojęcie o bezwzględnej wyższości języka niemieckiego nad ojczystym zostało niecc zachwiane. A mianowicie zacny p.Polikarp Marwicz - jako prezes Towarzystwa Ludowego urządził polskie przedstawienie amatorskie. Ponieważ dyrektor Wilberts - jako przybyły ze zachodu Niemiec - okazywał dużo sympatii Polakom, przyszła Marwiczowi myśl do głowy, czyby nie spróbować nakłonić dyrektora, aby pozwolił uczniom 5 i 6 klasy gimnazjalnej wziąć udział w przedstawieniu. Nakłonił mnie przeto, by pójść do dyrektora i go o to poprosić. Widziałem raz i drugi niemieckie przedstawienie dla uczniów i publiczności w hali gimnastycznej. To uważałem jako coś samo przez się rozumiejące, ale polskiego przedstawienia nie oglądałem jeszcze ani razu. To też tym chętniej udałem się do dyrektora w tej sprawie. No i dyrektor pozwolił gładko, bez namysłu. Z wielką ciekawością śledziłem przebieg przedstawienia. I wówczas nasunęła mi się myśl i wrażenie, że przecież język polski to nie tylko gwara ludowa, dobra dla prostaków, ale to język piękny, dźwięczny, bogaty we wyrażenia i głębokie myśli. Było to jednak tylko chwilowe, przelotne wrażenie, które wnet się zatarło, tymbardziej, że dyrektor na dalsze uczestniczenie na polskim przedstawieniu pozwolenia już więcej nie udzielił. Widocznie wyższe władze szkolne surowo mu to zakazały. A z pewnością nie obyło się też i bez ostrej nagany dla dyrektora za to pozwolenie.

Razu pewnego przy stole wygadałem się, że spowiadam się po niemiecku tłumacząc, że tak mi wygodniej, bo przecież w tym języku zostałem przygotowany do I komunii św. Aż tu wszyscy naraz i starzy i młodzi zaczynają mnie obrzucać wyrzutami, czy nie wstyd mnie, Polakowi, spowiadać się po niemiecku. Moja ambicja została tym bardzo dotknięta. To też, kiedy wstałem od stołu i poszedłem do siebie do góry na pokój, gorzko się rozpłakałem uważając się niewinnie oszkalowanym i znieważonym. Żadną bowiem miarą rozumieć nie mogłem, dla czego to ma być wstyd Polakowi spowiadać się po

niemiecku. Czy to nie równo: po polsku czy po niemiecku? Żeby miast mnie wykpić i wyszydzić byli mnie coś pouczyli o Polsce i Polakach, to nie byłbym pewne zrozumiał, dla czego to wstyd Polakowi spowiadać się po niemiecku. A tak uczułem się tylko boleśnie dotkniętym i żal uczułem do tych, którzy mi to tak dotkliwie wytknęli. Bądź co bądź odtąd jednak już spowiadałem się w języku ojczystym, ale bielmo na oczach zatrzymałem nadal. Jednak od czasu do czasu budziły się u mnie jakby i pewne przebłyski świadomości. 27. stycznia przypadały Kajzera urodziny. Był to dzień wolny od nauki. Z tego /powodu/ byliśmy oczywiście bardzo zadowoleni. Przed południem jednak każdorazowo w auli gimnazjum odbył się akt uroczystości, na który i publiczność miała wstęp. Na program składały się śpiewy, przemówienia, przepełnione hymnami pochwalnymi na Kajzera i deklamacje ze strony uczniów, po jednym z każdej klasy. Jako deklamatora z szóstej klasy profesor języka niemieckiego akurat mnie wybrał. Wymawiałem się, jak tylko mogłem, od tego wątpliwego zaszczytu, uparł się jednak i nie ustąpił. A ja sobie powiedziałem i postanowiłem za żadną cenę nie wygłosić wiersza, tymbardziej, że zawierał on tyle gloryfikacji cesarza, którego nasz lud tak nie nawidził, że słów tych wprost przez gardło bym nie przedostał. Postanowiłem zastrejkować. Na wyznaczony dzień obwiązałem szyję grubym szalem i oświadczyłem udawanym ochrypłem głosem, że pod żadnym warunkiem wiersza wygłosić nie jestem w stanie. Szastał się, rzucał, ale ja postawiłem na swoim. I w tym roku szósta, a więc -najwyższa klasa - była bez deklamacji.

Uczniowie gimnazjalni nie mieli za moich czasów żadnych mundurków ani osobnych czapek szkolnych. W szóstej, naszej klasie, w porze wiosennej komuś z uczniów strzeliło do głowy, żeby sobie dla całej klasy sprawić jednolite czapki i uchwalono biały ich kolor z granatową opaską. Mój kuzyn, Kazimierz Żurawski, którego ojciec miał polską bibliotekę i nieco więcej już miał uświadomienia niż ja, przychodzi do mnie i powiada: "Wiesz ty, jaki jest kolor polski"?

"Skąd ja mogę wiedzieć", odpieram. "No, spamiętaj sobie, polski kolor jest biały i czerwony, a raczej amarantowy. Niech oni sobie sprawią czapki koloru biało-granatowego, my damy sobie zamiast granatowej opaski wstawić amarantową, bośmy przecież Polacy". I tak się też stało. Profesorowie wielce byli zdziwieni, kiedy nas ujrzeli w osobnych czapkach, a jeszcze bardziej, kiedy zauważyli u nas dwuch inny kolor niż u reszty. Widocznie uznali to za polską demonstrację. Natychmiast wzywa nas dyrektor do siebie i pyta co to znaczy ? Odpowiadamy mu z niewinną miną, "że nam kolor granatowy nie był do twarzy, dla tego obraliśmy kolor czerwony." i na tym się sprawa skończyła.

Przytaczam te drobne epizodziki jedynie po to, by wykazać jak trudno było w ówczesnych warunkach dojść do uświadomienia narodowego, nie tylko uczniom w niemieckich uczelniach, ale i szerokim warstwom ludności polskiej.

Koniec pobytu w progimnazjum w Nowym Mieście. Mała matura.

Dotrze mi się wiodło w ostatniej klasie progimnazjum. Zawansowałem znów na prymusa i miałem życzliwość nie tylko dyrektora, ale i innych profesorów za sobą. Zbliżała się mała matura. W pełnych gimnazjach matura mała, uprawniająca do jednorocznej służby wojskowej, była więcej formalnością, tu jednak w progimnazjum, stanowi równocześnie świadectwo odejścia, była przeprowadzana z całym rygorem. Najpierw były prace piśmienne pod klauzurą, następnie odbył się egzamin ustny. Wnie tak bardzo straszny ten egzamin nie był. Czułem się dość pewnym. To też na skutek prac piśmiennych od ustnego egzaminu zostałem zwolniony. Jako prymus w czasie uroczystości pożegnalnej w auli, na której obecna była i publiczność, otrzymałem nagrodę w postaci bogato ilustrowanej, luksusowej książki pod tytułem "Kaiser Wilhelm I." Wyraźnie owszem mi się spodobała, ale nagrodę po powrocie do domu rodzicielskiego rzuciłem od razu w kąt, bo, chociaż brak mi było uświadomienia narodowego, instynktywnie czułem, że Kaiser to nie nasz przyjaciel, a przeciwnie nasz wróg. O ile z egzaminem mnie się powiodło dobrze, o tyle znów mego pupila Władka mimo największych moich wysiłków nie udało się przeprowadzić do następnej klasy. Ale nie była to już moja wina ani właściwie i Władka. Poprostu dyrektor Wilberts jako nowa miotła postanowił na swój sposób podnieść poziom naukowy zakładu, a mianowicie dokonując radykalnych cięć przy promocji. Najdotkliwiej dotknęło to klasę piątą, w której tylko dwuch uczniów otrzymało promocję do następnej klasy, a resztę pozostawiono w klasie na drugi rok. Władek w klasyfikacji świadectwa znalazł się na trzecim miejscu z góry i już promocji nie otrzymał. To też żal o to nie kierował się ze strony Warwiczów przeciw mnie, a przeciw dyrektorowi. Biedna jego matka ! Tak gorąco się modliła o to, by go ujrzeć u ołtarza. Musiała się z tą nadzieją pożegnać. Chodziło już teraz tylko o to, by go móc poprzez szóstą klasę doprowadzić do jednoreki. Nie wierzyli już, że tego dokonać będzie można wobec ostrych wymagań nowego dyrektora w nowomiejskim gimnazjum.

Istniały we większych miastach tak zwane "Presse", prywatne zakłady, które miały za zadanie przeprowadzić do matury, a choćby tylko do jednoroki słabo uzdolnionych uczniów. Takaż "Presse" istniała i w Bydgoszczy. Tam dotąd Władka posłali rodzice, by choć tylko przedostać go do jednoroki. I to się nie udało. Trudno przecież uzyskać plon z opoczystej gleby. Po opuszczeniu przezemnie progimnazjum rozeszliśmy się z Władkiem na dziesiątki lat. Ale jakież było moje zdziwienie, kiedyśmy już obaj po pięćdziesiątce naszego życia przypadkiem spotkali z Władkiem w Nowym Mieście, gdzie też mieszkał jeszcze trzeci nasz kolega szkolny, Dzięgsilewski. Tenże zaprosił nas do siebie. Przy stole naraz Władek zaczął nam sypać z pamięci cytatami całych ustępów z Vergilego i Homera. W pamięci mojej już ani śladu z tego nie pozostało. Kiedy, zdziwiony go pytam "I ty to, Władku, wszystko jeszcze pamiętasz ?" odpowiedział mi ze śmiechem "Co Ty myślisz ? Ja te wiersze często recytuję będąc w jakimś towarzystwie i wywołuję tym duży efekt. I słuchacze odnoszą wrażenie, że ja to wielce uczony człowiek, a Ty przecież najlepiej doświadczyłeś, jaka ze mnie głowa". Władek tępą miał głowę, ale co w nią z wielkim mozołem sobie wbił, to pozostało na całe jego życie. A mnie przeciwnie, łatwo wlazło do mózgownicy, ale też i prędko się z niej ulatniało. I to także niedobrze.

Zaznaczyć wypada, że od szóstej klasy gimnazjalnej - niższej sekundy - począwszy, profesorowie uczniów nie tytułowali per ty, a per Sie-pan.

Do Chełmna. Życie wśród młodzieży. Rok 1897.

Stanąłem teraz wobec konieczności wyboru miejsca dla kontynuowania dalszej nauki. W najbliższym zasięgu było pełne gimnazjum w Brodnicy. Odległość od niej wioski rodzinnej wynosiła około 40 klm. Nie było jednak jeszcze tam dotąd dogodnej komunikacji kolejowej. Dojazd stali wozem był za nadto uciążliwy. Znane na całym Pomorzu było gimnazjum w Chełmnie. Do tej uczelni najwięcej napływało młodzieży polskiej. Zdecydowałem się tedy na wybór Chełmna. Wpłynęła na tę moją decyzję i ta jeszcze okoliczność, że tam już byli poprzedni profesorowie z progimnazjum nowomiejskiego, a mianowicie: dyrektor Preuss, katecheta Dr.Teitz i prof.Lange. Ten ostatni co prawda dał mi się w piątej klasie we znaki w związku z tym ówczesnym wybrykiem, ale za to dyr.Preuss i ks. Dr.Teitz darzyli mnie stale swą życzliwością. Teraz już po śmierci ojca jako 18 letni młodzieniec musiałem już sam o sobie radzić. W Chełmnie dostałem się na stancję do niejakiej panny Wellenberg, siostry ks.prof.Wellenberga z Polskiego Brzezia, czującego się mimo swego niemieckiego nazwiska Polakiem. Zastałem tam już 3 kolegów, jeden Maliszewski z Lubawy, później powiatowy weterynarz w Inowrocławiu, drugi mój kuzyn Ludwicki, zmarły w młodym wieku a pochodzący z Nowego Miasta oraz Januszewski. Tenże wydalony później z gimnazjum jako podejrzany o przynależność do Filomatów wyemigrował do U.S.A., gdzie już był księdzem jego kuzyn Klonowski, późniejszy biskup sufragan i został tam lekarzem.

Do Chełmna przypływało dużo młodzieży nietylko z Pomorza, ale i z Poznańskiego, jako że Chełmno miało opinię polskiego środowiska naukowego, chociaż charakter jego był taki sam jak i wszystkich innych gimnazjach w b.zaborze pruskim, z wyjątkiem chyba, że była tam fakultatywna nauka języka polskiego od niższych klas aż do najwyższej. Poza tym istniała tam dość bogato wyposażona biblioteka polska, utworzona z dobrowolnych składek uczniów i społeczeństwa polskiego, później po wykryciu tajnej organizacji filomackiej została zli-

kwidowana. Taksame i fakultatywna nauka języka polskiego została po tych zajściach zniesiona. Znaczny kontyngent uczniów ze wyższych klas gimnazjalnych dostarczało biskupie progimnazjum w Pelplinie t.zw. Collegium Marianum. Uczniowie tego zakładu, pobierający obowiązkowo ze najniższej klasy nauki języka polskiego, górowali pod względem znajomości języka ojczystego nad nami, przybyszami z uczelni, gdzie albo żadnej nie było nauki języka polskiego, albo gdzie on był traktowany z takim lekceważeniem jak w nowomiejskim progimnazjum. Prócz tego znalazło się spore młodzieży z t.zw.lepszych sfer, którzy już z domu wynieśli znajomość języka polskiego i uświadomienie narodowe. Znaczny napływ młodzieży i z dalszych peryferyji b.zaboru pruskiego powodował duże przepełnienie tak, że każda prawie klasa musiała być podzielona na dwa oddziały t.zn. cetusy. Wśród tłumu młodzieży znalazło się i spore elementu niepożądanego, a przede wszystkim pod względem moralnym. Już w pierwszym roku mego pobytu ujawnione zostały wykroczenia seksualne. Pamiętam mi, że i w naszej klasie - wyższa secunda - pewna grupa się odosobniła od reszty i nad czymś podczas przerw szeptem się naradzała.Podobno byli zarażeni wenerycznie. Kilku - przywódców - z nich relegowano , a co do reszty sprawę zaciszono. Rzecz zrozumiała, że w tym tłumie młodzieży było i dużo t.zw. złotej młodzieży, zwłaszcza z tak zwanych wyższych sfer ziemiańsko - kupieckich, którzy mając dużo forsy mogli sobie pozwolić na hulanki i rozmaite ekstrawaganse. Każdy nowo przybyły uczeń narażony był u nich na ogniową próbę, czy się da wciągnąć do ich grona lub nie i czy będzie brał udział w ich lekkomyślnych postępowaniach. Kto się im oparł, od razu utracił u nich wszelkie uznanie. Był w ich oczach świętoszkiem, pedantem, wykuwaczem, zacofańcem. I mnie taka próba nie ominęła. Raz i drugi dałem się wciągnąć do knajpy, ale gdy się zreflektowałem,co czego to prowadzi, pomny na ciężkie położenie i nadmiar poświęcenia ze strony mej matki, odczepiłem się od nich stanowczo, woląc się już narażać na ich do-

cinki i lekceważące traktowanie. Niestety, niejeden nowoprzybyły młodzieniec, z którego twarzy biła początkowo niewinność i poczciwość, po pewnym czasie ujawniał już oznaki zepsucia. Jeżeli wspomniałem o młodzieży szlacheckiej, to bynajmniej nie chciałem zarzutu lekkomyślnego postępowania uogólniać. Ogół zachowywał się wzorowo i patriotycznie; wykolejeńcy należeli do wyjątków. Pierwsze tygodnie mego pobytu w gimnazjum chełmińskim sprawiały mi w nauce pewne trudności. Choć bowiem programy w zakładach były równe, to jednak metody nauczania różniły się między sobą. Po kilku tygodniach jednak już się zaaklimatyzowałem zupełnie i nauka szła mi raźno. Pływałem już na wierzchu. W naszym oddziale było około 30 uczniów. Samodzielne prace domowe wykonywało nas tylko trzech, a mianowicie: Wakowski/ ~~[illegible]~~/ syn nauczyciela w Pelplinie, Westphal, syn kierownika szkoły ludowej, również w Pelplinie, no i ja. Reszta ułatwiała sobie zadania, odrzynając od nas trzech. Każdy z nas miał swoją klientelę, która go stale odwiedzała. My trzej rywalizowaliśmy między sobą o pierwsze miejsce w klasyfikacji. Nie przeszkadzało nam to jednak żyć ze sobą w najlepszej zgodzie i przyjaźni. Na koniec, zdaje mi się, drugiego kwartału, na Gwiazdkę, zapowiedziana była nagroda dla najlepszego ucznia. Cała klasa osądziła, że mnie się ta nagroda dostanie, a jednak jej nie otrzymałem. Tłumaczono to tym, że nie chciano niedawno temu z innego zakładu przybyłemu tego zaszczytu przyznać. Tym się bynajmniej nie przejąłem, bo najpierw była to znów książka o patryotycznej treści w duchu pruskim, a potym i dla tego, że i tak świadectwo było dobre, a nawet b.dobre.

Najgorzej mi się jednak wiodło z językiem polskim. Znajomość jego równała się prawie zeru, a przytym dochodziła gwara lubawska, która nie rozróżniała między : ś i sz, ć i cz. Wymową tą wywoływałem, zwłaszcza podczas lekcji języka polskiego przy czytaniu lektury w klasie, śmiech i wesołość, co mnie strasznie żenowało, a trwało to przez szereg miesięcy, dopóki nie przystąpiłem do Filomatów. Podług alfabetu obok mnie siedział niejaki Działowski, szlachcic z Mgowa. Był to młodzieniec bardzo

uzdolniony,ale wielki leń i lekkoduch i hulaka, w przeciwieństwie do brata swego, który poświęcił się stanowi duchownemu i był wzorowym kapłanem. Ten stan zaś swemu szlacheckiemu stanowi zaszczytu nie przynosił. Nie biorąc nigdy książki do ręki stale sobie pomagał ściąganiem odemnie. A nie tylko ściąganiem,ale i podsłuchiwaniem podawanych mu podpowiadań. A miał nietylko doskonały słuch, ale i podchwytliwe uszy, obdarzone tą osobliwością,że się stale poruszały w kierunku nadchodzącego szeptu.Podobne zdolności podsłuchowe za pomocą ruchomych muszli usznych posiadał mój drugi klient, a również mój dobry przyjaciel, Julian Maliszewski, siedzący przedemną,ale ten nie z własnej winy, tylko na skutek słabego uzdolnienia musiał sobie w ten sposób pomagać. Ale Działowski pasożytował stale na cudzej pracy jedynie na skutek swego wstrętnego lenistwa. Przecież po przeszło czterech latach nauki języka greckiego nie znał on jeszcze dobrze ani alfabetu greckiego i trzeba mu było za każdym razem, kiedy pisano klasową pracę, podsuwać brulion, aby mógł z niego przepisać. Razu pewnego, a było to przed promocją, prof.Correns, późniejszy dyrektor gimnazjum chojnickiego, zdobył się na ciekawy koncept. Była właśnie praca klasowa z języka greckiego. Przed jej rozpoczęciem odzywa się ów profesor:"Działowski, mnie się zdaje, że pan ściąga od Dembieńskiego. Dembieński, proszę przyjść na pierwszą ławkę, by mu uniemożliwić odrzynanie od pana". No i stało się w ten sposób zadosyć życzeniu "pomysłowego p.profesora.Moje sąsiedztwo wobec tego coprawda odpadło, ale przecież pozostali inni, którzy też coś umieli z greciny. Więc Działowskiemu udało się i tak jako tako sklecić pracę. Następnej lekcji przynosi ów profesor poprawione zeszyty i wręczając Działowskiemu jego zeszyt zaznacza:"Ja myślałem,że pan nic nie umie, a pan przecież pokazał,że jednak coś umie". Długo nie mogłem wyjść z podziwi nad "sprytem i bystrością umysłu" owego pedagoga. Najprostrza jednak rzeczą było nie mnie izolować, a jego. Wtedy byłby się dopiero przekonał, co on umie. Czy on był aż tak naiwny ? A może postąpił tak, by móc usprawiedliwić wobec uczniów przyznanie mu oceny dostatecznej z języka greckiego ? A może suta łapówka to sprawiła ?

Piszę o tym koledze szkolnym nieco obszerniej, ponieważ on później fatalnie zaciążył na mym życiu szkolnym. O ile sobie przypominam, ja sam jeden w świadectwie z 7 do 8 klasy otrzymałem z łaciny i greki "sehr gut". Właśnie w związku z tym Działowskim w następnych klasach obniżono mi niezasłużenie te oceny.

Niedobrze też później powiodło się memu drugiemu klientowi, Waliszewskiemu. Dzięki mojemu naukowaniu przeszedł on gładko z siódmej do ósmej klasy. Ale w tej klasie już go posadzono na innym miejscu. Pozbawiony mego zaplecza, już z ósmej klasy nie ruszył. Ponieważ jednak do studiów med.weterynarji wówczas nie było potrzeba matury, opuścił ósmą klasę i został później weterynarzem.

Nareszcie spadło bielmo z oczu moich.
Przejrzałem. Filomata.

Z językiem polskim niemałe miałem trudności. Profesorem jego nauki był niejaki Łazarewicz, nazywany przez uczniów "na je". Miał on bowiem zwyczaj po wejściu na katedrę wycierając okulary i rozglądając się po klasie, mawiać "ha je! jaki też porządek". Razu pewnego, było to już w klasie 3, wszedł do klasy, a widząc ławki przesunięte zawołał: "Na je, Pompecki die Bänke".na co ten wstając donośnym głosem odpowiada: "Die sind verrückt". Na słowa te zdumiony ten profesor wprost zdrętwiał, zbladł i na chwilę nie był zdolny zdobyć się na jakieś słowo. Widząc tę niesamowitą pomyłkę w sensie wypowiedzianych codopiero słów, tłumaczy: "Ja, ja, Herr Profesor, die Bänke sind verrückt". I od razu ten profesor roztajał i wybuchnął głośnym śmiechem. Co było przyczyną tej raptownej zmiany u rzeczonego profesora ? Otóż "Sie" można było w odniesieniu do profesora uznać jako "pan", a "verrückt" miało znaczenie albo "głupi" albo "przesunięty". Zdanie powyższe mogło więc mieć podwójne znaczenie, albo "pan jest głupi", albo "one t.j.ławki są przesunięte". Epizod ten powtarzam tylko mimochodem. Profesor ten, gorący patriota polski, , prawdziwie klasyczna postać, chodził stale elegancko ubrany, z cylindrem na głowie. W naukę języka polskiego wkładał całą swoją duszę. Plan i program języka polskiego ograniczał jednak jego możliwości urabiania nas w duchu narodowym. Jako podręcznik służyły nam wypisy z "Cegielskiego". Były one jednak starannie wyjałowione ze wszystkich tkanek patriotycznych. Pewno, że dla tych, którzy już posiadali uświadomienie narodowe i obeznani byli choć z grubsza z literatura polską, ten podręcznik dawał pewne korzyści, ale tym, którym brak było podstaw uświadomienia narodowego, nie dawał on żadnych podniet patriotycznych. Szło cała tendencja wychowawcza szkół pruskich zmierzała ku temu, by uczynić uczniów polskich na po polsku mówiących Prusaków. Bądź co bądź podręcznik zawierał wypisy polskich poetów i literatów. Wśród uczniów mojej klasy znajdował się niejaki

Kazio Kruczyński z Czerska. Matka jego, wdowa, posiadała w Czersku hotel i restaurację. Kazio był wielce utalentowanym uczniem, ale wielkim leniuchem. Niezwykłą miał pamięć. Razu pewnego zgłosił się na lekcji języka polskiego u prof.Łazarewicza, żeby mu pozwolił z pamięci wygłosić na następnej lekcji ustępy z "Pana Tadeusza". Deklamował przez całą godzinę- wybił dzwonek koniec lekcji, ale on jeszcze nie skończył z wygłaszaniem z pamięci swej deklamacji. Był to chłopak w gruncie rzeczy dobry, ale strasznie lekkomyślny. Ponieważ matka materialnie dobrze była sytuowana, w duże wakacje wyjechał do Krakowa. Tam, niestety, nie omieszkał skorzystać z jakiegoś burdelu i zakażony wenerycznie wrócił do domu. Gorzko opłakiwał przedemną ten swój moralny upadek i biadał nad swoją matką i siostrą, które są tak pobożne i religijne, a on takim marnotrawnym synem. Nie miał jednak tej siły wyzwolić się ze swego upadku. Później wyjechał wydalony po procesie toruńskim z gimnazjum do południowej Ameryki, skąd wrócił po wskrzeszeniu Polski i zamieszkał w Sopocie.Zetknąłem się z nim w Czersku. Opowiadał mi o swym burzliwym życiu. Ale jeszcze i po powrocie do kraju nie opuściła go jego awanturnicza żyłka. Miał pojedynek z jakimś polskim oficerem. Naturalnie znów poszło o jakąś kobietę. Później, znając rozmaite obce języki, służył w Cercie gdańskim jako tłumacz. Przypominam sobie jeszcze z jego czasów gimnazjalnych zabawne widowisko, wywołane w klasie jego hulaszczym życiem.A mianowicie przyszedł do klasy wprost z knajpy po nieprzespanej nocy, a siedział w pierwszej ławce naprzeciw katedry profesora. Oczywiście musiał wciąż ziewać, a jemu każdorazowo wtórował profesor na katedrze. Cała klasa z wielkim zainteresowaniem śledziła ten duet ziewawczy między uczniem a profesorem, aż wreszcie profesor się zorientował ostatecznie, o co chodzi, doskoczył zawzięcie do Kazia, wyrzucił go za drzwi,aby poszedł do domu i się przespał. Przytaczam tę epizodę, aby wykazać, jak niejeden talent młodzieży z powodu nieopanowania swych złych skłonności się zmarnował. Wracając do przerwanego wątka podaję, jak wielkie miałem trudności z językiem polskim. Niesłychanie trzeba było odstawić domowe wypracowanie polskie. Z moimi bardzo słabymi zna-

jomościami nie śmiałem się ani pokusić o samodzielne opracowanie zadanego tematu. Każdorazowo opracował mi je mój kuzyn, późniejszy sufragan w Łomży. Trwało to tak aż do 29 listopada r.1897. Przed tym terminem bowiem przystąpił do mnie mój przyjaciel, Bolek Makowski i powiada:" Słuchaj! Chciałbyś się lepiej nauczyć języka polskiego ? "Odpowiadam:" No, naturalnie, przecież wstyd mnie, że tak mało znam język ojczysty". Wtedy odsłonił przede mną wielce dla mnie zdumiewającą tajemnicę o istnieniu tajnej organizacji wśród młodzieży polskiej wyższych klas gimnazjalnych, której zadaniem jest prócz przestrzegania moralności i cnoty uczenie się historii i literatury polskiej i pielęgnowanie ducha narodowego. W przededniu rocznicy powstania listopadowego złożyłem wniesienie w mieszkaniu kolegi, Mariana Karczyńskiego, późniejszego ks.dziekana w Łasinie, przysięgę na krucyfiks, iż przestrzegać będę sumiennie wszelkie przepisy i ustawy statutu organizacji tajnej Filomatów oraz zachowam bezwzględną tajemnicę jej istnienia. Na drugi dzień, tj. 29. listopada po południu, udałem się wraz z innymi kolegami , oczywiście szliśmy dla niewzbudzenia podejrzenia małymi grupkami, na uroczysty obchód, który się odbył gdzieś w parowie dość daleko za Chełmnem pod Starogard przy przezornym rozstawieniu czujek i zachowaniu wszelkich środków ostróżności. Po zagajeniu i patriotycznym przemówieniu, które wygłosił ówczesny przewodniczący "Prądzyński", późniejszy prałat w Poznaniu, a zamordowany przez niemców podczas drugiej wojny światowej, nastąpiło sprawozdanie ze stanu organizacji, uroczyste przyjęcie nowych członków, wśród których byłem i ja, deklamacje, a na zakończenie odśpiewanie:" Boże, coś Polskę". Tu dopiero spadło mi bielmo z oczu. Przejrzałem. Od razu poznałem, kim jestem, a mianowicie, że moja ojczyzna to Polska, że jestem z łona narodu o wysokiej kulturze i cywilizacji, który był przedmurzem chrześcijaństwa i cywilizacji zachodniej, Ojczyzny o chlubnej i sławnej przeszłości, a dziś poniewieranej i deptanej przez jej wrogów. Jakby w ekstazie, cały oszołomiony, wróciłem do domu. Działo się ze mną podobnie jak ze św. Pawłem pod Damaszkiem.

Żal mnie tylko ogarnął, że tak długo byłem ślepym, że tak późno przejrzałem. Postanowiłem to naprawić z nadduwką. Przede wszystkiem od razu ustalił się cel mego życia. Zostać księdzem, aby móc się poświęcić służbie bogu i pracy nad nieszczęśliwym narodem polskim.

Życie w organizacji filomackiej.

Kilka zdań pragnę poświęcić naszej tajnej organizacji. Na czele stał przewodniczący oraz jego zastępca, poza tym sekretarz i skarbnik. Na stanowisko prezesa i wiceprezesa wybierano oczywiście takich, którzy już odpowiednie posiadali wiadomości z języka polskiego, więc albo b. uczniów z progimnazjum Pelplińskiego albo z domu szlacheckiego,. Sekretarz miał ewidencję nad stanem organizacji, a skarbnik ściągał drobne miesięczne składki na potrzeby organizacji. Prócz tego zobowiązani byliśmy płacić po 10 fenigów jako karę za używanie w mowie niemieckich wyrazów lub germanizmów. Poza tym cały zastęp członków podzielony był na kółka po 3 - 5 uczniów, na czele których stał kółkowy, który sam najpierw zdać musiał egzamin i to pisemny i ustny z pisowni, historii i literatury polskiej. Zdawszy go pomyślnie stał się kółkowiczem czyli nauczycielem. Nauka odbywała się dwa razy tygodniowo po 2 godziny. Przewodniczący i jego zastępca mieli prawo wizytowania poszczególnych kół. Było to więc prawdziwa szkoła w szkole. Naturalnie wymagało to ze strony organizacji nadzwyczajnej ostróżności, bo każdej chwili mogła znienacka zaskoczyć naukę niespodziewana wizyta niepożądanego filistra. A przecież przy ~~jego~~ swym odwiedzaniu stancji często gęsto zaglądał on do półek z książkami, czy niema wśród nich zakazanej przez władze pruskie lektury. Aż dziw bierze, że w takich warunkach, mimo tak wydoskonalonego aparatu policyjnego, przez dziesiątki lat istnienie tej organizacji pozostało ukryte przed argusowymi oczami wroga.

Cztery razy do roku obchodziliśmy nasze główne uroczystości narodowe: a mianowicie 3 Maja, Powstanie Listopadowe, w grudniu dzień śmierci Mickiewicza i Powstanie Styczniowe. Dwie pierwsze obchodziliśmy na wolnym powietrzu, w parowie, dwie drugie albo w opuszczonym kościółku św. Katarzyny, do którego wyłom w murze otwierał nam dostęp albo gdzieś w prywatnym mieszkaniu kolegi przy przezornym ustawieniu czujek. Wszystkie te obchody owiane wielkim romantyzmem, wywierały na nas niesamowity

urok. Wobec tego wszystkiego, co się odsłoniło przed oczyma mej duszy, wszystkie inne przedmioty nauki szkolnej zeszły u mnie na drugi plan, na pierwszy wysunęło się natychmiast studium języka polskiego, historii i literatury polskiej. Na nie rzuciłem się z całym zapałem. Jak dawniej zapaliłem się do języka niemieckiego, tak teraz tym więcej poświęcałem się nauce polskiej. Czyniłem wypisy, uczyłem się całych zwrotów i ustępów na pamięć - gorliwie czytałem książki z biblioteki, przestudiowałem całą gramatykę Kryńskiego. a rezultat tego mego zapału był naprawdę niezwykły. Przed Wielkanocą, podczas gdy w okresie całego roku były tylko polskie wypracowania domowe, to przed Wielkanocą, przed zakończeniem roku szkolnego trzeba było napisać wypracowanie klasowe. Aż dotąd każdego wypracowania domowego nie śmiałem wykonać samodzielnie, w klasie jednak byłem do tego zmuszony. I o dziwo ! Profesor Łazarewicz miał zwyczaj przy zwrocie poprawionych zeszytów, odczytać najlepsze wypracowanie jako wzorowe. Jak gdyby prąd elektryczny przeszedł przezemnie, kiedy prof. Łazarewicz moje właśnie wypracowanie uznał za najlepsze mimo, że, jak zaznaczył, zachodzą w nim jeszcze błędy ortograficzne. Od końca listopada aż do zakończenia wówczas roku szkolnego przed Wielkanocą upłynęło 4 miesiące. Wielki więc musiał być mój wkład zapału i pilności z mej strony w tę dziedzinę narodową, aby w tak krótkim czasie osiągnąć taki rezultat. Czułem się poprostu jak wniebowzięty z tego powodu.

Niestety na Wielkanoc r. 1908 opuścił prof. Łazarewicz Chełmno, przeszedłszy w stan spoczynku. Po nim objął fakultety wsze lekcje języka polskiego prof. Dr. Lange

Znów jako korepetytor.

W Chełmnie mieszkał niejaki Batke. Był to brat mego proboszcza w Radomnie. Posiadał winiarnię, restaurację, kolonialkę. Był przy tym zaprzysiężonym dostawcą wina mszalnego. Materialnie był przeto dobrze sytuowany. Natomiast życie małżeńskie było zburzone. A mianowicie porzuciła go żona, obdarzywszy go dwojga dziećmi, Franią i Aleksym. Na pensji u Batków był jakiś sędzia Niemiec z zachodu Niemiec. W nim to zakochała się wiarołomna żona i niepomna swych obowiązków żony i matki, opuściła swoją rodzinę i poszła razem z swym kochankiem na zachód Niemiec, zosaje się do Kolonii. Batke po opuszczeniu przez żenę powierzył wychowanie swych dzieci niejakiej starszej pani, Czarnowskiej. Ona też zawiadywała domem. Kiedy przyszedłem do Chełmna, córka Frania liczyła lat 14, Aleksy 12. Prawdopodobnie na polecenie swego brata, proboszcza w mojej wiosce rodzinnej, Edward Batke zwrócił się do mnie, bym zaopiekował się jego chłopcem, Aleksym, i udzielał mu lekcji, gdyż jest wielkim leniem i zaniedbuje się w nauce. Zdawałem sobie sprawę, co mnie znów czeka, lecz odmówić nie mogłem już choćby ze względu na mego proboszcza w Radomnie. O ile się w krótce przekonałem, sprawa z tym Aleksem jeszcze gorzej się przedstawiała, niż to sobie na podstawie określeń ojca przedstawiałem. Był to skończony nicpoń, łobuz, swawolnik. Gdzie co było do wytrojenia, tam był Aleksy. Kiedy bawił u swego stryja, proboszcza w Radomnie, na wakacjach, to zaraz w pierwszych dniach wszystkie psy pozakopywał w ziemi, zostawiając im tylko łby wolne, żeby mogły wyć i skomlić. Innym znów razem wszystko ptactwo, jakie było w podwórzu, kury, kaczki, gęsi, indyki, wspędzał do chlewa i wpuścił na nie wszystkie psy. To też zrozpaczony proboszcz czymprędzej go odesłał do domu, nie mogąc z nim wytrzymać. Aleksy prawdopodobnie stanowił rażące odbicie swej wyrodnej matki. Biedny ten jego ojciec, dwukrotnie bity, po pierwsze, że go porzuciła żona, a po wtóre, że takim obdarzyła go synem. A Batke to człowiek spokojny, sympatyczny, a przytym ładny i przystojny

mężczyzna. Już wówczas pojąć nie mogłem, jak bardzo zaślepioną i przewrotną musiała być ta kobieta. I akuratnie i ja w moje ręce dostać musiałem tak rozwięzłego urwisa. Dzień w dzień chodziłem do niego na udzielanie mu pomocy w nauce. Było to istne utrapienie z nim. Ojciec polecił mi nie żałować mu kijów i też tu były one koniecznie potrzebne, ale i to mało pomagało. Kiedy mu od czasu do czasu porządnie wygarbowałem skórę, zamiast się poprawić i uczyć, każdorazowe robił się chorym i kładł się do łóżka i kazał sobie kłaść przez służącą zimne kompresy. Mimo wszystko zdołałem go przeprowadzić ze seksty do kwinty, z kwinty do kwarty, a dalej już ani rusz. Kiedy opuściłem Chełmno, ojciec nie mogąc już sobie z nim dać rady, zawiózł go do Chyrowa w Małopolsce, do zakładu O.O.Jezuitów. Ale i tam długo nie zagrzał. Został wydalony. Zrozpaczony ojciec, wyczerpawszy już wszelkie możliwe środki, zdecydował się na ostateczny krok. Zawiózł chłopaka do Hamburga, wykupił mu kartę okrętową, wręczył mu pewną kwotę na początkowe potrzeby i wysłał go do Południowej Ameryki, skąd już więcej nie wrócił.

W roli porte d'amour'a .

Więcej radości niż kiedykolwiek ze swej córki Frani. Było wówczas we wieku 14 - 15 lat, który określa się jako wiek podfruwajek, kiedy to już budzić się poczynają pierwsze wzloty miłosne. I Franię to nie minęło. Uczęszczając dziennie na korepetycje rzadko się z nią stykałem. P.Czarnowska bowiem ostro ją trzymała. Razu pewnego jednak nadarzyła jej się sposobność zbliżenia się do mnie i wówczas powierzyła mi 'straszną" tajemnicę.Otóż powiedziała, że się "szalenie' zakochała w moim koledze szkolnym, Kupferschmicie i on ją darzy wzajemnością, bo nawet udało mu się jej przysłać list, w którym jej swoje afekty dla niej wynurzył. Ona by mu chciała odpowiedzieć w ten sposób listownie, ale nie wie, jakby mu to przekazać i pyta mnie błagalnym głosem, a raczej szeptem, czybym ja nie chciał w tej wzajemnej ich korespondencji pośredniczyć. Z wielką gotowością się na to zgodziłem, obiecując sobie z tego dużo urozmaicenia. I tak też było. Natomiast porozumiałem się z moimi kolegami na stancji, że każdy ocmośny list będziemy ostrożnie otwierać i po jego przeczytaniu zaklejać, a dopiero wtedy będę go wręczał adresatom. I też przez dłuższy czas mieliśmy ogromne gaudium z czytania tych przedwczesnych, nawet dziecinnych i srodze naiwnych wylewów uczuć miłosnych.. Nie trwały one jednak zbyt długo.Niebawem ulotniły się te przedwczesne amory z jednej i drugiej strony, a my pozbawieni zostaliśmy tej zabawnej lektury. Rychło sprawa poszła w zapomnienie, a odżyła dopiero po jakichś 12 latach bardzo niesamowitym epilogiem. Otóż będąc wikarym w Koronowie mogłem w gronie rozbawionych gości opowiedzieć i ja ten kawał.Otóż pobudkę do tego dał mi doktor Szukalski, opowiadając, jak w swej żonie zakochał się już jako uczeń wyższej klasy w gimnazjum w Chełmnie, która wówczas była uczennicą we wyższej szkole dziewcząt również w Chełmnie. Kiedy zdał maturę poszedł się oświadczyć co ojca o rękę jego córki. Wtedy ojciec jednak z miejsca wyrzucił go za drzwi.Inaczej atoli potraktował go, kiedy po raz wtóry przyszedł już z dyplomem doktora medycyny, wtedy już przyjął go życzli-

wie i ręki córki mu nie odmówił.Opowiadając następnie tę moją przygodę, czyż mogłem przypuszczać, że ona pociągnie za sobą przykre zgrzyty ? Po pewnym czasie jestem w Chełmnie i jak zwykle wstąpiłem do mieszkania Batkego. Wychodzi Frania, już dorosła panna, narzeczona mego klasowego kolegi szkolnego, Ossowskiego, wówczas starosty w Chełmnie, straszanie zadąsana, ledwie mi rękę podała. Pytam:"Co Pani dziś taka kwaśna?". A ona zaczyna mnie obsypywać zarzutami, że ja zniesławiłem opowiadając o jej młodocianych flirtach, co się odnosiło do jej narzeczonego i co on teraz będzie o niej myślał. "Ależ Pani, przecież ja w tym dziecinnym flircie ani dla Pani nic ujemnego nie upatrywałem ani dla siebie, że w tym pośredniczyłem". Jednak p.Frania nie dała się tym argumentem przekonać i zadąsana opuściłem. Traf chciał, że wracając z domu Batkego trafiam na ulicy, jej narzeczonego i pytam go: 'Co to jest z tą sprawą?".A on mi na to: 'Głupstwo to, ja się tym tylko ubawiłem; a list anonimowy rzuciłem do kosza, ale moja narzeczona bardzo wzięła to sobie do serca - zupełnie niepotrzebnie". A kto był autorem tego anonimowego pisma ? Otóż właśnie żona Br...z. Jej najmłodsza siostra polowała na Ossowskiego, jako na dobrą partię dla siebie. Obie siostrzyczki zbierały skwapliwie materiał na jego narzeczoną, aby go skłonić do zerwania narzeczeństwa z Franią. Doprawdy, zazdrość to prawdziwie brzydki grzech. Nic to jednak nie pomogło.P.Frania,której cała przeszłość była bez zarzutu, wyszła za mąż za Ossowskiego. A on, który później za ery sanacyjnej został zwolniony z urzędu starosty, osiadł w Toruniu jako adwokat, gdzie występował jako dzielny obrońca w rozmaitych procesach politycznych, a po wybuchu II wojny światowej został zamordowany przez hitlerowców.

Wesoły obchód imieninowy. Fatalne jego następstwa.

19. marca przypadły moje imieniny po raz pierwszy w Chełmnie. Aż dotąd obcy mi był obchód imieninowy, tu jednak było inaczej. Był to dzień sobotni. Koledzy mi przystroili w zielone krzesło, postawili przedemną na stole kwiat i poczęli mi składać życzenia. Pan Batke przysłał mi gąsiorek węgierskiego wina. Prawdziwego wina ja nigdy przed tym w ustach nie miałem, a pewno i inni z moich kolegów. To też gąsiorek wnet został wypróżniony. Posłałem po drugi, tymbardziej, że, kiedy się chłopacy dowiedzieli, że na naszej budzie jest prawdziwe wino, zbiegło się ich więcej. Kiedy się na domiar dowiedzieli, że tak łatwo można na moje konto ten szlachetny napój otrzymać, już bez mojej wiedzy jeszcze posłali po 2 dalsze gąsiorki. W ten sposób już wszyscy uczestnicy pod dobrą byli datą, najwięcej jednak szarpnęło mnie, jako że zmuszony byłem z każdym noweprzybyłem z nowa trącać się kieliszkiem i pić na swojej zdrowie, co w rezultacie jednak wręcz przeciwny odniosło skutek. Rzecz cała polegała bowiem na tym, że wszyscy inni moi koledzy o własnych siłach dostali się do swych łóżek wzgl.mieszkań, a mnie już trzeba było bezwładnego ułożyć na posłaniu. Następny dzień była niedziela. O godz.9 było nabożeństwo gimnazjalne. Moi kondornitorzy jakoś zdołali się podnieść z łóżka i pójść do kościoła. Ja też próbowałem i to nie jeden raz, ale cóż, kiedy za każdym razem głowa, ciężka jak ołów, spadała sama na poduszkę, a kiedy usiłowałem wstać, ciemne koła wirowały mi w oczach a słabość, bliska omdlenia, ogarniała mnie. Musiałem więc zrezygnować z pójścia do kościoła. Aż tu naraz otwierają się drzwi i wsuwa się do pokoju prof.Boenspiss. Zimny pot mnie oblał. Nie byłem w stanie w pierwszej chwili ani słowa wykrztusić. Wreszcie zdobyłem się na usprawiedliwienie mej nieobecności w kościele moją chorobą. Prof.Boenspiss miał fizjonomię a zwłaszcza wejrzenie lisa. Na moje tłumaczenie rozejrzał się po pokoju, po próżnych butelkach od wina i całym nieporządku w pokoju, szyderczo się uśmiechnął i cicho, jak

wszedł tak i opuścił pokój. Po wyjściu jego zacząłem sobie suszyć głowę, co do licha mogło go do naszego pokoju sprowadzić ? Przecież gospodarzem klasy naszej nie był. Z nami nie miał żadnych lekcji. Po co on się zjawił tu ? Wyjaśnienie tej zagadki otrzymałem dopiero w poniedziałek. Jeszcze przed lekcjami zawezwał mnie dyrektor do siebie. Z wielką obawą szedłem do jego gabinetu. Myślałem, że będę miał z nim ciężką rozprawę o te imieniny. Tymczasem dyrektor zupełnie łagodnym głosem pyta:"Kto w sobotę był u pana na imieninach".Wyliczyłem wszystkich. Jeszcze raz się pyta, żebym sobie dobrze przypomniał,czy wszystkich podałem. Po namyśle powiadam znów tak.I jeszcze trzeci raz to powtórzył i tę samą otrzymał odpowiedź. "A więc, rzecze dyrektor, Działowski nie był u pana"? Musiałem wobec tego zgodnie z prawdą potwierdzić,że nie był. Teraz już zrozumiałem, że dyrektorowi nie chodziło zgoła o ten mój ochód imieninowy, a raczej o osobę Działowskiego. Wiadome było, że Działowski w swej pustocie nieraz urządzał wraz z jemu podobnymi kompanami nocne awantury. Działowski bywał u mnie prawie dziennym gościem. Przychodził do mnie po to, by odrzynąć odemnie dzienne zadania szkolne. Żeby zapewnić sobie na wszelki przypadek w razie czego swoje alibi, wciąż mi wbijał do głowy:" Ty, słuchaj i spamiętaj sobie dobrze, każdorazowo, kiedy się będą ciebie pytać, czy ja byłem u ciebie, ty powiesz, że tak, że razem odrabialiśmy lekcję". A właśnie w ten wieczór Działowski u mnie nie był, ale był czynny gdzieindziej przy jakiejś grubej awanturze. Co to było, nie mogliśmy się dowiedzieć,ale musiało to być grube wykroczenie, skoro go jeszcze tego dnia relegowano z gimnazjum. A Działowski był na pensji u pani Roenspissa, a jako syn bogatego ziemianina był dobrze płatnym klientem, a Roenspiss był zadłużony po uszy i przez to w ciągłych tarapatach pieniężnych. Widocznie rano tej krytycznej nocy, kiedy Działowski dowiedział się o tej nocnej aferze, tłumaczył się przed Roenspissem,że on nie mógł być jej sprawcą, gdyż był u mnie na imieninach. I to właśnie spowodowało jego ranną niespodziewaną wizytę u mnie. Widząc w naszym pokoju próżne butelki

i wielki nieład, wyszedł prawdopodobnie zachwolony upatrując w tym właśnie potwierdzenie prawdziwości usprawiedliwiającego się tłumaczenia swego pupila. Jakiez tedy musiało być jego rozczarowanie, kiedy z mych zeznań się przekonał, że tak nie było ? A mnie doprawdy przy badaniu przez dyrektora zupełnie wyszło z pamięci, co mi wbijał stale do głowy Dzielowski. A nawet, gdybym był i o tym pamiętał, w danych okolicznościach nie byłbym w stanie kłamać przed dyrektorem. Dyrektor też był tak roztropnym i rozsądnym, że nad tą moją sprawę imieninową przeszedł zupełnie do porządku dziennego. Niebawem otrzymaliśmy promocyjne świadectwa z siódmej do ósmej klasy, a moje świadectwo należało do najlepszych i w sprawowaniu figurowało znów "sehr gut". Natomiast Roensbiss mi żadną miarą nie darował, że to z mojej przyczyny utracił tak rentującego się mu pensjonariusza, w miejsce którego już drugiego nie zdobył. Bodaj że fatum jakieś mnie prześladowało, że w ósmej i dziewiątej klasie gimnazjalnej znalazł on aż nadto sposobności, by się na mnie w jaknajbezwzględniejszy sposób za to zemścić.

W szponach mściwego profesora.

Pobyt w ósmej klasie gimnazjalnej, a również w ostatniej dziewiątej został mi zamącony, bo wprost zatruty szykanami i pozbawionymi wszelkich skrupułów postępowaniem względem mnie ze strony mściwego profesora Roensbissa. Mały, o lisiej twarzy, o bystrych niespokojnych oczach, w stałych tarapatach pieniężnych będący, a mający kilka dorosłych córek na utrzymaniu, nie mógł mi wybaczyć, że z mojej przyczyny stracił jedno z najlepszych źródeł dochodu. W stosunku do uczniów nie kierował się żadnym poczuciem sprawiedliwości, a przeciwnie kaprysem, sentymentem, a przede wszystkim otrzymywanymi łapówkami. W drugim roku mego pobytu w Chełmnie zmieniłem stancję, przeprowadzając się do domu na ulicy Grudziądzkiej, do p.Bogaczów, gdzie się znajdowała drogeria a przy niej restauracja, dokąd się zbierali profesorowie na "po-

krzepienie". Nieraz obserwowaliśmy, gdyż z podwórza mogliśmy obserwować, co się w lokalu dzieje, jak zwłaszcza przed zakończeniem roku szkolnego ten i ów z ojców zagrożonego nieotrzymaniem promocji ucznia siedział sobie razem z prof.Koenspissem, trącając się przyjacielsko, poklepując się po ramieniach poufale lub ściskając sobie serdecznie ręce, co oznaczało, że dobito targu. Oceny w zeszytach i w świadectwach dawał zupełnie dowolnie. Nademną pastwił się niemiłosiernie. Podkreślał mi każdy przecinek opuszczony, każdą kropkę, specjalnością jego było, uznawanie mego pisma za nieczytelne i przekreślanie mi całej pracy, a już szczytem było, kiedy wyliczał nazwiska tych, którzy odemnie ściągnęli i uczynił adnotację: "Abgeschrieben von dem und dem, deshalb "ungenügend". Miał on z nami dwa bodajże wówczas za najważniejsze uznawane przedmioty; "język niemiecki i łaciński". Ponieważ urobiłem sobie w tych przedmiotach silny fundament, byłem w nich zupełnie pewny, ale cóż mogłem poradzić na takie fałszerstwa ? Nazu pewnego w wypracowaniu klasowym z języka niemieckiego cała klasa chybiła temat, a ja tylko sam z całej klasy go właściwie pojąłem i wypracowałem, ale cóż z tego, kiedy tylko otrzymałem ocenę "[illegible] genügend". Cała klasa się o to oburzyła i się z nim o to kłóciła, że to krzycząca niesprawiedliwość. On został przy swoim. Ukoronowaniem jednak było wlepienie mi czwórki w świadectwie z łaciny na pierwszy kwartał. Wręczając mi świadectwo, gdyż był zarazem gospodarzem ósmej klasy, wycedził ironicznie przez zęby: "Niech pan sobie tę jedynkę z przeszłej klasy dobrze obejrzy, ona u mnie inaczej wygląda". Była to pierwsza czwórka jaką kiedykolwiek w świadectwie otrzymałem. Stanowiło to dla mnie wielkie ubliżenie i wywołało u mnie wielkie przygnębienie. Straciłem zupełnie chęć do nauki, bo, później pocóż się uczyć, kiedy i tak to na nic się nie przyda? W niemieckim też wlepił tylko łamaną trójkę. Była to i dla całej klasy widoczna krzycząca niesprawiedliwość, ale cóż miałem począć ? Poskarżyć się dyrektorowi ? Nauczyciel zawsze wygra. Postanowiłem wobec tego przenieść się do innego gimnazjum. Zwierzyłem się z tym Batkemu. Odradził mi oświadczając mi: "Niech pan tego nie robi! Na razie będę spokojny, ale gdyby miał on się aż

zarządem". Uchwalono również roczny zjazd delegatów poszczególnych placówek, ujednolicenie planu i programu nauki, równego dla wszystkich placówek oraz i obowiązki donoszenia poszczególnym placówkom o każdym wydalonym z organizacji za lenistwo lub niemoralne prowadzenie się członka, aby zapobiec ponownemu przyjęciu go do organizacji w razie jego przeniesienia się do innej miejscowości. Ten ostatni właśnie punkt przyczynił się, niestety, do wykrycia później tej organizacji. Głównie przyczynili się do przeprowadzenia tych reform studenci z Małopolski. W zasadzie były one dobre, przyczyniając się do podniesienia poziomu organizacji, kryły jednak w sobie niebezpieczeństwo łatwiejszego ich wykrycia, z czego sobie nie zdawali sprawy studenci z Małopolski, gdzie była już całkowita swoboda.

Odnośnie zjazdu delegatów, to dwukrotnie brałem w nich udział; raz w bydgoszczy, drugi raz w Gdańsku. Przypominam sobie dobrze, jakie wrażenie wywarła na mnie wówczas Bydgoszcz. Chełmno miało bądź co bądź charakter miasta polskiego. Choć i tu wszystkie napisy musowo były niemieckie, język polski rozbrzmiewał na każdym kroku. Inaczej było w Bydgoszczy. W sobotę, w dzień roboty, prawie nie usłyszałeś na ulicy mowy polskiej. Wszędzie tylko słyszało się szwabski język. Mieszkaliśmy u jakichś państwa Bogusławskich, mieli dwuch synów, w naszym wieku. Należeli też do Pilomatów. O ile w sobotę rzucała nam się w oczy i uszy niemczyzna, to znów w niedzielę w kościele, poza kościołem rozlegała się tylko mowa polska i wtedy poznać było można, że bydgoszcz to jednak miasto nie niemieckie, tylko że żywioł polski to świat pracy, rzemieślniczy, drobnokupiecki, który w dni powszednie zajęty był pracą przy zakładach pracy, warsztatach, w sklepach, podczas gdy Niemcy, jako 'naród panów" miał możność w dzień powszedni wałęsania się po ulicach. Bądź co bądź Bydgoszcz była silnie podniemczona przez wojsko, rzeszę urzędników, kupców i innych ludzi wzbogaconych, którzy mogli wieść życie próżniacze. Gorsze jeszcze było wrażenie z pobytu w Gdańsku. Tu już niemczyzna górowała wszechwładnie. To też mimowoli narzucało nam się pytanie: " Azali Gdańsk może jeszcze

Odwrotna strona!

do tego stopnia posunąć, by narazić na szwank aż jego promocję, to ja mam na niego bicz. On u mnie siedzi tak głęboko w kieszeni, że od razu mogę go zniszczeć." Nie wiem, czy p.Latke dał o tym do zrozumienia Roenspiesowi, bądź co bądź czwórek już mi odtąd więcej nie wlepiał, a trójki, chociaż i to była wielka krzywda dla mnie.

Z innej znów strony pociecha i zadowolenie.

Te przykrości i upokorzenia, jakich sprawcą był ów mściwy profesor, osładzała mi i sprawiała, że je łatwiej zniosłem, przynależność do Filomatów. Sprawy ojczyste, przejęcie się losem i niedolą Ojczyzny wysunęły się u mnie na plan pierwszy. Uczyłem się pilnie języka, literatury i historii ojczystej. Niedługo też trwał okres mego nauczycielstwa w kółku. Zdałem - według przepisu egzamin piśmienny i ustny z historii i literatury polskiej i zostałem kółkowym. Stałem się więc nauczycielem innych. Nie pamiętam już wszystkich, którzy przeszli przez moje kółko. Jednym z nich był Feldheim, który po wykryciu tajnej tej organizacji i wydaleniu go z gimnazjum udał się do U.S.A. i został tam księdzem, gdzie stał się autorem ksiąg treści religijnej m.i. i konkordancji Pisma św., która znana jest i w naszym kraju. Inny znów, niejaki Domański, również został księdzem w Stanach Zjednoczonych, trzeci Wolski, który dla braku dowodów został uwolniony w procesie toruńskim, został księdzem archidiecezji gnieźnieńskiej. W naszej organizacji za mych czasów dokonały się różne przeobrażenia. Przyczynili się do tego przede wszystkiem akademicy. Odwiedzali nas akademicy z akademii lekarskiej w Gryfii, częściowo z Wrocławia, ale także z Wielkopolski: z Krakowa i Lwowa, przywożąc nam zakazane na terenie pruskim pisma, jak "Tekę, Eszechpolskę i inne". Aż dotąd każda organizacja w poszczególnych środowiskach żyła swym własnym życiem, nie wiedząc prawie jedna o drugiej. Studentom udało się przeprowadzić pod tym względem zmianę w tym kierunku, że stworzono łączność pomiędzy nami, powiązawszy je pod jedną nadbudówkę: głównym

wrócić do Polski ? " Młodzieńcze jednak umysły nasze nie poddawały się zwątpieniu, wierząc niezłomnie, że Gdańsk jednak kiedyś będzie z powrotem polskim. W naszym młodzieńczym zapale zdawało nam się, że to właśnie my, młodzież filomacka, pogrzebaną Ojczyznę wydźwigniemy z grobu.

Idea słowiańskiej wspólnoty.

Zapoznawszy się z historią Polski i nieco lepiej z dziejami innych narodów słowiańskich zacząłem sobie miraże o przyszłych losach nietylko Polski tworzyć, ale i innych narodów słowiańskich, całej Słowiańszczyzny. Polska oczywiście, samo w sobie się rozumie, musi być wolna, ale nie tylko Polska, ale i inne narody słowiańskie, które jeszcze za mych czasów w znacznej części podzielały los Polski, będąc w niewoli u obcych narodów. W mojej młodzieńczej fantazji tworzył się miraż wolnych narodów słowiańskich, związanych wspólnotą jako równi z równymi pod przodownictwem Polski jako najbardziej ucywilizowanego narodu słowiańskiego. Aż dotąd, tak rozumowałem, dziejową rolę w Europie odegrały najpierw ludy romańskie, a kiedy one się przeżyły, na arenę dziejową wstąpiły ludy germańskie, które obecnie przeżywają swój okres szczytowy, po którym stoczać się będą w dół, a po nich przyjdzie kolej na ludy słowiańskie. Taka logika rozumowania wydawała mi się tak realna, że nie wątpiłem ani na chwilę w jej urzeczywistnieniu. To też objąwszy myślą i sercem Polskę zacząłem moje sentymenty i marzenia rozszerzać na całą Słowiańszczyznę. Paliłem się do idei panslowiańskiej, ale nie panslawistycznej, jak ją pojmowały wówczas władze moskiewskie. Naraz jawia się w gimnazjum jakiś starszy już jegomość, podając się jako " russisch geprüfter Sprachlehrer" z Bezarabii i poleca się dyrektorowi do udzielania za drobną stosunkowo opłatą miesięczną- bo 3 marek - chętnym do tego uczniom języka rosyjskiego. Nazwisko podał Murawski. Sprowadzili go do Chełmna oficerowie niemieccy stacjonującego tam pułku strzelców, celem uczenia się języka rosyjskiego.

Dyrektor Preuss pozwolił uczniom trzech najwyższych klas na branie udziału w lekcjach. Początkowo zgłosiło się dużo uczniów tak Polaków jak i Niemców. Kiedy się jednak przekonali, zwłaszcza Niemcy, że to nie żadna zabawka, a potrzeba pilności, najpierw oni odpadli, ale powoli odpadali i polscy uczniowie, jeden po drugim tak, że na placu "boju" pozostałem przy końcu ja sam jeden. Ponieważ denemu panu nie opłacało się już dla jednego ucznia przychodzić do gimnazjum, to ja do niego uczęszczałem, zabierając każdorazowo ze sobą "tabaku i wódzoju", bo za tymi specjałami on przepadał. Jednak opłacał mi się ten wydatek, bo był on faktycznie nauczycielem, gdyż uczył prawidłowo i systematycznie gramatyki, konwersacji i piśmiennych ćwiczeń. Dużo u niego skorzystałem. Przy mojej dość łatwo chłonnej pamięci poczyniłem dość znaczne postępy zwłaszcza i w konwersacji, gdyż rozmawialiśmy ze sobą po rosyjsku. I może byłbym dość dobrze opanował język rosyjski, gdyby naraz niespodziewanie nie był nastąpił koniec. Pewnego razu przychodzę jak zwykle na lekcję, pukam do drzwi. Murawski mi nie otwiera. Dopiero na dalsze uporczywe pukanie przychodzi jakaś pani i powiada mi, że p. Murawski nagle wyjechał. Dopiero później dowiedziałem się, że był poszukiwany przez władze rosyjskie jako kryminalista. W nauce więc języka rosyjskiego nastąpiła przerwa, ale ciąg dalszy nastąpił jeszcze w Seminarium Duchownym w Pelplinie.

Rozbiór Polski to polityczna grabież.
I co dla mnie z tego wynikło.

Dotarłem wreszcie do 9-tej klasy, ostatniej, gimnazjalnej, do wyższej prymy. Nie śmiał mi mój "przyjaciel" wlepić czwórek w swoich przedmiotach, choć te trójki z języka niemieckiego i łacińskiego były i także wielce krzywdzące dla mnie. Ale ostatecznie pogodziłem się z tym. Powoli przyzwyczaiłem się i do tych chronicznych już szykan przewrotnego pedagoga i otrzaskałem się z nim. Na jego drwinkowe i prowokacyjne pytania, odpowiadałem równym stylem albo gdy były zbyt drażniące,

wogóle nic odpowiadałem. W przeświadczeniu, że przecież coś umiem i w najgorszym razie mógłbym się zgłosić do matury gdzieindziej jako ekstraneusz, zacząłem się jeszcze stawiać nauczycielom, co miało ten skutek, że nabrał dla mnie pewnego respektu. Tymczasem zaszło coś takiego, co stosunek jego do mnie jeszcze bardziej zaognilo, a nawet mogło narazić całą moją przyszłość i to akurat pół roku przed maturą. A było to tak: W gimnazjach niemieckich było wolno, tym abiturientom, którzy przepadli w egzaminie przed wielkanocą, powtórzyć egzamin maturalny przed jesiennymi feriami. Reszta uczniów pisała razem z nimi, ale im były te prace policzone tylko jako zwykłe zadanie klasowe. Z języka niemieckiego był dla nas temat historyczny. Brzmiał następująco: "Das allmähliche Anwachsen Preussens unter den grossen Kurfürsten und den folgenden Hohenzollern" /Powolny wzrost Prus pod wielkim elektorem i następnymi Hohenzollernami/. Tu trzeba było poruszyć i sprawę rozbioru Polski, na skutek którego Prusacy poszerzyli granicę państwa. Historię wykładał nam niejaki Malotka - zniemczony Kaszuba - ożeniony z luterką, ale dobry praktykujący katolik. Podziwialiśmy jego siłę woli i ducha zaparcia się. Podczas gdy przez cały rok bynajmniej nie gardził alkoholem i tytoniem, w czasie całego wielkiego postu ani jednego ani drugiego narkotyka nie wziął do ust. Poza tym odznaczał się od innych profesorów jeszcze i tym, dodatnio, że, kiedy inni utrzymywali u siebie dobrze płacących uczniów, wśród nich znajdował się nawet i dyrektor Preuss, który miał u siebie syna bogatego kupca w Gdańsku, w dodatku żyda, to Malotka nie tylko nie dorabiał się w ten sposób, ale nawet przeciwnie dawał darmowe obiady biedniejszym uczniom. Otóż profesor, ten przy wykładaniu historii stale akcentował, że w historii uwydatniać się winna prawda. Ja dobrze to sobie wziąłem do serca. Jak pisać prawdę, to ja ją napiszę, niech się dzieje co chce ! Napisałem tedy w owym wypracowaniu dosłownie tak: "Zwar hat Preussen durch die Teilungen Polens sich wichtige Ländergebiete angeeignet, doch war das mehr ein politischer Raub als eine

gerechte Gebietserweiterung, was sich früher oder später an Preussen rächen muss" /Wprawdzie przez rozbiory Polski Prusy przywłaszczyły sobie znaczne obszary ziemi, była to atoli raczej polityczna grabież niż sprawiedliwe poszerzenie granic, co wręczej czy później na Prusach pomścić się musi/. Napisałem to tak prawdziwie ex abundantia cordis /z pełni serca/, nie uprzytamniając sobie w danej chwili, jakie by to mogło pociągnąć za sobą konsekwencje.

Po upływie dwuch czy trzech dni prof.Koenspiss, poprawiając zeszyty natknął się na te zwroty. Podkreślił je kilkakrotnie czerwonym atramentem, a na marginesie, żeby to od razu czytającemu padło, nakreślił kilka wielkich pytajników i wykrzykników. Krótko potym przychodzą do mnie dwaj pozostali mu jeszcze pensjonariusze, a moi koledzy klasowi Henio Tempski, syn ziemianina z kościerskiego i poprzednio wymieniony Kupferschmid i powiadają:"Na boga, cóż Ty napisał w twoim wypracowaniu! Toć stary /Koenspiss/, kiedy to przeczytał, jakby oszalał. Obiadu wcale nie jadł, a biegał w koło stołu i plul i sobie się odgrażał. Cóż Ty właściwie takiego napisał ?" pytają. "Cóż ja napisał ? odpowiadam, prawdę napisał i tyle". "No tak, ale co z tego wyniknie ? wyleją cię chyba odrazu", mówią. "Co już z tego będzie, to będzie, ale niech się niemczury przynajmniej raz prawdy dowiedzą". Udawałem tu zucha, ale w rzeczy samej głucho mi się zrobiło na duszy ! Dopiero teraz bowiem uświadomiłem sobie w całej pełni grozę mego położenia. Pomyślałem sobie o tym, co nie tylko ze mną się stanie, jeżeli mnie wyleją, ale jak taki los zniesie moja ukochana matka ! Następnego dnia była rocznica zwycięstwa Niemców pod Sedanem. Był to dzień wolny od nauki. Miast lekcyj był tylko akt uroczysty w auli, a po nim albo czas wolny albo jakaś wycieczka. Właśnie byliśmy w klasie, czekając na dzwonek, wzywający nas do pójścia na aulę, gdy wpada do klasy Koenspiss trzymając jedynie mój zeszyt w ręku, rzuca mi go na ławkę i krzyczy zjadliwie: "Następstwa tej bezczelnej prowokacji poniesie pan niebawem. Zobaczymy, na czym się to skończy".

Po uroczystości w auli każe mi dyrektor stawić się u siebie w gabinecie. Gdy wszedłem, zamknął za mną drzwi na klucz i odzywa się nerwowo:"Co Pan zrobił ? Czy Pan nie zdaje sobie sprawy, że to może Panu kark skręcić i to akurat teraz, kilka miesięcy przed maturą ? A niech Pan nie liczy na to, że po wydaleniu z tutejszego gimnazjum za to swoje szaleństwo może Pan mieć widoki przyjęcia go do innego gimnazjum". Odpowiedziałem mu: "Panie Dyrektorze ! Ja przecież tylko prawdę napisałem tak, jak nas uczył prof."Małotka. Jak to bowiem można inaczej określić zagrabienie wśród pokoju innemu narodowi jego własnej ziemi i pozbawienia go niepodległości ? " W swojej replice dyrektor usiłował mnie przekonać, że wobec anarchii, która w Polsce zaistniała, a która z łatwością udzielić się mogła i Prusom, król pruski, Fryderyk drugi, tak postąpić musiał" Przyznałem mu w tym słuszność, że rzeczywiście Polskę ogarnął nierząd, ale naród polski zdobył się też na tak wiekopomny czyn, jak uchwalenie Konstytucji 3 Maja, zapewniającą mu jego odrodzenie, a król pruski właśnie wtedy, mimo zawartego z Polską układu ją zaracził. Na to mi Dyrektor, wyczerpawszy swe argumenty, rzecze dosłownie:"Ach, was wissen Sie junger Mann, von der hohen Politik ? Können Sie nicht das Sprichwort "Kleine Diebe hängt man, grosse lässt man laufen" /Ach, co Pan,młody człowiek, znać się może na wysokiej polityce ? Nie zna Pan przysłowia, że małych złodziejji się wiesza, a dużych się puszcza wolno?/. "Panie, kończył swe wywody, mnie Pana serdecznie żal, bo Pan gotów sobie zwichnąć karierę na całe swe życie. Ja Pana nie chcę zgubić, o ile to tylko będzie w mojej mocy. Ale za tydzień przyjedzie na ustny egzamin radca szkolny,p.Kruse. Ma on zwyczaj każdorazowo przeglądać wypracowania niemieckie uczniów wyższej prymy. Ja jego uwagi nie zwrócę na ten fatalny ustęp, ale, jeżeli on sam na niego natknie, to Pan odrazu znajdzie się poza obrębem gimnazjum". Rzeczywiście przybył na egzamin ten radca szkolny. Był to jednak ostatni jego egzamin przed pójściem na emeryturę.Nie miał już przeto interesu przeglądania naszych zeszytów,

I tak dzięki wielkoduszności tego zacnego Inspektora i szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że to był egzamin ostatni tego radcy, ocalałem. Dzisiaj, kiedy to piszę, staje mi żywo w pamięci tamten incydent i los, jaki spotkał w ostatnich czasach Prusy, bo właśnie one są dziś głównie podzielone po II wojnie światowej na dwie części. Czy w tym właśnie nie ujawnia się ręka Boskiej sprawiedliwości ?

Jeszcze jeden mój wróg w gronie profesorskim.

Matematyki udzielał nam niejaki profesor Serres. Miał on u uczniów przydomek "nachrade" , bo to słówko powtarzało się u niego co rusz. był to hakatysta w stu% procentach, nie nawidzący wszystko, co polskie. I pech jakiś chciał, że jeszcze i temu profesorowi musiałem się narazić i to z powodu właściwie zupełnie błahego. Otóż miał on zwyczaj przy wyjaśnianiu jakiegoś twierdzenia matematycznego podawać nazwisko jego autora. Razu pewnego padło z jego ust nazwisko "Kochanski", tak bowiem brzmiało w jego ustach nazwisko Kochański. Nie przypuszczał on zgoła, żeby to mógł być Polak, bo gdzieże w jego oczach sławnym człowiekiem mógł być Polak. Niestety, oświadczył on przy wymawianiu nazwiska Kochańskiego, nie mogę wam podać bliższych szczegółów z życiorysu tego uczonego matematyka. Za to ja się zająłem tym wymienionym matematykiem, bo wydawało mi się, że to musi być Polak. Stwierdziłem, że był to naprawdę Polak, przebywał na dworze króla Poniatowskiego i odznaczył się swą wiedzą w dziedzinie matematyki. Napisałem krótki życiorys tegoż uczonego. Nie chcąc jednak sam z tym wystąpić przed Serresem, podałem ten skrypt memu koledze, Westphalowi, zaklinając go, żeby pod żadnym warunkiem mnie nie podał jako jego autora. Zaraz na początku lekcji matematyki wyrywa się Westphal, a znając Serresa nienawiść do Polaków, na przekór jemu z szczególnym naciskiem oświadcza: "Panie Profesorze ! Ja wiem, kim jest ten Kochański. Panie Profesorze, to był Polak, tak Polak, sławny matematyk na dworze króla Poniatowskiego i t.d.". W Serresa jakby

grom uderzył. Polak sławnym matematykiem, to już więcej nić on mógł znieść. Natychmiast wziął biednego ucznia w krzyżowy ogień, skąd on to wie, czy to wogóle prawda, niech powie, na jakich źródłach on to swoje twierdzenie opiera, aby on mógł w to uwierzyć. I tak długo go zasypywał podchwytliwymi pytaniami, aż ten wreszcie przyparty do muru przyznał się, że to ja mu to podałem. Teraz dopiero z całym impetem wpada na mnie: "ba,ja, Lembiński" ten by chciał wszystkich zrobić Polakami. Skąd pan to wie? Ja tego nie wiem, a pan to chce wiedzieć !" I tak natarczywie mnie indagował, że i ja znalazłem się również w zakłopotaniu. Nagle przypomniał mi się Herdera Lexikon i na chybił trafił oświadczam, że znalazłem to w Herdera Lexikonie, choć jeszcze do dziś nie wiem, czy nazwisko Kochańskiego tam figuruje. To go jednak uspokoiło, ale nie względem mnie. Szykanował mnie po tym wypadku nieomal na równi z Koenspissem. Każdorazowo, kiedy wynalazł jakiegoś sławnego matematyka, zwracał się do mnie i ze złośliwym przekąsem wykrztuszał:" Lembinski, a może to też Polak? Niech pan szuka po lexikonach,może pan znajdzie ! " To też w miarę jak się zbliżał termin matury, coraz większy ogarniał mnie niepokój. Zdawałem sobie sprawę, że ci dwaj profesorowie, gdyby tylko mogli, z największą przyjemnością by mnie w egzaminie spalili.

Egzamin maturalny. Nie spalili.

W tych warunkach, jakie opisałem i w położeniu, w jakim znajdowałem się, rzecz chyba zrozumiała, że w egzamin wszedłem z wielką obawą. Nie tyle jednak lękałem się prac piśmiennych, to czułem się w danych przedmiotach dość pewnym, z wyjątkiem chyba matematyki, w której tak znów pewnym nie byłem. A przytym wiedziałem, że prace piśmienne są dostępne całej komisji egzaminacyjnej, jak również przybyłemu na egzamin radcy szkolnemu, który, jak opowiadano, nieraz zmieniał bądź to na gorsze bądź to na lepsze oceny danego profesora. Taki przeto stan nie pozwalał na zupełną dowolność profesora. Jak bardzo

Roenspisowi zależało, aby mnie utrudnić te prace piśmienne, dowodzi choćby i to, że zaraz przed rozpoczęciem pierwszej pracy piśmiennej z języka niemieckiego kazał mi usiąść w pierwszą ławkę przed katedrą, w której byłem tylko sam jeden, podczas gdy w innych, dalszych ławkach było po dwuch i trzech uczniów i mogli sobie wzajemnie pomagać. Nic mi to jednak zaszkodziło. Z niemieckiego otrzymałem ocenę: dostateczną, chociaż byłem przekonany, że praca i w tym przedmiocie na lepszą zasługiwała ocenę, ponieważ dobrze byłem z materiałem obeznany- z łaciny, greckiego, francuskiego ocena dobra, a z matematyki, w której czułem się słabszym niż w innych- nawet: bardzo dobra. Była w gimnazjach niemieckich taka praktyka, że ,kto miał w ciągu całego roku z wszystkich przedmiotów conajmniej dostatecznie, a w piśmiennych maturalnych na dobrze, przyczym ocena bardzo dobra wyrównywała ocenę dostateczną, więc na podstawie wykonanych prac piśmiennych musiałem zostać od ustnego egzaminu uwolniony. Ale ja oczywiście rezultatu mych prac piśmiennych przed egzaminem ustnym nie znałem, to też szedłem nań w panicznym strachu, bo zdawałem sobie sprawę, że w egzaminie ustnym daleko łatwiej profesorowi ucznia zlać niż w piśmiennym. To też można sobie łatwo wyobrazić, z jak niepohamowaną radością przyjąłem wymienienie wśród pięciu zwolnionych uczniów od ustnego i mego nazwiska. To mi poniekąd wynagrodziło wszystkie moje udręki ostatnich dwuch lat.

Nie długo potym odbyło się uroczyste pożegnanie maturzystów. Przy wręczaniu świadectwa każdy wywołany przez dyrektora abiturient przystępował do katedry, gdzie dyrektor wręczając świadectwo podawał mu rękę wyrażając mu swoje stereotypowe życzenia szczęścia, pomyślności, dobrego powodzenia. "nie natomiast w inny sposób wynurzył swoje życzenia:" A panu, panie Dembieński, życzę tylko jednego: Niech pan zdala trzyma swe ręce od polityki, bo panu źle pójdzie w życiu". Dosłownie: "Und Ihnen, Herr Dembieński, wünsche ich nur das eine: Halten Sie Ihre Hände weg von der Politik, sonst wird es Ihnen schlecht gehen im Leben". Dodał to nieco przyciszonym głosem, by inni tego nie słyszeli. Zdawałem sobie dobrze sprawę, że ten tak bardzo mi życzliwy dyrektor tylko dobrze mi życzył.

Ja jednak do tej tak jego życzliwej racy się nie zastosowałem później w życiu. I faktycznie wszystkie moje/późniejsze utrapki w tym miały właśnie swe źródło. Ale jakże było możliwe dla mnie patrzeć obojętnie i bezczynnie na dolę ludu polskiego, tak srodze gnębionego przez wroga! Otworzywszy następnie świadectwo, począłem odczytywać poszczególne oceny. Natknąłem się na język niemiecki.Cóż to za długi wypis w odnośnej rubryce ? " e piśmienna praca zgodnie z jego innymi piśmiennymi pracami była dostateczna, natomiast w ustnym używaniu języka okazywałem podpadającą ociężałość i bezradność". Wprost krew mnie zalewała przy czytaniu tego zwrotu. Była to wprost nikczemna złośliwość ze strony tego niepohamowanego w swej mściwości wychowawcy młodzieży. Dobrze, że poszedłem na teologię do seminarium duchownego. Ale gdyby nie to,to w ówczesnych warunkach z taką uwagą, ze tak lekceważąco odniosłem się do języka niemieckiego, iż po kilku latach szkoły podstawowej i dziewięciu latach gimnazjum jeszcze nie umiałem się ani dobrze wysłowić w tym języku, byłbym się napotykał na najrozmaitsze trudności w życiu. A przecież przez wszystkie klasy gimnazjalne, aż dopóki się nie dostałem w jego łapy, miałem z języka niemieckiego stale "gut", a nawet nieraz "gut z.t. sehr gut",a więc łamaną jedynkę. Dopiero tu uświadomiła mi się cała pełnia jadu, jaką on żywił dla mnie. I to za co ? Czyż ja byłem winien, że tego ucznia wylano ze zakładu.za jego grube wybryki ? Czyż to nie on sam, który objął nad tym uczniem opiekę, za którą mu tak grubo płacono, nie był też za niego odpowiedzialnym, a nie ja ? I o spotęgowanie się jego żywiołowej nienawiści względem mnie przyczynił się jeszcze ów zwrot w wymienionym wypracowaniu. Głosi nasze przysłowie, że nie ma nic tak złego, co nie wyszłoby na dobre. Byłem może aż nadto ambitny i po trosze i zarozumiały, że mi się stale tak dobrze wiodło w gimnazjum. Te nieustanne upokorzenia, które przez całe dwa lata znosić musiałem od tego przewrotnego profesora, a później jeszcze i od tego drugiego polakożercy,spiłowały mi znacznie moje różki,nauczyła mnie w znacznej mierze pokory.

Do Seminarium Duchownego w Pelplinie. Wykrycie tajnej organizacji Filomatów.

Po maturze zwykle młodzieniec staje jak ów mityczny Herkules na rozstajnych drogach, ważąc u siebie,którą sobie obrać drogę. U mnie tego namyślania się i wahania nie było. Mój cel życia już dawno się był ustalił: zostać księdzem. A todzcem ku temu była [illegible]: Poświęcić się służbie bożej i Ojczyźnie.Dec et Patriae. Zgłosiłem się tedy do władzy biskupiej w Pelplinie i zostałem przyjętym do Seminarium Duchownego. Nastąpiło to po wielkiejnocy r.1900 . Cicho płynęło życie kleryka w zaciszanych murach seminaryjnych. Ten spokojny tok życia seminaryjnego został jednak nagle brutalnie zburzony nieoczekiwanym zgoła zajściem. Było ściśle dnia 5 stycznia 1901. Mamo po śniadaniu udając się na I piętro, by pójść do auditorium na prelekcje, spojrzałem oknem w kierunku ulicy i widzę na placu przed seminarium żandarma pruskiego. Obecność żandarma tu było czymś niezwykłym, przed murami Seminarium Duchownego. Z moim spostrzeżeniem podzieliłem się z moimi kolegami. Nie było jednak czasu do namysłu.Rozległ się dzwonek wzywający na prelekcję.Naraz podczas prelekcji ktoś puka do drzwi i wywołuje mojego kolegę, Bolesia Makowskiego, który po czasie dłuższym powraca z silnie zarumienioną twarzą i siada na swym miejscu, a po nim zaraz wywołują mnie. Zaprowadzono mnie do pokoju, w którym zastałem trzech cywilów.Przystępują natychmiast do rewizji,najpierw do osobistej, przeszukując mi całe ubranie, potym książki, a wreszcie szufladę z korespondencją. Znaleziono wszystkiego razem jeden jedyny list od mego przyjaciela, ówczesnego ucznia wyższej prymy gimnazjum, Feliksa Zelewskiego. My klerycy, byli członkowie filomaccy, utrzymywaliśmy ścisły kontakt z naszą tracią młodszą będącą jeszcze w gimnazjum. Tak też, kiedy o zajściu w Śremie się dowiedziałem,natychmiast doniosłem o tym Zelewskiemu z tym, żeby o tym i innych poinformował, zalecając ostrożność. Na ten mój list otrzymałem odpowiedź następującej treści: "Co do Śremu, to jesmy tez już się dowiedzieli.Natych-

miast zawiesiliśmy kółko na ścianie i zarządzili wszystko,co było potrzeba". List ten powinienem był zaraz spalić, ale czyż mogłem przewidzieć, co nastąpiło? Zresztą i tak by to nic nie pomogło ani mnie ani mojemu przyjacielowi Zelewskiemu, bo już i tak zostaliśmy przedtym obydwaj przez Gocza ujawnieni. Oprócz mnie i Makowskiego z mego kursu jeszcze takiej rwizji poddany został: Boleś Przybyszewski, a z drugiego kursu: mój kuzyn Bernard Dembek, Albin Kroplewski, Marian Marczyński i Jaś Bell.

Jak doszło do wykrycia ?

Niestety, do wykrycia tej tak pożytecznej tajnej organizacji młodzieńczej, przyczyniła się właśnie ta nie tak bardzo mądra uchwała, by o wydaleniu każdego ucznia z jakiejś placówki, cokolwiek wszystkim innym celem zapobieżenia przyjęcia go z powrotem gdziekolwiek bądź. Właśnie i tu pod pewnym względem i moja osoba wchodzi w grę. Uszczęśliwiony bowiem przyjęciem do tej organizacji i przejęty do żywa jej wzniosłymi celami,pragnąłem i innym tego szczęścia przyczynić i naprawić choć w ten sposób to, że dopiero tak późno przejrzałem.Ze mną razem w dwuch pokojach mieszkało jeszcze pięciu kolegów będących I klasę niżej ode mnie. Byli to uczniowie: Gocz,Klin,Maliszewski,Zelewski. Kolejno wszystkich powciągałem do organizacji. Najbarziej jednak chodziło mi o Gocza. Jasiak był Kaszubą z Kościerzyny, gdzie ojciec jego miał sklep z obuwiem. Na wciągnięciu Kaszubów zależało też bardzo do organizacji, ponieważ chodziło o wyrobienie uświadomionych narodowo działaczy wśród braci kaszubskiej, tak bardzo zagrożonej przez germanizację. Gocz był pilnym, wzorowym i pobożnym uczniem. Jego najgorętszym marzeniem, którym się wprost upajał i nim żył, było kapłaństwo. Wyśpiewywał sobie pieśni religijne, szczególnie gregoriańskie melodie.Dla spraw narodowych nie okazywał stoli żadnego zrozumienia.Ale ja sobie przedstawiałem, że skoro tylko przejrzy, jak i ja, a pozna szczytne ideały,jakim służy organizacja,

zapali się do nich tak jak i ja. Niestety, omyliłem się. Gorycz, jak nie miał przed tym żadnego zrozumienia dla spraw narodowych, tak i później, po wstąpieniu do organizacji, odniósł się do niej z zupełną obojętnością. Ba, kiedy sobie uprzytomnił, że przynależność ta kryje w sobie niebezpieczeństwo ewentualnego wydalenia ze zakładu w razie jej wykrycia, co by mu przeszkodziło w osiągnięciu przezeń tak gorąco upragnionego celu, zaprzestał wogóle uczęszczać na lekcje i brania jakiegokolwiek udziału w jej życiu, na skutek czego musiał być wykluczony z placówki. Według znanej uchwały doniesiono o tym wszystkim innym placówkom, a między innymi i do Śremu. Dnia 12 listopada 1906 r. uczniowie wyższej secundy Domagalskiemu, zabrał prof. Fechner notes, który miał w ręku, a w którym poczyniona była wzmianka o wydaleniu Gorycza z Koła w Chełmnie jako i dalszych z Torunia i Brodnicy za brak pilności i lekceważenia sobie swych obowiązków. Pozatym zawierał notatnik jeszcze i inne wzmianki, każące się domyślać istnienia sieci tajnych organizacji wśród młodzieży polskiej w średnich uczelniach. Domagalski stawił się profesorowi sztorcem, do niczego się nie przyznał i został z gimnazjum wydalony. Wobec tego sprawę ze Śremu kolegium szkolne w Poznaniu i Gdańsku skierowało do Chełmna, Torunia i Brodnicy. Dyrektor Preuss w Chełmnie otrzymał polecenie wybadania Gorycza. Gorycz opierał się długo, przeczął wszystkiemu. Dyrektorowi jednak przyszedł z pomocą nauczyciel religii, ks. Dr. Teitz. Na nauce religii właśnie w tej klasie, w której był Gorycz, tłumaczył uczniom z naciskiem, że przysięga, złożona dla zdrożnych celów, nie tylko nie obowiązuje do jej zachowania, ale przeciwnie nakłada obowiązek jej ujawnienia. Było to kilka dni przed wakacjami świątecznymi. Jak zwykle, odbyła się wspólna spowiedź i komunia św. Zaraz po komunii św. Dyrektor w porozumieniu z ks. Teitzem zawezwał Gorycza do siebie i począł go indagować, przedstawiając mu, że właśnie dziś, kiedy przyjął komunię św. winien wyznać prawdę. Wtedy Gorycz się załamał i wyznał całą prawdę. Dyrektor, kiedy to usłyszał, załamał ręce i powiedział: " O, Gorycz ! Hätten Sie das nie gesagt"/ /"O, Gorycz, żeby pan nigdy był tego nie powiedział"/. Dyrektor bowiem zdawał sobie sprawę, jakie to następstwa

Odpis.

II. List Feliksa Lelewskiego do Dembieńskiego.

Chełmno, 3 grudnia 00.

Mój kochany Dąbku!

List Twój odebrałem, za który Ci serdecznie dziękuję. Były to bardzo smutne wiadomości. Co do Sremu, wiedzieliśmy już i zrobiliśmy, co potrzeba. Zaraz powieszono kółko na sojana, dla grożącego niebezpieczeństwa. Były w tych dniach poszukiwania u niektórych gimnazjastów, np. u Gończa przez prof. Roenspiessa i Kurszałła. Gończ, nie wiedząc, co się stało, został wywołany podczas lekcji polskiej przez dyrektora. Chodzili nauczyciele przed południem, gdy wszyscy byli w klasie. Zabrali Gończowi Słowackiego. Było w tej książce wpisane jakieś nazwisko /Wolskiego, od którego tę książkę kupił/, którego nie mogli przeczytać, bo było zamazane i myśląc, że skąd ją dostał zabrali. Nie wiem, czy teraz jeszcze są poszukiwania i nie słyszałem nic, żeby się mogło coś wydać. Ja to jestem przynajmniej pewnym, że do mnie nikt z bałakarzy nie zawita. Gończ taki przestraszony, że spodziewa się dymisji z gamajki i nie można go uspokoić. Co do mnie, to jestem zadowolony i spodziewam się świadectwie samych trójek i lepiej. Mamy teraz okropnie do kucia, bo spodziewamy się nowego szulirata, i to już jutro.

Był on już w Wejherowie, Chojnicach, Brodnicy, Toruniu, Lubawie itd. Ma to być okropny łyk. Tomaszewski dyrektor w Chojnicach, prosił natychmiast o urlop i da się pensjonować. Kto wie, jak on z nami pojedzie. Jak to z Teką stoi, nie mogę sobie wyobrazić, szczególnie, dlaczego tak długo nie przysyłają. Zapisałem ją zaraz po odebraniu Twego listu i to w obecności pani Kl. Przychodzę więc za tydzień, nie nadeszła; znów za tydzień pyta się ona jego, czy Teka nadeszła. Przyszedł on i powiada, że tylko wtedy może zapisać, jeśli się zobowiążę na dłuższy czas abonować, i to na pół roku, lub cały rok. Więc zobowiązałem się narazie na pół roku. Byłem znów wczoraj, niema. Więc mój kochany, wybacz, ja temu nie winien. Wczoraj była nasza cała buda w Świeciu, bawiliśmy się dobrze i dopiero o 11-ej byliśmy w domu. U nas już dosyć zimno. Dzisiaj pisaliśmy niespodzianie pracę z religji. Bakałarze zgłupieli, bezwstydnie wymagają, mój kochany, dziękuj Bogu, że nie potrzebujesz myśleć o gimnazjum. Prześladowanie nie zna granic /potem rzeczy obojętne/.

Serdeczne pozdrowienia zasyła Ci

Twój Feliks Z.

NB. Nie wiem, jak Ci Tekę mam nadesłać. Napisz mi.

pociągnie za sobą i dla dotkniętych tym wyznaniem uczniów i dla zakładu samego. Nie można się oprzeć wrażeniu, że ta pułapka na Gorcza inspirowana była przez ks.Leitza, żeby właśnie ten podniosły nastrój Gorcza wywołany przyjęciem komunii św., wykorzystać dla znieworlenia go do wyznania tajemnicy. Dyrektor sam przecież był wolny od wszelkiej animozji względem Polaków. Ów wypadek już sam w sobie dostatecznie jest tego dowodem. Aczek dyrektor tuszując sprawę tego,co w owym wypracowaniu napisałem o "politycznej grabieży" napewno byłby się naraził na ostrą naganę ze strony wyższej władzy, gdyby się to było do niej doniosło. Cała opinia społeczeństwa Chełmna i okolicy też nie dyrektora Preussa, a właśnie ks.Leitza obciążała odpowiedzialnością za to, co się było stało i dawała mu to odczuć, to też przy nadarzającej się sposobności postarał się on o przeniesienie go do seminarium nauczycielskiego w Tucholi. Dyrektor Preuss później też został przeniesiony do Bransewe w ówczesnych Prusach Wschodnich, gdzie jako dobry katolik wybrany został posłem do parlamentu niemieckiego z ramienia katolickiego centrum. - Co do Gorcza, to temu miał dużo przykrości ze strony polskiej.Zarzucano mu zdradę. Ja jednak, który bliżej go znałem, usprawiedliwiałem go i broniłem.Nie on był winien, ale ci, którzy wykorzystując wrażliwość niezwykłą i czułość i delikatność jego sumienia, go do tego znieworlili. Gorcz, później wyświęcony na kapłana, czuł się gorliwym Polakiem i bronił sprawy polskiej. Podczas drugiej wojny światowej przypieczętował też swoją wierność dla Polski życiem swoim z rąk hitlerowskich siepaczy w Oranienburgu.

Zawezwanie do sądu śledczego w Chełmnie.

Nastąpił teraz okres śledztw w poszczególnych miastach, gdzie stwierdzono albo przypuszczano istnienie tajnych kół. Nie moim tu zamiarem opisywać bliższe szczegóły dokonywanych rewizyj.Cały ten proces źródłowo t.j.na podstawie urzędowych akt procesowych opisał znany na naszym terenie historyk, ks.prałat Szaplewski. Ograniczę się tylko do tych spraw,które dotyczyły nas kleryków lub jakiś

związek z tym.

Przy końcu lutego 1902 r. otrzymaliśmy zapozew stawienia się do gmachu sądowego w Chełmnie. Przypominam sobie, że był w tych dniach siarczysty mróz. Przez Wisłę, całkiem zamarzniętą, przeprawiliśmy się po lodzie. Podczas marszu naszego ulicami miasta niepostrzeżenie przyłączył się do nas, specjalnie do mnie, mój przyjaciel Żelewski. Zaczął mi szeptać do ucha: "Wiesz, jak ja tłumaczyłem przed prokuratorem treść inkryminowanego listu, w którym mowa o zawieszeniu kółka. Otóż słuchaj i spamiętaj sobie dobrze! Ojciec na Gwiazdkę obiecał mi kupić rower. Ponieważ jednak otrzymałem złe świadectwo, zawiesił mi kółko na ścianie z tym, że otrzymam je dopiero wtedy do użytku, kiedy na Wielkanoc przywiozę lepsze świadectwo i promocję". "No, a co prokurator na to ?" pytam. "Oczywiście, odpowiada, wściekał się, zarzucał mi kłamstwo, ale ja zostałem przy swoim. Ty musisz tak samo zeznać, inaczej bowiem mnie wkopiesz". Nie wydało mi się to tłumaczenie zbyt zręczne, ale by nie skompromitować mego przyjaciela, wyraziłem mu zgodę na jego propozycję. Stanąłem tedy i ja przed srogim obliczem sędziego śledczego, niejakiego Fuchsa. Był to młody jeszcze człowiek, nie wysokiego wzrostu, brunet, o starannie umuskanej fryzurze i wąsikach, o czarnych, jak węgiel, świdrujących oczach. Kiedy odnośnie rzeczonego listu dałem mu takie same tłumaczenie jak Żelewski, wpadł wprost w furię, zaczął mi odgrażać, że mnie zaaresztuje, wyzywał od kłamców. Odpowiadam mu: "Panie sędzio! Kółko oznacza rzeczywiście "rower". Wówczas kazał sekretarzowi przynieść słownik polsko- niemiecki Lindego, poszukał słowo kółko i ~~[illegible]~~ począł czytać, co to słowo oznacza w języku niemieckim. A więc czyta "kółko" heisst "Rad", "kleines Rad", "grosses Rad", "Fahrrad". Uczepiam się tego ostatniego określenia i odpowiadam: "A widzi pan sędzia, że kółko oznacza rzeczywiście rower". Na to się odzywa ironicznie: "Tak, tak, wy wszyscy mówicie prawdę, a kłamiecie jak najęci". Po też naprawdę mógł się wściekać, kiedy od nikogo z nas, niczego się nie mógł dowiedzieć, gdyż my, pomni złożonej przez nas przysięgi przy przystąpieniu do organizacji, wszystkiemu przeczyliśmy. Co do tego "kółka" to naprawdę byli oni zupełnie bezradni, jak to tłumaczyć. W akcie oskarżenia przy zapodaniu treści rzeczonego listu poczyniono

uwagę,że wywieszenie kółka na ścianie oznaczało widocznie jakiś znak ostrzegawczy. Po powrocie do Seminarium nastąpił dłuższy okres spokoju. Czas ten władze śledcze użyły, by na podstawie wyniku przeprowadzonych śledztw wycztować akt oskarżenia. Oczywiście czas ten upływał nam na trwożliwym wyczekiwaniu tego, co nam przyszłość przyniesie.

Dalsze uprawianie języka rosyjskiego. Plan zwiedzenia Rosji. - Mój pech.

Po wstąpieniu do Seminarium zwierzyłem się kilku moim kolegom z mojej znajomości języka rosyjskiego.Od razu dwuch z nich, a mianowicie Stась Czaplewski,brat znanego historyka, ks.prałata Cz. i Teofil Wańkowski,brat prezesa Tow.Naukowego w Toruniu,wyrazili również pragnienie uczenia się języka rosyjskiego. Prosili mnie,żebym im służył pomocą w tym. Zabraliśmy się pilnie do nauki,oni jako uczniowie, ja poniekąd w roli nauczyciela. A ponieważ nauczyciel musi trochę więcej umieć od uczniów, stanowiło to codziec dla mnie,by już zdobyte wiadomości stale pogłębiać. Nauka więc rosła. Po kilku miesiącach już tak dalece postąpiliśmy w niej, że już nie najgorzej umieliśmy i "gawarić i pisać po ruski". Wtedy apetyty nasze rosły. Dowiedzieliśmy się skądś, że w Petersburgu istnieje jakieś "obszczestwo słowiańskoje". Skierowaliśmy do pisma z zapytaniem,czyby nam nie mogli przysłać rosyjskiej lektury. To tym panom tak zaimponowało,że aż pismo skrajnie nacjonalistyczne "Nowoje Wremia" zamieściło artykuł zaznaczając, jakie powodzenie na idea panslawistyczna, że aż w "Poznańskim" utworzyło się kółko studenckie, które uczy się pilnie języka rosyjskiego. Ucinany wycinek z tego pisma skrajnie prawicowego nam przysłało to towarzystwo, równocześnie z całą paczką książek rosyjskich jak Gogola, Dostojewskiego i t.d.Pozatym przysyłano nam przez cały okres pobytu w Seminarium duchownym pismo nie już "Nowoje Wremia", to zdawano sobie sprawę, że ono by nas swymi antypolskimi wyskokami raziło, a bardziej liberalne pismo "Petersburskie Wiadomosci". Bawił nas ten zachwyt

nad rzekomym szerzeniem się idei panslawistycznej, bo wiedzieliśmy dobrze, do czego ona zmierza, ale nam nie chodziło zgoła o ich ideę, a raczej wykorzystanie ich dla naszych celów naukowych. Z przysyłanego nam regularnie pod opaską "Petersburskie Wiadomości" mieliśmy podwójne korzyści, bo i duchowe, mając coś do czytania, ale i materialne. Ten obszerny dziennik bowiem dostarczał nam sporo makulatury którąśmy sprzedawali, a które nam periodycznie przynosiło po kilka dziesiąt marek. A kierując się zasadą, że kto daje tyle, może dać jeszcze więcej, upatrzyliśmy podróż do Rosji, o ile rzeczone towarzystwo nam w tym przyjdzie z pomocą. Zwróciliśmy się w tym celu do owego towarzystwa słowiańskiego. Otrzymaliśmy odpowiedź, że byleśmy mieli tyle pieniędzy, by dojechać do Petersburga, to dalszą naszą podróż po Rosji towarzystwo bierze na swój koszt. Ponieważ wakacje letnie się zbliżały, postaraliśmy się o paszport do Rosji. Nie kosztował on dużo, bo całe trzy marki i wizę. Oczywiście w paszporcie nie podaliśmy się jako studenci teologii, a historji. Przygotowaliśmy wszystkie potrzebne do podróży rzeczy, w tym otrzymuję ja drukowany akt oskarżenia o przynależność do tajnej organizacji Filomatów oraz zapozew na rozprawę sądową w Toruniu, która się rozpocznie w sądzie ziemiańskim w Toruniu w dniu 9 września r.1901. Zaraz potym, drugiego czy trzeciego dnia, zjawił się u mnie żandarm i zażądał zwrotu paszportu i wizy jako od oskarżonego o przynależność do tajnej organizacji. Moi dwaj przyjaciele natomiast bez przeszkody użyli sobie, podróżując na koszt towarzystwa po rozległych połaciach Rosji aż po Niżny Nowgorod, gdy tymczasem ja, który właściwie był inicjatorem tego całego planu, musiałem pozostać w domu w trwożliwym oczekiwaniu na zapowiedzianą rozprawę sądową. Musiałem się jedynie zadowolić tym, co mi moi szczęśliwsi odemnie koledzy ze swych wrażeń i przeżyć po Rosji opowiedzieli. To się nazywa mieć "pech". Natomiast gazety, jak dotychczas, otrzymywaliśmy regularnie aż do końca naszego pobytu w Pelplinie. Mieliśmy atoli stale trudności ze strony ówczesnego regensa, ks. Schwanitza, który upatrując w tej gazecie pismo heretyckie i jako takie zabraniał nam je czytać. Zmuszeni przeto byliśmy się z nim kryć. Zupełnie słuszna była obawa tego przesadnie skrupulatnego regensa. Bardzo, a bardzo ca-

lecy byliśmy od prawosławia i rosyjskiego panslawizmu, a tymbardziej od rusofilostwa. Naukę języka rosyjskiego kontynuowałem dalej jeszcze i jako ksiądz, sądząc, że może mi się to jeszcze przydać. Dopiero po I wojnie światowej, kiedy granice Rosji cofnięte zostały daleko na wschód, uznałem za bezcelowe dalsze zajmowanie się tym językiem i z biegiem czasu nabyte w ten sposób wiadomości ulotniały się powoli, aż wreszcie mało co z nich pozostało. Nie mogło mi przecież ani przez myśl przejść, że na stare lata jeszcze spotkam się z Rosjanami i to już nie daleko poza granicą Polski, ale zupełnie blisko, bo w własnym kraju. Zresztą ta znajomość języka rosyjskiego była powodem, że po wybuchu wojny pierwszej światowej przeżyłem przez pewien, choć krótki czas, pełne trwogi emocje. Ale o tym później.

Na rozprawie sądowej w Toruniu.

Rozprawa sądowa rozpoczęła się w t.zw.Sądzie Ziemiańskim w Toruniu w obszernej sali sądowej w poniedziałek, dnia 9 września 1901. Stanęło na niej 60 młodzieńców, wśród nich kilku studentów i 10 kleryków - ośmiu z Pelplina- między nimi i Gonc, który w międzyczasie również został przyjęty do Seminarium Duchownego w Pelplinie, dalej kleryk z Poznania, Prądzyński oraz Orszulok z Wrocławia, pochodzący z Westfalii. Ten ostatni przysłany został przez naszych braci górników z Westfalii do gimnazjum w Chełmnie, którzy chcąc mieć własnych tam na wychodźtwie kapłanów rodaków, założyli osobne towarzystwo, o ile sobie przypominam, pod wezwaniem św.Józafata, aby ze składek i ofiar móc sobie do posługi duszpasterskiej wykształcić własnych kapłanów. Rozprawa sądowa zamierzona była na kilka dni. W rzeczywistości potrwała 4 dni, t.j. od poniedziałku do czwartku wieczora. Polonia toruńska zaofiarowała nam na czas rozprawy kwatery u siebie. Ja z moim towarzyszem stud.Waliszewskim, który notabene został uwolniony dla braku dowodów od kary, choć również należał do organizacji, ulokowani zostaliśmy u niejakiej p.Kobielskiej, która była wdową i miała jedną starszą córkę, która jeszcze żyła, kiedy byłem wikariuszem

w Toruniu oraz już żonatego syna, który miał w jej kamienicy zakład fotograficzny.Była ona jako właścicielka wielkiej kamienicy w jednej z głównych ulic Torunia dobrze sytuowana, mogła więc sobie pozwolić na utrzymanie nas na czas procesu. Skład sądu stanowili: Grassman,poseł z partii narodowo- liberalnej i przywódca nakatystów,jako przewodniczący oraz sędziowie: Hirschfeld,Woelffet,Scharnej i Schreiber. Jako prokuratorzy:Zitzleff i Weissermel. Bronili nas: znany na toruńskim gruncie adwokat Szumann, stryj oskarżonego ucznia,Henryka,a później prałata w Starogardzie,zamordowanego przez hitlerowców; wolnomyślny Niemiec Trommer i Żyd Feilchenfeld. Pozatym adwokat Celichowski z Poznania bronił 4 oskarżonych z Krocnicy,a mianowicie: Krzyżankiewicza,Sargalskiego,Szulczewskiego,Markwicza. Adwokat Wysiński bronił swego syna Witolda. Był to więc proces, zakrojony na wielką skalę.Jak wielkie było nim zainteresowanie,dowodzi, że byli obecni na procesie korespondenci wszystkich większych dzienników niemieckich. Byli naturalnie i liczni przedstawiciele prasy polskiej i dużo polskiej publiczności. Wielkie poruszenie wywołał zaraz na wstępie rozprawy wniosek oskarżonego Krzyżankiewicza, widocznie inspirowany przez jego adwokata, o wykluczenie ze składu sędziowskiego przewodniczącego Grassmanna jako należącego do Ostmarkenvereinu, a przeto z góry uprzedzonego do Polaków. Prokurator żirytowany wniósł dla oskarżonego 100 marek grzywny za niewłaściwe zachowanie się i obrazę przewodniczącego. Sąd udawszy się na naradę wniosek odrzucił oskarżonego,ale również i wniosku prokuratora nie potwierdził. Nie moim zamiarem podać szczegóły tego procesu.Ograniczę się tylko do kilku osobliwszych momentów.Wymienić mi wypada, że wśród świadków znajdował się i ówczesny prefekt chełmińskiego biskupiego konwiktu,ks.Konstanty Dominik, późniejszy sufragan oraz dyrektor Preuss, a jako rzeczoznawca proboszcz parafii Panny Marii,Dr.Klunder, taksamo późniejszy sufragan diecezji chełmińskiej oraz kilku Niemców, którzy przeprowadzali śledztwo. Rozprawa miała i swoje humorystyczne momenty,tak n.p.kiedy w toku rozprawy padło nazwisko Juliusza Słowackiego, jeden ze sędziów skwapliwie dopytywał się,czy to też jeden z oskarżonych i który to jest ? W odpowiedzi na to

wśród publiczności polskiej rozległ się głośny śmiech. Nie wiele dowiedzieli się Niemcy, co właściwie w łonie organizacji się działo. Nawet Gończ i Gosieniecki, którzy poprzednio poczynili różne ujawnienia, na rozprawie je częściowo odwoływali jako podsunięte im przez prokuratora. Postawa oskarżonych, ich pogodny nastrój i umysł jasny, śmiałe i pewne siebie odpowiedzi i spokój, jaki ich cechował, wielce dodatnie wywierały wrażenia. Oskarżeni, pomni złożonej przy wstępowaniu do organizacji przysięgi, albo wogóle odmawiali zeznań albo przeważnie wszystkiemu przeczyli. To też wyrok, który zapadł po czterodniowej rozprawie dnia 12 września 1901 o godz. 20,15 był stosunkowo dość łagodny. Z kleryków zasądzeni zostali wszyscy 10-ciu.

Piętnastu, którzy się nie przyznali i nie zostali o winie przekonani, zwolniono. Dziesięciu wyszło z naganą. a m.i. kleryk Boleś Przybyszewski. Na karę więzienną z kleryków skazani zostali: na 1 dzień Bernard Gończ z powodu ujawnienia sprawy; na 1 tydzień Albin Kroplewski, na 3 tygodnie Bernard Dembek, Józef Dembieński, Jan Sell, na 6 tygodni Marian Karczyński, Bolesław Makowski, Józef Prądzyński, Paweł Orszulok- na 2 miesiące, a Aleksander Markwicz wniklonyt na 3 miesiące. Ogółem skazano 35 oskarżonych. Wniesioną rewizję Sąd Rzeszy 4 kwietnia roku 1902 odrzucił. Wyrok stał się prawomocnym. Po wyroku polonia toruńska zgotowała nam piękną owację, wręczono nam kwiaty i urządzono nam w sali Muzeum miły wieczorek. Osłodziło nam to znacznie przeżyte ciężkie chwile, związane z tym procesem i wlało w serca nasze sporo otuchy co do dalszej naszej przyszłości, która teraz stanęła pod znakiem zapytania. Czuliśmy za sobą sympatię społeczeństwa polskiego i to nas krzepiło. Ale nie tylko u społeczeństwa polskiego wzbudziliśmy życzliwość i uznanie, ale nawet u niezależnej opinii publicznej niemieckiej. Podczas gdy pisma polakożercze zionęły nienawiścią i oburzeniem, że pod okiem władz i policji pruskiej istnieć mogły ~~przez~~ przez tak długi okres czasu nieujawnione "niebezpieczne" organizacje wśród młodzieży polskiej, to jednak prasa niezależna, nieuprzedzona jak kat. centrum, socjalistów, wolnomyślnych, życzliwie odniosła się do młodzieży polskiej. Najdobitniejszy wyraz dała temu wolnomyślna "Frankfurter Zeitung"

pisząc, że Niemcy mogliby być dumni z posiadania takiej młodzieży jaką ma społeczeństwo polskie. Wśród młodzieży niemieckiej, tak pisze owa gazeta, tu i tam też wykryto tajne organizacje, miały one jednak na celu uprawianie pijaństwa albo rozpusty. Nie zanotowano stoli ani jednego takiego upośledzonego wypadku, by młodzież niemiecka wiązała się w organizacje do tak wzniosłych celów jak pielęgnowanie cnoty, nauki literatury i dziejów ojczystych.

Koszty wynikłe z procesu, które były zbyt wysokie, aby je zdolna była zapłacić młodzież, pokryło obywatelstwo polskie z dobrowolnych składek i ofiar. Skarbnikiem był ówczesny protoszcz w Kabczu, a późniejszy infułat w Pelplinie, ks.Ludwik Bogacki.

Po wyroku.

Wyrok sam był stosunkowo łagodny, daleko jednak fatalniejsze były jego następstwa administracyjne. Przeprowadzono w uczelniach, w których wykryto tajną organizację, relegując z nich nie tylko uczniów zasądzonych, ale i dużo sądzonych. Skasowano fakultatywną naukę języka polskiego, gdzie ona jeszcze istniała. W gimnazjum w Chełmnie usunięto polską bibliotekę przenosząc ją do wilgotnych piwnic. Nad polską młodzieżą roztoczono szczególny nadzór. Wydalona młodzież szukała schronienia i możliwości ukończenia dalszych studiów udając się do rozmaitych krajów: część do U.S.A. bądź do Węgier, nawet do Belgii i Holandii, ~~(a część na dalsze studia w Bawarii.)~~ Bawaria, kraj katolicki, nie żywiła zbyt przyjaznych sentymentów dla Prusaków, a okazywała sympatię w stosunku do Polaków. Mieliśmy na to i w Chełmnie dowód. A mianowicie istniał w Chełmnie browar, znany z wytwarzania doskonałych piw. Właścicielka jego p.Höcherl, bawarka, wdowa, była dobrą i dobroczynną katoliczką. Udzielała ona bowiem znacznej liczbie uczniów Polaków darmowe obiady i kolacje. Korzystał z nich m.i. i mój kuzyn Bembek, późniejszy sufragan diecezji łomżyńskiej. Jeszcze za naszego pobytu w Chełmnie wyszła za mąż za jakiegoś bawarczyka, Geigera. Brat jego był ministrem w rządzie bawarskim. Otóż Geiger ten, mąż

Oskarżeni w procesie toruńskim
F i l o m a c i
Rozprawa sądowa w Sądzie Ziemiańskim
w Toruniu od 9. - 12. września 1901 r.
Oryginalne zdjęcie było zamurowane podczas okupacji
i zaszło pleśnią.

Zdjęcie z obchodu 25- lecia procesu
toruńskiego w Toruniu w dniu 9.września 1926 r.

p.Höcherl, miał syna, który uczęszczał razem z nami do szkoły. Chłopak ten wprost przepadał za Polakami. Wciąż nas nachodził, byśmy mu śpiewali nasze pieśni narodowe, którymi się wprost upajał. Razu pewnego jechaliśmy z nim razem część drogi na wakacje. W wagonie wprost nas oczyścił "Kinder, singt doch polnische Nationallieder". Kiedyśmy zwrócili jego uwagę na to, że nas tedy zaaresztują, zapewniał nas, że nas obroni. I tak się też stało. Na stacji, zdaje się w Łaskowicach, widocznie już uprzedzona telefonicznie, poinformowana, weszła do wagonu policja pruska, żeby nas zaaresztować. Wtedy on wystąpił bardzo energicznie reklamując się jako bratanek bawarskiego ministra tłumacząc, że to on nas uprosił o to, bo chciał raz usłyszeć melodie tych pieśni i dali nam spokój. Od niego dowiedzieliśmy się, że Bawarczycy bardzo nie lubią Prusaków i odnoszą z wielką sympatią do Polaków. Przekonali się też niejednokrotnie nasi bracia rodacy o tym, których hitlerowcy zapędzili aż do Bawarii w czasie drugiej wojny światowej. Dowiedzieliśmy się, że natychmiast po uprawomocnieniu się wyroku ks.biskup wrocławski Kopp wydalił kleryka Orszulaka z Seminarium, a ówczesny arcybiskup Stablewski udzielił pośpiesznie klerykowi Prądzyńskiemu święceń subdiakonatu. Ale co się stanie z nami? Niebawem otrzymaliśmy zawezwanie z Komendy Wojskowej w Tczewie, do stawienia się w oznaczonym terminie i zabrania przy tym ze sobą naszego uprawnienia do jednorocznej służby wojskowej. Tu wygłosił nas jakiś oficer siarczystą perorę piętnującą nas jako wrogów państwa i przeto niegodnych zaszczytu uprawnienia do jednorocznej służby wojskowej i odebrał nam je. Groziło nam obecnie niebezpieczeństwo zaciągnięcia nas do służby wojskowej i to trzyletniej w szeregach zwykłych szeregowców. Chroniło nas przed tym jedynie to, że byliśmy studentami teologii, a przez to mieliśmy prawo do odroczenia. To nasuwało nam obawę, że władze pruskie na skutek tego domagać się będą naszego wydalenia ze Seminarium. Po naszym powrocie z Tczewa, ks.biskup Rosentreter, który obecnie znalazł się w bardzo kłopotliwym położeniu, podsunął nam przez ks.regensa myśl, żeby wnieść prośbę do Cesarza o ułaskawienie. Zrozumiałe, uwzględnienie jej

wybawiłoby Biskupa od tej fatalnej sytuacji. Zebraliśmy się, aby zająć co do tego stanowisko. W najprzykrzejszym położeniu znalazł się nasz towarzysz niedoli, Makowski. Jego ojciec był bowiem urzędnikiem, nauczycielem w seminarium. Była obawa, że władze pruskie mogą na nim wywrzeć swą zemstę zwalniając go ze zajmowanego stanowiska. A była to rodzina duża, było coś 7 córek i 3 synów. Uchwaliliśmy, co następuje: "My, których rodzice mają stanowiska niezależne, nie wnosimy o ułaskawienie, bo to byłoby równoznaczne z przyznaniem się do winy, a my nie dopuściliśmy się żadnego przestępstwa, spełniając tylko to, do czego jako Polacy mieliśmy prawo. Ale Ty, Bolesiu, jesteś we wyjątkowym położeniu ze względu na swą rodzinę, rozważ sobie dobrze, dajemy Ci na to tydzień czasu, czy nie poleciłoby , byś wniósł taką prośbę". Obserwowaliśmy Makowskiego, jak to na niego podziałało. Zauważyliśmy u niego coraz bardziej wzmagającą się na jego twarzy bladość, ciemne obwódki w okół oczu, świadczące o silnej walce wewnętrznej oraz bezsennie spędzonych nocach. Tak silna w jego duszy musiała się toczyć walka między miłością rodzinną, a poczuciem solidarności. Kiedy po tygodniu zebraliśmy się ponownie, na pytanie, jaką powziął decyzję, nieco osłabionym głosem odpowiedział:"A jo razem z Wami". W ten sposób upadła myśl dla Biskupa nadziei wybrnięcia na tej drodze z nader ciężkiej sytuacji. Ks.Biskup przez ks.rezensa zapewnił nas, że będzie się naszemu wydaleniu nie ze Seminarium sprzeciwiał do ostateczności, t.j. aż do chwili, gdyby rząd zagroził zamknięciem Seminarium. Wtedy nie mógłby poświęcić Seminarium całego dla nas dla nas. Bo i tak w razie zamknięcia musieli byśmy opuścić zakład. Radził nam przeto, byśmy na wszelki przypadek zgłosili się gdzieindziej. Zastosowaliśmy się do tej rady i zwróciliśmy do Arcybiskupa Bilczewskiego we Lwowie, który nas z całą otwartością przyjął. A nawet był rad temu, ponieważ do archidiecezji lwowskiej należała wówczas Bukowina, gdzie mieszkało sporo katolików Niemców. Bo też zależało jemu na duszpasterzach władających biegle językiem niemieckim. Choć nas to ominęło, jednak i tak kilku wydalonych filomatów udało się do Seminarium w Lwowie, jak Zelewski, Borowski, Węsierski, Lewandowski.

Ze więzieniu.

W początkach czerwca otrzymaliśmy zawezwanie do stawienia się do więzienia dla odcierpienia kary w Iczewie. Mimo to, że kara więzienna nie była długa, jednak była ona dla nas czymś zupełnie nieznanym i niezwykłym. Szliśmy do niego przeto w nastroju nie bardzo przyjemnym. Przyrzekaliśmy sobie, że skoro przyjedziemy do Iczewa, po pokrzepieniu się kawą, zaraz udamy się do więzienia, aby po wypuszczeniu z więzienia móc sobie nieco swobody w Iczewie użyć. Ale gdyśmy stanęli przed jego bramą i spojrzeli na ponure jego mury i blaszane zasłony na oknach, obleciał nas strach i choć nikt nie wyrzekł słówka, jakby na komendę zrobiliśmy zwrot w tył i wróciliśmy z powrotem do kawiarni i pozostaliśmy w niej aż blisko 6-tej godziny wieczorem, krótko przed zamknięciem bram więzienia. Tu od razu wpadliśmy w łapy jakiegoś ponurego, jednookiego dozorcy, który w ostrych słowach nas przywitał i zaraz zebrał się do swych zwykłych czynności. Najlepszy z nas humor miał Goncz; no, bo cóż tam jeden dzień ! "Nie tknę ich jedzenia, ale za to po wypuszczeniu z więzienia wynagrodzę sobie głód całą tablicą czekolady". Goncz bardzo lubił czekoladę. Jednak źle mu z tym poszło. On pierwszy też wpadł w łapy tego arcyniemiłego dozorcy, którego odrazu cerberem przezwaliśmy i na nim dokonał swej więziennej funkcji, która polegała na zrewidowaniu go, odebraniu mu wszystkiego co w kieszeni posiadał, a więc i portfel z gotówką, ostrzyżeniu go, wykąpaniu, poczym kazał mu się przebrać w aresztanckie ubranie. Właśnie się do następnego z tą samą operacją zabrał, gdy w toku tego wchodzi jakiś mężczyzna w cywilu, małego wzrostu i odzywa się do owego cerbera: "Niech Pan przerwie swą czynność. To nie są zwyczajni przestępcy, lecz polityczni i ich należy inaczej traktować." Kazał nam zatrzymać nasz ubiór klerykalny- rzymianki i odprowadzić do cel bez osobistej rewizji. Mnie przypadła mała cela razem z moim kuzynem Bernardem Dembkiem. Kto był ten

dobrodziej, który nam oszczędził tych wstępnych przykrości ? Otóż był to asesor sądowy, Auerbach, żyd, który miał nadzór nad więzieniem. Otóż był to wyjątkowo szlachetny żyd, który później zwierzył się nam, że z nami współczuje jako należący również do narodu ciemężonego i co będzie w jego mocy, starać się będzie, by nam ulżyć. Dziwiło nas coprawda zaliczania się do ciemiężonej nacji, bo żydom przecież w Niemczech dobrze się wiodło, ale widocznie odczuwał on ogólną niedolę swego narodu, który też pozbawiony był własnej ojczyzny. Krótko po zamknięciu nas w celi otwierają się drzwi, w których staje cerber, patrzy na nas, a my na niego, aż naraz odzywa się ze złością: "Na, wollen Sie nicht"? Cóż on może chcieć? Wzrok nasz pada na podłogę, a tam stoją dwie blaszane, brudne miseczki, dymiące. Teraz rozumiemy. To nasza kolacja. Bierzemy, stawiamy na stole i smakujemy. Wstrętna ciecz. Spleśniały chleb pomielony i polany wodą. To była tak zwana "Brotsuppe". Nie możemy przełknąć. Zostawiamy. Zabiera ją z powrotem z ironiczną uwagą, że już jutro nam będzie smakować. I tak było w rzeczywistości. Kiedy nie było czego innego, a głód dokuczał, nawet i brotzupa nam smakować musiała. Kiepską mieliśmy noc. Najpierw z powodu tego, że jakiś wstrętny smród rozchodził się po celi. Jak żeśmy się dowiedzieli następnego dnia, poprzedniej nocy wpakowano do celi jakiegoś włóczęgę, który załatwił tam swą fizjologiczną potrzebę, której nie uprzątnięto. Dochodziło do tego jeszcze, że sienniki, położone na podłodze, były tak wypchane słomą, że ugnieść się nie dały żadną miarą i co rusz skulaliśmy się na podłogę. Na drugi dzień istna rewolta. Cerber każe nam wynieść wiadra, zamieść celę, uprzątnąć sienniki. Nie ruszamy się. Uzupełniająco jeszcze podać mi wypada, że było nas ośmiu, gdyż przybył nam jeszcze nie kleryk, Aleksander Karczyński z Pelplina. Ów cerber rzuca się, skacze jak opętany, grozi nam ciemnicą. Na krzyki te zjawia się asesor Auerbach i oświadcza cerberowi, że nakazać ma wykonywanie tej czynności innym więźniom . Cerber przyjął to z trudną do pohamowania wściekłością, ale przecież zmuszony był usłuchać

swego przełożonego. Wyznaczyli przeto dwuch więźniów z innej celi, którzy tę robotę wykonywali. Jeden z nich był jakiś bigamista. Mieszkał poprzednio w Westfalii i tam się ożenił. W krótce po tym porzucił swą żonę tam i sprowadził się na nasze tereny, gdzie udało mu się drugi raz wziąć ślub i cywilny i kościelny. Za to dostał dwa lata więzienia. Po wypuszczeniu z więzienia osiadł jako fryzjer w Subkowach. Zbiegiem okoliczności i ja dostałem się na kilka miesięcy jako wikary do Subkow. Nie omieszkał on z tego skorzystać robiąc sobie reklamę, że przecież ten wikary też z nim razem siedział we więzieniu. Pierwszy tydzień więzienia był dla nas uciążliwy. Stosowano wobec nas całkowicie ryger więzienny. Barzo dokuczliwą była dla nas całkowita bezczynność. Dopiero wówczas przekonałem się, jak ona jest trudna do zniesienia i jak wielkim dobrodziejstwem dla człowieka jest zajęcie. Barćzo we znaki dało nam się również siedzenie przez całą dobę w dusznej, małej celi, przyćmionej nadto blaszanymi zasłonami na oknach. Półgodzinny spacer wraz z załatwieniem przy tym fizjologicznych potrzeb, nie starczał, aby zdrętwiałe kości się należycie wyprostowywały i oczy zaczerpnęły potrzebnego światła a płuca powietrza. Jakże dobrze później mogłem pojąć bezmiar cierpień naszych braci rodaków i rodaczek, stłoczonych jak śledzie w beczce w celach więziennych bez słońca i świeżego powietrza w czasie okupacji. Jedynym urozmaiceniem i odetchnieciem była dla nas gra katarynki, która od czasu do czasu rozbrzmiewała w pobliżu więzienia. Trudnym do zniesienia i upokarzającym było to zupełne ubezwolnienie człowieka i zdanie go na łaskę i niełaskę takiego człowieka jak cerber, który nieustannie patrzał na nas jak wilk, tylko że dzięki owemu zacnemu asesorowi nie danym mu było, nas kąsać. Nie specjalnie dopiekła przy moim słabym żołądku ta więzienna dieta. Piekło i paliło mnie w żołądku jakby ognia ktoś do niego sypał. Nie mogąc tego dłużej znieść, zgłosiłem się do lekarza. Sądziłem, że on przyjdzie do więzienia. Omyliłem się. Lekarzem powiatowym był jakiś jednonogi medyk, który tylko przyjmował pacjentów u siebie. Więc i ja musiałem udać się do jego mieszkania, które było aż hen na krańcu miasta.

Oczywiście nie szedłem sam, a w towarzystwie owego certera. Byłem ubrany klerykalnie - w rzymiance, to też mój marsz przez miasto w jego towarzystwie wzbudzał prawdziwą sensację. Ludzie stawali na ulicy patrząc ciekawie na to niecodzienne zjawisko. Po zbadaniu zapytał mnie ów syneskulapa:"Jak długo aresztant pozostanie jeszcze we więzieniu?" Jeszcze dwa tygodnie,odpowiadam."Ach, jaka szkoda,odpowiada sarkastycznie, że tylko tak krótko:właśnie w dwuch tygodniach by się aresztant do tej nowej diety przyzwyczaił i wtedy pokarm więzienny już by mu dobrze robił". Zapisał mi jednak jakieś krople: chininy i pepsyny no i palenie ustało. I faktycznie powoli się do takiej diety przyzwyczaiłem, ale przytym powziąłem postanowienie na całe życie, które też przestrzegałem aż do dziś, by nie być wybrednym w jedzeniu, a jeść zawsze to, co postawią na stole, czy to smakuje czy nie.

Powoli więzienie z naszej 5-cio osobowej załogi zaczęło się opróżniać. Jako pierwszy po jednodniowej kaźni opuścił więzienie Go cz. A mimo że najkrócej z nas siedział w "kozie", najgorzej mu poszło. Podczas całej doby bowiem nie tknął jedzenia w nadziei, że po wypuszczeniu nadrobi sobie ten ścisły post spożyciem całku tabliczek czekolady. Stało się jednak inaczej..ponieważ nie zapadła jeszcze decyzja co do zwrotu odebranych dwum pierwszym więźniom przedmiotów, a więc i pugilaresu z pieniędzmi, odebrał z nich tylko tyle, ile kosztował bilet kolejowy do Pelplina. Nie miał przeto za co kupić tej tak upragnionej czekolady. Nie na tym jeszcze koniec pecha. Powrócił do Pelplina już dalekо później, niż wydawano w refektarzu kolację. Musiał się i bez kolacji obyć. I tak ten zupełny ścisły post potrwał u niego całe 40 godzin. Stał on się na skutek tego przedmiotem żartobliwych docinków ze strony kolegów, którzy często, często nabierali go pytaniem:"Go cz, a gdzie czekolada?" Po tygodniu opuścili więzienie Aleksander Karczyński i kleryk Albin Kroplewski. Ten pierwszy tydzień był dla nas najuciążliwszym. To też, kiedy Kroplewski wrócił do Seminarium, wezwał kolegów swoich:"Na Boga, módlcie się za nich, bo oni tego nie wytrzymają"! A wytrzymaliśmy. Po tygodniu bowiem nasze położenie się znacznie polepszyło.Na nasz

wniosek otrzymaliśmy z biblioteki seminaryjnej książki do czytania. Od razu znikły te straszliwe nudy. Poza tym znaleźliśmy po za owym asesorem jeszcze jednego nam życzliwego Niemca w osobie, jak go określano "vogta", coś w określeniu polskim "kasztelana". Zastępował on co prawda owego ponurego certera tylko w niedziele, ale od razu, spojrzawszy na jego sympatyczną, łagodną twarz, nabraliśmy do niego zaufania. Biła z niej bowiem dobroć i życzliwość. Pozwolił nam w niedziele zebrać się wszystkim razem w jednej celi, co umożliwiło nam odprawienie wspólnych modłów i odśpiewanie religijnych pieśni. Na naszą prośbę przyniósł nam też po jednej porcji więcej na obiad, a była to grochówka ze słoniną. Widocznie na jego wstawienie się pozwolono nam na dłuższą przechadzkę niż 1/2 godz. i to już nie na dziedzińcu więziennym, ale w ogrodzie, gdzie on mieszkał. Wobec tego raźniej już upłynęły nam te ostatnie dwa tygodnie. Powracając nas serdecznie z kwiatami powitali nasi koledzy w Seminarium, a my już z nimi razem tych dwuch ostatnich po upływie następnych trzech tygodni. Życie jest też szkołą, która uczy. To też w dalszym życiu tymczasem nie żałowałem, że przeszedłem tę choć tylko krótką szkołę więzienną. Niejednego ona mnie nauczyła, a przede wszystkim pokory, zaparcia się siebie, umiarkowania, a nadewszystko jeszcze większego umiłowania spraw ojczystych.

Po powrocie do Seminarium. A co dalej będzie ?

Wróciliśmy więc z więzienia w ciche mury seminaryjne jak wypuszczone z klatki ptaki. Jednak perspektywa nasza na przyszłość nie przedstawiała się nam różowo. Już miecz Damoklesa wisiała nad naszymi głowami niepewność co do dalszego naszego losu. Najbardziej nas straszyła możliwość wydalenia nas ze Seminarium i wtłoczenia nas w tak nienawidzony przez nas mundur pruski i to na cemiar na 3 lata. Rząd doprawdy zamierzał skazanych i wydalonych z uczelni filomatów zaciągnąć do wojska, powołując się na to, że ich odroczenie od służby wojskowej uwarunkowane jest tym, że oskarżeni uczniami

wzgl.studentami byli. Po wydaleniu ich ten przywilej upadał. To też było do przewidzenia, że rząd zażąda od władzy biskupiej i naszego wydalenia ze Seminarium. Na szczęście sprawa wojskowa nie należała jednak do kompetencji poszczególnych państw związkowych, a do Rzeszy. Koło polskie w parlamencie wniosło interpelację w tej sprawie. W Rzeszy rząd pruski nie miał większości dla swej antypolskiej polityki. Centrum kat.,socjaliści, wolnomyślni, koło polskie, alzatczycy, duńczycy, hanowerzanie byli we większości, a byli tej polityce pruskiej przeciwni. To też rząd pruski poniósł klęskę w parlamencie./Władze pruskie jednak nadal domagały się od Biskupa naszego wydalenia. Ks.Biskup Dr.Rosentreter znany był ze swej kunktatorskiej polityki i w sprawach drażliwych, kłopotliwych. Zwykł odwlekać w takich wypadach decyzję tak długo, jak to tylko było możliwe. W naszym położeniu wyszło nam to tylko na dobre. Widocznie w tym okresie toczyła się ożywiona, a przewlekająca się wymiana pism między rządem, a władzą biskupią. Aż wreszcie pewnego dnia ks.Regens woła nas do swego gabinetu i oświadcza nam, w imieniu Biskupa, że mamy się przygotować do opuszczenia Seminarium, gdyż naszelny prezydent Prus Zachodnich w Gdańsku, v.Gossler, stawił do Biskupa ultimatum, iż rząd zamknie Seminarium, o ile Biskup w określonym terminie nas nie wydali. Regens dodał od siebie, że biskup dla nas kilku nie może poświęcić całego Seminarium. Rzecz naturalnie dla nas zrozumiała. Spakowaliśmy nasze skromne habendy i czekamy. I oto stała się rzecz nieoczekiwana. Kilka dni po tym oświadczeniu nadchodzi telegraficzna wiadomość z Gdańska, że nadprezydent v.Gossler nagle zmarł na udar serca. A był to wielki polskożerca. Równocześnie zaszły w łonie rządu pruskiego pewne zmiany, zdaje mi się na skutek wyniku nowych wyborów do sejmu pruskiego. Ministrem spraw wewnętrznych został Delbrück, człowiek o poglądach nieco liberalniejszych, znany wówczas z wydawania t.zw. "Preussische Jahrbücher", a nadprezydentem w Gdańsku został jego brat. Ta zmiana odsunęła sprawę naszego wydalenia na dalszy plan. Otrzymaliśmy w międzyczasie święcenia subdiakonatu, następnie diakonatu, a wreszcie zbliżyliśmy się do ostatniego święcenia, a mianowicie kapłaństwa. Naraz krótko przed święceniami woła nas ks.Regens do swego

gabinetu i przedkłada nam rewers do podpisania.Oświadcza nam, że święcenie kapłańskie otrzymać możemy tylko, jeżeli podpiszemy pismo, zrzekające się prawa do protestwa.Widocznie oświadczenie takie wymusił rząd na Biskupie, jako cenę za niewydalenie nas ze Seminarium. Bez wahania podpisaliśmy odnośny rewers. Nie chodziło nam przecież o probostwo, a o to, by zostać księdzem. A co potym będzie, to jak Bóg da.

Z życia w Seminarium Duchownym.

Z życia w Seminarium Duchownym w Pelplinie za mych czasów kilka tylko bardziej charakterystycznych nakreślić pragnę szczegółów. Pomiędzy klerykami polakami a Niemcami był zupełny rozdział. Choć byliśmy pomieszani w mieszkaniach, każda narodowość tworzyła swój osobny klan. Mimo, że ku jednemu zmierzaliśmy a tak podniosłemu celowi jak służbie Bogu i pracy nad zbawieniem dusz, to jednak duchowej, a w szczególności towarzyskiej łączności między jednymi i drugimi nie było. Rzadko kiedy zdarzało się, by kleryk Niemiec a Polak szli razem na przechadzkę. Nie był to stan wzajemnej wrogości z małymi może wyjątkami, ale poprostu odzwierciadlało się to, co istniało w życiu publicznym na naszych terenach. System germanizacyjny, przedstawiający Polaków jako wrogów państwa i zonyczający ich przeszłość i teraźniejszość wbił klin między katolików Niemców i Polaków i sugestywnie oddziaływał na naszych niemieckich kolegów seminaryjnych. Te odrębności rzucały się nawet na zewnątrz w oczy. Polacy nosili na głowach maciejówki lub poznańskie czapki. Niemcy natomiast kapelusze lub czapki fasonu niemieckiego. Jako obuwie Polacy zwykli byli nosić buty z długimi cholewami t.zw. kanony, zaprowadzone przede wszystkim u duchowieństwa w Poznańskim. U kleryka Niemca nie zobaczyłeś nigdy na nogach takiego obuwia. Nie zdarzyło się też prawie nigdy, by kleryk Niemiec ze swym kolegą Polakiem zechciał rozmawiać po polsku. Samo przez się rozumiało, że do niego przemawiać trzeba było tylko po niemiecku. Byłby się czuł dotkniętym, gdyby się było

do niego odezwało po polsku. A było to z wielką szkodą dla nich. Gdyby im było chodziło bowiem o zaprawianie się w języku polskim, który im tak bardzo był potrzebny w duszpasterstwie, sami powinni się byli domagać, żeby z nimi rozmawiać tylko po polsku. Ale na ogół lekko sobie brano naukę języka polskiego i dla tego też tak dużo z księży Niemców wychodziło ze Seminarium z bardzo słabą znajomością języka polskiego, który potym kaleczyli nieraz w sposób wywołujący zgorszenie zwłaszcza na ambonie wśród polskich parafian. Pewien kolega kursowy oburzał się, że w brewiarzu odmawiać musi : Gaude mater Polonia, kiedy przecież Polski już od dawna nie ma.

Językiem wykładowym był wyłącznie język niemiecki z wyjątkiem teologii moralnej, która wykładana była w języku łacińskim. Dla języka polskiego dla Niemców wyznaczono dwie lekcje tygodniowo. Język polski trudny jest do opanowania dla tych, którzy go nie znają. Wprawdzie nauka ta trwała cztery lata, ale mimo to wystarczająca była dla celów duszpasterskich znajomości języka polskiego, wymagała jednak znacznego wkładu pilności i staranności, a tego właśnie w większości niemieckich kleryków nie było. Były atoli i bardzo chlubne wyjątki. Niejeden tak dobrze przyswoił sobie język polski, że władał nim jak rodzony Polak. Ale, jak już zaznaczyłem, były to wyjątki. Dla kleryków Polaków była też wyznaczona 1 lekcja tygodniowo, ale tylko dla tych, którzy jeszcze żadnej nauki języka polskiego nie pobierali. Polegała ona na tym, że otrzymywali oni do opracowania piśmienne jakieś tematy, które następnie ich koledzy, zaawansowani w języku polskim, pod względem gramatycznym i stylistycznym poprawiali, nad czym później wywiązywała się dyskusja. Liczba alumnów Niemców w Seminarium była proporcjonalnie większa niż liczba katolików narodowości niemieckiej w diecezji. Liczba niemieckich katolików stanowiła zaledwie 1/5 ogółu katolików, podczas gdy ilość kleryków narodowości niemieckiej stanowiła mniejwięcej 1/3. Pochodziło to nie stąd, by po tamtej stronie była większa religijność i duch powołania. Niestety, niejednych z nich pociągała perspektywa dobrych dotacyj i stanowisk, które dla księży Niemców były szeroko otwarte, gdy przeciwnie otrzymanie ich dla ks. Polaków,

coraz barcziej bywało utrudniane. Arzac chętnie też widział i nawet popierał materialnie alumnów narodowości niemieckiej w Seminarium, a zwłaszcza synów urzędników,bo obiecywał sobie po nich, że będą mu później pomocni w jego dążeniach germanizacyjnych. My Polacy mieliśmy za pozwoleniem biskupim nasze "kółko historyczne". Jego zadaniem było badanie dziejów kościoła kat.na Pomorzu. Ponieważ jednak zazębiały one również o sprawy świeckie, więc pośrednio łączyło się to i z historią Pomorza. Raz na tydzień chodziliśmy do kancelarii biskupiej, celem przepisywania tekstów z odbywanych przeważnie wizytacji biskupich w odległej przeszłości i to dla Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Poza tym opracowywaliśmy rozmaite tematy z dziedziny kościoła na Pomorzu. Mnie n.p.przypadło w udziale opracowanie obszerniejsze na temat "Świętopietrze na Pomorzu".

Ostatnie dni w Seminarium Duchownym. Święcenie kapłańskie z wyrzeczeniem się prawa do probostwa.

Obecnie nadszedł czas, że trzeba się było rozstać z tym zacisznym, odciętym niejako od świata zakątkiem,gdzie przeżyło się przez okres 4 lat tyle błogich,podniosłych, słonecznych chwil, ale i dużo takich, które zamroczone bywały mgłą obawy i trwożliwej niepewności.Nadeszła wreszcie najważniejsza, decydująca o całym dalszym biegu życia chwila, święceń kapłańskich. Odbyły się one tradycyjnie w kaplicy seminaryjnej. Rozpoczęły się one tym razem z pewnym opóźnieniem. Ks.Biskup bowiem przyszedłszy do kaplicy,zauważył brak na swym palcu pierścienia arcypasterskiego. Rozpoczęło się gwałtowne za nim poszukiwanie,najpierw na drodze,któr. ks.biskup przeszedł, a następnie w pałacu biskupim.Ta bieganina tam i z powrotem trwała dość długo, aż wreszcie, ks.regens zdobył się na odwagę i się odezwał do Biskupa:"Bischöfliche Gnaden,den Ring werden die wohl in der Tasche haben" /Ekscelencjo !Ten pierścień Ekscelencja prawdopodobnie ma w kieszeni/. I tak było w rzeczywistości. Ks.biskup przeszukawszy kieszenie znalazł go tam. Z uśmiechem włożył go na palec i natychmiast rozpoczęła się po-

niosła ceremonia święceń kapłańskich. Dla mnie najbardziej wzruszającym momentem było, kiedy my krzyżem legli przed Ołtarzem Bożym, okazując przez to, że stajemy się odtąd dozgonnymi sługami Bożymi we winnicy Pańskiej. Następnie, było to 13. marca 1904 r. razem z biskupem wspólnie odprawiliśmy po raz pierwszy bezkrwawą ofiarę Nowego Testamentu. Następnego dnia moją prymicyjną Mszę św. odprawiłem w kościele parafialnym w Pelplinie, a nie w kościele parafialnym w Radomnie. Złożyło się na to kilka powodów. Najpierw dla tego, że budował się tam nowy kościół, a nabożeństwa odbywały w prowizorycznie z desek zbitej kaplicy, gdzie nawet podłogi nie było, powtóre i tego powodu, bo nie chciałem, by mi ją urządzał ks. Batke, miejscowy proboszcz, który popierając kształcącą się młodzież materialnie w znacznym stopniu, mnie dla jakiegoś sobie urojonego kaprysu zignorował całkowicie, choć patrzał z bliska, jak moja matka męczyć się musiała, by tym ciężarom, związanym z moim kształceniem, wydołać, a po trzecie, by tym jak najskromniej urządzonym obchodem nie narazić matki jeszcze na dalsze ekspensy. Do Mszy św. jako celebrans asystował mi ks. prof. Bartkowski, późniejszy generalny wikariusz, mój kuzyn Bemke i mój przyjaciel dobry, a tak przedwcześnie zgasły, ks. Stas Czaplewski. Mogłem sobie wyobrazić, jaką błogość i jaki bezmiar radosnych uniesień przeżywała moja kochana matka, która tyle lat nieustannie słała modły do Boga o to, by mnie choć raz tylko w życiu ujrzeć mogła przy ołtarzu. Ta jedna chwila wynagrodzić jej była zdolna ten bezmiar poświęcenia, znoju, trudu i potu na doprowadzenie mnie do tego celu. Ziściły się jej tak szlachetne ambitne życzenia i pragnienia. "Ja nie chcę, mój synu, żeby ci inni pomagali. Choć sobie ręce upracuję i nogi uchodzę, ale ja sama chcę mieć przed Bogiem tę zasługę, że ciebie doprowadzę do ołtarza". Powróciwszy z Pelplina do domu na kilka dni odpoczynku, spotkałem się tym razem z serdecznym powitaniem ze strony ks. Batkego, mego proboszcza. Wyraził swoją wielką radość i zadowolenie, że ja już jestem czwartym kapłanem, który za jego czasów wyszedł z jego parafii.

64

Położenie duchowieństwa polskiego i wiernych polskich za rządów biskupa ks. Dr. Rosentretera.

Krzywdę by wyrządził i minął by się z rzeczywistością ten, który posądził ks.Biskupa Rosentretera o jakieś nieżyczliwe usposobienie albo uprzedzenie do Polaków. Tego nie było. Ks.Biskup z życzliwym sercem ogarniał duchowieństwo i społeczeństwo polskie, a jednak z przykrością trzeba stwierdzić i z całą bezstronnością i obiektywnem, że za jego rządów dużo krzywdy i niesprawiedliwości działo się tak jednym jak i drugim. Znaczna część tejże nie jego obciąża,bo trudno jej tkwiło w ugodzie, która zawarta została między Watykanem a rządem pruskim na zakończenie t.zw.walki kulturnej, którą zawarł nowo zasiadły na Stolicy Piotrowej,Papież Leon XIII. Katolickie Centrum w Prusiech pod wodzą dzielnego i bohaterskiego Windhorsta, któremu wiernie sekundowało koło polskie w sejmie pruskim, uważała tę ugodę za przedwczesną. W mniemaniu centrum była ona bowiem zbyt pospieszna. Zdaniem jego jeszcze jakie owa lata, a na skutek wytworzonego w państwie pruskim zamętu, bismarx byłby musiał skapitulować. A tak ugoda zakończyła się kompromisem,dającym rządowi pruskiemu znaczną ingerencję w administrację kościelną, która najdotkliwiej odczuć się dała na ziemiach polskich. Dzięki tej ugodzie na naszą stolicę biskupią nie mógł się dostać bez zgody rządu żaden biskup.Z góry przeto wykluczone było, by wobec tego zasiąść mógł na stolicy biskupiej naszej diecezji Polak. A jaki był liczebny stosunek kół ludności polskiej do niemieckiej. Według spisu "Schematismus des Bistums Culm" z roku liczba wiernych w diecezji ówczesnej wynosiła 763271 dusz. Według urzędowej statystyki liczba wiernych narodowości niemieckiej w miastach diecezji chełmińskiej wynosiła 94.677. Zważyć należy, że najwięcej Niemców Katolików mieszkało po miastach. Uwzględniając tę liczbę katolickiej ludności niemieckiej przyjąć należy najwyżej na jakie 150000 , co znaczy 1/5, że było jej tylko najwyżej 1/5 w stosunku do ludności polskiej. Chyba słuszność wymagała, żeby wobec tego biskupem był Polak, a jeżeli to już stać się nie mogło,to biskup Niemiec, stawszy się arcypasterzem 4/5 swych polskich owieczek, tym bardziej winien dołożyć był wszystkich

swych starań, by wszędzie tam, gdzie to było w ramach jego możliwości, uwzględniać słuszne prawa i potrzeby ogromnej większości swych wiernych. Nie było w jego mocy, przeciwstawiać się niesprawiedliwości przy obsadzaniu probostw. Według wymienionego "Schematismus" było w r.1904 274 probostw. Z tego rząd pruski i niemieccy patroni mieli prawo obsadzać 204 probostw, podczas gdy biskupowi i polskim katolikom stało do dyspozycji jedynie 70 probostw. Z tego wynika, jak ogromny wpływ miał rząd pruski na obsadzenie probostw. A ponieważ wszystkie możliwe czynniki wprzągł rząd pruski do akcji germanizacyjnej, łatwo zrozumieć można, jak trudno było otrzymać ks. Polskowi probostwo i jak ważki atut miał rząd pruski w swych dążeniach germanizacyjnych, by uprzystępniać dostęp do dobrze sytuowanych probostw tylko takim księżom, po których mógł się spodziewać, że będą mu pomocni w jego dążeniach germanizacyjnych. Skromne wobec tego była możliwość dla biskupa kompensowania tej jawnej niesprawiedliwości. Ks. Biskup w najlepszym razie miał do obsadzenia 66 probostw, a 4 były w rękach polskich patronów. Ale i tu jeszcze prawo biskupie ulegało pewnemu ograniczeniu, jak również prywatnych patronów, ponieważ rządowi przysługiwało prawo zakładania veta przeciw prezencie, jeżeli dany kandydat okazał "wrogą dla państwa działalność". A co uważał rząd za wrogą dla państwa działalność ? Otóż praca w polskich oświatowych towarzystwach oraz i społecznych, ukazanie się na jakimś polskim zebraniu, to wszystko podciągane bywało pod kategorię antypaństwowych działalności. Wprawdzie i biskupowi przysługiwało również prawo veta odnośnie probostwa rzeczowego patronatu, o ile dany kandydat nie miał kwalifikacji naukowej lub moralnej. Ale nie zdarzało się prawie nigdy by biskup z tego prawa skorzystał. Mógł też Biskup założyć veta, gdy dany kandydat ledwo władał łamaną polszczyzną, ale i na to się Biskup nigdy nie odważył. Miało to ten skutek, że na parafie czysto polskie dostawało się coraz więcej księży niemców i to notabene na najlepiej dotowane, podczas gdy księża polscy już z siwiejącym włosem tułać się musieli po wikariatach, albo zadawalać się musieli słabo dotowanymi kuracjami. O ile pod tym względem Biskup miał bardzo ograniczone możliwości przeciwdziałania tym wielce krzywdzącym nierównościom, to mogła się

kat.ludność polska spodziewać uwzględnienia jego bynajmniej słusznych potrzeb i praw wszędzie tam, gdzie Biskup miał wolne ręce. Trudno dla tego było pogodzić się społeczeństwu polskiemu z tym, że n.p. na 10 dygnatarzy hierarchii kościelnej w kapitule w Pelplinie 2 tylko byli Polaków, że na 6 profesorów Seminarium Duchownym 2 tylko profesorów Polaków. Nie mogli też wierni zrozumieć dlaczego wobec tak olbrzymiej wielkości polskich wiernych, skoro już Biskup był Niemcem, dlaczego jeszcze obrał sobie do pomocy w administracji diecezją niemców, jako wikariuszów generalnych i to najpierw w osobie ks.[illegible]ckego, który znany był ze swych nieprzychylnych Polakom sentymentów, a po jego śmierci ks.Scharmera z Gdańska, po którego nominacji napisał jakiś korespondent księdza pelplińskiego "Pielgrzyma" z 29.IV. 1901 r., ~~co do duchowieństwa polskiego~~ co następuje:"Przyznaję, że wiadomość o nominacji ks.kan.Scharmera na generalnego wikariusza nietylko mnie uderziła, ale nawet przeraziła. Żywo mi stanęły w pamięci te długie, uciążliwe, przykre, a po części bezowocne walki Polaków gdańskich o polskie kazania i o polski śpiew. I zdziwiony mimowoli zapytałem: I ten to Scharmer ma sprawować rządy nad diecezją niemal polską?" A jednak sprawował on je aż do swej śmierci urząd generalnego wikariusza. Stąd mimowoli narzucał się nam Polakom głęboki żal, dla czego ks.Biskup tak mało miał zrozumienia dla słusznych praw i potrzeb duchowych swych polskich owieczek. Powyżej przytoczone fakty bynajmniej nie wyczerpują tego całego rejestru dowodów nierównego, niesłusznego traktowania polskich wiernych. Spotykamy ich na rozmaitych odcinkach. Powołując się na encyklikę Ojca św. Leona XIII."Rerum Novarum" "Pielgrzym" w Nr.10 z dnia 26.stycznia 1905 podaje kilka jaskrawych dowodów jawnie nierównego traktowania wiernych Polaków i Niemców ze strony Biskupa zajmującego przychylne stanowisko wobec niemieckich towarzystw, a zupełnie przeciwnie w stosunku do polskich towarzystw i polskiej ludności. I tak przytacza "Pielgrzym" następujące fakty: 1/ 25-lecie istnienia "Gesellenvereinu" w Gdańsku ks.biskup Rosentreter zaszczycił swą obecnością, odprawił nabożeństwo pontyfikalne i brał udział w obchodzie. 2/ Na obchód niemieckiego "Charitasu" posłał ks.Biskup swoje życzenia i [illegible]

wieństwo. 3/ Dla "Arbeitervereinów" mianował osobnego kuratera w osobie ks.kanonika Schermera. 4/Odnośnie niemieckich spółek "Reiffeisenów" Władza Duchowna pracę księży w nich uznaje i pochwala.

A odwrotnie jako było ? 1/Ks.Biskup odmówił mianowania kuratera dla Towarzystw Ludowych. 2/ Gdańskie Towarzystwo kat.polskie w Gdańsku "Jedność" miało przywilej uznany przez ks.bp.Rednera, że ks.Biskup mianował kuratora dla tegoż towarzystwa. Ks.bp.Rosentreter odmówił mianowania go. 3/ Z okazji Sejmiku Spółek Zarobkowych w Pelplinie odrzucił Biskup Rosentreter prałatowi Wawrzyniakowi pozwolenie na odprawienie nabożeństwa w katedrze.4/Władza biskupia prywatnie przestrzegała księży młodszych, by się nie zajmowali sprawami społecznymi oczywiście dla ludności polskiej. 5/ Jako najjaskrawszy fakt podaje "Fielgrzym" moje przeniesienie niczym nieusprawiedliwione z Jeżewa do Łażyna po założeniu tam Banku Ludowego i Konsumu, a więc dzieła całkiem społecznego, co cichego zakątka, pozbawionego komunikacji, gdzie nie będę mógł być w pojęciu rządu niebezpiecznym. W czasie strejku szkolnego, kiedy to dziatwa polska tak bohatersko i męczeńsko stawała w obronie swych praw do języka ojczystego w nauce religii, nic nie było wiadomo, by ks.biskup Rosentreter się był ujął przed władzami pruskimi za tą sprawą.Dalej przez się narzuca się pytanie, jak mógł Arcypasterz diecezji, która w olbrzymiej większości składała się z wiernych narodowości polskiej, tak jaskrawej w stosunku do niej dopuszczać się niesprawiedliwości, kiedy przecież uczuciowo okazywał on dla niej dużo nieudawanej życzliwości i sympatii. Przecież nie można go absolutnie posądzać, żeby tak postępował z obciążaniem swego sumienia i wbrew dobrej woli. Nieraz gorzko się skarżył na [illegible] polską, że go niesłusznie oskarża i mu jawnie wytyka to traktowanie Polaków. Ale on ma ręce skrępowanie, że inaczej postępować nie może ze względu na dobro kościoła. Można się z łatwością domyślać, na jakich motywach i względach on swe postępowanie opierał. Otóż faktem jest, że rząd miał wielki wpływ na obsadzanie stanowisk kościelnych. Tymczasem wśród duchownych polskich toczył się istny proletariat.Coraz większa stawała się liczba tych kapłanów, którzy po kilku-

nastu lub nawet kilkudziesięciu latach nie mogli otrzymać probostwa. Miał też wielki kłopot z tymi księżmi wikarymi, którzy angażowali się bądź to w dziedzinie oświatowej bądź społecznej po stronie polskiej, bo rząd go o to zasypywał skargami. Więc radził młodym księżom, żeby się w te sprawy nie angażowali. Dążeniem biskupa było rozszczepienie dużych parafii i tworzenie nowych placówek duszpasterskich, na co potrzeba było każdorazowego zezwolenia rządu. Biskup pragnął przecież utrzymywać w tym celu dobre stosunki z rządem, dla tego w innych sprawach szedł mu całkowicie na rękę. Poza tym Biskup był Niemcem i patrzył na stan rzeczy ze stanowiska i z punktu widzenia niemieckiego. Rozbiór Polski i wcielenie ziem polskich do Prus uważał nietylko jako fakt dokonany, ale i uprawniony, z którym si. Polacy pogodzić winni. Jako Niemiec nie odczuwał on naszego głębokiego przywiązania do naszego języka ojczystego i do naszych właściwości narodowych. A opór nasz,stawiany zakusom ze strony władz pruskich na te nam tak drogie skarby narodowe, uważał za szkodliwe dla sprawy i stanu posiadania kościoła kat. Patrzał n.p., jakie spustoszenia wyrządziła komisja kolonizacyjna w stanie posiadania kościoła kat.,jak groźnie się kurczyły parafie przez wykupywanie majątków ziemskich i rugowanie z ich katolików, jak ogranicza się nabywanie ziemi przez katolików. Nic dziwnego, że wobec tego narzucać się mogły Biskupowi takie myśli. że, gdyby Polacy wyrzekli się swych roszczeń narodowych, te wszystkie prawa wyjątkowe by ustały i katolicyzm by się na terenie diecezji wzmocnił. Wreszcie prawdopodobnie jeszcze jeden punkt rozumowania wpływał na to, że Biskup faworyzował Niemców katolików kosztem Polaków, a który znalazł wyraz na łamach organu kat.centrum na Pomorzu p.t."Westpreussiches Volksblatt". A mianowicie ukazał się w rzeczonym piśmie artykuł bardzo znamienny i przypominający żywo później tak brutalnie propagowaną przez Hitlera ideę o wyższości rasowej Niemców.Rzeczone pismo reklamuje naprzód ów artykuł jako pochodzący "z bardzo poważnej strony" /von sehr beachtenswerter Seite/. Następnie ów autor w tym artykule zatytułowanym "Polnische Übergriffe" /polskie zakusy/, z oburzeniem piętnuje te pisma polskie, "które się mienią być katolickimi, a publicznie i tajemnie

zaczepiają władzę biskupią i katolickich księży niemieckiej narodowości. Wstyd musi ogarniać każdego katolika, tak wywodzi dalej rzeczone pismo, jeżeli to czynią pisma, które się wyraźnie katolickimi mianują. Najgorsze przeciwkościelne pisma takiego tonu by nie nabrały. Jest na czasie, abyśmy przeciw temu głos zabrali. I teraz następuje ciekawa i wprost poniżająca ludność polską konkluzja owego bardzo "poważnego" autora rzeczonego artykułu, który tak usprawiedliwia istniejący stan rzeczy w naszej diecezji: "Przecież żyjemy w diecezji, która pod względem języka jest mieszana, w której co do liczby polski żywioł przeważa, w której jednakowoż pod względem intelektualnym niemiecki żywioł stosunkowo wyższy procent stanowi / in der aber in intelektueller Hinsicht das deutsche Element einen verhältnissmässig höheren Prozentsatz stellt/". W odpowiedzi na to pisze pelplińskie "Pielgrzym", organ polskiego duchowieństwa na Pomorzu, jak następuje: "Tu autor wypowiedział otwarcie całe swoje zapatrywanie i stanowisko, nie tylko swoje, ale bez wątpienia wszystkich swoich ziomków do nas polskich diecezjan. Twierdzenie, że element polski jest liczebnie większy, ale pod względem intelektualnym niższy, na wskroś obraża całe polskie duchowieństwo i całą naszą polską diecezję." I na podstawie takiego rozumowania i pojmowania stanu rzeczy usprawiedliwiało się upośledzenie i rażąca niesprawiedliwość w stosunku do duchowieństwa i ludności polskiej w diecezji. A skargi i żale na to ze strony polskiej uważano za niegodne katolickiej polskiej prasy i społeczeństwa polskiego i za "wielki wstyd" dla niej. Na powyżej wymienionych przesłankach, rozumowa i sugestii opierał widocznie i ks. Biskup Rosentreter swoje zarządzenia i cały kierunek swego urzędowania w diecezji, uważając widocznie, że w ten sposób najlepiej służy "interesom kościoła, co jednak wychodziło na rażącą niesprawiedliwość i wielką krzywdę dla przytłaczającej większości jego wiernych polskiej narodowości. Społeczeństwo polskie, a w tym i duchowieństwo polskie, absolutnie nie mogło się pogodzić z tym, że ta nieustanna uległość wobec rządu pruskiego i jego roszczeń służyła dobru kościoła. Przeciwnie, naszym zdaniem ta uległość ośmielała rząd pruski tylko do coraz większych pretensji. Prawda, rząd miał dużo wpływu na administrację kościelną, ale czy władza biskupia nie miała żadnej możli-

wości przeciwdziałania i przeciwstawienie się tym nieusprawiedliwionym roszczeniom na rozmaitych odcinkach administracyjnych ? Rząd pruski po doświadczeniach w czasie walki kulturnej nie tak łatwo byłby się zdecydował na wszczęcie nowej podobnej walki z kościołem. Analogiczne przecież warunki istniały w diecezji gnieźnieńsko-poznańskiej, a tam władza Biskupia nie tylko nie odradzała młodym kapłanom brania udziału w polskich organizacjach społecznych i oświatowych, ale im wprost tę pracę nakazywała. W ten sposób kryci też byli przed rządem pruskim, jakoby samowolnie się tej pracy imali. Czego nie było w naszej diecezji. Nie tylko pod tym względem, ale i pod wielu innymi w tamtych diecezjach umiały tam właśnie biskupie skutecznie paraliżować szkodliwe działanie i injetencje władz pruskich, to też tam nie istniała kwestia owej wielkiej liczby księży, odsuwanych od probostw. Ale to też tam byli Biskupi Polscy.

Żadną miarą nie mogliśmy się pogodzić z takim pojmowaniem, jakoby wcielenie ziem polskich do Prus było nie tylko faktem dokonanym, ale i usprawnionym, to to był akt gwałtu, akt bezprawia, który nigdy usprawnić się nie mógł. Stąd mieliśmy nietylko prawo, ale i święty obowiązek pielęgnowania nietylko naszego języka, ale i naszych właściwości narodowych i stąd też mogliśmy słusznie wymagać nawet od Władzy Biskupiej niemieckiej, by te nasze słuszne prawa szanowała, a nie upośledzała na każdym kroku. Władza Biskupia winna też była sobie uświadamiać, że jedynie Polsce zawdzięczała, iż diecezja chełmińska, a z nią i warmińska pozostały katolickimi. Gdyby bowiem były już w czasie reformacji należały do Prus, byłyby podzieliły los Mazurów. A już najbardziej bolesnie dotknąć musiały społeczeństwo polskie wyrażone w niemieckim języku i piśmie katolickim, a pochodzące z bardzo poważnej strony" twierdzenie o niższości intelektualnej elementu polskiego, czym chciał ów autor usprawiedliwić tak wielce niesprawiedliwą przewagę Niemców w hierarchii kościelnej. Dużo było przecież wówczas wśród duchowieństwa polskiego świetnych, z wykształceniem akademickim kapłanów, aby mogli byli zająć stanowiska wyższe w hierarchii kościelnej, ale ich do niej nie dopuszczono.

Doprawdy przykro mi o tym pisać, ale trudno mi było przejść nad ówczesnym smutnym stanem rzeczy do

porządku. Jeszcze dzisiaj bowiem spotykam się z sporadycznie wypowiedzianymi zdaniami młodszych księży, jakoby rządy biskupa Rosentretera były sprawiedliwe dla Polaków. Fakty temu stanowczo przeczą. Ks.Biskup Dr.Rosentreter uczuciowo okazywał Polakom sporo życzliwości i pewno sam był przekonany o słuszności swych zarządzeń i swych metod zarządzania diecezją, w praktyce jednak stanowiły one wielką niesprawiedliwość i krzywdę dla katolików polskich. Ludność polska dla tego, choć odnosiła się z wielkim szacunkiem do swego Arcypasterza, jako wiernie przywiązana do kościoła i wiary swych ojców, z drugiej jednak strony wielki żywiła w sercu żal za macosze jej traktowanie.

Ówczesne polityczne i gospodarcze położenie ludu polskiego na naszych terenach.

Doprawdy, że trudno było wprost pojąć i rozumieć tę niesamowitą psychozę niemiecką, węszącą i dopatrującą się stale i wszędzie niebezpieczeństwa polskiego. Nieustannie ich straszyło i spokoju im nie dawało spać widmo polskie. Można ją chyba wytłumaczyć tym, co tak dobitnie wyraża nasze polskie przysłowie, że na złodzieju czapka gore. Wszak Niemcy po trzech zwycięskich wojnach z Danią, Austrią, Francją do niebywałej doszli potęgi. Liczba mieszkańców Rzeszy wynosiła blisko 70 milionów. Niemcy stanowili największą potęgę militarną w Europie. W obrębie tego wielkiego państwa mieszkało całkiem 3 1/2 miliona Polaków, zupełnie bezbronnych i nawet gospodarczo dość słabych. I jakież niebezpieczeństwo mogła ta względnie skromna liczba Polaków stanowić dla tak potężnych Niemiec ? A tym czasem w rzeczywistości ta tak stosunkowo nikła liczba Polaków wprost sen spędzała z oczu niemieckich. Wszędzie im Polacy byli groźni, wszędzie im zawadzali. Byli groźni, bo mieszkali na wschodnim pograniczu ich państwa, za którym znajdowali się ich rodacy. Byli im groźni i na zachodzie Rzeszy, dokąd setki tysięcy naszych rodaków wyemigrowało za chlebem, do kopalni westfalskich i nadreńskich, aby tam swym potem i znojem wśród nieustannych niebezpieczeństw zarabiać na skąpy kęs chleba dla siebie, a dla baronów

niemieckich na pomnażanie ich bogactw. I tu bito na alarm z powodu rzekomego niebezpieczeństwa polonizacji i tych zachodnich połaci Niemiec. Z powodu olbrzymiego rozwoju wielkiego przemysłu na zachodzie Niemiec zabrakło na rozległych obszarach rolniczych ~~obszarach~~ Niemiec rąk do pracy, ponieważ robotnik niemiecki ulotnił się ze wsi do przemysłowych centr naszych zachodnich. Sprowadzano w ich miejsce wielkie rzesze pracującego ludu polskiego i ze zaboru pruskiego i z b.Kongresówki, a również z Małopolski,które w pocie i znoju uprawiali i uwrzątali plony dla pruskich junkrów. Bez rąk polskiego robotnika rozległe pola ich zamieniłyby się były na pustynię. Ale i tu mogli być Polacy niebezwieczni, bo mogliby zalać swym elementem całe ich obszary. Trzeba było i tu się przed tym "grożącym" niebezpieczeństwem zabezpieczyć. Nie wolno im przeto było tu się osiedlać. Musieli co rok późną jesienią udawać się do swoich domów, aby rychłą wiosną wracać znów do pracy.Gdy na skutek wykupywania majątków niemieckich na terenie b. zaboru pruskiego przez Komisję Kolonizacyjną ceny ziemi podskoczyły znacznie w górę, a Polacy nie mogąc się jej dokupić tu, zaczęli nabywać posiadłości ziemskie w t.zw. Prusach Wschodnich, znów wielki larum ze strony Niemców na polonizację polską i na tamtych terenach. I wszędzie i stale jak zmora dusiło Niemców widmo polskie. Za wszelką cenę usiłowali się go pozbyć. Stworzono t.zw. Komisję Kolonizacyjną, na którą Sejm Pruski rok rocznie uchwalał setki milionów marek, płynących z kieszeni polskich płatników podatkowych celem wykupowania ziemi z rąk polskich, a również i niemieckich, na których jednak mieszkały liczne polskie rodziny robotnicze, aby zmusić w ten sposób ludność polską do rozproszenia się po świecie, a w jej miejsce osiedlać kolonistów niemiecko-protestanckich. Aby Polakom uniemożliwić wszelką parcelację, uchwalono t.zw. ustawę osadniczą, zabraniającą im stawiania sobie domów mieszkalnych na nabytych parcelach.Miała ona szczególne zacięcie wrogości, działając przez blisko rok wstecz, tak iż ci, którzy przed jej uchwaleniem ponabywali parcele już nie mogli pobudować domów mieszkalnych. Na tym tle zasłynął wóz Drzymały. Kiedy jeszcze i to nie wystarczało, uknuli drakońską ustawę wywłaszczeniową, mocą której po-

zbawić mogli każdego Polaka jego ziemskiej posiadłości. Aby tak niebywałą ustawę usprawiedliwić, ówczesny Kanclerz Bülow wystąpił z argumentem, że Polacy rozmnażają się jak króliki, a Niemcy jak zające. Swoją przeto wielką siłą rozrodczą mogą zalać całe Niemcy. Aby wprząc do walki antypolskiej jak najszersze koła ludności niemieckiej, utworzono t.zw. Ostmarkenverein, który od pierwszych liter jego założycieli Hennemann, Kennemann i Tiedemann nakaz nazwany został. Związek ten otrzymywał na ten cel wydatne subwencje z kas rządowych. Szkoły uczyniono również narzędziem germanizacji dziatwy polskiej. Nauczycieli, synów polskich rodziców, wychowując ich przez siedem lat w internatach umieli w znacznej mierze tak urobić, że stali się powolnymi sługami owego przewrotnego systemu germanizacyjnego. Skuteczne wynaradawianie polskiej dziatwy wynagradzane bywało osobnymi dodatkami do ich uposażeń, t.zw. Ostmarkenzulagami. I aż tak ogromny i kosztowny aparat i aż tyle sił ludzkich nie wahali się Niemcy zmobilizować, którzy butnie twierdzili, że się nikogo nie boją, prócz Boga, na zwalczanie "polskiego niebezpieczeństwa". I nie wstydzili się Niemcy przed opinią całego świata tej swej istnej donkiszoterii w stosunku do Polaków. W trakcie obrad nad ustawą wywłaszczeniową Bülow oświadczył cosłownie: "Zagranica potępia naszą politykę przeciwpolską. Na to jednak zważać nie możemy. Musimy czynić to, czego wymaga dobro ojczyzny naszej". A więc " dobro" Niemiec wymagało doszczętnego wynarodowienia 3 1/2 mil. Polaków. Jeszcze co prawda wówczas nie doszli Niemcy do stosowania takich metod tępienia elementu polskiego, jakich użył Hitler, ale już i wówczas sporadyczne głosy szowinistycznej prasy niemieckiej nie wahały się urabiać opinii publicznej w podobnym kierunku. I tak n.p. pismo niemieckie na zachodzie Niemiec "Rheinisch-Westfälische Zeitung" odmawiało Polakom prawa do życia, nazywając ich " ein elendes Polenvolk", aż bardzo rozpowszechnione na terenie ówczesnych Prus Zachodnich /Pomorzu/ pismo niemieckie "Danziger Neueste Nachrichten" napisało wyraźnie, że, "Polaków trzeba wytruć jak szczurów". Poeta niemiecki zdaje mi się Schiller, wyraził następującą sentencję:" Das ist der Fluch der bösen Tat, dass es fortwährend Böses muss gebären". To jest

przekleństwo złego czynu, że nieustannie musi płodzić zło". Rozbiór Polski był zbrodnią. Na tej przeto drodze uzyskana zdobycz stanowiła dla Niemców źródło nieustannego niepokoju, że zmartwychwstała z grobu niewoli Ojczyzna upomni się kiedyś o swoją własność. Aby temu zapobiec, cofuszczali się jednego bezprawia po drugim, gwałtu po gwałcie.

Germanizacja przez część duchowieństwa niemieckiego.

Kościół katolicki jak dobra matka gromadzi wszystkie swoje dzieci bez względu na ich rasę, język i narodowość, pod swe skrzydła opiekuńcze z równą miłością i pieczołowitością. Chrystus Pan nakazał apostołom nauczać i chrzcić wszystkie narody, a przez Ducha św.obdarzył ich darem różnorodnych języków. W kościele kat.ma przeto każdy naród prawo modlić się, śpiewać, wyznawać swe grzechy, rozmawiać ze swym Bogiem we własnym języku. Kościół kat. przeto wysyłając swych misjonarzy do rozmaitych narodów najpierw wyucza ich mowy danego kraju i narodu.Samo przez się rozumie przeto, że 4/5 polskich wiernych naszej diecezji miało prawo do tego, by być obsługiwane przez duszpasterzy w własnym swym języku i żeby ci, którym powierzono troskę i opiekę nad ich potrzebami duszpasterskimi,władali dostatecznie ich językiem i mogli się z nimi w ich ojczystej mowie w kościele i poza kościołem porozumiewać. Tymczasem z Seminarium często wychodzili kapłani,władający bardzo słabo językiem polskim. Czteroletni pobyt w Seminarium Duchownym i czteroletnia w nim nauka języka polskiego powinna była wystarczyć do przyswojenia sobie należycie tego języka. Ale potrzeba było z należytą pilnością i starannością się do tej nauki przysiąc. Tymczasem to poniżenie i szkalowanie stale mowy polskiej i kultury polskiej przez prasę niemiecką i przez poszczególne organa niemieckie oddziaływały sugestywnie i na słabsze umysły kleryków narodowości niemieckiej. Po prostu lekceważono sobie nasz język. "Pielgrzym", organ duchowieństwa polskiego, podaje n.p. taki fakt z r.1909: "Pewny kapłan narodowości niemieckiej, którego jego kon-

frater Polak zapytał, dlaczego władając bardzo niedostatecznie językiem polskim, ubiega się o czysto polską parafię, odpowiedział: "Ach, den dummen Polaken werde ich erst was einbraseln /Ach, tym głupim Polakom coś niecoś nabrechę/". Wytwarzał się w ten sposób typ księży "niemych", którzy opuściwszy Seminarium przez dłuższy czas nie byli zdolni ani wygłaszać kazań w języku polskim ani rozumieć penitentów przysłuchaniu spowiedzi ani dzieci przygotowywać w ich języku ojczystym. Rzecz zrozumiała, że ksiądz mając takie wielkie trudności w porozumiewaniu się ze swymi wiernymi w ich języku, usiłowali propagować język niemiecki, rugując polskie kazania, przygotowując dzieci do I komunii św. w języku niemieckim i nakłaniając penitentów, by się spowiadali po niemiecku. O pewnym księdzu niemcu podaje "Pielgrzym" w nr.64 swego pisma, że kiedy mu się udało penitenta nakłonić do spowiadania się w języku niemieckim, wyraził się do swego konfratra, że odczuwał z tego powodu "eine diebische Freude"/szelmowską radość/". Ponieważ propaganda niemiecka przedstawiała Polaków jako wrogów państwa, nic dziwnego, że niektórzy księża uważali za swój obowiązek patriotyczny krzewienie niemczyzny. "Pielgrzym" przytacza oświadczenie innego księdza Niemca, któremu jego konfrater Polak czynił wyrzuty, że germanizuje parafię, że "nie możecie nam chyba brać za złe, że my jako Niemcy staramy się o zdobycze na rzecz niemczyzny"/Sie können uns doch nicht übel nehmen, wenn wir als Deutsche uns bemühen fürs Deutschtum Erwerbungen zu machen/. Ostatni księża Niemcy, którzy jeszcze w świeżej pamięci mieli walkę kulturną szczerze stawali w obronie słusznych praw swych wiernych. Taki n.p. ksiądz Schanko, proboszcz parafii w Nowym Mieście n/Prywcą, kiedy przyszło do niego delegacja niemieckich katolików urzędników o powiększenie jeszcze liczby niemieckich, odpowiedział im stanowczo:"Panowie, prędzej mi włosy na głowie wyrosną niż ja na to się zgodzę". Taki ksiądz Treder w Koronowie, pochodzący z Iławy z rodziny niemieckiej, utrzymywał polskość w całej swej parafii, taksamo czynił to ks.Semrau w Osiu, w powiecie świeckim, którego nieraz widywałem na naszych zebraniach polskich. Pod nagłówkiem :księża germanizatorzy, a społeczeństwo

polskie pisze: "Pielgrzym": "Pewna część, szczególnie młodszych księży uważa się za urzędników pruskich i ci powiadają, że jako urzędnicy muszą się stosować do życzeń rządu /als Beamte müssen wir den Wünschen der Regierung entsprechen/". Niestety i wśród młodszych księży polaków znalazło się też kilku księży renegatów, jak n.p. już poprzednio wymienieni ks.Kralewski,ks.Stuczyński. Najbardziej typowym przykładem takiego ks.renegata był niejaki ks.Jackowski. Pochodził on z czysto polskiej rodziny z pod Koronowa. Rodzice słabo władali językiem niemieckim. On będąc wikarym przez dłuższy czas w Gdańsku zupełnie się zniemczył, a uzyskawszy probostwo w Kędzie, strasznie parafię zniemczył. Skutki takiego postępowania księży germanizatorów były wszędzie tam, gdzie nie było uświadomienia narodowego, wprost fatalne dla polskości. Takie parafie jak Oliwa, Prągnowo, Trąbki pod Gdańskiem jak również niektóre parafie w Kaszubach, w szczególności Nowa Cerkiew,Sępólno,Kamień, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu były prawie zupełnie polskie, uległy prawie zupełnie zniemczeniu. I tak germanizowali jedni księża Niemcy, że nie władali językiem polskim, inni z patriotycznych pobudek, inni i to spora ich, że to dobrze popłacało. Rząd Pruski, rozdający większą część prebend, nie skąpił bowiem swoich względów tym, którzy po jego myśli pracowali. I germanizatorzy wiedzieli, że tą drogą najpewniej uzyskać mogli łaski rządu. I rzeczywiście skarbili sobie takie względy przez germanizację. Gazety podawały swego czasu akta jednej takiej szacherki, gdzie ksiądz sam popierał swe starania u władzy niemieckiej o lepsze, t.j. dochodniejsze probostwo, wskazówką na dokonaną germanizację. Inni znów sam się wygadał, że starając się o probostwo obiecał czy obowiązywał się ograniczyć liczbę polskich kazań. A czy społeczeństwo polskie obojętnym patrzało okiem na te germanizatorskich zakresy swych niemieckich duszpasterzy ? Bynajmniej. Szły liczne petycje i skargi, jeździły liczne delegacje do Pelplina, do władzy biskupiej, ale zwykle bez skutku. Władza biskupia przecież bynajmniej nie była przeciwna niemczenia się diecezji. A skargi i żale ze strony wier-

nych polskich przypisywała polskiej agitacji. Pozostał wobec tego tylko jeden sposób ujawniania publicznego tych niesprawiedliwości i krzywd przez prasę polską, czym się znów obrażona czuła Władza Biskupia. Pelpliński "Pielgrzym" tłumaczył, dlaczego prasa polska zmuszona jest piętnować te nadużycia w kościele kat.naszej diecezji, pisząc dosłownie:"Jeżeli my podnosimy skargi, to właśnie dlatego, że w diecezji naszej zapanowały stosunki niezdrowe, że w naszej diecezji brak po stronie niemieckiej księży prawdziwie katolickich - wyjątkom oczywiście cześć i szacunek. Nasze skargi przyczynić się mają do uzdrowienia tych stosunków. Chrystus Pan wygnał przekupniów z świątyni - i my chcemy wygnać z kościoła pruskich karierowiczów, kupujących za germanizację tłuste probostwa i wysokie godności". Zaiste, germanizacja, uprawiana przez znaczną część duchowieństwa narodowości niemieckiej na terenie naszej diecezji, to smutny i bolesny objaw.

Niemczenie i przez siostry zakonne.

Do serji tych czynników, które dążyły do pozbawienia ludności polskiej ich mowy ojczystej i ich właściwości narodowych, należało niestety, zaliczyć i siostry zakonne. Zasięg ich tego rodzaju działalności był na szczęście dość skromny. Ograniczał się bowiem tylko do sióstr Polek i do personelu zakładowego. "Pielgrzym" podaje w nr.29 z r.1908 liczne przykłady niemczenia sióstr Polek przez siostry zakonne. Pisze on:"W większej części kongregacji, zwłaszcza w Prusach Zachodnich i na Górnym Śląsku, uprawia się germanizowanie na wielkie rozmiary. Siostrom Polkom nie wolno nawet pomiędzy sobą rozmawiać po polsku. Konfiskowano siostrom Polkom polskie książki do nabożeństwa, zakazywano siostrom pisać do rodziny po polsku. Że w tym opisie nie było żadnej przesady, sam miałem możność przekonania się. Otóż, kiedy byłem wikarym w Drzecimie w latach 1904-06, przybyła do plebanii pewna siostra Elżbietanka z Tucholi. Przysłała ją ówczesna tamtejsza s.przełożona dla kwestowania wśród parafian, o zbieranie ofiar na zakład. Siostra ta z płaczem opowiadała mi o szykanach, jakie znosić musi dla

swej mowy ojczystej ze strony s.przełożonej.Nie znosi ona wprost tej mowy. Zakazuje jej nawet do służby zakładu odzywać się po polsku. Odebrała jej książkę do nabożeństwa i wolno jej tylko modlić się z niemieckiej książki. Nie wolno jej było korespondować z rodziną, jak tylko jedynie w języku niemieckim, a przecież - skarżyła się - rodzice ani nie rozumią dobrze po niemiecku. Ta jednak siostra przełożona, nienawidząca tak fantastycznie język polski, nie wahała się wysłać po kwestę do czysto polskiej parafii właśnie ją, władającą językiem polskim. Ale bo też mowa polska przydała się wtedy jej, kiedy chodziło o zbieranie ofiar pieniężnych na zakład wśród polskich parafian.Siostry Elżbietanki nie były pod tym względem wyjątkiem.Podobne stosunki panowały i w innych zgromadzeniach. Chlubny wyjątek mu pod tym względem stanowiły jedynie ss.Miłosierdzia św.Wincentego a Paulo,mające swą główną władzę w Paryżu.Te siostry nie tylko nie germanizowały, ale przeciwnie uczyły potajemnie języka ojczystego i literatury polskiej. Męskim zakonom po owe czasy nie wolno było się osiedlać w Prusach.

Jak i z jakim skutkiem bronili się Polacy przed zakusami germanizacyjnymi ?

Niemcy wypowiedzieli społeczeństwu polskiemu w b. zaborze pruskim wojnę eksterminacyjną. Jeszcze wówczas coprawda nie chodziło jak za czasów Hitlera o biologiczne wytępienie Polaków, lecz o to, żeby ich duchowo, pod względem narodowym,uśmiercić, to jest, by im odebrać ich duszę język ojczysty, ich duszę polską, zamieniając ją na germańską. Jak z powyższego opisu wynika, zmobilizowano w tym celu wszystkie możliwe czynniki jak szkołę,wojsko, rozmaite organizacje, urzędy, nawet część duchowieństwa, zakony,wreszcie, opłacając suto tę pracę wynaradawiającą dobrymi stanowiskami, odznaczeniami, dodatkami osobnymi t.zw. ostmarkenzulagami, nawet i dla kapłanów, za dobre usługi w tym kierunku. Po za tym jeszcze uknowano jedną ustawę wyjątkową po drugiej dla wytępienia żywiołu polskiego.Była to walka nierówna. Po jednej stronie olbrzymi tytan, uzbrojony we wszystkie możliwe środki ekstermina-

cyjne, a z drugiej strony mały kamyczek tak ustrojony jak ów Dawid we walce z Goliatem w procy i kilka kamyków. Naszą bronią była przede wszystkiem ta silna wiara i to mocne przekonanie, że słusznej, sprawiedliwej broniny sprawy, przeto dobra sprawa zwyciężyć musi, bo po stronie dobrej sprawy stoi Bóg, że w tej walce bronimy nie tylko naszej narodowej, ale i katolickiej sprawy. Wszak germanizacja była równorzędna z protestantyzacją. Wierzyliśmy niezachwianie, że jak opoki Piotrowej nikt zwyciężyć nie jest w stanie, tak i naszej sprawy, gdyż opiera się ona również na opoce Piotrowej. W tej walce eksterminacyjnej nie mieliśmy żadnych sprzymierzeńców. Byliśmy osamotnieni. A przecież mieliśmy współwyznawców, Niemców katolików ? A jakie stanowisko zajmowali oni w tej naszej walce ? Czy pospieszyli oni swym współwyznawcom z pomocą ? Owszem katolickie centrum w Sejmie pruskim głosowało przeciw wyjątkowym prawom antypolskim, ale to też było wszystko. A ludność niemiecka katolicka na naszych terenach jak się odnosiła do nas Polaków ? Część stanęła na stanowisku neutralnym, część nawet pomagała wrogowi, reszta potępiała nasz opór, czyniąc nas odpowiedzialnymi, że tym naszym oporem jesteśmy winni wszystkim szkodom, jakie on sprawie katolickiej wyrządza. /A ~~jakim skutkiem społeczeństwo polskie tę walkę obronną prowadziło?~~/ A Władza biskupia i większa część duchowieństwa narodowości niemieckiej nieprzychylnie, a nawet wrogo częściowo się do tego oporu odnosiła. A z jakim skutkiem społeczeństwo polskie tę walkę obronną prowadziło ? Jeżeli uprzytomnę sobie moje lata chłopięce, to wynik tej walki wydawać się mógł jako z góry przesądzony. Sytuacja ludności polskiej zdawać się mogła bowiem wówczas prawie że beznadziejną. Szerokim kołom społeczeństwa polskiego brakowało zupełnie uświadomienia narodowego. Nie wiedziały i nie słyszały nic o Polsce, nie wiedziały tak jak i ja sam, co znaczy być Polakiem. Nie znały wartości języka polskiego i innych skarbów duchowych narodu. Były już poprawne gazety polskie, ale nie docierały one do szerokich warstw narodu. Błędem ich głównym było, że poziom ich językowy i treściowy za wysoki był w stosunku do poziomu myślowego i pojęciowego prostego ludu. Wszak lud znał swój język tylko w rozmiarach powszedniego jego użytku z codziennego życia i to

co mu dawał kościół. Wielką zasługę pod tym względem oddała sprawie "Gazeta Grudziądzka", która w zupełnie prosty i dla każdego zrozumiały sposób podawała swą treść i wiadomości. Pod tym względem była to robota prawdziwie pionierska. Powoli też znalazły dostęp i inne polskie pisma do naszych polskich strzech i chat. A było ich na Pomorzu spora stosunkowo liczba. Oprócz "Gazety Grudziądzkiej" znacznie starszym od niej był "Bielgrzym". Gazeta Grudziądzka później, podczas pierwszej wojny światowej przekreśliła swoje zasługi utorowania drogi gazetom i pismom polskim, oddając się na usługi Niemcom. Oprócz w Toruniu wychodziła "Gazeta Toruńska" i "Gazeta Codzienna", w Gdańsku zaś "Gazeta Gdańska". Powoli doszło do tego, że prawie w każdym domu polskim znajdowała się gazeta polska. Lud polski obudził się ze swego letargu, przejrzał i poznał, że dumą jest być Polakiem, że jest synem wielkiego narodu o sławnej i bogatej przeszłości, że Polska była przedmurzem chrześcijaństwa i ostoją kultury chrześcijańskiej na wschodzie Europy i że warto było więc stawać do walki w obronie takich skarbów i walorów narodowych. Nasze tajne organizacje młodzieżowe po szkołach średnich i wyższych szkoliły całe zastępy uświadomionych, ożywionych zapałem i duchem ofiary i poświęcenia się dla ludu polskiego. Wychodzili z nich i księża i zastępy świeckiej inteligencji niezależnej jak lekarze, adwokaci i t.d. Ożywił się ruch organizacyjny. Powstawało coraz więcej towarzystw polskich, jak Towarzystwa Ludowe, gniazda Sokołów, Czytelnie Ludowe T.C.L. Nie mniejsze ożywienie i pęd rozszerzał się po stronie polskiej na polu gospodarczym. Nasi działacze dobrze zdawali sobie sprawę, że, aby społeczeństwo polskie usprawnić i uzdolnić do skutecznej obrony swych najdroższych skarbów, trzeba mu zdobyć niezależność gospodarczą. W młodych moich latach, cały handel, kupiectwo, bankowość, wszystko to było w rękach żydowskich, częściowo tylko niemieckich. Rolnik mógł swe zboże i inne produkty rolne sprzedawać tylko żydom, którzy go niemiłosiernie wyzyskiwali na cenie i wadze. Nasłyszałem się o tym co syta z opowiadań mego ojca i innych gospodarzy, jakich machinacyj używali oni, by oszwabić polskich chłopów. Byli jednak bezsilni chłopi wobec tego, że in-

nych możliwości zbytu nie było jak również i co do zaopatrywania się w potrzeby gospodarcze i domowe. Wszystkie bowiem sklepy z artykułami, które ludność polska potrzebowała dla zaopatrywania się w odzież, sprzęty domowe i gospodarcze w naszych trzech miastach Lubawy, Nowego Miasta, Iławy, znajdowały się w rękach żydowskich. A gdzieindziej nie było lepiej. Przypominam sobie, że jedyny sklep z bławatami nieżydowski, choć chrześcijańsko-niemiecki, istniał tylko w Iławie. W Nowym Mieście tylko jedna restauracja była w ręku polskim. A wszystkie inne restauracje i sklepy w rękach żydowskich. Ale również i wioski nasze były silnie zażydzone. I pod tym względem nastąpiła w stosunkowo krótkim czasie radykalna zmiana. Posłużyła ku temu idea spółdzielczości. Z Poznania przeszła i na Pomorze dążenie do tworzenia i tu polskich Banków Ludowych. W krótkim czasie powstała ich cała sieć. Aż dotąd bowiem Polak, mając oszczędności, nie wiedział, gdzie je umieszczać, ukrywał je w przysłowionych pończochach czy skrzyniach. Teraz mógł je spokojnie lokować w swoim banku, mając pewność, że mu tam nie zginą. A chcąc pożyczyć pieniędzy, nie potrzebował się udawać do banków niemieckich, w pas kłaniając się Niemcom, mógł je bowiem na dogodnych warunkach otrzymywać w swoim banku. Nie potrzebował też również szukać u żydowskich bankierów pomocy kredytowej, na lichwiarskich warunkach, które często gęsto niebacznego klienta doprowadzały do żebraczego kija. Nie było bowiem ustawowo określonej wysokości pobieranych odsetek. Za Bankami Ludowymi poszły nasze Konsumy, spółdzielnie kupieckie. Tworzenie ich zapoczątkował ks. Feliks Bolt, późniejszy senator w odrodzonej Polsce wraz z p. Sikorskim, pierwszym później starostą w powiecie chojnickim. A gdy te Konsumy wyrugowały żydowską konkurencję, tworzono w ich miejsce spółki p.n. Bazarów. W tych Konsumach wzgl. Bazarach ludność polska mogła się zaopatrywać w odzież, obuwie, sprzęty domowe i t.d. Aby umożliwić rolnikom korzystny zbyt płodów rolnych, zakładano spółki pod nazwą Rolników lub Spółek Handlowych, w których rolnicy mogli się zaopatrywać w wszystkie artykuły, potrzebne im do uprawy roli i do wszystkich innych potrzeb i wymogów gospodarczych. Spółdzielnie te i spółki znów torowały drogi prywatnym kupcom polskim. Aby znów przeciwdziałać zgubnym

skutkiem Komisji Kolonizacyjnej, powołanej do życia spółki parcelacyjne, nabywające również majątki ziemskie, by je rozparcelowywać między polskich osadników. To radykalne przeobrażenie całego życia narodowego i uspołecznienie się życia gospodarczego stało się dziełem zaledwie kilkunastu lat. Dokonało się ono bowiem w okresie między tymi latami chłopięcymi, a kiedy już w wieku dojrzałym, bo w 25 letnim mego życia wstąpiłem na drogę życia kapłańskiego. Aż na wydobycie takiej energii, bo dynamicznego żywotności zdołało się zdobyć społeczeństwo polskie w tak krótkim czasie, widząc się zagrożonym w swym bycie narodowym przez wroga. Z przerażeniem stwierdzić musiał wróg i zaborca, że on, tytan, nie łatwe będzie miał zadanie, by pokonać tego małego Dawida. Zdając sobie przeto sprawę, że nie dokona on tego na drodze legalnej, uciekł się następnie do bezprawia, do uchwalania coraz to nowych i coraz to bardziej barbarzyńskich ustaw wyjątkowych, aż do ustawy wywłaszczeniowej włącznie, ale o tym później. Taki był stan rzeczy w naszej diecezji, kiedy wszedłem na drogę życia kapłańskiego. Postanowienie moje co do kierunku tej drogi było gotowe: spełniać przedewszystkim gorliwie swoje powinności kapłańskie, a pozostały czas poświęcać pracy dla społeczeństwa, tak bardzo zgnębionego. To miało się stać wytyczną na całe me życie. Opis mój też dotyczyć będzie głównie tej drugiej sprawy, jako dobrowolnie przez siebie przyjętej, podczas gdy pracę kapłańską i duszpasterską uznawałem jako główny i święty swój obowiązek i samo przez się rozumiejący się. Przyszłość nie przedstawiała się zbyt różowo dla mnie. Jak inni moi współtowarzysze filomaccy święcenie kapłańskie otrzymałem in titulum perpetui vicarii - na tytuł stałego wikarego. Położenie wikarego wówczas nie było do pozazdroszczenia. Dochody były skromne, a ponadto groziła każdorazowo, kiedy się wikary zaangażował w jakąś pracę społeczną dla ludu polskiego, na interwencję rządu przeniesienie na inną placówkę, co równało się przerwaniu rozpoczętego dzieła. Własny biskupi dekret przeniesienia kosztował tylko 10 fenigów na porto i to żółcio papieru kancelaryjnego. Inaczej zgoła było u wikarego. Musiał

on posiadać własne umeblowanie i każdorazowo przeprowadzki siebie i swej skromnej rodziny pokrywać musiał z własnej kieszeni. Tym się jednak pocieszałem, że nie mam już nic do stracenia. Droga do jakiegokolwiek awansu była mi zagrodzona , z drugiej atoli strony, stojąc na najniższym szczeblu hierarchii kościelnej, nie mogłem już z niego być strącony. I myślałem sobie, że i to dobrze znaleźć się w takim położeniu, że się już nic nie ma do stracenia. Każdy się wtedy z łatwością na rzeczy, na które by się może puszczać wahał, gdyby się miało jeszcze coś do stracenia.

Żydzi a polityka przeciwpolska.

Żydom na naszych ziemiach dobrze się wiodło za mych młodszych lat. Kupiectwo, cały prawie handel w ich skupiał się w ręku. Wobec braku uświadomienia narodowego, niezaradności i bezwładu po stronie polskiej Żydzi nie tylko dorabiali się, ale wprost bogacili się w krótkim czasie na naszych terenach. Przychodzili zwykle z niczym, jak mówiono z "sinecelami",chodzili po domach skupując skóry, włosienie, stare rzeczy a dość rychło już mieli własne sklepy, własne nieruchomości, własne domy handlowe. Niemcy sprzyjali Żydom, odnosili się do nich życzliwie, ba nawet faworyzowali ich. Uważali ich bowiem za pożądany element w podtrzymywaniu i krzewieniu niemieckości na naszych terenach. I w rzeczy samej Żydzi zawdzięczając swą egzystencję, swój dobrobyt, swoje bogactwo, wyłącznie ludności polskiej, stanęli wyłącznie po stronie niemieckiej, im się wysługiwali, ich cele germanizacyjne popierali. Taki błogi dla Żydów stan rzeczy trwał, dopóki polityka antypolska się znacznie nie zaostrzyła, a ludność polska, zagrożona przez wroga i w swym bycie gospodarczym, nie zerwała się do samoobrony i na tym odcinku, usiłując i dzielnicę handlu wziąć w swoje władanie i wyemancypować się z pod hegemonii gospodarczej Żydów. Te coraz liczniej powstające nie tylko Banki Ludowe, ale i Spółdzielnie i Sklepy kupiecko- handlowe usuwały żydom grunt spod nóg. A nadomiar i Komisja Kolonizacyjna, która również zakładała spółdzielnie dla swych osadników, również ogranicza-

ła możliwości handlowe Żydów. W ten sposób żydzi bici byli pomiędzy z dwuch stron. Miało to ten skutek, że rok rocznie liczba Żydów na naszych terenach malała. Stąd uchodzili dalej na zachód Niemiec. Ten stan rzeczy dobitnie uwydatnia zjazd Żydów, który się odbył w drugiej połowie października - zdaje mi się - w Lipsku w r.1909. Na zjazd ten zjechało 400 delegatów z całych Niemiec. Na tym zebraniu radca sprawiedliwości Breslauer z Berlina, przedstawiając okresy uchodctwa Żydów z dzielnic polskich powiedział m.i., co następuje: "Gdy niemczyźnie nie groziło żadne niebezpieczeństwo, uciskano Żydów, gdy powstało niebezpieczeństwo polskie /sic !! / przypomniano sobie o tym ważnym czynniku kultury niemieckiej i zaczęto Żydów szanować. Komisja kolonizacyjna jednak pobudziła różne spółki. Wszystkie potrzeby kolonisci w nich zaspakajają. W dodatku z polskiej strony dzieje się to samo. Na domiar ani Komisja Kolonizacyjna ani Ostmarkenverein nie uwzględnia Żydów lekarzy, adwokatów, aptekarzy. To też w traktowaniu żydów przez władze musi nastąpić zmiana, jeżeli Żydzi, ten tak ważny dla niemczyzny żywioł zniknąć nie mają z kresów wschodnich".

Na osobny temat: "Żydzi na Kresach Wschodnich" przemawiał poseł Wolff z Leszna: "W walce narodowości na kresach wschodnich największe straty ponoszą żydzi. Każde miejsce, z którego ustąpił Żyd, zajął Polak. Niemiec wobec Polaka bez pomocy Żyda nie jest wstanie współzawodniczyć. Żydzi po wszystkie czasy oddawali narodowości niemieckiej największe usługi. Od tysiąc lat osiedli w Polsce zachowali jednakowoż język i poczucie niemieckie. Za tę wielką lojalność, po wsze czasy okazywaną przez rząd niemiecki Żydom źle się odpłaca."

Spis Rzeczy.

Część I.

		Str.
1.	Słowo wstępne: Dla czego piszę ?	1
2.	W domu rodzinnym	2
3.	Ogólny stan gospodarczy za mych lat chłopięcych	5
4.	Położenie polityczne	7
5.	Szkoła	11
6.	Czy umierający dają znać o sobie tym, których kochają ?	13
7.	Zwrot w moim życiu chłopięcym	15
8.	Do gimnazjum	17
9.	W gimnazjum. Jak powstało państwowe progimnazjum w Nowym Mieście ?	19
10.	Życie w szkole i poza szkołą	21
11.	W drugiej klasie w kwarcie. Pierwsza komunia św.	24
12.	Nie dobrze jest zmuszać młodzież do długich nabożeństw	25
13.	W roli korepetytora	27
14.	Policzek to kiepski środek wychowawczy	29
15.	Vaterlandslose Gesellen. Bezojczyźniane pachołki	31
16.	Do czego przydać się może assa foetida ?	33
17.	Śmierć Ojca	34
18.	Co przyspieszyło śmierć ojca	36
19.	Kilka wspomnień z życia ojca	38
20.	Moja matka	41
21.	Moi przodkowie	45
22.	Odwet za wymierzony policzek	49
23.	W domu Marwiczów. Znów w roli korepetytora	50
24.	Ostatnia 6 klasa progimnazjum. Zmiany w kierownictwie szkolnym	53
25.	Wciąż bielmo na oczach	54
26.	Koniec pobytu w progimnazjum w Nowym Mieście. Mała Matura	58
27.	Do Chełmna. Życie wśród młodzieży. Rok 1897.	60

Str.

28. Nareszcie spadło bielmo z mych oczu, przejrzałem. Filomata 65
29. Życie w organizacji filomackiej 69
30. Znów jako korepetytor 71
31. W roli portiera 73
32. Wesoły obchód imieninowy. Fatalne jego następstwa 75
33. W szponach mściwego profesora 77
34. Z innej znów strony pociecha i zadowolenie 79
35. Idea słowiańskiej wspólnoty 81
36. Rozbiór Polski to polityczna grabież. I co dla mnie z tego wynikło ? 82
37. Jeszcze jeden mój wróg w gronie profesorskim 86
38. Egzamin maturalny. Nie spalili. 87
39. Do Seminarium Duchownego w Pelplinie. Wykrycie tajnej organizacji Filomatów 90
40. Jak doszło do wykrycia ? 91
41. Zawezwanie do Sądu Śledczego w Chełmnie 93
42. Dalsze uprawianie języka rosyjskiego. Plan zwiedzenia Rosji. Mój pech. 95
43. Na rozprawie sądowej w Toruniu 97
44. Po wyroku 100
45. We więzieniu 103
46. Po powrocie do Seminarium. A co dalej będzie ? 107
47. Ostatnie dni w Seminarium Duchownym. Święcenie kapłańskie z wyrzeczeniem się prawa do probostwa 111
48. Położenie duchowieństwa polskiego i wiernych polskich za rządów Biskupa Ks. Dr. Kosentretera 113
49. Ówczesne położenie polityczne i gospodarcze ludu polskiego na naszych terenach 120
50. Germanizacja przez część duchowieństwa niemieckiego 123
51. Niemczenie i przez Siostry Zakonne 126
52. Jak i z jakim skutkiem bronili się Polacy przeciw zakusom germanizacyjnym ? 127
53. Żydzi a polityka przeciwpolska 132

C Z Ę Ś Ć D R U G A.

Już jako ksiądz za czasów zaborczych.

Moje pierwsze placówki duszpasterskie.
W Dubkowach.

Po wyświęceniu młody kapłan niecierpliwie wyczekuje dekretu władzy biskupiej, dokąd go tenże skieruje. Mnie powołał on do Dubków, ale tylko na zastępstwo chorego tamtejszego wikarego, Wojciechowskiego, który się leczył w jakimś uzdrowisku na chroniczny katar kiszek, a który po wyleczeniu się miał tam wrócić. To też Dubkowy miały być dla mnie tylko placówką przejściową. Od samego początku mego kapłaństwa nerwałem się do pracy społecznej, ale tam możliwości ku temu nie znalazłem, właśnie dla przejściowego tylko tam pobytu. Proboszczem był ks. Tokarski, szlachcic - dokuczała mu stale bolesna migrena, paraliżująca całą jego energię. To też poza kościołem nie było tam żadnego polskiego życia organizacyjnego. Zresztą i tamtejsza struktura społeczna stanowiła mniej podatni grunt do tego rodzaju pracy. Gleba tam urodzajna, tłusta. Właścicielami jej to przeważnie byli t.zw. średniacy, zajmujący pośrednie stanowisko między chłopem a obszarnikiem. Uważali się za coś wyższego od "pospólstwa", za arystokrację. Przeto nie łaska im była, znaleźć się razem z robotnikiem, chłopem, rzemieślnikiem w obrębie jednej organizacji. Ażeby atoli móc zająć przodownicze w niej stanowisko, brak im było odpowiedniego wykształcenia. Podług moich doświadczeń właśnie ten rodzaj ludzi był bardzo trudnym materiałem do wciągnięcia go w tryby życia organizacyjnego! Swoją drogą jednak parafia dubkowska była czysto polską. Zresztą nie miałbym z mego trzymiesięcznego pobytu na tej placówce nic osobliwego do nadmienienia, chyba to, że spotkałem się tam z moim znajomym z więzienia tczewskiego, z owym bigamistą, który się tam etablował jako fryzjer, a który sobie z racji tego, że razem ze mną siedział w więzieniu, robił reklamę. Po trzech miesiącach pobytu w Dubkowach przeniesiony zostałem na Wikariat w Trzycimiu pow. Świecie. Do Dubków wrócił ks. Wojciechowski, ale nie na długo, gdyż po kilku dniach zmarł.

W Drzycimiu.
Biała niespodzianka. Walka o ziemię.

Zaraz przy wejściu do plebanii drzycimskiej spotkała mnie biała niespodzianka. Otóż w drzwiach przywitał mnie jakiś wysokiego wzrostu, już posiwiały, arystokratycznej postawy mężczyzna słowy: "Jestem Chrzanowski, były dziedzic Drzycimia, witam serdecznie ziomka". Od razu żywo stanęło mi w pamięci ta wielka tragedia, jaką ta zacna rodzina przeszła w związku z działaniem Komisji Kolonizacyjnej. P.Chrzanowski wraz z 4 córkami opuścił swą siedzibę rodzinną prawie że z torbami. Osiedlił się w Drzyciniu. Chrzanowski trudnił się pisaniem podań do władz i rozmaitych urzędów, poza tym zajmował się pośrednictwem kupna i sprzedaży. Najstarsza córka, Helena, zajmowała się rolnictwem, druga Marynia, prowadziła gospodarstwo domowe, najmłodsza Zosia, była nauczycielką w zakładzie Sióstr w Kościerzynie. Poza tym była jeszcze czwarta córka Janina. Właśnie za czasów mego pobytu w Drzyciniu udał się p.Chrzanowskiemu dobry interes poprawiający nieco jego nie bardzo wesołe położenie. Wydarzenie to stanowi zarazem dobitną ilustrację ówczesnych stosunków walki o posiadanie i zdobywanie ziemi między Polakami a Niemcami - szczególnie między Komisją Kolonizacyjną. Polakom chodziło o utrzymanie jak największej ziemi w swych rękach, a Niemcom, żeby ich z niej usunąć, a osadzić niemieckich kolonistów. Wytworzyła się na ten temat częstokroć gorączkowa rywalizacja między jedną a drugą stroną. Polska strona piętnowała bardzo dobitnie każdego, który wyzbył się swej posiadłości na rzecz Niemców jako sprzedawczyków, zdrajców, judaszów, znieważając ich nazwiska w t.zw. czarnej księdze i ogłaszając ich bojkot towarzyski. Podobnie i niemiecka strona postępowała z tymi swymi rodakami, którzy oddali swą posiadłość w ręce polskie. W związku z tym stanem rzeczy wytworzyła się też po jednej i drugiej stronie nieraz niezdrowa, a nieraz wprost niebezpieczna psychoza. Niemcy kupowali sobie wśród Polaków ciemne kreatury, które podawali jako fingowanych nabywców posiadłości z rąk polskich, niby dla siebie, a w rzeczy samej albo dla jakiegoś Niemca albo dla Komisji Kolonizacyjnej.

cyjnej, a zwłaszcza polskiej prasy. Właściciele niemieccy prasy wiedzieli od Komisji Kolonizacyjnej wyżej jak najwyższą cenę wywindować za ziemie polskiego nabywcę. Też w tym wypadku rzecz miała się następująco. Pewien właściciel, sprzedawszy swój majątek w dwudziestych trzech kilometrach, pragnął na innym terenie nabyć podobny majątek. Właściciel majątka, Niemiec, ofiarował mu majątek Komisji Kolonizacyjnej żądając takiej a takiej ceny. Polskiej Komisji Kolonizacyjnej cena wydawała się zbyt wygórowana, odmówiła nabycia majątku. Później ogłosił on sprzedaż majątku komu bądź. W tym zjawił się Ow Żydzki w Brzyninie, w pobliżu i razem z Chrzanowskim udali się do Jastrzębia na pertraktacje. Dobito targu i spisano notarialny akt włączając klauzulę, że strona, która się cofnie od niego, zapłaci podrzednikowi jako odszkodowanie 10 000 marek, a drugiej stronie jako karę konwencjonalną 20 000 marek. Dając ten kontrakt w ręce przedłożył go Ow Niemiec Komisji Kolonizacyjnej z tym, że, jeżeli instytucja ta nie chce, żeby posiadłość ta przeszła w ręce polskie, winna jemu dać tę samą cenę, co i Polak, a przez to pozwolić mu zapłacić całą karę konwencjonalną. Komisja Kolonizacyjna chciała nie chciała zgodziła się na te warunki. W ten sposób otrzymał Chrzanowski 10 000 marek, a Żydzki 20 000, a Niemiec żadnej ceny. Była to znaczna suma, bo połowa dzisiejszej wartości niemieckiej, pewna kwota, która się w ręce polskie dostała, choć niestety, majątek znalazł się w rękach [illegible] niemieckiej. Chrzanowski w ten sposób zdobył pewną ilość ziemi, z których dwie wysały na mą, robiąc mnie dobre partie. Fakt ten jednak dwie mi się przykrzyno kaźdorazowo, a ile jestem kolejna trasą Chojnice - Tczewskie mijam przystanek Jastrzębie. Jest on zawsze antypatycznym przypomnieniem do dzisiejszych stosunków we wsi o niemię na terenach północnych, a w szczególności pomorskich.

Stan rzeczy pod względem narodowo-politycznym w parafii.

Parafia brzyninska nosi charakter czysto polski. Niemcy są w znacznej mierze dzisiejszego proboszcza, ks. Czyż, który jest dobrym patriotą i dobrym organizatorem. To też w parafii żywo pulsowało życie polskie. Istniało towarzystwo śpiewu, w któ-

rym przez wykładów oświatowych ćwiczono śpiewy pieśni polskich, odczytywano przeczytywania artystyczne. Było i kółko rolnicze. Wybory czy to samorządowe czy to sejmowe i b zorganizowano, dobrze zorganizowane, dawały dobre wyniki. Co do mnie, to paliłem się do włączenia się w nurt pracy tej, spotykałem się otóż ze stanowczym sprzeciwem ze strony proboszcza pod tym względem. Nie chciał mnie do niej dopuścić "Niech ksiądz sobie nie zarzuje swojej kariery na przyszłość", tym powiedzeniem wywarł mnie stało. Nic nie pomogły moje tłumaczenia, że ja już i tak nic nie mam do stracenia. Pozostał przy swoim. Gwałtem się nie chciałem wciskać. Czemu mi odmawiał tej współpracy, trudno mi było zrozumieć. Nie mając do niej dostępu, skierowałem swe wysiłki w innym kierunku, a niemożliwie ku dalszemu. Wprowadziłem ją w kościele, część jej pieśni kościelnych, wierszy religijnych, rozdawałem elementarze polskie, uczyłem czytać po polsku. Wszystko mnie wzruszało, jeszcze obecnie w starości mojej, kiedy spotykałem tu i tam, nawet tu w Chojnicach, ludzi, którzy mi jeszcze z pamięci recytowali wyuczone wówczas wiersze. Jeszcze jedno poczyniłem zaraz w początkach mego życia kapłańskiego postanowienie, aby jakoś użytecznie wykorzystać wolny czas. Motywem ku temu było poczucie się do winy względności wobec P. Boga, że doprowadziła mnie nimo tylu przeszkód do celu, do kapłaństwa. Przyszedł mi tu z zachętą i pomocą mój proboszcz z rodzinnej parafii, ks. Betke w Radomnie. Jak już wspomniałem, był to wielki filantrop i patriota. Skrzętnie zbierał pieniądze, a mając donośną probendę, miał ich dużo. To pieniądze przeznaczał w znacznej mierze na stypendia dla kształcącej się młodzieży polskiej. Mnie powiedział, bym to zaraz w początkach mego kapłaństwa, poruszyłem tę sprawę, będąc z ks. Betkiem. Wyraziłem mu swój żal, że, podczas, gdy on tak dobrze wytrawnemu, może tyle dobrego czynić, to ja, młody, zdany na los niepewnego wikarego, nigdy nic pewnego czynić nie będę mógł. On mi na to: "Niech co, jeszcze, podzielimy się tą sumą" ze dwoma będziemy tu pracę, a ja pieniądze. Wyszukaj sobie zdolnych chłopców, dzieci zacnych a niezamożnych rodziców, przygotuj ich po przez dwie do trzy klasy gimnazjalne, a ja z swej strony, będę wspierał tych, których mi polecisz". Uszczęśliwiony byłem natychmiast zabrałem się do dzieła. Jako pierwsze, tranzę wyszukałem sobie wśród chłopców, czyniących na naukę przygotowawczą do gimnazjum dwóch chłopców Leosia

Piotrowskiego i Franusia Kurlanda. W niespełna 4 miesiący przygotowałem ich do kwinty i zgłosiłem ich do Kolegium Marianum w Pelplinie. Były to pierwociny mej pracy nauczycielskiej. Pojechałem z nimi razem do Pelplina. Dyrektorem był wówczas ks. Reichert. Przedstawiłem mu moich chłopców. "Tak powiada, to dobrze, ale muszę ks. wikarego uprzedzić, że do kwinty zgłosiło się 26 kandydatów, a pięciu możemy tylko przyjąć, bo dla więcej nie ma miejsca". "No, powiadam, to chyba wypadnie z mymi chłopcami, od razu wracać do domu". "No nie, niech spróbują! Jeżeli znajdą się między tymi 5-ciu najlepszymi, to mogą być przyjęci", odpowiada ks. Reichert. No i spróbowali i zostali przyjęci. Była to wielka zachęta dla mnie za przyszłość. Najwięcej radości sprawił mi ten ówczesny Franuś, a późniejszy kanonik i generalny wikariusz. Po kilku latach władza pruska zakazała mi tej dla mnie tak miłej, a społeczeństwu polskiemu tak pożytecznej pracy.

Czy kara Boża za krzywoprzysięstwo ?

Uczono mnie i ja też uczyłem dziatwę w nauce religii, a wiernych z ambony, jak ciężką zniewagą Boga jest krzywoprzysięstwo i że nieraz P. Bóg już tu na tym świecie karze za dopuszczenie się tego grzechu. Zaraz w pierwszym czasie po przybyciu mym do parafii zawezwano mnie do pewnej wioski w obrębie parafii, do Sierosławia do jakiejś starszej niewiasty, nie do zaopatrzenia jej, ale wysłuchania spowiedzi i udzielenia komunii św. Leżała ona już od dłuższego czasu obłożnie chora. Podpadła mi od razu jej strasznie zniekształcona twarz i jej dziwnie pokręcona ręka prawa. Mówić nie mogła. Kiedy otwierała usta, przykro było patrzeć na jej potwornie zdeformowaną jamę ustną. Otwierając usta mogła z nich wydobywać jedynie jakieś bolesne jęki. Spowiedź mogła się przeto odbywać jedynie w ten sposób, że z nią odprawiałem każdorazowo rachunek sumienia, a ona na poszczególne pytania odpowiadała albo przytakiwaniem albo przeczeniem głową. Za każdym jednak razem przy odejściu żegnała mnie jakimś dziwnie smutnym, jakby błagalnym wejrzeniem. Ten stan rzeczy trwał dość długo, ponieważ regularnie co miesiąc

przyjmowała Sakramenta św. Łamałem sobie głowę, co może oznaczać ten jej błagalny, smutny wzrok, którym mnie każdorazowo żegnała. Domyślałem się, żeś jej musi coś ciążyć jeszcze na sumieniu, czego nie może z niego usunąć, ale co to może być? Aż pewnego razu wołają mnie, żeby matkę zaopatrzyć na śmierć i by się z tym spieszyć, bo z nią jest źle. Nim tym razem przystąpiłem do słuchania jej spowiedzi, córka jej wzięła mnie do osobnego pokoju i wyjaśniła mi, że jej matka swego czasu dopuściła się krzywoprzysięstwa - chodziło przy tym o sprawy majątkowe i że zaraz po złożeniu tej fałszywej przysięgi się tak zrobiło, jak dotąd jest, dodając przy tym pytanie, czy ja przy słuchaniu spowiedzi jej o to pytałem. Niestety, nie pytałem o to, bo się zgoła nie domyśliłem, że ona taki grzech może mieć na sumieniu. I teraz dopiero stało mi się jasnym wszystko. Były to wyraźne następstwa popełnionego krzywoprzysięstwa. Wszystkie organy ciała, biorące w nim udział, jak język, jama ustna, ręka prawa i palec jej zostały straszliwie porażone i zniekształcone. I teraz dopiero, kiedy jej to pytanie stawiłem, zalała się łzami, żywo głową zaczęła potakiwać, a twarz jej oblał jakiś dziwny blask szczęścia i spokoju, a przy odchodzeniu powiodła za mną wzrokiem, pełnym spokoju i wdzięczności. Kilka godzin później już nie żyła.

Co zdolna dokazać imaginacja.

W Przycimiu mieszkała jakaś rodzina Kruczkowskich. Byli to rolnicy. Mieli dwóch synów, Huberta i Konrada. Ten starszy objął po rodzicach gospodarstwo, a ten młodszy Konrad ze mną razem ukończył gimnazjum w Chełmnie, na razie jeszcze przebywał w domu. W tym właśnie czasie gazety podawały alarmujące wiadomości o srożącej się na Śląsku, dotąd nieznanej chorobie, tężca karku, która polegała na tym, że drętwiała cała szyja, a powoli drętwa ta przechodziła i na cały kręgosłup i chory powoli umierał. Tak podawały ówczesne gazety, dodając, że choroba ta nabiera charakteru epidemii i groźnie szerzy się i poza Śląskiem. Wytworzyło to pewną panikę wśród ludności i w naszej okolicy. Zajęty u Kruczkowskich robotnik nagle zachorował. Przywołany lekarz nie mógł dokładnie stwierdzić rodzaju choroby, twierdził jednak, że nic groźnego nie ma i że niebawem pac-

jest będzie zdrów. Nim jednak lekarz dojechał do stacji kolejowej, chory zmarł. W wiosce powstała wielka panika. To napewno był tężec karku - zawyrokowała opinia mieszkańców Przycimia. Nie można była znaleźć śmiałka, któryby się odważył chorego ubrać do trumny, aż wreszcie pracodawca zmarłego, Hubert, kropnąwszy sobie na odwagę czystej, podjął się tej roboty. Po dokonaniu tego dzieła z wielkim strachem, czy się aby nie zaraził, położył się do łóżka. Była północ. Pogrążony byłem w głębokim śnie, gdy nagle zbudziło mnie gwałtowne pukanie do okna. Zrywam się na nogi. Z za okna dochodzą mnie żałosne jęki. Zbliżam się do okna. Odzywa się z za okna mój kolega szkolny, Konrad: "Mój brat zaraził się ubierając tego robotnika i nie tylko szyja, ale i cały kręgosłup jest zupełnie unieruchomiony. Nie chcieliśmy Ciebie do nas fatygować, więc przywiozłem brata dotąd, abyś go zaopatrzył na śmierć, bo pewno wnet pójdzie za swym robotnikiem."
Wpuściłem ich do pokoju. Hubert miał twarz koloru kredy, stał przedemną jak jaka tyka. Szyja zupełnie zdrętwiała. Nie może klęknąć. Słucham go spowiedzi stojącego. Następnie udaliśmy się do kościoła, gdzie przyjął komunię św. i olejem św. namaszczenie. Następnie obydwaj zrozpaczeni odjechali do domu. Położywszy się z powrotem do łóżka, bardzo długo nie mogłem zasnąć, aż dopiero nad ranem. Przewracałem się z boku na bok, przekładając poduszkę to w tę to w tamtą stronę. Wstawszy rano z łóżka czuję wyraźnie obolałą szyję. Do licha ! Czy i ja się zaraziłem ? Ale nie, szyją mogę śmiało obracać w jedną i drugą stronę. Poszedłem do kościoła, by odprawić Mszę św. Powoli obolałość ustała. Gorzej natomiast było z Hubertem. Przywołany lekarz z Osia, Dr. Przycimski, stwierdził, że jest zupełnie zdrów, a cała ta jego drętwość była niczym innym, jak tylko imaginacją, spowodowaną psychozą strachu. Biedny Hubert tak się przejął tą diagnozą, że przez całe dwa tygodnie nie pokazywał się ludziom na oczy. Wstyd go było.

Dobroczynność owszem, ale kierowana rozsądkiem.

Pewno, że niemal każdy młody kapłan po kilkoletnim pobycie w Seminarium Duchownym opuszcza je, przejęty wzniosłymi zasadami i ideałami, które wyniósł ze Seminarium. Pragnąc je otoli zastosowywać praktycznie w życiu, a nie mając jeszcze dostatecznego doświadczenia, popełniał błędy. Tak było i u mnie. A zimowicie przy zaopatrywaniu i odwiedzaniu chorych wzruszała mnie do głębi napotykana bieda aż gorzko żaliło mi się na nią. Wtedy wyjmowałem z kieszeni, co miałem w niej pieniędzy i dawałem ochrzcie w najlepszej intencji. Przede wszystkim pewien stary człowiek, już od dłuższego czasu leżący obłożnie chory, często wzywał mnie z komunią św. do siebie, a za każdym razem, po zaopatrzeniu biadaniem nad swą biedą i głodem wydobywał z mojej kieszeni jednego talara po drugim. Tak trwało to dłuższy czas. Aż razu pewnego, kiedy znów wołano do chorego do jakiegoś dalszego osiedla, proboszcz, prawie że zrozpaczony - bo przecież musiał każdorazowo dostarczać furmanki - odzywa się do mnie: "Księże wikary ! Co to jest, czy w parafii grasuje jakaś epidemia, bo przecież jeszcze nigdy nie było u nas tylu chorych, jak obecnie ?". Dopiero teraz poczęło mi świtać w głowie, że to wielka ilość chorych to na skutek mej otwartej i ciepłej ręki dla nich. Równocześnie zaszedł jeszcze jeden wypadek, który jeszcze bardziej mnie otrzeźwił. Otóż zmarł ten rzekomy największy biedak, który, jak mi przedstawiał, często brak było grosza na chleb dla siebie. Ks. proboszcz podaje mi, że pogrzeb jego będzie z dwoma księżmi i zaprasza mnie do asysty. Zdziwiony pytam: "Ten biedak ma mieć pogrzeb z dwoma księżmi?" "Co też ksiądz wikary mówi, że to biedak, odpowiada ks. Cyra, to nie żaden biedak, to majętny człowiek. Ja bym chętnie chciał mieć te talary, które on pozostawił pod poduszką." Pomyślałem sobie, że pod tą jego poduszką znalazło się i sporo moich talarów, które ten nienasycony skneru wyłudził ode mnie. Stanowiło to jednak dla mnie wyśmienitą naukę, że dobroczynność owszem piękna i dobra rzecz, ale kierować się musi rozsądkiem, bo inaczej nie tylko pożytku, szkodę przynieść może.

Na zastępstwie w Osiu.

Po 1 3/4 letnim pobycie zmuszony byłem opuścić placówkę duszpasterską w Brzycimiu. Opuszczałem ją ze łzami w oczach. Zdołałem się już do niej przywiązać. Później, kiedy te przenoszenia się powtarzały, już zobojętniałem na nie i z zimną rezygnacją je przyjmowałem. Posłany zostałem na razie na zastępstwo chorego proboszcza w Osiu, ks.Masłowskiego. Było to w okresie spowiedzi wielkanocnej, a parafia była dość liczna. To też pracy było dużo. Prawie cały dzień spędzałem w konfesjonale. Nie przykrzyło mi się to bynajmniej, przeciwnie, odczuwałem radość i zadowolenie, że miałem tak obfite żniwo. Zacny i gościnny proboszcz, ks.Masłowski, starał się mi, jak tylko mógł, uprzejmiać ten krótki pobyt. Miał on jednak wielkie znaczenie dla mej przyszłości. Kiedy bowiem później rozgorzała ostra walka o polskość parafii Jeżewskiej, a mnie stamtąd usunięto, a jednak musiałem dość często tam dotąd przybywać, gdzie wstęp do kościoła przez ks.Bartschika został mi wzbroniony, miałem punkt oparcia w Osiu, które było sąsiednią parafią i dokąd była dogodna komunikacja. Z ks.prob. Masłowskim zdołałem się, mimo mego tylko czterotygodniowego pobytu w Osiu, zaprzyjaźnić się na całe życie. Ta przyjaźń umożliwiła mi założenie filii w Osiu naszego Konsumu w Jeżewie. A kiedy ja po przyłączeniu Pomorza do Macierzy przeniosłem się do Nowego Miasta, on chcąc być blisko mnie, przeprowadził się do parafii Wylice, oddalonej 5 klm. od nowego Miasta. 25 lecia naszej przyjaźni uczcił on uroczystym obchodem domowym. Ja też go pochowałem i byłem wykonawcą jego ostatniej woli. To była przyjaźń naprawdę prawdziwa i trwała. Ks.August Masłowski pochodził z Brus po Chojnicę z zniemczonej już rodziny polskiej. Jego brat, również ksiądz, pozostał Niemcem i po przyłączeniu Pomorza do Polski przeprowadził się do Niemiec. Ks.August uważany był przez władzę pruską również za Niemca, to też otrzymał już w młodym wieku kapłaństwo od Nadprezydenta w Gdańsku prezentę na parafię w Osiu z tym przypuszczeniem, że będzie on działał na korzyść niemczyzny i naprawi "szkody", jakie wyrządził rzekomo parafii jego poprzednik, ks.Semrau, który, choć pochodzący z rodziny niemieckiej, dzia-

żuś na korzyść ludu polskiego. I pod tym względem nadprezydent v.Oppeln doznał i to przykrego zawodu. Ks.Jaroszki bowiem wstąpił w ślady swego poprzednika. Współpracowały oby z ówczesnym gorliwym działaczem na tamtejszym gruncie,doktorem Brzycińskim, z nim razem działał na korzyść sprawy polskiej.

Na szlaku samodzielnej już pracy narodowo-społecznej.
Dla czego dostałem się do Jeżewa ?

Łamałem sobie głowę, dla czego mnie przeniesiono z Brzycinia akurat do najbiedniejszej parafii, do Jeżewa i to po tak stosunkowo krótkim pobycie w Brzyciniu. Przecież nic takiego nie zaszło, coby usprawiedliwiało moją translokację. Przyczyny tejże dowiedziałem się dopiero po kilku miesiącach pobytu mego w Jeżewie. A mianowicie ujawniła mi ją siostra mego nowego proboszcza,Marcelina,ochrzciła mnie Marichen.Sprawił to właśnie jej brat. Wyżył bowiem jako gimnazjalista kilkakrotnie w plebanii brzycińskiej,tam miał sposobność poznania mnie. Widocznie "wpadłem mu w oko". Cichy, spokojny, nienarzucający się, nie odchylający się od pracy, tak sobie przedstawiał ks.proboszcz, że będzie właśnie taki wikary, jakiego on sobie życzy. Z tym to postanowieniem i życzeniem dał się do Ostrowskiego generalnego wikariusza,ks.Otto, znanego za niecbyt życzliwie usposobionego dla polskich dążeń narodowych. Ks.Otto zdziwił się,że właśnie mnie sobie upatrzył na wikarego dla swojej parafii, gdyż wiadomo mu, że ks.Dombek jest zaciekłym Polakiem /ein verbissener Pole/, na co ks.proboszcz odparł,że "z tym ja już sobie dam radę"/mit den werde ich schon fertig werden/. No i wysłano ks.Łątkę ustąpił i wypisał dla mnie ostrożny dekret. Było to na wiosnę 1906 roku. Przybywszy do Jeżewa i rozejrzawszy się w sytuacji, od razu stwierdziłem, że mam do czynienia z plebanią niemiecką, że choć ks.Burtschik nie germanizuje,ale całe życie społeczno- gospodarcze w Jeżewie jest opanowane przez czynniki niemiecko- żydowskie i do nas to obojętne okiem patrzeć nie będą. Ale na razie milczałem zupełnie cicho obserwując tylko pilnie istniejący stan rzeczy i snując plany na przyszłość. To też po kilkumiesięcznym mym pobycie w Jeżewie Frl. Marichen wyrosła mocniejsza była moja

zachowaniem się. W przystępie swych uczuć sympatii dla mnie zaczęła mi się zwierzać. Opowiedziawszy mi o wydanej przez ks.Lüdtkego wobec jej brata opinii o mnie, zaopatrzyła ją następującym komentarzem: "Und seinen Sie, Herr Kaplanchen, wie falsch man Sie beurteilt hatte. Sie sind doch der ruhigste Mensch auf der Welt"/I niech Herr Kaplanchen sobie wyobrazi, jak fałszywie go oceniono.A ksiądz wikary przecież jest najspokojniejszym człowiekiem na świecie/. Tak było w pierwszych początkach mego pobytu w Jeżewie, a przy końcu, po przeszło półtora roku od tego czasu,jakże radykalnie zmieniły się te początkowe życzliwe dla mnie sentymenty ze strony plebanii ! Ks.Kurtschik tak długo jeździł do Pelplina ze skargą na mnie, jak obecnie nie do Lüdtkego, to do wstydził,a do biskupa, aż go nakłonił do przeniesienia mnie, a z Frl. Kurtschen to jeszcze gorzej było. Postanowiła mnie zastrzelić.A cóż było powodem tak radykalnej przemiany początkowej życzliwości i sympatii w niepojętnowrogą nienawiść ? W całym okresie mego pobytu w Jeżewie nie było nigdy plebanii z mną żadnej kłótni, ani wyzwisk, z nych ust w całym tym czasie słodkie przykre, a tym mniej ubliżające słowa nie padły w stosunku do proboszcza i jego siostry, ani też nie miał żadnego powodu proboszcz niezadowolenia odnośnie mej pracy duszpasterskiej, prawie że bowiem za dzień pracowałem, a jedynym i wyłącznym czynnikiem, który aż taką nienawiść z ich strony na mnie ściągnął,była moja praca narodowo-społeczna.Aby to zrozumieć,trzeba choć z grubsza poznać charakter i usposobienie tych osób,odgrywających w tej materii decydującą rolę, a mianowicie ks.prob. Kurtschika i jego siostry Frl.Kurtschen.

Osoba ks.prob. "Kurtschika".

Dla czego to ks.Kurtschik uczuł potrzebę pojechania aż do Pelplina, by sobie uprosić stosownego dla plebanii i parafii wikarego ? Przecież normalnie władzą biskupia sama wyznacza wikarych dla poszczególnych parafii według swego uznania. Otóż przyczyna tkwiła i w osobie ks.kurtschika i jego siostry Kurtschen, że wikary w jeżewskiej parafii i plebanii niedługo zagrzewali, a poznawszy bliżej stosunki i warunki, jakie tam

istniały, jak tylko było możliwe, stamtąd zwiewali. Dla tego też ks.Burtschik szukał takiego pomocnika, który by się z tym stanem rzeczy godził, a nie dezertował z posterunku. Co więc było przyczyną, że księża wikarzy tak często stamtąd się ulotnili ? Powodem tego było osobliwe pojmowanie sposobu wykonywania swej pracy duszpasterskiej. Cechowała ją swego rodzaju ekscentryczność. Pragnął on wszystko inaczej wykonywać niż inni kapłani. Tak n.p. za dobrą spowiedź uznawał tylko taką, która trwała conajmniej kilkanaście minut. To też on nigdy więcej nie wysłuchiwał penitentów w godzinie jak 5 i surowo oceniał tych kapłanów, którzy inaczej praktykowali. Pewno, że taka zasada mogłaby być i słuszna, przyjmując, że im dłużej, tym gruntowniej, ale nie w tak wielkiej parafii jak jeżewska, licząca już wówczas przeszło 4700 dusz, a gdzie dla osobliwej struktury społeczno-gospodarczej gros pracy w konfesjonale, koncentrował się na sezon późno jesienno zimowy i rychło wiosenny, kiedy robotnicy sezonowi wrócili do swych pieleszy domowych z Meklenburgii a rychłą wiosną tam dotąd wracali. No proszę tylko zważyć. Ks.Burtschik w godzinie wysłuchał tylko 5, czym się chętnie chełpił, to, jeżeli penitentów przyszło n.p. 200, ks.B. w 5 godz. wysłuchał 25 penitentów, a dla ks.wikarego pozostało 175. Ks.Burtschik po 5 godzinnym słuchaniu spowiedzi wracał ranny i rześwy do domu, podczas gdy wikary był zupełnie wyczerpany. Tak samo było i z innymi jego czynnościami duszpasterskimi. Tak n.p. nowożeńców na egzaminie przedślubnym trzymał przez cały dzień, od wczesnego rana do późnego wieczora. I tego pewno by mu nikt nie ganił, ale te i podobne tema praktyki duszpasterskie sprawiały, że największy ciężar pracy spadał na barki wikarego. To była jedna z przyczyn, dla czego wikarzy chętniej opuszczali parafię niż do niej przybywali. Jakie następstwo miało tak powolne słuchanie spowiedzi, przekonałem się w Meklenburgii. Rok przedemną, kiedy objąłem na cały sezon duszpasterstwo na tym terenie, raz i drugi pojechał tamdotąd ks.Burtschik. Ówczesny proboszcz w Skwierzynie, pod którego zasięgiem była wówczas prawie cała Meklenburgia skwierzyńska, błagał mnie wprost, by ks.B. wybić z głowy, by się tu już więcej nie pokazywał, bo jaka korzyść, tak tłumaczył, z takiego duszpasterzowania, kiedy na kilkaset ludzi, którzy się stawili do spowiedzi, on zaledwie kilkadziesiąt wysłuchał, a reszta złorzecząc odchodziła do domu. Ks.B.

miał wogóle skłonność zwracania na siebie uwagi. Kiedy został zaraz po wyświęceniu wikarym w Gnieźnie, stale chadzał po ulicy w rewerendzie, podczas gdy inni księża w diecezji po za kościołem nosili na sobie sutanki lub surduty. Ale nie to jeszcze było osobliwością. Miał on sobie psinę, białego kudłatego szpica, któremu przywiązał dzwonek do szyi. Skutek to ten skutek, że ludzie, widząc księdza na ulicy w rewerendzie i słysząc dzwonek, klękali, przypuszczając, że idzie z P.Jezusem do chorego. Doniesiono o tym do władzy biskupiej, od której wyszło następujące rozstrzygnięcie: "Jeżeli chce chadzać po ulicy w rewerendzie i z psem, to nie wolno psa nosić dzwonka. Natomiast, jeżeli chce chadzać razem z psem i dzwonkiem, nie wolno mu się ubierać w rewerendę."

Pozatym cechowała go nie często spotykana dwulicowość. Świadczy o niej choćby następujące jego pod tym względem niefortunne potknięcie się głośne swego czasu wśród konfratrów. A mianowicie korespondował on z dwoma konfratrami, jeden z nich był polakiem, drugi Niemcem. W liście do Polaka wyrażał swe ubolewanie nad uciskiem Polaków przez władze, natomiast do ks. Niemca obrzucał się na Polaków, że mają tę czelność dążenia do własnego państwa. Pech jednak chciał, że przy wkładaniu listów do kopert pomylili się w ich kolejności i stąd poszło, że list przeznaczony dla Niemca, dostał się do rąk Polaka i odwrotnie. Fakt ten szeroko komentowany między księżmi, bardzo wyraźnie odsłonił jego dwulicowe oblicze. Chciał on kiedyś dać słowom Zbawiciela, że nie można dwom panom służyć. Pragnął być i faworytem parafian i być dobrze zapisanym u władz pruskich. To też wobec polskich parafian ubolewał na ich upodlaniu przez Niemców, a w tym samym czasie widywano go, jak często gęsto tylnymi drzwiami zachodził do mieszkania landrata. Lubił grać na dwóch fortepianach, właściwie na jednym, ale w taki sposób, by Polacy ale i Niemcy byli przekonani, że on ich melodie gra. Był bowiem pewien repertuar pieśni polskich jak i niemieckich, które miały te same melodie. Zwłaszcza tekst polsko narodowej pieśni "Czcić polskiej ziemi" miał tę samą melodię, co wielce patriotyczna niemiecka pieśń "Heil dir im Siegerkranz". Grając takie melodie, otwierał zwykle szeroko okna, grając

jąc się swym sprytem. Warte wzmianki jest jeszcze następujące wydarzenie, ale jeszcze zaszłe przed moim przybyciem. A mianowicie pewnej nocy zakradli się złodzieje do plebanii jeżewskiej. Posłyszawszy szmery ks. Bartschik skoczył na dach i zaczął wołać o pomoc, czym złodziei spłoszył. O zajściu tym doniosła "Gazeta Grudziądzka", opatrując ją rozwijalnie uwagą, że parafianie jeżewscy tym bardziej ubolewają, że ks. Bartschik, który przyszedł do parafii ich jako okrzyczany Niemiec, obecnie poznawszy krzywdy ludności polskiej stanął po jej stronie i stał się Polakiem. Tego, to już było ks. B. za dużo. Przecież to oznaczało dyskredytowanie go w oczach rządu pruskiego. To też od razu zjawił się w grudziądzkim polakożerczym "Gesellijerze" artykuł, piętnujący w słowach najwyższego oburzenia bezczelność Polaków, który nie wystarcza, że ksiądz się dla nich poświęca, a chcielibyście jeszcze, by dla nich zdradził swą narodowość.

Ks. B. już z czasów seminaryjnych miał opinię denuncjanta. Trudno oczywiście powiedzieć, ile w tym prawdy. Że w nim tkwiła pewna skłonność denuncjatorska i ja miałem możność zaobserwować. Doświadczyłem ją jej na własnej skórze a i niektórzy z parafian. Wykażę to w dalszym ciągu mego spisu. Nie wiem tylko, kto był głównym inicjatorem, czy ks. B. czy jego siostra. Ks. B. pochodził z Gdańska. Jego ojciec był kelnerem. Ojciec był zniemczonym Kaszubą, matka natomiast konwertytka, była Mazurką. Ojciec już za mych czasów nie żył, matka natomiast przebywała w plebanii. Była to jedynie miła, sympatyczna i prostolijna staruszka, tylko że ona nie miała w plebanii żadnego głosu. Ojciec ks. B. jako kelner miał sposobność kilkakrotnie obsługiwać nadprezydenta v. Gosslera. Z tego skorzystał on, skoro tylko syn jego zdał egzamin proboszczowski. Udał się do nadprezydenta i uzyskał od niego prezentę na probostwo w Jeżewie. I tak już zaraz w pierwszych latach po wyświęceniu, ściśle w piątym roku, otrzymał probostwo w Jeżewie, w czysto polskiej parafii. Gdy objął parafię, słabo władał językiem polskim, ale powoli podoczył się go jako tako. Aby jednak dokumentować na zewnątrz, że on pochodzi z "praniemieckiej" rodziny, podpisywał się stale gotyką "Bartschik", dopiero za czasów Polski zamienił je na łaciński alfabet. Był on bardzo mało inteligentny tak dalece,

że trudno mu było urabiać sobie samodzielny sąd o jakiejś kwestii lub problemie, a jeszcze słabszą miał wolę. Stąd to pochodziło, że za niego myślała i jego wolą kierowała niepodzielnie jego siostra "Mariechen". A była to kobieta nawskroś przewrotna, a w dodatku fanatycznie nienawidząca wszystko, co polskie. Jej to głównie przypisać należy winę za jego niesamowite, wprost gorszące wyczyny i wstępy, o czym mowa będzie później. Gdyby nie jej zgubny wpływ, ks.B. przedstawił by się w znacznie korzystniejszym świetle. Miał on bowiem i swoje zalety. Był gorliwy w pracy duszpasterskiej, obowiązkowy, prowadził życie moralne i trzeźwe. Jego osobisty stosunek do wikarego był też poprawny. Jeżeli przeto wikarzy w Jeżewie nie czuli się dobrze i chętnie z parafii się usuwali, to głównym powodem była też i jego siostra Mariechen. Była ona postrachem ks.wikarych, a złym duchem plebanii.

Charakterystyka Frl. Mariechen.

Frl.Mariechen to typ prawdziwej renegatki. Choć tak ojciec jej i jej matka byli pochodzenia bezsprzecznie polskiego, żywiła ona wprost fanatyczną nienawiść do wszystkiego, co polskie. Język polski był dla niej w wielkiej pogardzie. Choć tyle lat żyła w środowisku polskim i żywiła się polskim chlebem, nie uważała za stosowne, nauczyć się choćby tylko z grubsza mowy polskiej. Urągając naszej mowie przedrzeźniała ją stale, przekręcając poszczególne jej wyrażenia. Jej matka, to jedyna prawa i poczciwa kobieta w tej trójce plebańskiej. A jak chętnie lubiła ona się wypowiadać w narzeczu mazurskim ! Dozjaśniało się wtedy jej oblicze i jakby odrodzona duchowo rozgadywała się do syta. Tylko że musiała się z tym kryć. Skoro ją bowiem zdybała jej córka na polskiej mowie, tak ją zjechała każdorazowo, że staruszka zapłoniona od razu zamilkła: "Mutchen, was quatschst Du wieder polnisch! Weisst Du nicht, dass hier ein deutsches Haus ist ?"/"Co Ty znów bredzisz po polsku, nie wiesz, że tu jest dom niemiecki"/. To też biedna staruszka ważyła się na polską mowę jedynie wtedy, kiedy jej córki nie było w domu. Frl.Mariechen przedstawiała typ bigotki w najgorszym znaczeniu tego wyrazu.

Co dzień biegała kilkakrotnie do kościoła, ale ledwo wyszła z kościoła, gotowa była do wszelkiej niegodziwości. Szkodliwość tej przewrotnej kobiety polegała głównie na tym, że miała ona na swego brata nieograniczony wpływ. Ona to podawała mu wszelkie przewrotne sugestie. Nieraz zauważyłem, że ks. B. śmiał mieć albo raczej wyrazić odmienne zdanie od jej własnego. Zwykle rozpoczynał on je słowy: "Aber Mariechen, hör mal". Dalej już nie dochodził, bo odrazu wjechała mu w jego dalsze słowa całym potokiem swych własnych argumentów, wobec których on spuścił głowę i zamilkł i już stało się, jak ona chciała. Ona to, kapryśna, histeryczna, była główną przyczyną, że tak często zmieniali się wikarzy w jeżewskiej parafii. Mnie takie warunki absolutnie nie zniechęcały. Od pracy duszpasterskiej się nie uchylałem, owszem pragnąłem jej mieć jak najwięcej. Z niej czerpałem ochotę i zapał do pracy społecznej. Dopiero sumienne spełnianie moich obowiązków kapłańskich uznawałem za uprawnienie do pracy obywatelskiej. A co do jej wybryków, kaprysów i humorów, były one mi zupełnie obojętne. Powzięty już przezemnie plan społeczny tak mnie całkiem zaobserwował, że względy na własną osobę zeszły zupełnie na szary koniec. Nim atoli przejdę do dalszego opisu, nie mogę sobie odmówić podania jeszcze dwuch epizodów nie pozbawionych humorystycznego zacięcia, a znamienujących dobitnie duchowe oblicze p. Mariechen. Razu pewnego wróciła Frl. Mariechen z Grudziądza do plebanii, czerwona jak ćwikła, trzęsąc się cała z oburzenia, a sapiąc jak miech kowalski. Pytam jej, co się jej przydarzyło. Odsapnąwszy nieco zaczęła wyrzucać z ust cały repertuar właściwych jej wyzwisk, w których "Bandit, Halunke, Schweinehund" nie należały bynajmniej do najsoczystszych. Badam ją dalej: "No, a więc co się stało?" Frl. Mariechen: "Niech, Herr Kaplanchen, sobie wystawi! Jadę koleją razem z ks. Metznerem /był to nauczyciel religii w gimnazjum w Grudziądzu, Niemiec/ i rozmawiamy o moim bracie, że jego konfratrzy w Grudziądzu często go mają w "robocie" i się z niego natrząsają." "Prawda, powiadam, że mój brat ma jak każdy człowiek i swoje słabe strony i niech sobie "Herr Kaplanchen" wystawi, nie daje mi dokończyć, przerywa mi i powiada: "Nie "Frl. Mariechen" co jest najsłabszą stroną pani brata?" "No? pytam." A on mi na to, niech sobie Herr Kaplanchen wystawi, taką obelgę rzuca w twarz. Najsłabszą stroną brata

to jest właśnie pani. I to śmiał powiedzieć ten "Hallenke, welcher nicht einmal wert ist das zu beriechen, was mein Bruder ausgemacht hat !" O, ile mnie to kosztowało, by nie wybuchnąć śmiechem na jej tyrady ! Pomyślałem sobie, jaką to jest prawdą, co ten ziomek ks.M. o niej powiedział i jak to prawda w oczy kole ! Drugie wydarzenie, nie pozbawione również zabarwienia humorystycznego, miało miejsce już po moim opuszczeniu Jeżewa i za czasów wikariatu mego następcy, ks. Krauzego, mego dobrego przyjaciela. Tenże po krótkim swym pobycie w Jeżewie, poznawszy bliżej Frl.Mariechen, wyraził się o niej do swych kolegów w Grudziądzu, że jest osobą niebezpieczną. I o tym dowiedziała się Frl.Mariechen. Zioniąc oburzeniem nakłoniła swego brata, by się na ks.Krauzego poskarżył do Władzy Biskupiej. Tenże ujął swoją skargę w taką mniejwięcej formę, że jego siostra jest tak oburzona na tą wyrządzoną obelgę, że odrazu chciała sprawę skierować do sądu. Jemu jednak udało się ją uspokoić tym, że skieruje sprawę do Władzy Biskupiej i że z tej strony otrzyma należną satysfakcję. Pismo to Władza Biskupia skierowała do ks.Krauzego celem wytłumaczenia się z tego zarzutu. Ks.Krauze taką dosłownie dał odpowiedź: "Nie przeczę, że określiłem p.Bartschik jako osobę niebezpieczną. Jeżeli jednak tak postąpiłem, to bynajmniej nie miałem na myśli, by ona była niebezpieczną dla młodych wikarych pod względem moralnym, bo osoba taka, jak panna Bartschik, już wysoko zaawansowana w czterdziestkę, a poza tym tak słabo wyposażona we wdzięki kobiece, pod względem moralnym nie może być młodym wikarym niebezpieczną. Jednak pod innym względem uważam ją za niebezpieczną, a mianowicie pod względem politycznym, ponieważ ogólnie wiadomym jest, że ona młodych księży ~~[illegible]~~ denuncjonuje u rządu". Po takiej replice tak Frl.Mariechen jak i jej brat ks.B., zaniechali dalszych kroków przeciw ks.Krauzemu. Ale ks.Krauze postarał się o to, że w krótce potym przeniesiono go na inną placówkę.

Jakie stosunki społeczno-gospodarcze zastałem w parafii jeżewskiej ?

Jeżewska parafia znajduje się już w obrębie borów tucholskich i posiada podobne właściwości jak i inne parafie tych strefy. Są na tych terenach większe i duże majątki. W parafii jeżewskiej znajdowały się 2 większe majątki w rękach polskich jak Lipienki, których właścicielem był początkowo Mass-Jaworski a później Lieszkowscy. Ten pierwszy był posłem do parlamentu niemieckiego i wiceprezesem Koła polskiego. Właścicielem drugiego majątku Belno był Erazm Parczewski, gorący patriota i wielki poczciwiec. Jego ojciec był również posłem polskim, atoli do sejmu pruskiego za czasów walki kulturnej. Z jego ust dowiedziałem się ciekawego epizodu z jednej ze sesji sejmowej, w której Bismark wystąpił znów z piorunującym przemówieniem przeciw kościołowi katolickiemu. Po jego skończeniu przystąpił do podium, z którego przemówił Bismark, przywódca katolickiego centrum, Windhorst, dzielny szermierz w obronie kościoła. Bismark był olbrzymiego wzrostu, Windhorst natomiast to niepozorna, drobna figura. Stanąwszy naprzeciw Bismarka nic do niego nie przemówił, tylko kilkakrotnie zmierzył go oczyma od stóp do głowy, a od głowy znów do stóp, chcąc tym wyrazić "Choć ty, Bismarku, takim wielkim człowiekiem, ale opoki Piotrowej ty jednak nie zburzysz". Miało to jednak ten skutek, że cała sala sejmowa wybuchła śmiechem i cały efekt filipiki Bismarka się zatarł. Poza tym cały klucz majątków z Laskowicami na czele znajdował się w rękach Niemca Gordona. Poza tymi obszarami dworskimi istniała pewna ilość średniorolnych, większa znacznie część to małorolni i chał-upnicy, którym dość słaba gleba nie dostarczała wystarczających środków wyżywienia i utrzymania. Trzeba ich było przeto szukać gdzieindziej. A gdzie ? W Niemczech po zwycięskiej wojnie z Francją i po uchwaleniu przez parlament niemiecki ceł ochronnych na zboże w szybkim tempie zaznaczył się silny rozwój wielkiego przemysłu. Spowodowało to wielki odpływ niemieckich robotników z wsi do środowisk przemysłowych, a ogołocenie z nich wsi. Doszło do tego, że ogromne połacie wiejskie w Pomeranii, Brandenburgii, Saksonii, Meklenburgii, nawet Brunszwiga, pozbawione zostały sił

roboczych. Po wsiach i majątkach tych rozległych terenów spotkać było można jeszcze niemieckich rzemieślników i takich jedynie robotników rolnych, którym wiek lub stan fizyczny nie pozwalał na emigrację do miast jak stróżów,pastuchów. Wobec tak wytworzonej sytuacji obszarnicy niemieccy,a było ich bardzo dużo na tych obszarach,zwani jun-krami, musieli swą gospodarkę przestawić na sezonową, poza tym sprowadzać zamiejscowe siły robocze. Nadmiar takich sił znajdował się atoli w b. Kongresówce, gdzie z powodu zgubnej gospodarki rosyjskiej zaistniało wielkie zubożenie w kraju, a również na chudszych terenach pomorskich, jak w borach tucholskich,na kaszubach, ale również w niektórych miejscowościach poznańskiego,a nawet Małopolsce. Bez pomocy tych rąk polskich gospodarka rolna na tych połaciach niemieckich byłaby uległa zupełnej katastrofie. Sprawa roli na tych obszarach wymagała licznych rzesz robotniczych. Niemcy, których nieustannie trapiło widmo niebezpieczeństwa polskiego, nie pozwalali jednak tym krociom tysięcy robotników polskich na osiedlanie się na tych terenach. Wolno im było jedynie rychłą wiosną tamdotąd się udać, a późną jesienią zmuszeni byli wracać do swych siedzib. Na tym tle rozwinęła się prawdziwa wędrówka ludowa, tak zwany ruch sezonowy czyli obieżysaski.Rozpoczynał on się już w połowie marca. Dworce zawalone były masami przeważnie młodych robotników wzgl.robotnic, kierującymi się na zachód. Przykro było patrzeć na naszych rodaków z b.kongresówki. Bieda i nędza wyzierała im z ich wyglądu i ubioru. Choć to była pora jeszcze dotkliwego nieraz zimna, przeważnie byli oni boso, a ponieważ dużo wśród nich było noszących imię Antoni, utarło się u naszych ludzi określenie ich mianem "bose Antki". Wraz z nimi szły też na zachód Niemiec liczne zastępy z naszych stron tych wszystkich, którzy jako tu zbędni zmuszeni byli szukać zarobku i utrzymania na zachodzie. Ten ruch pod względem moralnym mógł budzić poważne zaostrzenia. Przecież to przeważnie młodzież obojga płci szła tamdotąd, gdzie często w marnych warunkach mieszkaniowych,pozbawiona opieki rodziców i oka swego otoczenia, łatwo ulegać mogła rozpasaniu moralnemu. Właściciel danego majątku mało troszczył się o dobro duchowe,moralne tych, którzy w pocie czoła znoili się dla jego dobra, grunt że mu obrobili pole. Tym mniej

obchodziło ich ich dobro, ponieważ Niemcy do Polaków odnosili się z pogardą. Pamiętam jeszcze z młodszych lat moich, jak nasi księża z ambon występowali właśnie ze względu na to niebezpieczeństwa zagrożonej moralności ostro przeciw tym ruchom, ale nic to nie pomogło. Siła rzeczy była większa od tych sprzeciwów. Zresztą po poznaniu stanu rzeczy na miejscu, o czym jeszcze później napiszę, przekonałem się, że to niebezpieczeństwo znów nie było aż tak wielkie. Zazwyczaj bowiem robotnicy z jednej miejscowości trzymali się i tam kupy, będąc na jednym majątku lub w sąsiednim. Jeden przeto przed drugim obawiał się, żeby potym po powrocie do domu, do swoich, żeby go nie wydano z jego życia niemoralnego na obczyźnie. Nasza parafia jeżewska z nastąpieniem wiosny po prostu pustoszała. Pozostawali w niej tylko starcy, kłomni, niewiasty i ci wszyscy, którzy koniecznie potrzebni byli do pracy w swej własnej zagrodzie. Ale tak było i w innych odnośnych terenach. Nasi sezonowcy z b. zaboru pruskiego byli w daleko lepszym położeniu niż rodacy z za kordonu. Znali bowiem język niemiecki. Mogli przeto zaznajamiać się z warunkami pracy i płacy i dochodzić swych praw. Inaczej sprawa miała się z rodakami z za kordonu. Co do nich niesumienni przedsiębiorcy mieli szerokie pole do rozmaitego rodzaju wyzysku, wykorzystując właśnie ich nieznajomość języka niemieckiego. Bo w rzeczy samej robotnik nic nie miał do czynienia z właścicielem majątku, a głównie z przedsiębiorcą, t. zw. Unternehmerem. Tenże zawierał z niemieckim obszarnikiem kontrakt, że dostarczy tyle a tyle sił roboczych, otrzyma dla każdego z nich taką a taką ognarię na ich utrzymanie i płacę za ich robotę, w zamian za to zobowiązany był obrobić i sprzątnąć całe pole i sprawić ją na zimę. Przedsiębiorcy zadaniem i obowiązkiem było sprawiedliwy podział między robotników tak ognarii w naturze i płac w gotówce. Ci przedsiębiorcy rekrutowali się z rodaków b. zaboru pruskiego, władających tak w mowie jak w piśmie językiem niemieckim. Było i sporo rzetelnych przedsiębiorców, którzy wydzielali robotnikom to, co im się należało. A i tak wychodzili na tym dobrze. Mieli bowiem możność hodowli tuczników, zawsze przecież przy większej ilości odżywiających się ludzi sporo resztek i odpadków pozostawało jako karma dla świń. Ale było i dużo niesumiennych "Unternehmerów", którzy krzywdzili robotników ujmując im z tych naturalii, które się ro-

bottnikom należały, aby tym więcej pozostało dla ich inwentarza. Na dowiar złego nalso było tym przedsiębiorcom utrzymywać t.zw. suche kareamy, w których można było nabyć takie artykuły spożywcze jak chleb, bułki, kiełbasy, masło, smalec. Oczywiście, że robotnik, który nie dojadał, bo potrawy naumyślnie były nie możliwie do zjedzenia przygotowane albo zbyt skąpe ich porcje, musiał z konieczności zaspokajać swój niedojad nabywaniem ze suchej kareamy tego, co mu było potrzebne albo na co miał apetyt. Z tego zaś płynęły zyski nieuczciwym "włodarzom". Że też spore z nich w krótkim czasie się tak dorobiło, że mogli sobie nabyć nieruchomości. Na szczęście były to wyjątki. Na ogół bierny ruch ten sezonowy obok ujemnych stron miał też i wiele dodatnich, przede wszystkim pod względem ekonomicznym. Ci ludzie przywozili ze sobą do domu cały swój zarobek sezonowy, gdzie go potym przez zimę konsumowali, co oczywiście przyczyniało się do ożywienia życia gospodarczego w naszych okolicach, ale oprócz tego jednak mieli ludzie zapoznawali się tam z bardziej postępową uprawą roli, warzyw i ogrodnictwa. Na tle takich właśnie warunków, jakie podałem, możliwym się stało zaistnienie w Jabłowie okazałego domu towarowego żydów Conitzerów /Warenhaus Gebrüder Conitzer/. Poza tym istniał jeszcze w Jabłowie nieliczni bank pożyczkowy "Reiffeisen". Założył go brat ks.biskupa Rosentretera, który był tu proboszczem ks.Bartschika. Owe sam otoli jeszcze nasze Banki Ludowe nie były znane na Pomorzu. Ks.Dr.Rosentreter, choć również Niemiec z pochodzenia, oddał sprawie kościoła, a przez to i sprawie polskiej nie małe usługi. Wykupił bowiem w Jabłowie obszerny majątek ziemski od Lutra-Niemca, aby go rozparcelować pomiędzy obdarłych Polaków. Dla sfinansowania tej akcji potrzebny mu był bank pożyczkowy. Tak jak jemu do dokonania tego przedsięwzięcia potrzebny był Reiffeisen, tak mnie znów potrzebny był Bank Ludowy do zlikwidowania domu towarowego Conitzerów. Nie mnie to jednak kosztowało, wykało dolary opie.

Słowo o żydach Gonitzerach.

Do Jeżewa przybyłem po wielkiejnocy r.1906.06 parafian dowiedziałem się, że ojciec Gonitzer przed 40 laty sprowadził się do Jeżewa z "pindelkami" jako "biedny żydek". Rozpoczął swój proceder kupiecki prawie z niczym. Miał gięci chłopców. Nie upłynęło lat 40, a jak bracia Gonitzerowie mieli 5 olbrzymich domów towarowych. Oprócz w Jeżewie mieli jeszcze domy towarowe w Kalbotach, w ówczesnym Gumbinnen, w Insterburgu, w Jabłonowie, w Bydgoszczy. Skąd oni na tak rozgałęzione przedsiębiorstwa wymagające wielkiego kapitału, ten kapitał wzięli ? Wszak nie zdobyli go gdzieś w kopalniach złota za oceanem ani wygraniem wielkiego losu w loterii ani odziedziczeniem bogatego spadku ani ciężką wyczerpującą pracą, jak znaczna część, który często od rana do późnego wieczora znosić się musiał dla zdobycia wystarczającego na życie kawałka chleba. Oni, poprostu zdobyli go albo raczej wyszachrowali go z kieszeni tego biednego, ale wówczas jeszcze w bezwładnie, bezradności i nieświadomości pogrążonego ludu polskiego. Ten miał kapitał zakładowy, potrzebny im na stworzenie tych olbrzymich placówek kupieckich, to poprostu krwawica ludu polskiego. Ale bo też w moich młodych latach wprost wymarzone istniały warunki dla żydowskiego pasożytnictwa. Cała dziedzina kupiecka była w rękach żydowskich. Żydów, jak wiadomo wiązała ich wyznaniowa solidarność. Sobie samym konkurencji nie robili. Ceny za swe towary wyznaczali wspólnie jak im się tylko żywo podobało. Żadnego hamulca prawnego przeciw dowolnemu wyzyskowi jeszcze wówczas nie było. Stałe ceny nie istniały. Kontroli żadnej ze strony władz nad wyznaczonymi cenami nie było. Mieli więc żydzi niczym nie krępowane warunki wyzysku i zdzierstwa. Nie istniały też żadne ustawowe przepisy co do wysokości pobieranych odsetek od pożyczek. I tu było otwarte pole do nieograniczonego rodzaju zdzierstwa i nadużyć. Nic przeto dziwnego, że żydostwo na naszych terenach tyle w dobrobyt i bogactwo w nader krótkim czasie. Trwało to tak długo, dopóki społeczeństwo nasze na skutek rozbudzonego uświadomienia narodowego i pod grozą zagrożenia zaborcy na jego najdroższe ideały i jego byt narodowy nie otrząsnęło się z swego letargu i marazmu i nie zabrało się do uwolnienia się z pod tego ciężkiego jarzma gospodarczego

zależności od żydów a również i Niemców. Jeżewo stało się kolebką aleponiernego zbogacenia się braci Conitzerów. Jak samo położenie tej wioski sprzyjało temu rozwojowi handlowemu. Znajdowało się bowiem trzy kilometry od wielkiego węzła kolejowego Łochowice, a samo też miało przystanek kolejowy, a później jeszcze i drugi. Zdawał sobie sprawę z ważności tego punktu ówczesny nadprezydent Prus Zachodnich, określając Jeżewo jako przedmieście Grudziądza. Sprzyjały też temu rozwojowi znaczne odległości od miast, do Świecia 19 klm., a do Grudziądza aż 19 klm. Nie to jednak samo sprzyjało tak szybkiemu pójściu w górę żydów Conitzerów. Dopełniło tego dopiero uczciwe wychodźtwo. Wiosną wiosną tłum ludzi wybierał się na bliskie i niedaleczny pobyt na obczyźnie. Brak im było tego i owego. Zaopatrywali się w to, co im na ten długi pobyt było potrzebne, oczywiście, gdzie im było najbliżej, u Conitzerów. Wielu z nich też brakło pieniędzy na podróż. Uczynny żyd chętnie przychodził im z pomocą wiedząc dobrze, że gdy wrócą, oddadzą mu to z nadwyżką. A dopiero, kiedy wracali nasi obieżyświaci, zaniedbani, obdarci, z całym swym zarobkiem, zaopatrzyć się na zimę w ciepłą odzież i w to wszystko, co im do życia było potrzebne, wtedy dopiero rozpoczęły się żniwa dla Conitzerów. Znaczna, a prawdopodobnie większa część krwawicy ludu polskiego, popłynęła wtedy do kieszeni żydowskiej. To też nic dziwnego, że Conitzerów przedsiębiorstwo rosło jak na drożdżach. W ten sposób mogli oni sobie wybudować i w Jeżewie okazały dom i cały komplet zabudowań magazynowych i rozrość się na prawdziwy dom towarowy. A nie tylko w Jeżewie, wszak umożliwiło im to potworzenie jeszcze kilku innych placówek handlowych w rozmaitych miejscowościach Powiśla. W Jeżewie przedsiębiorstwo Conitzerowskie to naprawdę dom towarowy w ścisłym znaczeniu tego słowa. Bo czegoż tam nie było? Był tam oddział spożywczo-kolonialny, towarów łokciowych, konfekcji męskiej i żeńskiej, obuwia, modniarstwa, była drogeria, zabawkarstwo, był przykrawacz, była stolarnia, nowożeńcy mogli się zaopatrzyć w całkowite umeblowanie i we wszystkie sprzęty gospodarstwa domowego, a dla rolników były i trumny gotowe. Był handel zbożem, węglem, naczyń szklanych, maszyn i sprzętów rolniczych. Była też i rzeźnia i piekarnia, ale te dwa ostat-

nie oddziały za moich czasów już zostały zlikwidowane. Kupowało się tam podobno dogodnie, to też klientela przychodziła nietylko z obrębu parafii, ale i z dalszych stron. Rzecz zrozumiała, że tak rozgałęzione przedsiębiorstwo wymagało licznej obsługi. A cała obsługa była żydowska, z wyjątkiem dwuch czy trzech robotników podwórzowych i magazynowych przy węglu, zbożu, przy żywym inwentarzu, bo tak"podłą" robotą żaden żyd by się nie parał, jak oprzętem bydła i koni,wyrzucaniem gnoju. To było dobre dla gojów, ale nie dla wybranego ludu. Mimo, że ludność polska swą krwawicą tę całą falangę żydowską utrzymywała, żadnego odwzajemnienia od nich nie otrzymywała. Żyli oni własnym swym życiem odrębnym, posługiwali się między sobą jedynie językiem niemieckim, żadnej łączności z polską ludnością nie utrzymywali z wyjątkiem chyba, że któryś z młodych ekspedientów bałamucił polskie dziewczęta. Natomiast naszych wrogów popierali na każdym kroku. Przy wyborach czy to parlamentarnych czy samorządowych głosy swe im tylko oddawali. Należeli do rozmaitych niemieckich "Vereinów", na ich uroczystościach,w przedstawieniach amatorskich brali żywy udział. Jednym słowem, swój dobrobyt czerpali z polskiej kieszeni, a swe usługi oddawali naszym wrogom. To też żydzi w owych czasach byli faworytami Niemców. Upatrywali w nich na naszych ziemiach ważny dla niemczyzny czynnik. To też i wszelka akcja skierowana przeciw żydom na odcinku gospodarczym była na równi traktowana jakoby skierowana przeciw Niemcom, jak to wykaże dalszy mój opis. Typu takiego żyda, jak go opisuje Mickiewicz w "Panu Tadeuszu" w postaci Jankla, w naszym b.zaborze pruskim być w owych czasach nie znalazł.Taki żyd, o jakim wspomniałem w opisie naszego pobytu w więzieniu w Tczewie, który po cichu nam wyznał, że z nami współczuje, należał do białych kruków. To też nasza walka przeciw wszechwładnemu na ówczas monopolowi i hegemonii żydowskiej w dziedzinie gospodarczej nie miała absolutnie nic wspólnego z antysemityzmem ani rasizmem. Ona była jedynie i wyłącznie podyktowana koniecznością samoobrony narodowej. Akcję taką, jak ja na terenie Jeżewa, prowadzili i inni księża w rozmaitych miejscowościach, ale napewno żaden z tych działaczy nie napotykał na tej drodze tyle przeszkód i nie spotykał się z takim nienawistnym i niesamowitym przeciwdziałaniem nie tylko ze

strony żydów, ale i takich czynników niemieckich, jak Landrat, własny proboszcz i stronnicze sądy świeckie, a ostatecznie i Władza Biskupia. To jest dla mnie powód, że te walki obszerniej upamiętnić pragnę.

Warenhaus Gebrüder Conitzer
później "Bazar".

Warenhaus Gebrüder Conitzer
później "Bazar" oglądany z boku.

Reiffeisen.

Jak już poprzednio wspomniałem, istniała w Jeżewie kasa pożyczkowa, od twórcy ich Reiffeisena znana pod nazwą Reiffeisen, oparta na tych samych zasadach jak Kasy Stefczyka w Małopolsce. Założył ją w Jeżewie brat ks.Biskupa, Dr. Ignacy Rosentreter po to, żeby móc przy jej pomocy dokonać

nabycia większego majątku niemieckiego i rozparcelować go pomiędzy katolicko-polską ludność. Założył kasę Reiffeisena, kiedy jeszcze naszych Banków Ludowych na Pomorzu nie było. Takie kasy istniały jeszcze i w kilku innych miejscowościach Pomorza. Były to banki niemieckie. Ich centrala była w Gdańsku i cała ich administracja prowadzona była w języku niemieckim. Mimo to ich działalność nie była szkodliwą dla społeczeństwa polskiego. Pod pewnym względem nawet pożyteczna, ale tylko do tego czasu, kiedy się ograniczyły do dziedziny im właściwej, finansowo gospodarczej. Kiedy atoli polityka germanizacyjna coraz bardziej się wzmagała, rząd pruski nie wahał się wciągnąć w orbitę swych dążeń germanizacyjnych i kasy reiffeisenowskie. Wówczas stały się one dla naszej sprawy szkodliwymi. A szkodliwość ich była bardzo niebezpieczna. Polegała ona bowiem na tym, że zaciągający w tej kasie pożyczkę za zabezpieczeniem hipotecznym musiał Reiffeisenowi zastrzec prawo pierwokupu. W razie sprzedaży dany obiekt w ten sposób przepadał dla Polaków. Wówczas jeszcze coprawda, kiedy byłem wikarym w Jeżewie, tego nie było. Ale już wówczas wszystko wskazywało na to, że to niebawem nastąpi.

Sass - Jaworski, wielki działacz polityczny.

Właścicielem majątku Lipienki był Sass - Jaworski, wówczas jeszcze kawaler, chociaż już w średnich latach będący. Ten Sass - Jaworski to wielki działacz polityczny na szerokiej arenie narodowej. Piastował najwyższe stanowiska i godności honorowe w społeczeństwie polskim Pomorza. Był przewodniczącym Komitetu wyborczego dla Prus Zachodnich i Wschodnich i wielu innych instytucyj polskich. Był również posłem do parlamentu niemieckiego, wiceprezesem koła polskiego, jeździł po wiecach i zebraniach, wygłaszał przemówienia patriotyczne, również na arenie parlamentarnej. Był dobrze sytuowany, materialnie więc niezależny. Bujając tak w wyższych regionach działalności patriotycznej zatracił zupełnie z oczu te niziny, sobie najbliższe. Nic go nie raził ten żydowski i niemiecki dom towarowy, owszem utrzymywał z nimi bliskie stosunki handlowe, był w zarządzie Reiffeisena. Z plebanią utrzymywał

jaknajlepsze stosunki towarzyskie, co dawało ludności asumpt do szerzenia pogłosek o możliwym pobraniu się z "Fräulein Mariechen", choć oczywiście Sass-Jaworski o tym ani nie myślał. W parafii nie istniało żadne towarzystwo polskie, nie było żadnej innej polskiej organizacji. Natomiast istniało niemieckie towarzystwo "Kriegerverein". Nie pomyślał ten naprawdę zasłużony działacz polski, ażeby i u siebie w domu coś czynić dla sprawy narodowej. Nie uświadamiał sobie, że Polski nie należało budować tylko odgórnie od dachu, a od dołu, od fundamentu. Była to jednak właściwość znacznej większości naszego ziemiaństwa, że swą wyższą wiedzę i swe bogatsze doświadczenia życiowe ograniczało przeważnie do pięknych przemówień na wiecach i zebraniach, zwłaszcza w okresach przedwyborczych, miast wejść pomiędzy lud i z nim razem tworzyć podwalinę do jego niezależności gospodarczej i narodowej. Uzupełniająco jeszcze podaję, co z ust samego Jaworskiego słyszałem, że i jego rodzina narażona była na germanizację. Jego samego uchronił od zniemczenia jego wuj czy stryj, który objął opiekę nad nim. Natomiast jego siostra podczas manewrów niemieckich zakochała się w jakimś wyższym oficerze niemieckim, za którego też wyszła za mąż i mieszkała w Berlinie. Dzieci ich już były Niemcami i ewangelikami. Kilkakrotnie w roku odwiedzała swego brata w Lipienkach. Każdorazowo też przychodziła do kościoła parafialnego. Widziałem ją nieraz leżącą krzyżem przed wielkim ołtarzem i słyszałem jej szlochania. Po jej odejściu zauważyłem rzęsiście łzami oblaną posadzkę. W ten sposób opłakiwała swój błędny krok w życiu swoim, którego już naprawić nie było można. Już po kilku miesiącach mego pobytu w Jeżewie sprzedał Jaworski swój majątek i zamieszkał w Berlinie, poświęcając się działalności politycznej. Później jeszcze nabył drugi majątek w Gorzędzieju, który też sprzedał. Po pierwszej wojnie światowej na skutek dewaluacji stracił cały swój majątek gotówkowy. Przez pewien czas był za czasów Polski starostą nowomiejskim. Później zwolniony z tego stanowiska resztę życia aż do swej śmierci spędził we wielkim niedostatku, pozostawiając swą dużo młodszą od siebie żonę i dzieci również w ciężkim położeniu materialnym. Władze polskie po jego śmierci ze względu na jego zasługi dla sprawy polskiej oddały na własność jego żonie i dzieciom osadę poniemiecką w powiecie

nowomiejskim,w Kaliszu. Ale mych planów korzystnym było,że on się wyprowadził w Lipienek, bo gdyby był pozostał,byłby może nie łaskawym okiem potrzeć na moje poczynania. Byłby może za mną poczytywał dla siebie, że taki młody cukry śmie się tego podjąć, czego on nie dokonał.

P. Liszkowscy.

Majątek Lipienki z rąk p.Jaworskiego nabyli państwo Liszkowscy. Byli to ludzie majętni,wykształceni. On absolwent akademii rolniczej w Lipsku, ona studiowała na uniwersytecie w Fryburgu w Szwajcarii. Ona pochodziła z rodziny szlacheckiej, on natomiast z mieszczańskiej. P.Liszkowski nie był stworzony do szerszych działań. Brak mu było przede wszystkiem daru wymowy. Aż dziw brał, że człowiek z akademickim wykształceniem z pamięci ani jednego porządnego zdania nie zdołał był wypowiedzieć. Musiał sobie wszystko napisać i następnie odczytać. Czasami wychodziło to groteskowo. Przypominam sobie pewne zebranie walne członków naszego Konsumu w Osiu.Podał rzęsisty deszcz, na skutek czego stawiła się znacznie mniejsza liczba członków niż zwykle. Ponieważ jednak przewidywany był liczny udział, on według konceptu jako prezes rady nadzorczej witał "licznie" zebranych.Ale był jak stworzony do pracy cichej,biurowej.Tam okazywał on wielką gorliwość,sumienność,zdolność,wytrwałość. Był więc cennym nabytkiem do kontrolowania i nadzorowania tej dziedziny administracji zamiejscowych instytucji. Będąc przy tym majętnym stanowił pewną dla naszych przedsiębiorstw reklamę. Raziła mnie tylko u niego jego dość szorstkie odnoszenie się do swych pracowników i nieraz mu o to czyniłem wyrzuty.Przekonałem się atoli, że to tylko zewnętrzny objaw, w rzeczywistości miał on o nich szczere starania. I tak m.i. miałem możność stwierdzenia tego przy okazji pożaru w przynależnym do Lipienek majątku Węgowiec. Gdy przybyłem do pożaru, dwa domy komornicze stały w płomieniach,a żony robotników lamentowały i załamywały ręce z rozpaczy, że im się pali cały ich "majątek". W tym na koniu nadjeżdża Liszkowski i zaczyna gromkim głosem wyzywać na "gapie baby", które

"boczą". Biorę go na stronę i zgorszony powiadam: "Panie, jak można tak szkalować biednych ludzi, którzy tracą cały swój dobytek". Na to mi tenże: "Co oni tracą? Oni tylko zyskują. Jak ich mam dobrze ubezpieczonych od ognia. Za to, co oni otrzymują od towarzystwa ubezpieczeń od ognia, oni sobie kupią nowe, znacznie lepsze rzeczy. Oni tylko tego nie wiedzą, bo, gdyby o tym wiedzieli, gotowi by byli sami podpalić, by otrzymać odszkodowanie takie". No, pomyślałem sobie, jeżeli tak pamiętasz o tych, którzy na ciebie pracują, to jakoś ten koszmarny ton, z którym się do nich odnosisz, łatwiej ci wybaczyć, choć nie zupełnie, bo według mego zdania między pracodawcą i pracobiorcą powinien panować stosunek wzajemnej życzliwości, zwłaszcza wówczas, kiedyśmy mieli wspólnego wroga, który na wspólną naszą zgubę wychodził.

P. Liszkowska to typ prawdziwej matrony polskiej, porządnej patriotki, ofiarnej, nieugiętej. Trudniła się dużo malarstwem. Wszystkie pokoje obwieszone były jej tworami. Wysyłała też od czasu do czasu swe obrazy na wystawy. Jej działalność skierowana była przede wszystkim na dziedziny oświatowe. Zakładała w różnych miejscowościach czytelnie ludowe, T.T.C.L. Za jakieś wykroczenie przeciw ustawie o zebraniach otrzymała pewnego razu mandat karny. Adres do niej na piśmie tym brzmiał "Frau Liszkowski". Ona go nie przyjęła tłumacząc, że jej nazwisko brzmi "Liszkowska". Jeszcze drugi i trzeci raz powtórzyło się to samo. Wreszcie Landrat w Świeciu zagroził jej aresztowaniem. A kiedy i to nie pomogło, niemieccy przynajmniej połowicznie ustąpili. Przysłali jeszcze czwarty raz ten sam mandat, zaadresowany atoli tym razem "Frau Liszkowski auch genannt "także nazwana/ Liszkowska". Wtedy dopiero pismo przyjęła, ale postawiła na swoim. Z pewnością drobny to incydent, ale charakterystyczny dla ówczesnych stosunków. Wierna swym ideałom krzewienia oświaty wśród ludu polskiego, zaczęła ją u siebie wśród dziatwy folwarcznej wznieconć. Otóż brałę te dziatwę do siebie i uczyła ją czytać i pisać po polsku, zaznajamiając również z historią i literaturą i uczyła pieśni polskich. Oczywiście musiało się z tym kryć, ponieważ było to w Prusiech zakazane. Ale młodzież jak to młodzież, mało ją ten zakaz obchodził. Otóż dzieci musiały się w szkole uczyć na pamięć i śpiewać niemieckie pieśni

patriotyczne. Razu pewnego kazano im w szkole śpiewać: "Ich bin ein Preusse, kennt ihr meine Farben? Schwarz und weiss voran" /"Jestem Prusakiem. Znacie wy moje barwy? Czarna i biała górą"/ Wtedy jeden z pupilów p. Liszkowskiej na całe gardło zaczął wrzeszczeć tak, że wszystkich innych przekrzyczał "Ich bin ein Pole, kennt ihr meine Farben ? rot und weiss voran"/"Jestem Polakiem. Znacie wy moje barwy? Czerwona i biała górą"/. Były dochodzenia, ale nic z tego ostatecznie nie wyszło. Tylko, że p. Liszkowska naskutek tego zmuszona została do większej ostróżności. Z tą oto rodziną związałem się wspólnymi ideałami i dążeniami. Byli to ludzie, którzy zrozumieli wartość i potrzebę pracy wśród ludzi dla ludu. Choć byli praktykującymi katolikami, nie uniknęli silnej nienawiści ze strony plebanii jeżewskiej, a zwłaszcza Frl. Mariechen. A tak oni jak ja staliśmy się przedmiotem specjalnej nienawiści ze strony władzy zaborczej. Majątek Liszkowskich uległ jako jedyny na Pomorzu drakońskiej ustawie o wywłaszczeniu, a mnie ścigała jego zemsta na długi szereg lat.

Położenie polityczne w powiecie świeckim.

Powiat świecki należał do tych powiatów, które szczególnie upatrzono jako tereny kolonizacyjne, zwłaszcza te, które położone były na nizinach nadwiślańskich. Już starego Fritza urodzajność gleby nęciła do zakładania tam osad niemieckich. Przecież aż po dziś dzień spotyka się tam charakterystyczne dla swego stylu, bo w jednym rzędzie stojące i do siebie przylegające zabudowania: dom mieszkalny, szopa, stajnia i stodoła. Komisja Kolonizacyjna, która wybierała sobie gleby urodzajne dla osiedlania na nich kolonistów niemieckich i w powiecie świeckim znaczne wyłomy dokonywała w polskim stanie posiadania. To też już za mych czasów pobytu w tym powiecie od lat 1906 do 1907 zaludnienie niemiecko-luterskie stanowiło dość poważny procent. Według urzędowej statystyki wynosiło oni 46,4 %, podczas gdy ludność polska według tego stanowić miała 53,6 %. W rzeczy samej Polaków było znacznie więcej, ponieważ Polacy na zależnych od Niemców znajdujący się na stanowiskach podawali się z obawy przed konsekwencjami albo za Niemców albo za dwujęzycznych, których władze pruskie z góry zamieszczali na liście jako

Niemców. Nadto co bądź powiat świecki już był znacznie podniemczony za mych czasów. Głośne były na cały b.zabór pruski wybory do parlamentu niemieckiego i do sejmu pruskiego. O przeprowadzeniu posła polskiego do sejmu pruskiego, gdzie obowiązywała trzy klasowa ordynacja wyborcza, nowy być nie mogło,natomiast istniała taka możliwość co do wyboru posła polskiego do parlamentu niemieckiego, gdzie decydowała liczba głosów a nie majątek. Wobec niewielkiej stosunkowo większości ludności polskiej Niemcy dokładali wszelkich starań i kruczek wyborczych, by przeprowadzić swego kandydata. Przy tej sposobności jednak zaznaczyć muszę, że bledną one w stosunku do tych nadużyć wyborczych, jakie się działy już w wolnej Polsce za czasów piłsudczyzny. Otóż wynik wyborów w powiecie świeckim nie był dla nas z góry pewny. Przechodził raz Polak,to znów Niemiec. Za mych czasów kandydatem na posła był wyżej opisany przezemnie Sass-Jaworski. Wybory odbyły się do parlamentu niemieckiego w r.1907. Zwyciężył tym razem Sass-Jaworski. Ale istniała obawa,że to już się stało poraz ostatni. W roku 1908 Komisja Kolonizacyjna bowiem w powiecie świeckim między innymi nabyła i dobra bzowskie o obszarze 1500 ha i podzieliła je między kolonistów, oczywiście protestantów. Świeckie wybory parlamentarne przede wszystkim stały się dla tego głównymi, ponieważ każdorazowo, kiedy przeszedł Niemiec, ostało się na tym, skoro jednak Polak,to Niemcy starali się każdorazowo je unieważnić, aby przeprowadzić nowe wybory w powiecie. W tym celu rozmyślnie dopuszczali się tu i tam pewnych nieformalności, aby mieć pretekst do zakwestionowania ważności wyborów. Ludność niemiecka dzieliła się również na partie, ale przy wyborach szli Niemcy solidarnie przeciw Polakom. Jeszcze dziś tkwi mi w pamięci wierszyk przedwyborczy, który znalazł się na łamach "Kulmer Zeitung",a który miał następujące brzmienie :"Ob national,ob liberal,

Ist wszystko jedno, ganz egal
Die Hauptsach ist,dass Holtz
heut siegt,
Und Sass-Jaworski unterliegt".

Wobec tak żywego zainteresowania się władz pruskich powiatem świeckim i specjalnym upatrzeniem go sobie na zniemczenie nic dziwnego, że każda akcja ze strony polskiej,stawiająca w poprzek tym dążeniom pruskim, musiała wywołać silną

kontrakcją z ich strony. Tak też było i w mojej sprawie. W obronie zagrożonej na tamtym odcinku niemczyzny od razu stanął na czele tamtejszy Landrat v.Halem poza proboszczem i Conitzerus. Miernikiem dzielności każdorazowego landrata bowiem były na pierwszym miejscu jego osiągnięcia germanizacyjne. To też każdy landrat dokładał jak największych wysiłków, aby się móc wykazać jak największymi osiągnięciami pod tym względem. Od tego bowiem zależny był albo awans albo dymisja. Stosowane metody u poszczególnych landratów były różne. Ten odznaczał się cichością, inny znów stosował metody łagodniejsze, ale cel zawsze był jeden i ten sam: niemczenie ludności polskiej.

Zawód, jaki spotkał nadprezydenta w Gdańsku w związku z obsadzeniem probostwa w Świeciu.

Proboszczem i dziekanem w Świeciu za mych czasów był ks. Wojciech Block, czystej krwi Polak, nosił niemieckiego nazwiska. Brat jego był adwokatem w Berlinie, ożeniony z żydówką, oczywiście już ochrzczoną. Z tego małżeństwa były dwie córki i jeden syn. Ten syn był jeszcze jeden rok ze mną w Seminarium Duchownym w Pelplinie. Przypomina mi się z czasów jego pobytu, że raz pewnego wybrała się jakaś delegacja kleryków Polaków ze skargą na upośledzenie języka polskiego w Seminarium. W tej delegacji znalazł się i ów bratanek. Ks.Bp. Rosentreter duże oczy zrobił, kiedy go zobaczył. Uważał go bowiem za Niemca. Ks.Bp.nie mógł się powstrzymać od wyrażenia swego zdziwienia: "Auch sie, Herr Block ?". Na co tenże odpowiedział donośnym głosem: "Ja, ja, Hochwürdigste Gnaden, ich bin ein Pole". Wyświęcony na kapłana udał się do Berlina spowrotem, gdzie był duszpasterzem berlińskich Polaków przy kościele św.Jadwigi. Ks.dziekan Block w Świeciu umarł, o ile mnie pamięć nie myli, w lipcu 1910 r., kiedy byłem wikaryuszem już w Koronowie. Byliśmy razem z ks.proboszczem Trederem na pogrzebie. Ten dzień pogrzebu utkwił mi szczególnie głęboko w pamięci. Był dzień upalny i parny. Wracaliśmy z Kotomierza ze stacji kolejowej końmi, otwartą powózką. W drodze zaskoczyła nas straszliwa burza, połączona z oberwaniem się chmury i nieustającymi piorunami. Na wszystkie strony obserwowaliśmy łuny od pożarów wywołane gromami. Jechaliśmy otwartym polem.

To też strachu wyżyliśmy obydwaj nie lada. Ze śmiercią ks.Blocka zawakowało probostwo w Świeciu, stolicy powiatu. A probostwo to obsadzał rząd, któremu oczywiście bardzo zależało na tym, by na probostwo to dostał się taki kapłan, któryby mu w jego dążeniach germanizacyjnych szedł na rękę. Chodziło więc o to, by znaleźć odpowiedniego kandydata. Katechetą w Świeciu był niejaki ks. Retzlaff, Niemiec. Jego postępowanie i zachowanie się nie było atoli bez zarzutu, nie licujące częstokroć z godnością kapłańską. Najlepszym dowodem choćby to, że później zrzucił z siebie suknię kapłańską i przeszedł na protestantyzm. Tenże ks. Retzlaff zgłosił się po śmierci ks.Blocka do nadprezydenta v.Jagowa o to probostwo i naturalnie otrzymał na nie prezentę. Oburzeniem wówczas zawrzało całe katolickie społeczeństwo w olbrzymiej większości polskie. Wyładowało się one w kościele, kiedy ks.Retzlaff zamierzał tam odprawić Mszę św.Odezwały się wtedy w kościele głosy: "Nie chcemy takiego księdza.Precz z nim z kościoła!". Ks.Retzlaff tak się przeraził tą swoistą demonstracją, że natychmiast zrzekł się probostwa. Z tego atoli wynikł wielki proces, w którym skazano kilku, których uznano za prowodyrów, na dotkliwe kary więzienne, o ile pamięć nie myli mnie, od lat 2 do 3. Ale sprawa obsadzenia parafii stała się znów otwarta. Sam nadprezydent w Gdańsku zatroskał się o wyszukanie stosownego duszpasterza, któryby i wzburzone umysły umiał uspokoić i rządowi był na rękę. W Chylonii był wówczas kuratusem ks.Konitzer. Za czasów mego wikariatu w Oksywiu, Chylonia była jeszcze filią Oksywskiej parafii. Później została samodzielną placówką duszpasterską. Cała rodzina Konitzerów była szczerze polską,jak również i ks.Konitzer. Ale zdając sobie sprawę,jak trudno było wówczas Polakowi uzyskać probostwo, wziął się na koncept. Umówił się bowiem z swym ojcem i siostrą, która mu prowadziła gospodarstwo, by posługiwać się między sobą tylko językiem niemieckim.Chylonia nie daleko leży od Gdańska. Doszło więc do uszu nadprezydenta,że to niemiecka plebania. Świadczyły o tym przecież i mowa niemiecka i nazwisko niemieckie. Nadprezydent v.Jagow uznał więc Konitzera za odpowiedniego kandydata na Świecie. Zawezwał go więc do siebie i zapytał, ożaliby nie przyjął probostwa w Świeciu. Ks.Konitzer,udając, że się namyśla,odpowiedział po chwili:"Owszem, gotów jestem objąć tę parafię". Na to nad-

prezydent: " A czy też ksiądz będzie mógł sobie dać radę z językiem polskim? " Ks.Konitzer opowiadając mi o tym,zaznaczył,że musiał użyć całego wysiłku, żeby nie parsknąć śmiechem w oczy panu nadprezydentowi, ale opanowawszy się, odrzekł nieśmiało: "Myślę,że tak." Dopiero, kiedy został proboszczem w Świeciu, pokazał swe prawdziwe oblicze polskie. Parafia świecka w ten sposób otrzymała takiego duszpasterza,jakiego sobie życzyła, ale p.nadprezydent gotów był pewno i w brodę sobie pluć,że taki go spotkał zawód. Ks. Konitzer zgładzony został w obozie podczas okupacji.

Kolęda. Kajzera Geburtstag.Sezonowe duszpasterstwo w Meklenburgii.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, a po nich pierwsza moja kolęda w Jeżewie. Paliłem się do tej kolędy nie dla korzyści materialnych, owszem, bo kolędowe wpływało do kieszeni proboszcza, z czego wikary otrzymywał tylko swoje 30 marek, wyznaczone przez Kurię Biskupią, ale dla bezpośredniego zetknięcia się z parafianami i poznania ich życia,usposobienia i ducha. Choć ta kolęda była uciążliwa, jako że parafia była rozległa i osiedla poszczególne porozrzucane są na obszernej przestrzeni, jednak mnie ona sprawiała dużo zadowolenia i radości. Wrażenie z kolędy odniosłem bowiem jak najlepsze.Duch religijny wśród parafian był dobry, ale tak samo i duch narodowy był żywy i mocny. Zwłaszcza patriotyzm ludności robotniczej po licznych majątkach ziemskich bardzo mnie cieszył. Świat pracy w owych czasach, gdzie na skutek wychodźtwa sezonowego na zachód Niemiec, w kraju odczuwać się dawał brak rąk do pracy, materialnie miał się dość dobrze. Dawało mu to też pewną niezależność.Tak przypomina mi się następujący wypadek z okresu przedwyborczego do parlamentu niemieckiego. Otóż pewna grupa robotników naszych pracowała przy torze kolejowym. Dozorujący ich Niemiec zagroził im,że,jeżeli się dowie o tym, iż który z robotników nie odda kartki na kandydata niemieckiego, zostanie natychmiast zwolniony z pracy. To ich tak oburzyło, że od razu rzucili łopaty i kilofy i odeszli precz,zostawiając osłupiałego dozorcę samego. Mogli sobie na to pozwolić, ponieważ wiedzieli, że pracę z łatwością otrzymają gdzie indziej. Z odbytej kolędy wy-

niosłem jak najlepsze wrażenia. Przekonałem się, że ich wśród parafian jest dobry, patriotyczny. Wyniosłem przeto z niej dużo zacząty i bodźca dla moich przyszłych postanowień i planów. Na 27 stycznia przypadał Geburtstag Kajzera, Wilhelma II. Dotąd nie miałem z tym nic do czynienia, ale teraz byłem w plotkami patriotycznie niemieckiej. Już dłuższy czas przed tym miałem "zaszczyt" wizyty ze strony Frl. Mariechen. Przychodziła do mnie, wprost nagabując mnie, żebym pojechał z jej bratem do Świecia na t.zw. Festessen. Polegało ono na tym, że z całego powiatu cała honoracja zjeżdżała się do Świecia na wspólną uroczystościową kolację, podczas której wygłaszano za mne, aż do wstrętu pochlebcze serwilistyczne przemówienia, toasty i spożyto suto kolację, obficie zakrapianą alkoholem, najlepiej szampanem. Koszty tej uroczystości trzeba było pokryć z własnej kieszeni. Miarą miłości dla cesarza było urżnięcie się aż do utraty przytomności. Tym wyłowem, a raczej należałoby powiedzieć raczej wyłowem patriotycznych uczuć chełpili się po tym ci "prawdziwi" patrioci przez długi czas przy każdej sposobności. Dowodem nielojalności natomiast było nie uczestniczenie w takim Festessen i Festtrinken. To też i młodzi księża wikarzy Polacy mimo swej awersji czuli się zniewoleni brać udział w tej imprezie, inaczej już straciliby widoki na otrzymanie probostwa patronatu rządowego, a nawet Diecezjalnego. U mnie jednak było inaczej i tak pozbawiony byłem prawa do probostwa. Ale choćby było inaczej, znając Kajzera nienawiść do Polaków, za żadną cenę nie mógłbym się był przezwyciężyć do takiej służalczości. Nie wiedziała o tym Frl. Mariechen, to też przez cały szereg dni przychodziła do mnie używając całej swej kobiecej elokwencji i perswazji, nie szczędząc nawet łez, by mnie nakłonić do towarzyszenia jej brata w jego wyprawie na Kajzera Festessen. Tłumaczyła, że odkąd brat jej jest proboszczem w Jeżewie, za każdym razem towarzyszył mu każdorazowy wikary. Jak to teraz będzie wyglądać, kiedy naraz on sam się zjawi bez wikarego. Na wszystkie te syrenie głosy pozostałem głuchy. Wreszcie przykrzyłem sobie te nudne nagabywania i zrobiłem jej następującą propozycję: "Toco ja mam dopiero pojechać do Świecia, aby tam zjeść suto kolację i napić się dobrego, wytrawnego wina na cześć cesarza. Można to przecież uczynić u siebie w domu. Niech tylko Frl. Mariechen w dniu Geburts-

tego sporządzi smaczną kolację i przy tym postawi na stole butelkę starego węgrzyna, to spożyjemy ją razem z panią na cześć cesarza, a potym przy kieliszku słodkiego Tokaja zaśpiewamy razem "Heil Dir im Siegeskranz". Zrozumiała wreszcie całą ironię tych słów. Wyszła oburzona i zgorszona, ale już mnie więcej nie nachodziła. Nie było oczywiście ani smacznej kolacji ani butelki słodkiego Tokaja, ani "Heil dir im Siegeskranz". Za to miałem przyjemność oglądać bardzo kwaśną minę Frl. Mariechen.

Nadchodziła tymczasem wiosna, czas odpływu znacznej masy naszych ludzi na zachód, na sezonową pracę. Mnie rozpierało pragnienie, by pójść za nimi i przekonać się o tym, jak oni tam żyją i nieść im pomoc duszpasterską. Ponieważ parafia na ten czas się conajmniej do połowy wyludniała i zmniejszała się praca duszpasterska w parafii, zgodził się proboszcz na objęcie przezemnie na ten sezon pracy duszpasterskiej w Meklenburgii, dokąd nasi parafianie się udawali, ale pod tym jedynie warunkiem, że na naukę przygotowawczą do Sakramentów św. dzieci w wtorki i w piątki będę w Jeżewie. Na skutek tego pracę duszpasterską w Meklenburgii ograniczać musiałem tylko do sobót i niedziel. Władza Biskupia dała na to swój placet. Choć zdawałem sobie sprawę, że przeszkadzać mi to będzie w mych już postanowionych planach społecznych w parafii, to jednak wielce uradowany byłem i tym, co uzyskałem, a co mi pozwalało na choć tylko pobieżnie zapoznanie się z tamtejszymi warunkami naszych sezonowiczów. Zdałem też sobie sprawę, że to była jedyna ku temu możliwość, bo prawdopodobnie w przyszłym roku mnie już w Jeżewie nie będzie, co się też sprawdziło.

Strajk szkolny w Poznańskiem i na Pomorzu. I Pomorze miało swoją Wrześnię.

Jak w całych Niemczech tak i w Prusach religia zajmowała poczesne miejsce. Dbano również o religijne wychowanie dzieci w szkole. Na naukę religii wyznaczono też dostateczną ilość lekcji. W świadectwach szkolnych ocena stopnia z religii figurowała na pierwszym miejscu. Były też wspólne nabożeństwa szkolne, w dni powszednie zwykle w wtorki i piątki oraz w niedziele. Nauczyciele kolejno zobowiązani byli prowadzić młodzież szkolną do kościoła i tam ją dozorować. Nauka w szkole

rozpoczynała się i kończyła modlitwą. Dzień wspólnej komunii św. wolny był od nauki. Dzieci uczęszczające na naukę przygotowawczą do sakramentów św., zwalniane były dwa razy tygodniowo, zwykle w wtorki i piątki od godz.10, a z odleglejszych miejscowości od samego rana na cały dzień od nauki szkolnej. I stąd kwestię nauki religii w szkołach za czasów zaborczych w Prusach można było uznać za całkiem zadowalającą. Dotyczyło to atoli tylko dzieci Niemców katolików. Inaczej jednak, jeżeli chodziło o młodzież polską. Rząd pruski i dziedzinę religijną uważał za właściwą do użycia i nauki religii jako środka do germanizacyjnia młodzieży polskiej. Minister Bosler zniósł na Pomorzu naukę religii w języku polskim w szkołach już w roku 1887, w Poznańskim 4 lata później, to w roku 1901. Był to zamach świętokradczy na najświętsze i najczulsze uczucia ludzkie. Proszę bowiem zważyć. Dzieci przychodziły do szkoły bez żadnej znajomości języka niemieckiego, który dopiero latami całymi mozolnie trzeba było wpajać, a tu od najniższej już klasy pojmować miały w zupełnie im obcym języku prawdy wiary św. Wywołało to też w społeczeństwie polskim z góry odruch protestacyjny, który początkowo uwydatniał się w licznych wiecach protestacyjnych. Od roku 1901 poczęły wybuchać sporadyczne strajki szkolne w rozmaitych szkołach Księstwa Poznańskiego. Najbardziej głośnymi stały się zajścia w Wrześni 16 maja 1901 r., spowodowane wymierzeniem dotkliwej chłosty 14 dzieciom w szkole za opór przeciw nauce religii w języku niemieckim. Największe nasilenie przybrał strajk szkolny jednak dopiero w r.1906. Żywiołowo wprost przerzucił się on na Pomorze już w wrześniu 1906 r. Brak dokładnych danych statystycznych z powodu tego, że wielu ówczesnych nauczycieli je zatajało przed władzami szkolnymi i to we własnym interesie, aby nie ściągnąć na siebie nagany i dalszych jeszcze konsekwencji za to, że nie umieli przeszkodzić wybuchowi strajku. Jednak ogólna liczba strajkujących na Pomorzu dzieci wynosiła kilkadziesiąt tysięcy. Jedne były tylko krótkotrwałe, inne przeciągały się na dłuższy okres czasu, zależnie od okoliczności. Jednak jeszcze w maju 1907 r. strajkowało na Pomorzu 1000 dzieci. Wszędzie jednak przebieg ich był prawie identyczny. Uczniowie przed lekcją pozbierały podręczniki szkolne do nauki religii w języku niemieckim i złożyły je

na katedrze. Przy wchodzeniu nauczyciela do klasy grzecznie powitały go pozdrowieniem katolickim: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Poirytowany nauczyciel kazał im powiedzieć: "Gelobt sei Jesus Christus". Dzieci milczały. Wtedy rozpoczął lekcję stawiając pytania, na które dzieci albo milczały, albo odpowiadały po polsku. Wówczas nauczyciel brał się na perswazję. Gdy to nie pomogło, chwytał za kij i zależnie od temperamentu i nastawienia duchowego wymierzał razy. A kara cielesna w szkołach pruskich odgrywała ważną rolę wychowawczą, była ona stale w użyciu. To też nierzadkie były wypadki, że dzieci polskie wracały ze szkoły z nabrzmiałymi policzkami, z opuchniętymi rękami albo silnymi siniakami na ciele. Ale to bynajmniej nie łamało ich ducha. Następnego dnia powtórzyło się to samo. Trzeba przyznać, że nauczycielstwo znalazło się w bardzo trudnym położeniu. Z jednej strony silny nacisk władz, by za wszelką cenę zduszić strajk, a z drugiej strony groźny pomruk rodziców katowanych dzieci. Z nakazu władz do kar cielesnych dołączono jeszcze areszt szkolny. Dzieci musiały przesiadywać od rana aż do zmierzchu w szkole. Ale i to nie osłabiło bohaterskiego oporu dziatwy. Po wyjściu ze szkoły szły dzieci regularnie pod Bożą Męką i złożywszy swe nieraz od razów popuchnięte ręczęta śpiewały rzewnym głosem pieśni kościelne, jak "Kto się w opiekę" czy "Serdeczna Matko", które brzmiały jak bolesna skarga na wyrządzaną im przez okrutnego zaborcę krzywdę i jak z głębi ich zbolałych duszyczek wydobywające się błagalne wołanie do Boga i Jego Matki o zmiłowanie się nad ich ciężką dolą. Bohaterski zryw polskiej dziatwy w obronie najświętszych swych praw i ich wprost męczeński upór nabrały rozgłosu w całym świecie, budząc podziw dla niej, a sromem okrywając okrutny system germanizacyjny. Światowej sławy nasz wielki powieściopisarz, Henryk Sienkiewicz, z gorącą publiczną odezwą wystąpił do całego kulturalnego świata w obronie praw młodzieży polskiej do pobierania nauki religii w ojczystym języku, w dosadny sposób piętnując zwyrodniały pruski system wynaradawiający, który nie zawahał się przed wtargnięciem nawet w najczulszą i najtkliwszą dziedzinę stosunku człowieka do Boga. Nic to jednak nie pomogło na zaślepienie i brutalność pruską. Aby ten krzyk oburzenia w świecie stłumić i złamać ten upór ciałem tak słabej, a duchem tak mocnej dziatwy polskiej, rząd pruski do coraz bardziej drakońskich uciekał się środków.

Nakładano grube grzywny na rodziców dzieci, nie odpowiadających na lekcji nauki religii. Opornym dzieciom przedłużono obowiązek uczęszczania do szkoły o dwa lata, t.j. aż do 16 -tego roku życia. A gdy jeszcze i to nie pomogło, pruski Kammergericht w dniu 25 I 1907 r. uznał możliwość stosowania kary pozbawienia praw rodzicielskich po wyczerpaniu środków łagodniejszych. Zaczęto porywać dzieci opornych z domu rodzicielskiego i wywoziło je do zakładów poprawczych. To ostatnie barbarzyńskie zarządzenie zadało strajkowi szkolnemu ostateczny cios. Rodzice polscy nie mogli przecież pozwolić na to, by ich drogie dzieci znajdowały się w tym samym środowisku, co młodzież wykolejona, zboczeńcza. Pozornie więc rząd pruski odniósł zwycięstwo nad bezbronną dziatwą i jej rodzicami. Ale było to zwycięstwo, które hańbą okryło prusactwo i odsłoniło przed całym światem jego barbarzyńskie oblicze. Wysoką nader cenę zapłaciła dziatwa polska i społeczeństwo polskie za ten swój szlachetny, bohaterski opór, a najbardziej słusznej i świętej sprawie. Według notatki z gazety niemieckiej "Stettiner Neueste Nachrichten" którą 17 V 1907 r. umieścił "Kurier Poznański", złożono już wówczas z urzędu z powodu udziału w strajku szkolnym 230 sołtysów i ławników oraz 120 członków dozoru szkolnego, wydalono z gimnazjum 80 uczniów, których bracia albo siostry brały udział w strajku, skazano 35 księży na łączną karę 20 miesięcy więzienia lub twierdzy oraz na 6 350 marek grzywien sądowych. Dalsze procesy przeciw 20 księżom były jeszcze w toku, przez co kara ta jeszcze podwoiła. Redaktorom polskim nałożyły sądy do końca kwietnia kary pieniężne w łącznej wysokości 16 450 marek oraz 45 miesięcy kar więziennych. Za zrudy szkolne skazano 1 450 rodziców na 18 000 marek. Ponadto otrzymały różne prywatne osoby kary więzienne w łączności 5 1/2 lat. Razem opiewały wszystkie te kary sądowe na kwotę 51 000,- marek oraz na 12 lat więzienia. Jest to zestawienie kar sądowych w prowincjach zachodnio-pruskich tylko aż do końca kwietnia 1907 r. Aż do jego zakończenia zostały one jeszcze znacznie podwyższone. Nie uwzględniono też tu jeszcze licznych kar pieniężnych więziennych, względnie aresztów więziennych, które spadły na opornych rodziców w drodze administracyjnej w formie mandatów karnych. W tym ogólnym zestawieniu wymierzonych kar, jakie społeczeństwo poniosło w związku ze strajkiem szkolnym, znajduje się i poważny wkład społeczeństwa pomorskiego.

Nie jest on oczywiście tak wielki jak poznańskiego, ponieważ wzięło one udział dopiero w końcowym akcie tego długoletniego dramatu. Pomorze przyłączyło się do niego dopiero w okresie jego największego nasilenia. I Pomorze miało swoją Verdun i swoją chlubną martyrologię. Tą pomorską Verdun stała się wieś Osiek w powiecie starogardzkim. Ówczesny proboszcz, Jan Olszewski, odważnie wystąpił na ambonie po stronie prawa dzieci polskiej do nauki religii w ojczystym języku. Wierni oburzeni na katowanie swych dzieci w szkole za nieodpowiedzianie w języku niemieckim, wtargnęli do gmachu szkolnego. Za to wymierzono im drakońskie wprost kary. Ks. prob. Olszewskiego skazano na półtora roku więzienia. Była to najcięższa kara, jaka w tej sprawie spotkała kapłana Polaka. Po odsiedzeniu swej kary więziennej w Gdańsku musiał zrzec się swego probostwa. Za to samo, a nie-nowicie za zakłócenie porządku publicznego skazano 24 Polaków i 1 Polkę z Osieka na karę więzienną od 6 do 12 miesięcy więzienia. Najcięższą karę więzienną poniósł, bo aż przeszło 3 letnią, niejaki organista, o ile mi się przypomina, nazwiskiem Czaplewski. 8 kapłanów dekanatu lubawskiego i częściowo nowomiejskiego skazano na karę więzienia po miesiącu. Kapłani ówczesnego dekanatu gorzeńskiego i brodnickiego wydali w polskiej prasie wspólną odezwę. Za to skazano każdego z nich na 500 marek grzywny. Ten ogrom ofiar, jakie złożyć musiało społeczeństwo polskie na rzecz obrony języka ojczystego w nauce religii, nie był jednak daremny. Acakolwiek nie osiągnął on zamierzonego celu wobec brutalnej niemiłosierności rządu pruskiego, jednak moralne zwycięstwo było po naszej stronie. Społeczeństwu naszemu dało jeszcze bardziej poznać bezcenną wartość języka ojczystego, którą nieludzki rząd pruski kusił się za wszelką cenę nam ją wydrzeć. Ożywiło to też niepomiernie umiłowanie ojczystej mowy i umocniło wolę do jej utrzymania i pielęgnowania. Podniosło też ogromnie ducha narodowego.

Za granicy udowodniło, że mimo ucisku i bezwzględnego usiłowania ze strony pruskiej, by wyrugować jego język ojczysty i zniegprawić jego ducha narodowego, społeczeństwo polskie w zaborze pruskim zachowało niezkazitelnie swe ideały, tak religijne jak narodowe, a świata ukazało bez osłony prawdziwe oblicze barbarzyńskiego zaboru.

A jak się odniosła plebania jeżewska do strajku ! Ks.Burtschik salwuje się ucieczką.

W roku 1906 z Poznańskiego niemal lawinowo przeniósł się strajk i na Pomorze i dotarł i do jeżewskiej parafii.Ogarnął oprócz szkoły powszechnej w Jeżewie i dwie czy trzy inne miejscowości w obrębie parafii. Co do mnie to byłem o wszystkim dokładnie informowany przez ówczesnego organistę, Reinholza, który, choć nosił nazwisko niemieckie, serce miał szczere polskie. On to mając ścisłą łączność z ludźmi, miał też stale najświeższe wiadomości, z którymi się rzetelnie ze mną dzielił. Oczywiście musiał on się kryć z swymi uczuciami patriotycznymi przed plebanią. Co do mnie, to chętnie byłbym publicznie wystąpił, jak to inni księża Polacy uczynili w obronie języka ojczystego w nauce religii. Wszak nie miałem nic do stracenia. A więzienie już raz posmakowałem i przekonałem się, że nie taki diabeł straszny jak go malują, a gdyby mi nałożono grzywnę i tak bym jej nie zapłacił, bo nic nie posiadałem. Więc nie te względy mnie powstrzymały od jawnego zaangażowania się w sprawę strajkową, choć serce się ku temu rwało.Zdawałem sobie atoli sprawę, że strajk ten wobec brutalnej bezwzględności pruskiej zostanie ostatecznie stłumiony,a ja zostałbym z Jeżewa natychmiast usunięty, co przeszkodziłoby mi w realizacji tych planów, które już miałem w umyśle moim gotowe. Natomiast zabrałem się do tego, co nie ulegało karze, by zorganizować zbiórkę i wysyłkę petycyj do Papieża i cesarza. Mile zaskoczony zostałem, kiedy następnie wyczytałem w polskim "Pielgrzymie", że najwięcej ich wpłynęło z parafii jeżewskiej. To mi nie mało dodało otuchy. Przekonałem się bowiem,że duch w parafii jest dobry i że już zdobyłem sobie u ludzi sporo zaufania. A jak się odniosła plebania do strajku szkolnego ? Proboszcz Burtschik zachował się biernie nie chcąc sobie widocznie zrazić parafian. Za to śrl.Mariechen z całą zaciekłością zwalczała strajk i agitowała przeciw niemu,odgrażając się strajkującym dzieciom. Strajk w szkołach parafii utrzymywał się przez dłuższy czas, wreszcie wobec coraz to bardziej drakońskich zarządzeń władz pruskich zaczął wygasać.Najdłużej utrzymywał on się w samym Jeżewie,gdzie rej wiodła niejaka Łatkowska,przedstawiająca i wzrostem ciała i umysłu ogół

uczniów. Jednak i tu wreszcie upadł. Wtedy dopiero uważał ks. Burtschik za właściwy moment do wystąpienia wobec władz szkolnych, by sobie u rządu zaskarbić względy i ewentualnie awans. Frl. Mariechen bowiem nieustannie marzyła dla brata, a przede wszystkim dla swej własnej ambicji, o probostwie we większym mieście, najchętniej oczywiście w Gdańsku. Otóż po upadku strajku i w Jeżewie ks. Burtschik wystosował do inspektora szkolnego w Świeciu pismo, w którym wyraził swe głębokie ubolewanie, że i w jego parafii doszło do wybuchu strajku. Odpowiedzialność za to jednak zrzucił on na nauczycielstwo zaznaczając, że tylko dla tego doszło w jego parafii do strajku, ponieważ nauczycielstwo nie współpracuje z nim i prosił inspektora, by wydał nauczycielom polecenie ścisłej z nim współpracy. List ten został nauczycielom odczytany na konferencji nauczycielskiej i nauczyciele otrzymali odnośne zalecenie. Proboszcz B. był oczywiście przekonany, że do powtórnego strajku nie dojdzie. Aż tu naraz przychodzi do mnie poczciwy Reinholz i w tajemnicy mi wyjawia, że Łątkowska przygotowuje na przyszły poniedziałek nowy strajk. Ciekaw byłem ogromnie, jak postąpi teraz ks. Burtschik wobec tego fatalnego dylematu, że jakkolwiek postąpi, zawsze będzie źle. Bo, jeżeli wystąpi przeciw strajkowi, do czego się zobowiązał wobec inspektora szkolnego, ściągnie na siebie wielkie oburzenie parafian, a jeżeli nie, jak on będzie wówczas wyglądał w oczach inspektora szkolnego ? Ale była jeszcze przecież trzecia droga wyjścia, a mianowicie ucieczka, wprawdzie droga do tchórzostwa, ale cóż z tego, kiedy Frl. Mariechen innej nie zdołała wykombinować. W piątek po odprawionej Mszy św. wracając z kościoła do plebanii na śniadanie, zastają ks. B. i jego siostrę zajętych gwałtownym pakowaniem rzeczy na wyjazd. "Jak to, pytam ubawiony, tak nagle wyjeżdżacie ? Co się stało ? ". "O tak, tak musimy koniecznie i to zaraz wyjeżdżać" odpowiada proboszcz. "A dokąd ? "pytam. "A tego my powiedzieć nie możemy", odpowiada zażenowany proboszcz. Ale na stole jest zapieczętowany list, w którym jest nasz adres. Wolno go stoli tylko wtedy otworzyć, gdyby matka ciężko zaniemogła". "A kiedy wrócicie ?" pytam. "A tego my dziś powiedzieć nie możemy", brzmi odpowiedź. No i pojechali. Strajk ponowny, zamierzony przez Łątkowską, nie doszedł jednak do skutku, to też po upływie blisko dwuch tygodni pobytu w "nieznanym" wrócili. Widocznie i plebania miała swój wywiad

i zwęchawszy, że się zanosi na ponowny jego wybuch, wolała niesławnie dać nura.

Przygotowanie się do dzieła.

Plan już miałem gotowy. Najpierw założyć bank ludowy, aby po pierwsze zlikwidować niemiecki Reiffeisen, a następnie by mieć potrzebny kapitał do finansowania tego drugiego zamierzonego przedsiębiorstwa, którym miała być narazie spółdzielnia kupiecka "Konsum", któryby w tej silnej fortecy, jaką stanowił ów dom towarowy Conitzerów, poczynił taki wyłom, by ich właściciela zmusił do oddania go w nasze ręce. Kombinowałem bowiem w taki sposób. Tak rozgałęzione, tylobranżowe przedsiębiorstwo, jak ów dom towarowy, wymagał licznej obsługi, a na skutek tego mógł się stawać opłacalnym jedynie przy wielkim obrocie. Jeżeli choć tylko w podstawowych branżach, jak towary łokciowe, konfekcja, obuwie, urwie mu się znaczną część dochodu, stanie się on mało rentownym, a powoli deficytowym, to zmusi wreszcie właściciela do ostąpienia nam tegoż. Rozwój dalszy sprawy dał moim kombinacjom całkowitą słuszność.

Zdawałem sobie jednak sprawę, że to nie pójdzie tak łatwo, że taki mój zamiar wyrasta ponad moje siły i możliwości. Sklepik placówka to żydowska, istniejąca już od lat 40, silnie się zadomowiła, ludzie się do niej przyzwyczaili, wielu u żydów siedziało w kieszeni, a ja co ? młody, niedoświadczony wikary, w takich sprawach zupełny ignorant, a najgorsze, że każdej chwili mogłem stąd wylecieć. Ale ten stan rzeczy, skutkiem którego właściwie cały dorobek, cała krwawica ludu polskiego dostawała się do rąk wroga, tak mnie truł, tak mnie bolał, wprost sen z powiek spędzał, że nie bacząc na żadne ryzyko, na żadne możliwe trudności i przeszkody, postanowiłem za wszelką cenę, niechby kosztowało choć największe ofiary, tej hydrze urwać łeb.

Takie były moje niezłomne postanowienia. Wojcia jednak żadnego o tego rodzaju sprawach nie miałem. Trzeba się było z nimi wpierw zapoznać. Sprowadziłem odpowiednie podręczniki i ustaw o spółdzielniach i spółkach, oczywiście niemieckich, przysiadłem na spodnie i wykułem poszczególne paragrafy na

pamięć. Teraz jednak chodziło o praktyczne zastosowanie ich. Z tym trzeba się było udać do kogoś, który już pod tym względem miał doświadczenie. Był nim ks.Feliks Bolt, kuratus w Srebrnikach koło Kowalewa. Był on pierwszym pionierem spółdzielni t.zw.Konsumów i spółek Bazarów na Pomorzu,mogąc się poszczycić poważnymi sukcesami na tym polu. Brusy stały się ośrodkiem tego ruchu.Kiedy się poraz pierwszy u niego zjawiłem, przedstawiając mu mój plan, zapytał mnie znienacka: "A masz też grubą skórę?, bo musisz być przygotowany na ciężkie ciągi przy realizowaniu twych zamierzeń".Odpowiedziałem mu,że jestem przygotowany na wszystko, a więc i na ciągi. Nie obawiam się ich, byle mi sprawa się udała. Do Srebrnik pielgrzymowałem jeszcze kilkakrotnie, zanim się uważałem za należycie przygotowanego do danej akcji.

Teraz chodziło o to, by wyszukać odpowiednich ludzi, takich właśnie, którzy nie dla materialnych korzyści, ale z pobudek ideowych gotowi byliby podjąć się ze mną razem realizacji tych bądź co bądź ryzykownych zamierzeń. Musiałem jednak działać konspiracyjnie w tajemnicy przed plebanią,bo, gdyby się przed czasem dowiedział ks.B.albo jego wszędzie wietrząca siostra, byliby wszystko uczynili, by sprawę w zarodku unieszkodliwić. To też tylko 5 ludzi wtajemniczyłem w moje plany, a mianowicie oprócz p.Liszkowskiego i nestora Franza Parczegowskiego z Belna, niejakiego Bernarda Urbańskiego, Franciszka Chmielewskiego oraz niejakiego Fr.Erdmańskiego. Ci dwaj pierwsi byli osadnikami,osiadłymi na parcelach rozparcelowanego przez ks.Rosentretera majątku poniemieckiego. Chmielewski był już żonatym, podczas gdy Urbański był jeszcze kawalerem. Byli to właśnie tacy ludzie, jakich mogłem do takiej sprawy potrzebować, uczciwi, trzeźwi, bezinteresowni, gotowi do wszelkich poświęceń. Franciszek Erdmański posiadał w wiosce, blisko kościoła,obszerną nieruchomość. W niej miał on mały sklep z towarami kolonialnymi, towarami łokciowymi, konfekcją i obuwiem.Nie mogąc atoli żadną miarą podołać konkurencji żydowskiej, był na drodze likwidacji swego przedsiębiorstwa. I to nam właśnie poszło na rękę. Mieliśmy bowiem w obszernym gmachu i pomieszczenie dla Banku i Konsumu Kupieckiego. Erdmańskiego musieliśmy z konieczności jako piątego do naszego grona przyjąć, najpierw dla tego, że w jego gmachu miały się

znaleźć nasze dnie przewidziane instytucje, a powtóre,że miał on już pewne doświadczenie kupieckie i pewną rutynę w prowadzeniu ksiąg. Poza tym umiał on i publicznie wystąpić i rzeczowo przemówić i sprawy bronić odważnie w razie potrzeby . Tych dwuch najbardziej zaufanych, Chmielewskiego i Urbańskiego,wysyłałem przez całą zimę do Banku ludowego w Grudziądzu, na czele którego stał dobrze mi znany Marchlewski. Celem ich wyjazdów było zapoznanie się z księgowością bankową,która w owych czasach była jeszcze dość prosta. Nie znano jeszcze wówczas ani kont bieżących ani czeków i t.d.Nawet i te częste wyjazdy tych dwuch kandydatów na członków zarządu Banku i konsumu z Erdmańskim jako trzecim nie wzbudziły żadnego podejrzenia.Że wszyscy oni umieli dyskretnie trzymać język za zębami.

Założenie banku ludowego.
Niesamowita reakcja ze strony jego przeciwników.

Kiedy już wszystko było gotowe, skomunikowałem się pisemnie z ks.prałatem Wawrzyniakiem, patronem spółek zarobkowych. Wyznaczył, o ile mnie pamięć nie zawodzi, na ten cel 6 maja 1907 r. Dopiero wtedy wtajemniczeni otrzymali trzy dni przed tym terminem polecenie zwerbowania członków do Banku, a ja zwróciłem się do ks.Burtschika. Ks.B. po wyprowadzeniu się Sass-Jaworskiego, w jego miejsce wstąpił do zarządu Reiffeisena. Ks.B. dla tego rodzaju spraw najmniejszego nie miał zrozumienia ani pojęcia o nich. Sam drwił z tego wyboru.Był tam jedynie figurantem, ale kiedy potym uznawał rasę tę niemiecką za zagrożoną, porwał się jako "pra-pra-Niemiec" do jej obrony. A nie czując się sam na siłach, by tego dokonać,zmobilizował do tego dzieła centralę w Gdańsku i landrata ówczesnego v.Halema w Świeciu i stąd w związku ze założeniem tego banku polskiego wyłoniły się wprost niesamowite rzeczy,jakich nie było napewno nigdzie indziej wówczas na Pomorzu. Stoję więc przed obliczem ks.B. i oświadczam: "Ks.Proboszczu! My tutaj zakładamy Bank ludowy.Przecież mieszka tu ludność czysto polska i ma chyba prawo do polskiej instytucji bankowej. Nie chciałbym jednak, aby o tę sprawę mogło powstać ja-

kieś nieporozumienie między nami. Ks. Proboszcz stoi na czele Reiffeisena, niech jego wikaremu wolno będzie stanąć na czele Banku ludowego ! Niech każda instytucja pracuje w swoim zakresie, a my się chyba o to między sobą kłócić nie potrzebujemy. A może ks. proboszcz mógłby ten niemiecki bank porzucić i od razu przejść do naszego, to by dopiero paraflanom sprawiło radość" Na twarzy ks. P. odmalowało się ogromne zdumienie. Całą chwilę wprost tchu nie mógł wydobyć. Na moje powtórne pytanie, czy jednak nie zechciałby razem ze mną pójść, odpowiedział, przyszedłszy nieco do siebie, że na razie tego uczynić nie może, a później się nad tym namyśli. Tedy wystąpiłem do niego z inną propozycją: " Na założenie Banku ludowego przyjedzie ks. prał. Wawrzyniak, wielki i ogólnie znany działacz społeczny, o którym chyba ks. proboszcz słyszał, wypadałoby, żeby on w plebanii zamieszkał, a nie gdzieindziej, to mógłby następnego dnia i tu w kościele Mszę św. odprawić. Czy ks. proboszcz godzi się na jego przyjęcie w plebanii ? " Gdyby ks. proboszcz był mógł się wpierw ze swoją Mariechen porozumieć, to nie wiem, jakby ta odpowiedź była wypadła, ale ja nalegałem na natychmiastową odpowiedź i wówczas po pewnym wahaniu ze strasznie zakłopotaną miną wykształził "Ja, ja, mag er kommen". Powitanie ks. prałata P. na dworcu wypadło dość uroczyście. Na dworzec przysłali dwa kryte powozy Liszkowski i Parczewski, prócz tego stawiło się kilka powózek gospodarzy. Na członków mającego zaistnieć banku przybyło przeszło 40 ludzi. Między nimi jednak połowa z nich była członkami Reiffeisena. Byli to ci wszyscy, którzy nabyli osady z parcelacji ks. Dr. Rosentretera i na nie pozaciągali w Reifeisenie pożyczki w łącznej wysokości przeszło 50000 marek. Była to na ówczesne stosunki dość poważna kwota. Przy zakładaniu Banku ludowego zwrócono uwagę, ks. prał. Wawrzyniaka na ten fakt i zapytano go, co będzie, jeżeli Reiffeisen spowie te kredyty, a nowozałożony bank ludowy nie będzie miał jeszcze tyle własnego kapitału, by ten znaczny kredyt spłacić. Na to ks. W. dobitnie zapewnił: "Od dziś macie ju ponowie zapewniony kredyt w Banku Związku Spółek Zarobkowych na kwotę 50000 marek, to z łatwością ten dług w Reiffeisenie spłacicie". Taka była jego obietnica, ale jej w krytycznej chwili nie dotrzymano, co od razu całe istnienie tej co dopiero zaistniałej instytucji stawiło pod znakiem zapytania, a mnie nabawiło wprost nie do wypowiedzenia udręki. Na podstawie jednak tego zapewnienia ze strony ks. Pra-

łata wszyscy obecni,a zwłaszcza i ci w Lasie Reiffeisenowskiej zadłużeni, dali się zapisać na członków,między nimi i p.Liszkowski, który swym majątkiem największą dawał gwarancję pewności naszemu Bankowi. W toku akcji zakładania banku wpadam do plebanii,aby się przekonać,jakie też ona gotuje przyjęcie dla ks.Prałata.Zdala widzę proboszcza,spieszącego do kolei. Aha,pomyślałem sobie i tym razem salwuje się ucieczką. W plebanii w jadalni widzę stół nakryty.Na nim trochę krajanki, masło,chleb i cukier i dwie szklanki do herbaty, no i kromki chleba. "Frl.Mariechen,pytam, to już cała kolacja dla ks.Prałata,jaką widzę na stole?" A ona mi zuchwale na to:"Nie jest to dosyć dla takiego Polaka?"/"Ist das nicht genug für solch einen Polaken?"/."O nie, Frl.Mariechen, dla tak zacnego gościa,jak ks.Prałat W. to daleko nie jest "genug". A dokąd to brat tak nagle wyjechał ?" "On musiał wyjechać", brzmiała odpowiedź. Wiedziałem już, co się świeci. Podziękowałem tedy za taką kolację i nocleg zaznaczając, że gdzie indziej znajdzie on odpowiednie swej godności i zasług przyjęcie.Następnego dnia od ludzi, którzy byli na przystanku, kiedy ks.Burtschik wykupiwał bilet,dowiedziałem się,że pojechał do Gniewu, oczywiście do brata Biskupa ze skargą oczywiście na mnie, że jego dzieło niszczę. Wróciwszy do lokalu,gdzie dokonywało się zakładanie banku, by prosić p.Liszkowskiego,żeby zatelefonował do swej żony o przygotowania u siebie kolacji i noclegu. Na tej kolacji byłem i ja obecny i omówiliśmy stosunki jeżewskie i zachowanie się plebana. Widocznie ks.Kawrzyniak na podstawie tego, co się od nas dowiedział,nabrał przekonania,że ten bank tu, wobec takich warunków, się nie ostoi i dla tego następnie odmówił nam obiecanego kredytu.Następnego dnia ks.Kawrzyniak nie odprawiwszy już też Mszy św.odjechał do Gniewa, aby tam założyć taki sam bank,a następnego znów dnia w tym samym celu udał się do Wielkiego Komorska.Tam poszła sprawa sprawniej i gładko i nie wywołała żadnych sprzeciwów, ale bo też tam proboszczami byli Polacy,a nie, jak w Jeżewie, warcholski proboszcz,a przecież na tak młodym wikarze,który dziś jest, a jutro go może nie być, trudno coś trwałego oprzeć.

Szeroko zakreślona kontrakcja ze strony wrogów.

Po założeniu Banku należało go począć do rejestracji do sądu w Świeciu. Dopóki nie nastąpiła taka rejestracja, bank prawnie nie istniał. Podanie o to nastąpiło zaraz następnego dnia. Na razie przez kilka dni był spokój. Dniem założenia Banku był wtorek. W piątek o godz.9 wieczorem pojechałem znów do Neklenburgii,aby w poniedziałek po południu wrócić dla udzielenia nauki religii przygotowawczej do I.komunii św. Po powrocie dowiaduję się od moich ludzi, że ks.Bartschin ogłosił z ambony następującą publikację: "Od dziś za dwa tygodnie po nabożeństwie odbędzie się w sali p. Onsikowskiego walne zebranie tego starego banku, który założył brat ks.Biskupa. Na tym zebraniu wykluczeni zostaną ci wszyscy, którzy do tak zwanego polskiego banku przystąpili.Upraszam się o liczny udział". Ustawa - rzecz zrozumiała- nie pozwalała należeć do dwuch spółdzielni z nieograniczoną odpowiedzialnością, więc i Reiffeisen miał prawo wykluczenie tych, którzy przystąpili do Banku Ludowego. Ale według ustawy kompetentna była do tego rada nadzorcza, a niepotrzebne było absolutnie do tego celu zwołanie aż walnego zebrania. Ale przeciwnikom naszym chodziło o to, by to wykluczenie nastąpiło z wielkim hukiem i trzaskiem, żeby tych śmiałków, którzy ośmielili się przystąpić do polskiej instytucji, raz na zawsze taka ochota odeszła. Moi dwaj zaufani:Chmielewski i Urbański,przybyli do mnie,aby się mnie radzić,jak mają postąpić,czy pójść czy nie pójść na to zebranie.Oświadczyłem, że koniecznie tam pójść powinni, bo nieobecni zwykle tracą, byli tylko języka w gębie nie zagubili. Ale niechby koniecznie ze sobą zabrali Brzeskiego, bo ten to na "gębę nie upadł". Brzeski bowiem był trzecim członkiem zarządu naszego banku, podczas gdy Liszkowski został prezesem rady nadzorczej, a ja jego zastępcą. Na to walne zebranie czekaliśmy z wielkim naprężeniem i niepokojem.Ja i w tę niedzielę musiałem znów pojechać do Neklenburgii. Z moimi dwoma zaufanymi jednak umówiłem się, że przy mym powrocie przyjadą mi naprzeciw do Laskowic,aby mnie jak najprędzej z tej dręczącej niepewności uwolnić. Wysiadłszy z pociągu widzę ich z dala trzymających w ręku chusteczki i machających rękami. O ! myślę sobie, to dobry znak.Zbliżając się do nich widzę ich rozradowane twarze. "Zwycięstwo,powiadają jeden przez

przez drugiego, na całej linii, a tam klapa kompletna."I zaczynają opowiadać:"Na zebranie przyjechał sam landrat, no i jakiś grubas jako delegat centrali w Gdańsku. Zebranie zagaił ks.Burtschik, ostro piętnując tych burzycieli, którym, mimo, że już mają jeden bank, zachciało się jeszcze drugiego,t.zw. polskiego. Po proboszczu zgłosił się do głosu Erdmański i poprosił o głos - a sala była szczególnie nabita - i oświadczył, co następuje: 'Czemu to ks.proboszcz tak zawzięcie występuje przeciw naszemu polskiemu bankowi ?" Gdy tenże milczał,ciągnął Erdmański dalej: 'My wiemy dla czego. Ks.Proboszcz bowiem jest Niemcem, dla tego miłym mu jest bank niemiecki,ale my jesteśmy Polakami i dla tego my chcemy polskiego banku".Kiedy te słowa padły, w sali rozpoczęła się wielka wrzawa.Chórem zaczęli zebrani skandować:"My Polacy, my chcemy polskiego banku". Na próżno usiłował ich uspokoić ks.proboszcz. Ciąż atoli rozbrzmiewały te same zwroty. Wtedy i landrat swym autorytetem usiłował uspokoić tłum, ale i to nic nie pomogło. Wreszcie i ten grubas, ocierając pot z czoła, przystąpił do akcji, ale i to napróżno. Wreszcie on pierwszy zabrał swą teczkę i opuścił salę, niedługo potym poszedł za jego przykładem i landrat,a wreszcie i sam proboszcz. Reszcy udali się następnie do plebanii, aby się pokrzepić i pocieszyć kieliszkiem wina za doznaną klęskę i zniewagę. Ten duch ludności ogromnie mnie podniósł na duchu. Zdawałem jednak sobie sprawę,że na tym się nie zakończy. Będą przecież usiłowali zemścić doznaną klęskę i zniewagę. I niedługo potrzebowaliśmy na ten ich odwet czekać.

Zemsta, która jednak spełzła na niczym.

Po kilku dniach członkowie naszego banku, a należący równocześnie do kasy reiffeisenowskiej,okazują mi pismo wypowiadające im członkostwo w ich instytucji i domagające się spłaty w terminie trzymiesięcznym.Byłem spokojny. W trzech miesiącach nasz bank już napewno będzie miał tyle własnego kapitału, że z łatwością reiffeisena spłaci. Tymczasem po kilku dniach przynoszą mi inny świstek.Tenże znosi uchwałę poprzednią,ustanawiającą spłatę na trzy miesięczny okres

a powołując się na jakieś paragrafy żądał spłaty pożyczek w przeciągu jednego miesiąca pod rygorem natychmiastowego przymusowego ściągnięcia ich po upływie wyznaczonego termina. Mało jeszcze tego jednego ciosu. Zaraz potym nadchodzi ze sądu w Świeciu odpowa zarejestrowania Banku z tym umotywowaniem,że przy określeniu "Bank Ludowy" brak jest określenia "Volksbank". Fakty to pozornie drobnostka, ale tylko pozornie, ponieważ przeprowadzenie takiej zmiany wymagało ponownego zwołania zebrania członków i ponownej uchwały. A tak e zebranie odbyć się mogło dopiero po upływie 14 dni od ogłoszenia tegoż. Był to upominowany na polecenie widocznie landrata obskurny zamach na nasz Bank,aby odwlec jego zarejestrowanie aż do upływu tego wyznaczonego do spłaty pożyczki jednomiesięcznego terminu, co uniemożliwiłoby jej spłatę. Był to też akt bezprawia ze strony sądu,ponieważ dawno już sąd najwyższy rozstrzygnął,że takie uzupełnienie jest niepotrzebne. O co jednak przy tej całej aferze chodziło,dało niebawem poznać wprost bezczelne zachowanie się Frl.Mariechen. "Sobaczy,Herr Kaplanchen,jak te Polaken teraz będą przychodzić tu do tego pokoju,klękać przed bratem,całować jego ręce i ze łzami w oczach błagać go będą, żeby ich spowrotem przyjął do Reiffeisena". Teraz sytuacja stała się dla mnie strasznie dramatyczna. Jeżeli się Niemcom ten zamach uda, to ja jestem wykończony wraz z wszystkimi moimi planami. Będę skompromitowany w oczach całej parafii, ściągnę na siebie gorkie zarzuty ze strony tych, którzy mi zaufali,podając się na wzięcie udziałów w tej sprawie, a mnie, który dopiero pierwsze stawiał kroki na tej drodze pracy społecznej, raz na zawsze do niej zniechęci. Ale przypomniałem sobie przecież,że ks.prał.Wawrzyniak zapewnił nam na naszym zebraniu kredyt 50 000 marek od chwili założenia Banku. Biegnę więc natychmiast do Lipienek do Liszkowskich,do telefonu. Łączy się z bankiem Związku spółek zarobkowych w Poznaniu i proszę do telefonu ks.prał.Wawrzyniaka. Przedstawiam mu całą sprawę i proszę go usilnie,żeby spełnił daną nam wówczas obietnicę i nadesłał owe 50 000 marek.Jakież było jednak moje przerażenie, kiedy ks.Wawrzyniak,wyrażając swe ubolewanie oświadcza, że kredytu tego nam udzielić nie może z braku gotówki. Na moje przedstawienie,że przecież nam to przyrzekł, tłumaczył się, że nie wiedział wówczas jeszcze, że taka będzie posucha co do gotówki. Nie uwierzyłem oczywiście w tę posuchę gotówkową,jaką się tłumaczył ks...,ale co teraz począć ?

Całkiem przybity wracam do siebie. Czy już wszystko stracone ? Zanadto jednak byłem jeszcze młodym,za dużo miałem wówczas jeszcze zapału i optymizmu w sobie, by się biernie poddać fatalizmowi. Słyszałem, że cobrze prosperującym bankiem,który ma dużo gotówki,jest Bank Ludowy w Pelplinie, którego dyrektorem był Sikorski, ówczesny właściciel hotelu i restauracji, gdzie już tradycyjnie zatrzymywali się księża,przybywający do Pelplina. Natychmiast siadam do pociągu i walę do Pelplina. Stanąłem przed obliczem władczego p.dyrektora,pełen nadziei, że przecież jedna bratnia instytucja drugiej w tak nagłej potrzebie przyjdzie z pomocą. Przedstawiam, na jaką się tylko zdobyć mogę wymowę, nasze położenie. Tłumaczę mu,że nasz Bank liczy 40 członków,prawie wszyscy to właściciele posiadłości, wśród nich p.Liszkowski,bogaty ziemianin,że przeto gwarancja jest zupełnie pewna. Słucha mnie uważnie. Kiedy skończyłem, pada z ust jego pytanie:"A jest aby Bank już zarejestrowany?" "Nie,odpowiadam.Sąd nas szykanuje,ale rejestracja to chyba tylko kwestia krótkiego czasu".Naraz wstaje p.dyrektor,zbliża się do mnie i patrząc mi prosto w oczy odzywa się do mnie w te słowa:"I księża naprawdę sobie uważają,że my dla nieistniejącego jeszcze prawnie banku,jedynie gwoli księżych pięknych oczu,możemy zaryzykować i na szwank narazić tak wysoką sumę z naszego banku.Niech księża sobie tę myśl raz na zawsze wybiją z głowy." Gdyby mnie w tej chwili oblano zupełnie niespodziewanie wiadrem lodowatej wody,przerażenie bodaj nie byłoby tak wielkie jak wówczas. Zupełnie zbity wracam do domu.Wydaje mi się bowiem,że już wszystkie możliwości wyczerpane. Po głowie snują mi się najrozmaitsze pomysły,ależ wszystkie one odrzucam jako utopie. Wreszcie przecież błyska mi jedna myśl,której się uczepiam i która może jednak nie okaże się tylko marzeniem ściętej głowy.Otóż wysyłając tych dwuch moich pupilów do Banku Ludowego w Grudziądzu poleciłem im,żeby wynotowali sobie konta w tymże banku deponentów z naszej parafii,aby depozyty te później ewtl.przenieść do naszego banku. Każę przywołać do siebie Urbańskiego. I mnie,pytam,kto z naszych ludzi ma większe depozyta w Banku Ludowym w Grudziądzu? "Tak większych oszczędności tam nasi ludzie nie mają,prócz Klonieckiego.Ten ten ma znaczną kwotę,bo coś około 37 000 marek. Kiedy bowiem nabył z parcelacji ks.Rosentretera osadę, to swoją dotychczasową posiadłość sprzedał

i pieniądze złożył w Banku w Grudziądzu,aby przy nadarzającej się sposobności nabyć drugą dla syna." "Panie,powiadam mu,niech mi pan czymprędzej przywoła p.Kloneckiego",tego młodego,pan wie." Przychodzi młody Klonecki. Mówią do niego: "Panie Klonecki,pan wie, o co się rozchodzi.Albo zatriumfuje nasza sprawa, a Niemcy poniosą klęskę, albo odwrotnie,to obecnie zależy od pana.Wy macie w Grudziądzu na waszym koncie 37 000 marek". Ale Bank Ludowy mi ich nie wypłaci natychmiast,odpowiada,bo są z półrocznym spowiedzeniem". "Cóż to szkodzi,powiadam, najwyżej potrącą panu damnum, które potym nasz Bank panu zwróci.Aby Bank w Grudziądzu zmusić do natychmiastowej wypłaty waszego depozytu,pan powie,że panu się nadarza okazja wykupienia z rąk niemieckich stosownego dla pana gospodarstwa, bo inaczej szmat ziemi będzie dla nas stracony,to oni już panu pieniądze wypłacą". Pewno, że ta jemu podsunięta przezemnie insynuacja nie była zgodna z prawdą,ale to,o co tu chodziło,daleko większą miało wartość niż kilkadziesiąt morgów ziemi. No i następnego dnia rannym pociągiem ruszył Klonecki po tak upragnione złote runo do Grudziądza, a moje najgorętsze życzenia i modły towarzyszyły mu. Teraz bowiem to już naprawdę ostatnia deska ratunku. Gdy ona zawiedzie, będzie to prawie wyrok śmierci na moją dalszą tu działalność. Można przeto sobie wystawić,z jakim napięciem nerwów oczekiwałem jego powrotu. Na każdym powrotny pociąg czekam jak na zbawienie. Wychodzę na każdy pociąg. Stacja kolejowa tak blisko,że wyszedłszy z wikaryjki na podwórze,widzieć było można każdego wysiadającego. Przychodzi jeden pociąg za drugim,Kloneckiego nie ma. Około godz.10 wieczorem przychodzi ostatni pociąg i też go nie ma. Co się więc stać mogło? I tłumaczę sobie w ten sposób,że nie otrzymawszy tego,co mu poleciłem,nie chcąc mnie aż tak zasmucać,chyłkiem udał się inną drogą do domu. Wracam do siebie, rozpacz mnie ogarnia.Więc wszystkie moje nadzieje pogrzebane ! Nadchodzi godz.11. Czas położyć się do łóżka. Kładę się,ale skronie mi walą, że zdają się pęknąć,a serce tak się tłucze w klatce piersiowej,że wydaje mi się,że echo jego kołatania odbija się o ściany pokoju. Nie, spać stanowczo nie będę,nerwy odmawiają mi posłuszeństwa. Zrywam się, kładę się ponownie do łóżka i znów się zrywam. Nadchodzi godz. pół do 12 w nocy i nic.Skazówka zbliża się do godz.12 i cóż to ? Dochodzi mych uszu jakby jakieś człapanie. Cóż to,czy może jakiś pies ?

Nastawiam uszu. Nie, to nie pies,odróżniam przecież wyraźnie kroki,które zbliżają się ku moim drzwiom. W drzwiach staje poczciwi Klemuś. Ale w jakim stanie ? Cała twarz spocona,pot się z niego leje.Cały zakurzony,nogi pod nim dygocą, istny obraz nędzy i rozpaczy. Ledwo ziepie. Wciągam do pokoju,sadzam na krześle i nerwowo pytam:"Ma pan pieniądze?" A on miast mi odpowiedzieć,zaczął biadać:"Ach,jak ja się zmachałem,ja ledwo żyję,nóg nie czuję pod sobą".A ja mu przerywam:"Panie,niech Pan już skończy z tym machaniem i z tymi swoimi nogami i nie męczy mnie dłużej,niech mi powie:ma pan czy nie?" "Tak,odpowiada nareszcie,tam,ale co ja obierwałem od p.Marcinkowskiego? Kiedy przystąpiłem co niego z moim żądaniem,to myślałem,że się ze złości na mnie rzuci.Aż skuka z gniewa i powiedział mi,że kłamię,że te pieniądze nie są mnie potrzebne dla nabycia gospodarstwa od Niemca,tylko ten wasz wizary pana do tego nakłonił. On by gotów nasz bank zniszczyć,aby swój ratować. Ale ja mu prosto patrząc w oczy,a swoich nie zamurzając odpowiedam:"Panie dyrektorze! Prawdę mówię.Jeżeli ja tych pieniędzy nie otrzymam,to pan będzie za to odpowiedzialny,jeżeli szmat polskiej ziemi dla nas przepadnie." tedy dopiero się udobruchał w przekonaniu,że prawdę mówię.Ale cóż z tego,kiedy tyle gotówki w kasie nie było.Biegał więc po całym mieście, aby ją zebrać. Trwało to tak długo,aż mnie odbiegł ostatni pociąg i musiałem wracać piechotą." Poczciwy,kochany Klemuś! 19 klm.drogi polnej,przeważnie piaszczystej i wiodącej przez lasy, z takim kapitałem,który dla tej rodziny stanowił prawdziwy majątek i to nadomiar narażony na niebezpieczeństwo napadnięcia, by ratować naszą polską sprawę,to już więcej niż zwykłe poświęcenie się. Skoczyłem do niego,zacząłem go tak mocno ściskać,że aż krzyczał z bólu,że mu żebra połamię. Ale cóż to znaczyło,kiedy nasza sytuacja została uratowana. Prawdzie brak było jeszcze jakichś 15 000 marek,ale to już była fraszka.Sprawa nabrała wielkiego rozgłosu.Obszedłem te rodziny,u których czułem gotówkę.Ludziska z poczucia patriotycznego, kto co miał uciułanego grosza,znosili do banku, nie pytając,czy już zarejestrowany czy nie. W ten sposób, nie minął ani miesiąc, a cały dług w reifeisenie został spłacony.Sąd widząc,że jego gra na zwłokę spaliła na panewce, zrzekł się już swego wymaganego "Volksbanku" i doniósł o

zarejestrowaniu Banku Ludowego,jak pierwotnie było uchwalone. Chybiły więc brudne intrygi Landrata,proboszcza i centrali w Gdańsku. Nasza słuszna sprawa zwyciężyła.Najgorzej wyszła na tym Frl.Mariechen,która nie doczekała się tak przez siebie upragnionego widoku klęknięcia skruszonych "Polaken" i całujących z łzami w oczach jej brata ręce i błagających go,by ich spowrotem przyjął do reiffeisena. Bank Ludowy mimo tych wszystkich intryg i stawianych przeszkód, a może właśnie z powodu nich rósł odtąd jak na drożdżach,a reiffeisen popadł w zupełny letarg. Ciekawe,że naszym pierwszym klientem pożyczkobiorczym był ksiądz,a mianowicie ks.Dr.Kogala,późniejszy generalny wikariusz w naszej diecezjii Potrzebował pieniędzy na studia uniwersyteckie. Zwrócił się o to do mnie i pożyczkę otrzymał ją.Cieszyłem się,że nasz tak zajadle zwalczany bank właśnie księdzu mógł oddać pierwszą usługę.

Żmuta ks.Jurtschika albo raczej Frl.Mariechen.

Plebania jeżewska jakoś z poniesioną klęską pogodzić się nie mogła.Przemyśliwała nad odwetem i skierowała go przeciw własnym parafianom. Otóż do zarządu banku należał K.Jrbański. Był on poniekąd moją prawą ręką. Służąc we wojsku nabawił się chronicznego bronchitu i otrzymywał rent, wojskową.Naraz otrzymuje zapozew do landratsamtu w Świecia w sprawie rentowej. Kiedy wszedł do odnośnego lokalu,ujrzał na biurku danego urzędnika pismo,którego ręka była mu jakoś znana. W toku rozprawy urzędnik ten został na moment odwołany do przyległego pokoju. Wtedy podszedł Urbański do biurka i zobaczył na piśmie tym podpis ks.Jurtschika. Wnet oczywiście, że odebrano mu. Najbardziej jednak strawić nie mogła plebania Urbańskiego, który to swym odważnym wystąpieniem na walnym zebraniu banku, obecnych pobudził do tak mocnej reakcji. I jego ks.Jurtschik zadenuncjonował tym razem aż do prokuratora w Grudziądzu. O tym pisze korespondent "Pielgrzyma" jak następuje:"Smutna to rzecz,że p.Urbański wskutek denuncjacji takiej osoby, która naprawdę do wznioślejszych obowiązków jest powołana, dostał się za kratki sądowe, ale że oskarżenie było bezpodstawne,a on niewinny, sam prokurator wniósł o uwolnienie, a sąd nie tylko wyrok uwalniający wydał,ale nadto skazał

kasę sądową na zwrócenie kosztów oskarżonemu. Cieszyli byśmy się, pisze korespondent, żeby denuncjant się poprawił i zajął się raczej swą właściwą pracą, taką, jakiej Bóg od niego wymaga, a nie zajmował się denuncjacjami." Takie postępowanie naprawdę rzuca ponure światło na charakter tak tego duszpasterza." Główna jednak odpowiedzialność za to spada na tę przewrotną kobietę, która swego brata tak umiała opanować, że stał się on jej prawdziwym automatem, którego, jak tylko chciała, tak nakręcała. W Grudziądzu wychodziło wówczas zaciekle polskożercze pismo "Der Geselige". W korespondencji z Jeżewa pewien "Jeżowiak", kto nim był, nie trudno odgadnąć, pisał w związku z powstaniem tam Banku Ludowego dosłownie: "W boju socjalno-politycznym od założenia Banku Ludowego mimo operowania "nagannymi" środkami nie udało się zrujnować Reiffeisena, który mimo to jednak jeszcze przeszło 140 członków zdołał zatrzymać. To ks. Burtschnik szczęśliwie tego dokonał, że nie jeden obałamucony został wyjaśnieniem, że ostatecznie pieniądze zostały w Reiffeisenie". W odpowiedzi na tę bardzo wątpliwej wartości reklamę w luterańsko-nazistycznym piśmie wzywa ów korespondent "Pielgrzyma" ks. Burtschnika, by podał, ilu też jeszcze jest żyjących wśród tych 140 członków, a ilu, którzy już pomarli, a ile w kraju, a ilu za granicą ? Odpowiedzi żadnej na to pytanie nie otrzymał. Natomiast Bank Ludowy w tym samym czasie już miał 164 członków faktycznych i wkładów na kwotę 265 882,63 mrk. Coś tedy mogło jeszcze pozostać dla Reiffeisena ?

Na szlakach naszych obieżyświatów w Meklemburgii.

Nie mogę sobie odmówić, by pominąć milczeniem sprawę mego sezonowego duszpasterstwa w Meklenburgii. Otrzymawszy od władzy biskupiej pozwolenie zająłem się tą sprawą z wielką radością i zadowoleniem. Moja praca duszpasterska ograniczać się musiała atoli jedynie do sobót i niedziel, najpierw, że od wtorku aż do piątku musiałem być tu na miejscu dla nauki religii, a powtóre i dla tego, że w dni powszednie robotnicy od rana do wieczora byli przy pracy. Wyjeżdżałem zwykle koleją z Jeżewa przez Laskowice, Chojnice w piątki

o godz.9 wieczorem,aby stanąć o godz.6 rano na Friedrichsbahnhofie w Berlinie, a stamtąd z Lehrterbahnhof wyjeżdżałem o godz.9,aby mniej więcej w południe stanąć w Skwierzynie,stolicy tego wielkiego księstwa i od tamtejszego proboszcza otrzymać instrukcję,do jakiej miejscowości się skierować na wykonanie tam zobowiązań duszpasterskich. Zwykle o godz.2 po poł. stawałem na wyznaczonej mi placówce. Skwierzyna po niemiecku Schwerin była stolicą tego państewka związkowego Rzeszy. Miasto ładne, wśród zieleni, wielki park, w nim rezydencja wielkiego księcia, okazały pałac, ale spokojne na ówczas, pozbawione wszelkiego przemysłu. Meklemburgia to kraj czysto protestancki. Katolików było nie wielu. Prawdziwa diaspora. Parafii, o ile mnie pamięć nie myli, było za mych czasów tylko trzy: w Skwierzynie, Bostoku, Wismarze. Tworzyła się jeszcze czwarta parafia w miasteczku Waaren,gdzie za mych czasów zbierano ofiary na ten kościół i wśród naszych sezonowych robotników. W tym celu poproszono mnie, bym ich odezwy z języka niemieckiego przetłumaczył na język polski. Metropolia kościelna była Skwierzyna. Tam był dziekan i aż pięciu wikarych. Był też zakład Boromuszek, które utrzymywały ochronkę i szkołę dla dzieci katolickich. Pomiędzy księżmi w Skwierzynie był młody wikary, z którym od razu się zaprzyjaźniłem,nazwiskiem Reckers. Przepadał wprost za Polakami. Najchętniej byłby sam został Polakiem. Uczył się na gwałt języka polskiego. Jednak bez niczyjej pomocy trudno mu było dawać sobie z nim radę. Za każdym razem, kiedy przybyłem,popisywał się swą zdobyczą językową,ale doprawdy trudno mu było zrozumieć.Wychodziły same sz-sze. Proboszcz i dziekan w Skwierzynie to bardzo poważny,pobożny, gorliwy i swą osobą szacunek wzbudzający jegomość. Serdecznie się każdorazowo ucieszył,kiedy mnie znów zobaczył. Kościółek w Skwierzynie był ładny,ale skromnych rozmiarów jako że i katolików było w mieście nie dużo. W plebanii zastałem nieraz Jezuitów, którzy pasteryzowali katolików w Szwecji. Na moje pytania opisywali mi to i owo z stanu rzeczy i o sposobie wykonywania w tym kraju czynności duszpasterskich. Katolików tam było mało, ale rozproszeni byli po całym rozległym tym kraju. Chcąc do nich dotrzeć, aby odprawić nabożeństwo,chrzty,śluby, zaopatrzyć chorego, musieli nieraz i dwa dni i dłużej podróżować koleją. Chwalili przy

tym tolerancję, grzeczność, życzliwość i uczynność protestanckich Szwedów. W każdym mieszkaniu, gdzie zamierzali odprawić Mszę św., użyczano im chętnie lokalu. Mimo wszystko jednak, jak opisywali, nawrócenia na katolicyzm były rzadkością. Polegało to na tym, że Szwedzi to naród wygodny, w dobrobytnych warunkach życiowych bytujący, dobrze się czuje przy swoim protestanckim wyznaniu, które tak mało od nich wymaga, podczas gdy katolicyzm jednak nakłada rozmaite obowiązki i ograniczenia, wymagające samozaparcia i nakładania sobie hamulców na swe zmysły i żąda poświęceń i cnót, co jest sprzeczne z ich wygodnictwem. Dla tego też chętnie przychodzą na nasze kazania, wyrażając nam często swoje uznanie i nie szczędzą pochwał, ale na tym się wszystko kończy.

Takiej znów tolerancji w Meklenburgii, w kraju naszych wynarodowionych braci Słowian, Obotrytów, nie było. Przeciwnie Meklenburgia i Brunszwig to dwa kraje związkowe Rzeszy niemieckiej, gdzie jeszcze wówczas aż blisko do końca pierwszej wojny światowej istniały prawa wyjątkowe przeciw katolikom. Jedno i drugie nie pozwalało żadnemu kapłanowi poza miejscowym na wykonywanie jakichkolwiek czynności kapłańskich. Gdy kogoś na tym złapano, został osadzony w więzieniu, musiał zapłacić karę pieniężną, a następnie został odstawiony za granicę tego państwa. Coś podobnego zagroziło i mnie w miasteczku Teterow. Kiedy tam byłem po raz pierwszy pod odprawienia nabożeństwo i załatwieniu wszystkich innych jeszcze czynności kapłańskich i kiedy właśnie miałem się wybrać w drogę do kolei na powrót do domu, przychodzą jacyś ludzie i naglą, żeby czymprędzej opuścić lokal i pójść na dworzec. Burmistrz bowiem dowiedział się, że tu jakiś obcy ksiądz odprawia nabożeństwo i wydał rozkaz policji aresztowania go. Naturalnie zastosowałem się do tego ostrzeżenia, natychmiast pośpieszyłem na dworzec i bez przeszkody odjechałem pociągiem. Po pewnym czasie, kiedy znów byłem w Okwierzynie, wskazują mi na Teterow, dokąd mam pojechać. "A przecież tam burmistrz kazał mnie aresztować", zauważyłem. Z uśmiechem mi odpowiada ks. Beckers: "Ach, już go tam nie ma. Za swą nadgorliwość został już przeniesiony do innej miejscowości". Meklenburgia wówczas była podajże jedynym jeszcze krajem związkowym, gdzie istniał dawny ustrój feudalny. Nie było tam ustro-

ju demokratycznego, a rządził tam t.zw.Ritterstand - stan rycerski. Tworzyli go więksi ziemianie t.zw.junkrzy. Ich cała gospodarka rolna uzależniona była jednak od napływu polskiego robotnika. Gdyby ten nie dopisał, nastąpiła by tam zupełna ruina gospodarcza. A ten robotnik potrzebował i domagał się duszpasterstwa w ojczystym języku. Z tym się ci panowie liczyć musieli i dla tego patrzyli przez palce na przybywanie zamiejscowych kapłanów. Mimo to, oczywiście zachowanie pewnej ostrożności z ich strony było wskazane, ba konieczne. Zależność gospodarcza tych rozległych obszarów od dopływu polskiego robotnika była tak wielka, że, gdyby można było ten milionowy ruch wychodźczy ująć w karby organizacyjne i nim pokierować dokąd indziej, to prawdopodobnie możnaby było zmusić Prusy do odstąpienia od swej antypolskiej polityki, ale tej możliwości absolutnie nie mogło być, bo nawet w Prusach nie były dozwolone rolne związki zawodowe, a tym mniej pod b.zaborem rosyjskim i austriackim. Dziś znaczna część tych urabianych przez dziesiątki lat rękami polskiego robotnika i zraszanych potem jego obszarów, jest w posiadaniu Polski. Oprócz praw historycznych do tych ziem mamy jeszcze i ten dodatkowy argument, że posiadać je winni nie ci, którzy się na nich tuczyli, a ci, którzy je mozolnie uprawiali.

Choć Meklenburgia położona była w obrębie Prus, jednak jej mieszkańcy przedstawiali już nieco odmienny typ ludzi. Podpadło to już od razu choćby na kolei i stacjach kolejowych. Nie było już tam tej pruskiej sztywności, drylu i koszarowego stylu, a większa swoboda, powolność w ruchach, flegmatyczność ze strony kolejarzy. Nierzadko spotykało się na stacjach dyżurnego z fajeczką w ustach, z całą swobodą się obracającego i rozprawiającego i dającego niedbale sygnały. Zdziwiony to było w Prusach możliwe ! Ludność przeważnie mówiła narzeczem plattdeutsch.

Praca duszpasterska była tam bardzo uciążliwa. Zwykle na miejsce przybywałem około 2 po poł.po spędzonej nocy w wagonie kolejowym. Tam już czekały setki ludzi na spowiedź. Z powodu braku świątyń spowiedź św. i nabożeństwo odprawiało się w t.zw. strzelnicach, gdzie były obszerne sale.Kulisy zastępowały konfesjonał, a na scenie stawiano prowizoryczny ołtarz, przy którym odprawiała się Msza św. Ponieważ przedsiębiorcy [illegible] majątkach byli prawie wyłącznie katolikami

i Polakami, w soboty zwalniali ludzi już od południa od pracy. Zwykle spowiedź trwała w sobotę od 2 - 12 w nocy, a w niedzielę od 5 - 10 lub 11, a potym dopiero po wysłuchaniu wszystkich rozpoczynało się nabożeństwo. Około drugiej po południu trzeba było znów nocą wracać do Jeżewa. Rzecz zrozumiała,że było to bardzo wyczerpujące, ale zadowolenie i radość stąd płynąca, była wystarczającą zapłatą za poniesiony trud. A przytym było się młodym, to zmęczenie nie liczyło się. Bo też jaką moc podniosłych emocyj dawała ta praca ! Ledwo rozległy się słowa ewangelii, a już jakby prąd elektryczny nagle przeszedł przez ten tłum ubity w sali. Sprawiał to dźwięk mowy ojczystej. A dopiero, kiedy się rozpoczęło kazanie,to nietylko szloch, ale już głośny płacz rozległ się po całej sali, a były to łzy nie czasem smutku i bólu, ale radości i zachwytu, że tu na obczyźnie w zupełnie obcym sobie środowisku usłyszeli słowo Boże w swym ojczystym języku. I trzeba było zwykle przerywać chwilę kazanie, aż się ludzie uspokoili. To samo powtarzało się prawie w każdej miejscowości,gdzie takie nabożeństwa się odbywały. Jak nieprzepartą siłę wywiera czar ojczystej mowy, dowód miałem znów w miasteczku Tetrow. Słuchając spowiedzi widzę młodego,sympatycznego mężczyznę, który bardzo pięknie i gustownie urządza na scenie ołtarz. Myślałem,że to katolik i Polak, jeden z robotników sezonowych. Przed rozpoczęciem nabożeństwa przystąpiłem do niego, żeby mu podziękować,za tak pięknie urządzenie ołtarza. Przekonałem się atoli, że mówi tylko po niemiecku. Ucieszył się mojej pochwale. Po skończonym nabożeństwie wpada na scenę młoda kobieta,cała zalana łzami,zupełnie złamana i wśród szlochu zaczyna swoje wynurzenia. Po tylu latach znów poraz pierwszy usłyszałem kazanie w języku ojczystym.Od razu przypomniał mi się mój dom ojczysty,moi rodzice, moje rodzeństwo i wszyscy moi krewni,mój kościół i mój kraj.Pochodzę z Poznańskiego,przyszłam tu dotąd na roboty, zakochałam się w moim mężu. Jest to ten sam,który stawiał tu ten ołtarz.Wyszłam za niego zamąż.Teraz mamy już 4 dzieci.Mąż mój jest dla mnie bardzo dobry. Ale teraz dopiero, kiedy usłyszałam Słowo Boże w języku ojczystym,odezwało się we mnie sumienie tak gwałtownie,że dopiero teraz uświadamiam sobie, jakiej ja zdrady się dopuściłam,że

sprzeniewierzyłem się naszej wierze św., Polsce, rodzinie mojej, która mnie już teraz więcej znać nie chce. Ale ja muszę to wszystko naprawić, niech się dzieje, co chce. Rzucę wszystko i mojego męża i moje dzieci i jeszcze dziś wrócam do swoich." Gdy skończyła, starałem się ją uspokoić. Tłumaczyłem, że tego zamiaru tak od razu wykonać nie może, że najpierw powinna się nad wszystkim dobrze zastanowić. Jeżeli mąż panią naprawdę kocha, to może się da nakłonić, że się wszyscy razem przeprowadzicie do Poznańskiego. Jest stolarzem, to i tam pracę znajdzie. Radziłem jej też, żeby się też udała do Skwierzyna do tamtejszego dziekana, który napewno zna krajową ustawę dotyczącą małżeństwa. Uspokoiła się i odeszła. Ale zaraz po niej przychodzi do mnie jej mąż, atoli tak wzburzony, że myślałem, iż się na mnie rzuci. Zaczął mnie obsypywać zarzutami, że jego żonę podburzyłem, która teraz chce jego i dzieci porzucić i do swoich powrócić. Dopiero, kiedy spokojnie mu wyjaśniłem, że nie ja ją podburzyłem, a sumienie w niej się odezwało, kiedy usłyszała mowę ojczystą, powoli zaczęła poznawać. A kiedy dalej wytłumaczyłem, że ja jej nie tylko nie nakłaniałem do opuszczenia męża i dzieci, ale przeciwnie, odradzałem jej, by tego nie czyniła, uspokoił się zupełnie. Podałem jednak, że, jeżeli on naprawdę żonę kocha, to niech się przyczyni do tego, by ona mogła uspokoić swe sumienie. Co się dalej stało z tym, już nie miałem możliwości się przekonać, ponieważ już więcej nie przypadło mi tam dotąd pojechać. W Skwierzynie był wielki szpital, gdzie znajdowali się również nasi chorzy robotnicy sezonowi. Wyraziłem życzenie, by ich odwiedzić, wysłuchać spowiedzi i udzielić komunii św. Miałem miniaturową stułę i bursę dla chorych, które łatwo było ukryć pod litewką, jaką dałem sobie na ten cel uszyć. Udałem się po raz pierwszy w towarzystwie ks. Reckersa. Trzeba się było przedstawić dyżurującemu lekarzowi. Jako księdzu byłby oczywiście wstępu do chorych zabronił. Ks. Reckers przedstawił mnie jako lekarza z wschodu, który włada językiem polskim. Trochę miałem tremy. A mąż wda się ze mną jako "kolegą" po fachu w rozmowę o sprawach lekarskich, co ja mu odpowiem, kiedy pojęcia o nich nie mam. Ale obawa moja była płonną. Kiedy zmiarkował, że to Polak, machnął tylko ręką i powiedział: "Nitte". Za to na piętrze spotkała mnie miła niespodzianka. Natknąłem się tam na jakąś sympatyczną, przystojną pielęgniarkę, od której,

gdy się jej przedstawiłem, dowiedziałem się, że jest "Oberschwester". Poprosiłem ją, by mi wskazała, gdzie są polscy chorzy, gdyż jestem lekarzem ze wschodu, znającym język polski i chciałbym ich odwiedzić. Uśmiechnęła się coś szelmowsko. Zaprowadziła mnie do jakichś drzwi i powiada: "Bitte, Hochwürden, treten sie ein /proszę, niech Hochwürden wejdzie/. Cóż to Hochwürden mnie tytułuje ? Takiego określenia używa się tylko wobec księży katolickich. Jestem tym wielce zaintrygowany. Pytam: "Ależ Oberschwester, ja przecież jestem lekarzem ze wschodu, jak siostra przychodzi do tego tytułować mnie "Hochwürden"? "Ależ, powiada, ja wiem, kim Hochwürden jest". "A skąd to siostra może wiedzieć" pytam. "Przecież, oświadcza, ja po twarzy poznaję Hochwürden. Byłam 10 lat pielęgniarką na Górnym Śląsku. Tam często spotykałam się z katolickimi duchownymi. To są bardzo mili ludzie /ganz nette Herren/. Jak najlepsze o nich wyniosłam [illegible]. To też, niech Hochwürden się nie boi, ja go nie zdradzę. Na przyszłość proszę się wcale nie zgłaszać do dyżurującego lekarza, tylko prosto przyjść do mnie, a ja wielebność wszędzie oprowadzę, gdzie są polscy robotnicy chorzy i nie potrzebuje się wielebność niczego obawiać." Niestety, w przeciwieństwie do tej polakom życzliwej siostry, tamtejsi lekarze nie bardzo przychylnie się do chorych tych odnosili. Byli to wszystko chorzy z b. Kongresówki. Ani słówka po niemiecku nie znali, ani lekarze po polsku, a przytym byli to tylko Polacy, pogardzani przez Niemców. Można sobie wystawić, jak się z nimi obchodzili nie tylko niemieccy, ale zarazem luteraccy lekarze. To też na twarzy każdego chorego rodaka czy rodaczki malował się przestrach, kiedy się do nich zbliżyłem. Myśleli, że to znów jakiś lekarz i trzeba ich dopiero było uspakajać, że to ksiądz katolicki. A nie łatwa to była sprawa, ponieważ nasi ludzie z za kordonu nigdy księdza inaczej nie widzieli, jak w sutannie. Zwłaszcza głębokie współczucie wzbudziła we mnie pewna dziewczyna. Kiedy się zbliżyłem do jej łóżka, trzęsła się jak osikowy listek. Dużo mnie kosztowało, zanim ją zdołałem uspokoić. Od owej Oberschwester dowiedziałem się, że cierpiała na próchnicę żołądka. Już trzy razy była operowana i to bez narkozy. Przypuszczała widocznie, że to znów jeden z jej katów, który ją będzie znów krajał. Na szczęście każ-

do łóżko było zasłonięte parawanem i stąd inni chorzy nie mogli widzieć, co się za parawanem działo. Mogłem więc z całą swobodą chorych wysłuchać spowiedzi i wykomunikować. W Niemarze proboszczem był jakiś Hiszpan z pochodzenia, Don Dario, bardzo miły konfrater. Ciekawe, że dopiero w roku 1958 otrzymałem od rodziny zmarłego jeszcze krótko po I wojnie światowej kartkę, którą do niego wówczas wysłałem. Na tym chciałbym mój już i tak przedłużony opis moich wspomnień z przeżyć meklenburskich zakończyć. Czułem, że w następnym roku już mnie tu nie będzie. Postarają się o to moi "przyjaciele". Nader szczęśliw jednak się czułem i P.Bogu wdzięczny byłem niezmiernie za to, że danym mi było choć ten jeden sezon móc oddać pewne usługi duszpasterskie naszym sezonowym wychodźcom, za którymi tam w środowisku, im sobie obcym, tak bardzo tęsknili.

Inne jeszcze wspomnienia z tego okresu.

Jak już zaznaczyłem, dla pracy duszpasterskiej wśród sezonowych wychodźców miałem tygodniowo tylko dwa dni do dyspozycji, a mianowicie soboty i niedziele. Zmuszony bowiem byłem wracać każdorazowo do parafii dla przygotowywania dzieci do I.komunii św. Jednak po ich przyjęciu do I.komunii św. pozwoliłem sobie raz i drugi na pozostanie tam przez cały tydzień, aby zwiedzić okolice tamtejsze i rozejrzeć się w tym, co było tam widzenia godne. Udało mi się zwiedzić poszczególne miasta i Meklenburgii, Pomeranii, ale dalej na zachód aż do Lubeki. Oczywiście nie mam absolutnie zamiaru opisywać mych wrażeń odniesionych z owych czasów. Nie głównie interesowały świątynie i życie religijne tamtejszych okolic. Były one zamieszkałe przeważnie przez protestantów. Katolicy byli tam tylko w diasporze. Uderzały mnie piękne, obszerne, zabytkowe, okazałe świątynie Pańskie, będące jednak w posiadaniu protestantów. Nie oni je jednak zbudowali i nie dla swego kultu, a katolicy. Wtedy to w świątyniach tych tętniło życie, był ruch, co dzień rozbrzmiewała tam chwała Boża, składano bezkrwawą ofiarę Mszy św., wznosiły się modły do Boga, Stwórcy wszechrzeczy. Oko zachwycały artystyczne malowidła i cenna bogata polichromia, podnosząc zarazem ducha. Piękne obrazy wzbudzały do pobożnych efektów. Bogato i artystycznie rzeźbione i zdobne

ołtarze przykuwały ducha, a przede wszystkim to, co stanowiło niepr[illegible] atrakcyjną, to ten ołtarz, przed którym paliło się wieczne lampa, wskazując,że tam sam Bóg,choć ukryty, lecz prawdziwy, A co z tego wszystkiego uczynili protestanci ? Otóż aby zatrzeć wszelkie ślady katolickiego pochodzenia i katolickiego charakteru tych świątyń,ściany wszystkie pokryli tynkiem, pousuwali z ołtarzy wszelkie figury i ozdoby, ogołocili całą świątynię ze wszystkiego, co stanowiło jej urok i piękno, pozostawiając ją goła i martwą. To też wionął z nich smutek,chłód,martwota,straszliwa monotonia.Pozostał, aby się tam wyraził, z nich martwy szkielet, ale wypędzono z nich ducha. Nie spotykało się też w nich nigdy kogoś zatopionego w modlitwie,pogrążonego w nabożnym skupieniu, a chyba, jeżeli się kogoś wogóle tam zastało, to tylko takiego, który z ciekawości tam przybył, aby obejrzeć sobie jej architektoniczne właściwości.Czyż protestantom, aby się tam raz w tygodniu,w niedzielę,zejść na modlitwę, na posłuchanie jakiejś nauki religijnej i prześpiewanie kilku nabożnych pieśni, były potrzebne są takie wspaniałe przybytki ? To samo zadanie spełniałyby zwyczajne, proste sale "bethaus". To też nam katolikom niezmiernie cieszyć się należy i Opatrzności z pełni serca dziękować należy, że przynajmniej znaczna część tych świątyń na ziemiach odzyskanych wróciła do właściwych,prawowitych rąk, które im przywróciły w całej pełni to wzniosłe posłannictwo, jakie Bóg Boży ma do spełnienia i jakie im przekazali ci, którzy je stawiali.

Nie zawsze jednak jechałem do Meklenburgii przez Chojnice - Berlin. Raz i drugi,kiedy miejscowość położona była bliżej na wschód, podróżowałem przez Szczecin. Że Gdańsk wróci do Polski, w to wierzyłem mocno, ale żeby to dawniej czysto słowiańskie, a wówczas tak doszczętnie [illegible] miasto mogło jeszcze być przywrócone Polsce, taka myśl ani nie mogła powstać wówczas w mojej głowie. To wówczas czysto niemieckie miasto, miało też spory procent ludności żydowskiej, choć wówczas żadnego rożnicowania pomiędzy jedną, a drugą narodowością nie było, wszak uchodzili oni za wiernych poddanych króla pruskiego i uchodzili tylko za Niemców. Posiadali w Szczecinie jak i gdzie indziej okazałą synagogę. Właśnie, kiedy tędy przechodziłem,tłumnie po-

śpieszyli do niej jej wyznawcy. Poszedłem i ja za nimi. Ciekawość mnie paliła, jak oni się tam zachowują, jak się modlą, jaką cześć oddają swemu Jehowie. Z góry zaznaczam, że byłem wielce zgorszony ich zachowaniem się w miejscu, dokąd przybyli, aby uczcić Boga i się do niego pomodlić. Ich zachowanie się w synagodze absolutnie nie różniło się od tego, jakie okazywali na ulicy, w miejscach publicznych, na rynku, na zwykłych zebraniach swoich ,jarmarkach. Swobodnie ze sobą rozprawiali, żywo gestykulowali, dowcipkowali, śmiali się. Przypomniały mi się wówczas czasy Chrystusowe, jakie podają nam pod tym względem Ewangeliści. Widocznie żydzi tak zachowywali się za czasów Chrystusa Pana i w świątyni jerozolimskiej, skoro ten cichy i łagodny Chrystus Pan zapłonął aż tak świętymoburzeniem, że ich stamtąd wypędził rzucając im w twarz słowa: "Napisano jest, iż mój dom jest domem modlitwy, a wyście go uczynili jaskinią zbójców". Na nabożeństwo złożyło się wygłoszenia nauki przez rabina, modlitwa i odśpiewanie jakiegoś psalmu. Przemówienie rabina było haniebne. Nie mówił oczywiście o Chrystusie, bo to słowo przekląć nie byłby wstanie, ale to, co głosił o Bogu i jego rządach nad światem i ludźmi, były tego rodzaju, że mógł je śmiało wygłosić i kapłan katolicki z ambony. Przypomniało mi się wówczas wyrażone przez Tertuliana zdanie, że każda dusza ludzka z natury swej jest chrześcijańska. Natomiast wśród obecnych nie widziałem żadnego skupienia, żadnej kornej, nabożnej postawy, jaka przystoi człowiekowi w stosunku do swego Stwórcy i Pana, zwłaszcza wtedy, kiedy pragnie oddać Mu swą cześć, uwielbienie i oddanie się Jemu. Jeden tydzień poświęciłem znów zwiedzeniu Berlina z jego zabytkami i osobliwościami. I tu nie mam zamiaru opisywać tego, co tam widziałem i oglądałem, głównie chodziło mi o zwiedzenie świątyń i muzeów. Zwłaszcza zależało mi na kościele św. Jadwigi /Hedwigskirche/, gdzie duszpasterzem był wspomniany już ks. Klock - Polak. W tym bowiem kościele gromadziła się berlińska Polonia. Ile razy wstąpiłem do tej świątyni, za każdym razem i o każdej porze zastawałem sporo wiernych, zatopionych w żarliwej modlitwie. Jakiż to jaskrawy kontrast z kompletną pustką w kościołach luterskich! Pewnego dnia idąc ulicą "Unter den Linden" widzę jakiś niezwykły pochód. Na czele kroczy orkiestra, jakoś dziwnie umundurо-

wana, grająca jakąś rzewną melodię - za orkiestrą kroczyło kilku na wzór wojskowy umundurowanym młodych mężczyzn i pełna grupa ludzi rozmaitego wieku i płci. Pytam pewnego przechodnia, co to za pochód. Odpowiada, że to jest "Heilsarmee", werbująca do swej organizacji upadłych moralnie ludzi, aby ich nawrócić. Zaciekawiło mnie to. Postanowiłem przy tej sposobności bliżej zapoznać się z działalnością tej organizacji. Szedłem, oczywiście nie w pochodzie, ale chodnikiem, aż wreszcie zatrzymali się przed pewnym gmachem i poczęli wkraczać do jego wnętrza. Poszedłem za nimi i niebawem znalazłem się wraz z nimi w obszernej sali. Było tam jakieś podium, w okół którego ustawili się ci umundurowani młodzi ludzie. Na podium wstąpił pewien młody, sympatyczny człowiek, umundurowany bo oznakami jakby oficerskimi. Był to naprawdę komendant tej grupy. Po przywitaniu obecnych polecił odśpiewać zebranym kilka krótkich, religijnych pieśni, którym częściowo wtórowała orkiestra. Potym ów oficer udał się na mównicę i wygłosił kazanie. "Jam jest P.Bóg twój. Nie będziesz miał żadnych cudzych bogów przedemną". Sympatyczna, miła, ujmująca twarz, jego dźwięczny, czuły głos, a przede wszystkim rzeczowa i na wskroś nie religijny ton ujęta treść naprawdę zrobiły głębokie wrażenie na słuchaczach. Po też zaraz po nim zgłaszali się do głosu, którzy mniej lub więcej udolnie wyrażali swoje szczęście spowodu porzucenia swego grzesznego, występnego, niemoralnego życia i wkroczenia na prawą, dobrą drogę, na drogę cnoty. Po nich zawezwał ów oficer, by ci, którzy chcą pójść za ich przykładem, przystąpili do podium, na którym usiadł, wyznali przed nim po cichu swe winy i upadki i przyrzekli poprawę, a następnie przystąpili do ich organizacji. I w rzeczy samej kilku obecnych to uczyniło. Czy to jednak uczynili z własnego popędu, pod wrażeniem śpiewu, muzyki i przemówienia, czy też to był z góry umówiony pokaz, aby innych do tego zachęcić, trudno wiedzieć. Zważywszy wytknięty cel, podciągnięcia z niemoralnego błędu i upadku wykolejone jednostki oraz teatralnego jej charakteru, uważać by można działalność tej organizacji za pożyteczną. Ale czy była i jest ona wogóle potrzebna ? Wszak jest to

nieudolne kopiowanie tego, co w kościele katolickim jest w oryginale, w rzeczywistości,w prawdzie. Jest to poniekąd kopiowanie naszego Sakramentu Pokuty. Gdyby ci młodzi ludzie mieli ciągnąć do swej organizacji, która im dawać może tylko złudę duchowego odrodzenia i naprawy zła,poprowadzali do kościoła kat., do konfesjonału, to tam naprawdę uzyskali by zupełnego oczyszczenia ze swych brudów i grzechów i faktycznego odrodzenia się do nowego życia.

To powrocie.

Ciekawy eksperyment z kleptomańskim wyrostkiem.

Wróciwszy z Berlina zastaję u siebie jakąś matkę z chłopcem. Poznaję ją. Przecież to żona mleczarza Beni z Wentfin, z poprzedniej mojej parafii. Chłopiec może 10 lat liczący, piegowaty, rudowłosy, o niespokojnym spojrzeniu, wylękniony, a matka całkiem zapłakana, zrozpaczona. Co ich mogło tu dotąd przywieść ? Niebawem się sprawa wyjaśnia. Chłopak ten to całe ich nieszczęście, typowy kleptoman. Co popadnie, to wynosi z domu. Muszą wszystko przed nim zamykać na klucz. Ale co teraz dokonał, to już przechodzi wszelkie pojęcie, to już wprost nasza ruina, tłumaczy matka. Otóż mieliśmy u siebie ciężką,żelazną kasetkę do pieniędzy, w której przechowaliśmy całą naszą gotówkę. Przecież była ciężka, że ledwo ją uradzić było można, a jednak temu nicponiowi udało się ją wynieść.i gdzieś ukryć. I teraz ani dobrocią ani złością, ani prośbami i błaganiami,ani biciem choć jak najbardziej bolesnym,nie możemy go nakłonić, by się przyznał, gdzie ją podział. Bodaj by się pozwolił zabić, niż się przyznać. I tu nadchodzi pierwszy, trzeba dostawcom zapłacić za mleko,a my tu bez grosza w kieszeni. Nawet na tę podróż musiałam sobie pożyczyć pieniędzy. Męczyliśmy go prawie cały tydzień i bez skutku, przywiozłam go tu dotąd, może ks.wikary coś u niego wskóra. Wyraziłem moje zdziwienie,że akurat do mnie się z tym wybrała, oświadczyła mi jednak, że nie chciała się z tym udać do księży w Brzycimiu, żeby się to nie rozniosło między ludźmi, a ich tak wstyd, że to się u

nich wydarzyło. Żal mi się zrobiło tych nieszczęśliwych ludzi i postanowiłem uczynić, co tylko w mych siłach, by im dopomóc. Ale czy mi się to uda, skoro rodzice tego dokonać nie byli wstanie ? Poprosiłem matkę, by się przeszła po wiosce, a mnie zostawiła tylko z chłopcem samym. Rozpocząłem dobrocią, łagodnością, popieraną słodyczami. Nic. Na wszystkie moje zabiegi miał tylko jedną odpowiedź:"Nie wziąłem". Wtedy rozpocząłem z innej beczki. Rzuciłem się do niego ostro, najpierw słowami, a gdy to nie pomogło, chwyciłem za kij, przełożyłem go na krześle, najpierw łagodniej, a gdy i to nic pomogło skutki, coraz silniej go smagałem,aż się wił z bólu, ale pozostał przy swoim"Nie wziąłem". Doprawdy,że rozpacz mnie ogarnęła. Próżne byłyby podróż tej biednej matki i związane z nią nadzieje. Namyślam się i rozważam: Dobroć nie pomaga, bicie nie pomaga, no, co jeszcze pozostaje ? Strzeliła mi inna myśl do głowy. A nuż strach zrobi swoje ? W suficie był hak do wiszącej lampy. Miałem u siebie dość długą linkę. Biorę chłopaka pod rękę,trzymając linę w ręku i oświadczam mu z całą udaną stanowczością: "Ty łajdaku, nie wart jesteś,że żyjesz, że po tej ziemi chodzisz. Z ciebie nikt nic nie ma. Rodzicom, którzy cię żywią, przyodziewają i otaczają całą swą miłością, tylko łzy wyciskasz, życie zatruwasz.Nie po tobie ta ziemia na tym świecie.Ja ciebie powieszę. Patrz na tym haku tam u góry i na tej linie! Spojrzyj tu w okno ! Blisko jest cmentarz, a na nim świeżo wykopany grób, rzucę cię do niego,zasypię i nikt o tym się nie dowie, a rodzice twoi tylko mi wdzięczni będą, że się pozbędą takiego nicponia, jakim ty jesteś. Ale nim cię powieszę, uklęknij tam pod tym krzyżem i przeproś P.Boga za twe łajdactwa !". Spokojnie uklęknął, się przeżegnał i zmówił pacierz. "No, a teraz chodź,powieszę cię". Pozwolił sobie położyć pętlicę na szyję,przerzuciłem linkę przez hak i surowym odzywam się do głosem: "Chłopcze, po raz ostatni pytam,bo za chwilę już być nie będziesz,pytam się ciebie:"zrobiłeś to?". "Nie, nie zrobiłem", pada odpowiedź. Zaczynam pociągać za linkę.Pętlica zaciska się w koło szyi."Zrobiłeś to, powiedz,bo już za chwilkę mówić przestaniesz".Zanosząc się od płaczu jeszcze obstaje przy swoim, że tego nie zrobił.Dopiero, kiedy sznur już zaczynał coraz dotkliwiej wcinkać w

szyję, poczyna nagle na głos krzyczeć: "Niech ksiądz mnie puści, ja wszystko powiem". "To to gadaj, gałganie, co zrobił z tą kasetką, dokąd ją wyniosłeś?" "Tak, odpowiada, ja ją wziąłem, wyniosłem z domu i ukryłem tam i tam w polu, w życie". "Prawdę mówisz?" "Tak, odpowiada, mówię prawdę". Każę przywołać matkę. Pocieszam ją: "Pani, przyznał się". "Niedługo odchodzi pociąg, niech go pani zabierze do domu i przekona się, czy prawdę mówi. A jeżeli jeszcze kłamie, to niech mi go pani znów przyniesie, to ja z nim skończę raz na zawsze". Pojechali. Ale mnie ten eksperyment zdenerwował do ostateczności. Następnego dnia przyjechała matka, ale już tylko sama. Uspokojona, rozpromieniona serdecznie mi dziękowała, że ich z tak ciężkiej opresji wyzwoliłem. Kasetę odnaleźli, całą zawartość w niej. Ten wielce niesumienny eksperyment się więc udał, ale nie wiem, czy byłby on polecenia godnym w podobnym wypadku ze względów pedagogicznych.

Nie usłuchał życzliwej rady i dostał rozłożenia zmysłów.

I ten incydent, który opiszę, właściwie nic na nic wpólnego z wytyczną linią mego opisu, jednak tkwi on mi żywo w pamięci a jest również symptomatyczny dla ówczesnych stosunków. Właściwa działalność parcelacyjna ze strony polskiej na skutek uchwalenia ustawy osadniczej w sejmie pruskim, która nie dozwoliła na nabytych parcelach wybudowania domu mieszkalnego, co zmusiło Krzymałę, chłopa polskiego, do zamieszkania we wozie cygańskim, zostało sparaliżowane. Parcelować było można jedynie wśród adjecentów, którzy już mieli własne zabudowanie. W Tucholi zaistniała jakaś spółka parcelacyjna Scheffs i Comp. Scheffs był Polakiem, natomiast kompon jego był żydem. Spółka ta nie miała dobrej opinii w polskim społeczeństwie. Ta niby spółka nabyła z rąk niemieckich w parafii jeżewskiej majątek, o ile mnie pamięć nie myli, Taszewko, aby go rozparcelować między adjecentów. Ponieważ ludnion było wiadome, że się ich sprawami zajmuję, przychodzili do mnie prosząc o radę. Przestrzegałem ich przed tymi spólnikami, aby się mieli na baczności i nie dali się przez nich podejść. M.i. przyszedł też do mnie niejaki Adrych. Był to wielki poczciniec. Wzrostem swym

przerastał o całą głowę ogół, prawdziwa herkulesowa postać, na to twarz jego wyrażała dobroduszność, łagodność, dobroć, z uśmiechem na niej nieziemskiego dziecka. Miała coś rozbrajającego w sobie. To też o niego najbardziej bałem się, żeby go ci spekulanci aby nie nabrali. Wbijałem mu w głowę: "Panie Adrych, jeżeli ma pan sporą zaliczkę, to niech pan ją wpłaci, a resztę ceny kupna, to niech włożą panu na hypotekę na tę parcelę, ale nigdy niech aby pan nie pozwoli nią obciążać własnego gospodarstwa, bo jeżeli ta hipoteka spoczywać będzie tylko na tej parceli, to w razie niemożności jej spłaty pan ryzykuje tylko utratę tej zaliczki i parceli. A gdyby pan pozwolił obciążyć hipoteką swoje własne gospodarstwo, to mogłoby dojść do tego, żeby pan wszystko stracił. Przyrzekł mi mocno, że się do mojej rady zastosuje. Ale, kiedy się znalazł w ogłoszonym terminie tam na miejscu i ci szachraje od razu się na nim połapali, że to człowiek dobroduszny i niezaradny, wkręcili mu znacznie więcej jeszcze morgów niż on zamierzał nabyć i resztę ceny kupna, gość wygórowaną, obciążyli jego własne gospodarstwo i na domiar jeszcze z krótkim terminem jej spłaty. Zmartwiłem się nie mało, dowiedziawszy się o tym. No, ale już się stało. Stało się jednak jeszcze coś gorszego. Kiedy ten wielki poczciwiec i zarazem naiwski przyszedł do siebie i się trochę zreflektował, co uczynił, od razu dostał poniesienia zmysłów. Zaraz następnego dnia wychodząc po rannej Mszy św. z kościoła już w drzwiach widzę przed sobą Adrycha bez czapki, z rozwichrzonymi włosami i dzikim, obłąkanym wyrazem twarzy. Żywo gestykulując i gwałtownie wymachując swymi muskularnymi ramionami i zaciśniętymi pięściami, zobaczywszy mnie, rzuca się na ziemię i zaraz następnie zrywa się i coś bełkocze. Na ustach widzę pianę. Strach mnie obleciał. Przy mnie nie ma żywej duszy. A te jego pięści tylko tak latają w koło mej głowy. Jedno uderzenie, to po mnie. Idę naprzód, on się nie cofa, ale znów te same ruchy, rzucanie się na ziemię i ponowne zrywanie się i wywijanie rękoma nad moją głową. Żeby tak dostać się do plebanii, tam jednak są ludzie, nie będę sam. Wreszcie docieramy do plebanii. W jadalni jest Frl. Gerriechen. Skoro nas zobaczyła, z krzykiem zwiała. Na stole był zastaw na śniadanie.

Jak zaczął walić w stół, wszystko, co na nim stało, poprzewracał, potłukł. Na tę wrzawę jawi się proboszcz. Zauważywszy, co się dzieje, dał nura, pomknął do swego pokoju i zamknął się na klucz. A ja tu sam jeden z obłąkanym furiatem. Proponuję mu, żebyśmy razem poszli do jego domu. Zgadza się. Kiedyśmy wyszli na ulicę, chwyta mnie silnie za ramię i wrzeszczy: "A kto wikary ! żebyśmy tak galopem popędzili przez wieś". Fuknąłem na niego ostro: "Czy Adrych już zupełnie stracił rozum ? To ja, jako ksiądz będę z Adrychem jak wariat pędził po wsi? " Uspokoił się. Idziemy szkołę. Na widok jej ogarnia go znów szał. Przypomniało mu się, że kierownik szkoły, niejaki Gawrych, wielki pruski sługabista i renegat, silnie pobił jego córeczkę za to, że w szkole rozmawiała po polsku. Sprasza wszystkie diabły, plorany, armaty, kanony, bomby i granaty na szkołę i nauczyciela. Koniecznie szarpie i zrywa się, by się z nim porachować. Choć byn i nie był od tego, żeby temu pruskiemu sługalcowi dał posmakować, jak to dzieci boli, kiedy je katuje, co jednak obowiązek się, że, jeżeli on go w tym przypływie szału dopadnie, gotów mu podrazgotać kości i dla tego gwałtem go odciągnąłem, obiecując mu, że wracając z powrotem będzie mógł się z nim porachować. Poteriśmy wreszcie do jego mieszkania. Na jego widok dzieci z krzykiem pochowały się pod łóżka, a żona drżąc cała ze strachu, błagała mnie, bym zawiózł go jedną stacyę od Jeżewa, do Czerska świeckiego, gdzie mieszkają dwaj jego bracia. Proponuję Adrychowi to. Zgadza się. Idziemy razem na dworzec. Spotykamy po drodze ludzi, ale ci na widok jego furiackiego zachowania się, unikają nas. Pociąg na szczęście niebawem nadjeżdża. Siadamy do przedziału. A on wciąż tymi swymi herkulesowymi pięściami wali, gdzie popadnie. Cała moja sztuka manewrowania polegała na tym, by go nie dopuścić do okna, żeby nie zdrzazgotał szyb. Z ciągłym szarpaniu dojechałem z nim do Czerska świeckiego. Kiedy zobaczył brata swego, ryknął płaczem. Szepnąłem przy sposobności jego bratu do ucha: "Panie! Niech pan brata swego oprowadzi po gospodarstwie i zaprzątnie jego uwagę, a ja niepostrzeżenie wymknę się do przystanku, by wrócić do domu, a pociąg niebawem odchodzi." Kiedy już blisko dworca się znalazłem,

naraz słyszę za sobą przeraźliwe krzyki, obracam się i widzę pędzącego bez czapki za sobą Adrycha. "Ja tu nie zostanę, krzyczy na całe gardło, jeżeli ks.wikary odjedzie, to ja też". Musiałem z nim razem wrócić do zagrody. Niedaleko mieszkał ten drugi brat. Poszliśmy razem do niego. Myślę sobie: "Przecież w dwoje go chyba utrzymają." I tym razem upatrzywszy sobie chwilę, kiedy na mnie nie zwracał uwagi, znów się cichaczem wyślizgnąłem, spiesząc co tylko tchu na dworzec. I tym razem powtórzyła się ta sama scena. Obydwaj bracia nie byli w stanie go utrzymać. Wyrwał się z ich rąk i już był znów przy mnie na przystanku. Nie było rady, trzeba było znów wracać. Powiadam braciom, że nie pozostaje nic innego, jak zaprząc konie i odwieźć go do domu psychiatrycznego w Świeciu. Ale on ani rusz nie chciał wsiąść do powózki. Musiałem pierwszy usiąść, a on dopiero za mną. Podróż trwała przeszło dwie godziny. Podczas całej jazdy pięściami walił z całej siły w poręcz przedniego siedzenia, że ją zupełnie zdruzgotał. Dziwna rzecz. W normalnym wypadku człowiek taki pokaleczył by sobie ręce albo odbił ciało od kości. Jemu się nic nie stało. Czyżby w takim wypadku zwykłe prawa fizyczne działały inaczej? Chwilami wyrwał się też i chciał wyskoczyć z powózki. Błyskała mu coś świadomość, że wieziemy go do zakładu psychiatrycznego. Musiałem go stale uspakajać, zapewniając go, że jedziemy tylko do lekarza. Kiedy przybyliśmy do zakładu, oplótł mnie swymi herkulesowymi ramionami, że ledwo mi żeber nie połamał i począł krzyczeć z całej siły: "Ja tu nie zostanę. Kiedy ks.wikary ze mną zostanie, to ja też". Gwałtem mnie od niego oderwano. Wtedy lekarz zakładowy wziął mnie na stronę i powiada, oczywiście po niemiecku: "Niech ksiądz, jak tylko może, wyzwie go, to on zmięknie". Wtedy stanąłem naprzeciw niego i patrząc mu prosto w oczy, z udanym, na jaki się tylko zdobyłem, oburzeniem, odezwałem się do niego: "Panie Adrych, nie wiedziałem, że pan aż tak wielki bezbożnik. To ja, mając obowiązek odprawienia Mszy św., słuchania Spowiedzi i zaopatrywania chorych, podług pana mam tu zostać ? O, jaki z pana zły człowiek". I od

razu się rozpłakał jak małe dziecko i wtedy nałożono na kaftan bezpieczeństwa i go odprowadzono. I wtedy dopiero wróciliśmy do domu. Notabem aż do powrotu już wieczorem do siebie przez cały dzień nic w ustach nie miałem. Przeczuwałem się, że biedny ten człowiek, choć czasowo pozbawiony rozumu, instynktownie czuł wdzięczność dla mnie za życzliwą radę, jaką mu udzieliłem i dla tego tylko mnie ulegał. Pobyt jego w Dzięciu potrwał tylko 5 miesięcy, poczym wrócił uleczony do domu, a Bank Ludowy przejąwszy na siebie jego zobowiązania i podzieliwszy ich spłatę na dłuższe raty pozwolił mu wybrnąć z całej opresji. Po upływie kilku miesięcy, kiedy już nie byłem w Jeżewie, przybyłem na walne zebranie naszej spółdzielni kupieckiej "Konsum". Skoro mnie tylko zauważył w sali przeciskającego się na scenę, ryknął takim głosem płaczu, że aż wszyscy osłupieli. Tak bardzo się rozrzewnił i wzruszył na mój widok. Będąc już po II wojnie światowej w Jeżewie pragnąłem się z nim zobaczyć. Niestety, dowiedziałem się, że podczas pożaru spalił się.

Przygotowywanie do założenia spółdzielni kupieckiej "Konsum".

Po przełamaniu tych wszystkich przeszkód i stwarzanych wprost niesamowitych trudności Bank Ludowy nabrał teraz spokój. Tylko dla mnie spokoju nie było. Był to bowiem dopiero pierwszy etap mych zamierzeń. Ten Bank miał raczej stanowić przygotowanie do zlikwidowania tej daleko ważniejszej twierdzy niemieckiej, jakim był ów Warenhaus Comitzera. Zdawałem sobie przytym sprawę, że, jeżeli już założenie Banku tyle wrzawy narobiło i tak silny opór wywołało po stronie niemieckiej, cóż to dopiero się po tamtej stronie wytworzy, jeżeli się zorientują, o co dalej się rozchodzi ? A przy tym nie łudziłem się zgoła, że ja tu długo się jeszcze nie utrzymam. Wszak grunt stale mi się palił pod nogami. Trochę uspokajało moje obawy tym, że, skoro ks. Burtschik sam mnie uprosił w Pelplinie nie tylko ostrzeże ze strony gen. wikariusza Fiłkowo, to wstyd go będzie domagać się tak rychło mego przeniesienia, aby się nie spotkał z ironiczną jego uwagą "nasz przecież,

coś sam chciał". Prócz tego i na to jeszcze liczyłem, że miał we mnie właściwie takiego wikarego, jakiego sobie mógł tylko życzyć. Wszak ze wszystkiego byłem zadowolony, na nic nie narzekałem, od żadnej pracy się nie wymawiałem, a pracy w duszpasterstwie było dużo. Wszak jego praca na tym polu była bardzo mało wydajna. Ogromną większość penitentów musiał wysłuchiwać wikary, odwiedzanie chorych było wyłącznym zadaniem wikarego, taksamo przygotowywanie się dzieci do Sakramentów św. To też liczyłem na to, że nie tak łatwo przyjdzie mu rozstanie się ze mną. Że do tego jednak prędzej czy później dojdzie, tego byłem pewny. Chodziło mi tylko o to, by dokonać jeszcze tego drugiego etapu mych zamierzeń, a mianowicie utworzyć spółdzielnię "Konsum", jako taranu do rozbicia owej twierdzy niemiecko-żydowskiej t.j. Warenhausu braci Conitzerów. Zdawałem sobie atoli sprawę, że do tej rozgrywki trzeba się będzie dobrze przygotować.

Jak zostałem właścicielem nieruchomości?

W niedzielę Trójcy św. przypadł znów odpust w Jeżewie. Na odpust przybyli też moi dobrzy znajomi: ks. Drapiewski, wówczas kuratus w Swornegaciach, też nie mogący uzyskać żadnego probostwa, za czasów polskich proboszcz i dziekan w Nowej Cerkwi koło Pelplina i wikary Świeczkowski, za czasów polskich proboszcz w Czarzu. Obok domu towarowego Conitzera znajdował się szeroki plac, tak szeroki, że można było na nim postawić kilka zabudowań. Cały obszar wynosił 3 morgi. Stała na nim drewniana chata pod słomianym dachem oraz masywny chlewik. Właścicielką tej nieruchomości była niejaka Józefa Warmańska, stara już panna, kulawa, córka po zmarłym kierowniku szkoły, dla której ojciec nabył tę posiadłość jako zaopatrzenie dla niej. Ta nieruchomość bardzo byłaby na rękę Conitzerowi, dla lepszego rozpostarcia się. Wszak miał tak wielką różnorodność artykułów, że dusił się z nimi wprost w ramach swoich granic. Na tę nieruchomość patrzał pożądliwym okiem już od szeregu lat Conitzer, ale niemniej łakomie spozierałem i ja na nią. Dałoby mi to

wielce skuteczny atut w ręce. Straszeniem go bowiem,że obok ich domu my postawimy nasz własny dom towarowy, będzie można wywrzeć na nim skuteczny nacisk. Ale posiądzenie go wydawało mi się jak marzeniem ściętej głowy. Wszak w kieszeni miałem przysłowiowe płótno. Mimo to jednak ostróżnie, by nie wzbudzić podejrzenia plebanii, wszedłem w kontakt z p.Warmańską. Dowiedziałem się od niej, że Conitzer już od lat wprost nagabuje ją, by mu tę posiadłość odstąpiła, ale"ja przecież jako katoliczka,,żydom mego gruntu nie sprzedam." Stale podwyższają proponowaną cenę nabycia, aby mnie skusić."Ale to wszystko na próżno". "A ileż to pani ofiarują ?"pytam. "Już doszli do sumy 9 500 mrk.,ale ja za żadną cenę im nie sprzedam". "A Polakowi sprzedałaby pani ? " pytam. "Czemu nie, odpowiada, byle mi tyle zapłacił, co żyd, a był porządnym człowiekiem". Tyle, co się od niej dowiedziałem.

W dniu wymienionego odpustu ci dwaj moi przyjaciele po obiedzie przyszli do mnie na wikaryjkę na pogawędkę. Poprosiłem ich na przechadzkę przez wieś. Przedtym wyjawiłem im mój cały plan, a podczas przechadzki,wskazując na ten obszerny plac, tłumaczę im, że "gdybym ja miał ten plac w swoim ręku, to już prawie że miałbym pewność, że Conitzera z Jeżewa wykurzymy, ale cóż z tego, kiedy ja mam płótno w kieszeni". Pytają mnie:"Nic nie masz pieniędzy ? " Odpowiadam im,że może na opłatę kontraktu i opłacenie podatku od nabycia nieruchomości bym się zdobył, ale na nic więcej. "Dobrze, odpowiada ks.Drapiewski, ja mam w banku 3 000 mrk. oszczędności,ja je stamtąd odbiorę i tobie je przywiozę." Po nim zaraz odzywa się ks.Świeczkowski: " A ja mam 2 000 mrk.Ja ci je też przywiozę.Będziesz miał przeto razem 5 000 mrk.gotówki. Może ci się sprawa uda." I jeszcze w tym samym tygodniu 5 000 mrk. gotówki miałem u siebie. Ci kochani poczciwcy ani nie żądali odemnie żadnego kwitu, a tym mniej weksla. Dali mi całe swoje oszczędności wprost na słowo. Od razu wszedłem z p.Warmańską w pertraktacje. Od ceny nic opuścić nie chciała. Nie dziwiłem się temu. Natomiast zgodziła się na 5 000 mrk.wpłaty, a resztę pozostawiła na hipotece t.j. 4 500 mrk po 5 %. Teraz chodziło o transakcję notarialną. Adwokatem i notariuszem w Świeciu był niejaki Gertig,uchodzący za Polaka, choć był ożeniony z niemką luterką. Mu-

siałem i z tym wszystkim kryć się, bo, gdyby o tej zamierzonej transakcji coś zwąchała plebania, napewno wpłynęłaby na Warmańską, żeby od tego zamiaru odstąpiła. To też umówiłem się z notariuszem, by przyjechał dopiero wtedym, kiedy plebania już będzie pogrążona we śnie. Na szczęście wikaryjka była przybudówką do plebanii i miała osobne wejście. Notariusz przyjechał też dopiero o godz.10 wieczorem. Był to przecież czerwiec. Cały akt sprzedaży i kupna dokonał się między 10 a 12 w nocy. Dopiero po północy notariusz udał się najętą furmanką do świecia. W ten sposób stałem się właścicielem nieruchomości za cudze pieniądze. Czyż mogłem wówczas choć przez sen przypuścić, że to nabycie narazi mnie na długoletnie, materialnie mnie całkowicie rujnujące procesy, spowodowane wprost wściekłą nienawiścią niemieckiej kliki. Grunt jednak, że ów dom towarowy /Warenhaus Gebrüder Conitzer/ po trzech latach ciężkiej walki konkurencyjnej znalazł się już w naszych rękach. Ale o tym następnie.

Założenie "Konsumu".

Mając teraz taki atut w ręku, jak ów plac budowlany, przystąpiłem do dalszej akcji, a mianowicie do założenia spółdzielni "Konsum". I znów takie same poufne zebranie w dworze p.Liszkowskich jak przed założeniem Banku. O ile jednak przy zakładaniu Banku nie spotkałem się z żadnym sprzeciwem, to mój projekt o utworzenie Konsumu, jako konkurenta Conitzera natknął się z pewnej strony na zdecydowany opór. Po prostu pewnym panom w głowie pomieścić się nie chciało, żeby można wojnę konkurencyjną wygrać z takim potentatem jak Conitzer. Na czele tej opozycji stanął tak przezemnie poważany nestor, jak p.Erazm Parczewski z Belna. Wyrażając mi każdorazowo swe uznanie dla mego zapału, przestrzegał jednak przed mym projektem: "Ja szanuję zapał i poświęcenie tego młodego wikarego, tak wywodził, ale w tym wypadku ja ostrzegam stanowczo przed pójściem za jego namową. Zobaczycie panowie, on tu niczego nie dokaże, a ludzi narazi na straty, a nas na kompromitację. Bo jak można wogóle myśleć

o obaleniu takiego przedsiębiorstwa jak ten dom towarowy". I za każdym razem, kiedy już myślałem,że wszystkich zdołałem przekonać, on mi całą sprawę psuł. Nie mogąc sobie inaczej poradzić, uczyniłem im następującą propozycję: "Panowie, dajcie mi wolną rękę, abym mógł was przekonać,że sprawa się jednak uda.Załóżmy spółdzielnię tę w małym tylko zakresie. Z niewielką narazie tylko liczbą członków. Ja opracuję statut. Udziały będą małe, odpowiedzialność również taka sama, tak, że ryzyko każdego, który przystąpi do tej spółdzielni, będzie również skromne. A ja się obowiążę taką zwerbować ilość członków i taką wysokość udziałów, że starczy to na utworzenie sklepu. No,a jeżeli się nie uda, to zwrócimy tym ludziom pobrane udziały i wstępne i nikt nic nie straci. Na to się wszyscy zgodzili. Dla Banków Ludowych były już drukowane statuta. Tu ich nie było. Trzeba je było dopiero na podstawie ustawy o spółdzielniach opracować. Wstępne wyznaczyłem na 3 mrk.,udział na 10 mrk.,a odpowiedzialność za niego również tyle. Liczyłem na to, że znajdą się w parafii i tacy, którzy zadeklarują i więcej niż jeden udział. Czy jednak ktoś miał jeden czy więcej udziałów, przy głosowaniu miał tylko 1 głos. Chodziło mi o to,by to przedsiębiorstwo stało się własnością całej parafii,by każda rodzina w niej miała udział. Spółdzielnia miała nazwę: "Kupiec Consumverein B.g.m.b.H." z siedzibą w Jeżewie. Sąd tym razem nie stawił żadnych przeszkód. To też niebawem nadeszło doniesienie ze sądu o jej zarejestrowaniu. I nic, zdawało się, już nie stanie na przeszkodzie, by to zapoczątkowane nowe dzieło rozbudować dalej. Tymczasem atoli zaszło coś tak zgoła nieoczekiwanego, wprost potwornego, co moją całą uwagę zwrócić musiało siłą rzeczy,przynajmniej czasowo, w zupełnie innym kierunku, a mianowicie na sprawę nabytej przezemnie nieruchomości.

Nakaz przywrócenia zapomnianego już dawne poiska dla bydła. Pospolita szykana.

Kiedy nabyłem tę nieruchomość, domysłów było dużo, w jakim to celu uczyniłem, ale nikt właściwej przyczyny nie mógł odgadnąć. Dopiero, kiedy przystąpiłem jawnie do roz-

zmiejcia założonej spółdzielni, stało się jasnym, do jakiego celu służyć miała ta nieruchomość. To postawiło znów tę "zaczę" trójkę, na nogi: landrata, proboszcza i Conitzera, reprezentantów trzech wyznań, ewangelika, katolika, żyda. Suky narody, jakby nym zamiarom przeszkodzić. Zbadano kontrakt, czyby się nie udało go unieważnić. Ale był w porządku. Wtedy zwrócono się do urzędu katastralnego do t.zw. księgi wieczystej i napy katastralnej. I ostatecznie udało im się coś wykryć. A mianowicie stwierdzono, że bot przed bardzo dawnym czasem, za przysłowionego króla Świeska, na gruncie tym od strony Conitzerów było wgłębienie, do którego późną jesienią, zimą i wiosną spływała woda, gdzie pojono wtedy bydło. Od dziesiątek lat nie było już ani śladu o jakimś wgłębieniu, a tym mniej o jakimś poisku. Zresztą nie istniała już żadna potrzeba poiska, gdyż każda zagroda miała już swoją studnię lub pompę. Przez tego utworzenie takiego placu przy ulicy, przy której był obszerny plac jako wiejski rynek, stanowiłoby jego zupełne zeszpecenie. Ale tym panom, rzecz jasna, chodziło jedynie o pokrzyżowanie mych zamiarów. Prawdzie przez ochronnie mi tego czworoboku pozostałoby jeszcze tyle miejsca, by i tak postawić tam nawet obszerny gmach, ale w ten sposób całą wartość tej posiadłości, która już i tak była przepłacona, byłaby prawie że o połowę zmniejszona. Wydział powiatowy w Świeciu wezwał gminę w Jezewie, by zażądała rewindykacji tego poiska. Polacy w niej mieli jeden głos większości. Przy głosowaniu właśnie tym jednym głosem większości przeszedł wniosek wydziału powiatowego. A tym, który przechylił szalę na moją niekorzyść, był niejaki Gackowski. Był to średniorolny sąsiadujący z drugiej strony z domem towarowym Conitzera. To postąpienie ze strony właśnie tego Gackowskiego było dla mnie przykrą niespodzianką. Reszta i w tym roku miałem tym razem tylko 2 chłopców, których, mimo, że miałem mało czasu, z całym poświęceniem i zupełnie bezpłatnie, jak poprzednich, przygotowywałem do drugiej klasy gimnazjalnej. Jednym z nich był niejaki Kettyna, syn ubogiej wdowy, a drugi to właśnie syn owego Gackowskiego. Mimo, że ten ojciec odpłacił mi taką niewdzięcznością, nauki z nimi kontynuowałem dalej. A kiedy mi to zostało uniemożliwione, oddałem ich do li-

pionek, gdzie dla czworga dzieci lieszkowskich był nauczyciel domowy, niejaki stud.medecyny Marcinkowski, z prośbą, by nauczę z nimi dokończył, co się też stało. Jeden z nich w niepodległej już Polsce, Bettyna był kapitanem we wojsku polskim, a drugi inspektorem w dyrekcji poczt i telegrafów w Bydgoszczy. Ten Gackowski, ojciec, gorzko później opłakiwał swą odrazę.

Po tej ucieczce sołtys zaweswał mnie do zbarcenia ogrodzenia i oddania tego czworoboku na użytek gminy. Ja oczywiście nakazu nie spełniłem, a udałem się do adwokata w Grudziądzu. Biuro adwokackie w owym czasie w Grudziądzu prowadzili do spółki dwaj adwokaci, a mianowicie Laszewski, później pierwszy wojewoda pomorski oraz Graban, młody jeszcze obrońca, który jeszcze w młodym wieku zmarł. Miał on za żonę Polkę z b.konkrencówki, ale ewangelicznę, co budziło, jak mi mówił sam Grebarz, niemałą sensację. Polonia grudziądzka nie mogła wprost zrozumieć, że można być ewangelikiem, a również gorliwym Polakiem. Otóż do tego biura zwróciłem się z swoją sprawą. Odpowiedziano mi, że nie ma innej drogi wyjścia, jak wytoczenie gminie procesu. Nie tajono mi jednak, że proces ten będzie długotrwały i kosztowny, bo od sumy nabycia 9 500 mk. i dla tego skarga musi pójść odrazu do drugiej instancji, do Grudziądza. Kosztowny proces i długotrwały, to akurat nie moje skromne, wikariuszowskie dochody ! Adwokat Grebarz sięgnął po nowy kodeks cywilny, niemiecki, który wydany został w roku 1900. Według tegoż kodeksu wszelkie obciążenia i uprawnienia, ulegają przedawnieniu, o ile przez 30 lat od jego ogłoszenia, t. j. od roku 1960 nie były wykorzystywane. Na podstawie tegoż procesu jest wygrany, o ile będę mógł udowodnić, że polskie to od r.1960 nie było używane. Dałem mój podpis i zarazem Niemieckiej na wytoczenie skargi gminie jeżewskiej i wyleciałem ledwo z zakrystii. Zgłosiło się do mnie sporo starych ludzi, których podałem jako świadków, a którzy pod przysięgą zeznali na moją korzyść. Kiedy po przesłuchaniu podanych przeze mnie świadków zjawiłem się znów w biurze adwokackim, mec.Grebarz ścisnął mi rękę, gratulując mi, że proces w 100 procentach jest wygrany. Ale przedwcześnie się cieszyłem. Kiedy Niemcy otrzymali, że ich sprawa dla formalności

stoi, podali ze swej strony dwuch Niemców za świadków,nażonowych pijaków, którzy za kieliszek wódki do wszystkiego byli zdolni. Ci dwaj świadkowie zeznali pod przysięgą, że wprawdzie miejsce to było od dawna ogrodzone, ale czasami płot ten się obalił i wówczas pojono bydło, aż do postawienia nowego płotu. Nie było więc nieprzerwanego posiadania tego placu. Sąd przeszedł do porządku nad zeznaniami wszystkich moich licznych świadków, a dał wiarę owym dwom świadkom,notorycznym alkoholikom, moją skargę odrzucił i skazał mnie na zapłacenie wszystkich kosztów sądowych. Trwał on prawie trzy lata, zadłużył mnie na długi szereg lat.

Werbunek członków dla "Konsumu".

Wzniecona przeciw mnie heca poiskowa bynajmniej nie zahamowała dalszej akcji w celu zorganizowania "Konsumu". Kazałem wydrukować setki ulotek, wyjaśniających zasadę, ale i korzyści, jakie da "Konsum", a mianowicie, że przedsiębiorstwo to nie będzie własnością jednego człowieka, do którego kieszeni wpływać będą zyski, a wszystkich członków, pomiędzy których podzielony zostanie corocznie uzyskany czysty zysk w postaci dywidendy. Ulotki te poleciłem porozrzucać po całej parafii.Zaraz potym wybraliśmy się na werbowanie członków i zbieranie udziałów do poszczególnych miejscowości, a tych było aż koło 20, rozsianych na znacznej przestrzeni. Moimi nieodstępnymi towarzyszami byli: Chmielewski i Urbański, którzy kolejno się zmieniali. Pierwsza nasza i to zapowiedziana wyprawa była do Pięcimorgów, wioski, położnej wśród borów. Tu nas jednak spotkał zawód. Prawie w każdym domu spotkaliśmy same kobiety. Mężczyźni po większej części się ulotnili. Jednak mimo to udało nam się zebrać pewną ilość podpisów i udziałów,ponieważ w wielu domach kobiety okazały się odważniejszymi od mężczyzn. Dowiedziałem się później, co było powodem stchórzenia mężczyzn. Otóż żydzi napędzili im strachu, że z tarbani pójdą, jeżeli dadzą swój podpis. Przy tej pierwszej próbie przekonałem się, że niewłaściwą obrałem drogę, ogłaszając termin naszego przybycia. Odtąd zmieniliśmy nasz sposób werbunkowy. Obchodziliśmy bez poprzedniego zapowiedzenia,

zwykle wieczorem, kiedy ludzie po pracy zwykle już byli u siebie w domu, jedną miejscowość po drugiej. Mieliśmy ze sobą formularze przystąpienia jako członek, kwitariusze,no i worek do pieniędzy. Kto mógł, od razu płacił 3 mk. wstępnego i 10 mk. na udział, a kto nie miał,mógł je później wpłacić. Tak obeszliśmy w ciągu 2 miesięcy dom po domie i to tylko w wtorki, środy i czwartki. Inne dni bowiem były przeznaczone na Meklenburgię. Skoro się tylko rozeszło, że ten i ów, tamci i owi mieli odwagę przystąpić do spółdzielni, to już dalszy ciąg poszedł raźno naprzód. Rezultatem naszego werbunku było około 400 członków i około 30 000 mk.z udziałów.Ponieważ każdy członek odpowiedział jeszcze na tę samą kwotę, ile wynosił udział, więc mogliśmy na taką samą sumę zaciągnąć pożyczkę z Banku Ludowego. Mając do dyspozycji około 40 000 mk.gotówki,można było już z takim kapitałem coś rozpocząć.

Nowe uderzenie na mnie.
Zakaz wszelkiego nauczania.

Jak już poprzednio podałem i w tym roku przygotowywałem choć tym razem tylko 2 chłopców do drugiej klasy gimnazjalnej. Choć nadmiaru czasu nie miałem, jednak i te resztki czasu poświęciłem jak najchętniej tej,jak uważałem,wielce użytecznej sprawie. Nie mogłem przecież zgoła przypuścić, by to w czymkolwiek kolidować mogło z nauką szkolną. Nasz chłopcy uczęszczali regularnie na naukę szkolną, tylko w czasie wolnym od lekcji szkolnych, przychodzili do mnie na lekcje. Reszta prywatowałem to już czwarty rok i bez przeszkód. Aż tu naraz otrzymuję od nieopektoratu szkolnego przez landrata w Świeciu zakaz wszelkiego prywatnego nauczania powołujący się aż na jakieś rozporządzenia szkolne z lat 1800,1810 i t.d.i zagrożający mi 100 mk.grzywny za każdy przekraczający zakaz wypadek. Zaznaczam rzecz, że w tym zakazie wymieniono tylko jednego ucznia, a mianowicie Bettyny, nic wspomniano ani słowem o tym drugim, Gackowskim. Działo to widocznie związek z szachrajką, jaką zastosowano w stósunku do Gackowskiego,aby go skusić do sprzeniewierstwa. Natychmiast udałem się i w tej sprawie do moich adwokatów w Grudziądzu. Oświadczyli mi jednak, że w tej materii nic mi poradzić nie mogą, gdyż w Pru-

sach nie ma żadnej ustawy szkolnej, a są tylko t.zw.Schulverordnungen /rozporządzenia szkolne/ . Radzili mi, żeby się u jakiego nauczyciela o nie postarać. Pewien nauczyciel z okolicy Gąbrych pożyczył mi rzeczone rozporządzenia, które od a do z przestudiowałem, a było ich dość gruba księga,bo rozporządzenia szkolne od przeszło 100 lat i to, co wykryłem wskazywało raczej na całkowitą bezpodstawność takiego zakazu. I mianowicie znalazłem tam następujące rozporządzenie: "Geistliche sind für befähigt zu erachten Privatunterricht zu erteilen.Sie bedürfen dazu keiner besonderen Erlaubniss.Sie brauchen ihr Vorhaben nur der Ortsschulbehörde mitzuteilen" /duchowni są uważani za uzdolnionych do udzielania prywatnego nauczania. Nie potrzebuje do tego żadnego osobnego pozwolenia. Mają jedynie obowiązek donieść o zamiarze tym miejscowej władzy szkolnej/. Aha, pomyślałem sobie, to dla tego ten zakaz, ponieważ nie doniosłem o tym do inspektoratu szkolnego. Trzeba przeto to naprawić. Podaję więc do inspektoratu szkolnego doniesienie o mym zamiarze. W odpowiedzi na to otrzymuję mandat karny na 100 mrk. grzywy,wzgl. w razie niemożności zapłacenia na 10 dni aresztu. Co do licha,myślę,na jakiej tedy podstawie ten mandat ? Nie płacę grzywny, niech mnie zaaresztują ! To przynajmniej trochę hałasu po gazetach naszych narobi ! Natomiast odwołuję się do wyższej instancji, do rejencji w Kwidzynie. Ta jednak donosi, że mandat karny był słuszny jak również zakaz nauczania. Od tego orzeczenia zwracam się do ówczesnego ministra oświaty, takoż udaję się z tym do ks.prałata Stychla w Berlinie, który był prezesem polskiego koła sejmowego w Berlinie, prosząc go o interwencję w tej sprawie u ministra. Doradził mi odwrotnie,że u ministra nic wskórać nie mógł. W międzyczasie też otrzymuję z danego ministerium pismo następującej treści: "Nach Prüfung der Verhältnisse sind wir nicht in der Lage Ihrem Gesuch um Aufhebung des gegen Sie erlassenen Unterrichtsverbotes stattzugeben". To i podpis. Oryginały te, niestety, podczas okupacji zostały mi zniszczone, ale ocalał dosłowny odpis żaden z nich, oczywiście, że odtąd zaprzestać nauczania tych tyle zadowolenia mi dającej pracy, gdyż stale byłem inwigilowany, choć już byłem i w innych parafiach. Jako osobliwość podaję jeszcze, że nauczyciel ten,który mi

pożyczył owe rozporządzenia, miał z tego powodu dochodzenia w inspektoracie szkolnym. Denuncjonował go o to jego kolega. Chciałem jednak koniecznie dociec, na czym oni ten zakaz opierają, kiedy przecież powyżej przytoczone rozporządzenie księdzom na to pozwala. Przysiadłem jeszcze raz i zacząłem owe rozporządzenia wertować i przeglądać od deski do deski. I naraz wpadłem na to. A mianowicie gdzieś na marginesie drobniutkim drukiem pod rubryką: "Anmerkung" znalazłem następujący ustęp: "Geistliche, welche wegen Zugehörigkeit zu einer geheimen Verbindung vom Staatsdienst ausgeschlossen sind, dürfen keinen Privatunterricht erteilen". A więc w tym cały sęk. Skazanie na więzienie za przynależność do tajnej organizacji młodzieżowej "Filomatów". Tym samym jasnym mi się też stało, dla czego przed święceniami kazano mi podpisać rewers, w którym zrzekliśmy się rzec prawa do prowadzenia. Widocznie i piastowanie stanowiska proboszcza uważały władze pruskie za pewnego rodzaju "Staatsdienst" /za służbę państwową/. Sprawa z tym zakazem prywatnego nauczania dała mi poznać, z jaką nienawiścią odnosiły się odnośne czynniki niemieckie w stosunku do mnie. Nie na tym jednak jeszcze koniec. Pewnego dnia jestem w Grudziądzu. Przy tej sposobności wstąpiłem do mego mi dobrze znajomego konfrata, zdaje mi się, Kamińskiego, który był wikarym przy kościele św. Mikołaja. Zaraz po przywitaniu się ze mną przynosi mi pismo "Der Gesellige" najzacieklejszy organ hakatystyczny na pomorzu słowy: "Znów coś na w robocie. Przeczytaj!" Czytam. Korespondent ów ośmiesza moją działalność na terenie jeżewskim, jako że za mną idą tylko stare kobiety i niedoświadczone młode dziewczęta, że jednak poważni ludzie odemnie się zdala trzymają i mnie unikają. Ze końcowej jednak konkluzji wynikało, że autor bynajmniej tej mojej pracy sobie nie lekceważył, bo zwracając się do Biskupa, by mnie stamtąd zabrał, pisał dosłownie: "Der Oberhirte der Diözese Culm würde sich den Dank vieler deutscher Katholiken erwerben, wenn er diesen Hetzkaplan von hier fort nähme"/Arcypasterz diecezji chełmińskiej zdobył by sobie wdzięczność wielu niemieckich katolików, gdyby tego kapelana podszczuwaczka stąd zabrał/. To jedno słówko "Hetzkaplan" odrazu dało mi poznać autora tej paszkwilowej korespondencji. Ogólnie biorąc Niemcy

tytuowali ks.wikarego "Herr Vikar". A tylko w plebanii jeżewskiej proboszcz używał określenia "Herr Kaplan", no a jego siostrzyczka w swej "czułości" dla niego zdrobniale "Herr Kaplanchen". To też i ten donos o prywatne nauczanie mógł też tylko być dziełem plebanii. Oni w swym zaślepieniu już doprawdy nie wiedzieli, co czynili. Jednak ta przeciw mnie rozpętana nagonka nic dobrego dla mnie nie wróżyła. Przekonałem się niebawem o tym. Ksiądz Bartschik coraz częściej jakoś koleję wyjeżdżał. Od ludzi dowiadywałem się, że raz to wykupywał bilet do Pelplina, to znów do Chełmna, gdzie mieszkał brat ks.Biskupa. Raz pewnego, kiedy znów wybierał się w drogę do Pelplina, zapytałem go: "Po co to ks.proboszcz tak często jeździ do Pelplina? Czy ks.proboszcz chce kanonikiem zostać ?" Na co ks.B. bez zająknięcia,bez zakłopotania się, mi wytłumaczył swoje wyjazdy, rzekomymi względami na moją osobę. "Herr Kaplan, powiada, księdza denuncjonują u władzy biskupiej, a ja jadę do Biskupa, by księdza bronić". Jak ta obrona wyglądała w rzeczywistości, okazało się później w całej jaskrawości i podłości. Specjalną nienawiścią zapałała plebania jeżewska, a głównie Frl.Mariechen też ks.Liszkowskim. Podejrzewali ich bowiem, że oni to są inspiracją dla mnie w moich poczynaniach, kiedy w rzeczywistości było odwrotnie. To też i oni stali się przedmiotem zaciekłych ataków na łamach "Geselligera". A Frl.Mariechen dała dowód, do jak ej niepoczytalności zdolna doprowadzić taką przewrotną istotę, jak Frl.Mariechen, niepohamowana nienawiść. Otóż już w roku 1907 głośna była kwestia przygotowującej się ustawy o wywłaszczeniu. Myśl o tym wprowadzała Frl.Mariechen w prawdziwy zachwyt. Szczerując z radości ręce przepowiadała, że, skoro tylko taka ustawa zostanie uchwalona, to pierwszymi, którzy jej ulegną, będą Liszkowscy. Zgorszony tym zwróciłem się do niej: "I tego życzy sobie pani, siostra proboszcza pani ? Czy pani nie zdaje sobie sprawy, jaką szkodę by to przyniosło sprawie katolickiej ! Oprócz Liszkowskich znajduje się w ich posiadłościach 150 katolickich dusz. Ci wszyscy musieli by stamtąd uchodzić, a w ich miejsce sprowadzono by luterskich osadników. I tego sobie pani życzy ? Czy to nie wstyd pani ?" A ona mi na to cynicznie taką długą odpo-

wiedźi "Ach, nir sind ehrliche Protestanten lieber als solche Leute wie Lieskowski" /ach, mnie uczciwi protestanci są milsi, niż tacy ludzie jak Lieskowscy/. A Lieskowscy byli praktykującymi katolikami, ona, p.Lieskowska n.p. odświeżyła i odmalowała w kościele zabrudzone i zaśniedziałe ołtarze,ale byli przytym gorącymi patriotami polskimi. I to wystarczyło tej sfanatyzowanej kotiecie, by ich całą, ową, całą renegacką znienawidzić. I pomyśleć, że Lipienni rzeczywiście zostały jako pierwszy i jedyny przed I wojną światową majątek na Pomorzu wywłaszczone. A stało się to również i dzięki intrygom plebanii jeżewskiej.

Odpis.

Der Landrat. Schwetz, den 23 November 1907
I.- Nr.6308 K.-A.

Nach amtlicher Ermittelung haben die in den letzten Tagen trotz meines Verbots vom 21 September cr. Privatunterricht erteilt.

In Namen und Auftrage der Königlichen Regierung zu Marienwerder setze ich daher die Ihnen in der Verfügung vom 21.September cr. - No. 1146 - angedrohte Strafe von 100/Einhundert/ Mark, an deren Stelle im Falle Ihres Unvermögens eine Haftstrafe von 10 Tagen tritt, fest und ersuche Sie, den genannten Geldbetrag binnen 3 Tagen an die Königliche Kreis-Kasse hierselbst abzuführen.

Unter Bezugnahme auf die Verfügung vom 21 September cr. mache ich Sie ausdrücklich darauf aufmerksam, dass ich auch für jeden weiteren Uebertretungsfall - vor der Zustellung dieser Verfügung an gerechnet - weitere 100 Mark, ev.10 Tage Haft, festsetzen würde.

I.V.
podpis nieczytelny
Regierungs - Assessor

An
Herrn Vikar Dembinski
in
Jeschewo

Tłumaczenie.

Landrat Świecie, dnia 23 listopada 1907

I.-Nr.6308 N.T.

Podług urzędowego stwierdzenia ksiądz mimo mego zakazu udzielał nauki prywatnej.

W imieniu i z polecenia królewskiej rejencji w Kwidzynie nakładam na księdza w zarządzeniu z 21 września roku bież. Nr.1146 zagrożoną karę 100 mrk., w miejsce której w razie księdza niemożliwości następuje kara 10 dni aresztu i wzywam księdza, wymienioną kwotę w 3 dniach przekazać królewskiej kasie powiatowej tudotąd. Powołując się na rozporządzenie z dnia 21 września b.r. zwracam księdza uwagę wyraźnie na to, że także za każdy dalszy wypadek przestępczy - od dostawienia tego zarządzenia licząc, nastąpią dalsze kary 100 mrk.wzgl.10 dni aresztu.

wz.
podpis nieczytelny
rejencyjny asesor.

Do
Księdza wikarego Dembinskiego
w Jeżewie

Odpis.

Der Minister Berlin W.64 den 26.Februar 1908
der geistlichen Unterrichts-
und Medizinal-Angelegenheiten.
U III C. Nr.492

Auf die Eingabe vom 3 Januar dieses Jahres erwidere ich nach Prüfung der Angelegenheit, dass ich nicht in der Lage bin, Ihrem Gesuche um Aufhebung des von der Königlichen Regierung in Marienwerder gegen Sie erlassenen Unterrichtsverbotes stattzugeben.

Im Auftrage
podpis nieczytelny

An den
Vikar Herrn Josef Dembinski
Hochehrwürden
in
Lonzyn

Tłumaczenie.

Minister
spraw: nauczania duchownych i medycynalnych
U III C. Nr.492

Berlin W 64, dnia 26 lutego 1908

Na wniosek z 3 stycznia bieżącego roku odpowiadam po zbadaniu sprawy, że nie jestem w stanie, księdza wnioskowanie w sprawie zniesienia zarządzonego przez królewską rejencję w Kwidzynie zakazu nauczania, zadosyć uczynić.

Z polecenia
podpis nieczytelny

Do
księdza wikarego Józefa
Dembińskiego
w Łążynie

Otwarcie "Konsumu".

Po skończonej akcji werbunkowej zwołałem na naradę naszych wiarusów, przedstawiłem im rezultat naszego werbunku i zapytałem, czy wobec tego zgadzają się na otwarcie interesu. Wszyscy wyrazili swą zgodę, a nawet p.Parczewski już nie oponował. Teraz trzeba było już tylko to przygotować, co konieczne było do otwarcia interesu, Członkami zarządu spółdzielni byli ci sami, co i banku, a rada nadzorcza również składała się z tych samych członków. Wynajęliśmy lokal u p.Erdmańskiego, dość obszerny i wygodny. Potrzeba było wewnętrznego urządzenia. Na sam czas dowiedziałem się, że niejaki bławatnik Łaszewski w Chełmnie, nie mogąc podołać żydowskiej konkurencji, zwija swój sklep. Jadę tam dotąd i nabywam za 700 mrk. całe, jak nowe, piękne i praktyczne urządzenie sklepowe. Tak się jakoś szczęśliwie złożyło, że i kandydat na kierownika spółdzielni się zgłosił, a mianowicie niejaki Piechowski, brat ks.Piechowskiego, dobrze mi znanego. Był to wykwalifikowany kupiec, bławatnik, bardzo sympatyczny, młody czło-

wiek, taki, jakiego mu właśnie pragnęli. Otwarcie sklepu zaprojektowaliśmy na ostatnie dni października, kiedy już poczną wracać nasi sezonowcy ze zachodu na zimowy pobyt do ojczystych pieleszy. Po przybyciu kierownika zabraliśmy się do zamówień artykułów poszczególnych branż. Lokonywały się one w wikaryjce. Postanowiliśmy utrzymywać tylko trzy branże: towary łokciowe, konfekcję męską i damską oraz obuwie. Ciekawe, jak łatwo człowiek dostosować się umie do potrzeby. Nie trwało długo, a już zgrubsza zaznałem się z dziedziną kupiecką. Mogłem już z łatwością rozróżnić jakość towarów, wziąwszy go tylko w ręce, zapoznać się z kalkulacją kupiecką, z cenami i t.d. Firmy hurtowne odmówiły początkowo przysyłek zamówionych towarów, domagając się wpierw nadesłania gotówki. Była to prawdopodobnie machinacja Conitzera. Kiedy jednak na wszystkie zamówienia otrzymały już naprzód gotówkę, obrazu zmiękły, zarzucając nas wprost swymi ofertami. Kiedy już wszystko zostało należycie przygotowane, nastąpiło przejęcie dokonane poświęcenie lokalu, a następnie w dniu 27 października 1907 roku jego otwarcie. Tu się dopiero okazały dodatnie skutki przeprowadzonej propagandy informacyjnej w każdej rodzinie z osobna. Ludzie już widzieli, że to ich własna korzyść wymaga popierania takiej instytucji, która jest ich wspólną własnością. To też napływ klienteli był wielki, a dom towarowy Conitzerów świecił pustkami. Cały jego personel powchodził na płaski dach gmachu, aby patrzeć, co się dzieje. Wtedy rozpoczęła się podstępna walka konkurencyjna. Kupiec "Konsum" mógł załatwiać interesa między członkami. Conitzer nadsyłał więc swoich zaufanych, niecłonków, po zakup towarów w konsumie po to, aby móc następnie denuncjonować go u władz. Poza tym rzucali na sprzedaż t.zw. towary stałowe, jak tanie płótna, barchany, perkale i t.d. niżej ceny kupna. I na to była rada. Zorganizowaliśmy cały zespół również zaufanych, którzy te towary wykupywali i dostarczali spółdzielni, która je następnie klienteli po tej samej cenie oddawała. Atoli nie długo danym mi było cieszyć się powodzeniem naszego z takim trudem stworzonego przedsiębiorstwa. To, czego się od dawna już obawiałem, miało nastąpić rychlej, niż przewidywałem.

Moje przeniesienie i na dowiar dokad ?
Krokodyle łzy Frl. Mariechen.

Przy końcu października i z początkiem listopada masowo nasi sezonowi robotnicy wracali do domu. W związku z tym przychodzili oni również licznie do ~~spowiedzi~~ spowiedzi i komunii św. To też każdy dzień konfesjonał był wprost oblegany. Jak już podałem, główny ciężar spadał na wikarego. Nie pamiętam, czy to było 14 czy 15 listopada, po wysłuchaniu ostatniego penitente i wykomunikowaniu wysłuchanych, wracam do siebie i widzę urzędowy list z Pelplina. Już wiedziałem, co on oznacza. Otwieram go i stwierdzam ku memu największemu przerażeniu, że jako nową placówkę wyznaczono mi Łążyn, skurstnie Łążyn ! Wprost oszołomiony udaję się do plebanii na śniadanie i staję jak wryty. Frl. Mariechen cała tonie we łzach. Szlocha głośno. Pytam, co jej jest ? A ona szlochając tłumaczy mi, że to moje przeniesienie jest powodem jej łez. "I musiało do tego dojść, tak wywodziła, a ja tak często Herr Kaplanchen przestrzegałam, żeby dał spokój temu bankowi i temu kupcowi. Herr Kaplanchen mnie nie usłuchał. A memu bratu też tak bardzo żal, że się ma rozstać z Herr Kaplanchen, bo mój brat był z Herr Kaplanchen tak bardzo zadowolony, bo Herr Kaplanchen zawsze szedł bratu na rękę. A przecież mój brat tak często jeździł do Pelplina, aby Herr Kaplanchen brać w obronę. Ale niech Herr Kaplanchen jeszcze nie pokuje ! Mój brat podejmie jeszcze ostatni krok i pojedzie do Pelplina, by Herr Kaplanchen mógł jeszcze nadal tu pozostać". Na chwilę po prostu zgłupiałem. Ja ich tu posądzam, że to oni właśnie spowodowali to moje przeniesienie, a tu Frl. Mariechen wylewa autentyczne, rzęsiste łzy, zanosząc się wprost od płaczu z powodu mego przeniesienia, a ks. Kurtschik chce jeszcze poczynić starania u Władzy Biskupiej, by dekret ten cofnięto ! Już począłem sobie czynić wyrzuty, że ich niesłusznie posądzałem. I pomyśleć, że całe to zachowanie się Frl. Mariechen było jedynie dobrze wyreżyserowaną komedią, aby tylko nie dopuścić do posądzenia ich jako sprawców tej translokacji. To też Frl. Mariechen dość rychło przestała ronić krokodylowe łzy. A jej godny braciszek jakoś następnego dnia nie pojechał

do Pelplina, ale za to nasi ludzie widzieli go po południu w lokalu Wasikowskiego w towarzystwie Conitzera, gdzie we wesołym nastroju trącając sobie przyjaźnie kieliszkami widocznie oblewali odniesione nademną zwycięstwo. I zdawać się im naprawdę mogło, że mieli słuszny powód do radosnego zadowolenia. Teraz i Bank Ludowy i Konsum upadnie. Ks.B. jako obrońca zagrożonej niemczyzny znajdzie wdzięczne uznanie u rządu, który mu się odwdzięczy obdarzeniem go upragnionym probostwem w większym mieście, możliwie w Gdańsku, co było stałym marzeniem Frl. Mariechen, a Conitzer pozbędzie się swego natrętnego konkurenta. Ale, jak głosi nasze ludowe przysłowie, "człowiek strzela, a P.Bóg kule nosi". Przed opuszczeniem Jeżewa pojechałem z wizytą pożegnalną do mego przyjaciela, ks.Masłowskiego w Osiu, i do mego poprzedniego proboszcza, ks.Cyry w Brzezinie. Ten ostatni, kiedy opowiedziałem mu zachowanie się Frl.Mariechen, dał mi takie zupełnie trafne określenie ich osobowości: "U nich to tylko wszystko obłuda i fałsz. Nic im nie trzeba wierzyć".

Czemu właśnie do Łążyna ?

Łążyn to postrach nietylko młodych wikarych, ale już nawet kleryków w Seminarium Duchownym. Wszędzie indziej, tylko nie do Łążyna, taka była ogólna o tej placówce duszpasterskiej opinia. Powodem tego to to, że miejscowość ta była wówczas odcięta zupełnie od świata. Najbliższa stacja kolejowa, Chełmża, była odległa o 22 klm. W plebanii panowały stosunki nieznośne. Ówczesny proboszcz, schorowany staruszek, odnosił się z wielką zgryźliwością i podejrzliwością w stosunku do każdego wikarego. Nie znosił, żeby wikary gdziekolwiek się towarzysko udzielał w parafii. Podejrzewał go zaraz o knowanie przeciw niemu. To też wikary, nie chcąc się narażać proboszczowi, był skazany na cztery ściany plebanii, a tu panowała atmosfera ponura, chłodna i nieżyczliwa. Z tego powodu wikarzy, których tam dotąd władza biskupia posyłała, uważali to za przeniesienie karne i jak tylko mogli, stamtąd uciekali. Mój poprzednik

ks.Stanisław Hoffmann, który w odrodzonej Polsce jako proboszcz w Pińczynie okazał się wielce zasłużonym duszpasterzem i społecznikiem i został zamordowany przez hitlerowców, tam dostał pomięszania zmysłów i musiał zostać odstawiony do zakładu psychiatrycznego w Kocborowie, gdzie dopiero po pewnym czasie przyszedł do siebie. Tam dotąd uważała Władza Biskupia za stosowne mnie przenieść. Nim zapakowałem moje rzeczy, by je przewieźć koleją, a potym wozem do Łążyna, usiadłem i wystosowałem do generalnego wikariusza Lüdkego pismo następującej treści: "Moje przeniesienie do Łążyna uważać muszę jako karne. Ponieważ nie jestem świadom, jakobym w czymkolwiek uchybił moim obowiązkom kapłańskim lub mojej godności kapłańskiej, prosiłbym o łaskawe podanie mi, za jakie moje winy nastąpiło to przeniesienie tam dotąd. A może to moją ofiarną pracę społeczną dla gnębionego i nieszczęśliwego ludu polskiego poczytano mi za przestępstwo ?

Zaznaczam, że parafianie jeżewscy zaufawszy mi powierzyli mi poważne sumy dla zrealizowania dla ich dobra pewnych instytucji społecznych, które przez moje nagłe przeniesienie mogą być zagrożone. Jeżeli by to nastąpiło i ludzie by te pieniądze potracili, to oczywiście na pierwszym miejscu mnie będą za to przeklinać, ale zaraz następnie i Władzę Biskupią, że im tak pożyteczne dla parafii przedsięwzięcie przerwała".

Odpowiedź na to moje pismo otrzymałem już na nowej placówce, w Łążynie. Miało ono następujące dosłowne brzmienie: "Nach unserer Ermittelung wollen Sie ein guter Priester sein und sind es auch, aber die Gefahr zu sehr in weltlichen Dingen aufzugehenm lag al zu nahe und deshalb erfolgte die Versetzung, wobei nicht ausgeschlossen ist, Sie bei gegebener Gelegenheit auf eine andere Stelle zu versetzen". A więc według twierdzenia tego pisma "chciałem być dobrym kapłanem i byłem nim także, ale że mógłbym zanadto rozpłynąć się w rzeczach doczesnych , dla tego trzeba mnie było stamtąd usunąć." Może jednak płonne były te obawy ze strony generalnego wikariusza Lüdkego. Bezinteresowna, jedynie z czysto ideowych pobudek podejmowana praca dla wzniosłych celów, napewno nie wiedzie do zeświecczenia powołania kapłańskiego i też prawdopodobnie, gdyby ona odnosiła się

do Niemców katolików, nie spotkała by się z taką jej ujemną oceną, a może by mi nawet uznanie przyniosła, ale tu chodziło o ludność polską, więc praca dla niej nie była niczym innym w ich oczach jak tylko "uprawianiem wielkopolskiej agitacji". A na czyim to świadectwie opierała władza biskupia swoją opinię o mnie ?

Ks.prob.Burtschik w roli mego "obrońcy".

Jak już wspomniałem poprzednio, ks.Burtschik swoje częste wyjazdy do Pelplina tłumaczył potrzebą bronienia mnie przed władzą biskupią przeciw nachodzącym do niej denuncjacjom na mnie. Jakiego rodzaju jednak ta jego "obrona" była, okazało się później. Ks.Burtschik obawiał się, że moje przeniesienie z Jeżewa w danych okolicznościach nie minie bez echa, bez publicznego rozgłosu, a on panicznie bał się ataków ze strony prasy polskiej, więc czynił wszystko, co tylko mógł, aby czasem podejrzenie na niego nie padło, że on to spowodował. To też, kiedy ta translokacja rzeczywiście nastąpiła, rozgłaszał na wszystkie strony i pomiędzy swoimi konfratrami i w parafii, że on temu nie winien, gdyż on przeciwnie jeździł do Pelplina, do Biskupa, by mnie bronić, ale że Biskup stanowczo mu oświadczył: "Nein, der muss fort von dort". Widocznie wiadomość o tym dotarła i do takich księży, którzy nie znając ks.Burtschika bliżej, uwierzyli w tę jego gadaninę. Dnia 28.I. 1908 bowiem ukazały się w pelplińskim "Pielgrzymie" i w "Kurierze Poznańskim" równobrzmiące artykuły p.n.: "Kwestia socjalna, a nasza władza duchowna", w której autor skarży się na nierówne traktowanie wiernych Polaków, i Niemców odnośnie do udziału księży w dziele pracy społecznej w myśl encykliki Ojca św. Leona XXII Rerum Novarium, polecając księżom udział w tej pracy dla niemieckich kat. organizacji, a nieprzychylnie odnosząc się do polskich organizacji. Wyliczając kilka na to dowodów, jako piąty podaje sprawę jeżewską, pisząc dosłownie: " Najjaskrawszy fakt zaszedł niedawno. W Jeżewie założono "Bank Ludowy" i "Kupiec". Ówczesny tamtejszy wikary, ks.Dembieński, brał udział w jednym i drugim dziele. Ni stąd ni z owąd prze-

siedla władza biskupia tego przykładnego i gorliwego kapłana, wysyła do cichego zakątka, gdzie sprawom społecznym nie będzie się mógł poświęcać, gdzie nie może się stać, oczywiście w pojęciu rządu, niebezpiecznym. Szepcą sobie w diecezji, że to się stało na przedstawienia i zażalenie władzy świeckiej, że to się stało pomimo, że sam proboszcz się osobiście wstawił za swym wikarym. Odpowiedział mu biskup podobno krótko i wyraźnie: "Nein, der muss fort". Tak wyglądała sprawa, jak ją rozgłaszał ks. Bartschik. Jak ona była w rzeczywistości ? Kilka miesięcy później byłem w pewnej sprawie u ks. biskupa Rosentretera. Przy tej sposobności skarżył się do mnie ks. biskup, jak niesłusznie jego atakują polskie gazety, tak n.p. w sprawie księdza, zasmuczył. Przecież ja przeciw księdzu nic nie miałem. Ale ks. Bartschik tyle razy mnie nachodził, oskarżając księdza, że się zupełnie zaniedbuje w swych obowiązkach kapłańskich, że ksiądz poniża swą godność kapłańską, wywołując zgorszenie u parafian, gdyż sam staje "hinter den Laden, und verkauft alte Lumpen ! I dla tego księdza stąd musi pójść precz. I cóż ja mogłem wobec takich zarzutów innego uczynić, jak księdza stamtąd przenieść". Tak to wyglądała "obrona" mojej osoby ze strony ks. Bartschika ! Nie mogłem sobie jednak odmówić, by nie dać biskupowi odpowiedniego wyjaśnienia: "Bischöfliche Gnaden ! odpowiadam, ja z tymi artykułami, które się ukazały w prasie polskiej, nic nie mam wspólnego, ani nie znam ich autora. Jeżeli one się jednak w takim ujęciu ukazały, to sprawił to jedynie ks. Bartschik, który tak je wszędzie rozgłaszał, jak je gazety podały." Na to mocno zaskoczony ks. biskup się odzywa: "Aber das ist doch unmöglich. Das ist doch nicht wahr". Odpowiadam: "To jest nie tylko możliwe, ale tak jest w rzeczywistości. A taką samą "prawdę", jak on to przedstawił Bischöfliche Gnaden, taką samą "prawdę" jest i to, co on o mnie do Władzy biskupiej doniósł. Jest to wszystko wierutnym kłamstwem i podłym oszczerstwem. Ale, kontynuuję swoje, mam wielki żal do Władzy biskupiej. Każdemu winowajcy, a nawet największemu zbrodniarzowi, daje się możliwość obrony, jeżeli się go ma ukarać. A ja zostałem osądzony jedynie na podstawie oszczerstwa mego oskarżyciela. Na dowód, że to, co doniósł o mnie ks. Bartschik, jest wierutnym kłamstwem, mógłbym jako świadków podać całą jeżewską parafię".

Na to ks.Biskup nie mógł znaleźć innej odpowiedzi, jak tylko tę:"Ja,ja, calunmiarę audacter,semper aliquid haeret" /Oczerniaj odważnie, a zawsze coś pozostaje/. Jak w świetle tym wygląda sylwetka duchowa ks.Burtschika ? Aby siebie uchronić od odpowiedzialności w opinii publicznej za to, co on sam nabroił, wolał nią obciążyć swego biskupa. A komedia płaczącej niewiasty, jaką odegrała Frl.Mariechen, miała to samo na celu. Dopiero za czasów Polski przypadkiem tylko dowiedziałem się, skąd wyszła ta ówczesna korespondencja pelplińskiego "Pielgrzyma" i "Kuriera Poznańskiego". Opowiedział mi to ks.Firzyn, ówczesny proboszcz z Okonina pod Grudziądzem,że to on będąc wikariuszem tumskim w Pelplinie wraz z ówczesnym prof.Seminiarium Duchownecho, Ks.Dr.Czaplą, byli jej autorami.

Wyjazd z Jeżewa na nową placówkę.

Pilno mi było, żeby jak najrychlej wydostać się z tej nasiąkniętej obłudą i fałszem plebanii. Jednak taka translokacja już sama w sobie była pewnego rodzaju udręką i dotkliwym obciążeniem już i tak skromnego budżetu wikariuszowskiego. Władzę Biskupią taki dekret kosztował tylko 10 fenigów na opłatę poczty, ale zgoła inaczej miała się rzecz u wikarego. Tenże musiał pokrywać z własnej kieszeni koszty przeprowadzki. A były one nie tak znów nieznaczne. Nie dużo tego było, ale zawsze stół,kilka krzeseł, kanapa, biurko,pościel, łóżko, szafa do rzeczy, książki itd. A to wszystko trzeba było zabezpieczyć na transport kolejowy i top. Nabycie owej nieruchomości i zaliczki procesowe tak wypompowały mnie z gotówki, że z biedą tylko udało mi się zebrać potrzebną na przeprowadzkę gotówkę. Na parafian jeżewskich moje przeniesienie przygnębiające wywarło wrażenie. W moim przeniesieniu upatrywali oni dowód, że Władza Biskupia jest moim poczynaniom przeciwna, co wywołało u nich obawę o los powtorzonych spółdzielni. A nasi "przyjaciele" skwapliwie skorzystali z tego, by ludzi odpowiednio o nastraszyć i urobić, co zmusiło "Pielgrzym" w Pelplinie do wystąpienia przeciw tej wrogiej agitacji zapewnieniem, że ani Bank Ludowy ani Kupiec

Konsum bynajmniej nie upadną, a przeciwnie pomyślnie się będą dalej rozwijać i wezwał ludność do popierania tych wielce pożytecznych instytucji. Na wielce dziwaczny, ba śmieczny pomysł wpadła Frl.Mariechen, by mnie odstraszyć od przyjazdów do Jeżewa.

Mordercze plany Frl.Mariechen.

Frl.Mariechen, która przecież po nadejściu z Pełplina tak rzewnie opłakiwała rozstanie się ze mną, swój "przyjazny" sentyment zamieniła po mym wyjeździe na fanatyczną wprost nienawiść ku mnie. Chcąc mnie odstraszyć od tego, bym się nie odważył kiedykolwiek pokazywać w Jeżewie, rozgłaszała, pokazując przy tym autentyczny rewolwer w ręku na wszystkie strony, że bezlitośnie mnie zastrzeli, jeżeli mnie tu jeszcze raz w Jeżewie spotka. Naiwne to, a przytym na wskroś przewrotne stworzonko uroiło sobie w swej mózgownicy, że się tej morderczej pogróżki ulęknę i więcej do Jeżewa nie pokażę pozostawiając jej zacnemu braciszkowi i jego spółce wolne ręce. Ale jak to nieraz bywa, od pogróżki do jej wykonania to jeszcze długa droga. Frl. Mariechen miała sposobność spotkania mnie i po moim przeniesieniu do Łążyna co tydzień w Jeżewie, a bynajmniej swego morderczego zamiaru nie wykonała. Te niesamowite pogróżki Frl.Mariechen, tak szeroko przez nią kolportowane, rozeszły się daleko i szeroko i dały temat do rozmaitych dowcipów i złośliwych uwag pod jej adresem. I tak ks.Sychowski z Boleszyna na pytanie, czemu ona tego swego planu nie wykonała, odpowiedział, że dla tego, ponieważ nie miała pozwolenia na polowanie. Bardziej drastycznie wyjaśnił to mój dobry przyjaciel,ks.Masłowski, a mianowicie w ten sposób, że Frl.Mariechen razu pewnego, spotkawszy ks.D.w Jeżewie, chwyciła za rewolwer, aby go zastrzelić, ale nim tego zdołała dokonać, już wystrzeliło, ale nie z rewolweru, a u niej samej. Aby się uchronić w przyszłości od podobnych nie bardzo przyjemnych "wpadunków", zrezygnowała raz na zawsze z tego rodzaju zabójczych zamiarów. I w ten sposób ocalałem.

Na nowej placówce w Łążynie.

Spostrzeżenia moje, poczynione po moim przybyciu do Łążyna, potwierdziły to wszystko, co poprzednio o Łążynie słyszałem z opowiadań. Sam wygląd plebanii zaniedbanej, o częściowo opadłym tynku, wewnątrz również nieodnawianej, robił przygnębiające wrażenie. Proboszcz miał wygląd człowieka schorowanego, o wychudłej i pożółkłej twarzy, okazując się przy tym zgryźliwym, uszczypliwym,nade wszystko podejrzliwym. Miało to prawdopodobnie duży związek z jego chorobliwym stanem. W rozmowie z nim przekonałem się, że żaden z moich poprzedników nie był podług jego gustu. Owszem, o każdym wyrażał się ujemnie. Z tego wnioskowałem, że i ja w oczach jego łaski nie znajdę. Jak się później dowiedziałem, był on święcony poza granicami Prus, w Bawarii, jako, że święcenie jego przypadło na czas kulturkampfu, kiedy seminarium duchowne w Pelplinie było zamknięte. Musiał też odsługiwać wojskowość, gdzie się dorobił rangi oficerskiej. Nazywał się Szopieraj, czuł się Polakiem, ale po za tym, że mówił po polsku, żadnych ujawnień ducha polskiego, patriotycznego na zewnątrz nie okazywał. Wszelki ruch organizacyjny ze strony polskiej po za kościołem uważał za demoralizację ludu, buntowanie go. To też i to, co wyczytał o mnie w gazetach, nie bardzo znajdowało jego aprobatę. W kościele, notabene pięknym gotyku, dopiero coś w latach 1898/99 zbudowanym, upatrywał on jedyne pole działalności duszpasterskiej. Poza przepisanymi nabożeństwami w kościele, nie było jednak żadnych objawów życia religijnego, a broń Boże, żeby wikary chciał je w czymkolwiek ożywić. On sam, mimo swego złego stanu zdrowia, był czynny w kościele. Odprawiał na przemian sumę w niedzielę i święta lub wygłaszał kazania, na które się zawsze starannie przygotowywał. Słuchał też spowiedzi. Ponieważ parafia była nie wielka, liczyła około 1500 dusz, więc w tych warunkach pracy w kościele było nie dużo, tymbardziej, że praca duszpasterska nie była tak intenzywna jak obecnie. Do parafii jako filia należał kościół w Bierzgłowie, oddalony jednak tylko 2 klm.od Łążyna. Odprawiało się tam co niedzielę i święta również nabożeństwo, które mnie przypadało,

Kiedy po raz pierwszy przybyłem do zakrystii w Bierzgłowie, stanąłem jak wryty. Ten kościelny, usługujący przy ołtarzu i ubieraniu mnie do Mszy św., to wykapany Judasz, jakby żywcem wyjęty z ostatniej Wieczerzy Leonardo da Vinci, a był to, jak się dowiedziałem i sam przekonałem, najpoczciwszy człowiek w świecie.

W plebanii oprócz służącej jako gospodyni fungowało jakieś młode dziewczę, krewna ks.proboszcza. Była to prosta dziewczyna ze wsi. W plebanii więc nie było nikogo, z którym by można rozsądnie i poważnie porozmawiać. Ale i poza plebanią w parafii nie było domu, w którymby istniały warunki i atmosfera wzajemnego zrozumienia się i szczerej,otwartej wymiany myśli. Zresztą ks.proboszcz krzywym okiem patrzał na przestawianie wikarego w jakiejś rodzinie. Nie istniało w ten sposób żadne kontaktowanie się plebanii z parafianami poza kościołem. Sąsiednie parafie były dość odległe i proboszczami w nich byli starsi księża, z którymi trudno by było znaleźć młodemu księdzu i wspólny język i wzajemnie zrozumienie się. Pokój miałem na strychu, dość obszerny, ale strasznie zaniedbany, tapety wypłowiałe, archaiczne, miejscami odlazłe, podłoga dziurawa,okna pojedyncze,niedomykające, piec stary, kiepsko ogrzewający, wszystko to razem składało się na ponurą całość tego mego obecnego miejsca bytowania. Ale to jeszcze nie wszystko. Plebania stara,zbudowana była z gliny zmieszanej z plewami t zw.pacy., taksamo i wewnętrzne ściany mego wikariuszowskiego mieszkania. W tych ścianach potworzyły sobie myszy prawdziwe tunele, a zwłaszcza w nocy wyprawiały istne orgie gonitwowe,którym towarzyszyły niesamowite piski, co mi w nocy spać nie dawało. A rady na to żadnej nie było, bo, żeby je stamtąd powykurzać, trzebaby chyba te ściany porozwalać. Po tak ruchliwym i czynnym życiu w Jeżewie czułem się tu zupełnie osamotniony, opuszczony, jakoby we więzieniu prawie, co czasami doprowadzało mnie do prawdziwej depresji duchowej. A kiedy na domiar uprzytomniałem sobie, że tam rozgrywa się zawzięta walka w celu zniszczenia tych dwuch instytucji,co mogłoby doprowadzić do ich upadku, a ich członków, których do nich powciągałem, na poważne straty materialne narazic,to wprost rozpacz mnie ogarniała. Rzucałem się wtedy na łóżko, rzewnie

płacząc jak małe dziecko na postawienie mnie w takie położenie. Ale trwało to tylko chwile. Każdorazowo po takim załamaniu się psychicznym, zrywałem się na nogi i ślubowałem sobie, że nie dam upaść sprawie. Komunikacja kolejowa była jak najgorsza. Najbliższa stacja kolejowa była Chełmża, odległa przeszło 40 klm. Łążyn był wówczas naprawdę jak gdyby świat deskami zabity.

W Łążynie mieszkał niejaki Kosiński, starszy kawaler, posiadający kilka morgów ziemi, zgrabnego konika i powózkę, który mając mało roli chętnie dorabiał furmanieniem. Z nim od razu wszedłem w kontakt i zawarłem z nim umowę, że raz w tygodniu będzie mi dostarczał furmanki na stację kolejową i z powrotem. Oczywiście musiałem za te podróże płacić i to grubo płacić, wszak tracił ten człowiek cały dzień. Nie opłaciło mu się przecież na odległość 20 klm. tam i z powrotem dwukrotnie w jednym dniu tę samą podróż odbywać, bo stanowiłoby to razem 80 klm., więc pozostawał na stacji przez cały dzień. Opłaty te przewyższały właściwie moje możliwości finansowe. Miałem oczywiście prawo do zwrotu tych kosztów, ale w spółdzielni był każdy grosz potrzebny do walki konkurencyjnej, z tego powodu też i zarząd i rada nadzorcza pracowały bez wynagrodzenia. A ja również chciałem dać przykład poświęcania się dla dobrej sprawy. Rzecz zrozumiała, że dla mnie na własne potrzeby już nic a nic nie pozostawało, a miałem jeszcze przecież i ten proces jeżewski na karku. Korzystne dla mej sprawy było to, że parafia była niewielka. W powszednie dni nie było zwykle żadnego zajęcia. Była pora zimowa, nauki przygotowawczej do I.komunii św. nie było. Najwyżej mogło chodzić o zawezwanie do chorego, ale wyjeżdżałem każdorazowo rano po odprawionej Mszy św., a wracałem krótko przed 12 w nocy. Więc, jeżeli zgłoszono rano do chorego, to poprostu w tym dniu zaniechałem wyjazdu. To też odnośnie do tych wyjazdów nie spotykałem się z żadnym sprzeciwem ze strony proboszcza. O ile dojazd do kolei dla jej odległości był uciążliwy, sama komunikacja kolejowa do Jeżewa była bardzo dogodna. Tylko w tym bieda, że w ten sposób nie było czasu na posiłek. Czasami coprawda w Jeżewie poczęstowano mnie podwieczorkiem, ale często nie było na to

czasu, to też przestawać musiałem tylko na tym rannym plebańskim śniadaniu, a po powrocie koło północy całkiem wygłodniały i wyczerpany musiałem się kłaść do łóżka, ale przy tym każdorazowo pokrzepiony i pełen nadziei wracałem do domu. Sprawa nasza bowiem rozwijała się pomyślnie i rokowała jak najlepsze nadzieje. To doprowadzało naszych przeciwników z ks. Burtschikiem na czele do niepoczytalnych wprost wyczynów.

Wprost nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe.

Doprawdy, że trudne jest do uwierzenia, a jeszcze bardziej do wytłumaczenia stanowisko, jakie i nadal zajmowała plebania jeżewska w stosunku do naszych instytucji, a żydowskiego przedsiębiorstwa. Tu sami jego parafianie, katolicy, instytucje, które są wyłączną własnością parafian, zysk z tych przedsiębiorstw płynie do kieszeni wyłącznie parafian - tam sami żydzi, bogacący się krwawicą jego parafian, a ks. Burtschik jakie stanowisko zajmuje wobec jednej i drugiej strony ? Otóż ostentacyjnie bojkotuje Konsum, a jawnie popiera Conitzera i sam osobiście czyniąc tam swe zakupy, jako i cała plebania. Tak sobie znienawidził ten cały gmach, gdzie się znajdował Bank i Konsum, że z daleka go omijał, nawet za niegodne uznał, by pójść do niego z kolędą. I czyż ze strony tych instytucji ku niemu wychodziły jakieś urazy, jakaś wroga przeciw niemu agitacja ? Absolutnie nie. Zostawiano go w zupełnym spokoju. Powodem jego nienawiści ku nim mogło być jedynie to, że to były instytucje polskie, a tamta, choć żydowska, to jednak w każdym razie niemiecka. Parafianie, jak przystało na dobrych katolików, mimo wszystko szanowali jego godność kapłańską, ale zaufania i posłuchu poza kościołem absolutnie mu odmawiali. Jednak to, co powyżej podaję, blednie jeszcze zupełnie wobec dalszego jeszcze wyskoku pod tym względem. Mało, że sobie i plebanię oddał na usługi conitzerowskiej reklamy, to jeszcze i kościół postanowił do niej użyć. A mianowicie strzeliła jemu czy może Frl. Mariechen myśl do głowy, że, ponieważ kościół parafialny jest za ciasny dla tak znacznej liczby

dusz parafii, trzeba by pomyśleć o jego rozbudowie. Ta potrzeba oczywiście istniała już od długiego szeregu lat, znamienne wielce atoli jest, że dopiero obecnie on na ten pomysł wpadł. Bądź co bądź postanowił zbierać ofiary na rozbudowę kościoła. Przecież najwłaściwszym miejscem do zbierania takich ofiar mógł być kościół przez umieszczenie tam odpowiedniej skarbonki i plebania, gdzie parafianie najchętniej byliby składali swe ofiary na ten cel. Jednak taki sposób zbierania ofiar na powyższy cel nie był po myśli ks.Burtschika. On to inaczej urządził. A mianowicie sprowadził kilka skarbonek. Jedną umieścił w domu towarowym Conitzera, drugą u swego przyjaciela Wonsikowskiego, właściela restauracji, a trzecią u p.Boruckiej wdowy, która posiadała skromną oberżę z kolonialką i wyszynkiem i to ogłosił z ambony. Zgłosił się też o taką samą skarbonkę dyrektor Banku i kierownik Konsumu, ale spotkali się ze stanowczą odmową ze strony proboszcza. Na ich zapytanie, dla czego im odmawia, odpowiedzi nie otrzymali. I potym parafianie byli świadkami, jak w pewnych odstępach czasu publikował z ambony, ile złożono w każdym lokalu. Oczywiście u Conitzerów było zawsze najwięcej ofiar, tylko pytanie, kto je tam wkładał. Sprawa ta głośnym echem odbiła się w prasie polskiej. Ks.Burtschik atoli już tak dalece zabrnął w swych zapędach ratowania zagrożonej w parafii niemczyzny, że już zatracił zgoła wszelkie poczucie i zrozumienia dla tego, co się godzi, a co jest gorszące i zdrożne. Nic to jednak nie pomogło. Bank Ludowy według ogłoszonego bilansu miał już w pierwszym roku swego istnienia samych wkładów oszczędnościowych na kwotę 196.182,35 mrk., a w drugim roku wkładów 265.882,62 mrk., a członków 184 - a Konsum w drugim roku istnienia towarów sprzedał za przeszło 134.000 mrk., tak iż mógł udzielić członkom, których liczba wynosiła 722, 8% dywidendy, a przecież to była tylko wieś. A przy tym uwzględnić jeszcze trzeba, jaką wartość posiadała ówczesna marka niemiecka.

I w Łążynie znalazło się pole pracy społecznej. Założenie Towarzystwa Ludowego.

Byłem w Łążynie może około 2 tygodni. Razu pewnego,idąc nad wieczorem na przechadzkę, słyszę za sobą przyspieszone kroki. Odwracam się. Przedemną stają dwaj mężczyźni. Przedstawiają się. Jeden z nich to Liegmann, drugi Ziółkowski. "Co życzycie sobie panowie ? "pytam. "Księże wikary , brzmi odpowiedź, mamy wielką prośbę. Wszędzie indzie istnieją już towarzystwa polskie, a u nas wszystko śpi. Wyczytaliśmy w gazecie,że ks. wikary się takimi sprawami zajmuje.My chcieliśmy bardzo prosić ks.wikarego, by nam tu też założył Towarzystwo Ludowe". W odpowiedzi na ich prośbę zaznaczyłem, że ja chętnie podjąłbym się tej sprawy, obawiam się jednak, że doprowadzi to od razu do konfliktu z ks.proboszczem, a ja chciałbym tego uniknąć. Kiedy jednak nalegali dalej, że w ten sposób nigdy nie doczekają się tak przez wszystkich upragnionego towarzystwa, żal mi się ich zrobiło. Zaproponowałem im następujący sposób przystąpienia do sprawy:" Idźcie,panowie,do ks.proboszcza i oświadczcie mu, że cała parafia chce mieć jak gdzie indziej Towarzystwo Ludowe i poproście go, żeby on się tą sprawą zajął i się towarzystwem zaopiekował. Ks.proboszcz prawdopodobnie odmówi zastawiając się wiekiem i złym stanem zdrowia i odeśle was do mnie, będąc mocno przekonany,że ja z góry odmówię. bo dotąd żaden wikary się tego nie imał, nie chcąc w ten sposób zamknąć sobie drogi do probostwa". I tak się stało, jak przewidziałem. Ks.proboszcz tłumacząc się,że jest i stary i chory, polecił im:"Idźcie do ks.wikarego, on młody i zdrowy, jeżeli on się tego chce podjąć, ja nic nie mam przeciw temu". Na to tylko czekałem. Miałem teraz świadków na wyrażoną zgodę ze strony proboszcza. Obszerna salka była w oberży w Bierzgłowie, której właścicielem był Niemiec ewangelik, ale nie odmówił jej dla towarzystwa naszego. Niebawem przeto zaistniało Towarzystwo Ludowe, a niedługo potym Kółko Rolnicze. W parafii zrobił się ruch ożywiony. Jak pożądaną była przez ludność tamtejszą taka organizacja, dowodem tego, że liczba członków od razu przekroczyła liczbę 200, dochodząc później aż do 300, co dla tak niewielkiej parafii jak Łążyn stanowiło poważny procent. Było w obrębie parafii kilka majątków ziem-

skich w rękach niemieckich, ale robotnicy to oczywiście Polacy, a był to bodajże najbardziej patriotyczny i najbardziej pewny element. W miarę jednak, jak się rozwijało i rosło towarzystwo, zaczęła się, zdaje się, budzić zazdrość w sercu tego starca proboszcza. Choć zdala trzymał się od parafian, jednak widocznie zależało mu na tym, by tylko jego darzono przywiązaniem i miłością. A tu wszystko lgnęło do młodego wikarego, który zeszedł z tego olimpu plebańskiego i wszedł na niziny pomiędzy ludzi i z nimi razem się łączył. Trudno mu to było widocznie znieść, to też coraz częściej, zwłaszcza przy stole, zaczął mi czynić szereg zgryźliwych przycinków i ironicznych uwag. Mnie one mało obchodziły, jakoże kłócić się nie lubiłem, a nawet w Jeżewie, gdzie przecież doszło do tak wielkiego zaognienia, do kłótni pomiędzy nami nigdy nie doszło. To też nad tymi jego coraz częstszymi dogryzkami przechodziłem do porządku dziennego, ignorując je. A on widocznie wolałby się trochę wykłócić ze mną. To też pewnego razu, a było to przy obiedzie, kiedy znów wyjechał z swoimi zwykłymi drwinkami, a ja milczałem, taka go pasja ogarnęła, że zerwał się na nogi i pełen oburzenia oświadczył: "Ja z takim księdzem jak ks.wikary razem jeść nic nie będę". Odrzekłem mu tylko, że ja nie mam nic przeciw temu. I odtąd jadał u siebie w pokoju, a ja tam, gdzie dotąd.

W r.1908 przypadł jubileusz 50 lecia kapłanstwa Ojca św.Piusa X. Na dopełnienie warunków uzyskania odpustu zupełnego przeznaczony był cały rok. Wyznaczenie czasu ku temu zależało od ks.proboszcza, natomiast my na zebraniu Towarzystwa Ludowego przeznaczyliśmy na obchód pozakościelny ostatnią niedzielę maja. Uchwaliliśmy na ten obchód najpierw akademię uroczystą po nieszporach na sali w Bierzgłowie, a po niej pochód ze sztandarami papieskimi przez wioskę Łążyn na jakąś łączkę poza wioską. Kiedy ks.proboszcz dowiedział się o tym, na przekorę właśnie na ten sam czas zamówił w kościele dopełnienie warunków uzyskania odpustu jubileuszowego. Nasz pochód prowadził obok kościoła. Kiedyśmy się zbliżali do kościoła, przedstawił nam się groteskowy widok. Otóż na szosie stał z rozciągniętymi ramionami miejscowy organista, a zaraz za murem na cmentarzu kościelnym proboszcz. Organista zagradzał pochodowi dalszą drogę,

a proboszcz gromkim głosem nawoływał ludzi, by miast na zabawę przyszli na modlitwy do kościoła. Było to widowisko niebardzo budujące. Ludzie jednak znali swego proboszcza i tym się bynajmniej nie gorszyli. Przeciwnie, bawiło ich to. Wynik tej prawdziwej łapanki z góry był przesądzony. Proboszcz razem ze swym organistą ani jednej duszyczki nie złowili w zastawione sieci. Niektórzy wprawdzie uczynili proboszczowi do woli, weszli wprawdzie do kościoła jednymi drzwiami, ale drugiemi zaraz wyszli. Natomiast zabawa przy pięknej majowej pogodzie udała się doskonale. Ludzie przezemnie usilnie upomnieni, zachowali się wzorowo. Tylko jeden z uczestników, niejaki Kwiatkowski, znany nałogowiec, nieco sobie podpił. Bynajmniej się nie upił, jak to zwykle czynił przy każdej sposobności, bo poleciłem na niego specjalnie uważać, ale bądź co bądź się już nieco taczał. Uczestnicy tej imprezy byli bardzo zadowoleni, ba zachwyceni. To też przy zakończeniu w ostatnich przemówieniach nie mieli dość słów, aby mi wyrazić swą wdzięczność za taką imprezę, jaką pierwszy raz w życiu przeżywali. Jedyny proboszcz był pełen goryczy na mnie. Miał przecież dwa atuty przeciw mnie, pierwszy, że odwodzę ludzi od kościoła, a po drugie,że z mej przyczyny szerzy się pijaństwo w parafii. Dwa czy trzy dni po tym przypadła kongregacja dekanalna, według już utartej tradycji w Toruniu, a odległość z Łążyna do Torunia wynosiła 22 klm. Dojazd możliwy był jedynie wozem. Ks.proboszcz miał kryty,elegancki powóz i parę koników wyjazdowych. Dlapewności zapytałem ks.proboszcza, czy mnie zabierze ze sobą na kongregację. Otrzymałem taką samą jak wówczas odpowiedź:" Z takim księdzem jak ksiądz ja razem nie pojadę". I tak się stało, że pojechaliśmy coprawda obydwaj,ale oddzielnie, on jako proboszcz panskim powozem, a ja jako przystało na wikarego wynajętą i dobrze opłaconą jednokonką. W Toruniu, gdy księżom opowiedziałem o tym, ani się temu nie dziwili. Znali przecież dobrze ks.Szopieraja.Tylko że ks.Szopieraj tym razem nie bardzo wyszedł na tej swej podróży. Po odbytej konferencji w kościele odbył się wspólny obiad w restauracji Mazura. Na stole znalazły się niecodzienne specjały m.i. pieczone kurczęta,mizeria ogórkowa, no i szampan, który wówczas nie był drogi. Ks.Szopieraj nie mógł się mimo swego słabego żołądka oprzeć pokusie,

128

by też nie skosztować tych delicyj. Ale skutki nie dały na siebie długo czekać. Podczas, gdy ja moją jednokonką jeszcze chwilę za dnia wróciłem do domu, on dopiero późno w wieczór, gdyż powóz co chwila musiał się zatrzymywać po drodze. A po powrocie musiał jeszcze kilka dni przeleżeć w łóżku. Mógłbym był ten wypadek uważać za pewnego rodzaju karę za jego nieuczynność. Ale ja do niego głębszego żalu nie odczuwałem. Był to człowiek na wskroś schorowany,a stąd prawdopodobnie pochodziły głównie jego dziwactwa.

Nowe prawo o stowarzyszeniach/Reichsvereinsgesetz/.

Aż dotychczas, od kiedy założyliśmy Towarzystwo Ludowe, obowiązywało pruskie prawo o stowarzyszeniach. Na podstawie tego prawa jakiekolwiek bądź towarzystwo podlegało kontroli ze strony policji. Musieliśmy więc tolerować na każdym naszym zebraniu obecność pruskiego żandarma, który siedząc przy stoliku z ołówkiem w ręku i zeszytem na stole czynił ciągłe zapiski, notując każde wypowiedzenie, aby w razie jakiegoś nieprawomyślnego słowa moc zebranie rozwiązać albo mówcę podać do ukarania. W międzyczasie jednak w łonie niemieckiego społeczeństwa zrodziło się żądanie, by zaprowadzić dla całej Rzeszy Niemieckiej jednolite prawo stowarzyszeniowe oraz by je zliberalizować. A mianowicie zaistniał projekt, by stworzyć różnicę między publicznymi zebraniami, do których każdy miał dostęp, a zamkniętymi,w których uczestniczyli tylko członkowie jakiejś organizacji albo ograniczona liczba, zaproszonych przez zwołującego zebranie przewodniczącego. Te ostatnie zamknięte towarzystwa wolne miały być od wszelkiej kontroli policyjnej.Było to przeto dość znaczne zliberalizowanie dotychczasowej ustawy pruskiej. Ale przy tej sposobności rząd pruski chciał usmażyć swoją pieczeń antypolską.A mianowicie wysunął on projekt, zawierający zastrzeżenia, a raczej ograniczenia co do zebrań publicznych w tych powiatach,gdzie mieszkały mniejszości narodowe. Dotyczyło na zachodzie Niemiec Alzację,Lotaryngię, północny Schleswig Holstein, ale nade wszystko nasz b.zabór. Ostrze tego ograniczenia

skierowane było przede wszystkim przeciw ludności polskiej na wschodzie. W parlamencie rząd pruski większości dla polityki antypolskiej nie miał. Tó też parlament niemiecki nie był skłonny do uchwalenia takich ograniczeń. Ale rząd pruski stawił parlament przed taką alternatywą: albo uchwali on ustawę w projektowanym przez rząd brzmieniu, albo rząd wycofa cały projekt. Wtedy parlament ustąpił i uchwalił ustawę w brzmieniu projektowanym przez rząd. Otóż według tej ustawy tylko w tych powiatach i to jeszcze już tylko na okres lat 30 wolno odbywać było zebrania publiczne w języku ojczystym, które zamieszkane były przez conajmniej 60 % mniejszości narodowej. U nas na Pomorzu na 22 powiaty według statystyki pruskiej z ludnością polską przeszło 60 % było już tylko 6 powiatów, a mianowicie:

1/ lubawski z 80,1 %
2/ starogardzki z 72,6 %
3/ kartuski z 68,7 %
4/ pucki z 68,8 %
5/ brodnicki z 65,2 %
6/ tucholski z 63,8 %.

W reszcie powiatów zamknięto Polakom usta odnośnie do zebrań publicznych. Wyjątek tylko stanowiły okresy przedwyborcze, podczas których wolno było t.zw. mniejszościom obradować w ich języku ojczystym. O ile przeto ustawa ta była wielce niekorzystna dla nas Polaków odnośnie zebrań publicznych, to z drugiej strony odnośnie do t.zw. zamkniętych zebrań dawała sporo swobody,. Najgłówniejsza polegała na tym, że uwalniała te zebrania od wstrętnej kontroli żandarma pruskiego. Teraz przeto należało z konieczności punkt ciężkości z wieców publicznych przestawić na tworzenie jak największej liczby towarzystw polskich, by móc w nich jak najszersze koła społeczeństwa polskiego oświecać,uświadamiać i podtrzymywać ich ducha narodowego. Będąc jako opiekujący się Towarzystwem Ludowym zainteresowany w sposobie stosowania tej ustawy w praktyce, śledziłem w gazetach cały przebieg debaty w parlamencie niemieckim nad tą sprawą i dyskusji nad poszczególnymi paragrafami, byłem więc z całością dobrze obeznany i to wyszło na dobre naszemu towarzystwu. Ciekaw jednak byłem, jak policja się ustosunkowuje do tej ustawy.

123

Pierwsze zebranie po wejściu w życie nowej ustawy o stowarzyszeniach.

W przypadającą na miesięczne zebranie towarzystwa niedzielę po nieszporach wybrałem się do Bierzgłowa. Na pół drogi wychodzą mi naprzeciw ci dwaj panowie ze zarządu, Ziółkowski i Liegmann, wielce zakłopotani. "Księże wikary, witają mnie, będzie źle z nami, bo sam komisarz policyjny, Weigt z Torunia, przyjechał na nasze zebranie.Pewnie będzie nam chciał zebranie rozwiązać."Odpowiedziałem im,żeby się nie bali. Jeżeli się będzie trzymał prawa,to nam nic nie grozi." Przyszedłszy do lokalu przedstawiłem się jemu i zapytałem, w jakim celu tu przyszedł, kiedy chodzi tu przecież o zebranie zamknięte. W odpowiedzi sięga do kieszeni i pokazuje mi pismo landrata, upoważniające go do kontrolowania naszego zebrania. Oświadczam mu, że landrat nie jest ponad prawem, a pod prawem, tak samo jak i my. Odpowiada mi, że on zna swoje obowiązki i je wykona, a ksiądz niech robi,co uważa ze swej strony za właściwe. Wówczas zwołuję wszystkich do sali i po pozdrowieniu chrześcijańskim i zagajeniu,zaznaczam:"Tu przybył p.komisarz Weigt z Torunia z polecenia p.landrata, aby kontrolować nasze zebranie. Nie wierzą nam widocznie, że chodzi tu o zamknięte zebranie. Musimy więc temu p.komisarzowi udowodnić, że tak jest w rzeczywistości. Niech wszyscy zebrani tu pójdą na lewą stronę, a sekretarz będzie wywoływał każdego członka kolejno, a każdy wywołany ustawi się po prawej stronie sali. " Pozostało tylko dwuch czy trzech, którzy nie byli członkami. Zapytałem ich, po co tu przyszli. Odpowiedzieli, że chcą się też dać zapisać na członków. Zwracam się do zebranych, czy się na to godzą. Po wyrażeniu jednogłośnej zgody na to zwracam się z podniesionym głosem do komisarza w języku niemieckim oczywiście: "Herr Komissar, Sie haben sich überzeugt,dass hier eine geschlossene Versammlung ist. In Berufung auf § 7 des Reichsvereinsgesetzes fordere ich Sie deshalb auf das Lokal sofort zu verlassen". Chwilę stał jak wryty,namyślając się, wreszcie zebrał się do wyjścia.Temu wyjściu towarzyszyły jednak huczne oklaski. i głośne tupanie no-

gami ze strony zebranych. Widocznie ten sposób wyproszenia go ze sali silnie go podrażnił, bo wszedłszy spowrotem do lokalu restauracyjnego brał zaraz za kapelusz i płszcz szykując się do wyjścia. Kaczmarka przypomina mu, że przecież pozostawia na stole nie wypite piwo i nie dopalone cygaro. A on tylko machnąwszy ręką, z goryczą krzyknął: "Co też to teraz za głupie prawa, że nas z każdego zebrania wyrzucić mogą ci Polacy". Odtąd już ani p.komisarz ani żaden żandarm na naszym zebraniu się nie pokazał. Widocznie ten indydent jednak silnie utkwił w pamięci komisarza Weigta. Może rok później bowiem będąc na rocznym walnym zebraniu delegatów Towarzystw Ludowych w Tucholi jako delegat już nie Łążyna, ale Towarzystwa Ludowego w Mostach na wybrzeżu, natknąłem się na niego, kiedy przy wejściu do lokalu zebrania kontrolował legitymacje wchodzących delegatów. Zoczywszy mnie, odzywa się już z daleka:" A księdza to ja już dobrze znam. Ksiądz mnie wtedy wyrzucił ze sali. Ale to nic nie szkodzi, dla tego możemy pozostać dobrymi przyjaciółmi". Akurat, pomyślałem sobie, ty, renegatie i ja przyjaciółmi ! Weigt, jak mnie poinformowano, był poprzednio Polakiem i nazywał się Witkowski, później zmienił nazwisko i oddał się na usługi niemieckiej służby policyjnej. I stąd jego znajomość języka polskiego.

Kazanie o fałszywych prorokach ułatwiło moje przeniesienie.

A la longue mój pobyt w Łążynie był coraz trudniej do zniesieniam nie tyle z powodu panującej w plebanii atmosfery, bo tę byłbym jakoś znosił, ale głównie dla względów materialnych. Przecież te ciągłe wydatki na opłacanie już choćby tylko samych furmanek przechodziły moje możliwości płatnicze. Wprawdzie żal mi było pozostawić to tak bujnie rozwijające się Towarzystwo Ludowe, ale miałem nadzieję, że ono i po moim wyjeździe nie upadnie, ponieważ w dobrych znajduje się rękach. To też pragnąłem szczerze stamtąd się wydostać. Nie chciałem atoli sam się starać o swoje przeniesienie już choćby dla tego samego, że czułem żal do Wła-

dzy Biskupiej za tego rodzaju translokację. Myślałem poniekąd sposobem św.Pawła w Filipach:"Samiście mnie tu wtrącili, sami mnie stąd wyprowadzcie ". Rozważałem jednak nad poproszeniem Władzy Biskupiej o miesięczny urlop zdrowotny. Moje zdrowie bowiem zaczęło poważnie szwankować. W nocy nie mogłem sypiać, serce się rozklekotało, nerwy rozstroiły. Pojechałem oczywiście znów najętą furmanką do Dr.Swiniarskiego w Toruniu, który wystawił mi świadectwo:"Poważnie osłabienie mięśnia sercowego, ogólne wyczerpanie". Do urlopu skłaniał mnie jeszcze inny powód. A mianowicie w Osiu, sąsiedniej parafii Jeżewa, gdzie proboszczem był mój serdeczny przyjaciel,ks. Masłowski, był sklep z towarami łokciowymi i konfekcją na sprzedaż wraz z całą nieruchomością. Chodziło o to, by obiekt ten nie dostał się w obce ręce. Ks.Masłowski słał do mnie list po liście, żeby przybyć i z nim razem założyć taki Konsum jak w Jeżewie. Osie to jeszcze okazalsza miejscowość, niż Jeżewo. Liczyło przeszło 2000 mieszkańców, miało 2 lekarzy, jeden Polak, drugi Niemiec, aptekę,hotel i t.d. Postanowiłem tedy jedno z drugim połączyć. Czekałem tylko na to, aż do złożenia egzaminu proboszczowskiego. W lipcu odbywały się egzaminy proboszczowskie w Seminarium Duchownym w Pelplinie. Mnie właściwie ten egzamin potrzebny nie był, wszak widoków na uzyskanie probostwa nia miałem żadnych.Uważałem jednak za punkt honoru go złożyć. Egzamin ten pismienny i ustny trwał w tym roku od 21. do 24.lipca. Egzamin udał mi się dobrze. Był I klasy, a było ich aż trzy. Zadowolony wróciłem do domu. Była VII niedziela po Zielonych Świętach, podczas której czyta się Ewangelię św. o fałszywych prorokach, przed którymi przestrzega P.Jezus. Na mnie przypadała w tę niedzielę suma, na ks.proboszcza kazanie. Podczas kazanie sumista słuchał Spowiedzi. A właśnie w tę niedzielę już nie było więcej do słuchania Spowiedzi, mogłem się więc przysłuchiwać kazaniu. Omówiwszy naprzód prawdziwych i fałszywych proroków Starego Testamentu, czym się różnili i do jakich celów zmierzali, przeszedł kaznodzieja do proroków Nowego Testamentu i obecnych czasów:"I dziś, wywodził, mamy prawdziwych i fałszywych proroków. Prawdziwy prorok prowadzi ludzi do Boga, do kościoła, fałszywy odwodzi ich od kościoła, wiodąc na łąkę, na zabawę. Prawdziwy prorok nawo-

łuje ludzi do służby Bożej, fałszywy wiedzie ich do karczmy. Prawdziwy prorok głosi ludziom Słowo Boże, fałszywy natomiast popisuje się przed nimi swą światową mądrością.Prawdziwy prorok nawołuje ludzi i zachęca do trzeźwości,fałszywy prowadzi ich tamdotąd, gdzie mają okazję do pijaństwa. Wychodziłł więc z tych wywodów kaznodziejskich ten wniosek, że na ambonie stoi ten prawdziwy, a w konfesjonale ten fałszywy prorok. Tak też zrozumieli sens tego całego kazania wierni. Zwracając się bowiem w stronę konfesionału uśmiechali się. Choć mnie ten niesamowity występ ks.proboszcza najmniejszej nie przyniósł ujmy w oczach parafian,uważałem jednak za rzecz niebywałą, by jeden kapłan drugiego usiłował zniesławić publicznie na ambonie przed całą parafią. To też wróciwszy z kościoła do plebanii natychmiast wystosowałem pismo do Kurii Biskupiej, w którym opisawszy zajście, zaznaczyłem, że ks.Szopieraj przed całą parafią naraził mnie na zniesławienie, podkopując mój autorytet i podrywając zaufanie do mnie. Jezeli przeto w przyszłą niedzielę ja stanę na ambonie, zmuszony będę odpowiedzić na te obelżywe i ubliżające mej godności kapłańskiej wywody ks.prob.Szopieraja. Wolał bym jednak tego uniknąć dla dobra parafii i nie wywołania zgorszenia i dla tego proszę o natychmiastowe odwołanie mnie stąd oraz o udzielenie mi miesięcznego urlopu zdrowotnego na podstawie załączonego świadectwa lekarskiego. Ponieważ na przeprowadzenie kuracji nie posiadam żadnych środków pieniężnych, przeto proszę o udzielenie mi subwencji. Przy końcu zwróciłem uwagę władzy Biskupiej na tragiczne zajście z ~~xxxx~~ mym poprzednikiem, ks.Hoffmannem. Pismo moje pożądany odniosło skutek. Kiedy bowiem już w najbliższy piątek po nauce przygotowawczej do I komunii św. z kościoła wróciłem do plebanii, na stole leżał dekret Kurii Biskupiej,odwołujący mnie z Łążyna i udzielający mi miesięcznego urlopu, a wyznaczający mi na przeprowadzenie kuracji 100 mrk. biskupiej subwencji. Ks.Szopieraj,który od dłuższego już czasu się ze mną osobiście nie stykał, a wszystkie polecenia dawał mi za pośrednictwem organisty i tym razem kazał mi przez organistę powiedzić,że dostęp do ołtarza odtąd już mi jest wzbroniony. To też

Towarzystwa Ludowe straciły już dużo ze swego znaczenia, jakie miało za czasów zaborczych, to on swoje tak umiłowane towarzystwo utrzymać zdołał przy żywotności aż do drugiej wojny światowej. Choć od mego opuszczenia w r.1908 aż do roku 1938 nie miałem możliwości odwiedzenia Łążyna, w gazetach naszych wyczytywałem często o jego aktywności i żywotności. Przy obchodach uroczystościowych jak 20,i 25 lecia, wyczytywałem też i moje nazwisko.Na 25 lecie istnienia towarzystwa otrzymałem piękny dyplom, który był dla mnie miłą pamiątką. Będąc jeszcze w Łążynie przemyśliwałem,w czym by tej zacnej rodzinie przyjść z pomocą. Moją uwagę zwracali dwaj chłopcy, wydającymi mi się dość utalentowanymi. Wobec tego, że z powodu zakazu udzielania przezemnie i lekcji prywatnych ja dla nich nic uczynić nie mogłem,napisałem do mego proboszcza w Radomnie,ks.Batkego,tego wielkiego dobrodzieja, by umożliwił im kształcenie się ich w gimnazjum przez udzielanie im stałej subwencji pieniężnej, na co ten się też zgodził. Poszli więc do gimnazjum, jeden z nich studjował prawa i został później radcą w województwie, a jeszcze później starostą, a młodszy obrał karierę wojskową. Ten jednak rokujący tak wielkie nadzieje swymi wybitnymi zdolnościami, utonął przy kąpaniu w Wiśle. Ten drugi, Tadeusz, został po II wojnie światowej mianowany starostą powiatu starogardzkiego. Było dla mnie miłą nader niespodzianką, kiedy po powrocie z mojej tułaczki okupacyjnej, jako administrator parafii Osieczna mogłem go powitać u siebie w plebanii. W roku 1938 umarła żona p.Ziółkowskiego. Przed śmiercią wyraziła życzenie, bym ja ją pochował. Byłem wzruszony do głębi, że po 30 latach niewidzenia się, taką jeszcze zachowała dla mnie pamięć. Przy tej sposobności po 30 latach spotkałem się znów z całą rodziną Ziółkowskich i odwiedziłem Łążyn.

Odwrócona strona!

spieszno mi było, by się z tej niegościnnej plebanii czym prędzej wydostać. Natychmiast udałem się do mego stałego furmana Kosińskiego, aby tym razem przygotował mi nie powózkę, a prosty wóz deskowy, by mnie jeszcze dziś i moje wszystkie rzeczy przewieźć do Chełmży. Proboszcz, żeby się ze mną przy moim wyjeździe już więcej nie spotkał, zamknął się u siebie na klucz. Rzecz zrozumiała: przecież to "fałszywy prorok". Het po latach udało mi się już długo po jego śmierci w jego zapiskach brulionowych wyśledzić, jaką o mnie wydał opinię do Władzy Biskupiej. Brzmi ona w streszczeniu: "W mojej parafii był zupełny spokój, dopóki się ten wikary tu nie zjawił. Zaraz po jego przybyciu powstało Towarzystwo Ludowe w Bierzgłowie a zarazem po nim Kółko Rolnicze, co odwodziło ludzi od kościoła i przyczyniało się do szerzenia się pijaństwa. Aż dotąd miałem spokój ze strony policji, a teraz jestem śledzony przez nią na każdym kroku. Raczej wolę sam się tu męczyć w pracy duszpasterskiej, niż z takim wikarym współpracować". I co za fatum mnie prześladowało, że tak w Jeżewie, gdzie był proboszcz Niemiec, zburzyłem pokój i tu, gdzie przecież proboszczem był Polak również.

Prawdziwy Wiarus.

Wiarusami nazywaliśmy takich Polaków, którzy wierni byli Bogu i Ojczyźnie, łączyli w sobie szczerą, czynną, ofiarną, bezinteresowną miłość Bogu z miłością Ojczyzny, byli wiernymi synami kościoła i Polski. Takim mianem określiłbym nietylko samego Ziółkowskiego, ale i całą rodzinę. Ziółkowski był krawcem, posiadał własny dom mieszkalny, masywny. Miał przy tym skład towarów łokciowych dla ubrań męskich. Rodzina była dość dzietna, głęboko religijna. P. Ziółkowski, choć tylko z wykształceniem szkoły ludowej, był dość oczytany. Jego żywe przejęcie się sprawą, gorący patriotyzm i duch poświęcenia się dawały mi pewną gwarancję, że Towarzystwo Ludowe i po moim odejściu nie upadnie, a pod jego kierownictwem rozwijać się będzie nadal pomyślnie. I nie zawiodłem się. Ziółkowski, choć za czasów Polski

Prawdziwy Wiarus.

Miła niespodzianka.

Już w Łążynie słyszałem, że stosunek między ks.Szopierajem, a proboszczem i dziekanem w Chełmży, ks.Fryntkowskim, nie był dobry, a raczej nieprzyjazny. To właśnie mi wyszło na dobre. Kiedy mu przedstawiłem stan rzeczy zaznaczając,że chwilowo jestem bezdomny i to nie tylko ja, ale i całe moje urządzenie domowe, wyraził mi swoje serdecznie współczucie i zaofiarował mi gościnność w swoim domu tak długo, jak bym tylko zechciał oraz pomieszczenie dla moich mebli na tak długo, aż bym otrzymał nową posadę wikariuszowską. Pozostałem tam przez sobotę i niedzielę, aby w poniedziałek rano pojechać w odwiedziny do mojej matki i rodzeństwa na trzy dni, t.j.do Radomna. Odetchnąłem.Podczas mego krótkiego pobytu w Chełmży doznałem ze strony ks.dziekana Fryntkowskiego niemało względów i honorów. Przy stole sadzał mnie na pierwszym miejscu i dogadzał mi na każdym kroku. A kiedy opowiedziałem o tej naszej wyprawie w Łążynie na kongregację dekanalną do Torunia, na którą ks.Szopieraj odmówił mi miejsca w swym krytym powozie, ks.Fryntkowski oburzony oświadczył mi, że za to w poniedziałek nie pójdę piechotą na dworzec, a on mnie odwiezie tamdotąd swoim krytym powozem. Jednym z wikarych w Chełmży był mój kuzyn Leon Tychnowski, późniejszy proboszcz, dziekan i kanonik w Płowęczu koło Jabłonowa Pomorskiego. Aż dziw go brał na widok tak nadzwyczajnych względów, okazywanych mi przez ks.Fryntkowskiego."Wiesz, odzywa się do mnie, jeszcze żaden z tutejszych wikarych nie doznał od naszego proboszcza takich honorów jak ty. Aż ci zazdroszczę tego". Na co mu odpowiedziałem:"Mój Kochany ! daję ci dobrą radę. Wikariat w Łążynie jest wolny. Jedź do Pelplina i poproś,by cię tamdotąd posłano jako wikarego. Znieś tam te wszystkie udręki i poniżenia,jakich ja tam doznałem, daj się publicznie z ambony znieważyć, jak mnie to spotkało, a wreszcie daj sobie zamknąć dostęp do ołtarza, a potym wracaj tudotąd, to może i ty tu doznasz takiego szczęścia jak ja." Odpowiedział mi na to krótko:"Za tę radę ja ci dziękuję." Pozostałem w tej gościnnej plebanii przez sobotę i niedzielę,a ulokowawszy swoje

133

skromne umeblowanie i resztę rzeczy, w poniedziałek po odprawionej Mszy św. krytym powozem poparadowałem na stację kolejową i w drogę do rodzinnego gniazda.

Na urlopie zdrowotnym. Założenie filii Kupca-Konsum w Osiu. Znów denuncjacja.

W Sopocie posiadał nie dużą willę pod nazwą "Quo vadis" emeryt. sędzia Chmielewski i tam też utrzymywał pensjonat. U niego to ulokowałem się na czas mego miesięcznego urlopu. Oczywiście za te sto marek biskupiej subwencji musiałem się urządzić jak najskromniej. Ale bynajmniej nie chciałem całego czasu poświęcić na odpoczynek i leczenie. Drugą część czasu postanowiłem użyć na założenie Konsumu w Osiu, do czego mnie wzywał tak usilnie ks. prob. Masłowski, mój serdeczny przyjaciel. Sędzia Chmielewski, już wówczas po pięćdziesiątce życia, był gorliwym i wielce zasłużonym działaczem na niwie narodowej na tamtejszych terenach, podtrzymując polskość zwłaszcza w tak silnie zniemczonych wówczas miastach jak Sopot i Wejherowo. Jego to dziełem było istniejące w Sopocie Towarzystwo Ludowe, Bank Ludowy i towarzystwo "Sokół", a we Wejherowie "Bank Kaszubski", spółka handlowa "Merkur", gdzie też była dość obszerna sala do zebrań, prócz tego, wyszynk napojów o niskim procencie zawartości alkoholowej, na co nie było potrzeba specjalnego pozwolenia ze strony władz, którego na wysokoprocentowe polskie przedsiębiorstwo nie byłoby otrzymało pozwolenia. Czas podzieliłem następująco. W wtorki, środy, czwartki, piątki na Sopoty, soboty, niedziele i poniedziałki na Osie. Sobotę, niedzielę i częściowo poniedziałek poświęcaliśmy razem z proboszczem na objazd poszczególnych miejscowości parafii oskiej oraz werbowanie członków i kapitałów dla nowej spółdzielni. Akcja ta już nie odbywała się jak w Jeżewie pieszo, a wygodną powózką w parę koni. Udało się to bez wielkich przeszkód, nie tak jak w Jeżewie. Niebawem też nabyliśmy całą nieruchomość wraz z całym urządzeniem i zapasem towarów i przyłączyliśmy to przedsiębiorstwo nowe dla uproszczenia administracji jako filię Konsumu w Jeżewie. Oznaczało to znaczne wzmocnienie naszej

pozycji zarazem w Jeżewie. Nasz Konsum stał teraz na dwuch nogach i tym trudniej go było obalić. Oprócz naszego przedsiębiorstwa były jeszcze w Osiu dwa sklepy z towarami łokciowymi, konfekcją i obuwiem w rękach żydów. Ten jeden już po pół roku istnienia naszej spółdzielni zlikwidował swój interes i wyprowadził się stamtąd, ten drugi natomiast, Graff, bardziej zasobny i bogaty trzymał się jeszcze przez szereg lat, tymbardziej, że tak w wiosce jak i okolicy było sporo Niemców.

Jednak i ta akcja społeczna nie uszła mi całkiem płazem. Pewien czas już po upływie mego urlopu zawezwał mnie ks.Biskup do siebie i tymi przywitał mnie słowy: "Hören Sie mal, Herr Vikar, was machen Sie da wieder ? Uns wurde mitgeteilt, Sie hätten sich krank gestellt, Urlaub und Unterstützung von mir erbeten und anstatt sich zu kurieren, hätten Sie wieder für bischöftliches Geld gross polnische Agitation betrieben. Sagen Sie mal, wie war das eigentlich?" Na to odpowiedziałem ks.Biskupowi następująco: "Bischöfliche Gnaden ! Ja nie udawałem chorego, a byłem nim rzeczywiście. W tych warunkach, w jakich ja tam w Łążynie żyłem i każdy inny by się rozchorował. Dowodem chyba tragiczne wydarzenie z ks.Hoffmannem. Czas urlopu zużyłem naprawdę na kurację, mogę się wykazać w razie potrzeby świadectwem lekarskim i zakładu leczniczego. A jeżeli kilka dni z tego czasu poświęciłem dla sprawy w Osiu, to bynajmniej nie była to wielka polska agitacja, a dzieło czysto społeczne, nie mające nic wspólnego z polityką. Chodzi tu jedynie o to,by parafianie nie potrzebowali zaspakajać swych potrzeb u obcych, w ich kieszenie zostawiając swój ciężko zapracowany grosz, a w swym władnym przedsiębiorstwie". Na te moje wywody ks.Biskup nie dał żadnej odpowiedzi. A może w duszy swej przyznał mi i słuszność, tylko nie chciał tego dać poznać po sobie. Nie trudno chyba było się domyślić, skąd ta denuncjacja na mnie wyszła. Wszak Osie było sąsiednią parafią Jeżewa.

Kiedy kończyły się dni mego urlopu,niecierpliwie wyczekiwałem dekretu z Pelplina, dokąd mnie teraz Władza Biskupia pośle. Wreszcie przychodzi dekret,przeznaczający mnie na wikariat do Oksywia, nad wybrzeże morskie.Nieomal,że pod-

134

skoczyłem z radości. Morze to przecież już od dawna było moim marzeniem, nasze ukochane, polskie morze, które obecnie wraz z nami dźwiga kajdany niewoli.

W Oksywiu nad polskim morzem. Plebania.

Morze to przecież moje błogie marzenie. Nigdy go wszak nie wykreśliłem z moich rojeń na przyszłość. Było wszak polskie, polskim znów stać się musi. Już był wieczór, kiedy wozem jechałem z dworca w Gdyni do Oksywia. Topografia ówczesna na tym odcinku przedstawiała się zupełnie inaczej niż jest dzisiaj. Tam bowiem, gdzie dziś woda i port, była ziemia. Droga polna, wiodła z Gdyni do Oksywia blisko wybrzeża. Nie widziałem wśród ciemności morza, słyszałem tylko jego łagodny, jakby przyciszony szept. Dopiero w nocy zerwał się sztorm, a morze huczało tak silnie, że budziło mnie ze snu. W plebanii powitano mnie z wielką życzliwością, a nawet serdecznością. Cała atmosfera plebańska tchnęła pogodnym nastrojem i swojskością. Uczułem się od razu, jak bym po burzy dostał się do cichej przystani. Proboszcz, miły, sympatyczny staruszek, ujął mnie swoją bezpośrednością. Już od lat cierpiał na cukrzycę, mimo to bynajmniej nie stracił humoru i pogodnego umysłu. Do kompletu należała jeszcze znana powszechnie jako "Tolka", siostrzenica ks. proboszcza, Koszałka. Prowadziła gospodarstwo domowe. Pełna życia, ferworu, temperamentu, umiała nas wszystkich podtrzymywać stale przy dobrym, pogodnym nastroju. Do naszego zespołu plebańskiego należał jeszcze jej brat, Janek, który znów prowadził ks. proboszczowi gospodarstwo podwórzowe i polne. Był już żonaty i mieszkał poza plebanią, ale u siebie spędzał tylko noce, a w plebanii cały dzień. Ten znów wyrażał już swą miłą, sympatyczną, zawsze uśmiechniętą twarzą, spokojne, niczym nie zamącane usposobienie. Wszyscy razem stanowiliśmy doprawdy zgraną czwórkę. Zgraną nie tylko dla tego, żeśmy razem żyli w harmonijnej zgodzie, ale też i dla tego, że prawie co dzień, o ile był wolny, wieczorem po kolacji siadaliśmy w czwórkę do stołu, aby rozegrać kilka partyj skata. Była to jedynie rozrywka, na którą sobie

ten sędziwy proboszcz. powiedział Nigdy do tego nas nie zapraszał sam, ale każdorazowo, kiedy po kolacji, nie zaraz poszedł do siebie na spoczynek,a chodząc po pokoju zacierał ręce, wiedzieliśmy, czego sobie życzy. Natychmiast poszukaliśmy karty i siadaliśmy. Tak serdecznie życzyliśmy temu naszemu kochanemu gospodarzowi domu, tej niekosztownej rozrywki, ponieważ miał on naprawdę, niesamowite, koszmarne, tragiczne przeżycia poza sobą.

Ks.prob.Antoni Muchowski.powstaniec,męczennik.

Kim był i jakie przechodził koleje życia mój nowy proboszcz, dowiedziałem się dopiero na miejscu. A mianowicie, był to powstaniec z roku 1863, męczennik, który 5 lat jako katorżnik spędził na Sybirze, a po powrocie został kapłanem. Godzi się przeto temu pomorskiemu, a w szczególności kaszubskiemu bohaterowi narodowemu poświęcić choć krótkie tylko wspomnienie. Krótkie mogą być tylko te relacje, bo dokładniejszych informacyj o jego niesamowitych perypetiach życiowych nie można było uzyskać, ponieważ on sam o nich uporczywie milczał, tak iż o nich najbliższa nawet rodzina bardzo skąpe miała wiadomości. Ks.Antoni Muchowski urodził się w Foskucie w parafii Stara Kiszewa powiat starogardzki gdański w r.1842. Kiedy wybuchło powstanie w r.1863, a więc już jako młodzieniec 21 letni wraz z swym przyjacielem opuścił potajemnie gimnazjum w Chojnicach, jako uczeń 8 czy 9 klasy gimnazjalnej, aby przedrzeć się poza kordon do powstańców w b.kongresówce. W Chojnicach należał do tajnej organizacji Filomatów. W niej widocznie zapłonął takim duchem miłości Ojczyzny, tak samo jak i jego kolega, że postanowili swe młode życie poświęcić obronie Jej niepodległości. Zaraz atoli po przekroczeniu granicy w pierwszej potyczce dostali się w ręce kozaków i zostali skazani na śmierć przez powieszenie. Jako obcokrajowcom atoli zamieniono karę śmierci na dożywotne zesłanie na Sybir. Po okrutnej egzekucji nahajkowej, po której już niejeden padał trupem, zostali szupasem odstawieni na Sybir i posłani do jakiejś kopalni, gdzie w najtrudniejszych warunkach spędzili 5 lat.Odnośnie

ich powrotu stamtąd nam sprzeczne relacje. A mianowicie według opowiadań jego siostrzenicy i siostrzeńca i innych krewnych, udało im się po lodzie zbiec udając się przez rzekę Jenisej i następnie jako brodiagom /żebrakom/ po przez Sybir i całą Rosję dotrzeć pod Dobrzyniem do rzeki "Drwęca" i ukryć się w zaroślach. W nocy puścili się wpław, by przedostać się za granicę, gdy w tym kozacy, zasłyszawszy plusk wody, poczęli strzelać. Kula trafiła towarzysza wspólnej doli tak tragicznie, że został zabity i utonął. Ks.Machowski natomiast dostał się na drugi brzeg i ocalał. Inaczej atoli przedstawia sprawę w swej książce "Tilsanci" Kurnowski. Podług jego opisu uwolnienie nastąpiło na skutek interwencji posła do sejmu pruskiego Łaszewskiego, ówczesnego kanclerza Bismarka, który ze swej strony zwrócił się do rządu carskiego o zwolnienie zesłanych na Sybir Polaków z zaboru pruskiego. O towarzyszu ks.Machowskiego w książce tej nie ma żadnej wzmianki. A jednak to tragiczne wydarzenie z tym towarzyszem wspólnej niedoli opowiadali nie tylko ci plebańscy krewni, ale i dalsi jako zupełnie pewny fakt. Po powrocie do domu został ks.Machowski przyjęty do gimnazjum w Wejherowie, gdzie w roku 1871 zdał maturę. Nawet srogie mrozy sybirijskie nie zdołały jednak zamrozić w jego sercu płomiennej miłości Ojczyzny. W gimnazjum w Wejherowie założył bowiem tajną organizację młodzieżową, o czym sam ks.Machowski mi opowiadał. Sprawa się jednak wydała. Dyrektor zawezwał go do siebie i tu czyniąc mu zarzuty w te odezwał się do słowa: "Że pan zdolen był raz popełnić takie szaleństwo, i pójść na powstanie, to jeszcze mogę zrozumieć, ale że pan po tak okropnych przeżyciach jeszcze nie mógł się uspokoić, tego to już żadną miarą pojąć nie mogę". Jednak dyrektor ten o tyle był wyrozumiały, że całą sprawę zatuszował. Po maturze wstąpił ks.Machowski do Seminarium Duchownego w Pelplinie, gdzie w r.1875, a więc 24 roku życia otrzymał święcenie kapłańskie. Po krótkim wikariacie został proboszczem w Ostródzie, który wówczas jeszcze należało do diecezji Chełmińskiej, a od roku 1892 był proboszczem w Olsztynie. Dręczony nieustannymi okropnościami przeżyć, zdrowie i siły opuściły, że na olsztyńskiej placówce pracy społeczno-narodowej już się nie zajmował, w kościele olsztyńskim natomiast

jeszcze pracował gorliwie, odprawiając nabożeństwa i słuchając spowiedzi. Na więcej za tych czasów siły mu już nie pozwoliły. Umarł na początku lutego r.1915, prawie że u progu niepodległej Polski, dla której tyle wycierpiał. Spoczywa na cmentarzu oksywskim, gdzie już teraz polskie morze nuci na swym posłuchu nieustanną kołysankę do błogiego snu wiecznego. Wspomnienia tych okrutnych przeżyć były mu widocznie tak bolesne, że nie mógł się przezwyciężyć, aby o nich mówić. Jeżeli go ktoś o to prosił, od razu się zacinął i ani słowa nie można było od niego wydobyć. Rodacy, zwłaszcza z b.Kongresówki, którzy licznie przybywali nad nasze wybrzeże morskie, dowiedziawszy się o ks.Muchowskim, przybywali do plebanii m.i.Adolf Nowaczyński, aby hołd złożyć bohaterowi - męczennikowi. Każdego jednak odprawiał krótko i sucho. I ja, który go otaczałem największym szacunkiem i pietyzmem, nie mogłem się również od niego niczego dowiedzieć. A pytać go nie śmiałem, nie chcąc mu sprawić przykrości. Szkoda naprawdę wielka, że pamięć o swych męczeńsko - bohaterskich przeżyciach zabrał ze sobą do grobu.

Ks.Antoni Muchowski
powstaniec - męczennik.

Parafia oksywska.

Ten miły, ciepły klimat plebanii oraz czyste ożywcze powietrze morskie nader korzystnie podziałały na mój stan zdrowia. Nerwy się uspakajały, apetyt się wzmagał, zacząłem przybierać na wadze, cera nabrała czerstwości i zdrowego wyglądu. Kaszubi nie mogli się wprost nadziwić, że taka raptowna zmiana u mnie nastąpiła. Co rusz to ktoś mnie zatrzymywał z uwagą: "Kij jegomosc do nas przysół, to doch bel taci umiorty /chudy/, a teraz doch taci sety /tłusty/. Miałem tam wszak wszelkie wygody. Odżywianie było dobre, życzliwe twarze gospodarzy domu dodawały apetytu. Poza tym dowolne kąpiele morskie. Było też do dyspozycji plebańska gondola, która pozwalała zapuszczać się i kołysać na falach morskich. A samo morze ileż to uroku, czaru i nieustannych wariacyj dostarczało ! A jak sprytnie umiało się ono zawsze dostrajać do humoru nieba, wprost kokietując je. Pogodne, przezroczyste niebo i ono zaraz przymilnie się do niego uśmiecha.Posępnieje niebo i ono od razu poważnieje i staje się ponurym. Niebo zaciemia się, burzy się, rzuca gromami i ono zaczyna od razu pienić się, szastać,miotać się z wściekłości, szarpać na wszystkie strony. Ale nie zawsze tak bywa. Zalotne morze lubi się czasami przekomarzać swoim oblubieńcem, robić mu na przekór. Niebo ciche,pogodne, oblane blaskiem słonecznym, a morze zaczyna się nie stąd ni zowąd dąsać,miotać silnymi falami i białymi bryzgami plaży wodnej i odwrotnie.

Najmilszym dla mnie jednak zakątkiem był utworzony swego czasu wał ochronny przeciw podmywaniu przez fale morskie uprawnego gruntu. Był dość wysoki i szeroki, całkiem z cementu zbudowany, od którego wychodziły w morze długie kamienne łamacze fal.Najwspanialszy był dla mnie widok, kiedy wzburzone fale rzucały się z całą wściekłością i szalonym impetem i łoskotem na ten wał, a nie mogąc niczego dokonać, przynajmniej pianą swej złości wściekłej przepluwały przez hamulczą przeszkodę. Jakaś dziwna,jakby odurzająca błogość rozlewała się w duszy mojej, że mogę sam zupełnie bezpiecznie przechadzać po szerokim

grzbiecie wału wśród ryku i bezsilnej wściekłości morza i wchłaniać przy tym czyste, ozonowe powietrze i marzyć, tak marzyć o tej tak upragnionej gorąco przez nas wszystkich w przyszłości, kiedy te fale pruć będą polskie okręty, a na nich powiewać będzie polska bandera. Odniosłem tedy wrażenie, że to morze tak się szasta, rzuca, szaleje, ponieważ dźwiga kajdany niewoli i chce je rozerwać, a nie może, a uspokoi się dopiero, kiedy służyć będzie już swemu prawowitemu panu.

Na ten zakątek biegałem prawie co dzień, o ile mi tylko czas pozwalał. Tu się czułem najlepiej, najbardziej błogo. Pracy w duszpasterstwie było dużo. Parafia przecież liczyła przeszło 6000 dusz. Tam, gdzie dzisiaj istnieje 12 parafii, była tylko jedna parafia, oraz jedna filia - w Chylonii - Zrozumiałe, że parafia była rozwlekła i wielce rozprzestrzeniona. Do parafii oksywskiej należało 18 miejscowości, a do filii 3. Niektóre miejscowości były od kościoła do 12 klm. odległe. Praca duszpasterska nie była dla mnie żadnym ciężarem, przeciwnie stanowiła ona dla mnie podnietę, zadowolenie, radość. Dlatego jaknajchętniej byłbym w tak miłych, sprzyjających warunkach tu jak najdłużej pozostał. I Władze Biskupia byłaby mnie tu prawdopodobnie pozostawiła na długie lata, gdybym mógł był spokojnie i bezczynnie patrzeć na grożące niebezpieczeństwo germanizacji ludności kaszubskiej na tym tak arcyważnym odcinku nadbrzeżnym. A niebezpieczeństwo to ówczas było naprawdę groźne.

Niebezpieczeństwo germanizacji wybrzeża.

Dostęp przyszłej, niepodległej Polski do morza wydawał się nam już i w owych czasach za jeden z najżywotniejszych problemów. Stąd też i sprawa ludności, zamieszkałej na tym pasie nadmorskim, budzić musiała nie mniej żywe zainteresowanie. Przecież stała na straży tego dostępu do morza. A właśnie ta ludność kaszubska tu bardziej zagrożona była germanizacją, niż na innych obszarach b. zaboru pruskiego. Składało się na to dużo przyczyn. Niemczyzna wciskała się najrozmaitszymi szczelinami. Cz tak zniemczonych miast jak Sopoty, Gdańsk, gdzie dużo kaszubów znajdowało pracę, od

okrętów handlowych,wktórych znachodziła się dużo młodzieży kaszubskiej, od wojska, szkoły i t.d. Jedną z nich też to odrębność narzecza kaszubskiego, które wówczas jeszcze w społeczeństwie polskim nie znajdowało należytego zrozumienia, uznania i poszanowania, a co stanowiło pewnego rodzaju od osobnienie się ludności kaszubskiej od reszty społeczeństwa polskiego. W stykaniu się z ludnością polską, Kaszubi swą gwarą, często spotykali się też z pewnym lekceważeniem. Wszystkie pisma wychodzące tylko w języku polskim, nie tak łatwe były do zrozumienia, dla tych, którzy znali tylko swe narzecze. A przecież gazety polskie były głównymi krzewicielami uświadomienia i ducha narodowego. Brakło też na tych terenach księży patriotów, poświęcających się uświadamianiu narodowemu braci kaszubskiej. Jedynie w parafii Mechowa był taki proboszcz w osobie ks.Witkowskiego, którego też wdzięczna ludność obrała swym posłem do parlamentu niemieckiego. W Oksywiu ks.prob.Muchowski już sterany okropnymi przeżyciami i terany chroniczną chorobą nie miał już sił aby sprawie poza kościelnej poświęcać się. W Wejherowie był coprawda Polak proboszczem i dziekanem, ks.Walenty Dąbrowski, który, aczkolwiek wielce zasłużony jak kapłan gorliwy, od zajęcia się sprawą narodową trworzliwie się usuwał. Mawiano o nim, że posiadał on na pokaz aż trzy narodowości. Kiedy był w towarzystwie czysto polskim bijał się w piersi i zapewniał, że w jego piersiach bije gorące serce polskie. W towarzystwie mieszanym był już tylko "Kaszubą" /ein "Kaschube"/, a w czysto niemieckim "ein Pommerer", to też zwłaszcza w Wejherowie germanizacja robiła wielkie postępy. Wśród Polaków, działaczy świeckich wymienić należy wielce zasłużonego na terenie Sopotu i Wejherowa emeryt. sędziego Chmielewskiego, który naprawdę zasłużył sobie na to, by pamięć jego utrwaliła wdzięczna przede wszystkim ludność kaszubska w Sopocie i w Wejherowie, na terenie Gdańska, działali Czysewski, Pokorniewski i inni. Według statystyki z r.1908 powiat pucki liczył ludności polskiej jeszcze 68,6 % - ale na to składała się przede wszystkim wieś, podczas gdy samo miasto Puck wykazywało katolików Polaków 528, a Niemców katolików 1003. Wejherowo liczyło

Polaków katolików 2040, a Niemców katolików 3131. Sopot Polaków katolików 1225, a Niemców katolików 4568. Gdańsk liczył Polaków katolików 3873, a Niemców katolików 46 893. A kim byli ci Niemcy katolicy ? Ogromna ich większość to napewno zniemczeni kaszubi.Powiat gdański, wyżyny liczył już tylko 9,7 % Polaków. Tak straszne spustoszenia poczyniła germanizacja na terenach, przylegających do wybrzeża morskiego. A gdyby jeszcze choć ci, którzy według podanej statystyki podawali się za Polaków, byli pewni co do swej narodowości. Byli to atoli ludzie w znacznej części narodowo nieuświadomieni, na których też polegać nie było można. N.p.w takim Pucku narodowo uświadomionych kaszubów na palcach policzyć było można. Właśnie w tym czasie osiedlił się jako kupiec bławatnik, Antoni Miotk, gorliwy patriota, co budziło nadzieję, że obudzi on z letargu pogrożonego ducha narodowego wśród tamtejszej ludności kaszubskiej. Reda n.p. ludna wieś, mająca już wygląd małego miasta, a leżąca na szlaku Chylonia - Wejherowo, trzymała się co do polskości dość dobrze. Skoro atoli nastał tam jako proboszcz niejaki ks.Maćkowski, pochodzący z czysto polskiej rodziny z pod Koronowa nad Brdą, a który przebywając dłuższy czas jako wikary w Gdańsku, tam się zupełnie zgermanizował i założył tam wśród czysto kaszubskiej parafii rozmaite "Vereiny" /niemieckie towarzystwa/, parafianie w większości poszli za nim. W parafii oksywskiej był proboszczem Polak - bohater męczennik. Choć sam już nie mógł się zajmować działaniem w kierunku uświadamiania narodowego parafian, to jednak z tej plebanii promieniował na całą parafię żywy duch narodowy. A jednak i do tej parafii groźnie wciskała się germanizacja. Dokładny obraz o tym stanie rzeczy dała mi pierwsza kolęda, którą odprawiłem po Bożym Narodzeniu w tej parafii. Ks.prob.już nie kolędował, to też ja sam miałem sposobność odwiedzenia każdego domu, każdej rodziny i przekonania się, jak tam wyglądało, co się tam dzieje, jaki duch tam panuje. Przekonałem się, że, o ile stan religijno-moralny był zadawalający, z wyjątkiem pijaństwa, które dość było rozpowszechnione, wśród tamtejszej nadbrzeżnej ludności, to kwestia narodowa budzić musiała i na tamtym terenie poważny niepokój. Germanizacja szerzyła się groźnie. W takim Orłowie już tylko 2 rodziny życzyły sobie

odprawienia obrzędu kolędowego w języku polskim - reszta w niemieckim. W Gdyni sytuacja przedstawiała się lepiej, ale i tu było sporo małżeństw pod względem narodowościowym mieszane. Albo mąż mówił nietylko po niemiecku, albo żona, dzieci odmawiały pacierz już tylko po niemiecku. Były też i małżeństwa mieszane pod względem wyznania. Doświadczona to była wiosna, że ci, którzy się z lekkim sercem wyzbywali swej narodowości, a na pierwszym miejscu swej ojczystej mowy, łatwo też ulegali zmianie wiary. Mimochodem tylko zaznaczam, że Gdynia, która obecnie prezentuje się jako wcale pokaźne miasto, miało wówczas wstępów kolędowych 118, co wskazywało by na jakim 1000 dusz. Protestantów była tam szczupła garstka. Gazet polskich czy innych pism religijnych w języku polskim spotykałem rzadko, natomiast w większości domach znachodziły się niemieckie pisma, na pierwszym miejscu centrowa katolicka "Westpreussisches Volksblatt".

W Gdyni jedna z ulic nosi nazwę Józefa Abrahama. Tu bowiem on mieszkał. Tu jednak nad wybrzeżem ani ja ani mój następca, ks.Sell w latach 1908 - 1913 nie zetknęliśmy się z nim ani z jakąkolwiek działalnością jego na tym terenie. Pochodzi to stąd, że jego pole pracy i zajęcia znachodziło się gdzie indziej, a mianowicie w głębi terenu zamieszkałych przez ludność kaszubską. Był on bowiem tak zwanym mężem zaufania "Gazety Grudziądzkiej". Jego zadaniem było werbowanie abonentów dla niej. Przy odwiedzaniu poszczególnych mieszkań i rodzin miał on możność za pomocą ustnej propagandy wzbudzania uświadomienia, krzewienia ducha narodowego i umiłowania spraw ojczystych, z czego też wydatnie korzystał. W tym leży też główna jego zasługa. Do Gdyni przyjeżdżał on zwykle tylko na niedzielę i święta. Szerszego rozgłosu nabrała jego osoba dopiero, kiedy jako przedstawiciel Kaszubów pojechał na obrady pokojowe do Versailles, śmiało stanął przed obliczem tego wysokiego Areopagu, który wówczas rozstrzygał o losach pokoju i stanowczym głosem, któremu towarzyszyło silne uderzenie pięścią w stół, oświadczył, że Kaszubi są Polakami i nietylko chcą, ale muszą należeć do Polski, Ale wracając do przerwanego tematu odnośnie kolędy tak w Gdyni jak i w innych miejsco-

wościach parafii wracałem z nich każdorazowo w nastroju przygnębionym. Ale przecież nie ograniczałem się tylko do tych smutnych stwierdzeń, a szukałem środków zaradczych na te bolączki. Jakąś to dogodną sposobność ku temu dostarczało odwiedzanie domu po domie, stykanie się z każdą rodziną przy jej ognisku domowym. Korzystałem też z tego w całej pełni. To uświadamiałem, że Kaszubi to Polacy, to chwaliłem, jeżeli wiedziałem, że modlą się w ojczystym języku, czytają polskie pisma, to znów ganiłem, karciłem, gdzie widziałem zaniedbywanie się pod tym względem, przestrzegałem, że żadne dziecko nie zostanie przyjęte do I komunii św., które nie będzie umiało czytać po polsku, rozdawałem polskie elementarze, polecałem czytanie religijnych pism jak "Posłaniec Serca Jezusowego", "Głosy Polskie Katolickie" ,"Przewodnik Katolicki", które to dla parafian sprowadzałem, nakłaniałem usilnie na abonowanie polskich gazet. Że akcja ta nie była bezskuteczna, miałem możność przekonania się podczas następnej kolędy. Dawała mi ona już daleko jaśniejszy, bardziej pocieszający obraz. W większości domów widziałem już polskie gazety. Aby mi radość sprawić, wieszali je na podpadającym miejscu, oglądałem też po wykładane pisma religijne, dzieci z elementarzem w ręku zbliżali się do mnie, chwaląc się, że umiały już czytać po polsku. Z ust niejednego ojca słyszałem takie słowa: "Oj łatka wiema, czem my jesma, nie pozwolema naszym dzieciom modlic sa po niemecku".

Ale kolęda trwała tylko raz do roku. Za małą to, by skutecznie przeciwstawić się falom, stale narzucającej się niemczyzny i by uświadomić ludność, jak jej przeciw działać. Trzeba by tó i tu jak to i gdzie indziej było takiego ogniska, od którego by stale rozchodziło się światło i duch narodowej światy i świadomości. Dlatego i tu postanowiłem założyć "Towarzystwo Ludowe". Zdawałem sobie sprawę, jakie to będzie miało i tu dla mnie następstwa. Wszak Niemcy tu na wybrzeżu jeszcze bardziej nienawistnie baczyli na każdy odruch budzenia narodowego, uważając tę ludność za łatwiejszy kęsk do połknięcia i strawienia. Jednak te względy nie mogły mnie powstrzymać od dokonania tego, co postanowiłem.

Powstanie Towarzystwa ludowego.

Zdecydowawszy się na założenie Towarzystwa Ludowego, szukałem kogoś, który by mógł być w tym dziele mi pomocnym. I doprawdy - przykro mi to przychodzi wyznać - znalazłem tylko jednego jedynego w osobie niejakiego Józefa Klebby, z zawodu kowala. Był to człowiek oczytany, gorący patriota i ożywiony zapałem do pracy na niwie narodowej. Jako zamieszkały tam od młodych lat i stąd obeznany z ludnością, mógł mi przede wszystkim służyć jako informator i doradca oraz propagator. Drugą nie mniej ważną sprawą było wyszukanie odpowiedniego lokalu dla towarzystwa. I tu napotkałem na największe trudności. Ani w Okonyniu ani w Gdyni nie można było o tym pomyśleć, ponieważ właścicielami gospod byli Niemcy lutry. W Chyloni coprawda właścicielem restauracji Kaszuba Vos., ale ten bał się jak ognia polskiego towarzystwa. Dopiero w Kosakowie znalazł się taki śmiałek. Właścicielem oberży był niejaki Czeliński, młody jeszcze człowiek, ale już żonaty. Tenże niedawno temu sprowadził się tu dotąd z Gdańska. Podzielił on los tylu innych Kaszubów. Już władał on jedynie językiem niemieckim, choć dość w krótkim czasie odnienczył się pod tym względem. Ten chętnie się zgodził na ustąpienie dość obszernej salki Towarzystwu Ludowemu. Nie zdawał sobie jednak sprawy, co go za to spotka. Mając już wszystko przygotowane, udałem się do sędziego Chmielewskiego w Sopocie. Nie chcąc uchodzić w oczach Niemców za sprawcę tego dzieła, by im nie dać atutu w rękę do wymuszenia na Biskupie mego rychłego przeniesienia, poprosiłem go, by pod swoją firmą założył towarzystwo, co też nastąpiło. A gdy już raz zaistnieje, zapewniłem go, to ja już je dalej poprowadzę. Na to się chętnie zgodził. Niebawem też pewnej niedzieli - zdaje się w lipcu r.1909 - zrodziło się wymienione towarzystwo. Ale radość moja była przedwczesna. Zaraz następnej niedzieli zjawił się u mnie Czeliński i płacząc opowiedział mi, że zaraz następnego dnia otrzymał od landrata w Pucku zapozew do stawienia się w landraturze. Tam mu tenże oświadczył, że, jeżeli nie odmówi polskiemu towarzystwu lokalu,

straci koncesję na wyszynk napojów alkoholowych i wody niech patrzy, z czego wyżyje on i jego rodzina. Z łzami w oczach aż mnie błagał, żeby mu tego nie wziąć za złe, że musi mnie odmówić. Złość mną owładnęła i zdecydowany upór. "Nie, Niemcy nie mają nam przeszkodzić w naszych zamiarach". W Mostech był rozparcelowany majątek między polskich osadników. Dwór był potrzebny na mieszkanie dla dwuch osadników. Ta połowa, gdzie był salon i obszerniejszy hol, znajdowała się w posiadaniu również niejakiego Klebby. Natychmiast udałem się tamdotąd. Przedstawiam mu mój zamiar i proszę go, by mnie wydzierżawił ten salon i hol. Zamiast dać mi odpowiedź, zafrasowany drapie się po głowie. Powtarzam moje pytanie, czy się na to godzi, a on dalej drapie się po głowie i choć go dłuższy czas dręczyłem moimi propozycjami - przytakującej odpowiedzi od niego otrzymać nie mogłem. Wreszcie przyznał mi się, że boi się Niemców, aby go nie zrujnowali podatkami. Śmieję się z niego i jego obaw. Obiecuję mu, że jeżeli z tego powodu podwyższą mu podatki, to Towarzystwo pomoże mu do zapłacenia mu tej podwyżki. Mimo to nie otrzymałem od niego zgody. Daję mu czas do namysłu do przyszłej niedzieli. Natychmiast powróciwszy do domu, siadam i piszę list do jego szwagra, ówczesnego kapelana u Sióstr Miłosierdzia w Chełmnie, a późniejszego sufragana w Pelplinie, ks. Dominika, żeby na niego wpłynął w tym kierunku. W następną niedzielę przychodzi Klebba do plebanii i wyraża swą zgodę. W przyszłą tedy niedzielę już odbyliśmy pierwsze nasze zebranie w nowym lokalu. I odtąd co drugą niedzielę odbywały się tam regularnie po południu zebrania. Co drugą bowiem niedzielę przypadało nabożeństwo w kościele filialnym w Chyloni. Po odprawieniu nabożeństwa i nieszporów jechałem okrężną drogą do Mostów na zebranie Towarzystwa Ludowego. Byłem mile zaskoczony niezwykłym powodzeniem, jakie sobie towarzystwo odrazu zyskało. Jadąc wozem do Mostów kilkakrotnie po drogach i miedzach, widziałem liczne grupy spieszące na zebranie prawie jak na odpust. A salon, hol daleko nie starczały, by wszystkich pomieścić. Znaczna część musiała się zadowolić pozostaniem na podwórzu pod oknem. Tej szykana ze strony landrata

właśnie bardzo się przyczyniła do spopularyzowania tej nowej organizacji. Kaszubi z natury swojej są uparci. Kiedy się rozniosło, że landrat uniemożliwił zbieranie się w lokalu oberży w Kościerzynie, to ich to podrażniło i postanowili właśnie tema na przekór postawić na swoim. Po za tym sprzyjał to i urok nowości. Takiej organizacji to nigdy nie było, a wiadomo, ugory zwykle najlepsze wydają plony. A nie był to tylko słomiany ogień, rychło gasnący. To,co słyszeli z dziejów Polski, kościoła, z dziedziny społecznej i praktycznej jak uprawy roli i t.d. to ich zaczęło żywo interesować. O takich rzeczach przecież nigdy przedtym nie słyszeli - a wszak to ich żywo interesowało. A nie same tylko wykłady zapełniały zebrania. Ćwiczyliśmy wspólnie śpiew polskich pieśni ludowych. Wyłoniło się też i kółko amatorskie, dla odgrywania przedstawień. Urządziliśmy też nie długo potym pierwszą naszą zabawę,połączoną z przedstawieniem sztuki teatralnej. Przypominam sobie nawet jej tytuł: "Jak Kuba Kasię lenistwa oduczył" /utwór ludowy Chociszewskiego/ która urozmaiconą była deklamacjami i śpiewem. Wieść o tym naszym przedstawieniu dotarła i do Rucka. Otrzymaliśmy zaproszenie tam dotąd i zapewniono nam też salę z tym umotywowaniem,że tam jeszcze nigdy ludzie polskiego "teatru" nie widzieli i są bardzo na niego ciekawi. Pojechaliśmy więc i tamdotąd. I tam frekwencja była nie mała. Jechaliśmy tamdotąd z pewną obawą, żeby nam Niemcy jakiejś złośliwości nie wyrządzili, po nas nawet przed tym przestrzegano. Ale jakoś wszystko odbyło się w spokoju. Po tym pierwszym wyjeździe w parafii powstały i dalsze ogniska - a mianowicie Czytelnia Ludowa w Okoninie i w Bestach.

Moją radość, jaką odczuwałem na widok tak bujnie rozkwitającego się życia polskiego, narodowego, zamącała stale obawa o przyszłość. Zdawałem sobie sprawę, że Niemcy na długo nie będą się bezczynnie przyglądać tej mojej robocie, a Władza Biskupia zbyt uległa władzy świeckiej, aby jej się przeciwstawić śmiała. Jak bardzo zazdrościłem tym,którzy mieli stały, mocny grunt pod nogami, mogli sobie plany ułożyć i ich wykonanie spokojnie sobie rozłożyć na odpowiednią przestrzeń czasu, kiedy mnie stale grunt ten

paliż się pod nogami. Z wielką troską myślałem o tym, co się z tym wszystkim stanie, jeżeli mnie stąd wyrzucą ? Klobba to człowiek dobrego ducha narodowego i chętnej woli, ale brak na było tych danych, które by go uzdalniały do zarządzania towarzystwem, wygłaszania wykładów i t.p. zdolności. Mogłem coprawda poprosić sędziego Chmielewskiego lub kogoś z działaczy gdańskich, by przybywali z wykładami na zebrania towarzystw naszych,wliczając w to i Czytelnię Ludową. Ale takie tylko doryczne dojazdy nie były wystarczające, aby te organizacje utrzymywać w żywotnym stanie. Przyszło mi na myśl, żeby tu w obrębie parafii zrobić sobie wśród młodych Kaszubów przyszłych odpowiednich działaczy. Postanowiłem w tym celu posłać kilku młodych Kaszubów, synów tamtejszych chłopów, jako uczniów na majątki ziemskie, aby tam w środowisku czysto polskim oprócz pogłębienia i poszerzenia swej praktycznej wiedzy w rolnictwie zaprawili się i duchem i umysłem narodowym i w lepszą ogładę i kulturę, by stać się potym po powrocie z rocznego tam pobytu do swoich,pionierami tego ducha, tej oświaty i kultury narodowej w swoim środowisku,z jaką się tam spotkali. W tym sensie zwróciłem się do "Kuriera Poznańskiego", abyżę tę myśl zapropagował na łamach swego pisma. Co też uczynił. Na jego zew zgłosiło się na razie pięciu takich ziemian. Tylu też młodzieńców Kaszubskich jako pierwszą grupę wysłałem żę w Poznańskie. Do każdego z tych obywateli wystosowałem jeszcze osobne pismo, informując, w jakim celu tamci przychodzą i prosząc, by w myśl tego każdy z nich swoim pupilem się zaopiekował. Po ich powrocie zamierzałem ich wprowadzić do pracy publicznej, ale cóż z tego, kiedy po powrocie po ich rocznym pobycie, do ojczystych pieleszy, mnie już od dawna nie było w Okszywiu.

Wycieczka z Warszawy chce się zetknąć z bracią Kaszubską.

Raczu pewnego ex.sędzia Chmielewski z Sopotu przysyła mi wiadomość, że przybywa do Kostek liczna grupa letników

z Warszawy, bawiących w Sopocie, celem bezpośredniego zetknięcia się z bracią kaszubską. Prosił mnie, żeby się wycieczką tą zaopiekować i ułatwić jej to spotkanie. Kiedy przybyli, zaprowadziłem ich najpierw nad brzeg morza i otworzywszy im dzieje przeszłości, kiedy te fale pruły polskie okręty handlowe i wojenne, wskazałem na obecną ich niedolę, że zmuszone są dźwigać kajdany srogiej niewoli i stąd to pewno pochodzi, że tak często się rzucają, szamocą i pienią, pocieszyłem ich jednak nadzieją, że przecież prędzej czy później nadejdzie ten dzień, kiedy i to morze bałtyckie zrzuci z siebie kajdany niewoli i radośnie zaszumi hejnałem triumfu i wolności. Nie wiedziałem, że chwila wyzwolenia wówczas była już tak blisko. Zdziwiłem się, że nikt z licznych gości na moje przemówienie nie odpowiedział. Następnie udaliśmy się do lokalu naszych zebrań, gdzie gości oczekiwała już licznie zebrana brać kaszubska. Po powitaniu została odegrana krótka fraszka kaszubska, poczym wesołe pląsy pozwoliły nie tylko na godziwą rozrywkę, ale i wzajemne osobiste zbliżenie się. Tu też dopiero dowiedziałem się przyczyny, dla której nikt z obecnych wówczas nad wybrzeżem mi nie odpowiedział na moje powitalne przemówienie. Otóż dwuch panów przystąpiło do mnie i następujące mi dało wyjaśnienie: "Niech ksiądz się nie dziwi, że na tak patriotyczne przemówienie księdza nikt z nas nie odpowiedział. Nas tu gnębią i uciskają Niemcy, ale mamy przynajmniej możność wypowiedzenia się z tego, co czujemy, co nas boli, ale my pod rządami moskiewskimi i tego nie mamy. Cała nasza wycieczka składa się z ludzi przeważnie zależnych jak urzędników kolei warszawsko-wiedeńskiej i innych resortów. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wśród nas są szpicle moskiewscy. Gdybyśmy w tym albo podobnym odezwali się duchu co ksiądz, to po powrocie do domu moglibyśmy się znaleźć nie tylko na zielonej murawce, ale i w więzieniu". Biedny, biedny naród polski, tak pomyślałem sobie, w jak opłakanym znajduje się położeniu! Ta niewola, ten ucisk, tam ucisk, choć może dokonywany w różny sposób, ale tak samo bolesny i upokarzający. Ach, czemuż nasi przodkowie nie wzięli sobie do serca jasnowidzących przepowiedni i przestróg

złotoustego naszego i natchnionego kaznodziei Piotra Skargi ! i innych ~~obecnych~~ zacnych mężów, nawołujących do upamiętania się. Na ciężkie i okrutne losy ekspecyjne i pokutne narazili oni potomne pokolenia za swoją niepohamowaną samowolę i wyuzdaną prywatę.

Skończyła się tylko ta zaimprowizowana nasza impreza w Mostach na tym, że wręczono mi całą moc wizytówek i zaproszeń do Warszawy, z których skorzystać oczywiście nie mogłem, bo choć to już był rok 1910, ale zawsze jeszcze istniał kordon. Między uczestnikami była też pewna pani, odznaczająca się skromnością swej toalety i całego swego postępowania. Była to pani Prószyńska, wydawczyni wielce poczytnego na b. konkresówkę, czasopisma "Gazeta Świąteczna", pisma religijno-oświatowego. Przyobiecała mi przysyłać to pismo pod opaską, co też dotrzymała. Otrzymywałem je w ten sposób przez długi szereg lat i w ten sposób wspomnienie o opisanej wycieczce.

Furor teutonicus. Szał teutoński.

W czerwcu r.1909 odbył się zjazd młodzieży kupieckiej nietylko z Kaszub, a z całego Pomorza, w Wejherowie w sali Merkura, o którym już wspomniałem poprzednio. Otrzymawszy zaproszenie pojechałem na to zebranie również. Przybył też z Poznania prezes związku młodzieży kupieckiej, Hącia, który przez krótki czas później w niepodległej Polsce był ministrem handlu. Niemcy szczególnie wrażliwi byli na wszelkie polskie poczynania na tym odcinku nadbrzeżnym wśród Kaszubów. A tak się jeszcze złożyło, że w tę niedzielę właśnie odbywał się zjazd przedstawicieli miast z całych Prus w Wejherowie, o czym zwołujący zjazd nasz nie wiedzieli. To dolało jeszcze oliwy do ognia pruskim szowinistom. Przybywszy do Wejherowa ogromnie zostałem zaskoczony powodzią flag o barwach pruskich i niemieckich. Napewno nie na nasze powitanie, pomyślałem sobie. Dopiero od przechodniów dowiedziałem się, że odbywa się: "Preussischer Städtetag". Przyszedłszy na miejsce, zasiadłem wraz z innymi przy stole w drugim pokoju, za którym była sala ob-

szarnu, czekając na zagajenie. Zapijaliśmy mijający jabłecznik, gdyż było w tym dniu upalnie - gdy naraz rozlegają się w pierwszym pokoju jakieś niesamowite krzyki i wyzwiska: "Die polnischen Schweine, die polnische Bande raus" i t.d. Co to znaczy ? pytamy patrząc jeden na drugiego. Na odpowiedź nie potrzebowaliśmy długo czekać. Z trzaskiem otwierają się drzwi, przez które wtłacza się cała zgraja uzbrojonych, a jak już odrazu można było zauważyć, dobrze podchmielonych, żandarmów. Z okrzykiem "raus die polnische Bande", rzucają się na nas, popychając, potrącając i wypychając ku wyjściu. I mnie dopadł jakiś rozwścieczony "stróż bezpieczeństwa", kiedy jednak się szarpnąłem i go odepchnąłem od siebie i spojrzawszy mu ostro w jego ślepie, oświadczyłem na stanowczym głosem: że na mi dać spokój, ja sam i bez niego wyjdę, dał mi spokój. Ale niektórzy z uczestników zostali dość dotkliwie poturbowani. Kiedyśmy się w taki sposób znaleźli na placu przed lokalem, padła komenda: "Säbel blank ziehen und dreinhauen in die polnische Bande". My naturalnie nie czekaliśmy na ich pałaszowanie nas, a rozpierzchliśmy się na wszystkie strony. Prezes Łącia tak się przeraził tą sceną, że od razu pobiegł na dworzec, wykupił bilet i wrócił, skąd przyjechał. My natomiast zaczęliśmy się powoli zbierać, radząc, jak dalej postąpić. Postanowiono, by delegacja wybrała się do burmistrza miasta ze skargą na niesłychane bezprawie i gwałt, dokonany przez policję. Burmistrz jednak delegacji nie przyjął. Postanowiliśmy wtedy, by pojedyńczo i niespostrzeżenie powracać na salę i kontynuować dalsze obrady, które przy zasłoniętych oknach odbyły się już bez końca w spokoju. Z księży na tym zebraniu był prócz mnie tylko młodszy od mnie ks. wikary, Cyryl Marczyński. Podziwiałem go, bo przecież ryzykował probostwo na przyszłość. Ale bo też ta cała rodzina odznaczała się gorącym patriotyzmem. Wymieniony ks. Cyryl K. zamordowany został w Stutthofie za czasów okupacji. Księżom zamiejscowym, zwłaszcza proboszczom, trudno było przybyć w niedzielę na takie zebranie. Ale ksiądz Dąbrowski, proboszcz w Wejherowie, napewno mógł się stawić, ale on stronił od polskich zebrań i innych

przedsięwziąć. Nie przeszkadzało to jednak, że on jako pierwszy na Kaszubach otrzymał odznaczenie "Polonia Restituta". Mój proboszcz, ks. Machowski, nie mógł wprost mu wybaczyć tej jego biarności na tak ważnym, a tak bardzo zagrożonym odcinku. Ks. proboszcz Wolenty Dąbrowski znanym był wśród ludności kaszubskiej bliższej i dalszej okolicy głównie z tego powodu, że we Dąbrowie był Kalwaria, do której dwa razy do roku płynęły tłumnie pielgrzymki z Kaszub, a które on przyjmował i żegnał. Sam prowadziłem taką pielgrzymkę z Okonina dwukrotnie. W dziedzinie kościelnej jego zasługi były bezsprzeczne, natomiast w dziedzinie narodowej równały się zeru.

Spis Rzeczy.

Część II.

		Str.
1.	Moje pierwsze placówki duszpasterskie w Lubkowach	1
2.	W Drzycimiu.Wilk niespodzianka. Walka o ziemię	2
3.	Stan rzeczy pod względem narodowo-oświatowym w parafii	3
4.	Czy kara Boża za krzywoprzysięstwo ?	5
5.	Co zdolna dokazać imaginacja ?	6
6.	Dobroczynność owszem,ale kierowana rozsądkiem	8
7.	Na zastępstwie w Osiu	9
8.	Na szlaku samodzielnej już pracy narodowo-społecznej. Dla czego dostałem się do Jeżewa ?	10
9.	Osoba ks.proboszcza Burtschika	11
10.	Charakterystyka Frl.Mariechen	15
11.	Jakie stosunki społeczno-gospodarcze zastałem w parafii jeżewskiej ?	18
12.	Nieco o żydach Conitzerach	22
13.	Reiffeisen	25
14.	Sass-Jeworski wielki działacz polityczny	26
15.	P.Liszkowscy	28
16.	Położenie polityczne w powiecie świeckim	30
17.	Zawód,jaki spotkał nadprezydenta w Gdańsku z obsadzeniem probostwa w Świeciu	32
18.	Kolędo.Kaisers Geburtstag.Sezonowe duszpasterstwo w Meklenburgii	34
19.	Strajk szkolny w Poznańskiem i na Pomorzu.I Pomorze miało swoją Wrzesinię	36
20.	A jak odniosła się plebania jeżewska do strajku ? Ks.Burtschik salwuje się ucieczką	41
21.	Przysposobienie się do dzieła	43
22.	Założenie Banku Ludowego.Niesamowita reakcja ze strony przeciwników	45
23.	Szeroko zakreślona kontrakcja ze strony przeciwników	48
24.	Zemsta, która jednak spełzła na niczym	49
25.	Zemsta ks.Burtschika albo raczej Frl.Mariechen	54
26.	Na szlakach naszych obieżyświatów w Meklenburgii	55
27.	Inne jeszcze wspomnienia z tego okresu	62
28.	Po powrocie.Ciekawy eksperyment z kleptomańskim wyrostkiem	66

Str.

29. Nie usłuchał życzliwej rady i dostał pomieszania zmysłów 68
30. Przygotowywanie do założenia spółdzielni kupieckiej "Konsum" 72
31. Jak zostałem właścicielem nieruchomości ? 73
32. Założenie "Konsumu" 75
33. Nakaz przywrócenia zapomnianego już od dawna polska 77
34. Werbunek członków dla "Konsumu" 79
35. Nowe uderzenie we mnie. Zakaz wszelkiego nauczenia 80
36. Otwarcie "Konsumu" 86
37. Moje przeniesienie i na domiar dokąd ? Krokodyle łzy Frl. Mariechen 88
38. Czemu właśnie do Łążyna ? 89
39. Ks.prob.Burtschik w roli mego "obrońcy" 91
40. Wyjazd z Jeżewa na nową placówkę 93
41. Mordercze plany Frl.Mariechen 94
42. Na nowej placówce w Łążynie 95
43. Wprost nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe 98
44. I w Łążynie znalazło się pole pracy społecznej. Założenie Towarzystwa Ludowego 100
45. Nowe prawo o stowarzyszeniach. Reichsvereinsgesetz. 103
46. Pierwsze zebranie po wejściu w życie nowej ustawy o stowarzyszeniach 103
47. Kazanie o fałszywych prorokach ułatwiło moje przeniesienie 106
48. Prawdziwy Wiarus 109
49. Miła niespodzianka 112
50. Na urlopie zdrowotnym. Założenie filii Kupca "Konsum" w Osiu. Znów denuncjacja. 113
51. W Oksywiu nad polskim morzem. Plebania 115.
52. Ks.prob.Muchowski powstaniec- męczennik 116
53. Parafia Oksywska 119
54. Niebezpieczeństwo germanizacji wybrzeża 120
55. Powstanie Towarzystwa Ludowego 125
56. Wycieczka z Warszawy chce się zetknąć z bracią kaszubską 128
57. Furor teutonicus Szał teutoński 130

CZĘŚĆ TRZECIA.

Znów przeniesienie.

Coraz lepiej się rozwijające Towarzystwo nasze sprawiało, że lokal dotychczasowy okazał się daleko nie wystarczający, by wszystkich pomieścić. W lecie to jeszcze było jako tako, kiedy można było drzwi i okna szeroko pootwierać. Inaczej atoli w zimie, kiedy tego czynić nie było można. To też uchwaliliśmy wybudować własny dom dla naszych celów. Wiosną miało się to rozpocząć. W tamtejszych ówczesnych warunkach nie było nawet zbyt trudno takiego dzieła dokonać. Położenie materialne bowiem wśród ludności t.z. Kępy Oksywskiej, gdzie gleba na ogół była dobra, a gdzie zwłaszcza u tak zwanych gburów kaszubskich, którzy mieli sposobność wobec bliskości Gdańska i Sopotu, do którego latem napływały masy letników - dobrego spieniężenia swych produktów rolnych, był nawet dobrobyt, a ofiarność spora, to też nie sprawiało zbytnych trudności, zebrać potrzebne środki do postawienia takiej budowli. Jedynie, co mnie napawało obawą, to myśl, czy ja się tu długo utrzymam, aby móc tego dokonać. Wszak na wiosnę przypadała znów Wielkanoc, a przed nią święcenia nowych kapłanów i wielkie ruchy wśród wikaryuszy, czy mnie jeszcze i ta Wielkanoc minie ? A miałem wszelkie powody ku temu, by się tego obawiać. Donosili mi ludzie, że renegaccy nauczyciele, którzy z reguły byli donosicielami na księży Polaków, mi się odgrażali: "der muss fort von hier". A takich nauczycieli w obrębie parafii było kilku. Najgorliwszym z nich był niejaki Brocki, kierownik szkoły w Chyloni. Ten obrał się patronem pragnących się za Niemców Kaszubów i domagał się więcej kazań niemieckich dla nieistniejących Niemców. A kiedy nie poszedłem mu w tym na rękę, urządził mi afront w kościele. Jego też dziełem było sprowadzenie luterskiego pastora na wygłaszanie wykładów, ilustrowanych przezroczami z życia Pana Jezusa, choć to mógł uczynić każdy ksiądz katolicki, ale ten by je wygłaszał w języku polskim, a chodziło przecież, żeby to odbywało się po niemiecku celem germanizowania i na tej drodze kaszubskiej młodzieży. Moje pismo w tej sprawie, skierowane do westprusackiej, katolickiej niemieckiej

gazety, aby zajęła stanowisko na swych łamach, czy to uchodzi, by pastor luterski wykładał z dziedziny religii katolickim dzieciom i katolickiej ludności, pozostało bez odpowiedzi. To znów w Oksywiu samym miałem też takie w istocie naprawdę nic nie znaczące zajście, z którego jednak Niemcy kuli bro przeciw mnie. A mianowicie pewnej niedzieli przy pięknej pogodzie przechadzając się nad brzegiem, widzę kilka łodzi płynących po wodzie, zapełnionych młodzieżą, przeważnie w wieku szkolnym, która sobie używała wioślowaniem, wyśpiewując przy tym niemieckie "liedry". Kiedy przybili do brzegu, zbliżyłem się do nich i zganiłem im, że jako Polacy śpiewają niemieckie "liedry", kiedy przecież umieją już na pamięć polskie pieśni. Nie trwało długo, a przychodzą do mnie niektóre matki, pełne obawy, że pewnikiem mnie zaaresztują, bo chodził po domach żandarm i spisywał o tym protokół. Oczywiście nie zaaresztowali mnie, bo nie było ku temu żadnych podstaw prawnych, ale widocznym było, że zbierają na mnie materiał. Nic to dobrego nie wróżyło. Dla tego też, kiedy nadszedł z Pelplina ostatecznie dekret, przenoczący mnie stąd na inną placówkę, nie byłem tym zbytnio zaskoczony, bo byłem już na niego przygotowany.Nie znaczy to jednak, bym tego znów nie odczuł bardzo boleśnie. Kiedy przed opuszczeniem Oksywia pojechałem z wizytą pożegnalną do p.Chmielewskiego w Sopocie, tenże przystąpił do mnie z następującą propozycją:" Wobec przerzuca i prześladowa księdza przez władze pruskie za jego działalność dla sprawy naszej niech ksiądz się zwolni z obowiązków duszpasterskich. Władza Biskupia rada będzie, że nie będzie miała z księdzem kłopotu. My na naszych nieruchomościach w Wejherowie zapewnimy księdzu tytuł utrzymania.Będzie miał wtedy ksiądz wolne ręce i będzie mógł na naszym terenie bez przeszkody działać". Podziękowałem mu oczywiście za jego życzliwe serce, ale propozycję z góry oddaliłem. Nie po to przecież zostałem księdzem.

Ks.prob.Kuchowski jeszcze wysłał do Biskupa błagalny list, żeby dekret cofnięto i bym mógł jeszcze nadal w Oksywiu pozostać, ale, jak mi doniesiono z Pelplina od znajomego mi tam księdza i Biskup miał oświadczyć to samo, co w Jeżewie: "Nein, der muss fort von dort".

A czemu to "fort" ? Czy to władza kościelna miała jaki powód w tym, by mnie stamtąd usunąć ? Napewno nie, bo w niczym że moim obowiązkom kapłańskim nie uchybiłem, ale taki interes miała władza świecka, aby mnie stamtąd jak najdalej odsunąć i uniemożliwić mi wszelki dalszy kontakt z Oksywiem. Chyba nie bez kozery się to stało, że przeniesiony zostałem aż na zupełnie przeciwny biegun diecezji, a mianowicie do Koronowa nad Brdą, w okolicę Bydgoszczy.

Zrozumiałe, że przeniesienie moje sprawiło mi wielki ból. Czułem się tu dobrze i w swoim żywiole. Kaszubi mi bodaj bardziej przylgnęli do serca niż w innych okolicach, może właśnie dla tego, że bardziej byli zagrożeni germanizacją niż ludność nasza gdzieindziej. Żal mi też było rozstać się z tą gościnną, miłą, serdeczną atmosferą plebanii i z tym sympatycznym nauczycielem za wiarę i Ojczyznę, ks.Antonim Buchowskim, który tak życzliwym okiem patrzył na moją działalność dla naszej wspólnej sprawy. Żal mi było przede wszystkim rozstać się z tym tak pomyślnie rozwijającym się polem działania. Każdy rolnik, który uprawi swoje pole, raćby oglądać i jego plon, a mnie to nigdzie nie było dane. Ale największy ból sprawiało mi rozstanie się z morzem i z tym rozkosznym wałem, na grzbiecie którego doznawałem pasąc oczy swoje widokiem morza tyle błogich emocji, marzeń i natchnień.Podczas gdy aż dotąd gwałtownie powstrzymywałem moje łzy, aby nikt bej nej słabości nie widział, to tutaj, gdzie byłem sam jeden, one gwałtem mi się puściły z oczu i popłynęły na dół ku modzie morskiej.Przyrzekłem sobie jednak, że w przyszłości, o ile tylko będę miał możność, choć tylko na krótki czas, przebywać będę rok rocznie nad to wybrzeże, co też aż do starości dotrzymywałem. Nie wiedziałem ateli jeszcze, że po kilkunastu latach choć tylko pośrednio zwiążę się powinowactwem z tym wybrzeżem przez to, że mój brat pojmie żonę stamtąd i to jeszcze w dodatku jedną z amatorek naszego ówczesnego kółka amatorskiego. Ślub ich właśnie odbył się w tym roku, kiedy dokonywał się pod wodzą gen.Hallera w Pucku akt zaślubin Polski z morzem. Po roku dwudziestym, kiedy to fale morskie już ov-ymi zielonymi wargami całowały pierś własnej matki, a nie wyrodnej macochy, jakże rozkosznie było patrzeć na te wszystkie cuda,które się tam nad tym wybrzeżem

dokonywały ! Te wylane przeze mnie łzy gdzieś wśród moich własnych zadłubin z morzem ~~były też pewnego rodzaju.~~

Mój następca, ks.Sell, kontynuuje zaplanowane dzieło i dokonuje je. Dom Towarzystwa zmienia się na kaplicę.

Wielką ulgą dla mnie było, że moim następcą mianowany został ks.Jan Sell, Filomata, akszaniec również w procesie toruńskim i kandydat na dożywotniego wikarego. Ten, tak byłem mocno przekonany, dokona tego, w czym mnie przeszkodzono. I nie omyliłem się. Ks.Sell zabrał się raźno do dzieła i niebawem stanął dość obszerny dom, składający się z przestronnej sali wraz z sceną, dwóch mniejszych pokoi i kuchni. Teraz już Towarzystwo miało swój własny lokal i mogło w nim wszystkich członków pomieścić. Miało też możność urządzania w nim rozmaitych imprez, jak przedstawień amatorskich, zabaw i t.d. Dom ten stoli nie stanął w Mostach, ponieważ tam nie było ku temu odpowiednich warunków, a w Pierwoszynie, położonym o jakie 3 klm. na południe od Mostów, co było nawet korzystniej, bo było bliżej środka parafii. Na uroczyste poświęcenie tego domu kaszubskiego pojechać nie mogłem, ponieważ odbyło się ono w niedzielę, kiedy zajęty byłem w duszpasterstwie. Otrzymałem natomiast cały arkusz papieru, na którym pod nadesłanymi pozdrowieniami figurowała cała moc podpisów, między nimi też i ks.Kuchowskiego, sędziego Chmielewskiego i co mnie szczególnie zadziwiło i ucieszyło, że tym razem zjawił się na tę uroczystość prob.i dziekan z Wejherowa, ks.Dąbrowski. Ale i ks.Sell nie długo zagrzał w Oksywiu i jego stamtąd usunięto po nie długim czasie. Spotkał go ten sam los, co i mnie. Po nim przyszedł do Oksywia niejaki ks. Szuchmielski, który już Towarzystwem się nie zajmował, na skutek czego jego żywotność poczęła podupadać. Po nim przyszedł ks.Kaszubowski. W międzyczasie stoli wybuchła pierwsza wojna światowa, podczas której wszelka działalność polskich organizacyj została zakazana. Przez pewien czas dom ten stał pusty. Na początku lutego r.1915

147

zmarł ks.prob.Kuchowski. Wówczas zrodziła się myśl u wiernych północnej części parafii, najbardziej odległej od kościoła parafialnego, by utworzyć tam osobną placówkę duszpasterską. Wystarczające pomieszczenie przecież było. Obszerna sala stała pusta. Po otrzymaniu zgody władzy Biskupiej dobudowano już tylko drewnianą wieżę a po przeciwnej stronie jeszcze dwa dalsze pokoje na mieszkanie dla księdza. Na scenie postawiono ołtarz i kaplica i plebania były gotowe, służąc przez lat 16 sprawie duszpasterskiej. Z tej zaimprowizowanej świątyni znów rozbrzmiewała nowa ojczysta. Po wojnie już za czasów Polski zabrano się do zbudowania okazałej świątyni Polskiej i nowej plebanii między Pierwoszynem i Kozakowym, odległym tylko o 1 klm. od Pierwoszyna. Pierwszym duszpasterzem tej nowej kuracji został też ks.Kaszubowski. Po wybuchu drugiej wojny światowej ks.Kaszubowski,jako dobry Polak podzielił los tylu innych kapłanów Polaków. Został zamordowany, a przy końcu działań wojennych Niemcy wysadzili też i tę piękną świątynię w powietrze, na miejsce której postawiono jako kaplicę obszerny barak, w którym się odbywają obecnie nabożeństwa. Ks.Jan Bell, niestety, nie długo się też cieszył odzyskaną wolnością Pomorza. Otóż złożyło się tak,że podczas I wojny światowej byliśmy sąsiadami, on jako administrator parafii Śliwice, ja jako kuratus w Łęgbądzie. Po ukończeniu wojny w jednej i drugiej parafii zjawiały się wypadki epidemii czarnej ospy. Z tą wielce groźną zaraźliwą chorobą zetknąłem się już w Toruniu i wiedziałem,jak ona jest niebezpieczna. To też po zaopatrzeniu pierwszego zarażonego tą chorobą chorego, zaraz od niego pojechałem do Czerska po odnośne zastrzyki. Podczas wielkanocnego konkursu Spowiedzi w Śliwicach przestrzegałem też Ks.Bella przed zdradliwością tej choroby i radziłem mu to samo uczynić, co i ja. Niestety, zlekceważył sobie tę moją życzliwą radę i może jakie dwa tygodnie po tym konkursie już nie żył. Śmierć tego wielce zacnego, pełnego ducha poświęcenia kapłana, sprawiła mi wielki ból i żal, tym bardziej, że był to przecież towarzysz wspólnej niedoli i wyznawca tych samych ideałów, którym i ja hołdowałem.

Na nowej placówce - w Koronowie n/Brdą.

Przybywszy do Koronowa, a udając się od dworca przez miasto do plebanii rozejrzałem się w jego położeniu i przekonałem się, że przedstawia się wcale uroczo. Nie znosiłem otwartych równin, wydawały mi się nudne, zbyt monotonne. Podług mego gustu był teren pagórkowaty, urozmaicony wodą, zalesieniem, parowami. Koronowo poniekąd odpowiadało tym moim wymogom upodobaniowym. Miasto przepływała wartkim prądem rzeka Brda, dzieląc je na dwie połowy. Część miasta położona była w dolinie rzeki, ale dalsze zabudowania wznosiły się na wzniesieniach po obydwuch stronach rzeki. Na przeciwnym wzgórzu był piękny, przestronny park, a w parku znajdowała się restauracja z obszerną salą. Znajdowały się w mieście dwa kościoły: jeden dawniejszy parafialny pod wezwaniem św. Andrzeja - stojący już na wzniesieniu, a drugi nisko w dolinie blisko rzeki, to klasztor pocysterski, okazała świątynia, nie wiele ustępująca pięknem, rozmiarami i rozmachem Katedrze w Pelplinie. Zrozumiałe, wszak jedna i druga była zbudowana przez te same zakony. Jako kościół parafialny po zniesieniu zakonu przez Prusaków służyła i używana jest aż po dziś dzień świątynia pocysterska. Wiadomo, Cystersi lubili osiedlać się w dolinach i możliwie w pobliskości rzek, w przeciwieństwie do Kartuzjanów, którzy woleli wzgórza. W Koronowie zabudowania klasztorne zamienione zostały na więzienie karne. Miasto liczyło koło 5000 mieszkańców. Tyle też liczyła dusz parafia. Miasto schludne, dość zadrzewione dodatnie zrobiło na mnie wrażenie. Żeby tak jeszcze można doprowadzić morze, byłbym z niego całkiem zadowolony, ale ta nostalgia za nim trapiła mnie jeszcze długi czas. W plebanii doznałem również życzliwego przyjęcia ze strony tamtejszego proboszcza Ks. Tredera. Była o nim opinia, że to wielki autokrata, nieznoszący żadnego sprzeciwu i z tego powodu niełatwe z nim współżycie. Ale jakoś zetknąwszy się z nim, nie odniosłem o nim takiego wrażenia. Jego postać, pełna powagi i

i uduchownienia, przeciwnie, sympatyczne wywarła na mnie wrażenie. Że ono mnie nie myliło, przekonałem się o tym aż nadto. Od ks.Treudera dowiedziałem się, że wikary nie mieszka i nie stołuje się w plebanii, a osobno we wikariówce i sam się utrzymuje. Zaprowadził mnie tamdotąd. Połowa domu, składająca się z dwuch pokoi i kuchni była na parterze,a trzeci pokój był na piętrze. Druga połowa domu zajęta była przez rodzinę zakrystiana. Bardzo się z tego ucieszyłem,bo dało mi to możność sprowadzenia siostry celem prowadzenia mi gospodarstwa domowego, co mnie, pozbawionego widoku na probostwo, pozwoliło mieć kogoś z najbliższych przy sobie. Objaśnił mnie, że na utrzymanie wikarego rząd płaci z tytułu zajętych dóbr kościelnych, 89 mrk. do czego on dopłaca 11, tak że stały dochód wynosi 100 mrk. a do tego akcydens z stypendiów mszalnych, z pogrzebów i t.d. uzupełnia dochód miesięczny do 200 mrk. Byłoby to wystarczające na skromne utrzymanie, gdyby nie ten fatalny proces jeżewski. Zdawałem sobie przeto sprawę, że co do tego trzeba będzie sobie zaciskać pasa. Ale mniejsza o to.

Jeżeli chodzi o sprawy nasze i polskie, to tutaj wszedłem w warunki zgoła odmienne od dotychczasowych. Podczas gdy na moich dotychczasowyych placówkach, z wyjątkiem chyba parafii drzycimskiej, zastawałem pod tym względem odłogi, rolę zupełnie nieuprawioną, co mnie zniewalało do zabierania się do jej uprawy, to tu ojczyste zagony już były tak doskonale uprawione, że nie potrzebowały one już dalszego uzupełnienia. Tu była już prawdziwa Polska, polskość biła tu na każdym kroku, usuwając Niemców i niemieckość zupełnie w cień. Całe życie polskie było tu zorganizowane. Istniał tu Bank Ludowy, mający swą siedzibę własną, dość okazałą kamienicę w rynku. Była tu spółka handlowa "Rolnik", posiadająca również swe nieruchomości - dom mieszkalny i spichlerz, było dobrze rozwijające się "Kółko Rolnicze", był Sokół, Towarzystwo Ludowe, Kółka śpiewacze "Cecylia" i "Harmonia", "Koło Pań", Towarzystwo Czytelni Ludowych, utrzymujące dość zasobną bibliotekę, a również bardzo ważne towarzystwo młodzieżowe "Samopomoc" oparte na tych prawie samych podstawach ideowych, jak już w niepodległej Polsce nasze K.S.M-y /katolickie stowarzy-

szenie młodzieżowe/. Sklepy, rozmaite przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe z nielicznymi wyjątkami, były również w rękach polskich. Miarę zrozumienia potrzeby stosowania hasła: "Swój do swego" niech daje poznać taki choćby fakt drobny. Otóż kiedy kilka dni po moim przybyciu przyjechała i moja siostra, potrzeba nam było rozmaitych sprzętów kuchennych. Jakiegoś z nich nie można było nabyć w polskim sklepie. Natomiast znachodził się w żydowskim sklepie. Sprawunki w mieście załatwiała nam przeważnie żona zakrystiana, który mieszkał w drugiej połowie wikarjówki. Kiedy nam to opowiedziała, mówię do niej: "No trudno, pani, kiedy już nie można tej rzeczy dostać w polskim sklepie, a koniecznie nam potrzebna jest, to niech pani już idzie po nią do żyda". "O la Boga, odpowiada poruszona, toć by już całe miasto wiedziało, że ja u żydów kupuję. Ludziom na oczy pokazać bym się nie śmiała. Chyba, jak się już ściemni, że mnie nikt nie zobaczy, to pójdę i kupię". I tak też zrobiła. Niejaki Kiedrowski, rzemieślnik, jakoś szczególnie przejął się hasłem "Swój do swego". Prawie każdego dnia odrywał się od swej pracy i krążąc po mieście, szukał, kogo by zdybać na nieprzestrzeganiu tej zasady. Ten zawsze coś nieprzyjemnego obrywał.

A jak się to stało, że właśnie Koronowo nabrało takiego charakteru jeszcze podczas niewoli miasta czysto polskiego i że w nim tak silnie pulsowało życie polskie, jak rzadko gdzie indziej ? I czemu i ja zawdzięczam, że się tu aż 4 lata utrzymałem, choć nawet mógłbym był jeszcze i dłużej pozostać, gdyby warunki moje nie były się tak ułożyły, że sam zapragnąłem zmiany ?

Ks. proboszcz i dziekan Viktor Treder.

Ks. prob. Treder był inicjatorem, twórcą i duszą tego wszystkiego, co tam zaistniało. Urodził się w Iławie, która wówczas należała do diecezji chełmińskiej w r. 1852. Święcenia otrzymał w r. 1876, a więc już w czasie Kulturkampfu. Iława była miastem w przeważnej większości niemiecka i luterska. Rodzina ks. Tredera była z pochodzenia

X. Wiktor Treder

swego narodowości niemieckiej, ale szczerze katolicka. Przypominałem sobie, że mój ojciec, kiedy jeszcze byłem chłopcem, o tej rodzinie bardzo pochlebnie się wyrażał, jako bardzo czynnej w kołach katolickich i życzliwie usposobionej dla Polaków. Jeden ze synów, Wiktor, został kapłanem, ten drugi Konstantyn, po ukończeniu studiów prawa, był już sędzią i zaręczył się. Jednak nagle zerwał narzeczeństwo, wstąpił do Seminarium Duchownego i został również kapłanem. Jednak przeniósł się do Nadrenii i tam w Kolonii pracował jako kapłan, dopóki go kilka lat przed I wojną światową ks.biskup Rosentreter nie powołał na stanowisko rektora Seminarium Duchownego w Pelplinie. Ks.Wiktor Treder został proboszczem w Koronowie 1887. Doświadczywszy ucisku kościoła katolickiego i własnej też osoby w czasie Kulturkampfu, a nadto poznawszy gnębienie i prześladowanie ludu polskiego, stał się gorliwym szermierzem sprawy kościoła i szczerym przyjacielem i obrońcą ludu polskiego. Przejął się dolą też swych parafian koronowskich do tego stopnia, że stał się gorliwym, wielce czynnym i pełnym poświęcenia Polakiem- działaczem. Kapłanem był on w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu, pełen gorliwości o chwałę Bożą i dobro dusz mu powierzonych, przykładny pod każdym względem i stąd budzący powszechny szacunek. Lubił też i towarzystwo i rozrywki, chętnie grywał w karty i nie odmawiał sobie i innych przyjemności, ale zawsze i wszędzie umiał zachować umiar i swą godność kapłańską. Ten ogólny szacunek, którym go powszechnie darzono, i mnie się udzielił, kiedy go poznałem coraz lepiej i te dzieła, które tu potworzył. Kto go tylko nie lubił, a przeciwnie wielce nienawidził, to byli Niemcy. Mnie to właśnie wychodziło na dobre, mnie przeto zostawiono w spokoju. Zyskanie sobie względów i życzliwego serca ze strony ks.Tredera wymagało pewnych poświęceń dla niego. Przede wszystkim co dzień używał on dłuższych przechadzek, a nie lubił chodzić sam. Pragnął mieć stale towarzystwo wikarego. Była to ze strony wikarego pewna ofiara i nie każdy z nich poprzedników był do niej skłonny. Wikary w ten sposób był poniekąd krępowany w swobodnym dysponowaniu swym czasem i swoją osobą. Poza tym była

dla mnie i ta niedogodność, że ks.proboszcz wszystek czas przechadzek zapełniał opowiadaniem swych wspomnień i bogatych swych przeżyć. Same w sobie były one ciekawe i pouczające, ale powoli tematy się wyczerpały i te same sprawy były od nowa powtarzane, przez co traciły na aktualności i nawet nieraz nudziły. Dla mnie poza tym pewną niedogodność stanowił powolny chód w czasie naszych przechadzek. Byłem zwyczajny szybkiego chodzenia. Nogi były zdrowe, serce i płuca również, a ten powolny chód nie był dla mnie wytchnieniem i orzeźwieniem. Wolałbym był raczej razem z siostrą, daleko młodszą odemnie, również żwawą, bujać sobie po przechadzkach. Uważałem sobie jednak za moralny obowiązek nie uchylać się i nie odmawiać temu zacnemu kapłanowi tych usług. Co się bowiem przez to zyskało, było daleko bardziej cenne, niż te drobne niedogodności. Przede wszystkim zdobyło się jego wdzięczność, życzliwość i zupełne oddanie się. Miałem w nim prawdziwego przyjaciela i wielce życzliwego opiekuna i prawdziwie ojcowskie serce. Moje kłopoty i troski stały się i jego własnymi.

Co do opinii o nim, jako autokracie dyktatorze, to w rzeczy samej pewne skłonności samowładcze w nim tkwiły, ale to było raczej u niego zaletą. Tej właściwości bowiem zawdzięczało Koronowo to, co w nim dla naszej sprawy ojczystej potworzono. Rozkazów jego bowiem chętnie słuchano, bo wiedziano, że one były słuszne, celowe i pożyteczne.

Zresztą, ta żyłka dyktatorska ks.Tredera, kto ją bliżej poznał, byłaby mniej nie była trudna do przezwyciężenia. Trzeba było tylko wiedzieć, jak do niej podejść. Otóż lubił on, że wszystkie zamysły i pomysły i zamiary od niego pochodziły. Cała sztuka polegała na tym, żeby to, co się u niego chciało osiągnąć, mu wmówić, że to była jego własna myśl, jego własna rada lub pomysł. Choćby tylko kilka na to przykładów. Moja siostra, która mi prowadziła gospodarstwo, zapadła na ciężką anemię i leżała w sanatorium w Bydgoszczy. W niedzielę chciałem ją odwiedzić, ale pociąg już o pierwszej po poł.odchodził stąd - więc trzeba było o godz.3 odprawić nieszpory, a ks.Treder, który w międzyczasie został dziekanem, zamówił się u jakiegoś państwa w okolicy na karty. Podczas przechadzki usiłowałem go

nakłonić, by za mnie odprawił nieszpory, bo inaczej bym nie mógł pojechać. I tu naraz napotykam się na stanowczą odpowiedź odmowną ze jego strony. Umówił się, że na tę i tę tam stanie godzinie i chce słowa dotrzymać. A mnie żal się zrobiło, że siostra będzie na próżno na mnie czekać i podczas dalszej przechadzki zamilkłem. Kiedyśmy stanęli naprzeciw plebanii, aby się rozstać, odzywam się do niego: "Przecież ks.dziekan zawsze tak głosił, że na pierwszym miejscu obowiązek, a dopiero po nim rozrywka. Będzie więc tak, jak ks.dziekan twierdził. Ks.dziekan odprawi nieszpory, a dopiero po nich pojedzie na rozrywkę, a ja pojadę do chorej siostry, bo to mój obowiązek. Nieprawda ?" Tak mu to zaimponowało. że wziął mnie za ramię i pociągnął mnie za sobą do plebanii słowy: "Już dobrze, już dobrze. Niech ksiądz przyjdzie ze mną na kieliszek wina ! " Siostra po powrocie z sanatorium czuła się jeszcze słabą. W pewną niedzielę kółko rolnicze urządzało swą zabawę kilka kilometrów za miastem. Ks.prob.Treder proponował nas zabrać ze sobą na miejsce zabawy swym krytym powozem. Przy wsiadaniu sadzam siostrę obok niego z tym, że siostra nie może siedzieć tyłem do koni, bo jej się słabo robi. A on nie chce i nie chce się na to zgodzić, że to nie uchodzi, ksiądz przy księdzu, a ona niech siedzi naprzeciw. Tłumaczę mu, że to przecież z konieczności, ze względu na zdrowie. Ani rusz ! Zirytowany wzywam siostrę,żeby zeszła z wozu. Niech ks.dziekan sam jedzie ! Wtedy to dopiero poskutkowało. Cała myśl, że mu sam pojechać,tak na niego podziałała, że sam siostrę spowrotem wciągnął do powozu i usadził obok siebie, a kiedyśmy dojechali na miejsce, wziął siostrę ze sobą i oprowadzając ją po straganach słodyczami ją częstował. Był to człowiek, który za odrobinę serca całym sercem płacił. To też tak życzliwego mi i aż tak oddanego proboszcza nigdzie indziej nie miałem. Mogłem od niego wszystko uzyskać, co tylko chciałem. Trzeba tylko było wiedzieć, jak do niego podejść.Ten zacny, a tak wielce zasłużony kapłan przedwczesną i tragiczną umarł śmiercią.Otóż sąsiad jego, ówczesny proboszcz z Byszewy, ponieważ do plebanki należał obszerny las, przysłał mu w prezencie upolowaną sarnę. Jego kuzynka,

która ks.Trederowi prowadziła gospodarstwo domowe,włożyła część przeznaczoną na pieczeń w ocet. Znachodziły się w niej jeszcze ołowiane kulki śrutu,które oksydowały, na skutek czego po spożyciu mięsa tak ks.Treder jak i jego kuzynka ciężko zachorowali. Podczas gdy kuzynka wyszła z życiem, ks.Treder uległ chorobie zatrucia. A liczył dopiero mało ponad sześćdziesiątkę.

Plebania.

Aczkolwiek miałem własne gospodarstwo domowe, jednak wszystkie niedziele i święta zarezerwowane były dla plebanii. To sobie zastrzegł ks.Treder wobec nas. To też w te dni począwszy od obiadu aż do późnego wieczora spędzaliśmy w plebanii. Porządek naszych gościn był ściśle ustalony. Obiad, krótki odpoczynek,następnie ja udawałem się do kościoła na katechezę, a następnie na nieszpory,potym podwieczorek, a po nim zasiadaliśmy do kart - nie czasem na pieniądze, ale jakieś znaczki. W Okszywiu nauczyłem się gry w skata. To też początkowo grywaliśmy w trójkę w skata, podczas gdy moja siostra kibicowała.Odkąd jednak poduczyliśmy się grywać w preferansa, grywaliśmy w czwórkę tę grę. Miała ona regularnie przebieg nie pozbawiony pewnego komizmu, którego ofiarą padała kuzynka ks.Trederą, p.Cyli. Panna Cyli to gospodyni, szafarka gospodarstwa domowego i kuchennego. Była to osóbka małego wzrostu, ale bardzo gadatliwa. Jej aparat mówny był wciąż w ruchu,nie czasem w złym znaczeniu. Ani się ona z nikim nie kłóciła ani nie plotkowała. Stąd jej gadatliwość nie była dla nikogo szkodliwa. Po przeciwnej stronie plebanii była nadleśniczówka. Żona nadleśniczego,oczywiście Niemka i luterka, była również bardzo gadatliwa. Opowiadano sobie,że, kiedy te dwie kobiety się spotkały, to zależało od tego, która z nich pierwsza dorwała się do słowa, to już i całą rozmowę skończyła. Druga już nie doszła do słowa. Panna Cyli miała jeszcze i tę osobliwość, że stale była w niezgodzie z modą. Jej kuzyn, ks.Treder, od czasu do czasu uzupełniał jej garderobę. Otóż otrzymawszy jakąś nową suknię, płaszcz czy kapelusz, żal jej było od razu

je nosić. Odłożyła je do garderoby, a kiedy je stamtąd wyjęła i zaczęła nosić, już moda się zmieniła, tak, że stale była w niezgodzie z modą. Ona jedna w plebanii, choć serce miała polskie, słabo tylko władała językiem polskim. Stąd konwersacja w jej obecności toczyła się w języku niemieckim. I dobrze było tak. W tym bowiem czysto polskim mieście mało było sposobności mówienia po niemiecku. I można było łatwo wyjść z wprawy. Wszak co czwartą niedzielę wygłaszałem w języku niemieckim kazania. Dalszą słabością p.Cyli było, że lubiła namiętnie grywać w karty. A mimo to stale pudłowała.Ks.Treder utrzymywał na uczelniach 3 krewniaków Witków, którzy wakacje spędzali stale w plebanii. Z nimi to przede wszystkim rozgrywała się nieraz aż późno w noc z tym skutkiem, że stale przegrywała, a jej partnerzy zdobywali sobie w ten sposób kieszonkowe na wakacje.Otóż p.Cyli na naszych niedzielnych seansach siadała razem z nami do gry. Ks.Treder nie mógł znieść, że ktoś pudłował.Moja siostra też fałszowała, ale dla niej był pobłażliwym,natomiast nieubłaganym dla swej kuzynki. Zwykle za pierwszym razem padało z jego ust ostrzegawcze,przeciągłe "Cyli ! Pass auf !" Za drugim fałszywym pociągnięciem krótkie, ostre "Cyli! Pass auf!" Trzecim razem nastąpiło silne uderzenie w stół i jeszcze groźniejsze "Cyli, bist du nicht recht bei Sinnen ? " Wtedy popłynął z ust p.Cyli cały potok obronczych argumentów. Mnie ze siostrą każdorazowo zbierało się na śmiech. Wtedy p.Cyli błagalnie zerkała ku nam, byśmy aby nie wybuchnęli śmiechem, co by sprawę jej jeszcze bardziej pogorszyło. Ale koniec za każdym razem był pogodny i zgodny i w najlepszej i najmilszej atmosferze kończyliśmy naszą grę. Te posiedzenia w plebanii należą do najmilszych mych wspomnień.

Trzej Witkowie. Czy jest możność kontaktowania się umarłych z żywymi ?

Jak już zaznaczyłem, ks.Treder własnym sumptem kształcił 3 siostrzeńców p.Cyli, swej kuzynki. Byli to Brunon, Arnon i Benon Witkowie. Wakacje spędzali stale w plebanii.

Ks.Treder wielką troskliwością ich otaczał - z lubością na nich spoglądał. Wielce sobie po nich obiecywał.Najbardziej lubił tego najmłodszego Benona. Lubił go stale nabierać. Ale najwięcej obiecywał sobie po tym najstarszym, Brunonie. Był to wielce utalentowany młodzieniec. Dowodem tego to choćby tak rzadki fakt w szkolnictwie średnim pruskim, że pozwolono mu dwie najwyższe klasy gimnazjalne ukończyć w jednym roku. Po maturze wstąpił do Seminarium Duchownego w Pelplinie. Po trzech latach pobytu w seminarium i po zdaniu rygorosum ks.Biskup dla jego wybitnych zdolności wysłał go na dalsze studia do Rzymu. Tu ukończył filozofię, teologię,uzyskawszy 2 Doktoraty. Równocześnie jednak zapadł na płuca. Dla lepszego klimatu wysłano go do Fryburgu w Szwajcarii,na uniwersytet, gdzie ukończył prawo kanoniczne.Ponieważ jednak stan zdrowia się pogarszał, wrócił do domu i zgłosił się o przyjęcie powrotne do Seminarium Duchownego, aby po roku otrzymać święcenie. Tu jednak wobec już widocznie silnie rozwiniętej choroby płuc zwlekano z przyjęciem go do Seminarium, ażeby się podleczył. Przebywał więc w plebanii w Koronowie. Co dzień stykaliśmy się ze sobą. Przychodził bowiem do mnie do wikaryjki, co dzień wychodziliśmy ze sobą na przechadzkę i to przed południem, gdyż po południowa przechadzka zarezerwowana być musiała dla ks.Tredera. Nie łudził się zgoła, jaki koniec go czeka. Gawędziliśmy w czasie naszych przechadzek rozmaite kwestie, ale często też sprawę życia po śmierci. Zapewniał mnie, że śmierci absolutnie się nie boi, natomiast ciekaw jest, jak to będzie po śmierci. Zapewniał mnie tak często, że, jeżeli tylko będzie istnieć jakakolwiek możność komunikowania się zaświata z tym światem, to on swojej cioci Cyli i mnie da o sobie znać. Zaopatrzyłem go na śmierć, byłem obecny przy jego zgonie. Przez kilka tygodni z pewnym lękiem w nocy czekałem na ten obiecany znak nieboszczyka. Ale na próżno. Ani jego ciocia ani ja żadnego znaku od niego nie otrzymaliśmy. Ks.Treder, niestety, szczęścia żadnego z tymi swoimi protegowanymi krewniakami, których tak ukochał jak ojciec swoje rodzone dzieci,nie miał.

Ten najwięcej obiecujący najstarszy w ten sposób zakończył swój żywot. Najmłodszy Benon poległ jako oficer w pierwszej wojnie światowej. A ten średni Arno też w młodym jeszcze wieku umarł.

To codzienne obcowanie z tym gruźliczo chorym coraz silniej kaszlącym, i na moim odbiło się zdrowiu. Po pewnym czasie już po śmierci tegoż zacząłem też odczuwać dolegliwości w płucach. Naczelny lekarz w sanatorium dla płucnochorych, Dr. Meisner, w Smukale stwierdził u mnie zajęcie szczytów płucnych. Jednak starannie przeprowadzona kuracja w dość krótkim czasie usunęła wszelkie ślady zachorowania.

Życie towarzyskie w mieście.

W Koronowie było kilka rodzin, z którymi plebania utrzymywała stosunki towarzyskie. Były to rodziny zacne, szczerze polskie i katolickie. Oczywiście, że i ja z siostrą w tych domach obcowaliśmy. Najbliżej plebanii i wikariówki mieszkali państwo Kantak. Pan Kantak był zawiadowcą i współwłaścicielem wielkich młynów i tartaku koronowskiego. On, wysokiego wzrostu, burkliwy, od rana do wieczora zajęty był na placu tartacznym, skąd nieustannie dochodził do wikaryjki jego tubalny głos. Miał pewną słabość do mnie. W przedsiębiorstwie było sporo koni. Skąpił jednak furmanki swym własnym dzieciom, ale mnie oświadczył zaraz przy pierwszej mojej wizycie: "Jeżeli ks. wikary będzie potrzebował koni, to one zawsze będą do jego dyspozycji". Szło tak daleko, że, jeżeli syn albo córki potrzebowały furmanki, to musiałem ją brać na siebie. Za mych czasów już dwie córki były wyszły za mąż. Jedna z nich zamężna była za Dr. Englicha, najpierw adwokata w Bydgoszczy, następnie dyrektora Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu, a w czasie niepodległości Polski przez pewien czas ministra skarbu. Najmłodsza córka, Janina, dużo usługi oddawała naszemu towarzystwu młodzieżowemu "Samopomoc", biorąc czynny i żywy udział w zebraniach, wygłaszając wykłady, biorąc udział w przedstawieniach amatorskich. Wyszła za mąż za sędziego Dama z Lwowa, zmarła

podczas szalejącej hiszpanki w r.1918. Jedyny syn "Jachu" jako uczeń piątej klasy gimnazjalnej w Pelplinie zwiał z zakładu, aby przedostać się do Ameryki. Przytrzymała go policja dopiero w Hamburgu. Ojciec jego odgrażał się, że go zabije, skoro go dostanie w swe ręce. Inaczej jednak zapatrywały się na ten romantyczny wyczyn swego brata jego siostry. Uwiły duży wieniec z długimi biało czerwonymi wstęgami z napisem: "Witaj panie Janie, morski kapitanie". No, dezerter po przywiezieniu go przez rozsierdzonego do domu ojca, od sióstr coprawda otrzymał honorowe odznaczenie, jakże jednak odmienne od tego było to, jakie wymierzył mu ojciec. No, kapitanem morskim nie został, ale po ukończeniu gimnazjum i uniwersytetu osiedlił się jako laryngolog w Bydgoszczy. - Pani Kantakowa to prawdziwy typ matrony polskiej, pełna dobroci i słodyczy. Miała jedyną siostrę, wdowę po zmarłym profesorze uniwersytetu lwowskiego Weberze. Rok rocznie w lecie kilka tygodni spędzała ta pani w Koronowie. Przywoziła ze sobą każdorazowo całą zgrają zebranych na ulicy kundlów. Im to poświęcała całą swą troskę, starania i miłość od rana do wieczora. P.Kantakowa nieraz mi się skarżyła gorzko, że jej siostra o nią zupełnie nie dba, a całą swą miłość zlewa na tę swoją psiarnię. A kiedy jakieś już stare, ledwo siepiące psisko zbyt stało się wstrętne, prosiła mnie, aby je otruć. Ale ileż to wymagało przezorności i przebiegłości, aby się jej siostra niczego nie domyślała, bo by się śmiertelnie obraziła i już więcej nie przyjechała.

Od czasu do czasu przyjeżdżała też matka Dr.Englicha. Była to dama pełna temperamentu. Pełno jej było wszędzie. Z jej ust usłyszałem ciekawy incydent, kiedy była uczennicą w jakiejś uczelni w Poznaniu. Na manewry przyjechał ówczesny następca tronu, a późniejszy tylko krótko panujący jako cesarz Fryderyk III. Wszystkie uczennice otrzymały nakaz ubrania się na jego powitanie w białe sukienki z czarnymi opaskami, jako że były to kolory pruskie. Ona jedna opasała się czerwoną opaską., właśnie na przekór, aby zademonstrować, że jest Polką. To podpadło od razu cesarzowiczowi. Kazał ją do siebie zawezwać i zapytał: "Czemu ona jedna nosi tę czerwoną

opaskę". Na co ona śmiało i odważnie odrzekła: "Ich bin doch eine Polin". Tą odpowiedzią cesarzewicz bynajmniej się nie obraził, a przeciwnie [illegible] zaimponowała mu. Kazał ją sobie zapisać i polecił jej, że, jeżeli będzie w jakiejś potrzebie, ma się do niego zwrócić. Ten cesarz chory na raka gardła krótki tylko czas żył wstąpiwszy na tron.

W tym gościnnym, szczeropolskim domu Kantaków tak plebania jak i ja z siostrą chętnie gościliśmy. Zawsze tam dla nas nie tylko drzwi, ale i serca były otwarte.

Drugim takim domem, z którym utrzymywaliśmy bliskie stosunki towarzyskie, była rodzina doktorostwa Szukalskich. Choć posiadali własną kamienicę, mieszkali w domu Banku Ludowego, położonym w rynku. Dr.Szukalski bowiem był dyrektorem tego banku. Do zarządu tej instytucji należał też ks.Treder, który dzień w dzień od godz.10 do 13 tam urzędował. Trzecim z rzędu członkiem był niejaki Górzyński, mający brata księdza w Ameryce. Skład zarządu Banku tego przedstawiał się w ten sposób poważnie, a prezesem rady nadzorczej był p.Mieczkowski z Niecieczewa. To też Bank prosperował doskonale. Duszą jego jednak był Dr.Szukalski. Był on wielce ceniony jako lekarz, ale swej praktyki lekarskiej nie lubiał, od niej, jak tylko mógł, się uchylał. Trzeba go było zwykle długo prosić, żeby się pacjentem zajął. Przebywając często w lokalu bankowym, byłem świadkiem ciekawych scen. Zwykle, kiedy się zjawił do niego pacjent, pokój przyjęć był na piętrze, a Bank na parterze, przychodziła najpierw służąca, żeby go poprosić do góry. Kiedy był w dobrym humorze, oświadczył jej: "Dobrze, zaraz przyjdę". Ale to było rzadko. Często gęsto ofuknął ją: "Idz do diabła, wynoś się". Jako druga instancja zjawiała się wtedy żona: "Ach Staśku, zważ tylko, koleją przyjechała matka z dzieckiem, toć przyjdź". Zwykle ją usłuchał, ale nie zawsze. I ją zbył nieco kategorycznym oświadczeniem: "Wynoś się. Daj mi spokój. Nie mam czasu". Wtedy jako trzecia instancja przybiegała jego najstarsza córka, Halina. Była ona jego oczkiem w głowie. Ta z nim robiła wszystko, co tylko chciała. Poprostu położyła mu ramię na szyję i rozkazującym głosem: "Tatusiu, natychmiast chodź !" poprowadziła go już obezwładnionego zupełnie do góry. Jej się

nigdy nie oparł. Ten obraz mnie zawsze ogromnie bawił. Po prostu niezmiernie mnie ciekawił ten wprost magiczny wpływ, jaki wywierała na swego tak opornego ojca. Ale była to istota silnej, niezależnej woli. Rodzice szukali dla niej odpowiedniej partii, ale ona im stanowczo oświadczyła, że ona sama sobie poszuka takiego męża, jaki jej się będzie podobał. No i wybrała jakiegoś farmaceutę, pochodzącego z niskiego stanu. I dobry uczyniła wybór. Nabyli aptekę w mniejszym miasteczku w Poznańskim i żyli szczęśliwie. Tak Dr. Szukalski jak i jego córka, byli gorliwymi działaczami na niwie narodowej. On głównie w Towarzystwie Ludowym, ona w naszej organizacji młodzieżowej "Samopomoc". Po za Halinę, był jeszcze syn Bogdan, a po nim jeszcze 2 córeczki. Ten Bogdan z wybuchem I wojny światowej zaciągnięty został do wojska i wysłany na front na zachód. Będąc już w Toruniu jako wikary podczas wojny spotkałem tam Dr. Szukalskiego. Pytam o Bogdana. "Ach, powiada, teraz już jestem o niego spokojny. Za dobrym posmarowaniem udało mi się go wyciągnąć z frontu i umieścić daleko po za frontem przy ciężkiej artylerii". A właśnie to było jego zgubą. Nadleciał lotnik, rzucił bombę i zgasił życie jedynego syna Szukalskich.

Częściej bywaliśmy też w domu p. Moschalowej, właścicielki tartaku. Była to wdowa po zmarłym za czasów mego pobytu mężu, który z pochodzenia był Niemcem-katolikiem, ale bardzo ustosunkowany przychylnie i życzliwie do Polaków. Był on budowniczym i jako taki dorobił się na dostawach rządowych pokaźnego majątku i nabył dobrze zaprowadzony tartak. Umarł na gruźlicę mózgu, pozostawiając bezdzietnej wdowie cały majątek wraz z pięknym willą. P. Moschalowa to Polka z domu Wolska. Pochodziła z Wołynia. Jej rodzice zostali w r. 1863 zamordowani przez Kozaków, i jak ze wzruszeniem opowiadała, jeszcze żyjący zakopani. Jej brat i ona sama dostali się ostatecznie do b. zaboru pruskiego. Jej brat przez ożenek wszedł w posiadanie apteki na Śląsku. Znany był z wyrobu głośno, zwłaszcza w ówczesnym Kalendarzu Marianskim, reklamowanych środków leczniczych. Dorobiwszy się na tym znacznej fortuny, przeniósł się następnie do Berlina, nabywszy tam aptekę. Jednak tam

mu się źle powiodło. Zbankrutował i ze zmartwienia dostał pomieszania zmysłów. Wyzdrowiawszy wrócił na Śląsk i tam z nowa rozpoczął swoje przedsiębiorstwo. P.Moschalowa dotarła do Koronowa, gdzie była przez pewien czas boną do dzieci. Tam ją poznał jej mąż i się z nią pobrał. Po nim odziedziczyła cały majątek i mogła żyć w dostatku. Była to dobra Polka i praktykująca katoliczka, ale strasznie próżna. Ładną to ona nie była. Nie duża, krępa o grubej szyi,jakby wciśniętej w tułowie, co sprawiało wrażenie jakby nieco garbatej, toaletą elegancką, wyszukaną, usiłowała nadrabiać, co jej natura poskąpiła. Toaleta musiała być zawsze najnowszej mody, drogocenna, efektowna. Mówiono mi, że każdorazowy jej garnitur nigdy nie wynosił mniej, niż tysiąc marek, co na ówczesną wartość marki niemieckiej stanowiło ogromny wydatek. Papierosy paliła bez przerwy. Stale leżał przed nią stos niedopałków.Bardzo też lubiła grać w karty. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że zażywała i morfinę. To też umarła nie dożywszy dni pięćdziesiątki. Sama była bardzo miła i gościnna. Wieczorki u niej były zawsze przyjemne i niekrępowane.Na każdym takim wieczorku zjawiała się w nowej,eleganckiej, błyszczącej toalecie. Raz pewnego zdarzyło się, że podczas kolacji jej wychowanka,Zosia, roznosząc dania przy stole, trąciła szczerką o ramię p.Moschalowej i wylała na jej suknię całą jej zawartość. Natychmiast p.Moschalowa, nie okazując najmniejszego zirytowania,przeprosiła obecnych i wyszła. Po chwili powróciła,ale już w nowej lśniącej połyskiem suknі,uśmiechnięta i zadowolona. W powrotnej drodze wobec pań, z którymi wracałem po wieczorku do domu, wyraziłem swoje ubolewanie i że ta jej wychowanka jej tak wielką szkodę wyrządziła i mój podziw spowodowała jej przy tym opanowania, na co otrzymałem taką odpowiedź: "Niech ks.wikary będzie spokojny ! To przecież była rzecz z góry ukartowana.Po prostu nie nadeszła z Bydgoszczy na czas nowa suknia. Dopiero, kiedy nadeszła, trzeba było jakoś konieczność zmiany upozorować i stąd ta komedia z wylaniem sosu". O kobieto, ty marny pucha, pomyślałem sobie. Ale bo też mnie absolutnie nie interesowało bogactwo toalety p.Moschalowej ani przyjemność na wieczorkach

u niej, a raczej jej użyteczność dla naszego towarzystwa młodzieżowego "Samopomoc". Jej wrażliwość na pochlebstwa i jej rozrzutność mogły i naszemu towarzystwu wychodzić na korzyść. Jeszcze było i kilka innych domów, z którymi utrzymywaliśmy stosunki towarzyskie: jak Dr. Szewców i aptek. Niżeńskich, ale tym nie chcę poświęcać osobnej uwagi. Z powyższego wynika dostatecznie, że życie nasze tam było wielce urozmaicone. I dobrze tak się złożyło, bo ułatwiała mi zniesienie tych gorzkich i bolesnych zawodów, których właśnie tam los mi nie oszczędził.

Towarzystwo młodzieżowe "Samopomoc".

Aczkolwiek w Koronowie istniał cały szereg towarzystw polskich, to jednak najbliższe i najmilsze mi było towarzystwo młodzieżowe "Samopomoc". Boże, młodzież była moją słabością. Towarzystwo to opierało się ideologicznie na tych samych podstawach, jak później w wolnej Polsce nasze katolickie stowarzyszenia młodzieżowe KSM. Zrobiliśmy z tej organizacji prawdziwą szkołę. Były tam wykłady z historii i literatury polskiej, nauka pisowni, deklamacje i śpiewy. Znalazło się dwuch domorosłych poetów, robotników, niestety, nazwisk już nie pamiętam, którzy przy lada sposobności wcale udolnie układali wierszyki. Obchodziliśmy uroczyście wszystkie rocznice narodowe, śpiewali zakazane pieśni narodowe. Z szczególną serdecznością żegnaliśmy odchodzących do wojska niemieckiego rekrutów. Stale im przy tej sposobności wpajałem, żeby się nie dali uwieść potędze militarnej Niemiec, bo choć one są silne, to P. Bóg jest nieskończenie od nich silniejszy i żeby ani na chwilę nie tracili wiary w zmartwychwstanie Ojczyzny. Było to w latach 1910 do 1914, choć ani przypuszczać wówczas nie mogłem, że ono jest już tak blisko. Wszystko to uchodziło nam bezkarnie. A kiedy czasem coś z tego docierało do policji, zwracałem się do p. Moschalowej, a ona sutą łapówką wszystko zaciszała. Dla wyjaśnienia trzeba mi jeszcze dodać, że, kiedy przybyłem do Koronowa, prezesem Samopomocy był Dr. Szews, młody lekarz, ponieważ moi poprzed-

nicy, wikarzy, się w tę pracę nie angażowali, ze względu na to, że ona im zamykała drogę do probostwa. Skoro atoli ja znalazłem się w Koronowie, Dr. Szews mnie ustąpił przewodnictwo, a sam został moim zastępcą. Próżność i rozrzutność p. Moschalowej usiłowałem wykorzystać dla naszych celów. Na obszernym placu tartacznym było dużo wolnego miejsca. To miejsce oddała nam p. Moschalowa na uprawienie na nim gier i sportu. W lecie w niedzielę i święta urządzaliśmy też wycieczki w bliższe i dalsze okolice. Pani Moschalowa, czuła na pochlebstwa i pochwały, każdorazowo towarzyszyła naszej wycieczce krytym wozem, zabierając w nim stosy wiktuałów i napojów na posiłek. W roku 1910 uchwaliliśmy urządzić wielką imprezę w parku "Grabina", gdzie była obszerna sala. Miał być pochód z lokalu zebrań przez miasto do parku i tam zabawa ludowa. Było to w lecie - zdaje się przy końcu czerwca czy w początkach lipca. Koronowska władza bezpieczeństwa odmówiła zezwolenia, motywując to tym, że społeczeństwo polskie 500 leciem bitwy pod Grunwaldem jest tak podnieconc, że łatwo dojść by mogło z tego powodu do zakłócenia publicznego spokoju. Oczywiście naszym ukrytym celem było uczczenie choć w ten sposób tej wiekopomnej rocznicy, ale przecież myśmy się z tym nie zdradzali. Zakaz ten zaskarżyliśmy przed sądem w Bydgoszczy, który go zniósł, motywując wyrok ten następującym uzasadnieniem: "Nie mogło być podstawą dla zakazu ze strony władzy bezpieczeństwa ogólnikowe tylko przypuszczenie możliwości zakłócenia spokoju publicznego, tylko należało podać dowody i fakty, z których by wynikało wniosek, że takie zaburzenie z pewnością nastąpi". Był to wyrok świadczący o pewnym poczuciu prawa i sprawiedliwości. Jednak, nim ten wyrok zapadł, nastąpiła już późna jesień i impreza w zamierzonych rozmiarach odbyć się już nie mogła. Urządzaliśmy od czasu do czasu przedstawienia amatorskie. Mieliśmy doskonałego reżysera w osobie niejakiego Bajrowskiego. Bajrowski miał tylko jedną połowę płuc. Nie przeszkadzało mu to jednak w zasilaniu swym czystym tenorem obydwuch towarzystw śpiewaczych: "św. Cecylii" i "Harmonii", istniejących na terenie koronowskim, a mianowicie chór kościelny i świecki. Tenże p. Bajrowski wykwalifikował się też na doskonałego reżysera. Tak długo piłował, urabiał, wprost zamęczał swoich

aktorów, dopóki ich nie doprowadził do pewnej perfekcji, tak, iż przedstawienia przez niego wyreżyserowane, miały duże powodzenie. A odgrywaliśmy i poważniejsze sztuki Bałuckiego, Fredry i "Chata za wsią" i t.d.

Wielki zjazd śpiewaczy.

W roku 1912 czy 13 - nie pamiętam już dobrze - odbył się wielki zjazd kół spiewaczych całego okręgu nad noteckiego. Zjechało się mnóstwo chorów z bliższych i dalszych stron, co stanowiło okazałą manifestację polskiej pieśni i polskiego ducha. Nie mam bynajmniej zamiaru opisać szczegółów tego wspaniałego zjazdu i występu poszczególnych kół. Jeden atoli zabawny szczegół utrwalił mi się niezatarcie w pamięci. Cała uroczystość odbyła się w parku Grabiny, gdzie była restauracja i obszerna sala. Wieczorem na tej sali odbył się koncert. Naturalnie cały zjazd dozorował nieodzowny stróż bezpieczeństwa, pruski żandarm. To też i w czasie koncertu nie było go brak. Siedział przy osobnym stoliku. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Niech sobie tam siedzi ! Aż tu naraz orkiestra wystąpiła z wiązanką pieśni polskich i t.zw. pół-polskich. W tę wiązankę wplatała też i melodie pieśni zakazanych. I to od razu wyrwało apatycznego stróża bezpieczeństwa z jego bezruchu, tak, że biegał co rusz od swego stolika do orkiestry, każdorazowo kiedy orkiestra wpadła w jakąś zwrotkę pieśni zakazanych jak: "Piękna nasza Polska cała", "Z dymem pożarów", "Bracia rocznica" i o zgrozo na "Boże, coś Polskę" itd. Za każdym razem zrywał się wtedy żandarm jak oparzony w kierunku orkiestry, ale nim ją osięgnął, orkiestra już przeskoczyła na inną melodię i musiał wracać na swoje miejsce. Liczna publika z wielkim ubawieniem przyglądała się tym niezwykłym wyczynom nożnym owego policjanta.

Tylko dwa dni pozwolono mi być zastępca kapelana więziennego.

W Koronowie, gdzie istnieje w miejsce skonfiskowanego

przez rząd pruski klasztoru Cystersów dom karny, kapelanem był ks.Paweł Czablewski, o polskim wprawdzie nazwisku,ale z przekonania Niemiec.Otrzymał on od rządu pruskiego przeniesienie do Przegu n"Odrą. Zawakowało więc w Koronowie stanowisko kapelana więziennego. Nim władze świeckie uzgodniły z władzą kościelną sprawę następcy, potrwało to pewien czas. W międzyczasie potrzebne było zastępstwo.Proboszcz Treder jako tak bardzo znienawidzony przez Niemców, z góry był wykluczony od zastępstwa. Ja byłem w Koronowie dopiero krótki czas. Koronowo administracyjnie należało już do rejencji bydgoskiej, a prowincji poznańskiej. Moja kartoteka widocznie jeszcze znachodziła się w nadprezenturze w Gdańsku. To też na terenie obecnym byłem nieznany. Otrzymałem więc z dyrekcji więziennej pismo, powierzające mi duszpasterstwo w domu karnym aż do przybycia następcy.Danym mi atoli było pozostać na tym stanowisku jedynie tylko dwa dni, a mianowicie w św.Piotra i Pawła i zaraz następującą po tym święcie niedzielę. Widocznie w międzyczasie nadeszły z Gdańska do Bydgoszczy moje akta personalne.Natychmiast władza ta zażądała od kierownictwa więziennego mego odwołania, co też nastąpiło. Odtąd przez cały czas tego dość długo trwającego wakansu, przysyłano kapelanów więziennych z Fordonu,Gniezna,Grudziądza. Widocznie obawiała się władza, że mógłbym być niebezpieczny dla tych przestępców.Miałem i w tym wypadku dowód, jak bardzo byłem znienawidzony przez władze pruskie.

Już i z tych dwuch nabożeństw odniosłem wielce przygnębiające wrażenie. Więźniowie prowadzeni byli na nabożeństwo pod eskortą dozorców, trzymających na ramionach naładowane karabiny. Tak samo asystowali oni całemu nabożeństwu w ten sam sposób, rozstawieni po kościele,stale gotowi do wystrzału w razie jakiegoś oporu. To też dni się wielce nie przejmowałem tym, że mi tego patrzenia na ludzi, traktowanych jak drapieżne bestie, w przyszłości oszczędzono. Było ono dla mnie zbyt bolesne, tymbardziej, że tam znajdowali się przeważnie nasi polscy ludzie. Jakiego pokroju to byli ci ludzie wśród tych przestępców, przekonać się mogłem na dwuch ministrantach,którzy mi służyli do Mszy św. Wydawali mi się zgoła sympatycznymi.

Wdałem się z nimi w rozmowę po nabożeństwie w zakrystii. Byli to jeszcze ludzie młodzi. Pytałem ich, za co siedzą. Naturalnie według ich tłumaczenia obydwaj byli niewinni. To tylko winą adwokata, że zostali skazani na karę więzienia, bo on tę sprawę zupełnie pokręcił. Gdyby tak mogli jeszcze uzyskać lepszego adwokata, to od razu byliby wolni. Nieśmiało pytali mnie, czybym ja im nie mógł jakiegoś dzielnego adwokata nastręczyć. Pytałem, na jak długo zostali skazani. Otóż jeden na dożywocie, drugi na lat 15. Już wiedziałem, co to za ptaszki. Jeden to morderca, drugi zabójca. A jakich genialnych wprost specjalistów posiadał ten zakład karny, miał możność przekonać się ks.prob.Treder. Otóż w plebanii znajdowała się spora kasa żelazna. Raz pewnego ks. Treder przez niedopatrzenie zatrzasnął drzwi szafy,w której znajdowały się klucze do niej. Przywoływał do jej otwarcia kolejno jednego ślusarza po drugim. Żaden z nich nie był wstanie otworzyć szafy. W rozpaczy zwrócił się do kierownictwa zakładu karnego, czyby mu dyrektor nie mógł znaleźć wśród skazańców takich, którzyby zdolni byli tworzyć drzwi tej szafy. Zgłosiło się koło 10-ciu. Z tych wybrał dyrektor tylko dwuch i ich przysłał do plebanii.Im to udało się w niespełna 10 minutach dokonać tej niezwykle skomplikowanej operacji. Byli to widocznie wyspecjalizowani mistrzowie od włamań.

O ile bicie u dzieci wyjątkowo dopuszczalne, to jednak nigdy w małżeństwie.

Utrzymywanie dyscypliny u młodzieży jest rzeczą niełatwą, zwłaszcza, jeżeli chodzi o większą ich ilość razem zebraną. Na nauce przygotowawczej do Sakramentów św.,która odbywała się w kościele, jako że parafia liczyła koło 5000 dusz, było tej młodzieży razem sporo. O ile u ogółu młodzieży udawało mi się utrzymywać ich w ryzach, to z jednym chłopcem żadną miarą rady dać sobie nie mogłem. Mało że sam się nic nie uczył i nie uważał, to swoimi nieustannymi wybrykami przeszkadzał innym dzieciom w nauce i uwadze. Pomny na te smutne następstwa, jakie pociągnął dla mnie

niesłusznie mi wymierzony policzek przez nieopatrznego profesora w gimnazjum, unikałem wymierzania kary cielesnej uczniom, ale w tym wypadku, po wyczerpaniu wszystkich innych środków, postanowiłem przykładnie ukarać go cieleśnie. Wziąłem go do zakrystii i tam wymierzyłem mu kilka dotkliwych razów na pośladek. Wieczorem tegoż dnia przyszedł do mnie jego ojciec, silnie podrażniony, wyrzucając mi, że niesłusznie tak dotkliwie ukarałem jego chłopca. Poprosiłem go, żeby się uspokoił i cierpliwie wysłuchał moich wywodów. Po wysłuchaniu ich, zmiękł zupełnie i przyznał,że wobec tego, iż dziennie jest zajęty pracą - był to robotnik - mało uwagi na swego zwracał syna - a żona jego też ma mało czasu, więc możliwe, że chłopiec się zupełnie rozpuścił. A przeto, ponieważ tak wy jak i ja mamy ten jedyny cel, oświadczyłem mu, aby z niego wyrósł porządny człowiek, więc podajmy sobie ręce, by dalej nad nim popracować." I skutek był wprost zadziwiający. Ten chłopiec od razu radykalnie się zmienił. Stał się wzorowym uczniem i wprost moim faworytem. Zauważyłem bowiem, że chłopiec ten nie okazywał mi nietylko żadnego żalu do mnie za tę chłostę, ale wprost się do mnie przywiązał i okazywał mi to na każdym kroku. W tym wypadku więc kara cielesna była pożyteczna i skuteczna. Natomiast w innym wypadku była ona naganna i wielce niewłaściwa. To też pewno zupełnie słuszna była moja stanowcza reakcja na nie. Naszymi współlokatorami we wikarjówce była rodzina Tobolskich, jeszcze dość młode małżeństwo. Kiedy się pobrali, ona już była wdową, miała jednego chłopca, Polesia, a potym przybył jeszcze nowy gość, Benuś. On sprawował funkcję zakrystiana. Wiodło im się nie źle. Oprócz dochodu z kasy kościelnej dorabiał on jeszcze wyrobem pantofli drewnianych, które ona po tym na targowisku sprzedawała. Była to rodzina wskroś poczciwa i na ogół żyli w przykładnej zgodzie, ale nie zawsze. Zdarzało się czasem, że jej ktoś skradł ze straganu towaru albo nie mogła się wyliczyć z uzyskanej gotówki, wtedy wpadał on w pasję, rzucał się na nią i ją bił. Czuła na jej łzy moja siostra skarżyła mi się o to. Aż wreszcie, kiedy mi tego było za dużo, wyzwałem go na funty, nie szczędząc mu wyrazów jak brutal, furiat i t.d. Skutek był ten, że bojąc się mnie

zaprzestał zupełnie tych niewłaściwości. Myślałem,że na tym się skończy ta arabska awantura. Aż tu po upływie pewnego czasu moja siostra mi się zwierza:"Wiesz ty,co się teraz u nich dzieje ? Teraz nie on na nią się rzuca i ją bije, a przeciwnie ona dopada do niego i go trzaska po gębie". Co miałem zrobić ? Musiałem z nią tak samo postąpić,jak z nim. I ją wykrzyczałem i wyzwałem, na co się tylko zdobyć mogłem. No i skutek był doskonały.Ponieważ teraz obydwaj mieli równy respekt i strach przede mną, więc ustały raz na zawsze te małżeńskie bokserskie wyczyny. Pozatym byli to jednak ludzie na wskroś uczciwi i uczynni, a ich chłopy również miłymi bachorami, to też nasze współżycie było miłe i życzliwe i z wielkim żalem żeśmy się z nimi rozstawali przy naszym wyjeździe z Koronowa.

Odwrotna strona medalu.
Przegrany proces.

Dotąd opisywałem jedynie pogodne, jasne strony mego życia koronowskiego. Inaczej atoli zgoła przedstawia się odwrotna strona medalu. Tu los nie oszczędził mi sporo bolesnych ciosów i przykrych zawodów. Los tu jakby się uwziął, by mię wprost bujać raz to w kierunku zwodniczych nadziei, to znów pogrążać w rozczarowania i beznadziejności. Jak zmora trapił mnie nieustannie ten już trzeci rok wlokący się proces jeżewski o to urojone polsko. Sprawa sama w sobie była jasna i prosta. Żądanie przywrócenia tego polska było wprost śmieszne,zakrawało na kpiny. Ale za tą sprawą stali wpływowi ludzie, na ich czele landrat, który i na sąd wpłynąć był zdolny. A przytym sprawa ta miała posmak polityczny. To też zrozumiałe, że z wielkim niepokojem czekałem na ostateczne rozstrzygnięcie. Co ja poczne, jeżeli proces przegram ? Wszak będę musiał w takim razie i koszty przeciwnej strony płacić, a one będą nie małe. Kiedy razu pewnego w gronie księży biadałem nad moją niedolą, ks.Gustaw Pobłocki, już wówczas staruszek, proboszcz z Wtelna- mnie pocieszał:

"Biedaku, jak przegrasz, to przyjedź do mnie,ja ci pomogę". Było aż trzech księży Pobłockich. Jeden proboszcz w Chełmnie, drugi w Niedźwiedziu, trzeci w Otelnie.Wszyscy trzej uchodzili za dobrze uposażonych proboszczów.No i przegrałem. Sąd przeszedł do porządku na zeznanie kilkunastu moich świadków, a dał wiarę owym dwom Niemcom, nałogowym pijakom, że czasami płot się obalił i wtedy jednak pojono bydło, moją skargę oddalił i skazał mnie na pokrycie wszystkich kosztów. A tych kosztów było mnogo. Nie pamiętam już dokładnie ich wysokości, ale coś mi się zdaje, że około 1500 mrk. Byłem tym zupełnie zbity. Teraz stanąłem wprost na krawędzi nędzy. Skąd tyle pieniędzy wziąć ? A po za tym posiadłość to straciła na wartości, a już i tak była przepłacona. A przecież za pożyczone pieniądze ja ją nabyłem. Te rozważania wprost do rozpaczy mnie doprowadzały. Jestem teraz zarznięty po uszy w długach bez jakichkolwiek widoków ich spłacenia z moich wikariuszowskich dochodów. Przyszłość moja w ten sposób przedstawiała mi się w najczarniejszych barwach. Na razie chodziło przede wszystkim o zdobycie pieniędzy na zapłacenie kosztów sądowych. Inaczej bowiem gotowi wystawić na przetarg publiczny ową niefortunną posiadłość w Jeżewie.Przypomniała mi się obietnica ks.Pobłockiego z Otelna. Siadam do kolejki i jadę do niego. Przedstawiam mu moje utrapienie. Wysłuchał mnie cierpliwie, aż wreszcie odzywa się do mnie:"Biedaku, doprawdy żal mi ciebie, ale pomoc ci nic nie mogę. Widzisz odnowioną i dobudowaną wieżę kościelną. W nią wszystkie moje pieniądze wmurowałem". Już mi naprawdę obojętne było, czy wmurował czy nie wmurował. Tyle tylko wiedziałem, że pomocy żadnej stąd nie otrzymam. Powiedziałem tedy sobie:"Pomocy z nikąd nie otrzymasz.Musisz sam sobie radzić. Miałem już dość bogatą bibliotekę m.i. Herdera Kirchenlexikon i Wejera Encyklopedię. Po za tym jeszcze sporo innych wartościowych książek. Sprzedałem je do antykwariatu, oczywiście po wielce zniżonych cenach. Miałem też opracowanych kilkanaście kazań. Posłałem do Biblioteki Kaznodziejskiej. Otrzymałem za nie coś przeszło 200 mrk. Mojego nazwiska podać nie kazałem. Po za tym, co tylko się dało, spieniężyłem,a ponieważ to wszystko razem jeszcze nie starczyło, poje-

chałem do Jeżewa i do Liszkowskich. Poprosiłem ich o podpisy swoje na wekslu i dopożyczywszy resztę z naszego Banku posłałem do sądu w Grudziądzu.

" A ja Judasz, a ja zdrajca" !
Błysk nadziei - niestety zwodniczy.

Pewnego dnia - było to przed południem - krótko po przegranym procesie, właśnie siedziałem odmawiając brewiarz, gdy naraz otwierają się drzwi gwałtownie i wpada jakiś wysokiego wzrostu mężczyzna, niesamowicie dzikim czy zbolałym wyrazem twarzy, rzuca się przede mną na kolana, obejmuje je, kładzie na nie swą głowę i ze szlochem, zanosząc się prawie od płaczu, wykrztusza urywane słowa: "A ja Judasz, a ja zdrajca, a ja podły człowiek ! Czy ksiądz mi może wybaczyć ? A moja żona, ona mi to stale przepowiadała ". Nie wiedziałem, co to wszystko znaczy. Miałem wrażenie, że mam i tu, jak wówczas w Jeżewie, z obłąkanym do czynienia. Podnoszę go, sadzam go na krześle obok siebie, patrzę mu w twarz i widzę, że to Gackowski z Jeżewa. Uspokajam go i proszę go, żeby mi z całym spokojem wyjawił, co go do mnie sprowadziło. Na to, już zupełnie uspokojony, daje mi następującą odpowiedź "Proszę Księdza ! Ks. chyba wie, że to ja jestem winien temu, że ksiądz miał ten proces i z powodu niego tyle zmartwienia i tyle kosztów. Dałem się namówić i zdradziłem księdza. Dopuściłem się nietylko zdrady, ale i wielkiej niewdzięczności wobec księdza wikarego. Ksiądz mi zupełnie bezinteresownie przygotował chłopca do gimnazjum. Chłopiec został przyjęty do II klasy gimnazjum i dobrze mu się powodzi. A ja księdzu tak haniebnie się odpłaciłem. A moja ukochana żona ciągle mi wyrzucała: "Tyś księdza zdradził, tyś zdradził sprawę polską i katolicką. Za to nas musi P. Bóg ukarać". No i obawy i przewidywania żony się spełniły. Kilka dni temu żona zupełnie zdrowa położyła się do łóżka, a rano, kiedy się zbudziłem, już nie żyła. Ja widzę w tym wyraźnie palec Boży, karę Bożą za moją zdradę, że mi Bóg zabrał moją ukochaną żonę. Teraz

przybyłem do ks.wikarego, czy może mi wybaczyć ten mój nikczemny postępek, żebym i ja się mógł uspokoić, a może i moja żona na tamtym świecie." Oświadczyłem mu, że już dawno o tej sprawie zapomniałem. Wprawdzie dziwiłem się wówczas, że tak postąpił, ale żadnego do niego żalu nie miałem i chętnie mu przebaczam. A co do tego procesu, powiadam,co się już stało, to już odstać nie może. "A ja właśnie też i po to przyjechałem, odpowiada, żeby księdza pocieszyć. Ja się postaram, że ta krzywda zostanie księdza naprawiona. W naszej gminie jest teraz inny zupełnie skład i inny duch. Wszyscy radni jesteśmy teraz Polakami, a i sołtys jest Polakiem. Ja się postaram, że rada gminna unieważni swą uchwałę z przed trzema laty i zrzeknie się swych pretensyj do tego pciska". "O, co do tego, jeżeli się panu uda, będę panu wdzięczny," odpowiedziałem mu . Odjechał.Nowa otucha wstąpiła w mą duszę. Ale nie uspokoiłem się całkowicie. Znałem bowiem na wylot ustawę o samorządzie gminnym,t.z. "Landgemeindeordnung",z którego wynikało, że w pewnych ważniejszych sprawach wydział powiatowy ma prawo ingerencji. Liczyłem jednak na to, że ta sprawa może nie da się podciągnąć pod ten paragraf. Niedługo po powrocie Gackowskiego otrzymałem też od niego wiadomość, że rada gminna jednogłośnie uchwaliła zrezygnować ze swego prawa do tego pśiska. Ale nie trwało długo, a otrzymałem drugą wiadomość, a mianowicie, że wydział powiatowy w Świeciu tę uchwałę unieważnił. I wtedy byłem znów tak daleko jak przed tym. Udałem się ponownie do mych adwokatów w Grudziądzu. Oświadczyli mi, że nie pozostaje nic innego, jak wytoczyć checnie nowy proces i to wydziałowi powiatowemu. Pocieszali mnie, że ten proces nie będzie już tak kosztowny jak tamten i nie potrwa tak długo.Nie obiecywałem sobie nic dobrego i po tej skardze.Nie chciałem jednak Niemcom ustąpić bez walki i dałem mój podpis i pod ten proces drugi. I rzeczywiście trwał on tylko dwa lata. Oczywiście rezultat był ten sam jak i w pierwszym procesie. Skargę odrzucono. Mecenś Łaszewski jeszcze osobno, oczywiście w moim imieniu, wystosował pismo do ministerstwa sprawiedliwości /Justizminister/,naświetlając odpowiednio sprawę. Ale i stamtąd nadeszła lakoniczna odpo-

wiedź: "Wir sind nicht in der Lage ". I na tym się ostało.

I po raz wtóry uśmiechnęła się do mnie fortuna. Tak samo zwodniczo . Ks.Biskup się rozmyślił.

Po tym zawodzie, którego doznałem w związku z tym przyjazdem p.Gackowskiego, znów czarne myśli mnie opanowały. Już i tak grzęsłem w długach, a tu jeszcze nowy proces, nowe wydatki i wynik bardzo wątpliwy. I tym jawił się ponowny błysk nadziei, wydający się być bardziej realnym. Pewnego dnia przychodzi do mnie Dr.Englich, adwokat z bydgoszczy. Przysyła go eks-sędzia Chmielewski. Spotkali się w kolei.Chmielewski go poprosił,żeby osobiście mi tę sprawę przedstawił. Otóż w listopadzie r.1910 umarł proboszcz w Klonówce pow.Starogard gdański ks.Pałczyński. Patronem kościoła, który miał prawo wyboru kandydata na proboszcza, był Polak Kalkstein.Sędzia Chmielewski polecił mi powiedzieć,że, ponieważ Kalkstein jest chory na rozmiękczenie mózgu, ma dwuch kuratorów w osobie Jana Donimirskiego z Buchwałdu pod Malborkiem i Niemca niejakiego Neumanna. Ten Niemiec daje atoli p.Donimirskiemu zupełnie wolną rękę co do obsadzenia probostwa. A ten Donimirski jest jemu - Chmielewskiemu - dobrze znany,ponieważ był on elewem w majątku jego ojca. Radzi mi więc p.Chmielewski, abym się o to probostwo starał. On się już postara, że ja tę prezentę otrzymam. Wahałem się, czy to uczynić czy nie. Wszak należałem do tych księży, którzy przez rząd byli reprobowani od probostwa. Jednak z drugiej strony uprzytomniałem sobie, że w wyjątkowych wypadkach, gdzie ks.Biskup miał prawo obsadzenia probostwa, albo prywatny patron, ks.Biskup takiego u rządu źle zapisanego księdza pozostawił tam jako stałego administratora. Że rząd pruski w moim wypadku założy veto, tego byłem pewny, liczyłem atoli na to, że ks.Biskup może i co do mojej osoby zrobi taki wyjątek. Ks.prob.Treder też mi radził się zgłosić na wszelki przypadek,oświadczając: "Zobaczymy, co z tego wyniknie ". A przy tym podał mi jeszcze, że ten Jan Donimirski jest siostrzeńcem p.

Mieczkowskiego, prezesa rady nadzorczej tut.Banku Ludowego. On go już odpowiednio obrobi,że prezentę otrzymam. No i zgłosiłem się listownie do p.Donimirskiego, doniosłem też o tym p.Liszkowskim. Po pewnym czasie donosi mi p.Liszkowska, która, jak mi doniesiono, wprost od telefonu nie odchodziła, propagując moją osobę, że pisał jej p.Donimirski, iż ma wielki kłopot z wyborem kandydata na to probostwo. Zgłosiła ich się bowiem duża liczba, coś,jak mi się zdaje, aż do 50-ciu, co jest zrozumiałe, zważywszy, jak trudno było ks.Polakowi uzyskać od rządu probostwo. Jednak ci wszyscy odpadają. Pozostaje jedynie dwuch, a mianowicie moja osoba i jeszcze ktoś inny, którego nie wymienił. Jest w wielkim ambarasie, bo obydwaj są równie polecani i gorąco popierani. Dopiero, kiedy już było po wszystkim, dowiedziałem się, kto był moim rywalem. Otóż był nim mój kuzyn,ks. Bernard Dembek,późniejszy sufragan w Łomży. Ponieważ nie spotkaliśmy się w tym czasie, nie wiedzieliśmy o sobie. Pomiędzy nim i mną - z wykluczeniem nas samych, odbyła się gorąca walka o odnośną kandydaturę. Mój kuzyn miał za sobą Donimirskich z Łysomic, Działowskich z Mgłowa,Ślaskich z Webcza, Mellinów z Kamowal. Po mojej stronie stali: Liszkowscy z Lipienek,Parczewski z Belna, Mieczkowski z Nieciszewa, Chmielewski z Sopotu, no i mój proboszcz. Można sobie tedy wystawić, w jakich znalazł sił opałach ten biedny Donimirski, kiedy jedna i druga strona z równym do niego szturmowała impetem. Widocznie jednak, że moja partia była silniejsza, bo ona to odniosła zwycięstwo. Pierwszym, który się o tej decyzji p.Donimirskiego dowiedział, był mój proboszcz. Zatelefonował mu do banku p.Mieczkowski. Natychmiast przerwał swoje urzędowanie w Banku i co tchu biegł do mnie do wikaryjki. Tak był tym przejęty, że już w sieni słychać było jego tubalny głos: "Gratulor,gratulor, Reverende". W pokoju siedziała u mnie jakaś kobieta w sprawie Mszy św.,a ja wstąpiłem właśnie po coś do sypialni.Było to już w grudniu, okulary zaszły mu parą,tak że tej kobiety nie widział.Pędząc do sypialni przewrócił ją z krzesłem, nie zatrzymując się aż w sypialni.Tu dopiero uchwyciwszy moje obie ręce i ściskając je,wynurzał mi swoje życzenia i swoją radość. Tą jego aż tak daleko po-

saniętą życzliwością byłem wprost aż do łez wzruszony.

Nasuwało się teraz to wielkie pytanie: co zrobi Biskup z tą prezentą ? Jeżeli poślę ją rządowi do notyfikacji, to po wszystkim. Rząd napewno założy veto. Ale przecież nic nie zmusza Biskupa, by to musiał uczynić. Jeżeli nie życzy sobie, żeby tam był proboszcz, to może mnie posłać tam dotąd jako administratora i w takim charakterze mogę tam pozostać aż do śmierci. Nie długo nie potrzebowałem czekać na wyjaśniającą odpowiedź. Niebawem otrzymuję od ks. Dr. Czapli, który wykładał historię kościelną w Seminarium Duchownym w Pelplinie, jako jego profesor, list następującej treści: "Z autorytatywnej strony zostałem upoważniony, by księdzu donieść, co ks. Biskup zamierza uczynić z Jego prezentą. Ks. Biskup obawia się, że rząd założy veto i dla tego nieznacznie księdza wsunie jako administratora do Klonówki, a skoro tam już raz ksiądz będzie, zostanie administratorem na stałe. Nie nastąpi to jednak zaraz, by to nie podpadło, tylko dopiero przed Wielkanocą przy ogólnej ruchawce księży po wyświęceniu nowych kapłanów". Taki sam list otrzymał i p. Doniwirski. "O Boże, pomyślałem sobie, jak wdzięczny Ci jestem za to, coś mi uczynił! Toć to przechodzi najśmielsze moje marzenia ! Teraz będę miał dobrze udotowane probostwo. Jako dotacja była tam bowiem 420 morgów pszennej gleby. Będę miał już samodzielną placówkę duszpasterską, nie będę się potrzebował tułać już więcej po rozmaitych kątach diecezji, bo będę miał stały grunt pod nogami. A co najgłówniejsze, dochodowość poważna pozwoli mi wybrnąć z tego koszmarnego zadłużenia." Mój dotychczasowy żal do ks. biskupa ustąpił miejsca serdecznej wdzięczności, jaką za to posunięcie uczułem do niego. "Z autorytatywnej strony", to przecież nic innego jak tylko od ks. Biskupa. Prawdzie jeszcze będzie trzeba poczekać 3 miesiące na dekret, ale co tam znaczą głupie trzy miesiące, kiedy po nich znajdę się jakby w raju. Rozpływałem się wprost w szczęśliwości jak ktoś biedny, który nagle wygrał wielki los w loterii. Dłużył mi się wprost każdy dzień, każdy tydzień, żeby się jak najprędzej doczekać tej szczęśliwej chwili. Nadchodzą ostatnie tygodnie przed Wielkanocą. Są już i święcenia nowych

kapłanów, a po nich nastąpią zapowiedziane rugi.Są i one. Nie mogę się doczekać"Piel rzyma", w którym były ogłaszane. Nareszcie są. Zwykle dokonywały się w trzech seriach.Jest ogłoszona pierwsza seria.Cóż, mego nazwiska nie widzę.No to nic. Znajdzie się w drugiej serii.Jest i druga seria i tam mnie nie ma. No, to chyba nastąpi napewno w trzeciej. Ale i w trzeciej mnie nie ma. Przerażony biegnie do nego proboszcza."Księże dziekanie ! proszę bardzo, niech ks. dziekan jedzie do Pelplina i dowie się, co się naraz stało". Poczciwy ks.Treder i tym razem nie odmówił.Pojechał natychmiast. Generalny Wikariusz Schaemer był jego kolegą kursowym. Razem byli też święceni. Wraca z wesołą miną. "Wszystko, zapewnia mnie, jest w najlepszym porządku.Otóż ks.Bruno Klebba, obecny administrator Klonówki, zgłosił się na stanowisko kuratusa w więzieniu karnym w Koronowie.Nie ulega wątpliwości, że rząd się na to zgodzi. A wtedy on pójdzie jako kuratus do Koronowa, a ks.Dembiecki w jego miejsce jako administrator Klonówki.Ten argument trafił mi całkiem do przekonania. Cóż począć ? Trzeba poczekać jeszcze, aż go rząd potwierdzi. Aż naraz zjawia się u mnie i ks.Klebba. Ks.Klebba był moim kolegą kursowym.Uchodził za Polaka i tylko z Polakami się łączył. To też ogromnie byłem zdziwiony, kiedy naraz,wchodząc do mego pokoju, pozdrawia słowy: "Gelobt sei Jezus Christus". "Bronku !, odpowiadam, czyś ty zwariował ? Po jakiemu ty gadasz ?" A on mi na to: "Joseph, ich bin jest Beamter, ich muss deutsch sprechen" /Ja teraz jestem urzędnikiem,muszę przeto mówić po niemiecku/. Szwargoc ty sobie,ile tylko zechcesz po szwabsku, ale przecież nie ze mną i to jeszcze w moim pokoju, kiedy nas nikt nie słyszy. A on mi na to: "Joseph, auch die Wände haben Ohren" /I ściany mają uszy/. Pytam go nerwowo dalej, czy nie wiadomo mu, kto na jego miejsce przychodzi do Klonówki. Odpowiada mi: 'Der Zekryś aus Schwetz". Tchu mi wyrost zabrakło w piersiach. To więc nie ja, a ks.Zykryś ? Cóż to ma znaczyć ? Walę natychmiast do ks.Tredera i opowiadam mu, co usłyszałem. Ks.Treder dał wyraz swemu oburzeniu i oświadczył,że zaraz jutro pojedzie do Pelplina, aby się dowiedzieć całej

prawdy. Wraca z posępną miną i oświadcza mi,że sprawa z Klonówką stracona. A mianowicie ks.Biskup miał szczery zamiar posłać ks.Dembieńskiego jako administratora do Klonówki. Zwlekał jednak z ostateczną decyzją, aż kiedy upływał czas przewidziany do wysłania prezenty do notyfikacji do rządu. W końcu się rozmyślił. Przemogła u niego bowiem obawa, że może stąd wyniknąć zatarg z rządem i wysłał prezentę do notyfikacji do rządu. I nadszedł zdecydowany sprzeciw rządu. Biskup ma oczywiście jeszcze prawo odwołania się do rady ministrów [illegible] w Berlinie, ale Biskup nie widzi żadnych widoków powodzenia. Na zapytanie: "A co będzie z moim wikarym?" odpowiedział lakonicznie: "Pozostanie tym, czym był dotąd". Prysły więc wszystkie moje piękne nadzieje, rozwiały się słodkie moje marzenia. Pozostała nadal ponura, ciężka rzeczywistość.

Odpis z oryginału.

Der Oberpräsident
der Provinz Westpreussen
O.P.I. Nr.4983

Danzig, den 22.April 1911.

Auf das gefällige Schreiben vom 11. dieses Monats M.136 - erwiedere ich ergebenst, dass ich gegen die Anstellung des Vikars Joseph Dembieński aus Crone ad. B. als Pfarrer an der katholischen Kirche zu Klonowken im Kreise Pr.Stargard auf Grund des § 16 des Gesetzes über die Vorbildung und Anstellung der Geistlichen vom 11.Mai 1873 in der Fassung des Art.2 der Novelle von 1887 Einspruch erhebe.

Zur Begründung dieses Einspruchs weise ich ergebenst darauf hin, dass D e m b i e ń s k i zu denjenigen Geistlichen gehört, welche seiner Zeit in den Thorner Geheimbundsprozess verwickelt gewesen sind. Durch Urteil der Strafkammer des Königlichen Landgerichts zu Thorn vom 12.September 1901 ist D e m b i e ń s k i wegen Vergehens gegen die öffentliche Ordnung im Sinne des § 128 des Reichsstrafgesetzbuchs zu drei Wochen Gefängnis rechtskräftig verurteilt worden. Von den damaligen Angeklagten ist er mit am schwersten bestraft worden, weil festgestellt

worden war, dass er sich des ihm zur Last gelegten Vergehens in besonderem Masse um deswillen schuldig gemacht hatte, weil er in den in Frage kommenden geheimen Verbindungen eine leitende Stelle, die eines Gruppenführers, bekleidet, für die Ziele dieser Verbindungen mit besonderem Eifer gewirkt hatte, und mithin mit als ein Führer der damaligen staatsfeindlichen Bewegung angesehen werden musste. Ich kann davon absehen, auf diese seiner Zeit genügsam erörterte Angelegenheit an dieser Stelle des Näheren einzugehen, hatte Dembieński durch seine damalige Tätigkeit bekundet, dass sein Fühlen und Denken darauf gerichtet ist, den zwischen der deutschen und polnischen Bevölkerung bestehenden, das Gemeinwohl gefährdenden Gegensatz noch zu verschärfen und hatte er sich zu diesem Zwecke - damals schon Kleriker ohne Scheu in Unternehmungen eingelassen, welche die Staatssicherheit gefährden müssen, so hat er die gleiche Gesinnung auch in seinen späteren Lebensstellungen stets unverhohlen zum Ausdruck gebracht, indem er sich überall mit grossem Geschick und ebensolcher Rührigkeit als ein zielbewusster Agitator für die grosspolnischen Bestrebungen erwiesen hat.

Er hat dadurch beispielweise in J e s c h e w o im Kreise Schwetz den bürgerlichen Frieden völlig zerstört, worauf alle von ihm ausgehenden Gründungen - Volksvereine, Kapiec, Bank Ludowy, Bazar - von vornherein unverkennbar gerichtet gewesen sind. Unter diesen Umständen treffen die Voraussetzungen des § 16 Ziffer 2 u.s.O. auf D e m b i e ń s k i zu, und er kann deshalb zur Verwaltung einer Pfarrerstelle diesseits nicht für geeignet erachtet werden.

/-/ v.Jagow

An den Bischof von Culm
Herrn Dr.Rosentreter
Bischöfliche Hochwürden
in Pelplin

Tłumaczenie.

Nadprezydent
Prowincji Prus Zachodnich
O.P.I. Nr.4985

Gdańsk, dnia 2.kwietnia 1911 r.

Na łaskawe pismo z dnia 11.bież.miesiąca BB.136 odpowiadam najuprzejmiej, iż wnoszę sprzeciw przeciw ustanowieniu wikarego ks.Józefa Dembieńskiego z Koronowa nad Brdą, proboszczem katolickiej parafii w Klonówce w powiecie kr. Starogard, na podstawie § 16 prawa o wykształceniu i ustanowieniu duchownych z 11.maja 1873 w ujęciu artykułu 2 noweli z 1887 r.

Dla umotywowania tego sprzeciwu wskazuję uprzejmie na to, iż Dembieński należy do tych księży, którzy swego czasu zawikłani byli w toruńskim procesie o tajne organizacje. Wyrokiem izby karnej królewskiego sądu ziemiańskiego w Toruniu z dnia 12 września 1901 r. został Dembieński za przestępstwo przeciw publicznemu porządkowi w myśl § 128 państwowej księgi karnej na 5 tygodnie więzienia prawomocnie zasądzony. Z pośród ówczesnych oskarżonych należy on do tych, którzy najsurowiej zostali ukarani, ponieważ stwierdzonym zostało, że zarzuconego mu przestępstwa stał się w szczególnej mierze winnym, ponieważ on w grę wchodzących tajnych organizacjach kierujące zajmował stanowisko, a mianowicie przywódcy grupy, dla celów tych związków z szczególną działał gorliwością i dla tego uważany być musiał jako wódz ówczesnego państwowo wrogiego ruchu. Mogę odstąpić od tego, by na tę swego czasu dostatecznie rozstrząsaną sprawą jeszcze na tym miejscu wchodzić, ujawnił Dembieński przez swoją ówczesną działalność, że jego uczucia i myśli skierowane były ku temu, by istniejące między niemiecką i polską ludnością, dobru powszechnemu zagrażające przeciwieństwo jeszcze bardziej zaostrzać i wdał się on w tym celu - wówczas już jako kleryk, bez wahania w przedsięwzięcia, które zagrażać muszą bezpieczeństwa państwa, takie samo usposobienie okazywał on na późniejszych swych stanowiskach życiowych, okazując się wszędzie z wielką zręcznością i takąż samą ruchliwością jako celu świadomy agitator dla wielkopolskich dążności.

Zburzył on na przykład w Jeżewie w pow.świeckim pokój obywatelski w zupełności, ku czemu skierowane były z góry wszystkie od niego wychodzące przedsięwzięcia jak Towarzystwa Ludowe, Kupiec, Bank Ludowy, Bazar. W tych okolicznościach wszystkie założenia § 16 litera 2 u.a.O. mają co do Dembieńskiego zastosowanie i z tego powodu nie może on być uznany za zdolnego do zarządzenia parafią.

podpis

v.Jagow

Do Biskupa Chemińskiego
Ks.Dr.Rosentretera
Biskupia Wielebność
w Pelplinie

Znów ta sama historia. I znów ks.Biskup się rozmyślił. Tym razem już tylko o lokalny wikariat czyli kurację.

Przybity straszanie tym tak bolesnym dla mnie zawodem już straciłem wszelką nadzieję na poprawę mego bytu, gdy nagle otrzymuję list, który mnie znów podniósł na duchu i nową wzbudził w duszy nadzieję. List ten pochodził od ks.Dr.Krefta z Zblewo. Ks.Krefty nie znałem osobiście. Słyszałem tylko o nim, że jest zasłużonym, ofiarnym kapłanem i dobrym Polakiem. Zasłużył się, m.i. i tym, że chętnie tworzył nowe placówki duszpasterskie, budował nowe kościoły. Został podczas okupacji jako proboszcz w Tucholi, po zbudowaniu tam wspaniałej świątyni, zgładzony w obozie przez hitlerowców. Otóż treść tego listu miała następujące brzmienie: "Mój kochany ks.Bracie ! Wyrażam Ci moje serdeczne, głębokie współczucie z powodu tej krzywdy, jaką doznałeś w sprawie Klonówki. Ale to,co Ciebie spotkało, to nie tylko Ciebie boli, ale nas wszystkich księży Polaków. A ja postanowiłem przyjść Ci z pomocą. Tworzę tu w obrębie mojej parafii nową placówkę duszpasterską w Piecach. Nowy kościół już stoi pod dachem, a budowę plebanii i innych zabudowań gospodarczych się już również rozpoczęła. Ja gorąco sobie życzę, byś Ty tu przyszedł jako kuratus, a chyba Biskup się na to zgodzi, ponieważ połowę kosztów zobowiązałem się pokryć z mojej własnej kieszeni. Przyjedź możliwie zaraz do mnie, obejrzyj sobie to, a,jeżeli Ci się podobać będzie, to zaraz stąd możesz jechać do Biskupa,a ja jeszcze osobno do niego napiszę. Prawdzie nie będzie to już to samo co w Klonówce, ale ja w każdym bądź razie poste-

ram się, żebyś tu biedy nie miał. " Naturalnie pojechałem. Już sam krajobraz był podług mego gustu. Kościół na wzgórzu, górował nie tylko nad całą wioską Piece, ale i dalszą okolicę. Plebania, której ściany już stawiano, wielopokojowa i według planu łącząca się korytarzem z kościołem, dawała dużo wygód. Ks.Dr.Kreft jak najserdeczniej mnie ugościł i zaraz ze Zblewa pojechałem do Biskupa.Stanąwszy przed jego obliczem, zapytałem go najpierw o Klonówkę, czy jeszcze jest jakaś nadzieja. Zauważyłem na jego twarzy, że to moje pytanie sprawiło mu przykrość. Odpowiedział,że nie ma żadnej nadziei. Przedstawiłem mu sprawę Pieców. Zaobserwowałem, że twarz jego się rozjaśniła. Widocznie ucieszył się, że nadarza się możliwość naprawienia gdzieniekąd tego mi sprawionego zawodu z Klonówką. Zadowolonym tonem odpowiada mi:"Ja,ja, das können Sie haben." Dem steht nichts im Wege" /Tak,tak, to ksiądz może mieć, temu nic nie stoi w drodze/. Ale, zaznacza ks.Biskup, to jeszcze potrwa do wiosny przyszłego roku, aż zostanie wszystko ukończone. "Bischöfliche Gnaden!,mówię, niech to potrwa jeszcze i do wiosny przyszłego roku, ale bym tym razem ja miał pierwszeństwo/ pewność. Na co Biskup: "Ja,ja, das werden Sie bestimmt haben.Damit ich es nicht vergesse, werde ich sogleich für Piece notieren"/Tak,tak, to ksiądz będzie miał na pewno. Abym tego niezapomniał, sobie zaraz to zapiszę/. I wyszukał jakiś gruby notatnik i moje nazwisko jako kuratusa na Piece zanotował. Czy mogłem wówczas, kiedy żegnając się z ks.Biskupem jeszcze raz usłyszałem jego zapewnienie, że to będzie "bestimmt", choć na chwilę przypuszczać, że i tym razem będzie to samo, co z Klonówką? Pewno, że nie obojętnym mi było, że trzeba będzie czekać na spełnienie tej obietnicy aż tak długo, ale powiedziałem sobie:"Uzbrój się w cierpliwość i czekaj !"Na Klonówkę czekałeś pół roku, poczekaj na Piece i 3/4 roku, wszak to już teraz mirowane "ganz bestimmt". Było to w lipcu 1911 r. Minęło lato, minęła jesień, zima, nadeszła wreszcie ta oczekiwana przezemnie wiosna już roku następnego, 1912. Czekam na dekret z Pelplina. Wkrótce otrzymuję list od ks.Krefta z istną bicbową wiadomością. Otóż doniósł mu ks.kanonik Bielecki, jeden tylko z dwuch kanoników Polaków w kapitule, że na sesji była mowa i o Piecach

i w trakcie tej rozprawy ks.Biskup wyraził swą wątpliwość, czy będzie mógł tamdotąd posłać ks.Dembieńskiego,ponieważ on tak jest źle zapisany u rządu, że z powodu niego mógłby on, Biskup, napotkać na trudności w uzyskaniu pozwolenia na tworzenie nowych placówek duszpasterskich ze strony rządu. Ks.Dr.Kreft, zacny i gorliwy kapłan, jedną miał tylko słabość. Był porywczy, jak mówią, w gorącym kąpany. To też otrzymawszy od ks.kanonika Bielickiego tę wiadomość,natychmiast usiadł i wystosował do Biskupa w ostrym tonie urtzymany list, w którym zaznaczył, że Biskup dał tak ks. Dembieńskiemu jak i jemu samemu przyrzeczenie, a słowo Biskupie musi być dotrzymane i że on się na żadnego innego księdza nie zgodzi. Mnie zaś zapewnił ks.Kreft, żebym był spokojny, bo on już swoje przeprowadzi. Ale jakoś upłynęła znów i druga wiosna, nastało lato. Ks.Kreft nieustannie zasypywał Kurię Biskupią listami, domagając się decyzji, ale ta decyzja jakoś nie nadeszła. Tak minęło i lato, nastała jesień - czekam i nic. Dopiero późną jesienią, kiedy nastąpiły już słotne dni, ks.Biskup posłał osobną komisję do Pieców, która miała stwierdzić, czy kościół i plebania już dosyć wyschły, by mogły być oddane do użytku. Oczywiście komisja, znając intencję ks.Biskupa, orzekła, że nie. Taką przezorność Władza Biskupia tylko w tym wypadku zastosowała, wszędzie indziej bowiem, skoro tylko kościół stanął pod dachem, a już stawiano prowizoryczny ołtarz i odprawiano nabożeństwo. Było aż nadto widocznym, że Biskup gra na zwłokę, idzie na wytrzymałego. Danego słowa nie chce cofnąć, ale też nie chce ustąpić. Przeszła i druga zima i nastała dalsza wiosna. Ks.Kreft domaga się przecież koniecznie spełnienia danego przyrzeczenia. Zamiast dekretu otrzymuję ks.Kreft z Pelplina pismo, że ks.Dembieńskiego nie może dla tego posłać, ponieważ nie ma w Piecach dostatecznego dla księdza utrzymania. Ale to tylko w tym wypadku Władza Biskupia z takim żądaniem wystąpiła. Wszędzie indziej, gdzie tylko utworzono taką nową placówkę duszpasterską, władza Biskupia odnośnych parafian zobowiązała do t.zw. sypki na utrzymanie księdza t.j., że parafianie w stosunku do posiadanych hektarów zobowiązali się oddawać odpowiednią ilość zboża.

Kiedy i to opowiedziałem memu proboszczowi, aż się zatrząsł z oburzenia. Ale po chwili zastanowienia się, już zupełnie uspokojony, odzywa się do mnie:"A może to i dobrze tak.Będziemy mieli ich już zupełnie w ręku. Postaramy się o uposażenie, ale wtedy już niczym nie będą się mogli wykręcić. Niech ksiądz zaraz idzie się przebrać.Ja poślę po konie i pojedziemy do ks.Splonskowskiego, do Byszewy,sąsiedniej parafii". Był to sędziwy proboszcz, miał jedno z najbogatszych probostw diecezji. Odłożył sporo grosza, który w swej starości rozdawał hojną ręką na rozmaite dobroczynne cele, a w szczególności na budowę nowych kościołów. Ks. Splonskowski z pochodzenia był Niemcem, ale był życzliwie ustosunkowany do Polaków. Z Byszewą utrzymywaliśmy dobre sąsiedzkie stosunki. A jednak tym razem po drodze osobne dał mi ks.Treder instrukcje:"Będziemy grać w skata.Tym razem niech ksiądz tak gra, by przegrywał, a ja tak samo postąpię. Ks.Splonskowski lubi, jeżeli w karty wygra. To go dobrze usposobi. Ja to już dokonam reszty. Niech ksiądz będzie dobrej myśli ! ". Oczywista, że zastosowałem się do tych poleceń tego mi tak całym sercem życzliwego proboszcza. A kiedy po ukończonej grze zabieraliśmy się do odjazdu, mój proboszcz z ks.Splonskowskim udali się do osobnego pokoju. Po pewnym czasie wyszli. Z twarzy ks.Tredera nie mogłem wyczytać, czy mu się sprawa udała czy nie. Dopiero, kiedyśmy już siedzieli w krytym powozie, palony wprost ciekawością odzywam się:" Ma ks.dziekan". A on przekomarzając się ze mną odpowiada:" A co ksiądz taki ciekawy". A ja dalej:" Niech już ks.dziekan mnie dłużej nie dręczy a powie: ma czy nie ma". A on jeszcze dalej:"Niech ksiądz nie będzie taki ciekawy.Ciekawi ludzie nie długo żyją". A ja: " Mniejsza już o długie życie, ale ma ksiądz dziekan ? " Nareszcie pada z jego ust:" Mam ". "A ile ma ksiądz dziekan?" "No, niech ksiądz zgadnie ?" " Jak ja mogę zgadnąć, ks.dziekanie, niech ks.dziekan mi raczej od razu powie sam". "No, to i powiem, rzecze ks.Treder. Tu w kieszeni mam 25 000 mrk. w listach zastawnych po 5 % "Neue Westpreussische Pfandbriefe, a jeszcze nieco później obiecał 5 000 mrk. w takich samych listach zastawnych, co stanowić będzie 125 mrk. miesięcznie z odsetek, jako stały dochód,

a do tego dojdzie akcydens od przeszło 2000 dusz, to ksiądz będzie miał zupełnie wystarczające utrzymanie". Następnego dnia ks.Treder wysłał te papiery pocztą z tym jednak zastrzeżeniem, że ks.Splonskowski daje je tylko pod warunkiem, jeżeli kuratusem ustanowiony zostanie ks.Dembieński. W przeciwnym razie , zażąda on je z powrotem. Zdawać by się tedy mogło, że ks.Biskup został tak tym osaczony, że się już nie będzie mógł wymknąć. Ale i na to znalazła się rada. Z podziękowaniem, jakie Władza Biskupia nadesłała na ręce ks.Tredera dla ks.Splonskowskiego, za ten hojny dar, dołączona była uwaga, że, niestety, ks.Dembieńskiego tym czasem posłać nie może, ponieważ tylu jest chorych księży i tylu wyjechało na kurację do wód, że żadną miarą nie ma na moje miejsce następcy, więc z konieczności musi ks.Dembieński jeszcze w Koronowie pozostać. Było mi jasne, że ta gra na zwłokę, może ciągnąć się w nieskończoność. Z drugiej strony dochodziły mnie z Pieców wieści, że ludność tamtejsza się burzy i pomstuje, iż kościół i plebania, już od półtora roku gotowe na przyjęcie duszpasterza, stoją puste, a im przecież obiecano, że skoro tylko stanie świątynia i mieszkanie dla księdza, natychmiast otrzymają go, a oni przecież tyle ofiar na ten cel ponieśli, powiedziałem sobie: "Trzeba raz temu położyć kres. Twoja osoba nie może stać na przeszkodzie tym całkiem słusznym domaganiom się parafian piecowskich!". Niebawem nadarzyła się też ku temu odpowiednia sposobność. Otóż po śmierci dotychczasowego rektora Seminarium Duchownego w Pelplinie, ks.Biskup powołał na to stanowisko brata mego proboszcza, ks.Konstantyna Tredera z Kolonii nad Renem. W lipcu r.1913, kiedy rozpoczęły się wakacje seminaryjne, przyjechał on na pewien czas do Koronowa. Chadzałem z nim razem co dzień na przechadzkę. Opowiedziałem mu w całej rozciągłości sprawę Klonówki, a następnie Pieców. Przed powrotem do Pelplina poprosiłem go, żeby udał się do Biskupa i wybadał jego zamysły co do tej sprawy. Doniósł mi też niebawem, że był u Biskupa Rosentretera. Tenże oświadczył mu, że przeciw mnie nic a nic nie ma. Ale Ks.Kreft go obraził i chce go zmusić do decyzji, a on się zmusić nie pozwoli. Na to wystosowałem do ks.Tredera w Pelplinie list, prosząc go,

by udał się powtórnie do Biskupa i oświadczył mu, że ja cofam moje zgłoszenie do Klonówki i w ten sposób zwalniam go od danego mi przyrzeczenia. I natychmiast Piece otrzymały tak długo oczekiwanego księdza w osobie ks.Borowskiego. Tego rodzaju rozumowanie ks.Biskupa mnie bynajmniej nie trafiało do przekonania. Jeżeli ks.Biskupa obraził ks.Kreft, to mógł był się z nim policzyć, a nie na mojej osobie to odbić. A przecież ks.Kreft dopiero wtedy wystosował ten swój ostry list, kiedy ks.Biskup oświadczył na sesji kapituły, że dla tego waha się posłać mnie do Pieców, ponieważ obawia się możliwych stąd trudności z rządem. To też moim zdaniem to było istotnym szkopułem dla ks.Biskupa, a nie ten inkryminowany list. On tylko miał służyć jako pretekst. Ale przecież życie nie samymi goryczami człowieka karmi, to też i ja doznałem skąd inąd i wielkiej radości i słodyczy.

Twierdza żydowsko-niemiecka przechodzi w polskie ręce.

Kiedy tak moje osobiste sprawy - jak ten przegrany proces, sprawa Klonówki i Pieców miały dla mnie obrót jak najfatalniejszy, to zgoła przeciwnie utworzone w Jeżewie instytucje jak Bank Ludowy i Konsum rozwijały się coraz to pomyślniej mimo wprost wyrafinowanej konkurencji, jawnego popierania ze strony proboszcza przeciwnej strony, przyczym nie liczył on się z żadnymi względami, jak tego dowodziły owe skarbonki i ostentacyjne pokrywanie swych potrzeb u Conitzera. Moje przypuszczenie, że tak rozgałęzione przedsiębiorstwo jak ów dom towarowy, wymagającej licznej obsługi, może się utrzymać tylko przy wielkim obrocie i zysku i że stanie się ono nierentowne, jeżeli się mu urwie znaczną część jego dochodowości, okazały się słusznymi. To też w miarę jak w naszej spółdzielni rosły obroty, malały one u Conitzera. Do tego dochodził jeszcze jako straszak ten plac budowlany, który mimo tego pośka był jeszcze tak szeroki, że można było na nim postawić jeszcze daleko obszerniejsze zabudowania niż Conitzera. Dla większego postrachu kazałem tam powoli

167

zwozić po trosze żwir i kamienie. Trzy całe lata trwała ta ciężka walka konkurencyjna, w czwartym roku Conitzer skapitulował. A doszło do tego w sposób następujący. Otóż w Świeciu mieszkał niejaki żyd Jordan. Jego to używał p.Parczewski jako pośrednika do rozmaitych transakcji swoich. Określał go p.Parczewski jako uczciwego żyda. Umówiłem się z p.Parczewskim, że tenże Jordan będzie również pośredniczył i w naszej sprawie. Po półtora roku istnienia naszej spółdzielni prosiłem p.Parczewskiego, by przez tego pośrednika wysondował stanowisko Conitzera co do ewtl.sprzedaży swego domu towarowego. Podał jednak cenę tak wygórowaną, że wyglądało to raczej na kpiny. Po upływie dalszego roku znów się zwróciłem do p.Parczewskiego w tej sprawie. Przekonałem się, że Conitzer już znacznie spuścił z tonu, ale dopiero w czwartym podał cenę już całkiem przystępną. Ale teraz wysunęła się kwestia, skąd wziąć taki kapitał,potrzebny do nabycia tak rozległego i zasobnego w towary przedsiębiorstwa. Przecież liczyć się było trzeba z przeszło 200 000 mrk. Konsum miał własnego majątku może około 70 000 mrk., z którym może przystąpić jako udziałowiec. Koło 50 000 mrk. możnaby dopożyczyć z Banku, ale to dopiero połowa. A gdzie tę drugą połowę znaleźć ? Z tymi kłopotami jadę do Lipienek do Liszkowskich. Wychodzi do mnie p.Liszkowska. W przyległym pokoju słyszę ożywione głosy: "Niech ksiądz przyjdzie do drugiego pokoju,mamy gości," zaprasza p.Liszkowska. "Pani, odpowiadam, nie pójdę. Mnie dziś nie goście w głowie, a ten żydowski dom towarowy, który moglibyśmy już mieć, gdyby były pieniądze, ale skąd je wziąć". "Ależ, niech ksiądz już przyjdzie, kontynuuje, o tym pomówimy później". "Dziękuję,odpowiadam, i tak bym nie wytrzymał spokojnie siedzieć przy gościach. Niech mi Pani wpierw powie, skąd wziąć jakieś głupie 100 000 mrk.?" Spoglądając przy tym na nią widzę, że się jakoś łobuzersko uśmiecha. Czemu ona się tak szelmowsko uśmiecha ? narzuca mi się myśl. Czy może ze mnie się śmieje ! Wreszcie powiada:" Niech ksiądz się uspokoi. Są pieniądze. Znalazły się właśnie jakby na zawołanie. Otóż nie dawno temu umarła moja ciotka w Brukseli,która mi testamentem zapisała swą kamienicę. Z jej sprzedaży

uzyskałam kwotę 90 000 mrk. Ponieważ pieniądze te jakby mi z nieba spadły, a widząc, jaki tu duch panuje wśród ludności, w całości poświęcam tę kwotę na udział w tym przedsiębiorstwie.

Na słowa ta uszczęśliwiony zerwałem się na nogi,oświadczając:"Tak, teraz możemy pójść do gości". Jeden tylko warunek zastrzegła sobie p.Liszkowska, ażeby przyjąć do zarządu znanego i rutynowanego, dzielnego kupca bławatnika,Korzeniowskiego z Nowego, później za czasów polskich właściciela okazałego domu towarowego w Grudziądzu. Na to naturalnie chętnie się zgodziłem. Na przejęcie tak wielkiego interesu jak ów dom towarowy już nie odpowiadała forma spółdzielni, której prawnie działalność ograniczać się musiała tylko do członków. Trzeba było utworzyć osobny organ w postaci spółki. Konsum istnieć miał nadal, zatrzymując swój interes w Osiu, przystępując natomiast ze wszystkimi swoimi udziałami jako wspólnik do nowej spółki pod nazwą "Bazar". W tych warunkach utworzenie spółki nie przedstawiało już żadnych trudności. Po jej utworzeniu, zalegalizowaniu nastąpiło przejęcie przeważnie z rąk Conitzera "Warenhausu Gebrüder Conitzer" za kwotę blisko ćwierć miliona mrk. W ten sposób twierdza żydowsko-niemiecka, istniejąca już tam około lat 45, przeszła w ręce polskie. W ten sposób spełniły się też moje najgorętsze zamierzenia i marzenia. Wynagrodziło mi to wszystkie moje udręki i gorycze, jakie miałem z tym polskiem,Klonówką, Piecami. Teraz nastąpiło prawdziwe eksodus żydów z Jeżewa. A niemała ich była chmara. Gospodarze, którzy im pomagali przewozić ich rzeczy na kolej, opowiadali, że Conitzerzy odchodząc z Jeżewa, rzewnie płakali. Zrozumiałe, wszak i kot by żałośnie miałczał,gdyby go odpędzono od dzieży, pełnej słodkiej śmietany. A przecież przez lat 45 żyli na krwawicy ludu polskiego, w zamian za to temu ludowi nic,absolutnie nic nie dając, gdyż jedynie i wyłącznie Niemcom się wysługiwali.

Uznanie dla mnie ze strony brata ks.Biskupa. Nawrócony nestor ks.Erazm Parczewski.

Pewnego razu będąc w Kurii Biskupiej w pewnej sprawie wstąpiłem po jej załatwieniu przed odejściem pociągu do ówczesnego hotelu i restauracji Sikorskiego, gdzie zwykle księża się zatrzymywali. Wchodząc do lokalu widzę tam ks.Dr.Ignacego Rosentretera, proboszcza Gniewu, swego czasu proboszcza w Jeżewie, który tam założył przezemnie zlikwidowany Reiffeisen. Założył go tam, aby przy jego pomocy wykupić z rąk Niemca lutra majątek i rozparcelować go między katolików Polaków, podobnie jak Bank Ludowy miał mnie posłużyć do zlikwidowania Conitzera. Wiedziałem, że ks. Burtschik kilkakrotnie bywał u ks.Rosentretera napewno nie po to, żeby mnie u niego chwalić, lecz oskarżać, że jego nadzieło niszczę. Ks.Rosentreter był bratem ks.Biskupa i napewno przeprowadził się do Gniewu po to, żeby być blisko swego brata. Przez jeden rok dojeżdżając z Gniewu wykładał nam prawo kanoniczne. Ten sam w sobie suchy przedmiot przykładami i dowcipami umiał nam tak uprzejemniać,że jego wykłady należały do najbardziej atrakcyjnych dla nas. Otóż będąc z góry przekonany, że ks.Dr.Rosentreter ma do mnie żal czy może nawet uraz na skutek donosów na mnie ze strony ks.Burtschika, zawahałem się przez chwilę, czy nie przejść do innego pokoju. Ale już mnie zauważył i cofnąć się nie wypadało. Ukłoniłem się mu tylko i usiadłem gdzieś w kącie, jak najdalej od niego. Nikogo procz nas dwuch w tym czasie nie było w lokalu. Zerkam w jego kierunku,zauważam, że mi się bacznie przygląda. I o zgrozo ! Naraz wstaje i zbliża się do mnie i pyta:"A jak księdza godność ?" Nieśmiało z bijącym sercem odpowiadam "Dembieński", przecież ks.Doktor wykładał nam prawo kanoniczne". A on na to "Czy ks.wikary nie jest czasem tym D., który był w Jeżewie ?"Z pewnym lękiem odrzekam:"Tak, to ja nim jestem". No, pomyślałem sobie, teraz na mnie buchnie. Ku memu atoli zdziwieniu położył mi ramię na szyji i powiada:"Niech tylko ksiądz przyjdzie bliżej okna ! Muszę sobie księdza lepiej obejrzeć". "A to dla czego, ks.Doktorze ?" "Bo ksiądz mi się

podoba". "A to dla czego ks.Doktorze ?" "Bo ksiądz jednak tam czegoś dokonał w Jeżewie." Odpowiadam:"Ks.Doktorze ! Ja wstąpiłem tylko w jego ślady. Ks.Doktor usunął z Jeżewa protestantów, a ja żydów". "Wie ksiądz co ? Ks.Burtschik był wiele razy u mnie ze skargą na księdza. Ale ja nie byłem i nie jestem po jego stronie. Nie wiem wogóle, co to za człowiek.Ksiądz wie, co chce, ale on wogóle nie wie, czego on chce. Toć to ni koza ni kozioł /der ist weder Ziege noch Bock/" Ale, kontynuował, mnie księdza żal.""A to z jakiego powodu", pytam. "Ksiądz jest bardzo źle zapisany u rządu". "Wiem o tym, ks.doktorze". Ksiądz nie otrzyma żadnego probostwa"."I z tym się już pogodziłem, ks.doktorze". "Jak sobie to ksiądz przedstawia ? Chce ksiądz na całe życie pozostać wikarym?" "Jeżeli tak być musi, to trudno". "Wie ksiądz co ? Niech ksiądz zaraz stąd idzie do mego brata i powie mu w moim imieniu,żeby księdza przysłał do mnie jako wikarego. A ja księdzu ręczę, że ksiądz w dwuch latach jest zmyty na czysto /reingewaschen/ i po dwuch latach będzie miał ksiądz probostwo." Udawałem, że jestem mu bardzo wdzięczny za tę życzliwą propozycję i serdecznie mu za to dziękowałem, ale bynajmniej nie myślałem z niej skorzystać. Zdawałem sobie bowiem dobrze sprawę, ile by mnie to kosztowało obłudy, udawań, straszliwych upokorzeń i upodleń, nim bym był przez Niemców uznany za "reingewaschen". To też odpowiedziałem mu, że dziś już pójść nie mogę, bo pociąg mój odchodzi niebawem, a pojechać nim muszę, ale, że wezmę tę tak mi życzliwą propozycję pod rozwagę i później powezmę ną decyzję. Kiedy się z nim zacząłem żegnać,by pójść na dworzec,powiada:"Nie,nie,ks.wikary! Ja księdza odwiozę na dworzec". Na podwórzu stał kryty powóz zaprzężony. Wymawiałem się jak mogłem, że przecież mam zdrowe nogi, a do dworca krótka tylko droga. Nic to nie pomogło.Zawołał stangreta z podwórza i krytym powozem poparadowałem na dworzec. Po drodze do domu myślałem nad tym,dla czego, jeżeli brat ks.Biskupa ma takie uznanie dla mojej działalności, czemu ks.Biskup sam inaczej się do mnie odnosi ! Czyżby i on może podzielał brata swego zdanie, a tylko z przesadnej obawy przed rządem tak w

169

stosunku do mnie postępował ? Oczywista, że cała rozmowa z Dr.Rosentreterem toczyła się po niemiecku. Jeszcze z innej strony spotkałem się z podobnym uznaniem.Jak już podałem, mojemu zamiarowi utworzenia Konsumu w Jeżewie dla zlikwidowania przy jego pomocy Conitzera domu towarowego, najbardziej przeciwny był nestor tamtejszy/Erazm Parczewski. Obecnie zamieszkał on już na dożywociu w Świeciu, zdawszy swój majątek swemu synowi Tadeuszowi. Będąc w Świeciu postanowiłem go odwiedzić. Przy powitaniu przepraszał mnie usilnie za sprawianie mi tyle trudności.Ściskając mnie obecnie zapewnił mnie: "Księżulku, jestem waszym dozgonnym przyjacielem".

Teraz dopiero nastąpił najgwałtowniejszy atak ze strony landrata do spółki z ks. Burtschikiem. Landrat nie wahał się narazić powiat.Kasę na dotkliwą stratę.

Kto byłby sądził, że teraz po przejściu żydowskiego domu towarowego w polskie ręce, nastąpi spokój, grubo by się mylił. Byłoby prawdopodobnie tak, gdyby ks.Burtschik w swym niewybaczalnym zaślepieniu w tę całą sprawę nie był wplątał landrata, nie czując się sam na siłach, by jej się móc przeciwstawić. A skoro landrat się w tę sprawę zaangażował, jego prestiż wymagał, żeby jej nie przegrać. To też obecnie, kiedy to całe znaczne przedsiębiorstwo znalazło się już w rękach polskich, z całym impetem rzucono się na nie, by je zburzyć. Dokonanie tego stanowiłoby nie lada gratkę dla nich. Wszak tkwił w tym przedsiębiorstwie poważny już kapitał, conajmniej 1/4 miliona marek. Gdyby się więc udało doprowadzić je do bankructwa, udziałowcy zostaliby narażeni na duże straty, a pewno najdotkliwiej p. Liszkowska. A mało jeszcze tego. W tym przedsiębiorstwie był z pokaźną pożyczką zaangażowany Bank Ludowy. W razie przegranej i on by się zachwiał, jak również Konsum, który wszystkie swe udziały dał jako wkład do Bazaru. Wygrana przeto ich stanowiłaby dotkliwą klęskę materialną dla naszej strony. Więc wygrana warta

była dla nich tej zawziętej gry i wysokiej stawki. W tym celu sprowadzono w miejsce Conitzera innego żyda,Markusa. Landrat postarał się, że mu udzielono z powiatowej kasy oszczędności znaczną pożyczkę. Mówiono coś o 90 000 mrk. Dokładnie jednak tego stwierdzić nie było można, ponieważ tam byli sami Niemcy. Za tę pożyczkę wybudował Markus dość obszerne domostwo z oknami wystawnymi, zaopatrzył sklep w towar i od nowa rozpoczęła się znów zacięta walka konkurencyjna. Markus atoli w dość krótkim czasie zorientował się, że tu kiepska dla jego interesu istnieje konjunktura, wysprzedał więc swój towar, zgarnął gotówkę do kieszeni i się ulotnił. Na jego micjsce sprowadzono jeszcze jednego żyda, nazwiska już nie pamiętam, ale ten jeszcze krócej bawił w Jeżewie i również się z niego wyprowadził.Na placu boju jako zwycięsca pozostał Bazar, tylko z tą zmianą,że gwoli uproszczenia administracji i wzmożenia swej siły odpornej złączył się z Bazarem w Brusach. W tym charakterze przetrwał czasy aż do przyłączenia Pomorza do Macierzy. I wówczas istniał dalej, ale już w daleko skromniejszych rozmiarach, ponieważ odpadło sezonowe wychództwo na zachód Niemiec, które stanowiło podstawowy warunek istnienia tak tak okazałego przedsiębiorstwa, jakim był ten dom towarowy Conitzera.

Przegrał więc całą kampanię landrat,a z nim razem i proboszcz. A w powiecie głośnym było, że dotkliwe straty poniosła powiatowa kasa oszczędności. Teraz pozostała dla przeciwnej strony już chyba tylko zemsta. Nie dała ona długo na siebie czekać.

Zemsta. Wywłaszczenie Liszkowskich majątku.

Mnie ta zemsta ścigała już od samego rozpoczęcia akcji. Cóż innego to bowiem było, jeżeli nie aktem zemsty że mi odebrano prawo nawet prywatnego nauczania, te po prostu śmieszne pretensje do tego poiska, ta translokacja, ten ostry sprzeciw na prezentę probostwa w Klonówce. A teraz kolej przyszła na Liszkowskich. Wszak p.Liszkowska swym wielkim wkładem walnie się przyczyniła do na-

bycia owego domu towarowego, a on jako prezes Rady Nadzorczej tak Banku Ludowego jako i Konsumu wydatnie przyczynił się do rozwoju tych instytucyj. Trzeba ich przeto było stąd również usunąć. Jak już poprzednio wspomniałem, już w roku 1907, kiedy jeszcze ustawa o wywłaszczeniu nie była uchwalona, a dopiero projektowana, już Frl.Mariechen z radości zacierała ręce przepowiadając, że pierwszymi, którzy ulegną tej ustawie, będą Liszkowscy. A kiedy jej uwagę zwróciłem na to, że wówczas około 150 ludzi katolickich stamtąd zostanie usuniętych, a w ich miejsce przyjdą koloniści lutrzy, to ona zuchwale odpowiedziała, że jej są milsi poczciwi protestanci, niż tacy katolicy jak Liszkowscy. Stąd wynika, że już wówczas między plebanią, a landratem była ukartowaną rzeczą, że, skoro tylko ustawa wywłaszczeniowa wejdzie w życie, Liszkowscy padną jej ofiarą. Co też niebawem rzeczywiście nastąpiło. Po uprawomocnieniu się ustawy wywłaszczeniowej p.Liszkowscy otrzymali urzędowe zarządzenie o wywłaszczeniu Lipienek. Procedura wywłaszczeniowa trwała dość długo, nim doszło do ostatecznego jej wykonania. P.Wincenty Liszkowski tragedii tej nie przeżył. Umarł, nim doszło do ich usunięcia z Lipienek.Został pochowany w grobowcu rodzinnym w Poznaniu. P.Liszkowska wyszła w międzyczasie za mąż za Tadeusza Parczewskiego i przeprowadziła się wraz z dziećmi do Belna. Więc zwycięstwo Frl.Mariechen było tylko połowiczne pod względem usunięcia Liszkowskich z parafii. Ale i pod innym względem Frl.Mariechen nie miała powodu do zbytniej radości. Landrat bowiem wstydząc się poniesionej w Jeżewie klęski,odpowiedzialność składał za nią na jej brata. Gorzko się skarżyła do swoich znajomych, że landrat lekceważąco się wyrażał o jej bracie:"Was ist das für ein Pfarrer, der mit solch´einem jungen Vikar nicht fertig werden konnte" /Co to za proboszcz, który z tak młodym wikarym rady dać sobie nie mógł". Nie bardzo dobrze wróżyło to o spełnieniu się jej marzeń na probostwo dla jej brata w Gdańsku. Nie doczekała się Frl.Mariechen awansu swego brata na probostwo w Gdańsku.

Dziś po upływie lat 50 od tych czasów może nawet niełatwo jest zrozumieć tym, którzy tamtych czasów nie pamię-

tają już, że aż takich zmagań i trudów wymagała wówczas obrona polskiego, a przez to i katolickiego stanu rzeczy na poszczególnych odcinkach pomorskich.

Dodatkowo tylko jeszcze pragnę dodać, że Komisja Kolonizacyjna, po objęciu Lipienek rozpoczęła parcelację majątku i sprowadziła z głębi Niemiec kolonistów, naturalnie lutrów. Teraz plebania jeżewska mogła być zadowolona. Mieli obecnie w Lipienkach, o co tak usilnie zabiegali, "poczciwych protestantów". Na szczęście nie dużo ich jeszcze przybyło. Komisja Kolonizacyjna bowiem dopiero wtedy osadzała kolonistów, kiedy już stanęły dla nich gotowe wszystkie zabudowania zagrodowe. Nim atoli to nastąpiło, wybuchła I wojna światowa. To też tylko część takich zagród została postawiona. Stąd po wojnie Polska zwróciła synowi Liszkowskich Bolesiowi, nie rozparcelowaną jeszcze resztówkę.

Do Torunia.

W Koronowie byłem już 4 lata. Wobec nienawiści, z jaką odnosili się Niemcy do osoby ks.dziekana Tredera, moja osoba schodziła na dalszy plan. Z pewnością był bym jak najchętniej i jak najdłużej tu pozostał. Przecież tyle tu było sprzyjających i miłych warunków, choć by tylko wymieniając ten serdeczny stosunek proboszcza do mnie, dalej miłe życie towarzyskie i szerokie pole działania. Jednak przegrane dwa procesy, które pogrążyły mnie w niepokojące zadłużenia, zanik wszelkiej nadziei na uzyskanie jakiegoś samodzielnego stanowiska i poprawy mego bytu materialnego, a ponadto skromne dochody wikariuszowskie w Koronowie zmusiły mnie do szukania jakiejś innej drogi wyjścia. W międzyczasie w rodzinie naszej zaszła pewna zmiana. A mianowicie matka moja uwolniła się od swego gospodarstwa, a rozparcelowawszy je żyła jako rencistka z najmłodszą swą córką w Nowym Mieście. Siostra ta, Zosia, od najmłodszych lat cierpiała na gruźlicę kości i matce trudno było sobie z nią radzić. Dowiedziałem się, że w Toruniu u św.Jakoba ma wikary również własne gospodarstwo i aż cztery pokoje do

dyspozycji wraz z kuchnią. Równocześnie przekonałem się też, że wikary jest tam lepiej uposażony niż w Koronowie. Zwierzyłem się z tym memu proboszczowi. Wiedziałem, że przykro mu będzie ze mną się rozstać, bo przecież zrośliśmy się bardzo ze sobą, ale uznał moje powody za słuszne. Nie zgłosiłem się o to sam do Władzy Biskupiej, a zwróciłem się do brata ks.Tredera, rektora Seminarium Duchownego w Pelplinie, ks.Konstantego Tredera. A wiadomym było, że tenże z ks.Biskupem się przyjaźnił. Wkrotce też nadeszła moja nominacja na stanowisko wikarego u św.Jakoba w Toruniu. Z inicjatywy ks.dziekana odbyło się uroczyste pożegnanie nas w lokalu towarzystwa młodziezy "Samopomoc". Wręczono mi wielki,piękny obraz "12 letni P.Jezus w świątyni", poczym wsiedliśmy obydwaj t.j. siostra i ja, do samochodu ciężarowego, gdzie również mieściła się cała nasza habenda i żegnani jeszcze i po mieście przez rozstawioną młodzież odjechaliśmy na nową placówkę do Torunia. Jechaliśmy z łzami w oczach, bo doprawdy żal nam było rozstać się z tą placówką, gdzie tak ja jak i moja siostra doznaliśmy tyle serca. Było to po Wielkiej Nocy r.1914.

Na nowej placówce. Plebania.

Mojego nowego proboszcza znałem już dość dobrze. Ks. Ludwik Bogacki bowiem pochodził z Nowego Miasta. Tam też i mieszkała jego rodzina. Z jego bratankiem Ludwikiem, który w niepodległej Polsce był naczelnikiem sądu w Nowym Mieście oraz z siostrzeńcem Frankiem Willertem,późniejszym lekarzem na Górnym Śląsku, kolegowaliśmy i w progimnazjum w Nowym Mieście i w gimnazjum w Chełmnie. Poza tym, kiedy byłem uczniem w gimnazjum w Chełmnie,dokąd też uczęszczał mój kuzyn Bernard Dembek z Wabcza, późniejszy sufragan w Łomży, ks.Rogacki był proboszczem także w Wabczu. Od czasu do czasu jechaliśmy razem z mym kuzynem do Wabcza, to za każdym razem wstępowaliśmy i do plebanii. Więc sporo było powiązań już i poprzednio z osobą mego nowego proboszcza. Po wyroku Filomatów w toruńskim procesie, on to był tym, który się podjął zbiórki ofiar na po-

krycie za nas wysokich kosztów procesowych. Ks.Rogacki, późniejszy kanonik i infułat w Pelplinie, był wysokiego wzrostu, okazałej postaci, a twarz jego krasił jakiś miły, dobrodusznу uśmiech. Gospodarstwo domowe prowadziła mu jego siostra,wdowa po p.Willercie, matka Franka W.,wraz z córką. Wszystko mi dobrze znane osoby. To też byłem pewny, że stosunek mój z plebanią będzie i tu nacechowany życzliwością i serdecznością. Znów z drugiej strony wiedziałem, że ks.Rogacki nie lubi życia towarzyskiego. Był to kapłan zacny, świątobliwy, lubił atoli samotność. Wystarczał mu kościół i plebania, poza tym towarzysko nigdzie się nie udzielał. Za to lubił szperać w książkach, w starych papierach i aktach, dzięki czemu nabył on sobie i sporo wiadomości z prawa - również cywilnego. Na skutek właśnie tego wygrał on z rządem pruskim bardzo trudny, skomplikowany proces o jakieś ważne świadczenia rządowe dla kościoła. Te właściwości jego charakteru zadecydowały też o tym,że Władza Biskupia powołała go na wyższe stanowisko do Pelplina. On to wystawił nowy dom 3 piętrowy dla służby kościelnej, a mianowicie dla zakrystiana, organisty, kopacza, a 1 piętro dla wikarego, a prócz tego w połączeniu z tym domem salę parafialną. Ta okoliczność dała mi możność sprowadzenia i zmieszczenia u siebie na wikaryjce matkę z najmłodszą siostrą, aby złączywszy dwa oddzielnie prowadzone gospodarstwa domowe w jedną całość uprościć i ułatwić sobie życie, a chorowitej siostrze dać lepszą opiekę lekarską. Nie mając już żadnych widoków na probostwo, szczęśliew się czułem, że danym mi było choć w taki sposób mieć przy sobie swoich najbliższych i najdroższych, a przede wszystkim matkę, która tyle dla mnie i wprost nadludzkich ofiar poniosła. Matka się też u mnie czuła jakby się nowo narodziła. Kiedy po pewnym czasie pobytu matki w Toruniu zapytałem ją, jak się jej podoba w Toruniu, odrzekła mi:" Mój synu! Toć tu jak w raju ! Tyle wygód,tyle tu przyjemności ! A ludzie są tu tacy dobrzy. Tylko jednego mi tu brak. Pół godziny trzeba iść, żeby zobaczyć zielone pole". Zrozumiałe. Kochana matka, spędziwszy całe swe dotychczasowe życie choć w znojnej pracy, jednak wśród zieleni pól i łanów, do peł-

nego szczęścia i tu odczuwała potrzebę ich widoku. Po wybuchu wojny przyjęliśmy jeszcze jednego lokatora w postaci ± 1/2 letniego Tadzia. Szwagier bowiem zaciągnięty został do wojska, a siostra mając gospodarstwo rolne i prócz tego jeszcze trójkę mniejszych od niego, w tym parę bliźniąt, chętnie nam go oddała, aby siebie nieco odciążyć, a nam w zamian za to dość obficie przysłała prowiant ze wsi. Ludziom ten nasz rodzinny obraz widocznie się podobał, bo nam okazywali jak naj dalej idącą życzliwość, a nawet Niemcy lutrzy. Tak n.p. nie wolno było wydzielać mleka mieszkańcom z wyjątkiem niemowląt i to pod surową karą. Mleczarnia była naprzeciw. Ta poczciwa Niemka przez swoją córeczkę bardzo rychło rano z narażeniem się na ciężką karę przysyłała nam codzień po 2 - 3 litry mleka tak, iż mogliśmy jeszcze użyczać i plebanii. Zupełnie tak samo było z właścicielką browaru. I jeszcze jedna korzyść wynikła dla nas z pobytu w Toruniu. A mianowicie, brat nasz również powołany został wo wojska do Torunia. Paczkami i łapówką udawało mi się uchronić go przed wysłaniem na front i doszło do tego, że na front dotarł dopiero, kiedy już po wybuchu rewolucji w Niemczech walki ustały. Nie udało się to samo z szwagrem, tatusiem Tadzia, ponieważ zaraz poszedł na front wschodni. Ale już w pierwszej większej potyczce pod Prasnyszem dostał się do niewoli rosyjskiej i również ocalał.

Życie towarzyskie.

W obrębie parafii św. Jakuba mieszkało kilka rodzin, z którymi nawiązałem bliższe stosunki towarzyskie. Na pierwszym planie był to p. Leon Czarliński, długoletni poseł polski do parlamentu niemieckiego. Już od dawna żywiłem do niego szczególną sympatię i szacunek, choć osobiście go aż dotąd nie znałem, z powodu jego ciętych i dosadnych mów, wygłaszanych na arenie parlamentu, w których śmiało i bez obsłonek piętnował przewrotną politykę antypolską i odsłaniał krzywdy i nieprawości, wyrządzanych ludności polskiej ze strony pruskiej polityki.

To też, skoro się tylko jakoś urządziłem, natychmiast pospieszyłem do niego z wizytą. Od razu uderzyła mnie i jego małżonki skromność i pokora i szacunek, z jakim się odnosili do kapłana, co mnie młodego jeszcze księdza wprost żenowało. Ale bo też było to małżeństwo głęboko religijne. Mimo podeszłego już znacznie wieku i kruchości sił fizycznych widziało ich się dzień w dzień, nieraz wśród gwałtownej niepogody i silnego mrozu, w kościele na Mszy św. Nie odstraszała ich ani rychła pora, w której odprawiały się roraty. Od niego dowiedziałem się też sporo rzeczy z dziedziny polityki i położenia międzynarodowego. Kiedy już zaczęto przebąkiwać o możliwości wojny, zapytałem, jakie szanse dawałaby ona Niemcom. Byłem wprost zaskoczonym jego pesymistycznym poglądem na tę sprawę. "Księżulku, powiedział mi, ksiądz nie ma pojęcia o tym, jak wielki jest potencjał militarny Niemiec. Niemcy gotowi pokonać całą Europę". Wydawał mi się ten jego osąd wówczas przesadnym, a jednak po wybuchu wojny mogłem się dostatecznie przekonać, ile w tym było słuszności. Gdyby później nie była doszła pomoc Ameryki, to kto wie, czy obawy jego nie były by się sprawdziły.

Drugim takim ogniskiem, gdzie panowała atmosfera głębokiej religijności i patriotyzmu, to dom państwa Szumanów. Dr.Szuman, posiadający własną klinikę, był wielce cenionym i znanym chirurgiem nie tylko na Pomorzu, ale również i po za nim. Jego brat był w Toruniu adwokatem, który nas Filomatów bronił w procesie toruńskim. Syn Dr. Szumana, Henryk, stanął również jako oskarżony o przynależność do Filomatów w procesie toruńskim. Został on później kapłanem, który głęboką pobożność łączył z gorącą miłością Ojczyzny. Jego wielokrotna działalność czy to kapłańska czy oświatowo społeczna wymagałaby osobnego opisu. Jako proboszcz w Starogardzie podzielił on los tylu innych kapłanów męczynników. Również córka Dr.Szumana była zasłużoną działaczką na polu oświatowym. Oczywiście takie gniazdo rodzinne musiało wydawać tak dzielnych i zasłużonych ludzi, W czasie I wojny światowej wydarzył się Dr.Szumanowi, znanemu z udawania się mu operacji nawet bardzo skomplikowanych, wielce przykry

wypadek. Otóż przybył do kliniki syn jakiegoś wielkiego obszarnika a b.Kongresówki, z wrośniętym w ciało paznokciem u nogi, 14 letni chłopiec. Był to właściwie mało znaczny zabieg. A właśnie ten się nie udał. Umarł podczas operacji. Udzielić mu mogłem już tylko Sakramentu Namaszczenia. Ten fatalny, bo nieudany wypadek, Dr.Szuman odczuł bardzo boleśnie, a z nim razem i wszyscy jego sympatycy, tym bardziej, że zmarły pacjent był jedynakiem, synem zamożnego obszarnika z b.Kongresówki i wypadek ten nabrał szerokiego rozgłosu. Otóż dom Dr.Szumana był mi bardzo miłym i bliskim, w którym czułem się dobrze.

Trzecim z rzędu był dom mego b.kolegi szkolnego, Juliusza Reicha, pochodzącego z Pelplina. Byliśmy już zaprzyjaźnieni ze sobą w czasie naszego pobytu w Chełmnie jako uczniowie gimnazjum i Filomaci. Reich później pracował w Redakcji "Gazety Toruńskiej" wydawanej przez braci Brejskich, a później pelplińskiego "Pielgrzyma". W Toruniu był on właścicielem księgarni. Tu to już byłem codziennym gościem. Tu doskonale mogliśmy się wzajemnie zrozumieć i wynurzać i wymieniać nasze wzajemne myśli i aspiracje.

Z księży konfratrów najbliższym mi był ks.Józef Wyciński, mój kolega seminaryjny i kursowy, ówczesny wikary u św.Jana, po wybuchu wojny zbiegiem okoliczności, kapelan wojskowy podczas I wojny światowej, a po wojnie proboszcz i prałat u św.Jana. Był małego wzrostu,ale silnego, gorącego ducha. A propos tego jego wzrostu to przypominam sobie pewien z nim incydent. Otóż jeden rok mieszkaliśmy w Seminarium Duchownym razem w jednym pokoju. Zgadzaliśmy się ze sobą bardzo dobrze, tylko jeden raz na mnie siarczyście się rozgniewał. A mianowicie opowiadał on z czasów swych żakowskich, będąc uczniem gimnazjum chojnickim, jak razu pewnego on z kolegami się zakradli w nocy do pewnego ogrodu po jabłka, a gdy ich właściciel tam zeszedł, wszyscy pouciekali, porzucając pozrywane jabłka, tylko on sam pozostał na drzewie,a właściciel go nie zauważył. Na moją uwagę, że to nic dziwnego, widocznie go nie odróżnił od zwykłego jabłka, strasznie się obraził. Ale to była też jedyna przelotna chmurka na pogodnym niebie naszej przyjaźni.

Poza tym nasze poglądy zawsze zgadzały się co do joty. Na stanowisko kapelana wojskowego dostał się w osobliwy sposób. A mianowicie ówczesny proboszcz wojskowy - oczywiście Niemiec - żyjąc w niezgodzie z ówczesnym proboszczem ks.Gollnickiem parafii św.Jana, jemu na przekór zaproponował ks.Wyciński go na kapelana wojskowego. Aczkolwiek stanowisko takie dla księdza Polaka, a jeszcze takiego, jakim był ks.Wyciński, było nader krępujące, to jednak umiał on jakoś sobie z tym radzić. A przy tym mając swobodę ruchu, mógł rozwinąć szeroką działalność charytatywną i wśród cywilnej ludności, a przede wszystkim wśród duchowieństwa w b.Kongresowce. W uznaniu tego właśnie od Władzy Biskupiej w Włocławku wyszło staranie się dla niego o honorowe odznaczenie go tytułem prałata. On to bywał częstym u mnie gościem, dzieląc się wiadomościami, które jemu na jego stanowisku były w większej mierze przystępne niż nam. Najokropniejsze chwile przeżywał zmuszony towarzyszyć skazanym na rozstrzelanie rzekomym szpiegom. Wówczas każdorazowo w powrocie strasznie rozstrzęsiony, ledwo żywy, wstępował do mnie i musieliśmy go rzezwić wzmacniającymi kroplami. W parafii Panny Marii był bardzo miły i sympatyczny młody proboszcz, ks.Męczyński. Pomiędzy naszą trójką panowała harmonijna zgodność i serdeczna przyjaźń. Niebawem nasze trójosobowe grono doznało znacznego powiększenia. A mianowicie niemieckie władze wojskowe przywiezli z Alzacji 5 kapłanów, jako nieprawomyślnych i tu ich internowali,pozwalając im jednak swobodnie obracać się po mieście. Nie trwało długo, a poznaliśmy się wzajemnie i zbliżyliśmy się do siebie. Złączyła nas wspólna antypatia do naszego wspólnego wroga i wspólne nasze nadzieje na jego pogrom. Ale to są fragmenty mych wspomnień już z ery wojennej, tym czasem nie mogę pominąć warunków i stosunków, w jakich znachodziła się tutejsza Polonia jeszcze przed wybuchem I wojny światowej.

Polskie życie publiczne w Toruniu bardzo chromało. Paraliżujący wpływ lokalu "Mazur".

Toruń na zewnątrz miał wygląd miasta niemieckiego, jako że niemczyzna narzucała się na każdym kroku. Wszystkie napisy na sklepach i warsztatach pracy, przymusowo umieszczane tylko w języku niemieckim,przewaga języka niemieckiego na ulicy sprawiać musiały wrażenie miasta niemieckiego. Toruń - oczywiście był silnie zniemczony, ale to nic dziwnego, skoro tam był stacjonowany silny oddział wojska - cała administracja państwowa i samorządowa obsadzona była przez Niemców, poza tym jeszcze było sporo Niemców jako właścicieli rozmaitego rodzaju przedsiębiorstw, tak, iż połowę liczby mieszkańców stanowili Niemcy. Według statystyki z r.1908 katolików miało być w Toruniu 20 062, w tym narodowości polskiej 14 227, niemieckiej 5 835. W rzeczy samej liczba katolików Niemców była przesadna - a Polaków za niska. Pochodziło to stąd, że sporo Polaków na stanowiskach zależnych, dla uniknięcia konsekwencji, podawało się za Niemców. Poza tym do tej liczby doliczano i wojskowych katolików, z innych stron Niemiec pochodzących, a stacjonowanych czasowo w Toruniu. Skromnej liczby niemieckich katolików dowodziła m.i. i nikła ilość dzieci, zgłaszających się do niemieckiego oddziału, przygotowującego je do I komunii św. Za mych czasów w Toruniu były tylko trzy parafie: św.Jakuba, Jana i Panny Marii. W każdej z tych parafii, jak się sam przekonałem, oddział niemieckich dzieci był bardzo nie liczny. Przyjąwszy choćby liczbę jakichś 16 000 ludności polskiej w Toruniu, to stanowiła ona tam bądź co bądź poważny czynnik, który pokaźnie mógł by się być zaznaczyć w życiu publicznym Torunia. A jednak tak nie było, a to dla tego, ponieważ życie polskie tam było słabo zorganizowane i stąd słabą się też tylko ujawniało żywotnością. A mogło być inaczej, gdyby toruńska inteligencja polska, której tam sporo było, adwokaci, lekarze, i inne wolne zawody, była się poczuwała do obowiązku poświęcenia się pracy nad tą znaczną rzeszą ludności polskiej. A ramy ustaw i praw prusko-

niemieckich dawały bądź co bądź jeszcze dużo możliwości do pracy organizacyjnej w dziedzinie społeczno - oświatowo - narodowej. Czego nie można by było dokazać, gdyby w Toruniu byli tacy działacze i z takim autorytetem jak ks.Treder w Koronowie ! Niestety ! Tego było właśnie w Toruniu brak i stąd całe życie polskie tu bardzo szwankowało. Winna temu była przede wszystkim tutejsza inteligencja, która nie uważała za potrzebne poświęcać swego wolnego od pracy czasu nad ludem polskim, a przeciwnie marnowała go bezpłodnie na dziennych zebraniach wieczornych w lokalu "Mazur". I nie byłoby i w tym nic ujemnego, gdyby ta inteligencja miała swój lokal klubowy i zbierała się n.p. raz lub drugi w tygodniu celem nie tylko rozrywki, ale dla poważnej wymiany myśli i zdań oraz do naradzania się nad sposobami i drogami swej działalności społecznej. Ale, niestety, te seanse w każdy wieczor stały się raczej hamulcem wszelkiej aktywności w tej dziedzinie. Jak Bóg bowiem dał wieczor, codzień o każdej porze roku po godzinie 7 -mej wieczorem napływała tamdotąd prawie cała śmietanka polska. I niebawem rozpoczynała się ożywiona akcja. Na stole jawiały się budle, a następnie nie czasem szklanki, a kieliszki, bo przecież nieuchodziło pospolitować się takim plebejiuszowskim napojem jak piwem lub wodą sodową, bo od tego mogły by się ulęgnąć żaby w żołądku, a nawet pospolitą wódką lub "cienkim" winem. Pełne uznanie dopiero znajdowały gatunkowe wódki, stary Węgrzyn, bo przecież vinum Hungarorum to robur Polonorum, a już największe szampan. Nie brak też było i rozmaitych delikatesów w postaci zakąsków dla zaostrzenia zmysłu łaknienia. A jakąż strawą karmiły się tam umysły i dusze uczestników podczas tych codziennych wieczornych, dość długich seansów ? Jedni grali w karty, drudzy zabawiali się ujawnieniem rozmaitych nowości miejskich i poza miejskich, najchętniej jakichś skandalików. Ale przecież sprawiedliwość każe przyznać, że nie ograniczano się tylko do takich mało ważnych spraw. Owszem, rozstrząsano i bardzo ważne kwestie, jak nasze położenie polityczne, wysuwano rozmaite horoskopy na jej przyszłość, zwłaszcza po wybuchu wojny w bujnej fantazji widziano już Polskę wolną,

niepodległą, sięgającą od Bałtyku aż do Morza Czarnego. Nie można więc było temu zespołowi zarzucić braku gorących uczuć patriotycznych. Brak im tylko było zrozumienia, że wolnej, niepodległej i wielkiej Polski nie buduje się przy kieliszku i czczą gadaniną, a znojną, ofiarną pracą. A mało, że oni sami pogrążeni byli w nieróbstwie i marażmie, a jeszcze innych od niej odstręczali. Niech bowiem ktoś inny, nie należący do tego klanu, zabrał się do jakiejś działalności, od razu stawał się przedmiotem ich zaciętej krytyki, drwinek, nawet usiłowano nieraz rzucać mu kłody pod nogi. Gdyby ta nasza ówczesna inteligencja miast marnować bezowocnie tak drogi czas, była się zabrała do rzetelnej pracy narodowej, jak wysoko można było postawić życie polskie na toruńskim gruncie ! W pierwszych czasach mego pobytu w Toruniu pouczono mnie, że koniecznie trzeba uczęszczać do "Mazura", bo inaczej nie będę się liczył u inteligencji polskiej, będę u niej bez znaczenia. Na skutek takich zaleceń i ja zacząłem tamdotąd uczęszczać. Od pierwszej jednak chwili atmosfera ta zaczęła mi się nie podobać. Wysoki i kosztowny styl bywania narażał na poważne wydatki. A ja na to pieniędzy nie miałem. Przypadkiem zauważyłem też, kiedy właściciel w mojej obecności zaczął wertować konto dłużników, na każdej prawie stronnicy tego konta byłych wikarych w Toruniu. Biedakom tym widocznie nie starczały na te wysokie ekspensy ich wikariuszowskie dochody, musieli się jeszcze obciążać długami. Coraz bardziej poczęły mi te salonse brzydnąć. Miara się przebrała, kiedy składając wizyty w poszczególnych rodzinach, nasłyszałem się tyle bolesnych skarg ze strony zdanych bywalców. Prawie wszędzie usłyszałem dosłownie te same żale: "Cóż my mamy z naszych mężów ? Kiedy starali się o naszą rękę, złote góry nam obiecywali. A teraz, dzień w dzień jedno i to samo. Ledwo zdołają zjeść kolację, nie zatrzymują się aż u Mazura, a za dnia przecież zajęci są swą pracą zawodową, tak, że u siebie w domu są tylko jakby gośćmi. Zwykle dopiero późno w noc wracają do domu, nie rzadko w stanie nietrzeźwym, nie dając nam nawet spokojnie spać. My i nasze dzieci w ten sposób jesteśmy prawie że opuszczone".

Wtedy moja decyzja już była gotowa. "Choć nie będziesz się już więcej liczył i nie będziesz miał uznania, twoja noga tam się więcej nie postanie". I to dotrzymałem, choć muszę przyznać, że wobec utarcia się tego ujemnego zwyczaju, wymagało to nawet pewnej cywilnej owagi, by się temu przeciwstawić. Miałem jednak tę satysfakcję, że i inni wikarzy, którzy w międzyczasie przybyli do Torunia, poszli za moim przykładem. W tym krótkim okresie mego pobytu w Toruniu przed wybuchem pierwszej wojny światowej, który wynosił tylko 3 miesiące, gdyż przybyłem przy końcu kwietnia 1914, a już 1. sierpnia wybuchła wojna, chcąc wolny poza duszpasterstwem czas poświęcić pracy ojczystej, nie wiedziałem nawet, gdzie znaleźć pole dla niej. Jeden jedyny raz dano mi sposobność wygłoszenia wykładu na zebraniu organizacyjnym pracujących kobiet.

Dwa spotkania, które nabawiły mnie dużo strachu w początkach po wybuchu wojny.

Coś około połowy lipca wracałem pociągiem z Gdyni do Torunia. Do przedziału II klasy w Sopocie wsiadły trzy rodziny wczasowiczów. Byli to Rosjanie, jak się okazało, oficerowie straży celnej w Aleksandrowie, z swymi żonami. Ponieważ, jak to poprzednio opisałem, już jako tako opanowałem język rosyjski, chciałem wypróbować jego praktyczne użycie i niebawem nawiązała się między nami rozmowa. W jej toku okazało się, że władali oni lepiej językiem polskim, niż ja rosyjskim. Konwerzacja więc toczyła się częściowo po rosyjsku, częściowo w języku polskim. Stała się ona dość ożywiona i sympatyczna. W toku rozmowy oficerowie - ubrani po cywilnemu, zaznaczyli, że często w sprawach celnych urzędowo przybywają do Torunia i obiecali, że przy tej sposobności i mnie odwiedzą. Mnie oczywiście nie chodziło o znajomość z Rosjanami, a raczej o to, by mieć sposobność konwersacji w języku rosyjskim. Skoro się sami dopraszali, by mnie odwiedzić, nie widziałem żadnego powodu im tego odmówić. Prosili o nazwisko i adres. Podałem im jedno i drugie, które sobie zanotowali. Było to jakie 14 dni przed wybuchem wojny.

Nie była to jednak jedyna przyczyna przeżywanego później silnego niepokoju. Przyczynił się do tego jeszcze inny nie codzienny wypadek. Ni stąd ni z owąd zjawia się u mnie pewnego dnia jakaś pani z chłopcem. Mógł liczyć lat 9 do 10. Chłopiec piękny jak z obrazka zdjęty.Okrągła buzia, śniada cera, czarne jak węgiel oczy, ciemne, długie włosy, doprawdy prawdziwy Adonis. Przychodzi z łzami w oczach. Dla czego właśnie do mnie, kiedy przecież mieszkała na Mokrem, które wówczas należało do parafii P.Marii, nie mogłem zrozumieć. Zaczyna mi opowiadać swoje niesamowite koleje życia i swoją niedolę. Otóż urodziła się w Toruniu na Mokrem. Jako już panna, ponieważ w domu był niedostatek, ojciec jej był malarzem i wybrała się na poszukiwaniem chleba do b.Kongresówki. Los ją zapędził aż do Kijowa, gdzie została pielęgniarką chorych w szpitalu wojskowym. Tu ją poznał pewien lekarz wojskowy, nazwiskiem Doktor. Oczywiście ślub mogli wziąć za carskich czasów tylko w kościele prawosławnym. Po pewnym czasie przeniesiony został ów Doktor do Moskwy. Tutaj przyszedł na świat ów właśnie chłopiec, któremu nadano imię Włodzimierz. Aż dotąd była - jak podała - między nimi zgoda. Waśń między nimi rozpoczęła się dopiero wtedy, kiedy wypłynęła sprawa chrztu dziecka. Ona chciała go dać ochrzcić w kościele katolickim, on zaś domagał się chrztu w prawosławnej cerkwi. W tym jej obstawaniu popierała ją jakaś rodzina,Popowów,szczerze katolicka. Posiadali fabrykę porcelany w Moskwie. Mieli dwie córki, które jako siostry Sercanki "Sacre Coeur" mieszkały w Watykanie. Prócz tego poznała w Moskwie znanego wówczas jezuitę Wiercińskiego, choć polskiego nazwiska, jednak niemieckiego pochodzenia. Ten jej ochrzcił synka. Wtedy w jej domu zaistniało istne piekło. Wówczas za poradą O.Wiercińskiego i przy pomocy finansowej Popowów postanowiła ona opuścić potajemnie Moskwę ze synem męża i uciec do Rzymu, gdzie znajdowały się dwie córki państwa Popowów jako zakonnice w Watykanie. To jej się też udało. Tu została też przyjęta wraz z synem przez Ojca św. Później jednak poradzono jej, żeby wróciła do Kraju, do Krakowa, gdzie przy pomocy finansowej Popowów został jej syn już przyjęty do gimnazjum.Obecnie, we wakacjach przyjechała do swego brata

na Mokrem, który również jest malarzem, ale znajduje się w trudnych warunkach materialnych. Wobec tego stała się ona dla rodziny brata ciężarem, który ją koniecznie wypędza z domu. A z szczególną nienawiścią odnosi się do niej jej bratowa tak dalece, że ją nawet czynnie znieważają.Na dowód pokazywała sińce na ramionach. Ja to nieco fantastyczne opowiadanie przyjąłem z wielką rezerwą. Przecież dużo było wówczas takich nabieraczy księży na pieniądze za pomocą zmyślonych przygód. To też poddałem te jej podania skrupulatnemu badaniu. Przede wszystkim wziąłem sobie na cel chłopca. Matka mogła mi nabujać, ale chłopiec byłby się z łatwością o coś potknął. Tymczasem w szczegółowym badaniu dawał zupełnie pewne siebie i jasne odpowiedzi. Tak dokładnie opowiedział przyjęcie przez Ojca św., iż odpadły wszelkie wątpliwości. To też postanowiłem, o ile w mych siłach, im dopomóc. Nasamprzód wręczyłem jej pewną kwotę pieniędzy na pierwszą potrzebę. Pytałem, w czym bym jej jeszcze mógł dopomóc. Prosiła mnie, żebym w jej sprawie zwrócił się do Popowów w Moskwie o pomóc pieniężną, załączając świadectwo szkolne Włodzia,przełożone na język rosyjski i uwierzytelnione, co też uczyniłem. Następnie obszedłem wszystkich księży Polaków, mi znajomych i zebrałem taką kwotę, że mogła jej starczyć na uniezależnienie się w aprowizacji od jej brata oraz na podróż powrotną do Krakowa. List do Moskwy wysłałem 5 dni przed wybuchem wojny, a ona z chłopcem do Krakowa wyjechała w przeddzień wybuchu wojny.

Wojna ! Wojna !

Międzynarodowe stosunki polityczne wydawały się być ustabilizowane w owych czasach, nie grożąc żadnymi zbrojnymi komplikacjami. A najmniej powodów do wojny miały Niemcy, które po trzech zwycięskich wojnach osiągnęły nie tylko szczyt swej potęgi militarnej, ale i ogromnego rozwoju kraju. Ale jak to bywa u pojedynczego człowieka, że, kiedy ma już dużo, pragnie jeszcze więcej, tak też było u Niemców. W tę tak - zdawać się mogło- spokojną i

zrównoważoną atmosferę międzynarodową, jakby grom z pogodnego nieba uderzyło morderstwo arcyksięcia austriackiego, Rudolfa w Serajewie. Choć wydarzenie to znacznie zaostrzyło położenie międzynarodowe, jednak mało kto wróżył, że z tego wyniknąć może pożar, którym swym zasięgiem obejmie większą część kuli ziemskiej. Przecież sprawę tego morderczego zamachu w Serajewie przy dobrej woli zainteresowanych można było załatwić pokojowo. Jednak Niemcy, czując swą przewagę militarną nad innymi państwami Europy, pragnęły wykorzystać ten tragiczny wypadek jako pretekst do wywołania wojny - która by im miała dać hegemonię nad całą Europą. Nakłoniły więc Austrię, która całkiem była pod ich wpływem, by ta stawiła do ówczesnej Serbii tak upakarzające warunki, których ten kraj bez ubliżenia swej godności państwowej przyjąć nie mógł. I stąd doszło do wojny. Sprawcami jej więc były jedynie i wyłącznie Niemcy. Ale, choć niebo międzynarodowe na skutek tego mordu zakłębiło się gęstymi chmurami, jednak ogół aż do ostatnich chwil łudził się nadzieją, że one się rozejdą. To też popłoch i przerażenie ogarnęło wszystkich, kiedy jak grom z nieba nastąpił wybuch wojny. U nas Polaków atoli wiązała się z jej wybuchem nadzieja, że mimo swych okropności przyniesie ona nam tak przez nas i przez naszych przodków upragnioną wolność. Wszak nasz największy wieszcz wprost modlił się o wojnę ludów. Wszak oswobodzenie Polski inaczej jak przez wojnę dokonać się nie mogło. Ale, ile ofiar to kosztować będzie, ile to i polskiej krwi popłynie, nim się to dokona ! Co za okropny tragizm narodu polskiego ! Bracia jednej matki Ojczyzny stawać będą w przeciwnych sobie obozach, kierując przeciw sobie morderczą broń. Brat będzie wbrew swej woli, a z musu Kainem swego brata i to na rzecz swego ciemiężcy. Serce się krajało na tę myśl. Toruń był fortecą. To też roiło się tu od wojska, od tych licznych oddziałów już odsyłanych na front i tych, którzy napływali dopiero ze wszystkich stron, aby po ich wyekwipunku być odsyłani w ślad za tamtymi. Dzień w dzień prawie od rana do wieczora słuchaliśmy spowiedzi odchodzących na front przeważnie rodaków. W kościele słyszeć było nieustannie szloch i płacz. To rodzice opłakiwali

swych synów, żony swych mężów, narzeczone swych ukochanych, dzieci swych tatusiów. Cała posadzka kościelna zroszona była łzami. Mój serdeczny przyjaciel Wysiński, jak już wspomniałem poprzednio, powołany został pod broń. Choć ks.Polaka dużo kosztować musiałe zapewnie wygłaszanie patriotycznych niemieckich kazań z ambony do żołnierzy, to jednak myśmy się cieszyli z tego powołania. Przecież większość tu w szeregach wojskowych to Polacy. A przecież nikt nie umie tak trafić do duszy i serca brata, jak ksiądz brat. Jak długo był w Toruniu, co dzień wpadał do mnie dzieląc się ze mną wiadomościami, uzyskanymi w swojej nowej pozycji. Kiedy go nieraz nabierałem,jak jemu, tak gorącemu Polakowi przechodzić mogą przez gardło patriotyczne przemówienia w odwrotnym kierunku, uspokajał mnie słowy:"Germanus vult decipi, ergo decypiatur" /Niemiec chce być oszukiwany, a więc niech będzie oszukiwany/. W obrębie parafii św.Jana znachodziła się wyższa szkoła dla dziewcząt,utrzymywana przez jakąś Niemkę luterkę. "Wentschers Höhere Mädchenschule". Znaczna większość tych uczenic to polki katoliczki. Była to szkoła prywatna, ale z prawami szkoły państwowej. Religii tam udzielał ks.Wysiński. Po mianowaniu go kapelanem wojskowym mnie polecił jako katechetę, co też zostało przyjęte. Aczkolwiek nie należało do przyjemności uczyć polskie dziewczęta nauki religii w obcym języku, trzeba się było z tym pogodzić. Dla mnie to dobre było, że w moim trudnym położeniu materialnym miałem jeszcze jakiś dochód uboczny.

Stan rzeczy po wybuchu wojny. Pełne niepokoju dni dla mnie.

Rzecz jasna, że my Polacy z całego serca życzyliśmy pełnej klęski Niemcom, no i Austrii z nimi razem. Nadzieje nasze zdawały się mieć pełne uzasadnienie.Wszak sytuacja zwracać się zdawała przeciw nim. Owo tak głośno reklamowane trójprzymierze, prysło. Włochy zawiodły, ogłaszając neutralność. Czwarty sprzymierzeniec Rumunia, również nie dopisał. Przykrą niespodzianką dla

nich było przyłączenie się do wojny Anglii. Do tego kraju Niemcy szczególną zapłonęli nienawiścią. Wszak Anglików uważali oni za swych kuzynów i liczyli na to, że Anglia udziału w wojnie przeciw nim nie weźmie. To też, kiedy Anglia mimo to wypowiedziała Niemcom i Austrii wojnę, wymyślili oni na nią wprost bluźniercze pozdrowienie,którym się wzajemnie częstowali:"Gott strafe England"/Niech Bóg karze Anglię/. W kościele św.Jakoba odprawiał nabożeństwo gimnazjalne niejaki katecheta,Niemiec,Bünger. Na samą wzmiankę o Anglikach czerwieniał jak ugotowany rak. Inaczej ich nie nazywał jak:"Die verfluchten Engländer, die Halunken, die Banditen". Najbardziej jednak przykrą niespodzianką dla Niemców atoli było wypowiedzenie Niemcom wojny przez Japonię. A przecież na Japonię oni najwięcej liczyli. Te początkowe porażki polityczne usiłowali pokrywać pyszałkowatymi sloganami: "Je mehr Feinde, desto mehr Ehre" /Im więcej nieprzyjaciół, tym więcej sławy/.

W pierwszych czasach wojennych przechodziłem niesamowite emocje, a to właśnie na skutek mych przygodnych znajomości przedwojennych. Zaraz w pierwszym dniu wypowiedzenia wojny rozpoczęły się w okolicy Torunia jakieś utarczki, słyszeć było strzały karabinowe,nawet armatne. Ks.proboszcz Paszota z Kaszczorka, oddalonego tylko kilka kilometrów od Torunia, zostawił u siebie nietkniętą na stole kolację i wraz z 2 swymi siostrami schronił się do Torunia i został umieszczony w naszej salce parafialnej. W krótce też przyprowadzono do miasta pierwszych jeńców. Równocześnie po mieście rozpoczęły się aresztowania wybitniejszych Polaków. Wówczas przypomnieli mi się moi przygodni towarzysze z przed 10 dniami podróży kolejowej z Sopotu. Aleksandrów nie tak daleko oddalony od Torunia. Byli to przecież wojskowi. A może ich również pojmano. A gdyby tak znaleziono w ich notatkach mój adres.Od razu wzięto by mnie za szpiega. Ale ta obawa po kilku dniach ustąpiła, kiedy mnie zostawiono w spokoju. Dłużej jednak i dotkliwiej dał mi się we znaki ten list, jaki wysłałem w interesie tej pani Doktor do Moskwy. Przecież to dopie-

ro 5 dni temu, jak został oddany na pocztę. Jeżeli został zatrzymany, to Niemcy będą mieli dowód kontaktowania się mego z kimś w Moskwie, , co napewno by wystarczyło,by mnie zaaresztować. A poza tym opanowały mnie wątpliwości, czy to wszystko, co ta pani mi o sobie opowiadała,nie jest czasem fikcją. A nuż w rzeczy samej był to szpieg rosyjski ? Co do tego, to wyznać muszę, że długi szereg dni, a przede wszystkim nocy spędziłem w wielkim niepokoju. Uspokoiłem się dopiero, kiedy ostatecznie nadeszła karta pocztowa, napisana coprawda w języku rosyjskim,ale nie z Moskwy, a z Rzymu i to od córek Popowów SS.Sercanek w Watykanie, które mi doniosły, że pieniądze, nadesłane im przez ojca, one skierowały do pani Doktor do Krakowa.

Plan wojenne Niemców. Ich pierwsze zwycięstwa. Klęska nad Marną.

Niebawem wypośrodkowaliśmy, jakie były plany wojenne Niemców. Otóż mieli oni na wschodzie zająć stanowisko defensywne, a całe gros wojska rzucić na zachód przeciw Francji i Anglii, aby dopiero po rozgromnieniu tychże swoich wrogów całym impetem rzucić się na Rosję. Toruń gotował się na ewentualność oblężenia. Nawet nosili się ze zamiarem zbudowania tamy na Wiśle i zalania wodą całych nizin nadwiślańskich, aby przeszkodzić dalszemu pochodowi Rosjan. Ten plan Moltkego jednak uległ zmianie i to na usilne parcie cesarza Wilhelma, który w swej zarozumiałości, a równocześnie ograniczoności nie chciał żadną miarą dopuścić, by choć jedna stopa wroga stanęła na ziemi niemieckiej. Postanowiono więc podzielić siły wojskowe niemieckie i wystąpić ofensywnie i na zachodzie i na wschodzie. I to było na szczęście nasze początkiem ich zguby. Początkowo jednak mogli naród niemiecki olśniewać efektownymi zwycięstwami najpierw na zachodzie, ale to nic dziwnego, skoro brutalnym pogwałceniem neutralności Belgii zaskoczyli Francuzów i Anglików, zgoła

nie przygotowanych na tego rodzaju możliwość. Ale i na wschodzie mogli się poszczycić nie byle jakimi zwycięstwami na Mazurach, gdzie dowództwo rosyjskie wykazało zupełną nieudolność. Można sobie łatwo wystawić, jak te fanfary zwycięskie działałby na nasze polskie umysły. Każdorazowy komunikat o ich wielkim "Sieg'u" to dla nas jakby uderzenie obuchem w głowę. Kiedy miasto tonęło w powodzi flag, a dzwony kościelne z musu wydzwaniały wiktorie niemieckie, nam się ciemniło w oczach, chodziliśmy jak obłąkani, muzyka ich weseła wydawała się nam jakby marszem pogrzebowym, Moje siostry każdorazowo rozchorowane kładły się do łóżka. Najwięcej hartu ducha okazywała nasza matka. Pokrzepiając nas i podnosząc na duchu powtarzała: "Nie rozpaczajcie dzieci ! To jeszcze nie koniec, to dopiero początek. Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy". Odetchnęliśmy dopiero po klęsce Niemców nad Marną. Z bardzo ostrożnie zredagowanego komunikatu wojennego wyczuliśmy od razu, że Niemcy otrzymali tam porządne lanie, z którego nie tak prędko się wyliżą. Zwycięstwa natomiast, odnoszone na Moskalach, nie martwiły nas zgoła. Uważaliśmy je bowiem jako karę Bożą za niewysłowione krzywdy, wyrządzane Polsce przez blisko półtora wieku przez tego zaborcę.

Nasza orientacja polityczna.

Najbardziej zgranym towarzystwem było nas troje: ks. Wysiński, Reich i ja. Całą naszą uwagę zaprzątała jedna myśl, a mianowicie niepodległość Ojczyzny. Oczywiście była ona uzależniona od wyniku końcowego zakończenia tych olbrzymich zmagań wrogich sobie obozów koalicji Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych, Rosji z jednej, a państw centralnych z drugiej strony. To też przebieg walk śledziliśmy z największym napięciem, a ponieważ wiarogodność komunikatów wojennych Niemców nie bardzo dawaliśmy wiarę, chodziło o to, żeby i skąd inąd zaczerpnąć jakieś wiadomości. Radia wówczas jeszcze nie było. Najwięcej jeszcze wiadomości pokątnych dostarczać

nam mógł ks.Wysiński, jako kapelan wojskowy. Rzecz zrozumiała, że każda wiadomość o niepowodzeniach Niemców napawała nas radością i podnosiła nadzieję i odwrotnie. Naturalnie cała nasza nadzieja wiązała się z zwycięstwem koalicji. Wprawdzie po jej stronie stała Rosja, zaborca Polski i jej gnębiciel. W najgorszym jednak razie, gdyby i ona wraz z innymi państwami koalicji wyszła zwycięsko, to nastąpiłoby bądź co bądź zjednoczenie ziem polskich pod jej władzą, a już łatwiej było by wyrwanie się z rąk jednego oprawcy niż trzech. Ale w najgłębszych naszych kombinacjach liczyliśmy na to, że Rosja, przeżarta u góry korupcją, a wewnątrz fermentami rewolucyjnymi, jako kolos na glinianych nogach, pod obuchem ciosów, jakie odbiera od Niemców, runie, a wtedy drzwi do wolnej, niepodległej Polski, zostaną na oścież otwarte. Oczywiście pewności co do takiego wyniku mieć nie mogliśmy, jednak gorące jego pragnienie czyniło go nam już jakby pewnym. Późniejsza rzeczywistość przyznała nam słuszność. Jednak taka orientacja t.j. stawianie oczekiwanej niepodległości jedynie na zwycięstwo koalicji nie było tylko udziałem naszej trójki, a całego trzeźwo myślącego polskiego społeczeństwa, nie tylko Pomorza, nie tylko całego b.zaboru pruskiego, ale i znacznej części społeczeństwa z b.Kongresówki i Małopolski. To też, kiedy podczas I wojny światowej w roku 1916 nastąpiło ogłoszenie przez cesarzy Niemiec i Austrii utworzenie niepodległego Królestwa Polskiego, znaczna większość narodu polskiego odniosła się do tego aktu nietylko negatywnie, ale wielce, ale wielce nieprzychylnie, upatrując w nim oszukańczy podły manewer niemiecki. A mianowicie potrzebny był już bowiem państwom centralnym rekrut, mięso armatnie do dalszej walki, które im się już wyczerpywało. Ogłoszeniem jakiegoś pozoru, a raczej karykatury niepodległego królestwa polskiego, pragnęli cesarze centralni umożliwić, a raczej uprawnić pobór rekruta polskiego w b.kongresówce, którego tam było pod dostatkiem. To też społeczeństwo polskie b. zaboru pruskiego, które lepiej Niemców znało niż inne zabory, jednomyślnie i solidarnie nie tylko odrzucało, ale wrogo

manifeście owym cesarzy przeszedł na stronę Niemców,redagując w ich duchu "Gazetę Grudziądzką",to wówczas całe społeczeństwo nasze odwróciło się od niego,uważając jego krok za zdradę sprawy narodowej.Liczba abonentów topniała stale,aż przy końcu wojny tylko nieliczna garstka ich pozostała.Jednak ten gwałtowny spadek abonentów i tym razem wydawnictwu gazety szkody materialnej nie przyniósł,bo,jak było wiadomo,Oberkommando niemieckie w Gdańsku zakupywało każdorazowy nakład "Gazety Grudziądzkiej" w ilości 90 000 egzemplarzy, rozsyłając je między żołnierzy Polaków,jako że przecież gazeta po myśli Niemców była redagowana.Kiedy po klęsce państw centralnych a zwycięstwie koalicji Polska odzyskała wolność i Pomorze wróciło do swej Macierzy,pamięć o tym przeniewierstwie zaczęła się zacierać,wydawnictwu "Gazety Grudziądzkiej" dzięki wzmożonej propagandzie udało się powoli odbudować na nowo, ale poprzednie zaufanie do wydawnictwa już nie wróciło

Co do orientacji politycznej narodu polskiego,który upatrywał oswobodzenie Polski jedynie w pogromie państw centralnych,to jedynie w b.zaborze austryjackim,gdzie Polacy używali najwięcej swobody,panowała duża dezorientacja polityczna.Razu pewnego jechałem pociągiem z Bydgoszczy do Torunia.W przedziale II klasy znajdował się jeszcze jeden tylko pasażer.Widząc,że czytam polską gazetę, zbliżył się do mnie,przedstawiając się jako komisjoner rządu austriackiego,który otrzymał polecenie poczynienia rozmaitych zakupów na tut.terenach dla potrzeb wojskowych i cywilnych b.Galicji. Oświadczył mi,że pochodzi z Pomorza,jednak od lat kilkunastu mieszka w Małopolsce."Na waszych terenach,powiada,miło podróżować.U was panuje zwarta jednomyślność orientacji politycznej za koalicją i przeciw państwom centralnym.U nas w Małopolsce istnieje pod tym względem zupełna dezorientacja.Jedni są za koalicją,inni znów za państwami centralnymi.Są i tacy,którzy stawiają całkiem na Austrię, że ona to połączy ziemie polskie, a nawet są i tacy, którzy liczą na Rosję. A niektórym swoboda, jakiej zażywają Polacy w Galicji, tak dalece przewróciła w głowie, że zaciera się u nich wogóle granica między pojęciami Polska a Austria". Tak mi zobrazował ów pan, były Pomorzanin, rozbieżność poglądów politycznych naszych rodaków z byłego zaboru austriackiego. Że one były trafne,

się odnosiło do tego manifestu cesarzy. Jakież tedy było zdziwienie, ba wprost zdumienie naszego społeczeństwa, kiedy stało się wiadomym, że z tej jednolitej, solidarnej orientacji politycznej, jedynie i wyłącznie Wiktor Kularski ze swoją gazetą się wyłamał, stanąwszy po stronie państw centralnych. "Jak to, pytano, ten Kulerski, wróg Niemców, ten nieustraszony szermierz narodowy, obecnie podał ręce Niemcom i razem z nimi chce niepodległe królestwo polskie zbudować i jak dawniej "Gazeta Grudziądzka" tak ostro zwalczała politykę niemiecką, tak teraz na swych łamach ją popiera?" Ludziom wprost w głowie się to pomieścić nie mogło. Pragnę przy tej sposobności naświetlić niecc opinię publiczną społeczeństwa pomorskiego na ówczesną działalność publistyczno polityczną Wiktora Kulerskiego. Przecież znam ją dokładnie. Ogólnie przyznawano Kulerskiemu wielkie zasługi z tego tytułu, że swoim pismem dokonał wprost pionierskiej roboty, docierając z nim do najszerszych warstw ludności budząc uświadomienie i ducha narodowego i tam, gdzie, dokąd żadna jeszcze polska gazeta nie dotarła. Co do późniejszej jego działalności atoli zdanie o niej było podzielone. Jedna część społeczeństwa stała mocno za nim, pełna uznania dla jego nieustraszonej walki z przewrotnym systemem germanizacyjnym, a inna znów podejrzewała go, że w sposobie redagowania swego pisma Kulerski kierował się nie tylko względami patriotycznymi, ile materialnymi. I że nawet nieraz te zbyt ostro ujmowane artykuły przeciw Niemcom obliczone były na zwiększenie dochodowości wydawnictwa. Wyroki sądowe bowiem gazecie żadnej szkody nie przynosiły. Kary więzienia poza pierwszymi początkami nie odsiadywał wydawca, a podług ówczesnej ustawy prasowej każdorazowy redaktor odpowiedzialny. A każdorazowy wyrok zasądzający odpowiednio umiejętnie reklamowany przez gazetę, posłużył do coraz to znaczniejszego powiększania liczby abonentów. Zarzucano też z strony nieprzychylnej Kulerskiemu, że swym nieraz zbyt ciętym, a nawet Niemców drażniącym tonem swych artykułów szkodził naszej sprawie dając Niemcom materiał do większego szczucia przeciw ludności polskiej. Faktem jest, że kanclerz Bülów każdorazowo, kiedy w sejmie pruskim była na porządku sprawa polska, stale wyjmował z swej teki wycinki z "Gazety Grudziądzkiej", aby usprawiedliwić swe postępowanie względem Polaków. O ile przeto Kulerski miał w społeczeństwie pomorskim sporo niesympatyzujących z nim i krytycznie się do niego odnoszących, dużo zwolenników i gorących sympatyków, to po r. 1916, kiedy po

Odwrotna strona

miałem niebawem możność stwierdzenia i tego osobiście,na własne uszy.

Było to już po ogłoszeniu manifestu dwuch cesarzy państw centralnych, spotkałem znów w pociągu jednego z tych "aktywistów" i to znów z b.Galicji, którzy to u boku Austrii i Niemiec pragnęli utworzyć niepodległe Królestwo Polskie. Miewali oni też swoje zebrania i narady w Berlinie. W tych zebraniach oczywiście nie brakło i Kulerskiego. Ten pan w pociągu deklarował się przedemną jako delegat, wysłany z ramienia tychże aktywistów w Małopolsce. Wdałem się z nim w rozmowę. Pytam go:"A jak to,panowie, sobie przedstawiają odbudowę Polski przy boku Niemiec i Austrii ? " Na to odpowiada na moje pytanie:" Przyłączymy Kongresówkę i te ziemie zdobyte na wschodzie na Rosji, do Galicji i następnie te zjednoczone ziemie jako królestwo polskie związemy podobnie jak Węgry z koroną austriacką". "I pan myśli naprawdę, że Niemcy się na to zgodzą ? Przecież Austria to wasal Niemiec i słowa w tej sprawie mieć nie będzie." "O napewno się zgodzą,odpowiada - Austria za to pozwoli Niemcom odszkodować się za to na zachodzie, na Francji i jej koloniach". "Panie, pytam, a co się wtedy stanie z nami Polakami w b.zaborze pruskim". "O, co do was, to już wykreśliliśmy was z naszych kombinacyj politycznych!" Na ogół uważamy was jako po polsku mówiących Prusaków, brzmiała bezczelna jego odpowiedź. " Zakipiało we mnie. Najchętniej byłby mu plunął w twarz za tę obelgę, zaliczania nas do szeregu Prusaków. Abym nie potrzebował przynajmniej patrzeć na tego niepoczytalnego politykiera-maniaka, przesiadłem się do innego przedziału.

Ponieważ Polska powstać mogła jedynie i wyłącznie przez zwycięstwo koalicji, dla tego wielce krytycznie odnosiliśmy się też do poczynań Piłsudskiego, tworzącego przy pomocy Niemiec i Austrii legiony polskie. Owszem, Niemcy, bo przecież jedynie oni byli czynnikiem decydującym, podczas gdy Austria wogóle u nich nie liczyła, chętnie widzieli u swego boku takich Polaków, którzy dla ich sprawy przelewali krew, a zamian za co

narodowi polskiemu niczego innego nie gotują krom jeszcze sroższej niewoli. Ostatecznie jednak po wybuchu rewolucji w Niemczech tak się ułożyły stosunki, że i te legiony przydały się dla obrony kresów wschodnich Polski.

Bratnie dusze. "Dekowanie" się pod broń powołanych Polaków.

Jak już wspomniałem, do Torunia wywieźli Niemcy 5 kapłanów katolickich z Alzacji i Lotaryngii pod zarzutem wrogiego usposobienia w stosunku do Niemców. Od razu zetknęliśmy się z nimi - to znaczy my trzej:ks.proboszcz Panny Marii Męczykowski, ks.Wysiński i ja. Władze pozostawili im swobodę ruchu w mieście, jedynie, co im dawało się we znaki, było marne odżywianie. To też postanowiliśmy ich dożywiać, każdy z nas kolejno po 1 tygodniu. Wnet przekonaliśmy się, że łączą nas wspólne poglądy,sentymenty i interesy. Tak oni jak i my żywiliśmy bowiem te same nieprzyjazne usposobienie w stosunku do Niemców, a ściśle biorąc do Prusaków, tak im jak i nam zależało na pogromie Niemców i wyzwoleniu się spod ich jarzma. To sprawiło, żeśmy się stali bratnimi duszami,przyjaciółmi. Od nich dowiedzieliśmy się też o stosunkach panujących w tych dwuch Francji odbitych prowincjach i o nastrojach tamtejszej ludności. W świetle ich podań ogół ludności tak Lotaryngii jako i Alzacji, niezależnie od tego,czy mówił po francusku czy po niemiecku, nienawidził Prusaków, a tęsknił za połączeniem się ponownym z Francją. Dowodem choćby jeden z tych 5 księży - wysoki brunet. Zauważyłem, że słabo nawet włada językiem francuskim. Pytam go, jaka jest jego mowa ojczysta,a on mi na to,uderzając się pięścią w piersi, w okolicę serca, odpowiada:"Meine Muttersprache ist deutsch, doch das Herz ist französisch" /Moja mowa ojczysta jest niemiecka, ale moje serce jest francuskie/. Od nich też dowiedziałem się,że ludność, zwłaszcza w Alzacji posługuje się narzeczem alemańskim, pochodzącym jeszcze z czasów, kiedy alemani podczas

wędrówki ludów - gminoruchów - tam się osiedli.Ten ksiądz zaprodukował nam też próbkę tego narzecza, z której wynikało, że jest to narzecze starogermańskie. Dowodziło i to, że Niemcy swym brutalnym wynaradawiającym postępowaniem żadnej ujarzmionej przez siebie narodowości pozyskać nie umieli. Tak było z mieszkańcami Alzacji i Lotaryngii, tak było z Duńczykami w Schleswig-Holsteinie, tak samo z Polakami na ich kresach wschodnich. Zazwyczaj usposobienie społeczeństwa i narodu znajduje swój wyraz w rozmaitych dowcipach i sarkastycznych kawałach. Nasi konfratrzy ze zachodnich tych kresów mieli ich cały repertuar. Jeden szczególnie utkwił mi w pamięci, ilustrujący dosadnie usposobienie tamtejszej podbitej ludności. Otóż i jego treść: "W pierwszych czasach po anekcji Alzacji i Lotaryngii ustanowiono tam namiestnika / o ile mnie pamięć nie myli/ w osobie księdia Hohenlohe czy Wedella,katolika. Ten odwiedzając poszczególne miejscowości zwykł był też wstępować do świątyń pańskich.W pewnym mieście namiestnik ku swemu wielkiemu zdziwieniu ujrzał na jednym z ołtarzy dużą srebrną mysz.Takiej figury jeszcze w żadnym kościele nie widział. Zaintrygowani tą osobliwością zwraca się do oprowadzającego go kapłana, żeby mu wyjaśnił znaczenie tego niezwykłego symbola. "Fürstliche Gnaden!" odpowiada ów kapłan. Jest to wotum, opierające się na starodawnym podaniu, że swego czasu nawiedziła tę okolicę plaga myszy, powodujących wielkie zniszczenie i spustoszenie w polach i w mieście. Strapiona ludność ślubowała jako wotum wielką srebrną mysz, jeżeli P.Bóg ją od tej plagi uwolni. I ta figura tu na ołtarzu, to właśnie spełnienie tego ślubowania." Na to wyjaśnienie namiestnik odpowiedział głośnym wybuchem śmiechu. I to naprawdę ludność ta jest tak zabobonną, że wierzy w skuteczność takiego votum,zauważył on. Na co ów kapłan: Niestety, nasza ludność nie jest tak pewną skuteczności takiego środka, bo gdyby tak było, to Fürstliche Gnaden, może być przekonany, że na każdym ołtarzu stałby srebrny Prusak." Byliśmy razu pewnego, zdaje się w dzień św.Jana,na imieninach

Ks.Jana Męczykowskiego. Było sporo księży i osób cywilnych. Nie brakło też i naszych przyjaciół z zachodu. Sypały się tam z naszej i ich strony rozmaite dowcipy, drwinki i kawały pod adresem Niemców, a w szczególności Prusaków. Nie zważaliśmy zgoła, że wśród nas jest wojskowy proboszcz- Niemiec. Naraz ktoś zauważył, że go już nie ma. Zupełnie cichaczem i niespostrzeżenie wyniósł się. Dopiero nas wszystkich blady strach obleciał. A muż on udał się do komendy wojskowej, by o tym donieść. Na szczęście nie stało się to. Opuścił nas poprostu czując się dotkniętym jako Niemiec.

Razu pewnego wezwano mnie do jakiegoś baraku kawał za miastem, by zaopatrzyć pewnego chorego żołnierza. Był to lazaret chorych żołnierzy. Po zaopatrzeniu chorego słyszę w koło siebie polską mowę. Pytam najbliżej stojących: "To wy Polacy ?" "O, odpowiadają mi, my tu wszyscy Polacy". A był to barak obszerny i pełno było w nim takich "pacjentów",. Przyglądam im się bliżej. Widzę, że są w dobrej formie i przy dobrym humorze. "A co wy tu robicie, zamiast być na froncie ?" pytam. "O księże wikary. My tu stanowimy Niemców ostatnią rezerwę, ostatnią deskę ratunku, odzywa się jeden z tych zuchów, Jak z Niemcami już będzie bardzo źle, to my się zerwiemy do czynu, Rzucimy się na ten barak, zburzymy go i wrócimy do domu". Daj Boże, pomyślałem sobie, żeby to wasze życzenie się spełniło. Ale czy wam się to uda ? Był to przecież dopiero rok 1916. Wszyscy ci przygodni mieszkańcy owego baraku,to pacjenci doktora Steinborna. Pod niemieckim jego nazwiskiem kryło się gorące serce polskie. On to, będąc wojskowym lekarzem, jak tylko umiał i mógł, chronił Polaków przed pójściem na front, narażając nawet przy tym samego siebie na wszelkie niebezpieczeństwo. Ale, bo też i sami nasi bracia, powołani pod broń, wykazywali wprost genialną pomysłowość w wynajdywaniu sposobów wywoływania rozmaitych sztucznych zachorowań, czy to powodujących obrzęk nóg, czy to sztuczną egzemę czy sztuczną gorączkę, arytmię serca i t.d. I słusznie tak.Wszak każdy Polak zdawał sobie sprawę, że zmuszony pójść na front,naraża swoje życie dla interesów wroga.

Przykre rozczarowanie.

Razu pewnego otrzymuję elegancki liścik. Jest pisany po francusku. Rozpoczyna się słowy: "Mon cher ami Joseph" /mój drogi przyjacielu Józefie/, a kończy się: "Ton ami Stach Działowski". Donosi mi, że znajduje się w przejeździe i rad by się ze mną spotkał. Oczekuje mnie w ówczesnym Artushofie. Ucieszyłem się naprawdę szczerze. Wszak to już 17 lat, jak żeśmy się rozstali. A przecież siedzieliśmy w gamai na jednej ławie, obok siebie, według alfabetycznego porządku naszych nazwisk. Byłem jego stałym suflerem w odpowiedziach na pytania profesorów, jego odbiorcą w piśmiennych pracach klasowych i domowych. Bywał przecież bardzo częstym gościem na naszej "budzie", przyczym jego wchodzenie zwykle nię dokonywało się jak u innych kolegów przez drzwi, a przeważnie przez okno. To wszystko stanęło mi przed oczyma pamięcią po przeczytaniu tego bileciku. A nie tylko to, ale zarazem i te wszystkie udręki, które znosić musiałem z jego przyczyny od owego mściwego profesora. Ale to były już tylko wspomnienia, a tu już tylko jedno dominowało pragnienie zobaczenia po tylu latach dawniejszego kolegę szkolnego. A spodziewałem się dużo z tego spotkania, Wszak wiadomym mi było, że podróżował po Afryce. Przeżył tam napewno sporo przygód, odniósł moc wrażeń, będzie miał dużo do opowiadania, dowiem się od niego dużo ciekawych rzeczy. To też spieszno mi było tamdotąd pobiec. Zastałem już tam naszych alzackich konfratrów. Ciekaw byłem, jak oni się tak od razu z nim zetknęli. Na stole już stały kieliszki do szampana i wina, a we wiaderku chłodziły się butelki z rozkoszodajnymi płynami. Przywitanie było bardzo serdeczne. Można sobie wystawić, po tylu latach nie widzenia się ! "No, a teraz Stachu, gadaj, gdzieś wszędzie bywał, coś widział i przeżywał". Tak żywo mnie zawsze interesowały opisy podróży po rozmaitych egzotycznych krajach, tej lekturze stale dawałem pierwszeństwo ponad każdą inną, a teraz mam przed sobą autentyczne żywe źródło odnośnych informacji. Jakież było jednak moje

zdziwienie, kiedy wszystkie moje ciekawe pytania,gdzie wszędzie bywał, co widział, jakie wrażenia odniósł,jakich przygód doznawał przy swoich polowaniach na dzikie zwierzęta, zbywał krótko i lakonicznie, a stale wracał do jego i tego samego tematu, do kobiet. One to stanowiły główny i prawie wyłączny przedmiot jego zainteresowań. Każde usiłowanie moje, by jego uwagę odwrócić od tego śliskiego tematu na inny poważniejszy, spełzły na niczym. Kobiety egzotyczne, ich życie,i swoje z nimi przeżycia opisywał z największą lubością.Najchętniej mówił o nagich kobietach. Poznać było po nim, że w tym właśnie elemencie czuje się najlepiej. Nadomiar złego i usługą w lokalu była żeńska, ponieważ wszystkich mężczyzn młodych pobrano do wojska.I one wzbudziły jego zainteresowania. Co rusz to zwracał się do nich z rozmaitymi niewybrednymi ,niedwuznacznymi uwagami i dowcipami. Ponieważ w lokalu byli jeszcze i inni goście, wstyd mnie było przed nimi jako księdzu znachodzić się w takim towarzystwie. Widziałem, że i moi konfratrzy spuszczali wstydliwie oczy. Wreszcie mi było tego już dosyć. Pod pozorem, że idę do ustępu, niepostrzeżenie bez pożegnania się ulotniłem do siebie. Po mnie uczynili to samo powoli i moi konfratrzy tak, że został wreszcie sam jeden. Miałem tu jaskrawy dowód na to, co z człowieka uczynić może nieposkramiana,nieopanowana zmysłowość i cielesność. Był przecież wielce utalentowanym młodzieńcem, choć grube lenistwo nie pozwalało mu tych wrodzonych zdolności należycie rozwinąć, ukończył jednak uniwersytet, władał zupełnie biegle kilkoma językami, był mężczyzną przystojnym i mógł być człowiekiem wielce pożytecznym i zasłużonym działaczem na niwie narodowej - a tak stał się w ścisłym tego słowa znaczeniu prawdziwym

n i c -p o - n i m .

Precz z Torunia!

W pierwszych czasach I wojny światowej żywności było pod dostatkiem. Niemcy liczyli prawdopodobnie na rychłe

zakończenie wojny. W rzeźni miejskiej bito dużo zwierząt rzeźnych dla wojska. Zwłaszcza odpadków od bitych zwierząt, jak łby, nogi, wątroby i t.d. było w bród. Rzeźnia miejska znajdowała się w obrębie parafii, a rzeźnikami byli nasi ludzie, to też odkładali dla nas najlepsze kawały. Powoli jednak dostawy zwierząt zaczęły się zmniejszać, a trudności aprowizacyjne stale zwiększać. Nastąpiły ograniczenia przez kartki żywnościowe. Toruń jako miasto forteczne z swymi masami wojska,bardziej był wystawiony na trudności aprowizacyjne niż inne miasta. To też coraz trudniej stawało się zdobycie dostatecznej ilości chleba. Mleka, dzięki owej poczciwej,nam życzliwej Niemki, mieliśmy wystarczająco. Natomiast coraz gorzej było z mięsem i tłuszczem. Kiedy razu pewnego siostra z wielkim trudem zdobyła kawałek mięsa, które okazało się ani wołowiną, ani wieprzowiną ani baraniną, a coś bardzo wyglądało podejrzanie, możliwie na psie, któregośmy naturalnie nie tknęli, powiedziałem sobie: "Czas najwyższy z Torunia się wynosić. Ale dokąd ? Chyba na wieś, bo tam łatwiej o aprowizację." A było nas przecież z małym siostrzeńcem 5 osób. Ale chyba nie na wikariat, bo przecież musiałbym się rozstać z moimi najbliższymi. Był to już rok 1916. Niemcy wobec doznawanych już niepowodzeń bardzo spuścili z tonu,spokornieli. Może i ks.Biskup nie będzie /WZ/DW/ się już obawiał posłać mnie na jakąś kuracją - a jak się wówczas nazywało - na lokalny wikariat. Natychmiast zwróciłem się do brata mego poprzedniego proboszcza ks.Tredera, ówczesnego rektora seminarium duchownego w Pelplinie, ks.Konstantego Tredera, przyjaciela ks.biskupa. Tym razem życzenie moje zostało spełnione. Otrzymałem powołanie na kuratusa w Legbądzie, położonego wśród borów tucholskich.

W Bory Tucholskie.
Na nowej placówce w Legbądzie - kraj-obraz.

Legbąd, położony w borach tucholskich, między Czerskiem a Tucholą, należał wówczas administracyjnie do po-

wiatu chojnickiego, obecnie do powiatu tucholskiego. Samodzielna placówka duszpasterska została tam utworzona dopiero trzy lata temu. W skład jej wchodziły miejscowości częściowo z parafii czerskiej,częściowo z parafii śliwickiej. Znaczne odległości Legbąda od tych dwuch miejscowości koniecznie domagały się utworzenia osobnego duszpasterstwa w Legbądzie. Kościoła jeszcze w Legbądzie nie było, a jedynie z desek zbudowana kaplica, przeniesiona tamdotąd z Rytla po wystawieniu tam nowego kościoła. Dość wysoka,wysmukła wieżyczka z blaszaną na czerwono pomalowaną kopułą,sterczaca wysoko, uroczo odbijała od zielonego tła sosen i świerek. Służyła ona mi stale jako punkt orientacyjny, kiedy się zbyt daleko zapuszczałem w głąb lasu i zbłądziłem. Wieś rozpościerająca się na obszerniejszej polanie, okolona jest ze wszech stron iglastym lasem. Tuż za wioską przepływał kanał, nawadniający łąki rządowe, tworząc przy tym miejscami rozlewiska i bajorki. Jedno z tych stawisk tworzyło prawdziwe jezioro,w środku którego była mała wysepka, obrośnięta nie tylko rogożem i trzciną, ale i drzewiastymi krzewami.Dwa mniejsze bajorki wrzynały się w głąb ziemi plebańskiej. Owa wysepka stanowiła siedlisko i lęgarnię licznego ptactwa wodnego. Las i woda to dla mnie największa atrakcja. To też stwierdzenie tego stanu rzeczy tutaj wzbudziło u mnie wprost zachwyt.Pole plebańskie położone było po drugiej stroniekanału. Najprostsza droga do niego prowadziła przez kanał, natomiast okrężna była o cały kawał dłuższa. Mój poprzednik posiadał własną gondolę, za pomocą której przeprawiał się stale na pole plebańskie. Tę gondolę wraz z stojącą przy brzegu kanału budką kąpielową nabyłem od ks.Doeringa za 130 mrk. Ta gondola, w której pomieścić się mogło około 8 osób, dawała mi możność uprawiania sportu wioślarskiego. Nie zaniedbywaliśmy go też. W przeciwieństwie do tych uroczych właściwości terenu, gleba przedstawiała się marnie. Kiedyśmy coś koło połowy marca 1916 wprowadzili się do Legbąda, śnieg jeszcze pokrywał ziemię tak, iż nie mogliśmy się przekonać o jakości

tamtejszego gruntu. Ale śnieg niebawem stopniał, nastało suche powietrze. Kiedy powstała silna wichura, w powietrzu poczęły się unosić całe chmury piasku, wciskającego się wszelkimi szczelinami do mieszkania. Na widok tego, czego aż dotąd moje siostry nie doświadczyły, zaczęły one ręce załamywać i na głos płakać: "Braciszku, dokąd tyś nas tu przyprowadził ? Przecież piach ten tu nas zasypie i zagrzebie". No, tak znów źle nie było i siostry się do tych atmosferycznych zjawisk powoli przyzwyczaiły, a nawet uczuły się one, jak i matka, tu względnie dobrze. Bądź co bądź piaski te luźne były dość dokuczliwe. Idąc n.p.w kierunku kanału, nogi po kostki grzęzły w piasku miałkim. A kiedy się zasiało lekkie ziarno jak seradelę lub tatarkę, nigdy nie miało się pewności, na czyim polu w razie silnych zawieruch ono wzejdzie. Kiedy razu pewnego mój brat od wojska przyjechał na urlop i obeszliśmy pola, a ja go zapytałem: "Jak ci, bracie, ta ziemia tu się podoba?", on się roześmiał i powiedział żartobliwie: "Wiesz, tę ziemię tu Legbądzie P.Bóg chyba stworzył, kiedy już było zupełnie ciemno i już nie widział, jak ona wygląda!" Poza tym była to miejscowość, jak się mówi, deskami zabita. Odległość od najbliższego miasta i stacji kolejowej- Czersk - wynosiła 10 klm. a do Tucholi coś aż 17 klm. To bynajmniej mnie nie raziło. Rad byłem, że od tak zgiełkliwego i niespokojnego środowiska, jakim w czasie wojny był Toruń, naszpilkowany wojskiem, zdołałem się schronić do tak cichego, zaszytego zakątka. Tu spędziłem całe 4 lata. Pierwsze dwa lata upływały wśród względnego spokoju i ciszy. Wojna szalała, hen daleko, aż poza granicami samych Niemiec. Żaden też odgłos surm wojennych ani huk armat tu dotąd nie dochodził. Zalegający tu spokój i ciszę przerywał tylko od czasu do czasu przeraźliwy okrzyk, wyrywający się z piersi przeszytej bólem na wieść, że znów ktoś z najbliższych i najdroższych poległ na froncie. Był to ból i rozpacz, trudne do uczulenia. Niemcy, owszem, mieli jakiś sposób uśmierzania swych boleści, że ta ofiara młodego życia to "für Kaiser und Vaterland", ale jakimi argumentami mogliśmy my Polacy

łagodzić ból, szarpiący nas na myśl o tak obficie przelewanej krwi polskiej za obcą, bo nam wrogą sprawę? Chyba tym, że przecież dobry bóg policzy tę niewinnie przelaną krew na poczet wskrzeszenia naszej właśnie Ojczyzny. Tą nadzieją krzepiliśmy się podczas całej wojny. O ile życie moje w czasie trwania wojny upływało tu w względnym spokoju, to po wybuchu rewolucji w Niemczech aż przez cały okres przejściowy, stało się ono wielce burzliwe,zaprawiane wprost niesamowitymi, a nawet niebezpiecznymi perypetiami. Stąd też opis tych lat zajmie mi najwięcej miejsca.

Sprawy duszpasterskie.

Kuracja legbądzka liczyła na ów czas około 1800 dusz. Było więc wystarczająco pracy duszpasterskiej dla jednego księdza. Jak już wzmiankowałem, nie było tu jeszcze kościoła, a z desek o podwójnych ścianach zbita kaplica,przeniesiona z Rytla. Mój poprzednik ks.Doering, który stąd przeprowadził się na probostwo do Kokoszków w powiecie starogardzkim, dobrze się zasłużył około Legbąda,dokonując takiego dzieła, jak postawienie tej kaplicy,wybudowanie dość okazałej, 7 pokojowej, plebanii i zabudowań gospodarczych. Zbudowane one zostały z białej cegły, na które składały się piasek, wapno,cement, a głównie piasek,którego tu było w obfitości. Ponadto nabył on 23 ha ziemi jako dotację na utrzymanie dla księdza. Ale tak samo wielkie uznanie należy się parafianom, że na tej tak chudej glebie, przy swoim ubóstwie zdołali się zdobyć na tak ofiarny wysiłek. Ja już tu wszedłem do gotowego. Starałem się tylko uzupełnić to. czego tu jeszcze było brak, a mianowicie paramenty i chorągwie. Kaplica pomalowana była na deseń zielony, co tak doskonale harmonizowało z całym obramowaniem od zewnątrz zielonych sosen i brzóz. Nowe kolorowe chorągwie i malowidła ścian sprawiały, że kaplica ta wywierała miłe, przytulne wrażenie i pobudzała do skupiania się. Często słyszałem z ust dość licznie przybywających do Legbąda gości,

zwłaszcza Czerska, zdania, że tu dopiero można się naprawdę w pobożnym i skupionym nastroju pomodlić. Mój poprzednik już rozpoczął zbiórkę podczas kolęd na budowę kościoła. Ja ją kontynuowałem przez całe 4 lata. Zebrał się już dość pokaźny fundusz. O rozpoczęciu budowy kościoła w okresie wojny mowy być nie mogło, ale można było już powoli nabywać materiał budowlany, ale tu spotkałem się z stanowczą opozycją ówczesnego dozoru kościelnego, który, choć w innych sprawach mi zwykle ulegał, w tym wypadku był nieustępliwym. A przecież za czasów pruskich dozór kościelny miał głos decydujący. Na moje nakłaniania ich do tej sprawy, żeby już teraz przygotowywać wszystko, co tylko możliwe, aby zaraz po ukończeniu wojny móc rozpocząć budowę, stale otrzymywałem z ich strony jedna i tę samą odpowiedź: "Po co teraz już rozpoczynać? Jak przyjdziemy do Polski, to wszystko będziemy mieli darmo. A kto by teraz w wojnie chciał ten materiał zwozić z dworca ?" I właśnie z przyczyny tego nierozsądnego uporu cały fundusz 25 000 marek, zebrany mozolnie podczas siedmioletnich kolęd przezemnie i mojego poprzednika, na skutek dewaluacji przepadł na marne.Jedynie, co mi się udało, to postawienie organistówki, gdyż nie było tam ani żadnego mieszkania ani żadnego utrzymania dla organisty. Ale do zgody i na to z wielkim trudem zdołałem ich nakłonić. Ustąpili dopiero wtedy, kiedy im stawiłem ultymatum: albo się zgodzą, albo ja pójdę sobie stąd precz. Dopiero, kiedy po przyłączeniu Pomorza do Macierzy już mnie w Legbądzie nie było, pieniądze się do cna zdewaluowały, dowiedziałem się, że bili się po głowie i wyrzekali: "Ach, jacyś my byli głupi, żeśmy tego księdza nie słuchali". Ale było to już za późno. A kiedy po wojnie już za czasów Polski wreszcie zdołali zgromadzić materiał, potrzebny do budowy nowej świątyni Pańskiej i rozpocząć budowę kościoła, przyszła nowa wojna. Niemcy zabrali wszystek materiał i do dziś dnia Legbąd pozostaje przy swej deskowej kaplicy i przy zrębach murów rozpoczętego kościoła. Poza tym stosunek wzajemny między mną, a parafianami był dobry, ba serdeczny. Starałem się im poświęcić całym sercem, dzielić z nimi ich dolę i niedolę.Rad byłem, że mogłem urządzać działanie duszpasterskie według

własnego już planu, według własnej woli, podczas gdy aż dotąd jako wikary podlegałem pod tym względem zupełnie dyrektywom proboszcza. W kościele pracy było dosyć. Zwłaszcza w niedziele i święta była ona nawet dosyć wyczerpująca. Pochodziło to stąd, że dwie większe wioski kuracji Rytel, Zapędowo i Lutom, miały bliżej do Legbąda niż do Rytla i wierni w nich zwykle do kościoła w Legbądzie uczęszczali jako i dzieci na naukę przygotowawczą do Sakramentów św. Ale i z innych miejscowości wierni woleli przychodzić do Legbąda aniżeli do Rytla, a to z następujących przyczyn. W Rytlu kuratusem był ks.Antoni Kowalkowski.Był to kapłan gorliwy,świątobliwy, surowy dla siebie, ale również dla innych. Chciał życie ich upodobnić do swego własnego.Trzymał ich krótko i ostro, wymagał od nich dużo doskonałości, surowo piętnując ich wady i wykroczenia. Często odmawiał im rozgrzeszenia. Parafianie rytelscy mieli ks.Kowalkowskiemu dużo do zawdzięczenia. Złotymi wprost zgłoskami zapisał on się w kronice kościelnej kuracji rytelskiej. Wybudował piękny, obszerny kościół, okazałą plebanię i zabudowania gospodarcze. W wszystkich polskich ówczesnych gazetach ukazywały się jego gorące prośby o ofiary na świątynię w Rytlu. Nawet aż do Westfalii jeździł do naszych wychodzców po ofiary na swoją świątynię. Więc parafianie mieli wszelkie powody do wdzięczności dla swego tak zasłużonego kapłana. I w rzeczy samej mieli dla niego i wdzięczność i wielki szacunek, ale jego rygoryzm sprawiał, że go się bali. Miało to ten skutek,że w niedzielę i święta miałem zwłaszcza w I niedzielę miesiąca nadmiar penitentów, nieraz aż do stu i przeszło. Jeżeli się zważy, że w niedziele i święta miałem dwa nabożeństwa, po południu jeszcze naukę z dziećmi, to ta wielka ilość penitentów dużo wymagała wysiłku, ale przecież byłem jeszcze młodym, to zmęczenie z łatwością się pokonywało. Kiedy wybuchła rewolucja i osłabła powaga autorytetów i parafianie rytelscy nabrali odwagi. Wysłali do niego delegację z przedstawieniem, żeby się z nimi łagodniej obchodził wskazując na Legbąd. Otrzymali jednak od niego taką odpowiedź, na którą nie mogli znaleźć żadnej repliki. Wysłuchał bowiem cierpliwie ich żalów

i skarg, a następnie w te do nich odezwał się słowa: "Każda parafia ma takiego duszpasterza, na jakiego sobie zasłużyła. Jeżeli parafianie w Legbądzie mają łagodnego księdza, to najwidoczniej na takiego sobie zasłużyli. A wy zaś macie takiego, na jakiegoście sobie zasłużyli." Na taką argumentację nie znalazłszy stosownej odpowiedzi, zdeterminowana delegacja opuściła plebanię. Jeszcze i tego nie chciałbym pominąć milczeniem, jak sobie rytelscy parafianie radzili z spowiedzią wielkanocną. Ks. Kowalkowski jak w innych sprawach tak i w trybunale pokuty surowym był sędzią, odmawiając często rozgrzeszenia, zadając surową pokutę, a wymagał koniecznie aby spowiedź wielkanocną tylko u niego odbywali. Parafianie urządzali się wobec tego w ten sposób, że jaki miesiąc przedtym oczyszczali swe dusze z grzechów najpierw w innych parafiach, a przede wszystkim w Legbądzie, a dopiero potym, mając już znacznie odciążoną duszę, do niego udawali się ze spowiedzią wielkanocną. Nie chciałbym temu zacnemu i tak wielce zasłużonemu kapłanowi czynić z tego powodu jakichkolwiek zarzutów. Sądzę jednak, że lepsze skutki odnosiła łagodność i większa wyrozumiałość dla słabości ludzkich niż zbytnia surowość.

Za główny swój obowiązek uważałem zaspakajanie potrzeb duchownych parafian. Uważałem jednak, że działalność duszpasterska nie powinna się ograniczać li tylko do kościoła i zakrystii, a winna obejmować jako środek do celu i troskę i staranie o potrzeby doczesne parafian. W czasie wojny, jakakolwiek zorganizowana praca społeczna była wykluczona. Stan wojenny na to absolutnie nie pozwalał. Jednak był to okres okropnej wojny światowej, choć jej tragiczne dramaty rozgrywały się daleko po za granicami kraju, to jednak jej skutki ciężkim brzemieniem kładły się na ludność naszą w kraju. Nie było prawie domu, który by nie żył w straszliwej trwodze o los swoich najdroższych, zaciągniętych do wojska i wysyłanych na front. W związku z tym wyłaniały się rozmaite sprawy i kwestie, gdzie parafianie potrzebowali rady i pomocy, a któż do tego bardziej powołany jak nie duszpasterz. Chodziło o reklamacje w sprawie zwolnienia od wojska, o urlopy dla

zaciągniętych do wojska, o renty za poległych, o renty inwalidzkie, o zapomogi dla rodzin powołanych do wojska ich żywicieli, o renty na starość. Na tym polu otwierało się dla księdza szerokie pole do oddawania usług swych parafianom. Starałem się nie skąpić im i pod tym względem swej pomocy, wypisując im reklamacje, wnioski i t.d. A skuteczność ich uwzględnień zależała głównie od zaopiniowania ze strony sołtysa, a dalej wójta. A sołtys w Legbądzie, niejaki Senkowski, był to człowiek przewrotny,przekupny, całkiem oddany Niemcom i się im stale wysługujący. Był inwalidą wojennym z wojny francusko-niemieckiej z r.1870/71. Miał w wiosce karczmę, a jego córka, rozwódka, sklep. Tę okoliczność wykorzystywał jako sołtys dla swych interesów. Wydanie przychylnej opinii uzależniał całkowicie od tego, kto u niego lub jego córki wydawał jak najwięcej pieniędzy, specjalnie na alkohol, bo to dawało najwięcej zysku. Mając całkowite zaufanie władz niemieckich mógł sobie pozwalać na wszystko. Stał się poprostu postrachem ludzi. Z tym człowiekiem nie chciałem mieć nic do czynienia. Aby paraliżować tę szkodliwą działalność owego wiejskiego kacyka - despoty, zależało mi na tym, by sobie zyskać przychylność jego przełożonej władzy t.j. amtsvorstehera /wójta/. Wójtem, kiedy przybyłem do Legbąda, był niejaki Willich, będący już w podeszłym wieku. Wójtostwo znajdowało się w Łęgu, oddalonego jakie 16 klm.od Legbąda. Willich należał do rzędu tych nielicznych Niemców, którzy zżywszy się z ludnością polską, odnosił się do niej życzliwie. Ten poczciwiec możliwie uwzględniał wnioski i prośby ludności polskiej do rozmaitych urzędów. Dowodem jego życzliwości niech posłuży i ten fakt, że kiedy ogłoszony został manifest owych dwuch cesarzy o wskrzeszeniu Królestwa Polskiego, on wielce uradowany przyjechał do mnie, aby mi pogratulować i wyrazić swą radość, że i Polacy teraz będą mieli swoje własne państwo. Myślał oczywiście szczerze ten poczciwy starzec, nie mógł tylko zrozumieć, że ja tej radości tak bardzo nie odczuwałem. Nie mogłem jemu przecież za jego dobre

serce odwdzięczyć się wynurzeniem tego, co o tym fakcie myślę, że to tylko fałsz i obłuda. Na domiar w gabinecie moim wisiał obraz Matejki "Bitwa pod Grunwaldem". Skwapliwie dopytywał się, co on oznacza. Opisałem mu wówczas klęskę i złamanie potęgi krzyżackiej. Co sobie przy tym myślał, trudno odgadnąć. Jednak niebawem ów Willich ustąpił, a na jego miejsce przyszedł jakiś Niemiec z ówczesnego Pommern. Pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarł, było niekorzystne. Wysokie, barczyste chłopisko, twarz jego cechowała pewna ponurość. Był to jednak człowiek mimo pewnej zewnętrznej szorstkości, również niezły. Postanowiłem i jego sobie trzymać "ciepło", nie dla tego czasem, żeby mnie jego względy były potrzebne, ale moim parafianom. Od jego zaopiniowań zależało dużo przecież. Przyjmowałem go każdorazowo gościnnie i nie wypuszczałem go z próżnymi rękami. A na takie specjały jak masło, słoninę, to wówczas Niemcy byli wielce łasi. I muszę przyznać, że i ten człowiek nie był niewdzięczny. Gdzie mógł, to przychylnie się ustosunkował do wniosków lub petycyj parafian. Ale ostatecznie i mnie to wyszło na dobre. Kiedy bowiem po wybuchu rewolucji w Niemczech w związku z ruchawką braci Gnacińskich, przy której afiszowali się moją firmą, osławiony "Grenzschutz" odgrażał mi się "den verfluchten schwarzen Teufel totschiessen"/tego przeklętego czarnego diabła zastrzelić/ i rzeczywiście planował moje aresztowanie, on, jak się później dowiedziałem, każdorazowo temu przeszkodził. A kiedy już przed wkroczeniem wojska gen. Hallera, miał się wyprowadzić stąd, przybył do mnie na pożegnanie. Był zupełnie złamany. Przede wszystkim obchodził go los jego synów, co się z nimi stanie. Ściskając mi ręce życzył mi "mit vollem Herzen" / z pełni serca/ dużo szczęścia i powodzenia pod skrzydłami Białego Orła, a ja mu nawzajem tego samego życzyłem "unter den Fittichen des schwarzen Adlers". Nazwiska jego już nie pamiętam. Z jego jednak postępowania wobec tutejszej ludności przekonałem się, że i człowiek ten mimo ponurego wyrazu twarzy miał jednak serce.

Położenie gospodarcze parafian.

Ludność tej okolicy oczywiście nie należała do kategorii bogatych. W pierwszych czasach mego pobytu łamałem sobie głowę pytaniem, z czego ci ludzie na tych jałowych glebach żyją. Przecież te piachy im nie wydają takiego plonu, żeby się z niego mogli wyżywić. A jednak żyli i nawet nie najgorzej. Ziarna coprawda gleba wydawała skąpo. Dużo coprawda zależało od powietrza i od wielkości opadów. Dużo wilgoci, to zbiory jeszcze jako tako dopisywały, ale w razie suszy, zbiory były marne. Czy tak czy owak jednak zbiory zbożowe nie wystarczały na wyżywienie ludności i żywego inwentarza. Trzeba było dokupywać skądinąd, a przeważnie spod Tucholi. Ja sam też zmuszony byłem tak czynić. Bieda była tylko z przywozem zakupionego zboża z innego powiatu, co groziło nie tylko konfiskatą stwierdzonego zboża, ale i surowymi karami policyjnymi. To też wymagało dużo przebiegłości, by się nie dać schwytać. Natomiast co do okopowizny było jej pod dostatkiem. Główną jednak podstawą bytu ich był bór. Prawie każdy z nich miał kawał własnego lasu. Tego jednak nie ruszali. Natomiast w okół były lasy rządowe. Z tych oni czerpali pełnymi rękami. Trudno ich było przekonać, że to kradzież. To drzewo potym sprzedawali w Czersku. Mieli oni jako wymówkę swoiste tłumaczenie: "Jegomość,to przecież własność naszego wroga,Niemca". Nawet Bogu na chwałę chcieli użyć kradzionego drzewa. Razu pewnego przyszła do mnie trójosobowa delegacja z wioski Rzepiczno z propozycją postawienia tam Bożej Męki drewnianej, dębowy krzyż z korpusem. Pytają mnie, czy im tę Bożę Mękę poświęcę ? Pochwaliłem ich zbożny zamiar i pytam, czy mają na ten cel stosowne drzewo. "O,tak, powiadają, mamy bardzo stosowny na ten cel dąb, ale czy jegomość, bo tak księdza tytułowali, nam tę figurę poświęci ?" pytają po raz wtóry. Coś mnie tknęło. "A skąd macie ten dąb ? Kto go ofiaruje z Rzepiczny ? " "No,jegomość chyba wie, z czyjego", odpowiadają. "O nie, kradzionej ofiary ani ja nie poświęcę,ani P.Bóg by jej nie przyjął. Idźcie sobie z taką waszą

ofiarą" odpieram. Ułatwiało ludziom tę kradzież brak już należytego nadzoru ze strony leśnych władz rządowych.

Ale i w legalny sposób bory dawały ludziom sporo korzyści. Wszak Niemcy na potrzeby wojenne potrzebowali sporo drzewa. Źródłem zarobku był wyrąb drzewa, jego obróbka i jego wywóz do stacji kolejowej, opłacał im się zbiór grzybów, przede wszystkim t.z.kurzejek i jagód. Wobec bowiem niedostatku żywności w Niemczech każdy artykuł spożywczy był pożądany i ceniony. Przecież niegardzili już ani wronami, a nawet w swych pismach - czytałem to na własne oczy - zalecali do spożycia świeżą,wiosenną trawę swym rodakom jako bardzo zdrowy i odżywczy pokarm. "O,Niemcy,Niemcy, myślałem sobie, wy, którzyście tak butnie wyśpiewywali "Deutschland,Deutschland, über alles in der Welt" tak nisko już upadliście, że nawet już zieloną trawą nie gardzicie, którą przecież Opatrzność nie dla ludzi, a dla zwierząt przeznaczyła. Bądź co bądź wobec chudości i jałowości gleby legbądzkiej bór był dla jej ludności wielkim dobrodziejstwem i stąd pochodziło, że biedy materialnej w tych czasach w tej okolicy nie było.

Moje własne położenie gospodarcze.

Idąc poraz pierwszy na samodzielną już placówkę duszpasterską powziąłem mocne postanowienie jak najmniej swoją osobą pod względem materialnym obciążać parafian, a jak najwięcej wydobyć własnym wysiłkiem i zaradnością z benefecjalnego gospodarstwa. Było tam coś 23 ha. Co najmniej jednak połowa przypadała na zalesienie, a reszta gleby uprawnej też była lekka, piaszczysta. A jednak, aczkolwiek rozpocząłem zupełnie z niczym, w przeciągu 4 lat mego bytowania w Legbądzie miałem już zupełnie dobrze zaopatrzone gospodarstwo: parę rączych młodych koni, 4 dobre,mleczne krowy, owce, trzodę chlewną, ptactwo i cały martwy inwentarz rolniczy. Los jakby mi chciał wynagrodzić tę całą moją nizerię i to ciężkie borykanie się z biedą, spowodowane owym długotrwałym procesem jeżewskim. Tu złożyło się sporo sprzyjających okoliczności na to, że wybrnąłem zupełnie z

mojej całej mizerii materialnej. Nasamprzód wyzbyłem się owej nieruchomości w Jeżewie. Teraz, kiedy już cały obiekt Conitzerów znalazł się w naszych rękach, ten plac budowlany, spełniwszy już swoje zadanie, był niepotrzebny. Znalazł się też nabywca w osobie niejakiego Strysika, stolarza, który tam chciał założyć mechaniczny warsztat stolarski. Wrócił mi owe 9 500 marek, za które nabyłem ową posiadłość od p.Warmańskiej. Przepadły mi jednak wszystkie koszta procesowe, opłacone procenty, płacone podatki i t.d., co stanowiło kilka tysięcy marek. Wprawdzie zwracano się do mnie ze strony obecnego już Bazaru z propozycją, by mi te poniesione straty zwrócić, ale ja odmówiłem. Przecież tam wrzała zacięta walka konkurencyjna i każdy grosz był tam potrzebny, a ja przecież nabyłem ową nieruchomość na własne ryzyko, chciałem przeto wynikłe z tego następstwa sam ponosić. I jakoś dałem sobie z tym wszystkim radę. Kuracja w Legbądzie w stosunku do innych beneficjów stanowiła marne uposażenie, ale złożyło się tu sporo dogodnych warunków na to, że mogłem wybrnąć z wszystkich moich tarapatów materialnych. A mianowicie znachodziły się tu rozległe obszary łąk, nawadniane przy pomocy przepływającego przez nie kanału. Były to łąki rządowe.-królewskie. Administrację nad nimi sprawował t.zw. Rentmeister /rentmistrz/, zamieszkały w Czersku. Jego stanowisko odpowiadało mniej-więcej randze nadleśniczego. Pod nim byli t.zw.Wiesenmeistrowie /mistrze łąkowe/ i Kanalwärter /stróż kanałowy/ w randze leśniczych. W zasięgu mojej parafii było 2 mistrzów łąkowych i jeden strażnik kanałowy. Dwuch z nich, niejaki Weltrowski - mistrz łąkowy i Ringwelski -strażnik kanałowy- to zacne, religijne, polskie rodziny. Z jednej i drugiej rodziny wyszedł kapłan. ~~Niestety~~, ks. Weltrowski, później (sprzeniewierzył się swemu kapłańskiemu powołaniu i) porzucił swą suknię kapłańską. Natomiast ks.Ringwelski przed wojną zajął stanowisko proboszcza wojskowego w Toruniu, a po wybuchu wojny dostał się do Francji, a później do Anglii, gdzie wykonywał obowiązki duszpasterskie we wojsku polskim w randze podpułkownika, a po wojnie wrócił do kraju i jest obecnie proboszczem i kanonikiem w parafii Najśw.Marii Panny w Toruniu. Naj-

Na ostatnio w Lemie pow. Chojnice

młodszy syn Józef, za mych czasów sprawował funkcję organisty w Legbądzie. Druga rodzina wiesenmeistra,Rutkowskich już uległa w znacznej mierze germanizacji i zdala trzymała się od plebanii. Rentmistrzem w Czersku był niejaki Müller, Niemiec i protestant- ale porządny człowiek. Miał dużo sympatii dla księży katolickich. To też, kiedy przybyłem do Legbąda, mimo, że go nie znałem, polecił on miejscowym urzędnikom łąkowym, by mi możliwie poszli na rękę. Miało to duże dla mnie znaczenie. Trawę z łąk dwa razy w sezonie letnim sprzedawano w drodze licytacji, co wychodziło drogo. Natomiast personel łąkowy otrzymywał ją za taksę, która była stosunkowo niska. Mnie również polecił wydzierżawić 2 ha łąki za taksę, co było dla mnie wielkim dobrodziejstwem. Miałem w tym bowiem korzystną podstawę dla utrzymania mego inwentarza. Prócz tego dwa bajorki wrzynały się w rolę plebańską - należące do kanału. I te polecił mi dać w użytkowanie. A ponieważ były zarybione,dostarczały one plebanii ryb, zwłaszcza w letniej porze, w wystarczającej mierze, a mnie przyjemnego zajęcia łowienia ryb za pomocą zakładania do wody t.zw.więcierków. I pomyśleć ! Tyle życzliwości z strony tego poczciwego Niemca, który osobiście ani mnie nie znał ani ja jego.

Przybywszy na plebankę w połowie marca r.1916 zastałem przerażającą pustkę. Nie zastałem prócz gołych ścian gospodarskich zabudowań nic, absolutnie nic żywego, ale też żadnego martwego inwentarza. Oprócz mebli i sprzętów domowych wszystko inne do gospodarstwa podwórzowego trzeba było zakupić. Owszem, coś żywego jednak przywiozłem ze sobą, a mianowicie pięknego, rasowego, małego pieska,podobnego do wiewiorki. Był on prezentem pewnej pani w Toruniu, którą zaopatrzyłem w Toruniu na śmierć. Wiedziała, że niebawem umrze. Była zupełnie samotna. Jej główną troską było,co się stanie z jej faworytką "psotką" w razie jej śmierci. Wprost błagała mnie, żeby tego pieska wziąć do siebie. Nie miałem serca jej odmówić. Można było co do mnie wówczas w całej pełni zastosować powiedzionko "zeszedł na psa". Jednak nie żałowałem tej decyzji. Ten piesek,wyjątkowo układny, zgrabny i delikatny, stał się ulubieńcem nas wszystkich, a gdzie się pokazał swą niezwykłą "urodą"

zwracał powszechną uwagę. Ta "psotka" była jedynym żywym inwentarzem jaki ze sobą przywiozłem z Torunia do Legbąda. Ale piesek ten oprócz miłej zabawki i rozrywki żadnej innej korzyści nam nie dawał, a tu trzeba było żyć. Trochę gotówki przecież przywiozłem ze sobą, a i matka posiadała nieco grosza z wypłaconych odsetek. Ale, co tu najpierw nabyć, kiedy wszystkiego było potrzeba. Pierwszy żywy inwentarz, jaki zakupiłem, była para prosiąt, ktoś mi je ofiarował. Zapłaciłem, ile żądał. Rozgłosiło się to widocznie, bo następnego dnia rano po Mszy św., sień była pełna kobiet. Pytam, jakie ich życzenie. Okazało się, że wszystkie przyszły do mnie w tym samym zamiarze, by ofiarować mi swoje prosięta. Zmiarkowałem od razu, że pierwszą parę prosiąt przepłaciłem, więc stąd tyle ofert. Poza tym jednak nie było wypadku, żeby mnie moi parafianie chcieli w czymkolwiek wykorzystać lub podejść, owszem dużo doznawałem od nich dowodów życzliwości. Powoli zacząłem się dorabiać. Po prosiętach przyszły krowy, potym koń, najpierw jeden, później drugi, aż nareszcie zaopatrzyło się gospodarstwo w najniezbędniejsze potrzeby. W Czersku był wielki obóz jeniecki, w którym mieściły się dziesiątki tysięcy pojmowanych żołnierzy do niewoli, rozmaitych narodowości. W obozie panował straszliwy głód. Co dzień wynoszono każdego rana sporą liczbę umarłych z głodu i wycieńczenia jeńców. Najmniej wytrzymałymi byli Rumuni. Wśród nich śmierć najwięcej zbierała ofiar. Znaczny kontyngent jeńców stanowili Polacy z b. Kongresówki. Kiedy już tak dalece się zagospodarowałem, że miałem dla nich i wyżywienie i utrzymanie, zgłosiłem się do zarządu obozowego o przydzielenie mi dwuch jeńców. Niemcom też już coraz bardziej dawał się we znaki niedostatek żywnościowy. A miałem już wówczas i masło i smalec i słoninę. A na to lecieli Niemcy jak muchy do miodu. A mnie chodziło o to, żeby otrzymać z obozu jeńców rodaków. Posmarowawszy nieco, wolno mi było wybrać sobie spośród nich dwuch - niejakiego Jana Kostrzewę z pod Łowicza i Bolesia Reszkowa z pod Grodna. Mieli mi pomagać w gospodarstwie, w zamian za co postanowiłem otoczyć ich jak najczulszą opieką. Mając już teraz większą pomoc, mogłem

jeszcze bardziej rozwinąć moją gospodarkę i zdobywać środki na inne jeszcze po za własnymi potrzeby. A mianowicie Niemcom, jak już zaznaczyłem, dokuczał brak żywności, a zwłaszcza mięsa i tłuszczów, a ja tego miałem już pod dostatkiem. "Kto dobrze smaruje, ten dobrze jedzie". Przy pomocy tych środków usiłowałem jak najwięcej u Niemców wybić korzyści. Niebawem też znalazła się sposobność wypróbowania skuteczności smarowania.

Jak organista w Legbądzie został "pocztmistrzem".

W Legbądzie jako nowo utworzonej placówce duszpasterskiej nie było, żadnego utrzymania dla organisty. Czynności organistowskie ku zupełnemu zadowoleniu parafii wykonywał najmłodszy syn Ringwelskich, Józef. Mieszkał jednak u swych rodziców nad kanałem w oddaleniu jakichś 3 kilometrów. Dochodził więc z tamtąd co dzień. Mnie jednak chodziło o to, żeby mieszkał na miejscu i miał jakieś stałe utrzymanie. Łamałem sobie głowę, jak by temu zaradzić. Agencję pocztową w Legbądzie utrzymywał niejaki Sulkowski, emeryt. urzędnik pocztowy z Gdańska, zniemczony Polak. Miał własny domek i tam też mieściła się agencja pocztowa. Nagle ten Sulkowski zmarł i stanowisko to zawakowało. Umyśliłem sobie, by tę posadę uzyskać dla organisty. Natychmiast wystosowałem odnośne pismo do dyrekcji Poczt w Bydgoszczy. Wątpiłem jednak, czy to odniesie skutek. Najbardziej się bałem tego sołtysa Senkowskiego, tego pachołka niemieckiego, który napewno będzie się starał o tę posadę dla swej córki. Liczyłem jednak na niezawodny środek smarowania, byle tylko tych panów mieć w plebanii. Szczęśliwie się złożyło, że na pierwszym miejscu przyszli do plebanii. Widocznie liczyli na to, że najlepiej na tym wyjdą, jeżeli się zgłoszą do plebanii. "Herr Pfarrer" oświadczyli przy powitaniu, bardo dużo się zgłosiło, coś około 23, ale my przychodzimy na pierwszym miejscu do Herr Pfarrer. Miałem już swoją wypróbowaną, prawie nigdy nie zawodzącą metodę postępowania. Moja siostra miała polecenie, by, gdy tylko jakiś

Niemiec wejdzie do plebanii, zaraz parzyć kawę i coś smażyć na patelni, aby zapach smażonego mięsa, a aromat prawdziwej kawy, podniósł apetyt wygłodniałych niemieszków. Przybyło ich dwuch, inspektor pocztowy z Bydgoszczy i poczmistrz z Czerska. Nie trwało długo, a już po całej plebanii zaczął się rozchodzić zapach łechcący podniebienie gości. Ale kandydat na upatrzonego przezemnie na legbądzkiego "poczmistrza" nie było w miejscu. Był u siebie w domu, rąbał drzewo. Wysłałem po niego jeńca.Przybył jednak nie wiedząc po co chodzi w takim roboczym ubraniu, w jakim rąbał drewka. Zakłopotana siostra puka do drzwi. Gdy wyszedłem, powiada mi: "Przecież w takim ubraniu pokazać się nie może. Co my zrobimy ? " "Wiesz co, daj mu ubranie Nastka /brata naszego/ to jaskółkowe". "Tak, odpiera, ale jak on w nim będzie wyglądał, przecież brat to grubas, a ów taka tyczka". "I na to jest rada, tłumaczę, potrzeba tylko, by wchodząc ściągnął jaskółkę do tyłu, a odwrotnie wychodząc do przodu." Kiedy po takiej instrukcji wszedł przed oblicze tych dwuch panów, ci obejrzawszy go sobie, poprosili, żeby ich zostawić razem celem wybadania go. Pozostawiłem ich samych. Po pewnym czasie wyszedł, ale już stał zastawiony stół zaopatrzony w smakołyki i kieliszki z napojem. Przy stole pytam:"No, jak panowie ?" "Herr Pfarrer,odpowiadają obydwaj razem, to nie pójdzie "das wird nicht gehen/."Na nu, odpowiadam, a to czemu nie ? Przecież to poważny,przystojny młodzieniec". "Tak, kręcą głową,ale on przecież za młody, ma zaledwie 19 lat, przecież listonosze nie będą mieli przed nim żadnego respektu". "Cóż też panowie mówią o respekcie ? Jest on organistą i jest szanowany przez całą parafię". Biorę kieliszek i wychylam na zdrowie nowego legbądzkiego "poczmistrza". Trącają. Do jedzenia bynajmniej nie dają się prosić. Powoli topnieją jak śnieg pod ciepłem wiosennego słońca. W toku jedzenia pyta poczmistrz z Czerska:"Czy Herr Pfarrer ma trochę grochu?" "Ależ mam, mam, panie poczmistrzu, a mam jeszcze i coś do grochu, bo sam groch nie bardzo smakuje". Ach Herr Pfarrer, odpowiadają obydwaj,das ist sehr liebenswürdig von Ihnen". Zaopatrzeni zostają obydwoje w

paczki grochu, słoniny i masła. Zaczęli się ze mną żegnać, zapewniając mnie, że wszystko będzie w porządku. I w rzeczy samej niedługo potym nadszedł dekret, ustanawiający organistę agentem pocztowym.w Legbądzie. Dochód z poczty i akcydens z kościoła umożliwił p.Ringwelskiemu sprowadzenie się do wioski i założenie wraz z siostrą własnego gospodarstwa domowego. To trochę masła, słoniny i grochu sowicie się opłaciło. Był przecież organista przy kościele, na każdy czas gotów do służby kościelnej. A nie tylko pod tym względem. W miarę coraz większego pogarszania się kwestii żywnościowej ukazywały się coraz ostrzejsze zarządzenia przeciw wysyłaniu paczek żywnościowych do innych okolic. I nie wolno było przyjmować poczcie żadnych tego rodzaju paczek. A przecież za te paczki żywnościowe otrzymywało sił ze zachodu Niemiec rozmaite artykuły, jak materie na ubrania, obuwie,płótno,kawę i t.d. Dzięki tym paczkom żywnościowym było możliwe zaopatrzyć się we wszystkie nam potrzebne artykuły. Jeszcze bodaj większe usługi oddała nam poczta po rewolucji niemieckiej za czasów samozwańczego władztwa rozpasanego Grenzschutzu. Dzięki podsłuchom telefonicznym byliśmy stale informowani o rozmaitych jego i zamierzeniach i poczynaniach.

"Tłusty baran, tłusty, dobry do kapusty". Przyczynek do wymuszanych kontyngentów.

Mimo szalejącej na szerokim świecie straszliwej furii wojennej, tu w borach tucholskich podczas trwania działań wojennych życie płynęło względnie spokojnie.Na ogół życie tych, którzy wolni byli od służby wojskowej, tu w borach tucholskich było dość znośne. Najdotkliwiej jednak odczuwali ci, którzy posiadali jakieś gospodarstwo rolne,wymuszanie kontyngentów aprowizacyjnych w zbożu i żywcu dla wojska. Abstrahując już od tego, że ceny, wyznaczane za te dostawy były niskie, a lekka gleba nie dawała nawet tyle, by starczyło to dla własnych potrzeb gospodarczych i prawie wszyscy rolnicy uzupełniać musieli swe zapasy dokupywaniem z innych okolic tak samo jak i ja, płacąc

przytym znacznie wyższe ceny niż wyznaczane przez władze maksymalne,to ludność polska wogóle nie widziała potrzeby ponoszenia takich ofiar na cele prowadzenia wojny przez Niemców aż do zwycięstwa, które oznaczałoby tylko tym większe pogłębienie naszej niedoli. A jeżeli już użyczać coś ze swoich zapasów żywnościowych, to nie Niemcom na prowadzenie dalszej wojny, a własnym rodakom w miastach, którzy też cierpieli na niedożywianie spowodu skąpych przydziałów, jakie im przyznawały kartki żywnościowe. Tak rozumowałem ja, a tak samo i moi parafianie. Cała jednak sztuka polegała na tym, by się jak najskuteczniej wymigiwać od przymusowych dostaw kontyngentowych. A nie łatwa to była sprawa, gdyż od czasu do czasu jawiał się jakiś pojedynczy jegomość niespodziewanie lub w towarzystwie jeszcze innych w poszukiwaniu za ukrytym zbożem lub żywcem. Moi ludzie w plebanii mieli polecenie takich niepożądanych gości najpierw odsyłać do mnie do plebanii, by zyskać czas do wypuszczenia zagrożonego, czworonożnika w las, ale nie zawsze się to udawało. A dla ubezpieczenia zboża trzeba było wymyślać rozmaite kryjówki. Było to wielce uciążliwe, ale koniecznie potrzebne, bo, choć okolica biedna nadmiarem w czymkolwiek nie grzeszyła, jednak Niemcy o to nie pytali, a zboża, jakie na spichlerzu zoczyli lub w chlewie jakiegoś podrosłego szczeciniaka, to bez pardonu zabierali. Najskuteczniejszym jednak środkiem było smarowanie. Na naszą okolicę głównym komisjonerem był żandarm, zamieszkały w Czersku, zaawansowany już na "Wachmistrza".Tego nie potrzeba było smarować ani słoniną ani masłem.Tego to już widocznie dostarczali mu inni, Bardziej niż tłuszcz lubił on przepłukiwać swe gardło wódeczką.Miałem w tym celu mocną, przez znanego mi aptekarza spreparowaną "czystę". Nie byłem amatorem alkoholu, ale dla tych celów musiałem go mieć stale u siebie. Każdorazowo dobrze nią uraczony, wychodził chwiejnym krokiem z plebanii. A przy tym nie był to człowiek zły. Za każdym razem wchodząc do plebanii, zagajał rozmowę słowy: "Herr Pfarer, die da oben sind verrückt. Sie wollen wieder was von Ihnen haben und Sie haben doch selbst nichts"/Ci tam

u góry są głupi. Oni znów coś od księdza się domagają,a ksiądz przecież sam nic nie ma/. Przytym dobrze naśmieliśmy się razem i każdorazowo już dobrze wstawiony odchodził. Ale razu pewnego przychodzi z poważną miną oświadczając,że otrzymał z góry surową naganę, że z plebanii nie zdobył jeszcze żadnego kontyngentu i zaznaczył, że jednak coś będę musiał odstawić, bo inaczej "leżymy obydwaj".Tym razem było mi to nawet na rękę, bo miałem chorego barana, bardzo wyrosłego, ale coś mu się stało, że powoli tak wysechł, że już tylko same kości z niego były i że ledwo już na nogach się utrzymywać zdołał. Ponieważ już na nim nieco wełna podrosła, na oko to jego chuderlactwo nie podpadło. Prosiłem jednego i drugiego z moich gospodarzy, by go odstawili do punktu odstawy. Ale każdy się wymawiał, wstyd ich bowiem było pokazać się z taką mizerotą. Wskazali mi Lorka. Był on na wszystko. Ten bez namyślania się zdecydował się dowieść go do Czerska na miejsce przeznaczenia. Miałem szczęście. Odbierał właśnie w tym dniu dostawy, niejaki Gwizadała, rzeźnik - nasz człowiek. Kiedy go obmacał, roześmiał się na głos i zawołał:"Ale też wasz proboszcz go wypasł ". Grunt, że go przyjął i wystawił pokwitowanie z odbioru. A ponieważ było to wyrosłe nad miarę baranisko, choć tylko same gnaty, wagę miało dobrą. Tym dowodem mogłem się zastawiać cały rok. W następnym roku jednak poszło gorzej. Tym razem zupełnie niepostrzeżenie zajechał na podwórze jakiś komisjoner z Czerska, zabity Niemiec. Żadną miarą nie dał się nakłonić, by najpierw zgłosił się w plebanii, a zaraz poszedł do szopy. Tam mieliśmy wyjątkowo piękną, 1 1/2 roczną jałowiczkę, tak łagodną, że stała się pieszczotką wszystkich. To też i matka i siostry na myśl, że trzeba się z nią rozstać, od razu uderzyły w płacz. Uspokoiłem je jednak tym, że, choć trzeba ją będzie stąd uprzątnąć, bo ukrywać jej nie będzie można, jednak Niemcom jej nie dam. Obesłałem po parafianach, u których się udało znaleźć podobną, ale znacznie mniejszą i crudszą sztukę, którą nabywszy odesłałem na odstawę. Tyle, co w przeciągu 4 lat mego pobytu w Łęgbądzie odstawiłem Niemcom jako kontyngent. Za to

tymbardziej zabiegałem o to, by jak najwięcej tłuszczu i mięsa dostarczać naszym rodakom do miasta, którym ich brak również dotkliwie dawał się we znaki. Przestawiliśmy naszą gospodarkę przede wszystkim na hodowlę i tucz trzody chlewnej. Oczywiście, trzeba je było uprawiać w ukryciu, w nocy bić i w nocy rozwozić. Cała sztuka polegała na tym, by nie dać się nakryć. Bo za tajny ubój i wywóz do miasta wyznaczone były surowe kary. Mimo to, nie udało się Niemcom ani raz moich ludzi nakryć. A korzyści były obopólne. Rodacy, zwłaszcza w Czersku otrzymywali na korzystnych warunkach tak potrzebny im artykuł spożywczy, a my mieliśmy tę korzyść, że otrzymywaliśmy znacznie wyższe ceny za nasze artykuły, niż były ceny wyznaczone przez władze niemieckie.

W roli niefortunnego myśliwego.

Właściwości tutejszego terenu dawały sporo sposobności do uprawiania rozmaitych ubocznych zajęć i rozrywek. Kanał i jego rozlewiska, a z drugiej strony posiadanie własnej gondoli umożliwiały uprawiania i wioślarstwa, ale równocześnie i rybołóstwa. Dzień w dzień w letniej porze nad wieczorem wyjeżdżałem wraz z moim jeńcem Bolesiem, który tak samo był zapalonym łowcą ryb, jak i ja - naszą łodzią na nasze dwa bajorka, żeby na noc zapuszczać więciorki, a znów rano je wyjmować, nieraz pełne trzepiących się linów, szczupaków, okonków i t.d. To było zajęcie i przyjemne i pożyteczne, bo na cały sezon letni dostarczało nam ryb pod dostatkiem. Jak już wspomniałem poprzednio, do kanału przylegało obszerne rozlewisko, stanowiące prawdziwe jezioro, a w środku którego była mała wysepka. Była ona wielkim dobrodziejstwem dla miejscowych gospodyń, wychowując im przez całe lato aż do późnej jesieni gratis i franko całe gniazda kaczek. Wystarczyło je po wylęgu nieco odchować, następnie zaopatrzeć ich nóżki w odrębny dla każdej zagrody pierścionek kolorowy i wypędzić je na tę wysepkę. Tam one już się chowały samowystarczalnie.

Pokarmu dostarczał im w obfitości błotnisty spód rojący się od rozmaitego rodzaju robactwa i małych rybek. Ochronę przed skrzydlatymi drapieżnikami dawały im gęste,drzewiaste zarośla. Wyrosłe już i dobrze odżywione, bo wprost utuczone wracały one dopiero późną jesienią do swych zagród. I dziwna rzecz - każde gniazdo trafiało do swej własnej zagrody. I rzadko się tylko zdarzało, że jakieś pisklę odłączyło się od swego ~~ppp~~ do obcego gniazda. Wtedy po rozpoznaniu pierścionka odstawiano je do właściwego miejsca. Zwykle wracało po sezonie do własnej siedziby tyle, ile z niej wypędzono na owe letnisko - tak dobrze były one tam zabezpieczone. Wracały dobrze ukarmione,lecz mięso ich trąciło tranem i w domu trzeba je było przez pewien czas odżywiać inną karmą, zanim się nadawały do zabicia. Na tę wysepkę często urządzaliśmy sobie wyprawę gondolą - zwłaszcza w porze wiosennej. Roiło się tam bowiem od rozmaitego ptactwa wodnego. Wiosną podbieraliśmy mu jaja, których tam było w obfitości, aby mieć z nich smaczną,nie codzienną jajecznicę. Za namową parafian wydzierżawiłem też polowanie na tych terenach. "Niech jegomość to weźmie. Bo jeżeli jegomość tego nie obejmie,to jeszcze jakiś Niemiec się o to postara", tak mnie podszeptywali. A im przy tym chodziło jeszcze i o co innego, a mianowicie, żeby tym bezpieczniej uprawiać mogli kłusownictwo,które tam uprawiane było na szeroką skalę.

Sprzyjały temu warunki terenowe. Poszczególne zagrody znachodziły się wśród zagajników. Niech jakiś niebaczny zajączek albo beztroska sarenka zanadto zbliżyła się do zagrody, to już po nich. Pukawkę to już miała prawie każda zagroda. Dzierżawione przezemnie polowanie dawało im poniekąd bezkarność uprawianego przez nich procederu kłusowniczego. Mieli zawsze wymówkę, że polują z polecenia księdza i na jego korzyść. Od czasu do czasu przychodzili do mnie z ofertą urządzenia dla mnie polowania z nagonką. No, rezultaty były każdorazowo kiepskie, ale po każdej nagonce była w plebanii suta kolacja. Na skutek tej dzierżawy miałem też prawo posiadania broni.Od mego szwagra pożyczyłem dubeltówkę. Jednak zamiłowania myśliwskiego ani zdolności myśliwskich nie miałem za

grosz. To też pewno ani jedno stworzonko Boże nie potrzebowało się poskarżyć na mnie przed swym Stwórcą, bym mu życie odebrał. W jednym tylko wypadku pragnąłem wyzbierać w sobie nieco ochoty i zdolności myśliwskiej. A mianowicie, kiedy się dawał w Niemczech odczuwać co raz większy brak żywności, w pogoni za nią wpadli oni na myśl dostarczania im na poczet aprowizacji wron i mew, płacąc za upolowaną sztukę wyznaczoną cenę. W tym wypadku chciałem i ja im dopomagać, skoro już aż na "gapy" zeszli. A przecież tego ptactwa tu w borach było bez liku. To też wydawało mi się, że będzie łatwe masowe ich zestrzelenie. O, jakże ja byłem naiwny i niedoświadczony ! Rychło przekonałem się, że bardzo trudno podejść wronę. Dzień w dzień przez dłuższy czas, wychodząc w pole, brałem ze sobą moją dubeltówkę. Ze wstydem jednak wyznać muszę, że ani jednej jedynej wrony nie zdołałem upolować. Już bowiem z daleka zoczywszy mnie, wykrzykując urągliwie głośnym krakaniem moją niezaradność, odlatywały poza zasięg mojej morderczej broni.

Dwaj jeńcy wojenni, ale jak nierówne charaktery !

Jak już podałem, udało mi się otrzymać z obozu jenieckiego w Czersku dwuch jeńców Polaków: Jana Kostrzewę z pod Łowicza i Bolesława Roszkowa z pod Grodna. Wydostawszy ich z tego piekła obozowego starałem się ich otoczyć jako rodaków, do tego nieszczęśliwych ofiar wojny, jak najtroskliwszą opieką. Jedzenia było dosyć, jedli to samo co i my. Tytoniu, ile tylko sobie życzyli, również i kieszonkowego im nie żałowałem. Ubranie coprawda nosić musieli jenieckie, ale ponieważ za smarowanie wszystko otrzymać było można, co rusz przywoziłem im z obozu nowe buty, ubranie, płaszcze. Pomieszczenia coprawda w plebanii im dać nie mogłem, bo nie było wolno. Musiał być oddzielny lokal z zakratowanymi oknami. Temu celowi posłużyła pralnia. Opału dla niej w porze zimowej

było pod dostatkiem. Jeńców należało zamykać na noc na klucz. Aby ich jednak nie krępować, dałem dorobić drugą parę kluczy tak, iż plebania miała po jednym, a każdy z nich również. Jednak ostrzegałem ich, by tej swobody nie nadużywali, bo inaczej ja surową zapłacę karę, a oni spowrotem odstawieni zostaną do obozu. O ile chodziło o owego Roszkowa, był to stary kawaler, nie lada bywalec. Brał udział w wojnie bokserskiej rosyjsko-japońskiej, przeszedł Mandżurię, znaczną część Sybiru. Miał rangę podoficera. Był używany też do eskorty skazańców na Sybir, a ostatecznie uczestniczył w I wojnie światowej. Miał nam dużo do opowiadania z swoich przeżyć i spostrzeżeń. Z wielkim zainteresowaniem wsłuchiwaliśmy się w jego opowiadania o obyczajach i zwyczajach ludności na terenach Mandżurii i Sybirze. Ten jeniec, owszem, odczuwał w całej pełni dobrodziejstwo, jakie go spotkało, że z tej gehenny wydostał się na tak dogodne warunki. Na każdym kroku okazywał wdzięczność i życzliwość. Z szczególną sympatią odnosił się do mojej matki, wyręczając ją na każdym kroku. U siebie też w domu gospodarzył razem ze swą matką. Nie mając jej tu, swoją widoczną ku niej miłość przenosił i na naszą matkę. Taksamo czule odnosił się do naszego małego siostrzeńca, Tadeusza, z którym nawiązała się prawdziwa przyjaźń. Ze mną razem chadzał na połów ryb. Do wszystkiego był ochotny, całemu domowi był życzliwy. Zupełnym przeciwieństwem do tamtego był ów Kostrzewa. Przede wszystkim był to straszliwy zarozumialec. Że miał podobno jakąś zagrodę i jak się chwalił, aż trzy konie, czuł się wielkim panem i arystokratą. Nie łaska mu była przy moich wyjazdach siadać na koźle. Gwałtem pchał się do mnie na tylne siedzisko. Wszystkiego mu było za mało, stale był malkontentem. Do pracy był leniwy, a mało tego i innych jeszcze od pracy odmawiał. Nie dość też mu było, że sam miał wszystkiego pod dostatkiem, jeszcze i z innymi chciał się dzielić moim dobrem, wynosząc żywność ze spiżarni, zboże z spichlerza, siano z szopy. Stał się dla nas prawdziwym krzyżem domowym. Nic mi nie stało w drodze, by go każdego czasu odesłać spowrotem do obozu. Oznaczało to jednak skazanie go na

ponowną poniewierkę i głód. A przecież to rodak. Kiedy mu wspomniałem, że muszę go odesłać, od razu opuszczała go jego pycha, stawał się tak pokornym i małym, że na kolanach się czołgał, chciał stopy mi całować i płakał,jak dziecko, żebrząc, by mu wybaczyć, a po kilku dniach broił to samo. Dwa razy już zamówiłem wachmana, żeby go odprowadził. Podczas bowiem nagłej rewizji nie było go w domu, tłukł się gdzieś po wiosce. Musiałem wachmana dobrze posmarować, by mnie nie podał do ukarania, a jego nie odprowadził do obozu. Za każdym razem tak skamlał, że bodaj i kamień by zmiękł. A kiedy ja już się zdecydowałem, raz z tym nędznikiem zrobić koniec, każdorazowo matka po nieprzespanej nocy, blada, z podsinionymi oczami,wstawiała się za nim. Czyż mogłem się wstawiennictwu matki oprzeć ? I tak się z tym człowiekiem biedziłem aż do wybuchu rewolucji. A kiedy otrzymałem rozkaz odstawienia ich powrotem do obozu dla odsyłki ich do ich domów,zaopatrzyłem ich w żywność, która im mogła starczyć na dłuższy czas i odwiozłem ich do obozu. I zadowolony byłem, że ów krzyż domowy z tym człowiekiem zniosłem aż do końca. Kostrzewa jednak i po powrocie do swoich jeszcze nie dawał mi spokoju. Od czasu do czasu przysyłał mi błagalne listy o udzielenie mu materialnej pomocy, gdyż znajduje się w wielkiej biedzie. Tego mi jednak było za dużo. Zignorowałem to bezczelne nabieranie mnie jeszcze i po wojnie.

Dwa pożary w plebanii.
Hindenburg na wędzarni.

Podczas naszego czteroletniego pobytu w Łęgbądzie przeżyliśmy dwukrotnie pożar w plebanii. Pierwszy wybuchł kilka dni po naszym przybyciu do parafii. Okazało się,że belkowanie założone było zbyt blisko ogniska. Dopóki drzewo było wilgotne, nie zajęło się, kiedy jednak wyschło, pokazały się skutki. Kiedy rano wstałem, zauważyłem gęsty dym w plebanii. Zeszedłszy na dół przekonałem się,że ognisko jest w kuchni. Otworzywszy drzwi ogarnięty zosta-

łem całą chmurą dymu i płomienia. Zaalarmowana straż pożarna, mało wyćwiczona,wreszcie zagasiła pożar, ale swoją nieudolnością jeszcze więcej szkody wyrządziła niż pożar.Spalił się sufit w kuchni, ale pożar chwytał już dachu. Na szczęście pozamykane drzwi i okna nie dopuszczały do rozwinięcia się pożaru. Inaczej, ponieważ pożar wybuchł w nocy, mogło nam zagrażać wielkie niebezpieczeństwo. Drugi pożar nawiedził nas dwa lata później, tym razem za dnia, To też łatwiej został zauważony, chociaż wewnątrz u sufitu belka prawdopodobnie już przez pewien czas tliła się .Wypalił się cały sufit nad jednym pokojem. Nie wspomniałbym zgoła o tych mało ważnych wypadkach, gdyby z tym drugim nie wiązał się arcykomiczny incydent. A mianowicie istnym bożyszczem Niemców stał się Hindenburg po zwycięskiej bitwie pod Tannenbergiem. W nim pokładali Niemcy całą swą nadzieję na ostateczne zwycięstwo. Jego kult uprawiano rozmaitymi sposobami, m.i. rozsyłano wielkie kolorowe obrazy z jego wizerunkiem. Plebania też go otrzymała. I wówczas odbyła się między moimi ludźmi wielka narada, co z tym fantem zrobić. Zniszczyć to za mało. Ktoś wpadł na pomysł: "Powiesić go na zewnętrznej ścianie wędzarni na strychu. Niech się wędzi." Była to coprawda zewnętrzna ściana, ale też zupełnie zczerniała. No i wisiał sobie tam ten Hindenburg, całkowicie zapomniany i sczerniały. Aż tu po pożarze nieoczekiwanie zjeżdża z Chojnic jakaś komisja w sprawie stwierdzenia przyczyny powstania pożaru i wyrządzonych przezeń szkód. Obchodzi strych.Nieraz rozlega się z góry przeraźliwy a groźny głos: "Um Gottes willen, Herr Pfarrer, der Hindenburg hier ?"/Na miłość Boską, Hindenburg tu ?/.Gorąco mnie obleciało. Biegnę do góry. Gniewnym głosem i nastrożoną miną pytają mnie, co to znaczy ? "To znaczy, tłumaczę im, że, kiedy listonosz przyniósł ten obraz padał ulewny deszcz i obraz był całkiem mokry. Aby wysechł, powieszono go tutaj, a następnie zapomniano go zdjąć." Całą chwilę patrzeli na mnie złowrogo. Dopiero jednak dobry poczęstunek sprawę całkowicie załagodził.

Najgroźniejsza ekspedycja ze kontyngentem.

Było to już w ostatnim roku wojny, kiedy głód na skutek blokady aliantów coraz bardziej dokuczał Niemcom. Najwięcej niepokoju wywołała ostatnia na wielką skalę zakrojona ekspedycja w poszukiwaniu za żywnością. Ekspedycja złożona była z cywilów i żołnierzy i zapowiedziano urzędowo, że przeprowadzona rewizja zostanie z całą surowością. To też na ludzi w parafii padł blady strach. Przecież nie było zagrody, gdzieby nie ukrywano zapasów zboża i żywca. Muszę się przyznać, że ten strach dzieliłem i ja na równi z parafianami. Jedyną nadzieję pokładałem i tym razem w skuteczność działania zmysłu powonienia i podniebienia. To też od samego rana poleciłem parzyć kawę i smażyć pieczeń, tak iż cała plebania przesycona była pożądanym zapachem. Dość rychło rano cała ekspedycja składająca się z dwuch cywilów i 10 żołnierzy zwaliła się na podwórze plebanii. Dwaj cywile zgłosili się w plebanii przedstawiając się, jeden jako Dox z Chojnic, a drugi jako Oberwachmeister z Rytla. I to już był wielki plus. Ofiaruję im posiłek jako że prawdopodobnie po długiej podróży są głodni. Widzę, że połykają śliny. Mimo to jednak odmawiając, tłumaczą się, że najpierw muszą spełnić swój obowiązek. Wyszli. Cała horda rozlazła się po podwórzu i zabudowaniach gospodarczych. Nie upłynęło atoli ani 10 minut, a już ci dwaj panowie cywile byli spowrotem w plebanii z oświadczeniem: "Herr Pfarrer Sie haben doch nichts" /Ks.proboszczu nic nie ma nadto/. Proszę ich do śniadania. Nie dają się bynajmniej prosić. Apetyt mają doskonały. W toku rozmowy jeden z nich zwraca się do mnie nieśmiało z zapytaniem, gdzieby mogli przenocować, bo jutro muszą dalszą okolicę zrewidować. Oświadczam im, że jeżeli chodzi o nich, to ofiaruję im nocleg w plebanii, a co do żołnierzy, to napewno sołtys wyznaczy im odpowiednią kwaterę. W międzyczasie puka do drzwi moja siostra i wywołuje mnie. Przerażona podaje mi, że żołnierze weszli znów do stodoły i wywalają z niej słomę w poszukiwaniu za zbożem. Wracam do pokoju i podniesionym

głosem pytam:"Panowie, czy rewizja skończona czy nie,bo żołnierze mi przewracają całą stodołę". "Na nu, Herr Pfarrer, przecież rewizja skończona". "No, to może panowie ich stamtąd wyproszą ?" Obydwaj wybiegli na podwórze i gromkim głosem skrzyczeli ich za ich niesforność i wtedy żołnierze ustąpili. A właśnie tam pod słomą ukryte było zboże i mąka i słonina. Wydobycie tego na jaw byłoby i mnie naraziło na bardzo przykre następstwa, ale i tych panów również. W dalszym ciągu śniadania jeden z nich pyta:"Czy też Herr Pfarrer gra w karty?" "Ależ tak,odpowiadam, we wszystko, co sobie tylko panowie życzą." Ucieszyło ich to niezmiernie. Przy wybieraniu się na objazd radzę im, żeby się możliwie rychło załatwili, bym nie potrzebował zbyt długo na nich czekać z kolacją. Przypuszczałem, że, jeżeli się pospieszą, koło wieczora mogą być z powrotem, bo przecież parafia była rozległa, a poszczególne zagrody rozproszone po kniejach. Po południu około godz.3 wybrałem się na pole. Nie doszedłem jednak aż tamdotąd. Biegnie bowiem za mną służąca z obwieszczeniem, że już wrócili. No, musiał być i podwieczorek i kolacja, poczęstunek i karty. Wieczorem przy kartach zaczęli mi się wynurzać, jak już z nimi źle, jak im już głód dokucza. A ten pan z Rytla zaczął mi androny prawić:"Ach, powiada, jaki Herr Pfarrer jest liebenswürdig/przyjemny/. My też w Rytlu mamy naszego Pfarrera /pastora//obydwaj panowie byli protestantami/ ale my z niego nic nie mamy. Czy on jest dla Boga, to my nie wiemy, ale do ludzi to on już wcale nie jest. Ksiądz się umie zabawić,pośmiać,"witza" powiedzić, w karty zagrać, a on stale od ludzi stroni. Zawsze chodzi zamyślony, stale w rękach trzyma biblię, wzdycha, oczy wywala do góry.I to ma być "ein Pfarrer !". Musiałem jednak, aby sobie na taką pochwałę zasłużyć, przy kartach i kieliszku aż po północy posiedzić z nimi. Ale za to po odjeździe na dalsze urzędowanie robili mi ogromną reklamę w całej okolicy. Następnego dnia moi parafianie liczniej przychodzili do plebanii, aby mi wynurzyć swoją radość z powodu tak pomyślnego przebiegu tej groźnej rewizji. "Jegomość, powiadają, takiego mieliśmy pietra, a oni nigdzie nie urządzali rewizji.Za-

jechali tylko na podwórze i spytali, czy mamy coś do odstawienia. Otrzymawszy przeczącą odpowiedź, natychmiast odjechali dalej". Wytłumaczyłem im, co było powodem ich pospiechu, Cieszyłem się ogromnie, że moja kombinacja i tym razem niezawiodła.

O ile chodziło o poszczególnych Niemców, zwłaszcza tym, którzy zachowali się przyzwoicie i okazywali się ludźmi i ja nie odmawiałem i gościnności i pomocy w razie potrzeby. A na tych, z którymi się w moim opisie spotkałem, nie miałem powodu narzekać. Natomiast, o ile chodziło o ich potrzeby wojenne, to byłem konsekwentnie nieustępliwym. I myślę, że nie mam sobie nic do zarzucenia, jakobym pod tym względem w czymkolwiek uchybił memu stanowisku Polaka. Plebania była zarzucana wezwaniami nie tylko ze strony władzy świeckiej, ale i zaleceniami ze strony władzy kościelnej, by ogłaszać odezwy z ambony, do zbiórki złota, podpisywania pożyczek wojennych, do odstawienia kontyngentów i t.d. Ani jeden raz nie zastosowałem się do tych często natarczywych poleceń. Rozumowałem bowiem tak: Niemcy wywołali wojnę i jako jej sprawcy muszą ponieść wszystkie z niej wynikające konsekwencje. Polacy nietylko nie mają powodu, ale nawet żadnego prawa popierania w czymkolwiekbądź wojennych potrzeb Niemców. Ich bowiem zwycięstwo, to nasza klęska. A ich klęska, to nasz ratunek. I pomyśleć, że natknąłem się na Niemca i to na domiar jeszcze nie na byle jakiego, bo ówczesnego landrata chojnickiego czy jego zastępcy, który miał dla tego mego stanowiska pełne zrozumienie i nawet wyraził mi z tego powodu swoje uznanie i zaufanie, że nie byłem zamaskowanym, a otwartym ich nieprzyjacielem.Ale o tym później.

Strona polityczna. Położenie wojenne.

Nasza orientacja polityczna była jasna i nie ulegała żadnym wahaniom. Niepodległość Polski zależna jest jedynie od zwycięstwa koalicji. Że do tej koalicji należała Rosja, to nam nieco komplikowało nasze kombinacje. Jednak nadzieje

nasze opieraliśmy na możliwości jej wewnętrznego rozkładu, które już w wojnie z Japonią okazała się kolosem o glinianych nogach. Tymczasem Rosja rozpadła się jeszcze rychlej niż można było powiedzieć i nawet sobie życzyć. Za rychło bowiem rewolucja zwolniła Niemców od konieczności utrzymywania frontu na wschodzie, i dała im możność przerzucenia tych wojsk na front zachodni. Zawarty z bolszewikami pokój w Brześciu odsłonił też całą perfidię Niemców odnośnie ich proklamowania samodzielnego Królestwa Polskiego i powinien był otworzyć oczy nawet najbardziej zaślepionym po stronie polskiej politykierom, którzy swe nadzieje wiązali ze zwycięstwem państw centralnych. Teraz po odpadnięciu Rosji cała nasza wprost gorączkowa uwaga kierowała się na front zachodni. Tam jedynie zapaść mogła decyzja, od której zależeć będzie los Polski. A przecież Polska górowała nad wszystkimi naszymi troskami i marzeniami. Niemcy przygotowywali się ~~~~ do ostatniej decydującej ofensywy, która miała rozstrzygnąć los wojny. Na front rzucali, co tylko ruszać się jeszcze mogło. A nasi ludzie zdobywali się na coraz to bardziej pomysłowe sposoby, jak sztuczne wywoływanie obrzęków nóg, rąk i gorączki i arytmii serca, by nie pójść na front. M.i. w ten sposób i nasz szwagier, który w międzyczasie wrócił z Syberii i miał być wysłany na front, uchronił się od tego losu. Z zapartym oddechem czekaliśmy ~~~~ na gorączkową, wielką ofensywę pod Reims. A wiadomości mieliśmy bardzo skąpe. Radia jeszcze wówczas nie było. Abonowałem coprawda - co było wolno - szwajcarskie pismo "Neue Züricher Zeitig", a Dr.Karasiewicz, gorliwy i wielce zasłużony działacz polski w Tucholi, "Baseler Zeitung". Każdorazowo spotkawszy się, wymienialiśmy między sobą dane pisma. Ale i z nich nie wiele mogliśmy się dowiedzić więcej jak z pism krajowych. Jak żeśmy się bowiem dowiedzieli, redakcje tych pism musiały drukować osobne wydanie dla Niemiec. Wreszcie nadeszła już i z źródeł niemieckich wiadomość o nieudaniu się tej wielkiej ofensywy niemieckiej. Usprawiedliwiali Niemcy tę swoją klęskę zdradą ich planów wojskowych wrogowi. Teraz już było pewne, że los ich został przesądzony. Chodzić mogło już tylko o krótki czas, kiedy się zupełnie załamią. Tym-

czasem stoli powaliła i mnie i całą parafię prawie na łóże boleści straszliwa choroba t.zw.hiszpanka, która nagminnie nawiedziła i naszą okolicę, a która łatwo sprawić była mogła niedoczekanie się przez nas tej tak gorąco upragnionej wolności Polski. Życie nasze bowiem wisiało na włosku. Wiadomość o rewolucji w Niemczech zastała mnie już prawie bezprzytomnego, ogarniętego gorączką, przekraczającą 40 stopni.

Zabójcza epidemia hiszpanki.

Zaraźliwa choroba ~~ó~~ hiszpanki zrodziła się przy końcu wojny światowej ponoć na terenie Hiszpanii i stamtąd przeniosła się na większą część Europy. I stąd jej nazwa. Epidemia ta ujawniała się wielką gwałtownością, pochłaniając wielką ilość ofiar m.i. i też i w naszej parafii. Jako pierwszy z plebanii uległem tej groźnej chorobie ja. Nic dziwnego, wszak miałem ciągłą styczność z parafianami i w kościele, w konfesjonale i po domach przy zaopatrywaniu chorych. Chwyciła mnie z całą gwałtownością. Po mnie położyła się do łóżka nasza matka, młodsza siostra i sześcioletni siostrzeniec. Trzymała się tylko jeszcze jako tako starsza siostrą, ale też silnie kaszląc. Niebawem zapadła na nią i nasza służąca. Cała plebania w ten sposób zamieniła się na prawdziwy szpital. Tylko obydwaj jeńcy zostali nietknięci. Ponieważ nie byłem zdolnym przez dłuższy czas wykonywać mych obowiązków duszpasterskich, zastępował mnie ~~jakiś~~ jakiś Salezjanin z Krakowa, nazwiska już nie pamiętam, który był sanitariuszem w Czersku. Ten oświadczył z góry, że się nie położy, o ile dostanie tyle alkoholu, ile zażąda. I rzeczywiście on jeden i moja starsza siostra, która też ~~~~ jemu do towarzystwa nieco kosztowała owego grypekoniaku, nie ulegli epidemii. Nigdy nie miałem wielkiego zaufania do alkoholu, ale w tym wypadku był on jednak dość skutecznym środkiem zapobiegawczym. Nas wszystkich opanowanych przez epidemię stan był groźny. Najdotkliwiej dopiekała nadmierna febra naszemu

małemu siostrzeńcowi, który przenikliwym głosem błagał: "Przynieście siekierę i zabijcie mnie"! Nie taił nam groźnego stanu naszej choroby poczciwy Dr.Karasiewicz, który mimo, że był rozrywany na wszystkie strony, znajdował tyle czasu, by mimo 17 klm. odległości od Tucholi, co kilka dni zjawiać się w plebanii, przynosząc nam pomoc. Znał on moje ciężkie przeżycia z przed wojny i pocieszał mnie,że muszę doczekać się wolnej Polski. Nasz wzajemny stan był tak ciężki, że, sądząc, iż przyjdzie się nam rozstać z tym światem i pragnęliśmy się ze sobą pożegnać, żaden z nas nie był wstanie, wstać z łóżka i przejść do przyległego pokoju. Bardzo ciekawy incydent mieliśmy w związku z naszą chorobą. Ponieważ nie było komu doglądać nas, bo siostra, która sama jedna się nie położyła, musiała jeszcze dopilnowywać kuchni i gospodarstwa podwórzowego, do pomocy przybyła nam od naprzeciw niejaka Glazerowa.Mieli własne domostwo. Jeden z dwuch synów poległ na wojnie,po którym rodzice nie mogli się uspokoić. Ta zacna kobieta całym poświęceniem zajęła się pracą nad nami, która widocznie zbytnio ją wyczerpała. Naraz wpada siostra do mego pokoju i zrozpaczona woła:"Wiesz co, Glazerka umiera." Nie mógł-byś wstać i jej Olejem św. Namaszczenia udzielić". Nie byłem jednak wstanie się podnieść.Niebawem wrócił O.Salezjanin i zaopatrzył ją. Położono ją zupełnie martwą na sienniku. Ani pulsu nie można było wyczuć ani oddechu stwierdzić. Jednym słowem umarła. Siostra miała flakon perfumu jej podarowany. Wzięła całą butelkę i całą zawartość na nią wylała. Było to już późno we wieczór.Wszystko było przekonane, że Glazerowa rzeczywiście nie żyje. Rano dopiero do pokoju,gdzie leżała weszła moja siostra.Jakież jednak było jej przerażenie, a potym radosne zdziwienie, kiedy naraz ta rzekomo denatka się nagle zrywa, przeciera oczy i przeciągając się zupełnie normalnym głosem woła:"Alem się wyspała ! Ale, co tutaj tak pachnie !"Był to naprawdę rzeczywisty letarg. Ciężka niemoc sprawiła, że końca dramatu niemieckiej rozsypki frontu na zachodzie, leżąc w ciężkiej malignie, śledzić już nie byłem wstanie. Tylko podczas długich listopadowych nocy bezsennych, przeraźliwe ujadanie psów dowodziło, że się coś

niesamowitego dzieje i na naszym terenie. A mianowicie z wielkiego w Czersku obozu jenieckiego samorzutnie masy jeńców wracały do swych domów. Była obawa,że wracając wygłodniali bez środków do życia będą po drodze napadać na zagrody. Jednak ani jednego takiego wypadku nie było. Powoli my chorzy w plebanii zaczęliśmy wracać do zdrowia. Że nikt z nas nie uległ tej niebezpiecznej epidemii,zawdzięczamy to i nader troskliwej opiece lekarskiej,jaką nas otaczał ów zacny Dr.Karasiewicz.

R e w o l u c j a.
Jej skutki na naszych terenach.

Wreszcie mogłem już powoli wstawać, jednak słabość pewna trzymała się mnie prawie przez całą zimę tak, iż nie mogłem się należycie wprzęgnąć w dzieło przygotowywania spraw dla przewidzianej naszej niepodległości na szerszym terenie. Zaraz bowiem po rewolucji rozpoczęła się wśród Polaków praca przygotowawcza w tym kierunku. Dłuższy czas nie czułem się na siłach, by zwłaszcza wobec zupełnie zdezorganizowanej komunikacji kolejowej móc się zdobywać na podróże do Chojnic, gdzie się środkowało ruchliwa działalność przede wszystkim organizacyjna.Za to u siebie otwarło się pole do wytężonej pracy. Do Chojnic natomiast wysłałem tymczasem w swoim zastępstwie niejakiego Leliwę Pruszaka, chłopca z konnego gospodarstwa. Przewrót w Niemczech wykoleił cały dotychczasowy stan rzeczy i normalny tryb życia. Już, już zaświtała jutrzenka tak gorąco przez nas upragnionej wolności, choć przygotowani byliśmy i na to, że potrzeba będzie jeszcze dużo trudu, ofiar, a może jeszcze i rozlewu krwi, nim zaświeci słońce wolności nad naszym krajem. Ale chyba ta okoliczność, że wszystkie trzy państwa zaborcze, choć w przeciwnych znachodziły się obozach,upadły,dowodnie świadczyło, że to był palec Boży. Dałem temu wyraz w pierwszym moim kazaniu po chorobie, wyjaśniając wiernym Boski wymiar sprawiedliwości. Car, który wysyłał Polaków

na Sybir, sam tam oddał swe życie, cesarz niemiecki, który podpisał drakońską ustawę wywłaszczeniową, sam został wywłaszczony ze wszystkiego i zmuszony szukać schronienia w obcym kraju. Austria, która chytrą, przebiegłą polityką powiększała swe obszary i również brała udział w rozbiorze Polski, rozleciała się na kawały, tak, iż droga do niepodległości Polski już przez samą Opatrzność została utorowana. Chociaż nad Niemcami już ciążył palec Boży i przyszłość ich na naszych terenach stanęła pod znakiem zapytania, jednak znalazł się jeszcze w mojej parafii nauczyciel, niejaki Wachholz z Biały, coprawda Niemiec, ale katolik, mający jednak za żonę Polkę, który mnie o to kazanie do władzy niemieckiej zadenuncjonował. Nic przykrego dla mnie z tego powodu nie wynikło, a na nim samym się odbiło. Kiedy bowiem traktat wersalski Pomorze przyznał Polsce, on pomny swego niecnego postępku na łeb i na szyję wyprowadził się do "Vaterlandu". Kiedy jednak już po kilku latach istnienia Polski ów denuncjant zapragnął przyjechać na Pomorze, naówczas były już organista legbądzki Ringwelski, który w międzyczasie został urzędnikiem w starostwie chojnickim, gdzie miał pod sobą dział paszportowski, sprzeciwił się udzieleniu mu wizy na przyjazd do Polski, motywując odmowę właśnie tą denuncjacją. I chociaż Wachholz odwołał się do województwa, pozwolenia nie otrzymał. A miał do uregulowania sprawy majątkowe żony. Rewolucja na naszych terenach zaznaczyła się zupełnym rozprzężeniem władz niemieckich. Potraciły one w pierwszych czasach zupełnie głowy. Policja się gdzieś zapodziała. Niemcy, przyzwyczajeni do pruskiego drylu i koszarowych metod, po odpadnięciu tego rygoru, poprostu w pierwszych początkach zbaranieli. Ale tym samym też pole do rozmaitych wybryków i występków stało otworem. A położenie gospodarcze po ukończeniu wojny sprzyjało takiemu rozpasaniu. Ustały bowiem wszelkie możliwości zarobkowania. A na domiar była to zima i dość ostra. Pod względem gospodarczym nastała zupełna stagnacja. A tu z pola walki napływały masy zdemobilizowanych żołnierzy, obdartych, wynędzniałych, wygłodniałych. A tu pieniędzy było brak. Wytworzyło się

ogromne bezrobocie. Na gruncie takiej biedy zradzały się rozmaite napady rabunkowe, nawet morderstwa. Rozległe bory stanowiły dogodne schronisko dla rozmaitych ciemnych elementów. Ludzie chcąc siebie i swoje mienie chronić przed rabunkiem, uzbrajali się u siebie. Prawie każdy dom stał się małą niejako fortecą. Wieczorem nikt nie śmiał wejść do cudzego mieszkania nie dawszy znać o sobie z daleka. Ale również i plebania nie była bezpieczna przed napadem, oczywiście nie ze strony parafian, ale do borów przybywały rozmaite niespokojne elementy i z dalszych stron, nawet i jacyś marynarze aż z Hamburga. A rabunki groziły nie tylko ze strony tych przygodnych band, ale i ze strony Grenzschutzu. Ten Grenzschutz rekrutował się ze zdemibolizowanych żołnierzy ze zachodu Niemiec. Wciągano do niego materiał ludzki przeważnie z większych miast, gdzie najbardziej głód Niemcom dawał się we znaki i gdzie najwięcej było niespokojnych elementów. Nęcono ich nietylko wypłatą żołdu i całkowitym utrzymaniem, ale nadto i innymi jeszcze widokami. Na plakatach tłustym drukiem ogłaszano: "In Polen ist noch was zu holen" /W Polsce jeszcze można coś otrzymać/. Wiadomo co to miało oznaczać. Wprawdzie podlegali oni dyscyplinie wojskowej, ale duch rewolucyjny, który nimi władał, nie bardzo liczył się z autorytetem władz. Przed najazdem tych hord nigdy nie byliśmy pewni. Jawiali się na koniach od czasu do czasu zupełnie niespodziewanie rzekomo w poszukiwaniu za bronią, a w rzeczy samej, żeby rabować. To też po każdej takiej rewizji rozlegały się po wiosce rozpaczliwe głosy i przekleństwa ze strony mieszkańców. Wszystko im się przydało i wędliny i masło, ale i zegarki, pierścionki i wszystko, co miało jakąś wartość. Plebanii też nie oszczędzono ale mieliśmy wszystko pochowane w bezpiecznym miejscu. Początkowo raz i drugi po takich rabunkach zwracałem się do dowodzącego zgrają oficera ze stanowczym protestem na tego rodzaju bandytyzm i z żądaniem dokonania u nich rewizji za wykryciem zrabowanych rzeczy. Każdorazowo wziąwszy mnie na stronę oficer tłumaczył się tym, że tego uczynić tu nie może, bo żywy by do Czerska nie dojechał. Sprzątnęli by go

bowiem po drodze. Jeden i później drugi jednak obiecali dokonać takiej rewizji dopiero na miejscu w Czersku. Ale jakoś o tym zapomnieli. Uważałem przeto każdorazową interwencję za bezcelową. Radziłem tylko parafianom, by wszystko dobrze przed tymi rabusiami poukrywali. A hordy tego Grenzschutzu pomieszczono nietylko po wszystkich miastach i miasteczkach, ale nawet po większych wioskach. Zarządzeniem władz niemieckich ludność miała odstawić wszelką broń. Nikt tego nie uczynił. Broń bowiem była potrzebna, by się bronić przeciw napadom rabunkowym, a głównie po to, by ją w odpowiedniej chwili skierować przeciw ciemiężcom niemieckim. Chodziło tylko o to, by ją dobrze ukrywać. Za znalezienie bowiem groziło natychmiastowe aresztowanie. A aresztowanie było tu w borach bardzo niebezpieczne, gdyż nie było żadnej gwarancji na to, że aresztowanego doprowadzą do więzienia, a raczej była obawa, że w razie odprowadzenia go wystrzałem go zamordują usprawiedliwiając mord rzekomym zamiarem ucieczki delikwenta. I plebania miała swoją broń. Mieliśmy jeden karabin wojskowy, jedną dubeltówkę, jeden 9 wystrzałowy rewolwer rosyjskiej kawalerii i jeden 7 wystrzałowy browning. Leżały one za dnia w dobrze zamaskowanej kryjówce. Wieczorem natomiast leżały wyjęte na stole.
Z wojska wrócił nasz brat w randze feldwebla. Udało się go uchronić przed frontem, oczywiście za pomocą smarowania. Kiedy nareszcie dotarł na front, było już po wojnie. Było nas teraz już dwuch umiejących władać bronią. W razie nocnych napadów gotowiśmy się byli bronić do ostateczności. Trzeba było jednak być każdego czasu gotowy. Od stycznia r.1919 aż do czerwca tegoż samego roku całą noc czuwaliśmy na zmianę: do dwunastej lub pierwszej w nocy ja, a aż do rana brat. Miałem dwa psy, prawdziwe brytany. Za każdorazowym ich ujadaniem jeden z nas drugiego budził i obydwaj przy przymkniętych oknach staliśmy gotowi do wystrzału. Dwa razy w nocy przygotowywał się napad na plebanię. Za każdym razem bandyci przyjechali wozem. Wóz stanął na szosie na przeciw plebanii, a oni lampkami kieszonkowymi oświecali okna. Kiedy jednak za-

uważyli, że czuwamy, odjechali. Dopiero z nastaniem lata, kiedy te długie, koszmarne noce minęły, uspokoiło się nieco, ale i potym jeszcze spokojnie spać nie było można, gdyż jeszcze zawsze zdarzały się gdzieś niegdzieś napady rabunkowe. A kto się wybierał do Czerska lub Tucholi, zawsze liczyć się musiał, że zostanie po drodze w lesie napadnięty. Zwłaszcza niebezpieczna była pewna polanka nad jeziorem Świdno na szlaku Czersk. Tam dość często znachodzono zwłoki obrabowanego i zamordowanego. To też ludzie wybierając się w drogę, nie czynili tego na pojedynkę, a łączyli się w grupy. Opowiadał mi mój dobry znajomy i kolega szkolny Dr.Odyja w Czersku, że każdorazowo wyjeżdżając poza miasto do chorego, stale zabierał ze sobą pewną kwotę, by się móc wykupić bandytom.

Tragiczny wypadek.
Miast domiemanego bandyty,zastrzelił swego przyjaciela.

Ponurą ilustrację do ówczesnego koszmarnego położenia stanowi m.i. i pewien bolesny wypadek, który wydarzył się jeszcze w grudniu 1918 r. na terenie mojej parafii. Już po północy, kiedy jeszcze ja czuwałem, dało się słyszeć na podwórzu gwałtowne ujadanie psów. Uchyliłem ostróżnie okno. Rozlega się głos kobiecy: "Proszę nie strzelać ! To ja Julka" /Była to gospodyni mego poprzednika/"Jest do chorego do Łosin.Śmiertelnie postrzelony został przez jakiegoś bandytę młody Borkowski.Trzeba go czymprędzej zaopatrzyć.Proszę się jednak nie lękać! Jest ze mną żołnierz,nasz człowiek, który pełni jeszcze służbę jako strażnik w obozie w Czersku. Będzie nam towarzyszył. Jest to Grzeca, ma ze sobą broń". Natychmiast przygotowuję się do drogi. Jedziemy do Łosin, wioski,oddalonej jakie 4 klm. od Legbąda. Na łożu boleści leży wijąc się z bólu, śmiertelnie blady, młody Borkowski, syn jedyny wdowy, posiadającej gospodarstwo rolne. Oprócz syna

są jeszcze cztery córki. Młody borkowski przeszedł całą kampanię wojenną. Był na rozmaitych frontach. Wrócił zdrów i cało do domu. Po zaopatrzeniu go dowiaduję się przyczyny tragicznego wydarzenia. Nie daleko od zagrody Borkowskich znajduje się dom niejakich Grzeców. Jeden z Grzeców był jako żołnierz w koloniach niemieckich w Afryce. Wrócił do domu. Również powrócił z frontu jego brat i pełnił jeszcze czasowo straż w obozie w Czersku. Na noc przychodził do domu. Młody Borkowski przyjaźnił się z Grzecami i umówili się, że, która strona zostanie napadnięta, druga pospieszy jej z pomocą. Naraz dom Borkowskich zostaje obstawiony przez jakichś ludzi, przybyłych na koniach, podających się jako Grenzschutz z Czerska, motywujących swoje przybycie rzekomą kradzieżą koni, które tudotąd miano uprowadzić. Oczywiście był to tylko pretekst. Nie po skradzione oni koni przyjechali, a po rabunek. Młody Borkowski, zauważywszy napastników, otworzył okno, wyskoczył nim i biegł do swych przyjaciół Grzeców, aby ich wezwać na pomoc. Grzecowie zaś usłyszeli tętent koni a i hałas, również przypuszczali napad i stanęli przy oknie z nabitą bronią. W tym widzą wśród ciemności jakąś postać ludzką, pędzącą ku ich domowi. Wołają na nią: "Stój!" W przerażeniu swym Borkowski widocznie nie dosłyszał tego głosu, tylko biegł dalej w kierunku ich drzwi. W mniemaniu, że to bandyta, jeden z nich dał strzał, który nieszczęsnego młodzieńca trafił w brzuch. Do głębi wstrząśnięty zostałem tym straszliwym splotem okoliczności, którego ofiarą padło młode życie, współczując w pełni serca tej nieszczęśliwej matce i siostrom, które w tak tragiczny sposób straciły swą jedyną podporę życia. Krótko po opuszczeniu domu Borkowskich przezemnie, młody Borkowski wyzionął ducha.

Czy Pomorze mogło się o własnych siłach oswobodzić ?

Podczas gdy prawie wszystkie inne dzielnice polskie, a także Poznańskie o własnych siłach zdołało się uwolnić

z niemieckiej niewoli. Pomorze musiało czekać, aż dopiero traktat wersalski zdjął z rąk Pomorzan kajdany niewoli. Czyniono Pomorzanom nawet z poważnych stron zarzuty z tego powodu. Czy jednak takie zarzuty były usprawiedliwione? Czy może Pomorzanie mniej gorąco byli owładnięci pragnieniem i żądzą wolności ? Czy tu duch patriotyczny był mniej silny niż u naszych rodaków innych części Polski ? Albo czy może Pomorzanom brak było takiej samej odwagi, jaka cechowała resztę Polski ? Nic z tego nie odnosi się do Pomorzan. Ci, którzy chcieliby nam czynić jakiekolwiek z tego powodu zarzuty, zgoła nie biorą pod uwagę położenia, w jakim znajdowało się Pomorze. Ono bowiem było zgoła odmienne od położenia innych ziemi Polski. Pomorze bowiem otoczone było prawie ze wszystkich stron niemczyzną,od wschodu do zachodu, od północy, a tylko dość wąski pasek na południu łączył Pomorze z dalszą Polską.Na domiar cały łańcuch albo już prawie zniemczonych miast jak Gdańsk, Elbląg, albo znacznie podniemczałych, jak Tczew,Grudziądz i Toruń nad Wisłą, z których niektóre z nich były silnymi fortecami, a we wszystkich znajdowały się silne załogi niemieckie, stanowił ogromną trudność w rozpostarciu się powstania. Ale ludność polska była dobrze zorganizowana do porwania za broń, czekając tylko na hasło i możliwości do zbrojnego wystąpienia. Dodać jeszcze należy i tę okoliczność, że na tyłach Pomorza, na Litwie, Łotwie,Estonii znachodziły się jeszcze milionowe armie niemieckie,których powrót prowadził przez Pomorze. To wojsko trzeba by było wpierw rozbroić, nim by się im pozwoliło na przemarsz przez Pomorze. To wszystko razem wziąwszy pod rozwagę, nie wolno nie opatrznie czynić ludności pomorskiej zarzutu z tego powodu, że wobec tak wyjątkowego położenia Pomorza ludność polska na chybił trafił nie zerwała się do powstania. Ale ludność ta była zorganizowana i dobrze przygotowana do niego, czekając tylko na stosowną ku temu sposobność. Jak na całym Pomorzu tak i w powiecie chojnickim zaistniała pod egidą Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu tajna organizacja wojskowa z siedzibą w Chojnicach pod komendą Szpręgi, a na Czersk komendantem był Kopicki, a na odcinku legbądzkim i całej okolicy siedzi-

ba była w plebanii. Brat mój Anastazy, miał w swym ręku sprawy wojskowe, a ja dawałem mój autorytet. Do pomocy mieliśmy młodych zuchów z Legbąda i okolicy, dzielnych i ruchliwych młodzieńców. Nazywaliśmy ich adjutantami, których głównym zadaniem było utrzymywanie kontaktu z poszczególnymi miejscowościami. Celem tej tajnej organizacji było utrzymywanie ścisłej ewidencji nad tymi, którzy są gotowi i zdolni stanąć do walki i nad zasobami posiadanej broni i utrzymywać stałe pogotowie wojenne. Niecierpliwie czekała ludność pomorska na hasło do zbrojnego zrywu. Tu i tam dochodziło samorzutnie do zbrojnych porywów jak w Chełmży, w którym bohaterski udział wziął ks. Frycza, późniejszy podpułkownik i kapelan w wojsku Hallera, a także w Czersku. Zostały one jednak rychło zlikwidowane. Pomorzanie palili się do walki, czekali atoli, albo na wylądowanie wojsk Hallera albo na posunięcie się zbrojnych oddziałów poznańskich aż do Torunia i Bydgoszczy. Wtedy dopiero miało wybuchnąć zbrojne powstanie na Pomorzu. Niestety, ani do jednego ani do drugiego nie doszło. Tymczasem wmieszała się w tę sprawę koalicja i zakazała dalszego posuwania się frontu, zapewniając, że losy Pomorza będą sprawiedliwie rozstrzygnięte. Front poznański na tej podstawie zatrzymał się przed Bydgoszczą i Toruniem i tym samym sprawa powstania została odroczona. Piszę "odroczona", a nie zaniechana. Kiedy bowiem upadła nadzieja na posuwanie się frontu poznańskiego w granice ówczesnego Pomorza, następnie z Rady Ludowej w Poznaniu wyszedł zew do stanie w pogotowiu czekając na wylądowanie wojsk generała Hallera w Gdańsku i zajęcia dla Polski Gdańska. Miało się to stać hasłem do powszechnego powstania. I gdyby to było nastąpiło, ówczesne granice Pomorza byłyby inaczej wyglądały, niż te, które nam dał traktat wersalski. Niestety i ta nadzieja zawiodła, głównie z powodu nieprzyjaznego stanowiska ówczesnego męża stanu Anglii, lord George'a do Polski. Na skutek tego Pomorzanie czekać byli zmuszeni na rozstrzygnięcie ich losu na konferencji pokojowej we Versailles.

Moralny stan parafian po rewolucji niemieckiej. Zagrożona młodzież.

Rewolucja niemiecka i w naszych stronach w życiu moralnym wywołała znaczne rozprzężenie i wykolejenie. Przede wszystkim nastąpił dotkliwy zastój w życiu gospodarczym. Ustało zarobkowanie, związane dotychczas z potrzebami wojennymi. Do ojczystych pieleszy popowracały tłumy zdemobilizowanych żołnierzy. Po koszmarnych przeżyciach wojennych pragnęli oni nietylko odpocząć, ale ponadto wynagrodzić sobie wojenne udręki i cierpienia rozrywkami i zabawami. Wytworzył się istny szał zabawowy. Jedna tańcówka goniła drugą, a każda zakrapiana obficie alkoholem. Stąd burdy i bójatyki. Oczywiście zabawy takie kosztowały sporo grosza. Zarobić je uczciwą pracą nie było możliwości ku temu, trzeba je było w inny sposób zdobyć, a mianowicie w drodze kradzieży, grabieży, rabunków i napadów, którym ponadto sprzyjała osłona, jaką dają bory. Na pojedynkę strach było się dokądś wyruszyć. Ludzie u siebie zabezpieczali się, uzbrajając się, a wyruszając w drogę łączyli się w gromadę. Łamałem sobie głowę jak temu zaradzić, a przede wszystkim, jak uchronić młodzież przed zbrodniczym rozpasaniem się i wykolejeniem. Napominanie i karcenie z ambony nie wiele pomagało. Z bólem wielkim musiałem na razie bezradnie patrzeć na to, co się dzieje. Po ciężkiej chorobie nie czułem się bowiem o tyle na siłach, by ### coś zaradczego przedsięwziąć. Aby tym niebezpieczeństwom zaradzić, przyszedłem do przekonania, że uwagę i dążenia i aspirację młodzieży trzeba na inne sprawy, godziwe i pożyteczne skierować. Na samprzód założyłem Czytelnię Ludową, zachęcając młodzież do czytania książek. Następnie utworzyłem kurs języka polskiego dla młodzieży, ucząc ją pisowni, gramatyki, historii i literatury polskiej. Aby ją zachęcić do korzystania z tych lekcyj, obiecałem kursistom i kursistkom, iż postaram się, że po przyłączeniu Pomorza do Polski, otrzymają w niej posady, co też

w przeważnej mierze nastąpiło. Brak mi jednak było stosownego ku temu lokalu. Po opróżnieniu z jeńców obozu w Czersku, pozostał szereg pustych baraków. Po licznych wyjazdach do Czerska i wydatnim smarowaniu miarodajnych czynników, udało mi się nabyć jeden z najlepszych baraków wraz z urządzeniem do ogrzewania i oświetlenia za psi grosz - 250 marek. Po ustawieniu go na gruncie kościelnym na solidnym fundamencie miałem przestronną salę parafialną - 15 metrów szeroką i 30 metrów długą. Takiej obszernej sali nie miał ani Czersk ani Tuchola. W tym baraku zbudowaliśmy scenę i garderobę. To dało mi możność założenia Towarzystwa Ludowego, towarzystwa młodzieży i utworzenia Kółka Amatorskiego. Aby dać upust żyłce rozrywkowej młodzieży, mieliśmy obecnie możność urządzania przedstawień i godziwych zabaw. Powiedziałem sobie: "Niech się młodzież bawi, ale pod moim okiem i na oczach swoich rodziców i bez alkoholu." Posiadaliśmy też własną orkiestrę dętą, wyćwiczoną przez p. Klingwelskiego. I przyznać muszę, że zabawy te miały dobre powodzenie. Bawiono się ochoczo i wesoło i bez alkoholu. A ileż to targowania się ze mną i błagania było ze strony młodzieży o jeszcze dalszą godzinę, a choćby i o pół godziny, a nawet i ćwierć godziny, kiedy gdzieś kawał po północy wzywałem do zakończenia zabawy. Przybywali na nie nawet dość liczni goście z Czerska. W ten sposób udało się młodzież prawie w zupełności uchronić od bezdroży. Ta salka oddała naszej sprawie w ogóle niemałe usługi, służąc do zebrań i do urządzania w niej kursów języka polskiego. Ostała się też aż do drugiej wojny światowej, podczas której, niestety, została zniszczona.

Opłakany stan duchowy naszego nauczycielstwa.

O ile ogół ludności pomorskiej odpornym był na zakusy germanizacyjne zatorcy, a nawet nieliczni urzędnicy Polacy innych kategorii, oczywiście niższych, bo wyższe stanowiska dla Polaków były zamknięte, trzymali się dość dobrze, to

nauczycielstwo,niestety, pod względem narodowym po największej części,ulegało deprawacji duchowej, stając się narzędziem germanizacyjnym w ręku wroga i oddając się i pod innym względem na jego usługi. Aż trudno było zrozumieć,że dzieci polskich rodziców, w których domu istniała atmosfera czysto polska, po kilku latach pobytu w internatach,preparandii i seminarium nauczycielskiego, stawali się swymi zapatrywaniami, poglądami i nawet swą mową tema domowi zupełnie obcymi. Na tym polu to Niemcy naprawdę szczycić się mogli znacznymi sukcesami. Obracałem się przecież w rozmaitych miejscowościach Pomorza, ale rzadko gdzie spotykałem nauczyciela, czującego po polsku. Natomiast dużo oddawało się na usługi wroga szpiegując i denuncjonując zwłaszcza księży Polaków. Sam doświadczyłem tego na sobie, na własnej skórze. Wszędzie tam, gdzie spotkaliśmy, my księża Polacy, nauczycieli, utrzymujących kontakt z plebanią i wobec których mogliśmy mówić otwarcie i bez obawy o naszych sprawach i bolączkach, odnosiliśmy się do nich z szczególną sympatią i szacunkiem. Ale takich było mało. Część z nich kryła się starannie ze swoimi przekonaniami. I dla tych trzeba było mieć wyrozumienie, wszak nauczyciele, których zadaniem w pojęciu ich przełożonych, miało być germanizowanie młodzieży polskiej, pod szczególną znajdowali się obserwacją władzy przełożonej. Znaczna jednak część bez skrupułów oddawała się na usługi nie tylko w kierunku nahalnego krzewienia niemczyzny wśród dziatwy polskiej, stosując przy tym częstokroć brutalnie chłosty, ale jeszcze i po za szkołą działając w rozmaitych organizacjach w kierunku szerzenia niemczyzny i wśród społeczeństwa. Miałem kuzyna, który obrał sobie zawód nauczycielski z tego powodu, że brak mu było środków materialnych na wyższe kształcenie.Korespondowaliśmy ze sobą. W listach swoich gorzko się żalił do mnie, że z konieczności obrać musiał stan, w którym uprawiać będzie zmuszony germanizację dzieci szkolnych. Takie usposobienie trzymało go się atoli tylko tak długo, dopóki nie opuścił seminarium nauczycielskiego. Jako już nauczyciel zmienił radykalnie i

swe poglądy i swoje postępowanie. A kiedy na domiar po wybuchu I wojny światowej został oficerem, od razu zamienił się na stuprocentowego Prusaka, tak iż w gniewie rozstaliśmy się ze sobą, aby się już więcej ze sobą nie spotkać. W mojej parafii były 4 szkoły. W Białej kierownikiem szkoły był już przezemnie wymieniony Wychhola, denuncjant - w Rzepicznie Myszkowski, Polak z pochodzenia, był na usługach Grenzschutzu. Drugim nauczycielem w Legbądzie był niejaki Renk. Podawał się za 100 proc.Niemca, który rzekomo ani słówka nie rozumie po polsku. Razu pewnego zabrałem go moją powózką do Czerska. W Drodze poruszyłem sprawę nauczania religii w języku ojczystym. Gwałtownie mi oponował dowodząc, że z takim samym powodzeniem można udzielać nauki religii i w niemieckim języku. Kłóciliśmy się całą drogę. A co się pokazało po przyłączeniu Pomorza do Polski ? Otóż ten rzekomy prawniemiec był Polakiem, władał językiem polskim dobrze, gdyż był uczniem biskupiego Collegium Marianum w Pelplinie, gdzie nauka języka polskiego była obowiązkowa. Nawet na skutek tej znajomości języka polskiego został nauczycielem w gimnazjum w Wąbrzeźnie. Jakiego typu był jednak ten człowiek, dowodem tego choćby ten fakt, że podczas okupacji stał się Volksdeutschem, wysługiwał się Niemcom i dla tego razem z Niemcami zwiał do ich Vaterlandu. Miejscowy kierownik szkoły był tak podszyty wielkim strachem, że odwiedzając mnie od czasu do czasu w plebanii stanowczo nie chciał rozmawiać po polsku. Mówił narzeczem kaszubskim. Kiedy zwróciłem jego uwagę, że przecież nas w czterech ścianach nikt nie słyszy, zastawiał się tym, że"ściany mają uszy". W Łosinach kierownikiem szkoły był niejaki Latzke,Niemiec.Żonę miał Polkę, dzieci wychowywały się po polsku - a choć było to jeszcze młode małżeństwo, już liczyło 4 dzieci. W tym domu czułem się najlepiej. Latzke był to człowiek bardzo rozsądny i poczciwy. Można było z nim o wszystkim swobodnie rozmawiać. Nakłaniałem go przeto, żeby pozostał tu, po przyłączeniu Pomorza do Polski, mając na względzie dobroć żony i sympatycznych dzieci. Wyrażał też chęć ku temu. Regularnie uczęszczał na kursa, które urządziłem

dla nauczycieli okolicy całej i pilnie się przykładał do nauki języka polskiego. Po odejściu moim z Łęgbąda dowiedziałem się jednak, że wyprowadził się do Niemiec. Sprawiły to widocznie trudności w opanowaniu języka polskiego. Ostrętną wprost figurę przedstawiał niejaki nauczyciel [redacted] w Czersku. Rodzice jego nie władali nawet tak dalece językiem niemieckim, żeby za jego pomocą mogli się z nim porozumieć. To też każdorazowo, kiedy go ojciec, a w szczególności matka, odwiedzali, musieli się z nim udawać do szczelnie zamkniętego pokoju, aby go nikt nie podsłuchał, że z nimi rozmawia po polsku. Nie przeszkadzało mu to jednak, by publicznie się chełpić, że w nim płynie czysto niemiecka krew, którą wyssał z piersi swej matki. Mało tego. Kiedy na Konferencji we Versailles ważyły się losy Pomorza, on stał na czele tych Niemców w Czersku, którzy słali do komisji alianckiej w Łpaa telegramy protestacyjne przeciw przyznaniu Polsce Pomorza. Choć byłem zdania, że w stosunku do nauczycielstwa pomorskiego należało stosować dużą miarę pobłażliwości, gdyż za to opaczenie i zdeprawowanie umysłów i dusz nauczycieli odpowiedzialnością przede wszystkim należało obciążać przewrotny system germanizacyjny, to jednak do żywa byłem oburzony, kiedy później, będąc już na nowej placówce, dowiedziałem się, że ów został już w niepodległej Polsce kierownikiem szkoły, akurat w Czersku.

Charakterystyczne zebranie organizacyjne nauczycielstwa okręgu czerskiego.

Kiedy już losy Pomorza na konkresie w Versailles rozstrzygnęły się na korzyść Polski i sprawa złączenia go z Macierzą była tylko kwestią czasu, urządziłem dla nauczycieli całej okolicy kurs języka polskiego, bo jego znajomość wśród nich ograniczała się przeważnie jedynie do tej gwary ludowej, którą wynieśli z domu rodzicielskiego. O poprawnym używaniu języka polskiego w mowie i piśmie mowy być nie mogło, tym mniej o jakiejkolwiek znajomości

historii i literatury polskiej. Na kurs ten zgłosiło się sporo nauczycieli, ale i tacy, którzy wogóle nie znali języka polskiego, co stanowiło nie małą trudność w przeprowadzaniu jego nauczania. Później zrodziła się u nauczycieli okręgu czerskiego myśl założenia towarzystwa chrześcijańskiego nauczycieli polskich. W tym celu zwołano zebranie konstytucyjne w Czersku. Ponieważ zdawali sobie sprawę, że wskutek tak niedostatecznych znajomości języka polskiego rady sobie nie dadzą, zaprosili i mnie do pomocy. Pojechałem oczywiście, zabierając ze sobą kierownika miejscowej szkoły. Zwłaszcza ta jazda do Czerska i z powrotem szczególnie wryła mi się w pamięć, ponieważ właśnie w tym czasie zdarzały się liczne napady rabunkowe na tej drodze, to też całą drogę, zwłaszcza w drodze powrotnej późno wieczorem, trzymaliśmy w ręce broń nabitą gotową do wystrzału, albowiem właśnie w tym terminie znaleziono trupa nad jeziorem Świdno. Przebieg zebrania samego przygnębiające na mnie wywarło wrażenie. Wszak dał on obraz rozmiaru spustoszenia i krzywdy, jaką zdrożony system germanizacyjny wyrządził nauczycielstwu w dziedzinie języka ojczystego. Żaden z nich nie umiał się poprawnie wyrazić w języku polskim. Mieli pod ręką drukowany statut związku chrześcijańskiego nauczycielstwa polskiego. Znaczenie niektórych określeń i wyrazów musiałem im dopiero wyjaśnić. W toku tej kulejącej dyskusji wyłoniła się kwestia, kogo przyjąć na członka, czy tylko samych Polaków, czy też i Niemców, którzy się oświadczą za Polską. Ja byłem za tym drugim postulatem. Chodziło mi głównie o tego p.Latzkego, tak zacnego człowieka i dobrego pedagoga, którego chętnie zatrzymał bym w Polsce. Aż tu ku memu, nie pozorem zaskoczeniu, a wprost osłupieniu powstaje ów renegat i bez zająknięcia oświadcza: "Do polskiego towarzystwa tylko Polacy należeć powinny". Najchętniej byłbym mu stosowną dał odpowiedź na to jego wytarte czoło. Jednak się powstrzymałem, spiorunowałem go tylko wzrokiem i oświadczyłem: "Panie, to akuratnie pan taki wniosek stawia, właśnie pan !!" Zrozumiał widocznie co chciałem w tych słowach wyrazić, bo zmieszał się, ze-

milkł i już więcej podczas zebrania głosu nie zabrał. Zredagowania protokołu z zebrania musiałem oczywiście ja również dokonać.

Aby po przejęciu Pomorza przez władze polskie cały aparat administracyjny nie został unieruchomiony, prowizoryczna Rada Powiatowa w Chojnicach wybrała komisje, które miały dokonać wyboru kandydatów na poszczególne placówki. Mnie powołano do Komisji Oświatowej, w skład której prócz mnie wszedł ks.prob.Szydzik z Biela i wielce zasłużony obywatel w Czersku, drogierzysta Ostrowski. Naszym zadaniem było wyznaczenie nauczycieli na poszczególne placówki szkoły podstawowej. Do tej komisji winni się byli zgłaszać wszyscy reflektanci na odnośne stanowiska. Jedne przytym kwiatki stylistyczne i gramatyczne wychodziły na jaw w tych zgłoszeniach i życiorysach jak n.p. "kiedy był urodzony, kiedy wyszedł zamężą, albo był zamężny, kiedy był chodzony do szkoły" i t.d. Mimo wszystko znaczna większość z nich później w niepodległej już Polsce pilnie się przysadziła do wyrównania swych rażących braków językowych i przejrzawszy duchowo stała się czynnikiem dodatnim w życiu szkolnym, a tym nielicznym, którzy mimo teroru ze strony wroga za czasów zaborczych wytrwali przy polskości, słusznie w nagrodę dostały się stanowiska inspektorów szkolnych. Ponieważ jednak po odejściu ze szkolnictwa dużo nauczycieli Niemców, których sprowadzono zwłaszcza po strajku szkolnym w znacznej liczbie ze zachodu tudotąd, zabrakło wykwalifikowanych sił nauczycielskich, na wakujące placówki powoływano siły pomocnicze, którym umożliwiono następnie dalsze dokształcenie się tak, iż braki te w dość krótkim czasie się wyrównały.

Mała nieoczekiwane uznanie ze strony niemieckiego landrata.

Licząc się z tym, że Pomorze przypadnie Polsce, moi parafianie odmawiali płacenia dalszych podatków. "Niemcom płacić podatków nie będziemy", tak sobie postanowili.

Z drugiej strony dowiedziałem się z Chojnic,że Grenzschutz wyższe postanowił ekspedycję karną, która przymusowo miała ściągnąć zaległy podatek. Kiedy zwracałem na to uwagę swych parafian, oświadczali mi jeden po drugim rezolutnie: "Jegomość ! Niech tylko przyjadą ! My też mamy broń. Będziemy się umieli bronić". Aczkolwiek z jednej strony ten zachowały ton w stosunku do Niemców mi imponował, to jednak upór ten wydawał mi się nie bardzo fortunny. Waluta niemiecka szybko się deweluowała, pieniądz coraz bardziej taniał, nie tak więc trudno było podatek ten zapłacić. A przy przymusowym ściąganiu go przez taką zgrają,jak Grenzschutz, mogło łatwo dojść do gwałtu,nawet rozlewu krwi. A przytym, rozmawiałem, przecież i po odzyskaniu niepodległości naszej i tak będzie trzeba płacić podatki, a odmawianie go raz może i na przyszłość działać demoralizacjęco. Zdecydowałem się więc osobiście udać się do landrata w Chojnicach, by go nakłonić do odstąpienia od przymusowego ściągnięcia podatku przez Grenzschutz,gwarantując mu, że parafianie dobrowolnie uiszczą podatek zaległy, rozłożony na raty. Z tej sposobności pragnąłem jeszcze skorzystać, by równocześnie zaradzić jeszcze innej bolączce, a mianowicie napadom rabunkowym na naszym terenie, które mimo wszystko jeszcze nie ustawały. A były one niebezpieczniejsze dla naszych ludzi od tych, które uprawiał Gnocliński. Bo Gnocliński urządzał swe najazdy tylko na niemieckie siedziby, a te skierowane były na własnych rodaków. Pragnąłem więc przy tej sposobności uzyskać w landracie broń celem utworzenia Straży Ludowej. Jakie było nazwisko owego landrata, nie pamiętam. Nie wiem też,czy to był sam landrat, czy może tylko jego zastępca. W każdym razie był to oficer, który wrócił z frontu. Widać było u niego zupełne fizyczne wyczerpanie i robił wrażenie poważnie chorego na serce. Przyjął mnie grzecznie. Przedstawiłem mu jedną i drugą sprawę,na które otrzymałem od niego odpowiedź,która mnie naprawdę wprawiła w zdumienie, bo takiej jeszcze nigdy z ust żadnego Niemca nie otrzymałem:"Jak o innych księżach,tak i o księdzu mamy dokładne informacje.Wiemy, że ksiądz jest naszym otwartym,zdecydowanym wrogiem.My mamy tu

w powiecie innych jeszcze księży, którzy takie same uczucia żywią w stosunku do nas, jak ksiądz, ale oni się z tym kryją, maskują, okazując nam życzliwość i przychylność jak n.p.ks.Pukowski w Łęgu /nazwał jeszcze dwuch innych, których nazwisk już nie pamiętam/. Ja, ciągnął dalej, szanuję otwartych wrogów, nie lubię i nie cierpię zakapturzonych. Zgadzam się przeto na propozycję księdza co do podatku i co do wydania broni. W dowód mego zaufania do księdza daję pozwolenie na broń i daję polecenie wydania z magazynu 10 karabinów wojskowych wraz z amunicją, dla mającej się utworzyć w parafii łęgbędzkiej straży ludowej. Ksiądz się będzie mógł przekonać,że w całym powiecie nikt takiego pozwolenia nie uzyska. Jest to specjalne uznanie dla księdza jako naszego jawnego, otwartego, a przeto uczciwego wroga". Przybywszy do domu, zaopatrzony w pozwolenie piśmienne na wydanie broni i utworzenie straży ludowej, natychmiast następnego dnia wysłałem mego brata i dwuch naszych młodych adjutantów po odbiór obiecanej broni. Przywiezieniu broni tej towarzyszyły rozmaite niesamowite ze strony Grenzschutzu wyczyny. Ledwo wyszli ze starostwa, natychmiast napadł na ich tenże. Nie chciało mu się w głowie pomieścić,żeby Polakom można było wydać broń. Nie uwierzyli pismu,aż dopiero, gdy osobiście się przekonali u landrata.Posuwając się dalej drugi raz otoczeni zostali przez Grenzschutzów i znów ta sama heca. Kiedy wreszcie dotarli do dworca i usiedli w poczekalni czekając na pociąg,widocznie na doniesienie kogoś z kolejarzy czy pasażerów do Grenzschutzu, że Polacy mają broń, zajechała cała paczka ich z maszynówkami. I dopiero po natrętnych indagacjach i zwróceniu się do landrata, odjechali z powrotem. Wtedy dopiero nasi ludzie wsiedli bez przeszkody do pociągu i dotarli do domu. Natychmiast utworzyliśmy z naszych chłopaków zuchów straż ludową w liczbie 10 chłopa zaopatrzonych w opaski na ramieniu i napisem "Straż Ludowa - Volkswehr", którzy na przemian po 5 chłopa patrolowali co noc. Pomieszczenie jej było w plebanii. Po utworzeniu tej straży jeszcze jeden tylko zaszedł wypadek zamierzonego napadu na jakąś zagrodę w bliskiej

odległości Legbąda ze strony bandy niejakiego Fierka,dobrze mi znanego chłopaka, który puścił się na proceder bandycki. Kiedy jednak na wszczęty alarm nasi wartownicy pobiegli na pomoc i bandę rozpędzili na cztery wiatry,bandityzm na terenie naszej parafii ustał w zupełności. Użyczenie broni chroniło też plebanię przed przeszukiwaniem jej za bronią przez Grenzschutz. O ile się zjawili, podsunąłem im pismo landrata pod nos i odchodzili jak niepyszni. Po wkroczeniu wojska polskiego do Legbąda oddałem te 10 karabinów w jego ręce.

Uderz w stół, a nożyce się odezwą.
Mordercze zamiary ze strony poborcy podatkowego.

Niebawem zwołałem do naszej sali parafialnej moich parafian i wytłumaczyłem im, że lepiej będzie, jeżeli zapłacą podatek, niż gdyby horda Grenzschutza zwaliła się na naszą parafię i gwałtem go sczęśli ściągnęła. Wszyscy uznali za słuszne moje wywody i wyrazili swoją zgodę. Cieszyłem się naprawdę z tak pomyślnego załatwienia jednej i drugiej sprawy, aż naraz zaskoczony zostaję wprost nieprawdopodobną i dla mnie niezrozumiałą wiadomością, o wściekłym wprost skandowaniu się przeciw mnie ze strony niemieckiego poborcy podatkowego i przygodnego zakrystiana. Uszom moim nie chciałem wprost dowierzać, kiedy przychodzili do mnie parafianie z wieścią, że G. jakby się wściekł,że ja się mieszam do jego spraw, że ściąganie podatków to nie księdza, a jego sprawa. I że koniecznie za wyrządzoną mu zniewagę mnie na miejscu zastrzeli, skoro mnie tylko spotka. Początkowo nie mogłem absolutnie domyśleć się, co być mogło przyczyną tej jego "wściekliznę". Powoli dopiero poczęło mi w głowie świtać. To on był widocznie głównym sprawcą tego, że ściągniętych podatków nie odsyłał i stąd wynikły prawdopodobnie te zaległości. Nie chciałem jednak tej sprawy ruszać, żeby w tę sprawę nie mieszać władzy niemieckiej, tymbardziej, że sprawa tych zaległości od razu ucichła. Nie chciałem jednak tej jego awantury puścić

całkiem bezkarnie. Kiedy następnej niedzieli zjawił się jak gdyby nigdy nic w zakrystii, by mnie obrać do Mszy św. i zapalić świece na ołtarzu, zapytałem go, czy to jest prawdą, co mi ludzie opowiadają o jego morderczych zamiarach względem mej osoby. A kiedy uporczywie milczał, wyrzuciłem go ze zakrystii motywując to tym, że dla bandyty nie ma miejsca ani w zakrystii ani przy ołtarzu. Po kilku miesiącach córka jego wychodziła za mąż. Wtedy para przyszła zamówić ślub. Po załatwieniu sprawy narzeczony z wielką nieśmiałością zagadnął mnie: "My bylibyśmy tak bardzo pragnęli, żeby jegomość zaszczycić raczył nasze gody swą obecnością, ale jegomość pewno po tym brzydkim postępku mego teścia, nie będzie chciał wejść do jego domu." "A właśnie, że pójdę, odpowiedziałem." No i poszedłem. Kiedy przestąpiłem próg weselnego domu, ów mój "śmiertelny" wróg rozpłakał się jak dziecko. Nie odstępował mnie ani na krok, czule dopytując się stale mnie, czego bym sobie jeszcze życzył. Nie tylko w tym jednym wypadku doświadczyłem, że chcąc rozbroić i zjednać sobie wroga nie ma skuteczniejszego środka, jak odpłacanie mu za złość i zemstę, wybaczalnością i dobrocią.

Niedźwiedzia przysługa.

~~Przykład zwrotu przebaczenia na jeden.~~

Inny przykład zwrotu

Pewnego dnia zajeżdża na podwórze powózka. Do plebanii wchodzą dwaj mi bliscy i mili goście, a mianowicie ks. Sprengel, proboszcz z Czerska, mój kolega kursowy z Seminarium Duchownego, razem ze mną święcony i ks. Odyja, również kolega szkolny. W toku rozmowy wykazało się, że przybyli do mnie w pewnym zamiarze, a mianowicie w sprawie tamtejszego Banku Ludowego. Opisali mi niesamowite stosunki, jakie w nim istnieją, że wytworzyła się w nim prawdziwa dyktatura familijna, na skutek czego bank ów ten nie służy interesom ogółu członków, a interesom familijki, a wtedy dopiero wyłuszczyli cel swego przybycia, a mianowicie, by mnie nakłonić do przyjęcia kandydatury na członka rady nadzorczej banku, którego wybór

miał by nastąpi-ć na najbliższym walnym zebraniu banku. Drugim kandydatem miał być właśnie ów p.Ostrowski, nasz serdeczny przyjaciel i ogólnie poważany obywatel Czerska. Trzeciego kandydata już nie pamiętam. Rada nadzorcza składała się z 9 członków, z której co rok ustępowało 3 członków. W miejsce tych 3 ustępujących mieliśmy właśnie wejść do rady nadzorczej. W zarządzie banku było 2 szwagrów, niejaki A.L.,kupiec Ławatnik i K. Już to nie było w porządku i sprzeczne ze statutem banku, poza tym umieli oni do rady nadzorczej banku wprowadzić tylko swoich ludzi im uległych, tak iż kierowali bankiem zupełnie po dyktatorsku i jego kapitałów używali dla swych własnych przedsiębiorstw. Mnie ta propozycja wejścia do rady nadzorczej w tych warunkach bardzo była nie na rękę. Tłumaczyłem moim gościom, że ja tu długo nie pozostanę. Skoro bowiem nastąpi złączenie Pomorza z Wacierzą, przeniosę się dokąd indziej, że jeżdżenie w obecnych warunkach do Czerska na zebrania jest i utrudnione i niebezpieczne, że przecież mnie z tym bankiem nic nie łączy. Jednak trudno ich było przekonać. Zastawiali się tym, że mam w Czersku dobrą opinię i że, jeżeli się nie zgodzę, zamiar uzdrowienia tych niezdrowych stosunków się nie uda. A teraz jest najlepsza ku temu właśnie sposobność, bo ten główny aktor B. zwiał ze kordon wojskowy do Poznania i na razie nie wróci. Ciekaw byłem, dla czego się stąd ulotnił. Powiedzieli mi, że wyjechał pod pretekstem, iż nastaje na niego Grenzschutz, ale ten argument jest nie bardzo przekonywującym dla nich, tłumaczyli, ponieważ nikomu nie jest wiadomym, by się Grenzschutzowi on specjalnie naraził, to też chyba muszą być inne powody, które go do tej ucieczki skłoniły. Powtórzywszy im jeszcze raz moje argumenty przy ich odjeździe, dla czego powinni zrezygnować z mej kandydatury, sądziłem, że ich przekonałem. To też niemile byłem dotknięty doniesieniem mi, że zostałem jednogłośnie obrany. Nie mogłem już odmówić, bo narobiłbym instytucji bankowej sporo embarasu, gdyż dla skompletowania rady nadzorczej trzeba był było jeszcze raz zwołać nowe walne zebranie. To też chcąc nie chcąc wyraziłem na wybór moją zgodę.

W nowej radzie nadzorczej Ostrowski obrany został

przewodniczącym, a ja jego zastępcą. Niestety każde zebranie rady nadzorczej i zarządu miały przebieg bardzo burzliwy. Dyskusja toczyła się w atmosferze wysokiego napięcia. Głównym oponentem B. był Czerowski. Temu ostatniemu i ja w miarę potrzeby sekundowałem. Gorączkowej dyskusji towarzyszyły z ich strony często walenie pięścią w stół i zrywanie się z miejsc. Chodziło o utrzymanie siebie i swego szwagra na zdobytej pozycji, a nam o ich usunięcie. W takim nastroju odbyło się kilka posiedzeń. Aż naraz [illegible] wprost sensacyjna, ale zarazem i bolesna i nader przykra. A mianowicie w obozie jenieckim było sporo oficerów, a wśród nich i lekarzy wojskowych Polaków z armii rosyjskiej. Ponieważ w obozie panował głód, utworzył się komitet, na którego czele stanął B., [illegible]. Ze strony ziemian pomorskich płynęły do tego komitetu hojne ofiary w postaci tłuszczów, wędlin, chleba, warzyw, konserw, które komitet był powinien dostarczać głodującym jeńcom rodakom. Po wybuchu rewolucji w Niemczech, kiedy oficerowie powychodzili z obozu, [illegible], jasne było, tylko część tych ofiar dochodziła do właściwych rąk i to nadomiar te najmniej wartościowe, jak warzywa i chleb, natomiast te najbardziej wartościowe jak tłuszcz i wędliny w przeważnej części gdzieś [illegible] się zapodziewały. Wieść o tym głuchnęła po całym Czersku z powodu tego, że prokurator w Poznaniu na podstawie doniesień ze strony zwolnionych i będących w armii polskiej oficerów wniósł w tej sprawie skargę do sądu. Zakrawało to na wielki skandal. Wyznaczona została w sądzie poznańskim rozprawa karna przeciw przebywającemu tam B. Tymczasem atoli oskarżony w przeddzień rozprawy sądowej nagle zmarł rzekomo na ataki serca, na skutek czego dochodzenie [illegible] zostało [illegible]. To był też prawdopodobnie istotny powód ucieczki B. do Poznania, [illegible]. Z moim przeprowadzeniem się do Nowego Miasta przestałem być członkiem Rady Nadzorczej, ale nie przestałem być członkiem banku. Powinienem był się wymeldować z tego członkowstwa, ale o tym zupełnie zapomniałem. To zaniedbanie dużo mnie później kosztowało. Kiedy bo-

tem po roku 1930 i w Polsce nastąpiła wielka depresja gospodarcza, niektóre nasze Banki Ludowe się zachwiały, m.i. i Bank w Czersku. Aby Banku nie dopuścić do całkowitej upadłości, walne zebranie uchwaliło roczne dopłaty członków aż do usunięcia powstałego na skutek odpadłych hipotek deficytu. W ten sposób i mnie, który nie miał doprawdy najmniejszego interesu należenia do tego banku, spotkał ten los, że musiałem mimo mych ciężkich warunków materialnych uiszczać przez szereg lat co rok wyznaczoną kwotę na rzecz tej zachwianej instytucji bankowej. To się doprawdy nazywa "mieć pecha".

Bracia Gnacińscy na widowni.
Spontaniczna, samorzutna ruchawka w Czersku.

Opisując to wszystko, co w owych niespokojnych, przedwojennych czasach uznawałem za godne utrwalenia pamięci, pomijałem aż dotąd umyślnie głośne na ówczas romantyczno awanturnicze wyczyny i harce, uprawiane przez braci Gnacińskich z Grenzschutzem, a których większość rozgrywała się na terenie parafii łęgbądzkiej, a to dla tego, że pragnąłem im poświęcić osobny rozdział. Sprawdzie doznały one już swego opisania i wydania nawet drukiem, a to dzięki temu, że razu pewnego, jeszcze kilka lat przed wybuchem II wojny światowej, odwiedził mnie ówczesny redaktor "Dziennika Bydgoskiego", Sobociński. Przy tej sposobności opowiedziałem mu coś niecoś z tych niesamowitych przygód i wyczynów Gnacińskich. Zainteresowało go to tak żywo, że poczynione wówczas notatki jeszcze poszerzył zasięgnięciem bliższych szczegółów tu na miejscu i wydał broszurę p.t. "Zmierć borów Tucholskich", w której opisał zgodnie z rzeczywistością zebrane fakty. Niestety, po wojnie już nigdzie broszury tej odnaleźć nie mogłem. Redaktor Sobociński atoli nie ograniczył się jedynie do opisania rzeczywistego stanu rzeczy, ale popuścił cugle swej bujnej fantazji i napisał całą powieść na tym tle, która w odcinkach drukowana była w "Dzienniku Bydgoskim", a która

przechował dr.Łukowicz w Chojnicach. W powieści tej wyniósł on Augusta Gnacińskiego do roli bohatera narodowego Pomorza i przypisał mu zasługę przygotowywania zbrojnej akcji powstańczej na Pomorzu. Nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością. Akcja Gnacińskich miała charakter jedynie lokalny, była na własną rękę prowadzona partyzantka przeciw Grenzschutzowi i ograniczała się do podjazdowych utarczek z nim,Grenzschutzem, który znów ze swej strony odpłacał się odwetowym zasadzaniem się na nich. Przyznać jednak trzeba, że przy tych zbrojnych zmaganiach Gnacińscy, zwłaszcza najstarszy z nich,August, wykazali dużo brawury, niepospolitej odwagi,sprytu i przytomności umysłu i dla tego warto w właściwym jednak świetle, ich wyczyny upamiętnić tymbardziej, że nie były one pozbawione i pewnych motywów i pobudek patriotycznych. Mimochodem tylko jeszcze nadmienimy, że rzeczony redaktor Sobociński po drugiej wojnie światowej zamierzał jeszcze na tle tych wydarzeń powieść tę opisać w większych rozmiarach, dwutomową. Przeszkodziła temu jednak przedwczesna jego śmierć. Jeszcze raz atoli podkreślam,że akcja Gnacińskich nie miała żadnego związku z właściwym,ogólnym ruchem powstańczym na Pomorzu.

Zaraz w pierwszych dniach po wybuchu rewolucji okolica nasza wstrząśnięta została wiadomością o ohydnym mordzie, dokonanym na nauczycielu szkoły powszechnej w Gurcu,nazwiskiem Thiel. Thiel był katolikiem Niemcem. Z powodu zbytniej swej gorliwości wpajania języka niemieckiego dzieciom szkolnej, przy czym nie żałował on dzieciom dotkliwych kar cielesnych, był on tam u tamtejszej ludności nienawidziony. Choćby jednak nawet mord ten dokonany został w odwecie za katowania dzieci polskich, ludność miejscowa, moralnie zdrowa, z równym oburzeniem byłaby go potępiła. Ale w tym wypadku zbrodnia ta miała charakter czysto rabunkowy, ponieważ Thiel, jak było wiadomo, posiadał sporo złota i innych walut, jak również duże zapasy żywności i spirytusów, co wszystko padło pastwą zbrodniarzy. Opinia publiczna odrazu posądziła jako sprawców braci Gnacińskich, których w dojrzałym wieku już było

trzech, czwarty był jeszcze wyrostkiem. Najstarszy z nich miał imię August, drugi Bolesław, dalszych dwóch imiona nie są mi znane. Czy to posądzenie ich o ten mord było słuszne, trudno osądzić. W tych niebezpiecznych zapędach zbrojnych z Grenzschutzem dwóch młodszych braci zostało zabitych, przy życiu pozostał tylko ten najstarszy August. Po objęciu przez władze polskie Pomorza został on o to zaaresztowany i wszczęto przeciw niemu dochodzenie. Jak się jednak dochodziło, na rozprawie sądowej dla braku dowodów został on uwolniony. W tej rozprawie sądowej wyszło na jaw, że dostarczył on wojsku polskiemu sporo złota, broni i amunicji. Po uwolnieniu go z więzienia osiadł w Gdyni, gdzie miał kioski i procz tego trudnił się pośrednictwem w transakcjach nieruchomościami. Po wkroczeniu Niemców w drugiej wojnie światowej do Gdyni został i on przez nich zamordowany. W każdym bądź razie ten mord rabunkowy w Kurczem wówczas szkodził im wielce w opinii publicznej i sprawił, że ludzie się ich bali i unikali. Gnacińscy sprowadzili się w okolicę Czerska, do miejscowości Stodółki pod Kurczem z Westfalii. Ci trzej starsi synowie byli dezerterami z armii niemieckiej, więc już przy końcu wojny. Najstarszy August ponadto aż do pokoju, zawartego między Niemcami a Bolszewikami w Brześciu był jeńcem w Rosji, gdzie się przejął komunizmem. Jako dezerterzy musieli się ukrywać aż do wybuchu rewolucji w Niemczech, poczym już mogli jawnie wystąpić. Przed Gnacińskimi w okolicznych borach ukrywał się niejaki Kleinschmidt, również dezerter. Miał on się postrachem głównie leśniczych, którzy byli Niemcami, zamieszkujących tutejsze rejony. Na nich urządzał Kleinschmidt prawdziwe polowania. Co rusz nadchodziły wiadomości o sprzątnięciu któregoś z nich. Nieczęsto żaden z nich nie śmiałby wychylić głowy poza swój dom mieszkalny. Ponieważ przez dłuższy czas był on nieuchwytnym mimo przemyślnych zasadzek na niego urządzanych, a miejscowej ludności poczęły się już tworzyć o nim legendy, że może się stawać niewidzialnym, przemieniać się w zwierzęta lub ptaki i tym podobne czarownictwa. A kiedy wreszcie udało się Niemcom go sprzątnąć, przez dłuższy czas ludność ta nie

chciała temu dawać wiary. Po nim na widowni ukazali się bracia Gnacińscy pod wodzą najstarszego z nich Augusta. Niebawem i ja miałem się z nimi przygodnie zetknąć.

Na święto Trzech Króli r.1919 wyznaczona była odprawa delegatów tutejszej organizacji wojskowej rejonu czerskiego w Czersku. Moim powozem pojechał mój brat oraz czterech czy pięciu naszych "adjutantów". Po południu odbywałem kolędę po wiosce. Około godz.4 już nad wieczorem opowiadają mi ludzie hiobowe rzeczy o Czersku, że wybuchło tam powstanie, że po mieście jest strzelanina, że są zabici i ranni, że wyloty ulic są ostrzeliwane maszynówkami, tak iż trudno się z miasta wydostać. Są to opowiadania chaotyczne, z których trudno było sobie poczynić wyobrażenie, o co właściwie poszło. Ze strony tajnej organizacji przecież żaden zbrojny wybuch nie był projektowany. Nasi ludzie wszak pojechali bez broni. Ogarnął mnie jednak wielki niepokój. Są tam przecież nasi ludzie, wśród nich i mój brat, moja furmanka i konie. Zafrasowany kolęduję dalej, ale rychło kończę, o godz.9 jestem już w domu. Czekam na ich przyjazd. Wlecze się żółwiowo godzina za godziną. Już daleko po północy, a ich nie ma. Dopiero coś koło godz. 2 w nocy nadjechali. Okrężnymi drogami wydostali się z Czerska i polnymi drogami borem dotarli do domu. Grunt, że są i są cali. Konie tylko i szory są nieco uszkodzone przez wystające gałęzie w lesie. Opowiadają, jak doszło do rozruchów. A mianowicie młodzież poprzypinała sobie na piersiach orzełki polskie. To zirytowało Grenzschutz. Do gromadzącej się przed kościołem młodzieży polskiej przybyli grenzschutzowcy i zaczęli zrywać orzełki. Zaraz pierwszy z napastowanych uderzył napastniczego grenzschutzowca tak silnie w twarz, że tenże się wywrócił i padł na ziemi. W odwecie na to Grenzschutz obstawił cały plac przed kościołem maszynówkami karabinowymi. W odpowiedzi na to poczęły padać na nich pojedyńcze z okien strzały. Zastrzelony został jakiś hauptmann i lejtant, jadący na koniach. Doszło do dalszej strzelaniny. Ponieważ na tego rodzaju odruch nikt z polskiej strony nie był przygotowany, Niemcy ostatecznie opanowali sytuację i w odwecie pobrali zakładników z pośród obywateli miasta, między nimi i dr. Odyję, Ostrowskiego

i trzeciego brata Gnacińskich. Delegaci tajnej organizacji wojskowej w tej ruchawce udziału nie brali, gdyż nie byli na nią przygotowani i też nie mieli broni przy sobie.

Bracie Gnacińscy organizują atak na Czersk.

Następnego dnia t.j. 7.stycznia - była to skaretnie pora obiadowa, oknem zauważyliśmy na szosie dwuch konnych, na pięknych rosłych rumakach, w oficerskich mundurach, ale bez oznak. Sądziliśmy, że pojadą sobie dalej, a tymczasem skręcili oni na nasze podwórze. Przypuszczaliśmy, że to Niemcy i że przyjazd ich stoi w związku z wczorajszymi zajściami w Czersku. Poprosiłem brata, żeby wyszedł i zapytał, co sobie życzą. Wraca brat i oświadcza, że chcą koniecznie ze mną rozmawiać i dodaje, że to pewno nie Niemcy, bo mówią po polsku. Proszę ich do pokoju. Przedstawiają się jako Gnacińscy - starszy jako August, młodszy Bolesław. Nazwisko mnie zamroziło po tym, co o nich słyszałem. Nie dałem jednak tego po sobie poznać. Objąłem ich tylko wzrokiem. Obydwaj uzbrojeni byli po zęby. Jeden i drugi przystojni, urodziwi mężczyźni. Zwłaszcza ten młodszy to prawdziwy Adonis. Ciemny, kruczy włos, orli nos, cera śniada, policzki świeże, rumiane, rysy twarzy regularne, drugi starszy też również postać urodziwa, choć nieco już przytyły. Pytam, jakie jest ich życzenie. "Proszę pana księdza, tak mnie tytułują, odzywa się starszy, pan ksiądz chyba wie, co się wczoraj stało w Czersku". "Ależ wiem, wiem, odpowiadam, przecież nasi ludzie tam też byli w tym dniu". "Jeżeli pan ksiądz, mówił dalej wadliwą polszczyzną zatrącając z niemiecka, pozwoli, to my powiemy, pocośmy przyszli. Niemcy zostali górą, poaresztowali zakładników, wśród nich i naszego brata i kto wie, co z nimi zrobili. My chcemy odbić im Czersk i zakładników uwolnić". "No dobrze, powiadam, ale dla czego z tym do mnie przychodzicie?" "No, bo pan ksiądz jest tu znany jako patriota polski, pan ksiądz ma stanąć na czele całej naszej wyprawy. Wtedy wszyscy nasi ludzie pójdą razem z nami." Ładna perspektywa ! pomyślałem sobie. Gnacińscy powszechnie uznawani

jako sprawcy mordu i ja jako ksiądz do spółki z nimi mam pójść do szturmu na Czersk ! "Ludzie, tłumaczę im, czyście się dobrze nad tym zastanowili, co odemnie jako księdza żądacie ? Sprawa może się udać, bo Niemcy potracili głowy, ale choćby się nawet udało to, jeżeli nie ruszy całe Pomorze, trudno będzie ten jeden wyżeł utrzymać, a może się od razu nie udać, jeżeli się nie uda Niemców zaskoczyć, w takim razie wy pójdziecie w las i będziecie się ukrywać, a ja jako duszpasterz parafii, czyż mogę opuścić całą parafię i pójść razem z wami ?" "To prawda, odpowiedział na to ten starszy, pan ksiądz nie może opuścić parafii i pójść razem z nami, ale czy ksiądz jest za tym, żebyśmy Niemców wypędzili stąd ?" "No, oczywiście, że całą duszą pragnę, żeby tych ciemiężców się pozbyć, a nie tylko ja, ale i cała ludność nasza byłaby uszczęśliwiona jej uwolnieniem spod jarzma pruskiego". Pożegnali mnie i wyszli. Natychmiast zabrali się do zwoływania pospolitego ruszenia na Czersk, na Grunwald. Objeżdżali konno całą okolicę, wzywając naprzód do stawienia na wiec do Legbąda. Zebrała się kupa ludzi. Uwagę Gnacińskiego zwróciła poczta. Zamierzał pozrywać druty telefoniczne. Powstrzymano go od tego tym, że na poczcie jest nasz człowiek. Wówczas zwrócił się do zebranych z płomiennym przemówieniem. "Chcę być dla was drugim Kościuszkiem, chcę was uwolnić od Niemców.Żyliśmy z waszego księdza. Nasz ksiądz jest razem z nami, choć nie może opuścić parafii, ale nam błogosławi. Najpierw musimy zdobyć Czersk. Pojutrze wieczorem niech się wszyscy zbiorą na polance nad jeziorem Śródno. Stamtąd ruszymy na Czersk. Kto posiada broń palną, niech ją zabierze ze sobą, a kto nie ma, niech weźmie ze sobą kosy, cepy, widły, siekiery. Ale wszyscy pójść muszą ! Kto nie pójdzie albo sprawcy zdradzi, będzie wisiał ". Potym pojechali dalej na dalszy warbanek. Tymczasem przychodzi do mnie organista Ringwelski i powiada: "Jegomość! Źle ! W tym tłumie zebranych był leśniczy z Kozibody,Kost, i przysłuchiwał się tej całej mowie Gnacińskiego,a przecież zna on język polski. Toć on teraz Niemcom wszystko zdradzi i oni się na odparcie ataku przygotują". "No,to

bardzo źle, odpowiadam. Trzeba go było przytrzymać i na te dwa dni gdzieś zamknąć. Czyście o tym nie pomyśleli ?" "No nie, odpowiada, jakoś nikt na niego nie zwrócił uwagi, a nim się skończyło, już się niepostrzeżenie wymknął". Rozumowa była wielkim nadleśnictwem, gdzie był liczny personel urzędniczy. Stanowiła ona jakby pewnego rodzaju forteca, której nawet Gnaciński z swymi ludźmi nie śmiał ruszać. Otóż jeden właśnie z tych urzędników był przypadkiem w tym czasie w Legbądzie, a znał on język polski dobrze i stał się świadkiem całej tej akcji. Rzecz jasna, że puszczony wolno powiadomi on o wszystkim Niemców. Ta okoliczność wielce mnie zaniepokoiła. Nie podobało mi się też wyznaczenie na tę wyprawę dopiero terminu pojutrza. Niemcy po rewolucji byli coprawda zdezorientowani i tchórzem podszyci, zaskoczeniem ich można było na nich coś wskórać, inaczej atoli, kiedy mieli czas przygotować się. Będąc poniekąd wmieszany w sprawę tego ryzykownego przedsięwzięcia, czułem się też również w pewnej mierze odpowiedzialnym za jego wynik. Chodziło mi przede wszystkim o to, by nie było bezowocnego rozlewu krwi. A zapał odnośnie tej zbrojnej wyprawy był powszechny. "Na Niemców pójdziemy wszyscy". Taką odpowiedź słyszałem z ust każdego, którego w tej materii zagadnąłem. Oczywiście duch ten i brawura mi imponowały, nie chciałem tych uczuć patriotycznych tłumić. Z drugiej znów strony nie mogłem jednak dopuścić, by poszli na pewną rzeź. Poprosiłem tedy p. Ingwelskiego i jego siostrę, by nieustannie i w nocy podsłuchiwali telefon. Poza tym następnego dnia wysłałem dwuch naszych młodych zaufanych do Czerska, by u wych znajomych zasięgnęli języka co do zachowania się Niemców. Z telefonicznych podsłuchów dowiedzieliśmy się, że Niemcy o wszystkim byli poinformowani, a z wywiadu w Czersku przywieźli dokładne dane o stanie przygotowania się, a mianowicie, że do już stacjonującego w Czersku Grenzschutzu sprowadzono jeszcze znaczne posiłki z Gdańska i nawet ciężką artylerię z Elbląga. Na polanie nad jeziorem Świdno zebrała się moc ludzi. Przez dwuch zaufanych ludzi poleciłem Gnacińskiemu Augustowi wręczyć pismo, w którym wyszczególnione były dokładne dane co do przy-

gotowanej siły zbrojnej Grenzschutzu. Gnaciński po przeczytaniu mego pisma jak również ze względu na to,że zakładnicy w Czerska zostali już zwolnieni, rozpuścił zebranych do dom. Po tej nieudanej wyprawie nastąpiło to, co było do przewidzenia. Gnaciscy poszli w las,a ja pozostałem na mojej placówce duszpasterskiej. Afiszowanie się moim nazwiskiem i moim autorytetem przez Gnacińskich ściągnęło na moją osobę wielką nienawiść ze strony Grenzschutzu. Z podsłuchu telefonicznego dowiadywał się Ringwelski, jak się odgrażali na mnie: "Den verfluchten schwarzen Teufel totschiessen". Jest zrozumiałem, że w danych warunkach uchodzić musiałem w oczach Grenzschutzu za wspólnika Gnacińskich. Przez pewien czas też żyłem w wielkiej obawie i miałem się na baczności, by mnie z niemacka nie najechali. Powoli atoli pogróżki ucichły. Cała nienawiść zwróciła się przeciw Gnacińskim.

Niesamowite wyczyny Gnacińskich. Zabójstwo jednego z nich.

Bracia Gnacińscy po nieudanej próbie opanowania Czerska zmuszeni byli do ukrywania się w borach. Znaleźli niebawem wspólników. Zebrał się cały ich zastęp, dochodzący aż do 80 ciu chłopów. Rozwinęła się w ten sposób prawdziwa partyzantka między zbrojnym oddziałem, na którego czele stał August Gnaciński, a Grenzschutzem. Terenem operacyjnym były bory, leżące przeważnie w obrębie parafii lęgbadzkiej, dla tego też jestem o działaniu tej partyzantki dość dobrze poinformowany. Grenzschutz ze swej strony urządzał,zwłaszcza po nocach,obławy na Gnacińskiego grupę. Kiedy się te dwa zastępy ze sobą starły, wynikała strzelanina i byli i ranni i zabici. Ponieważ i Gnacińskiego ludzie ponosili również straty, podzielił on ich na mniejsze grupy. Gnacińskiemu chodziło przede wszystkim o zdobycie furay i broni. Możliwość ku temu dostarczała im pewna liczba urzędników Niemców,zamieszkałych na tych terenach. Nie było prawie nocy,w której by partyzanci nie obstawili jakiejś zagrody nie-

mieckiej i nie ograbili ich ze wszystkiego, co posiadali. Nieraz taki napadnięty pozostał jedynie w koszuli i kalesonach. Jednemu z nich zabrawszy wszystko m.i. cały zapas cygar i tytoniu, dali mu na pociechę 1 cygaro do zapalenia, pozostawiając go za to boso i w koszuli. Życia ich jednak oszczędzali. Chyba że czasem niejednemu z Niemców, którzy wrogo odnosili się do Polaków, skórę wygarbowali. Co rusz to przychodził do plebanii p.Ringwelski z poczty z doniesieniem, że druty telefoniczne znów zostały przerwane. Był to dowód, że znów przygotowuje się jakiś napad. Mając z tych napadów pieniądze mógł sobie pozwolić na werbowanie ochotników, podobnie jak czynił to Grenzschutz.
Z czasem wytworzyła się prawdziwa licytacja między stroną Gnacińskiego a Grenzschutzem o wysość płaconego żołdu.
O ile Gnaciński życia cywilów Niemców oszczędzał, to wobec Grenzschutzu był nie ubłagalny. Na tle tych nieustannych ścierań się dochodziło nieraz do naprawdę niesamowitych epizodów, które zasługą na upamiętnienie ich.Tak n.p., zdaje się przy końcu stycznia r.1919 - bracia Gnaciscy zaszli późno wieczorem do zagrody rodziców,widocznie w zaopatrzeniu się w żywność i bieliznę. W czasie ich przebywania w pokoju wpada ich ojciec,strasznie przerażony i woła:"Jezus Maria ! Wy tu chłopaki,a cała zagroda obstawiona przez Grenzschutz !". W domach wiejskich często spotykamy piwnice pod podłogą - przykryte pokrywą z desek równych jak podłoga. Do tej piwnicki powskakiwali wszyscy trzej, a młodsze dzieci Gnacińskich pousiadały na tej podłodze, a zwłaszcza na tej pokrywie, porozkładały książki i zeszyty, udając, że pilnie odrabiają lekcje szkolne, Grenzschutz przetrząsnął kolejno całą zagrodę,stodołę, szopę, strych, dom i pokoje nie domyślając się zgoła takiej kryjówki, jaką pokrywały dzieci sobą. Odjechali więc, nic nie wskórowawszy. Wyszedłszy z kryjówki i uzbroiwszy się odpowiednio, wyszli bracia Gnaciscy im naprzeciw. Podczas gdy jednak grenzschutzowcy na koniach zmuszeni byli pojechać linią leśną pod kątem prostym do szosy, wyszli im na przełaj i ukrywszy się za jakimś nasypem, poczęli na nich prażyć ogniem, który sprawił prawie że

zupełny pogrom tamtych. Z 20 chłopa coś tylko 3 dotarło cało do Czerska. Za tę krwawą łaźnię Grenzschutz zaprzysiągł krwawy odwet. Wieczorem urządzał zasadzki na nich koło zagrody Gnacińskich. Widocznie Gnacińscy nie byli o tym poinformowani. Bo oto po pewnym czasie, kiedy znów zakradali się do swej zagrody, Grenzschutz rozpoczął strzelaninę, ofiarą której padł młodszy brat Bolesław, ten właśnie Adonis, o którym wspomniałem. Kiedy wiadomość o tym zabójstwie dotarła do naszej plebanii, matka moja z wielką ulgą zwraca się do mnie: "Jak to dobrze, że to się stało na terenie parafii czerskiej, iż nie będziesz miał do czynienia z pogrzebem i Grenzschutz nie będzie miał powodu znów na ciebie ujadać". A ja na to matce: "Niech matka nie powie hop, dopóki grobu nie przeskoczy". Czułem bowiem, że Gnacińscy będą się domagać, bym ja go pochował. I tak się też stało. W niedzielę po rannym nabożeństwie widzę przez okno zakrystii mężczyznę, przechadzającego się przed zakrystią. Dotąd osobiście go nie znałem, chociaż tak on jak i żona uczęszczali częściej na nabożeństwa do kościoła w Łęgbądzie. Przystąpił do mnie i poprosił o pogrzeb dla swego syna. Zwróciłem jego uwagę, że według prawa kościelnego winien on być pochowany w Czersku, na co otrzymałem odpowiedź: "Jegomość ! Mój syn za Polskę poległ. Jego też tylko ks. Polak winien pochować. A w Czersku jest ksiądz Niemiec. Cała rodzina sobie tego życzy." Oczywiście trudno mi było odmówić. Zapowiedziałem ten pogrzeb podczas sumy na wtorek. Pogrzeb odbył się przy tłumnym udziale. Wśród uczestników widziałem dużo obcych twarzy. Nie długo po pogrzebie otrzymałem list aż z Brunschwiegu w języku niemieckim od jakiejś nauczycielki, katoliczki Niemki, podpisany przez Marie Schmallenbach. Pełna rozpaczy zapytuje w tym liście, czy to może być prawdą, że ~~ff~~ "innigstgeliebter Bolesław" był bandytą, jak jej doniesiono ? Doprawdy nie wiedziałem, co jej na to odpowiedzić ? W tym wypadku pojęcie bandytyzmu i patriotyzmu zlewało się ze sobą, i trudno było o ich rozgraniczenie, a ona jako Niemka i tak by tego nie zrozumiała. Wolałem wobec tego wogóle na ten list nie

odpowiedziec. Później się dowiedziałem, że przyjechała w te strony, tylko w plebanii już nie była. Zrozumiała była ta jej rozpacz, był to wszak wyjątkowo przystojny młodzieniec.

Stan obleżenie.
Nowy wyczyn Gnacińskiego.

Spowodu wyżej wymienionego pogromu Grenzschutzu jako i naradów na osady niemieckie, tenże ogłosił stan oblężenia na całą okolicę, rzucając na nią 5000 chłopa. Niemcy zapowiadali butnie i pewni siebie, że teraz chyba napewno go pochwycą, bo przecież przy tej masie ludzi nawet bodaj szpilkę by znaleźli. A jeżeli by mimo wszystko go nie dostali w swe ręce, to chyba królem polskim będzie mógł zostać. Poza tym wyznaczyli 5000 mrk. na jego schwytanie. Do Gnacińskiego w miejsce zabitego brata Bolesława przyłączył się niejaki Spica, nazywany ogólnie jego adjutantem. Najwięcej udręki z tym stanem oblężenia miała miejscowa ludność, gdyż Grenzschutz pod pretekstem poszukiwania broni nachodził poszczególne zagrody i ograbiał je. Niebawem po ogłoszeniu przez Grenzschutz nagrody 5000 mrk. Gnaciński też kazał rozlepić ogłoszenia następującej treści: "10 000 mrk. dam temu, kto mnie uchwyci". W czasie całego tego oblężenia słuch o Gnacińskim i jego adjutancie zupełnie zaginął. Równocześnie zaczęły się rozchodzić wieści, jakoby Gnacińscy i Spica przedostali się do frontu poznańskiego. To też po pewnym czasie zniesiono stan oblężenia i nastąpił względny spokój. Podobno podczas całego oblężenia Gnaciński i jego adjutant Spica ukrywali się w jakiejś samotnie położonej osadzie "Rozgart" między Legbądem a Śliwicami w dobrze zamaskowanej kryjówce. Ponieważ dłuższy czas był zupełny spokój i utarło się przekonanie, że Gnaciński i jego towarzysz rzeczywiście są w wojsku polskim na froncie poznańskim, Grenzschutz się całkowicie wycofał do Czerska, czując się bezpiecznym. Wówczas Gnaciński opuścił swoją kryjówkę i chcąc ożywić swą akcję partyzancką, urządzić postanowił

swoim ludziom zabawę z muzyką i tańcem. Do parafii legbądzkiej należała gdzieś na krańcu leżąca wieś wśród borów, Rzepiczna. Karczmę tam miała jakaś młoda wdowa po poległym na froncie mężu Suchomskim. Że miejsce ustronne upatrzył sobie Gnaciński jako stosowne do urządzenia postanowionej imprezy. Zabawa była w pełnym biegu. Było tam ludno, gwarno i hucznо. Podczas gdy pospolitacy zabawiali się w pierwszej dużej izbie obok, Gnaciński ze swym adjutantem w osobnym pokoju popijali sobie w towarzystwie owej wdówki. Gnaciński w dobrym humorze przechadzając się po pokoju i wyśpiewując sobie beztrosko "Obyś ty duszo moja miedziała, że w bolszewickim cielę będziesz siedziała" nie przeczuwał zgoła, że w tej właśnie chwili czai się na niego groźna zasadzka. Z nienacka bowiem nadjechał konny oddział Grenzschutzu i obstawił całą karczmę, a równocześnie otwarły się z trzaskiem drzwi, gdzie on i jego towarzysz się znachodzili i w drzwiach stanęło dwuch starszych Grenzschutzów lejtnant i feldwebel z bronią w ręku i rozległ się groźki rozkaz: "Hände hoch". Przy podnoszeniu rąk Spica uderzył w naftową lampę, rozbijając ją. W pokoju zrobiła się egipska ciemność. Z tego skorzystali zaskoczeni. Błyskawicznie otworzyli okno, wyskoczyli nim i trzymając w ręku browningi ku tyłowi i ostrzeliwując się umknęli do boru. Otaczający karczmę sołdaci po prostu zbaranieli. Dopiero gdy ci dwaj starsi, którym wymknął się tak upragniony łup, wśród siarczystej klątwy, zakomenderowali "strzelać", już było za późno. Kula tylko zraniła Spicy piętę, co jednak nie przeszkodziło mu w ucieczce. Jedno tylko życie padło ofiarą tej niesamowitej kawalkady. A mianowicie, jakiś przygodny młody człowiek, przechodząc mimo, zwabiony muzyką, wstąpił do lokalu. Kiedy się rozpoczęła strzelanina, niebacznie uchylił okno, by się przekonać, co się dzieje. W tym padł strzał, który go ugodził w czoło, iż padł na miejscu trupem. Jest pochowany na cmentarzu w Legbądzie. Pochodził, o ile mi się zdaje, z parafii śliwickiej. Nad ranem ci dwaj starsi przybyli na pocztę do Legbąda, aby

zatelefonować o nieudanym zamachu do Czarska. Po ich odjeździe przybył do plebanii p.Ringwelski i wielce ubawiony opowiadał, jak się ci dwaj "bohaterzy" wściekali, że już ich mieli w swym ręku, a oni im się wymknęli. A ten lejtnant z rozpaczy aż sobie włosy wyrywał, że go minęła tak wysoka nagroda. Całą złość wylali na ośłą tępotę swych ludzi. W Rzepicznie kierownikiem szkoły był niejaki Myszkowski, renegat, poza tym jakaś młoda kobieta, niesympatyczna, mała, brzydka, ale pretensjonalna. Ci dwaj stali w kontakcie z Grenzschutzem i oni go też w tym wypadku sprowadzili do Rzepiczny. Owemu kierownikowi uszło to jakoś bezkarnie, nie tak zaś owej zdradzieckiej podwicie. Pewnym wieczorem wszedł Gnaciński z Spicą do jej mieszkania i nabiwszy jej porządnie zawiesili ją nogami do góry do haka w suficie, tak iż tylko rękami opierać się mogła o podłogę. W tej napewno nie bardzo wygodnej pozycji spędzić musiała całą noc aż do rana, aż przyszli sąsiedzi i ją z tej pozycji uwolnili. Ośmieszona w ten sposób dłuższy czas nie śmiała się pokazywać ludziom na oczy.

Dywinki Gnacińskiego z Grenzschutzu.

Było już po Wielkiejnocy 1919 r. Delegacja niemiecka pojechała do Versailles, by podpisać traktat pokojowy. Gnaciński pocztą pantoflową skierował do komendanta Grenzschutzu w Czarsku pismo tej treści: 'Ponieważ Niemcy pojechali do Paryża, aby zawrzeć pokój z koalicją i on również prędnie się ułożyć z Grenzschutzem o podpisanie pokoju. W tym celu przybędzie w towarzystwie swego sztabu w tym i tym dniu, o tej i tej godzinie na polankę w Rzepicznie celem urówienia bliższych warunków.Naiwny Grenzschutz uwierzył w prawdziwość tej oferty. Kazał więc obstawić okalający polankę bór maszynówkami i swoimi ludźmi, czekając na zjawienie się Gnacińskiego. Minęła atoli jedna, już i druga godzina a Gnaciński jakoś się nie pokazał. Aż dopiero po kilku godzinach takiego

oczekiwania chłopiec jakiś, wysłany przez Gnacińskiego, zjawia się i wręcza komendantowi zapieczętowany list następującej treści: "Odmyśliłem się. Nie zawrę z wami pokój, chcę się wpierw pojednać z P.Bogiem.Przyszły tydzień jest ostatnim, wyznaczonym na odprawienie Spowiedzi wielkanocnej. W przyszły wtorek rano przeto będę w kościele w Łęgbądzie do Spowiedzi wielkanocnej i dopiero po niej zawrę pokój z wami". W oznaczony wtorek rychło rano,było to w każdym razie w kwietniu, zbudził mnie brat,mający swą kolejkę czuwania. Słyszę też gwałtowne ujadanie psów. Zrywam się z łóżka, wyglądam oknem na wzgórze i przeciwległy zagajnik. Woi się tam od Grenzschutzów cyklistów. Serce mi załomotało, bo pomyślałem, że może przyszli po mnie. W tej bowiem obawie żyłem stale. Całą chwilę stałem i obserwowałem ich zachowanie. Dziwiło mnie tylko,że twarze mieli zwrócone nie na plebanię, a kaplicę. Czego oni mogą chcieć, łamałem sobie głowę. Wreszcie uprzykrzyło mi się to patrzenie, a ponieważ był jeszcze przejmujący chłód, położyłem się znów do łóżka i zasnąłem.Kiedy przed godziną siódmą szedłem do kaplicy, by odprawić Mszę św., już ich nie było. Od ludzi się tylko dowiedziałem, w jakim celu oni tucotąd przybyli. "O jacy oni głupi, kiedy mogli przypuszczać, że Gnaciński im akurat samochcąc w ich łapy wleci". Uprzedzeni tym nowym kawałem wywnętrzali mi się ludzie, ale i zarazem wyrażali swe niezadowolenie, że właśnie kościół i Spowiedź św. użył on do spłatania im tego nowego figla. Grenzschutzowcy tymczasem nie doczekawszy się Gnacińskiego,zniecierpliwieni długim czekaniem przed odjazdem dobijali się do mieszkań domagając się ciepłej kawy, aby się rozgrzać.

"Her mit dem polnischen Gelde !"
"Oddać polskie pieniądze".

Było to jeszcze w maju zawsze r.1919. Rok rocznie przed siannokosami odbywała się licytacja na trawę na łąkach rządowych. Licytacja ta odbywała się w Barłogach, gdzie

mieszkał mistrz łąkowy, Weltrowski. Ponieważ obawiano się napadu, rentmistrz Müller, o którym już wspomniałem, oprócz potrzebnego personelu do ochrony wziął ponoć 5 chłopa Grenzschutzu, konnych. Jako sekretarz był tam starszy brat Józefa, Jan. Odznaczył się wielce na froncie zachodnim. Zwolniony jeszcze przed rewolucją mógł był za takie zasługi na polu walki, kiedy wrócił do stanu cywilnego, spodziewać się jakiegoś poważnego stanowiska. Jako Polak i katolik atoli otrzymał tylko stanowisko sekretarza przy urzędzie rentmistrzowskim w Czersku. Licytacja odbyła się w spokoju, a dopiero w powrotnej drodze, kiedy mijali jakieś zarośla, rozległ się stamtąd gromki głos: "Hände hoch ! Her mit dem polnischen Gelde!" Równocześnie padły stamtąd strzały. Jan Riegarski popełnił tę nieostrożność, że wystrzelił w kierunku zarośli ze swego karabinu. W odpowiedzi na to stamtej strony posypał się cały grad strzałów, ale nie kul, tylko drobnego śrutu. Na odgłos strzałów "bohaterski" Grenzschutz od razu dał drapaka. Rannemu Riegarskiemu wypadł karabin z rąk. Wobec tego rzucił się do ucieczki, a w ślad za nim posypał się cały grad drobnego śrutu, tak, iż całe plecy były nim obsiane. Trafiony też został rentmistrz Müller, śrutem w nasadę nosa, co spowodowało jego chwilowe zemdlenie. Gdy tak plac boju został oczyszczony, z ukrycia wyszli Gnaciński i Spica. Przystąpili do rentmistrza, który tymczasem odzyskał przytomność i zażądali od niego oddania im tych pieniędzy, które zebrał na licytacji, bo to są polskie pieniądze, pozwalając mu zatrzymać tę gotówkę, która była jego prywatną własnością. Natomiast Jan Riegarski dotarł do szosy, gdzie padł zemdlony. Znalazł go tam jakiś gospodarz jadący wozem. Zabrał go już przytomnego do plebanii, aby go zaopatrzeć, gdyż przypuszczano, że jest śmiertelnie ranny. Mnie tymczasem nie było w domu. Ja byłem w Czersku. Pojechałem bowiem tamdotąd, już nie wiem po raz który, aby wreszcie dobić targu na ten upatrzony dla celów parafialnych barak obozowy. Ponieważ odległość obozu od miasta wynosiła kilka kilometrów, ks.prob.

Sprengel kazał zaprząc konie i pojechaliśmy tamdotąd powózką. Ledwo stanęliśmy na miejscu, przybywa na rowerze z plebanii jakiś posłaniec i szepce coś ks.Sprenglowi do ucha. Ks.Sprengel zwraca się do mnie i powiada: "Musimy czymprędzej wracać, pewno coś niedobrego się wydarzyło. Może moja chora siostra zaniemogła".A mnie coś tknęło i zauważam:"A może to u mnie obś złego się stało?" "Nic nie wiem",odpowiada ks.Sprengel. Kiedy jednak w powrotnej drodze mijamy aptekę, wychodzi z niej mój kolega szkolny, Dr.Odyja, dając znak, żeby stanąć. "Co jest, pytam". "Masz natychmiast wracać i ja z tobą.Twój brat jest ciężko ranny.Został napadnięty przez bandytów", brzmi odpowiedź. Przerażony tą hiobową wieścią każę jak najszybciej pędzić do plebanii. Dopadam słuchawki telefonu i każę się łączyć z pocztą w Legbądzie i pytam: "Na miłość Boską co się stało ? " Odzywa się głos siostry organisty:"No, brat został napadnięty po licytacji, leży ciężko ranny w plebanii i prosi o księdza i doktora". "Czyj brat ?" pytam zdenerwowany. "No,nasz brat Janek". A więc to nie mój brat. W tym dniu w gościnie u Dr.Odyji bawił Dr.Preja, który później osiadł jako lekarz ordynujący w Tucholi. Oświadczył gotowość pojechania razem z nami. W powrotnej drodze mijały nas liczne furmanki, jedna w kierunku Czerska. Z daleka już kiwali ręką i wołali nasi znajomi i nieznajomi:"A to Niemcom dali ! Dobrze im, niech się stąd wynoszą".Spotkaliśmy również wóz wiozący rannego szkapę. Przybywszy do plebanii zastaliśmy młodego [illegible] w plebanii,leżącego na łóżku, bladego jak ściana, z zbolałym wyrazem twarzy. Po zbadaniu go jednak przez lekarzy okazało się,że kulki ołowiane, które podziurawiły mu całe plecy,tkwiły tylko płytko pod skórą i że życiu nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo. Jeszcze dziś widzę tę rozjaśnioną wprost rozanieloną jego twarz na skutek takiej diagnozy. Lekarze zalecili jednak odesłanie go powózką do Czeraka, a stamtąd koleją do szpitala w Chojnicach. Ponieważ moje konie co dopiero wróciły z Czerska,rozesłałem po całej wiosce, by poszukać furmanki, którąby tak lekarzy

jak i rannego odwiozła do Czerska. Jednak nie znaleziono ani jednej. Wszyscy bali się pojechać. Zaproponowałem przeto moim gościom, by u mnie przenocowali, a ja następnego dnia ich odeślę do Czerska. Na to się chętnie zgodzili. Właśnie siedzieliśmy przy kolacji, gdy daje się słyszeć na szosie turkot wozów i tentent kopyt końskich. Z trzaskiem otwierają się drzwi do jadalni i do pokoju wchodzą dwaj oficerowie w rynsztunku bojowym i przedstawiają się jako hauptmann i lejtnant, a ja im się przedstawiam jako proboszcz w Legbądzie. Wywołuje to u nich wielkie zdziwienie: "Was, krzyknęli obydwaj razem, Sie leben ? Uns wurde mitgeteilt, Sie wären von Banditen erschossen." /Co, ksiądz żyje ! Nam doniesiono, że ksiądz został zastrzelony przez bandytów/. Odpowiadam im ze śmiechem: "Jak panowie widzicie, ja żyję, ale co sobie życzycie ? " Okazuje się, że przybyli w sile całej kompanii i to nie z Czerska tym razem, a z Tucholi. Nim przybyli do plebanii, z całej wioski pospędzali ludzi na podwórze plebańskie, aby rozeznać, czy wśród nich nie ma Gnacińskiego i Spicy. "O, jacyście wy głupi, pomyślałem sobie, i jak mało wy znacie Gnacińskiego !" Zapytałem, co teraz uczynić zamierzają, nie znalazłszy tu Gnacińskiego ani Spicę. Odpowiedzieli, że skoro go tu nie znaleźli, to muszą go gdzie indziej poszukać. I w tym celu ułożyli bardzo "mądry" plan strategiczny. Jedna część miała rozejść się po okolicy całej w poszukiwaniu za "bandytami", a druga część miała pozostać tu ku ochronie rannego, aby go bandyci w nocy nie dobili!" Wieliśmy i tym razem wielce niespokojną noc. Ci bowiem, którzy pozostali, rozłożyli się biwakiem na wąskiej drożynie, którą z jednej strony odgradzał drewniany parkan, a z drugiej stodoła drewniana, z krytym słomą dachem. Nie pokoiliśmy się całą noc, by nie spowodowali wielkiego pożaru. Prócz tego nieustannie dobijali się do kuchni, by im parzyć gorącą kawę, którą przywieźli ze sobą. Tamci natomiast rozproczyli się po lesie i kniejach, a gdzie napotykali zagrody, dobijali się nahalnie do mieszkań, a gdy im nie chciano otworzyć, wybijali drzwi albo okna. Odetchnęliśmy z ulgą dopiero

rano, kiedy z nieudanej wyprawy wrócili i tamci i cała ta horda odjechała, skąd przybyła. Hannego natomiast wraz z lekarzami odesłałem do Czerska, skąd tenże pojechał pociągiem do Chojnic, skąd po dość krótkim czasie zdrów i w dobrym usposobieniu wrócił do swoich. A Gnaciński z Spicą w kułak się uśmieli z głupoty swych wrogów, tym bardziej, że dobrze się obłowili na tej swojej wyprawie, która im przyniosła całe 87 000 mrk."polnisches Geld".

I Grenzschutz zdobył się na koncept.
Ujęcie Gnacińskiego i Spicy. Ich uwolnienie.

Wreszcie Grenzschutz po tym ostatnim napadzie postanowił za wszelką cenę Gnacińskiego i Spicę uchwycić. Zdawali sobie atoli sprawę, że tylko podstępem tego dokonać zdołają. W tamtejszych borach już w kwietniu i maju rosną grzyby t.zw.smardze, bardzo wówczas poszukiwane. To też zwłaszcza niewiasty chodziły w tym czasie po poru za grzybami. Z tego skorzystać postanowili Grenzschutzowcy. A mianowicie dwuch z nich przebrawszy się w kobiece suknie chodziło po lesie pozorując zbieranie grzybów. Natknęli się przy tym na nic złego nie przeczuwającego Gnacińskiego i Spicę. Naraz te rzekome niewiasty błyskawicznie wymierzyli w nich broń i zawołali: "Hände hoch!". Zaskoczeni z niemacka musieli się poddać. Odtransportowano ich pod silną eskortą do więzienia w Chojnicach. Jednak do Chojnic do więzienia dowieziono tylko Gnacińskiego, natomiast Spica podczas transportu wyskoczył oknem i ukrył się w lesie. Ponieważ jednak Grenzschutz obawiał się, że towarzysze Gnacińskiego mogą go stąd uwolnić, wywieźć go kazał do więzienia w Elbląga. Stałem właśnie na placu kościelnym przy ustawianiu przywiezionego z Czerska baraku, gdy widzę zbliżającego się do mnie ojca Gnacińskich: "Jegomość! odzywa się do mnie, robiąc przy tym tajemniczą minę, coś się ma w krótce stać. Dowie się jegomość niebawem. Mam nadzieję, że mój syn August w krótce będzie wolny. Jegomość wie przecież, że te bansfoty wywieźli go aż do Elbląga, ale ja znalazłem sposób na jego uwolnienie. Będzie mnie to kosztowało

600 mrk., ale co ojciec nie da za życie swego dziecka? Więcej nie powiem, ale jegomość sam się o tym dowie. Daj tylko Boże, by się to udało". Z tym odszedł. I rzeczywiście dość rychło się dowiedziałem, jak się to stało. A mianowicie udało się przekupić dozorcę więziennego za cenę 600 mrl. Żona aresztowanego Gnacińskiego pojechała do Elbląga, by go odwiedzić, zabrawszy ze sobą odzież i żywność. Kiedy żona w celi więziennej prowadziła rozmowę ze swym mężem w obecności dozorcy, nagle Gnaciński wypadł z celi, wepchnął do niej dozorcę, odebrał mu klucze i wraz z żoną zamknął go w celi, a sam przebrawszy się, za pomocą kluczy wydostał się na wolność i wrócił do swoich. Ponieważ Grenzschutz czynił gorączkowe zabiegi, by Gnacińskiego i Spicę ponownie ująć, Gnacińskiemu udało się wysłać z Poznania do Komendy Grenzschutzu w Czersku własnoręcznie napisany list, w którym doniósł, że nie potrzebnie jego i Spicę poszukują, gdyż oni już są w bezpiecznym miejscu w Poznaniu, we wojsku polskim i niebawem wrócą, by się z Niemcami policzyć.

Nowy kawał Gnacińskiego do spółki z Spicą.

Grenzschutz uwierzył doniesieniu Gnacińskiego odnośnie przedostania się ich do frontu i sfolgował w swym pościgu za nimi. Dla pewności jednak wyznaczył czterech swoich ludzi na kwaterę do zagrody Gnacińskich, w Stodółkach. Ponieważ o Gnacińskich słuch zaginął, czuła się ta czwórka z czasem tak bezpieczną, że już swobodnie sobie chadzali po lesie nie zabierając nawet broni ze sobą. Razu pewnego, gdy właśnie beztrosko buszowali po lesie, nagle stanęli przed nimi dwaj oficerowie, jeden jako hauptmann, drugi jako lejtnant, w mundurach Grenzschutzu i zakomenderowali ostrym tonem: "Stać na baczność!" Przerażeni żołdacy uczynili to posłusznie, salutując swych rzekomych oficerów. Starszy oficer w randze hauptmanna, wraca się do nich surowo, kim oni są i co tu porabiają. Tłumaczą się, że są z

załogi Grenzschutzu w Czersku w kwaterze u Gnacińskich. "Jak to, pada gromki głos hauptmanna: Tak wy dranie pojmujecie wasze zadanie i przestrzeganie dyscypliny. Bez broni wałęsacie się po lesie, narażając się na napaść ze strony bandy Gnacińskiego. Marsz natychmiast z wami do zagrody." Posłusznie wykonali ten rozkaz. Przybywszy do zagrody dwaj oficerowie odebrali im broń, obwieszczając im, że są zwolnieni i mogą sobie pójść do Czerska, a w ich miejsce przyjdą inni, bardziej obowiązkowi i sumienni. A oni tymczasem pozostają tu tak długo, aż tamci nadejdą. Odchodzącym wręczył ów starszy oficer pismo zapieczętowane, rozkazując wręczyć je komendantowi. Kiedy stanęli przed obliczem komendanta w Czersku i wręczyli mu owe pismo, tenże otworzywszy je wyczytał w nim następującą treść: "Ihre Leute taugen nichts. Ich habe sie entlassen. Schicken Sie andere". Podpis Gnaciński.- Oberr"überhauptmann und Polen König". /Pańscy ludzie są do niczego. Ja ich zwolniłem. Niech pan przyśle innych/". Dopiero wtedy dowiedział się tak komendant jak i ci szaracy, kim byli ci dwaj oficerowie.

Tragiczny koniec i drugiego brata Gnacińskich.

Trzeci brat Gnacińskich ukrywał się w pobliżu zagrody rodzinnej u znajomych. W sąsiedztwie Gnacińskich mieszkał jakiś Niemiec katolik, nazwiskiem Hellwig. Był on coprawda zżyty z ludnością polską, ale potajemnie trzymał z Grenzschutzem. Ten trzeci brat był zapalonym myśliwym, oczywiście kłusownikiem. Na swoim polu miał Hellwig zasiany groch, który już znacznie wyrósł. Było to już bowiem, o ile sobie przypominam, przy końcu czerwca czy w początkach lipca. Na groch ten wychodziły z boru sarny i go niszczyły. Podsunął on Gnacińskiemu myśl, by urządzał na nie zasadzki, nęcąc go jeszcze i tym, że wśród saren jest okazały rogacz. Zapewnił go, iż ze strony Grenzschutzu nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, ponieważ on sam będzie nad nim czuwać.

Niebaczny, zaufawszy zdradzieckiemu sąsiadowi, zaczaił się w grochu czekając na ukazanie się zaręczyciela. Była to jednak pułapka na niego. Naraz rozległy się strzały. Gnaciński rzucił się do ucieczki. Trafiony jednak kulami padł na ziemię. Zwłaszcza jedna noga była tak zharatowana, że ledwo trzymało się skóry jeszcze. Grenzschutzowcy w tak ciężkim stanie, w jakim się znajdował, rzucili go na gołe deskowy wóz i tak, wijącego się w straszliwych bólach i krwawiącego silnie, dowieźli do Czerska, gdzie skonał niebawem. To okrutne obejście się ze strony Grenzschutzu ze swą już bezbronną, w tak okropnym stanie znajdującą się ich ofiarą, wywołało i wielkie oburzenie i głębokie współczucie u mieszkańców miasta i okolicy. Zmarły został pochowany na cmentarzu w Czersku. Pogrzeb jego zamienił się też w wielką manifestację ludności polskiej. Udział był tłumny, było moc wieńców, panny szły w bieli i cały szereg młodzieży męskiej kroczył w pochodzie. Prasa niemiecka, zwłaszcza gdańska, zawrzała oburzeniem nad tak wielkim upadkiem moralności i etyki ludności polskiej, która pospolitego bandytę czciła i uznała za bohatera.

Na tym skończyła się epopea braci Gnacińskich. Cała ich akcja miała charakter podjazdowych utarczek z Grenzschutzem na tamtejszym terenie. Nie miała ona szerszego znaczenia i wpływu na bieg wydarzeń na Pomorzu w tym przełomowym czasie. Obfitowała jednak w cały szereg niepospolitych, zuchwałych, romantycznych, nawet bohaterskich wyczynów, które na prawdę zasługują na ich upamiętnienie tymbardziej, że nie były pozbawione i znacznej domieszki patriotyzmu.

Najradośniejsza, najszczęśliwsza chwila w życiu moim. Tworzenie wojska polskiego.

Cały okres porewolucyjny przewidziany był na to, by umysły i serca ludności naszej przygotować na tę najradośniejszą dziejową chwilę, zmartwychwstania z grobu niewoli i scalenia rozszarpanej na kawały naszej Ojczyzny,

a wśród nich i naszego Pomorza. I nasze wysiłki w naszej parafii szły w tym kierunku, by godnie spotkać się z tą najszczęśliwszą chwilą. Wszak za nią tęskniły, o niej marzyły, o jej ziszczenie modliły się nieustannie, dla jej ziszczenia umierały na polach walk, w kazorgach, w więzieniach, na szubienicach na przestrzeni 150 lat, miliony Polaków. I właśnie nam po półtora wiekowej niewoli danym miało być oglądać tę chwilę, być świadkiem wkroczenia wojsk polskich i objęcia przez nie i naszej ziemy. Cała też nasza praca organizacyjna na terenie parafii, wykłady, przedstawienia, wszystko to miało na celu przygotowanie się na tę wielką, jedyną, tak gorąco upragnioną chwilę. Im bardziej zbliżała się chwila ona, tym gorętrza wrzała praca koło godnego przyjęcia wojsk polskich. Wszędzie szyto chorągwie, sztandary i oznaki polskie, które jednak jeszcze trzeba było strzec starannie przed argusowymi oczami Grenzschutzu. Wspomnę jeszcze tylko wspomnę, że nie jeszcze wszyscy jeńcy opuścili obóz, kilku jeńców Francuzów jawiało się od czasu do czasu w plebanii prosząc o żywność. Cieszyli się razem z nami na oswobodzenie ich własnej i naszej Ojczyzny. Jeden z nich później po powrocie do swoich do Paryża przysłał mi list z wyrazami wdzięczności za otrzymaną pomoc i gorącymi życzeniami z powodu uzyskanej niepodległości. Krótko jeszcze przed wkroczeniem wojska polskiego do powiatu chojnickiego odbyło się uroczyste zebranie prowizorycznej rady powiatowej w Chojnicach, w którym i ja uczestniczyłem. Końmi jechałem do Czerska, a stamtąd samochodem razem z radnymi z Czerska do Chojnic. Przypominam sobie, że była straszliwa w tym dniu gołoledź. Jechaliśmy przeto z wielkim strachem, gdyż samochód niemiłosiernie ślizgał się z jednej ku drugiej stronie szosy. Natomiast posiedzenie uroczyste, którem przewodniczył I Komisaryczny starosta, Sikorski z Chełmów, wynagrodziło nam przykrość tej jazdy wielce podniosłym swym nastrojem, stanowiącym już przedsmak mających już niebawem nastąpić niekrępowanych już polskich rządów. Na posiedzeniu tym nasze oczy oglądały poraz pierwszy

prawdziwego, żywego oficera polskiego w błękitnym mundurze Hallerczyków, w osobie niejakiego kapitana czy majora, Hoffmanna. Poprostu oko moje nie dość mogło się napaść widokiem tej już nie czasem śnionej zjawy, ale rzeczywistej postaci oficera polskiego.

W wigilię opuszczenia przez znienawidzony Grenzschutz naszej okolicy i przejmowania przez wojsko polskie naszego powiatu - u nas wrzał gorączkowy ruch. Przy zamkniętych drzwiach i zasłoniętych oknach sali parafialnej młodzież przygotowywała nagromadzoną żywność do podziału. Robiono kanapki, smażono. Panny wiły wieńce, robiły girlandy, a wszystko to w ukryciu przed wrogiem, który wycofując się z przed ostatniego etapu zatrzymał się tu w większej liczbie do następnego dnia jako na ostatnim etapie przed wkroczeniem wojska polskiego. Była wobec tego obawa, że zwąchawszy nagromadzone wiktuały mógł się był do nich zabrać. Uzbrojony jeszcze bowiem dobrze ten ostatni Grenzschutz był jeszcze panem sytuacji. Do plebanii na ostatnią noc wpakowało się jeszcze dwuch wyższych oficerów Grenzschutzu. Nakazali zostawić drzwi plebanii otwarte na całą noc, a sami gdzieś na całą noc przepadli. Powrócili dopiero rano. Jeden z nich przystąpił do mnie z pretensjami, że jego ludziom konie pokradziono w nocy. Odpowiedziałem mu szorstko, że to przecież ich, a nie moją powinnością było pilnować ich koni. A zresztą, powiadam, wasze konie napewno nie zostały skradzione, a wasi ludzie je poprzecygaiali. I tak też było w rzeczy samej. Niektórzy z Grenzschutzowców wiedząc, że posiadali jeszcze konie zapasowe, swoje sprzedali naszym ludziom za tani grosz. Dowódca jednak nie miał czasu na chodzenie, musieli bowiem odjeżdżać. Odjeżdżając wykrzykiwali butnie: "Auf Wiedersehen", na co ludność odpowiedziała z ironicznym uśmiechem: "Auf nie wiedersehen". Niestety pogróżki ich spełniły się później, kiedy jeszcze daleko gorsze hordy zwaliły się na Polskę. Kiedy się ważyły losy Pomorza na konferencji versailskiej, Grenzschutz zuchwale rozgłaszał, iż, w razie gdyby mieli się z Pomorza wycofać, same tylko zgliszcza i ruiny pozostawią za sobą. Nie śmieli jednak tych pogróżek zamienić

w czyn. Musieli to pozostawić swoim następcom,hitlerowskim Hunnom. Można sobie łatwo wystawić, jaką ulgę sprawiło naszej ludności pozbycie się tej grenzschutzowej hordy. Tego samego dnia, w którym nas Grenzschutz opuścił, Legbąd jeszcze nie miał szczęścia powitać u siebie błękitnych żołnierzy gen.Hallera. W tym dniu natomiast wkroczyło wojsko polskie do Czerska. Wybraliśmy się na jego powitanie do Czerska. Był trzaskający mróz, ale my ostrości jego zgoła nie odczuwaliśmy. Zapał rozpalał nasze dusze. Kiedy dotarliśmy do Czerska, już całe miasto roiło się od błękitnych mundurów. O,mój Boże ! Jakie uczucia owładnęły nas na widok polskiego żołnierza,a tylu ich tam było ! Z rzewnością wielką aż dotąd przyglądaliśmy się rycinom dawniejszych polskich żołnierzy, ale serca nasze tęskniły i marzyły o żywych polskich żołnierzach, a teraz mieliśmy ich przed oczyma naszymi. Wydawało mi się, że to chyba sen i gwałtem trzeba było sobie przywodzić do świadomości, że to nie sen żaden, że to rzeczywista rzeczywistość. Nawet ta klątwa, jaka padała tu i tam z ust naszych krewkich, błękitnych zuchów, nie raziła mnie. Na powitanie wojska polskiego już nic zdążyliśmy. Całe jednak miasto tonęło w flagach. Z wszystkich twarzy biła łuna radości, zachwytu, wprost ekstazy. Zaintrygował mnie pewien niesamowity widok. Na jakimś wozie siedział pewien jeszcze młody mężczyzna, a obok niego stała koza."Kto to ? pytam. "Ah, odpowiadają nam żołnierze, to zaciekły germanizator, nauczyciel ze Śliwic, który katował dziatwę za język ojczysty. Za karę zabraliśmy go w tym towarzystwie". Tu też dowiedzieliśmy się, jakiego [illegible] spłatali kolejarze czerscy grenzschutzowi przy jego wyjeździe pociągiem z Czerska. A mianowicie kazał on załadować tylne wagony długiego pociągu bronią,amunicją, bagażem i wszystkimi sprzętami, a do przednich wpakował się Grenzschutz. Tymczasem kolejarze niepostrzeżenie odpięli tylne wagony, a przednia część pociągu ruszyła wraz z Grenzschutzem w dal, a cały bagaż pozostał dla Polski. Następnego dnia mieliśmy mieć to szczęście i zaszczyt powitania oddziału Hallerczyków u siebie. Oddział ten miał przemaszerować przez Legbąd z Tucholi do Czerska.

Na szosie od wejścia do wioski aż do jej wylotu wznosiły się bramy triumfalne z transparentami i stosownymi napisami. Uformował się pochód na szosie pomiędzy plebanią, kościołem i salą parafialną z chorągwiami i sztandarami i z orkiestrą na czele. I w tym dniu, o ile mnie pamięć nie myli, był to jedenasty stycznia, panował rozpuś siarczysty mróz. Po długim oczekiwaniu coś ruchomego zamajaczyło na szosie. "Idą,idą, rozległy się radosne okrzyki.Coraz bardziej zbliżał się ruchomy łańcuch. Wreszcie już są zupełnie blisko. Ale czemuż orkiestra nasza milczy ? Daję jej znak. Nic nie pomaga. Dobiegam do niej i fukam na nich. I to nie pomaga. Patrzę na nich,a oni płaczą jak małe dzieci z radości i wzruszenia, tak iż nie mogą wydobyć żadnych tonów z swych instrumentów. Dopiero na moje ostre żachnięcie się: "Chybaście nie stare baby, że płaczecie jak one" odegrali hymn narodowy i "Boże, coś Polskę". Po serdecznym powitaniu zaprosiliśmy ich liczny oddział do ciepło ogrzanej sali parafialnej,do suto zastawionych rozmaitymi zakąskami i pieczywami stołów, gdzie mogli się do syta uraczyć i jedzeniem i piciem gorącej ziarnistej kawy. Oczywiście nie brakło i tytoniu, a orkiestra koncertowała przez cały ten czas. Dopiero po kilkagodzinnym postoju i odpoczynku i sutym pokrzepieniu się nasi błękitni chłopcy, którzy dopiero teraz ~~rozkazali/nam/~~ rozkuli nam do reszty kajdany niewoli, ruszyli w dalszą drogę. Przy odchodzeniu wręczyłem im owe 10 karabinów, otrzymanych z landratury w Chojnicach. Były one już teraz nam niepotrzebne. Pamięci tych raz przeżytych chwil nie zdołały nam zatrzeć w pamięci późniejsze, choćby jak najbardziej ponure i tragiczne przeżycia i wydarzenia.

Błękitne, słoneczne niebo niepodległościowe zasnuwa się chmurami.

Po przejęciu Pomorza przez błękitną armię gen. Hallera żyliśmy jeszcze pewien czas w stanie radosnego upoje-

nia. Jak dzieci, które po długiej rozłące znalazły się znów na łonie swej matki ukochanej, podobne uczucia i nas ożywiały. Wszak znaleźliśmy się znów na łonie naszej Macierzy i zdawało się nam, że ustały już wszystkie udręki i cierpienia nasze, a w miejsce nastąpiło spokojne, zadowolone, szczęśliwe życie. Wnet jednak ten tak rozsłonecznionv błękit nieba począł się zasnuwać chmurami. Jeszcze ostateczne scalenia rozszarpanej na kawały Ojczyzny dokonywały się na jej zachodnich i południowych rubieżach wśród walk i rozlewu krwi, a już poczęły się ujawniać w kraju groźne symptomy rozbicia narodowego. Zmartwychwstanie rozdartej na trzy części Polski po półtora wiekowej niewoli było tak jedynym i w dziejach narodów świata niebywałem wydarzeniem, że musiało się ono wydawać prawdziwym cudem. I tak też ogół narodu ten fakt pojmował. Nawet niedowiarkowie głośno przyznawali,że to prawdziwy cud. A jeżeli cud, to chyba nikt inny sprawić go nie mógł jak tylko P.Bóg. Jakież tedy uczucie wdzięczności owładnąć było powinno serca wszystkich Polaków dla Sprawcy tego cudu ! Podziw nas ogarnia na myśl wskrzeszenia Łazarza, przecież jak blednie ten cud wobec wyprowadzenia z grobu niewoli do życia niepodległego całego wielkiego narodu. Gorąca wdzięczność i miłość dla Boga za ten cud powinna była - tak trzeba było przypuszczać - natchnąć cały naród do płomiennej ofiarnej, a przede wszystkim zgodnej pracy i niezmordowanych wysiłków w kierunku zleczenia zadanych Ojczyźnie ran i przywrócenia jej pełni życia i sił po tak długim letargu niewoli. Jeżeli kiedykolwiek,to właśnie teraz potrzebna była zgoda,jedność i solidarność całego narodu. Tymczasem, jaką okazała się rzeczywistość ? Jeżeli chodzi o Pomorze, to ludność pomorska w czasie zaborczym tworzyła tylko jeden obóz: obóz katolicki i polski. Na płaszczyźnie tej ideologii zmieścili się wszyscy rodacy: ziemianin,robotnik,kupiec, rzemieślnik,prostak,inteligent. Nie było partyj, a była tylko jedna partia. Nie dzieliły nas kwestie

społeczne,stanowe,wyznaniowe. Ciężka niewola skuła nas jakby w jeden nieskruszalny monolit. Inaczej było atoli w tej dzielnicy, gdzie Polacy mieli najwięcej swobody, a mianowicie w Małopolsce. Na tamtejszym niezdrowym podłożu społeczno-ekonomicznym wytworzyło się szkodliwe rozbijackie partyjnictwo. To wszystko przeniosło się teraz i na grunt pomorski. Rozpisane zostały po przyłączeniu Pomorza do Macierzy i tu wybory do sejmu polskiego.Dały one asumpt do popisów agitacyjnych na rzecz poszczególnych partyj i partyjek, które już istniały na terenie galicyjskim albo które jako nowotwory powstały już na terenach b. Kongresówki, rychlej uwolnionych od naszej ziemicy. A tych partyj i partyjek rozmnożyło się w oswobodzonej Polsce jak grzybów po deszczu. Co rusz, w niedziele i dni powszednie jawili się jacyś panowie z tej lub owej partii i w Łęgbądzie prosząc o klucze do sali parafialnej. A były wśród tych agitatorów partyjnych i grubsze ryby i jakiś śmiałej wiceminister, jakiś ks. Kantak i t.p. Nasza sala była największa w całej okolicy, to też do niej najbardziej ściągali. I dziwna rzecz, choć często przybywali z nienacka, każdym razem umieli jakimś cudem zebrać sporo uczestników. Mógł bym odmówić udzielenia sali, nie chciałem jednak krępować swobody wyborczej. A z czym ci panowie przychodzili ? Twórczych,poważnych myśli trudno się było w ich przemówieniach doszukać. O obowiązkach, zadaniach obywateli wobec kraju nie było prawie mowy, natomiast główną treścią ich długich,często bałamutnych, a często demagogicznie zakrojonych przemówień było szkalowanie i w czambuł potępianie wszystkich innych partyj, a podnoszenie pod niebiosa swojej własnej, szafując przy tym hojnie obietnicami i ponętnymi mirażami korzyści, jakie wyborcom wynikną, jeżeli oddadzą głosy właśnie tej partyj, którą oni repretenzują. Uchlebiałem sobie, że dość dobrze orientowałem się w tym rozgardiaszu partyjnym tak w Galicji, jak i w Kongresówce, ale wobec tak wielkiego mnóstwa tychże mieliśmy ich przecież w pierwszym sejmie polskim coś blisko trzydzieści - a ja już zatraciłem orientację co do ich nazw i programów,

a cóż dopiero dziać się musiało w umysłach nieuświadomionej pod tym względem ludności pomorskiej ? Na rozmaitych tych wiecowych występach byłem prawie zawsze obecny i pilnie sił przysłuchiwałem, ale głosu zwykle nie zabierałem, bo naprawdę nie było warto polemizować z takimi jednostronnie nastawionymi, a przeto właśnie zacietrzewionymi agitatorami partyjnymi, było by to bowiem łatwo doprowadzać mogło do wiecowych kłótni i do zbytecznego gorączkowania umysłów. Natomiast na naszych własnych zebraniach wyjaśniałem naszym ludziom, czym się kierować winni przy osądzie wartości poszczególnych partyj. Nie te będą dobre i użyteczne krajowi, które przeciwstawiać będą jedną warstwę narodu drugiej i siać nienawiść jednych do drugich, ale te, które będą stawiać w swych programach dobro całego narodu na czoło i wzywać do bratniej zgody i jedności oraz gwarantować będą w życiu społeczno-publicznym przestrzeganie wzniosłych zasad chrześcijańskiej etyki i moralności. Nie do tych należy się odnosić z zaufaniem,które nęcą wyborców ponętnymi obietnicami, ale do tych, które najmniej będą obiecać, a mocno stawiać będą kwestię naszych powinności i obowiązków wobec Ojczyzny. Wyłuszczając tak ogólnikowe zasady i kryteria nie chciałem z góry narzucać parafianom swej własnej sugestii, której partii mają oddać swe głosy. Rozmyślnie tak postąpiłem, aby wybór pozostawić ich własnemu rozsądkowi i sumieniu. I też dzięki tej taktyce na tych licznych zebraniach i wiecach nie było żadnych namiętnych swarów i polemik. Miałem mimo wszystko to zaufanie do mych parafian, że nie pójdą na lep taniej demagogii. Na tych naszych atoli zebraniach, gdzie każdy mógł swobodnie wypowiedzieć swoje poglądy, słyszałem dużo rozsądnych zdań i powiedzeń: "Jegomość! My to dobrze rozumiemy, że jeżeli w rodzinie ma być wszystko dobrze, to wszyscy zgodnie muszą się przysadzić do pracy, ale, jeżeli się tylko będą między sobą kłócić i za łby brać, chcąc jeden drugiego przechytrzyć i jak najwięcej dla siebie wydrzeć, to łatwo wszyscy razem mogą wyjść z torbami.Taksamo i w Polsce, która jest jedną wielką rodziną". Inne też

rozsądną logiką chłopską podyktowane zdania słyszałem z ich ust: "Jeżeliśmy nabyli chudą, wynędzniałą i biedną krowę, to my nie możemy od niej wymagać dużo mleka. Wpierw trzeba ją podkarmić i doprowadzić do dobrego stanu, a dopiero wtedy można od niej wymagać mleka. A oni tę kochaną, wyniszczoną długą niewolą i wojną Polskę od razu chcieli by doić i hojnie szafować jej mlekiem."

To też aczkolwiek, ta rozbijacka, robota rozwydrzonego, wyuzdanego partyjnictwa mi wielce zatruwała życie, krzepiłem się nadzieją, że zdrowy duch naszego społeczeństwa oprze się zwycięsko jej rozkładowym zakusom. Wynik też tych pierwszych polskich wyborów na Pomorzu, a również na naszym terenie nie zawiódł tych nadziei.

Że jednak ta nieraz żadnymi skrupułami nie krępująca się agitacja i w naszej parafii nie minęła zupełnie bez śladu, miałem niebawem możność przekonania się. Otóż chodziło o wyznaczenie kandydata na wójta na okręg legbądzki. Zaproponowałem na to stanowisko owego już poprzednio wymienionego Pruszaka, który mnie w pierwszych czasach po wybuchu rewolucji zastępował w prowizorycznej Radzie Powiatowej w Chojnicach, dopóki po ciężkiej chorobie hiszpanki nie stałem się zdolnym wyręczyć go w tym. A przecież wykonywanie stąd wynikających obowiązków w owych niespokojnych czasach było dość uciążliwe, a nawet te częste wyjazdy do Chojnic na zebrania były połączone z niebezpieczeństwem. Uważałem tedy, że słusznie wobec tego należy mu się to stanowisko już we wolnej Polsce, tymbardziej, że miał jeszcze i inne ku temu warunki, był dość rozgarnięty, obowiązkowy, sumienny. Wprawdzie był to szlachcic kaszubski z przydomkiem Leliwa, ale był to prosty chłop małorolny, miał jednokonne gospodarstwo rolne, a którym sam pracował, więc zdawać by się mógł, że u nawet najbardziej demokratycznie usposobionych ludzi ten wybór zastrzeżeń żadnych budzić nie powinien. W Legbądzie jednak mieszkał jakiś kowal. Był to próżniak, do rzetelnej pracy nie skory, skutkiem czego do niczego w życiu nie doprowadził. Z tego właśnie tytułu, że nic nie posiadał, jemu powinien był ten urząd przypaść, tak rozumował. I zaczął

ludzi jemu podobnych przeciw mnie podburzać. A nawet postanowił przeciw mnie urządzić zebranie. Poprosił mnie o klucze niczym nie zdradzając, o co mu chodzi. Żadnego podstępu nie przeczuwając dałem mu klucze od salki parafialnej. Dopiero, kiedy po nabożeństwie przyszedłem do plebanii, ktoś przychodzi do mnie i oznajmia mi: "Jegomość ! Toć to zebranie zwołał on przeciw jegomości w sprawie Pruszaka. On chce zostać bowiem wójtem." Kiedy jednak niespodziewanie i ja się zjawiłem na tym zebraniu, on jakoś zupełnie zapomniał języka w gębie i pary z ust nie wypuścił. I cała jego warcholska robota wzięła w łeb. Był to też atoli jedyny taki niezdrowy, a zgoła nie poważny odruch, który cała ta akcja niesamowita wyborcza wywołała.

W poszukiwaniu nowej placówki w niepodległej Polsce.

Oswobodzenie Pomorza otwierało dla mnie nowe perspektywy i możliwości. W Legbądzie znalazłem się dla tego, że droga do probostwa i do innych stanowisk duszpasterskich została mi przez władze pruskie zamknięta. Jeżeli teraz był bym pragnął probostwa, to nie było już ku temu żadnej przeszkody. Mnie jednak pociągała inna dziedzina, a mianowicie wychowanie młodzieży. Wszak i tę dziedzinę zamknął przedemną zaborczy wróg, odbierając mi prawo nawet prywatnego nauczania. Ale o tym samym, co ja, myślała też i utworzona w celu obsadzenia stanowisk w średnim szkolnictwie wojewódzka komisja szkolna, na czele której stanął mój były profesor Lange, a w skład której wchodził również mój kolega szkolny i kursowy, ks. Makowski. Od mego serdecznego przyjaciela Reicha z Torunia otrzymałem wiadomość, że proponują mi urząd dyrektora męskiego seminarium nauczycielskiego w Toruniu. 'Przyjedź, zakończył list, rozpatrz się tu na miejscu i zadecyduj ! " Wybrałem się tedy do Torunia, a podróż była niełatwa. Komunikacja kolejowa bowiem jeszcze bardzo

chromała. To też podróży do Torunia nie można było dokonać w jednym dniu. Noc trzeba było spędzić na dworcu w Grudziądzu. Dopiero dnia następnego około godz.9 rano dotarłem do Torunia. W mieszkaniu mego przyjaciela zauważyłem kilka pań. Pytam: "Słuchaj, Julku, co u was tyle gości?" "Nie wiesz, odpowiada, wszak to dziś Zosi, imieniny mej żony. Może i ty się przyjdziesz do gości ? Spożyjemy razem śniadanie. Tylko bieda u nas. Nie ma ni mleka ni masła". A siostra moja mi zapakowała na drogę aż 3 litrowe butelki z śmietaną i całą bryłę masła. Kiedy to wyłożyłem na stole, a mój Julek to zobaczył, porwał butlę ze śmietaną i począł z nimi tańczyć. Wobec tak trudnych warunków aprowizacyjnych miałem obawę pójść do Torunia. Było nas przecież kilka osób do utrzymania: matka, dwie siostry i mały siostrzeniec. Obrałem sobie więc stanowisko katechety wówczas jeszcze w proginnazjum w Nowym Mieście, do którego sam jako uczeń uczęszczałem. Szczególną satysfakcję bowiem sprawiało mi, że mogłem uczyć młodzież już w języku ojczystym i zaprawiać ją miłością Boga i Ojczyzny tem, gdzie mnie wpajano obcą mowę i obcego ducha. W Nowym Mieście mieliśmy też własne mieszkanie, gdyż za spłacone już zdewaluowane hipoteki matki udało mi się tu nabyć niewielką nieruchomość. A i aprowizacja wydawała mi się łatwiejsza w mniejszym mieście niż w Toruniu. W ten sposób stałem się katechetą w Nowym Mieście lubawskim.

Rozstanie się z placówką duszpasterską w Lubiszu.

Dopiero przy końcu maja 1920 r. otrzymałem oficjalnie nominację na stanowisko katechety w Nowym Mieście n/Drwęcą. Byłem z tego zadowolony bardzo. Wszak nauczanie i wychowanie młodzieży było dla mnie nader miłym zajęciem. Zapewnością probostwo materialnie dałoby mi było daleko lepsze szanse. Ale względy materialne nigdy nie odgrywały u mnie większej roli. Tak bardzo idealnie

przedstawiała mi się rola wychowawcy młodzieży już w wolnej Polsce w myśl dewizy "Bóg i Ojczyzna". Tak mocno też sobie przyrzekałem, że temu jednemu zadaniu poświęcę wszystkie moje zamysły, siły, całe moje serce. Polska już wolna, nie będzie już więcej brakować ludzi chętnych i zdolnych do zajmowania się pracą dla dobra Ojczyzny na rozmaitych odcinkach życia publicznego. Zdawało mi się, że już dosyć się natrudziłem i nadwyrężyłem w obronie spraw ojczystych, że teraz będę się mógł ograniczyć li tylko do tego jednego zadania, wychowawcy młodzieży i to nadomiar takiej, która w życiu publicznym kraju ma odgrywać przodującą rolę. Takimi myślami, zamiarami i postanowieniami przepojony czyniłem wraz z moimi najbliższymi przygotowania do opuszczenia Legbąda. Późniejsza rzeczywistość, niestety, wszystkie te moje piękne rojenia przekreśliła, jak się okaże w dalszym opisie mych wspomnień.

Aczkolwiek sam pragnąłem tej zmiany, to jednak samo rozstanie się z tą moją dotychczasową placówką odczuwałem bardzo boleśnie. Przeszło 4 lata spędziłem razem z nimi parafianami i to nadomiar w tak przełomowo dziejowym okresie. Dzieliliśmy ze sobą smutki i radości, przeżyliśmy i tę tak upojoną chwilę wkroczenia wojska polskiego i do naszej parafii. Znałem już każdego z moich parafian. Przywiązałem się do nich całym sercem. Była to przecież pierwsza po 16 latach wikariuszowskich moja samodzielna placówka duszpasterska. Zerwanie przeto tych węzłów nie przychodziło mi łatwo. Aby się nie rozrzewniać i nie rozczulać przy rozstaniu, taiłem dzień i godzinę naszego wyjazdu. Byłem też zdecydowanym przeciwnikiem jakichkolwiek owacji. Ludzie jednak mimo to jakoś się sami domyślali. Widocznie uważali pilnie. To też, kiedyśmy mieli wsiadać do powózki, przybyło kilku ludzi, aby się pożegnać, mając łzy w oczach. Mimo użycia całych sił, by się opanować, i ja się rozkleiłem. Wstydziłem się sam przed sobą, że nie umiem przemóc się, a jednak i mnie tak zebrało, że się rozpłakałem. Uczułem w sobie bowiem i coś w rodzaju wyrzutu sumienia, że ich opuszczam, ale

z drugiej strony pocieszałem się tym, że teraz na łonie Macierzy źle im nie będzie, nie będzie ich już gnębił wróg. A kiedy wreszcie ruszyły konie w kierunku do Tucholi, jak daleko tylko sięgała moja parafia, z jeden i z drugiej strony szosy wychodzili parafianie, rzucając na powózkę bukiety kwiatów bądź ogrodowych, bądź polnych tak, iż cała powózka była nimi zawalona. A kiedy zbliżaliśmy się do Tucholi, nieposostało mi nic innego, jak tylko poskładać bukiety w rowie, zabierając ze sobą kilka najpiękniejszych do pociągu. To tak samorzutnie zaimprowizowane, a tak proste, ale właśnie przez to tymbardziej za serce chwytające pożegnanie głęboko i niezatarcie wryło mi się w pamięć i serce. Z opuszczeniem Legbąda rozpoczął się nowy etap w życiu moim, choć bynajmniej nie taki, o jakim marzyłem.

Jeszcze o księdzu Kurtschim.

Ksiądz Kurtschik podczas I wojny światowej został już jakby urazu psychicznego na punkcie Niemców. Z ambony stale nawoływał do oddawania złota na rzecz państwa i podpisywania pożyczki państwowej i do modlitwy o zwycięstwo oręża niemieckiego. Ale mało tego, kiedy Niemcom zaczęło się już źle powodzić, a Hindenburg stanowił dla nich jeszcze jedyną deskę ratunku, z ambony głosił zdanie, które możnaby było wprost uznawać za zbliżone do bluźnierstwa, "że Hindenburg to jakby mały bóg, wie wszystko, on też

zaraz odczuwa, czy w Jeżewie modlą się o jego zwycięstwo uży nie". Parafianie, którzy znali już ten uraz psychiczny swego proboszcza, przechodzili nad nim do porządku, likwidując takie wyskoki najwyżej wzdrygnięciem ramion. Prywatnie, kiedy po wojnie ważyły się losy Pomorza, rozgłaszał on pomiędzy ludźmi, że "choćby z Prus Zachodnich tyle tylko pozostało przy Niemcach, żeby mógł na tym skrawku jedną nogą stanąć, on tamdotąd pójdzie"? Ale w rzeczy samej zostało daleko więcej, niż na jedną nogę, a on pozostał w Jeżewie. Co jednak powstrzymało go od przeprowadzenia się do Vaterlandu ? Otóż dał on wyraz w liście, który wysłał do swego znajomego, wspomnianego już przezemnie ks.Retzlaffa, dawniejszego religionslehrera w Świeciu, a wówczas bawiącego w Szwajcarii. Ten list nieodszedł jednak do rąk adresata, bo go na poczcie przytrzymano i otwarto i przeczytano. Miał on następującą treść: "Ich bedaure sehr, dass ich unter die Fittiche des polnischen Adlers gekommen bin, aber meine ganze Hoffnung setze ich auf den Weltspartakus". Znaczyło to po polsku: "Bardzo żałuję, że dostałem się pod skrzydła polskiego orła. Ale całą moją nadzieję pokładam w światowym spartakiźmie t.j.światowym komuniźmie." Liczył więc,że zwycięstwo komunizmu przywróci znów Pomorze Niemcom. I doczekał się zwycięstwa komunizmu w Polsce, ale źle na tym wyszedł. Jakiś parafianin oskarżył go przed władzą,podobnie niesłusznie w tym wypadku, Ks.Burtschik mając nieczyste sumienie z przeszłości tak się tym przeraził, że odrazu zrezygnował z parafii i schronił się jako kapelan SS.Miłosierdzia na Żurawią Kępę, gdzie dokończył żywota w sędziwym wieku, bo znacznie po osiemdziesiątce. Trzeba mi jednak jeszcze uzupełniająco wrócić do czasów po pierwszej wojnie światowej. Otóż już opisałem,w jaki sposób jeszcze przed I wojną ksa światową zbierał ofiary za pomocą skarbonek u żydów na rozbudowę kościoła,który potrzebował gwałtownie swego poszerzenia. Oczywiście zebrane przeważnie w żydowskim domu towarowym składki, się zdewaluowały. Natomiast po przyłączeniu Pomorza do Macierzy rząd polski, ponieważ parafia jeżewska była

patronatu rządowego, zadecydował przeprowadzić rozbudowę kościoła w Jeżewie. Przypadkiem tylko spotkałem w plebanii nowomiejskiej architekta wojewódzkiego z Torunia, Dąbrowskiego, który o tej przebudowie wspomniał dodając, że to pierwszy kościół na Pomorzu, którego przebudowy województwo się podjęło. Zaciekawiło mnie i zapytałem dla czego właśnie Jeżewo znalazło się na pierwszym planie. Odpowiedział mi na to, że ks.Burtschik tak źle usposabiał ludność do Polski, że teraz mogą się pożegnać z rozbudową kościoła, że właśnie województwo tej propagandzie chciało zadać kłam. Niebawem odbyło się poświęcenie noworozbudowanego kościoła, na które przybył i wojewoda Lamot. Po dokonaniu aktu konsekracji w procesji odprowadzono konsekratora do plebanii. Przy wejściu do plebanii wojewoda pożegnał się. Ks.Burtschik prosił i błagał, żeby swą obecnością zaszczycił plebanię. Wojewoda stanowczo odmówił i ostentacyjnie pojechał do Pelna do państwa Parczewskich. Widocznie wojewoda był poinformowany o zachowaniu się ks.Burtschika i w ten sposób dał mu to odczuć. Ale nie na tym koniec. W Grudziądzu wychodził dziennik p.n. "Goniec Nadwiślański". Zaraz po konsekracji znalazła się korespondencja z Jeżewa, w której opisana była uroczystość konsekracji, przyczym autor podniósł wielkie zasługi, jakie oddał parafii ks.Burtschik przez doprowadzenie do tak wspaniałej rozbudowy świątyni pańskiej. I gdyby autor był się tylko ograniczył do tej naprawdę niezasłużonej pochwały, nie byłoby z naszej strony żadnej na to reakcji, ale autor pozwolił sobie na ostry atak przeciw tym, którzy tyle nienawiści i wzburzenia przeciw proboszczowi wywołali, "choć to było zupełnie niepotrzebne, bo i tak wszystko dziś jest polskie". Ta uwaga oczywiście poniosła mnie do żywa, ale nie tylko mnie. Niebawem odezwał się telefon, rozlega się głos p.Parczewskiej primo voto Liszkowskiej. Pyta mnie, czy tę korespondencję czytałem. "Owszem, odpowiadam, czytałem." "Przecież tego nie możemy pozostawić bez odpowiedzi, za tyle krzywd nam wyrządzonych jeszcze zohydzanie naszej ówczesnej tak ofiarnej działalności".

Proponowała, abyśmy razem poszli do redakcji "Gońca Nadwiślańskiego" i zażądali sprostowania.To się też stało. Redakcja poprosiła, byśmy całą sprawę opisali i jej przedłożyli. Tośmy też uczynili, opisując całe postępowanie ks.Burtschika i jego całą akcję wraz z landratem v.Halem-em przeciw naszym instytucjom społecznym,jego denuncjacje przed władzami niemieckimi własnych parafian,owe skarbonki żydowskie i uplanowanie wywłaszczania majątku Lipienek i t.d. Redakcja ogłosiła to pod rubryką "Sprostowanie", wzywając ks.Burtschika, aby w razie niezgodności czegokolwiek z tych niesłychanych zarzutów z prawdą,wytoczył redakcji skargę. Ale ks.Burtschik wolał nie zaryzykować skargi, zdając sobie sprawę, że wszystkie te zarzuty dadzą się udowodnić przed sądem. Wolał więc zamilknąć.

W roku 1938 zmarł mój wierny towarzysz i sprawie bezgranicznie oddany w Jeżewie, Franciszek Chmielewski. Pojechałem na pogrzeb. Do plebanii nie poszedłem.Po pogrzebie p.Chmielewska u siebie w domu opowiadała mi,że mniejwięcej pół roku temu siostra ks.Burtschika,Frl.Mariechen, była ciężko chora i myślała, że umrze.Zawołała więc ją do siebie,wciskając jej do ręki pieniądze na podróż,by do mnie pojechała i uprosiła mnie, żebym do nich przyjechał. Widocznie dręczyły ją wyrzuty sumienia. Ale p.Chmielewska odmówiła. Poleciłem jej, by po moim wyjeździe poszła do niej i oświadczyła jej, że to wszystko, co mnie złego wyrządzono, ja im chętnie daruję,ale te krzywdy, które Polsce wyrządzili, tylko Polska im darować może. Podczas drugiej wojny światowej, jak mnie informowano, podobno tak ks.Burtschik jak i jego siostra wreszcie przejrzeli i upamiętali się, kiedy zaraz w pierwszych dniach podczas ucieczki w lesie, w ich oczach młodego polskiego kapłana zastrzelili Niemcy. Nazwiska nie pamiętam. To otworzyło im oczy. Odtąd podobno i swoje postępowanie i swe zapatrywania zmienili.

Spis Rzeczy.

Część III.

		Str.
1.	Znów przeniesienie	1
2.	Mój następca ks.Sell kontynuuje zaplanowane dzieło i dokonuje je.Dom Towarzystwa Gimnazjalnego na kaplicę	4
3.	Na nowej placówce w Kornowie n/Brdą	6
4.	Ks.proboszcz i dziekan Treder	8
5.	Plebania	12
6.	Trzej Witkowie.Czy jest możność kontaktowania się zmarłych z żywymi ?	13
7.	Życie towarzyskie w mieście	15
8.	Towarzystwo młodzieżowe "Samopomoc"	20
9.	Wielki zjazd śpiewaczy	22
10.	Tylko dwa dni pozwolono mi być zastępcą kapelana więziennego	22
11.	O ile bicie dzieci wyjątkowo dopuszczalne,to jednak nigdy w małżeństwie	24
12.	Odwrotna strona medalu. Przegrany proces.	26
13.	"A ja Judasz,a ja zdrajca".Błysk nadziei,niestety, zwodniczy	28
14.	Po raz wtóry uśmiechnęła się do mnie fortuna.Tak samo zwodnicza. Ks.Biskup się rozmyślił.	30
15.	Odpis z oryginału złożonego przez rząd veto w sprawie Klonówki	34
16.	Tłumaczenie	35
17.	Znów ta sama historia. I znów ks.Biskup się rozmyślił. Tym razem już tylko o lokalny wikariat czyli kurację	37
18.	Twierdza żydowsko-niemiecka przechodzi w polskie ręce	42
19.	Uznanie dla mnie ze strony brata ks.Biskupa.Nawrócony nestor p.Franz Parczewski	45
20.	Teraz dopiero najgwałtowniejsze ataki ze strony landrata do spółki z ks.Burtschikiem.Landrat nie zawahał się narazić pow.kasę na dotkliwe straty	47
21.	Zemsta wywłaszczenia Liszkowskich z majątku	48
22.	Do Torunia	50
23.	Na nowej placówce. Plebania.	51
24.	Życie towarzyskie	53
25.	Polskie życie publiczne w Toruniu bardzo chromało.	57

Str.

26. Dwa spotkania, które nabawiły mnie dużo strachu w początkach po wybuchu wojny 60
27. Wojna ! Wojna ! 62
28. Stan rzeczy po wybuchu wojny.Pełne niepokoju dni dla mnie 64
29. Plan wojenny Niemców.Ich pierwsze zwycięstwa. Klęska nad Warną. 66
30. Nasza orientacja polityczna 67
31. Bratnie dusze. "Dekowanie" się pod broń powołanych Polaków. 72
32. Przykre rozczarowanie 75
33. Precz z Torunia 76
34. W bory tucholskie.Na nowej placówce w Łęgbądzie. Krajobraz 77
35. Sprawy duszpasterskie 80
36. Położenie gospodarcze parafian 86
37. Moje własne położenie gospodarcze 87
38. Jak organista w Łęgbądzie został poczmistrzem ? 91
39. "Tłusty baran,tłusty, dobry do kapusty".Przyczynek do wymuszanych kontyngentów 93
40. W roli niefortunnego myśliwego 96
41. Dwaj jeńcy wojenni,ale jak nierówne charaktery 98
42. Dwa pożary w plebanii.Hindenburg na węczarni 100
43. Najgroźniejsza ekspedycja za kontyngentem 102
44. Sytuacja polityczna. Położenie wojenne 109
45. Zabójcze epidemia "hiszpanki" 106
46. Rewolucja. Jej skutki na naszych terenach 108
47. Tragiczny wypadek. Miast domiemanego bandyty zastrzelił swego przyjaciela 112
48. Czy Pomorze mogło się o własnych siłach oswobodzić? 113
49. Moralny stan parafian po rewolucji niemieckiej. Zagrożona młodzież 116
50. Opłakany stan duchowy naszego nauczycielstwa 117
51. Charakterystyczne zebranie organizacyjne nauczycielstwa okręgu czerskiego 120
52. Zgoła nieoczekiwane uznanie ze strony niemieckiego landrata 122
53. Uderz w stół,a nożyce się odezwą.Mordercze zamiary ze strony poborcy podatkowego 125
54. Niedźwiedzia przysługa.Brzydkie sprawy wychodzą na jaw 126

Część III.

Str.

55. Bracia Gnacińscy na widowni. Spontaniczna,samorzutna ruchawka w Czersku 129
56. Bracia Gnacińscy organizują atak na Czersk 133
57. Niesamowite wyczyny Gnacińskich. Zabójstwo jednego z nich 136
58. Stan oblężenia. Nowy wyczyn Gnacińskich 139
59. Drwinki Gnacińskiego z Grenzschutzu 141
60. "Her mit dem polnischen Geld"."Oddać polskie pieniądze" 142
61. I Grenzschutz zdobył się na koncept. Ujęcie Gnacińskiego i Spicy. Ich uwolnienie 146
62. Nowy kawał Gnacińskiego do spółki ze Spicą 147
63. Tragiczny koniec i drugiego brata Gnacińskich 148
64. Najradośniejsza,najsłoneczniejsza chwila w życiu moim 149
65. Błękitne,słoneczne niebo niepodległościowe zasnuwa się chmurami 153
66. Poszukiwanie nowej placówki w niepodległej Polsce 158
67. Rozstanie się z placówką duszpasterską w Legbądzie 159
68. Jeszcze o księdzu Burtschiku 161

fil. J.p. fil. Chełmno

S.5, 8, 9, 22 (j.p.), 38, 39, 53, 54, 57, 60, 61, 62

i r
gmina
fil.

65 66
Łazu- fil.
[illegible] K. Kruczyński
fil.

j.p.

79/80 fil.
81/82 "
90 i nast. fil.
do 95 – 111
95 kołko j ros.

124
127
129 fil.
131 "
j.p. 29 (II)
30/32 Śmiecie – [illegible] pokut 136–8

S 82 oz. II fil.

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
GDAŃSK

Rs II
93